

REMIGIUSZ MRÓZ

GŁĘBIA OSOBLIWOŚCI

PARABELLUM



GŁĘBIA OSOBLIWOŚCI
PARABELLUM

REMIGIUSZ MRÓZ

GŁĘBIA OSOBLIWOŚCI
PARABELLUM



Copyright © Remigiusz Mróz, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Magdalena Owczarzak
Projekt okładki: Magdalena Zawadzka
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-370-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

*Anicie,
która rozpełtała szaleństwo*

STOPNIE W WEHRMACHCIE I SS W LATACH 1934-1940

Wehrmacht	SS	Polski odpowiednik
	Szeregowi	
Schütze	SS-Anwärter, SS-Mann	szeregowy, strzelec
Gefreiter	SS-Sturmmann	starszy szeregowy
Obergefreiter	SS-Rottenführer	kapral
	Podoficerowie	
Unteroffizier	SS-Unterscharführer	plutonowy
Unterfeldwebel	SS-Scharführer	sierżant
Feldwebel	SS-Oberscharführer	starszy sierżant
Oberfeldwebel	SS-Hauptscharführer (SS-Stabsscharführer)	sierżant sztabowy
	Oficerowie młodszy	
Leutnant	Oberleutnant	SS-Untersturmführer
SS-Obersturmführer	podporucznik	porucznik
Hauptmann	SS-Hauptsturmführer	kapitan
	Oficerowie starszy	
Major	SS-Sturmbannführer	major
Oberstleutnant	SS-Obersturmbannführer	podpułkownik
Oberst	SS-Standartenführer	pułkownik
(brak odpowiednika)	SS-Oberführer	pułkownik liniowy/brygadier
	Generałowie	
Generalmajor	SS-Brigadeführer	generał brygady
Generalleutnant	SS-Gruppenführer	generał dywizji
General	SS-Obergruppenführer	generał broni
Generalfeldmarschall	SS-Reichsführer (Heinrich Himmler)	marszałek

Osobliwość – materialne wewnątrz czarnej dziury, o nieskończonej gęstości. Pole grawitacyjne tego punktu jest tak duże, że czyni czarną dziurę jedynym obiektem we wszechświecie, którego nie mogą opuścić fotony.

I

Minus nobis videmur posse, quam possumus.
– *Wydaje nam się, że mniej możemy, niż możemy.*

AUTOR NIEZNANY

GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Nieboskłon spowiły czarne, kłębiaste chmury. Promienie światła ginęły gdzieś w mroku, a mimo to na powierzchni było jasno jak podczas słonecznego dnia.

Najsłynniejsza wieża zegarowa świata płonęła. Języki ognia trawiły Big Bena, oplatając go ze wszystkich stron i tworząc nad nim złowrogą łunę. Nie minęło wiele czasu, nim nadwątlona konstrukcja uległa. Tarcza zegara runęła na ulicę, wywołując zgrozę i panikę.

Dżentelmeni we frakach i cylindrach uciekali w popłochu, a dostojne damy krzyczały. Panował wszechogarniający tumult. Pewien mężczyzna stał jednak spokojnie na rogu ulic i obserwował zdarzenia.

Założywszy rękę za plecy, drugą uniósł do ust. Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym, który zdawał się zlewać z tumanem kurzu podniesionym przez upadający fragment elewacji.

Po chwili pył przesłonił wszystko i wszystkich, ale obserwator nie poruszył się ani o krok. Palił spokojnie, czekając na postać, która miała wyłonić się z mroku. Czuł, że ten moment nadchodzi. Zaciągnął się ostatni raz, a potem rzucił niedopałek na ziemię i zdeptał.

Jak na zawołanie, z kurzawy wynurzył się mężczyzna, którego obserwator znał nader dobrze. Jego przybycie zawsze wiązało się z cierpieniem, a ostatecznie – śmiercią. W jednej ręce przybysz dzierżył zakrwawiony topór, w drugiej zagiętą szablę. Powoli się zbliżając, wymierzył w niego oręż.

Obserwator wbił wzrok w oczy przybysza i ujrzał w nich pierwotną żądzę. Mężczyzna zjawił się, by po raz kolejny odebrać mu życie. Ledwo ta myśl nadeszła, usta zjawy wykrzywiły się w bestialskim uśmiechu. Z rozciętych dziąseł wypadły połamane, poczerniałe kawałki zębów.

Przybysz uniósł topór i szablę ponad głowę, wydał z siebie chrapliwy okrzyk, a potem przyłożył oba ostrza do gardła obserwatora. Na moment zaległa cisza. Potem zjawa podniosła wściekły ryk i zdecydowanym cięciem rozorała ofierze szyję.

Christian Leitner przebudził się tylko na ułamek sekundy. Sen był okropny, ale stanowił najmniejszy ze wszystkich jego problemów.

SZPITAL NOTRE DAME DE BON SECOURS, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Marvin Rodemeyer zerwał się z krzesła, dostrzegłszy, że przyjaciel się poruszył. Dopadł do łóżka, ale szybko przekonał się, że pacjent nadal jest w śpiączce. Stan ten trwał od dwóch tygodni – wtedy to SS-Obersturmführer Leitner trafił do francuskiego szpitala. Marvin spędził ten czas na czuwaniu, nieustannie obawiając się, że wkrótce nadejdzie dzień, gdy pozostanie mu już tylko zmówić modlitwę za duszę przyjaciela.

Takie obawy towarzyszyły mu już od chwili, gdy Christian został postrzelony. Holzer wprawdzie nie dokończył roboty, ruszając w pogoń za swoim bratem, ale Leitner tracił dużo krwi. Przez kilka chwil zdołał zachować przytomność, potem jednak zupełnie odpłynął.

Rodemeyer wątpił, że zdążą na czas do szpitala. Nie znał okolicy, a nazwy miejscowości i numery dróg nic mu nie mówiły. Kiedy uciskał klatkę piersiową przyjaciela, miał zupełną pustkę w głowie.

Inicjatywę przejęła Maria, żydowska uciekinierka z Warszawy. Wraz ze swoją kuzynką, jasnowłosą Elise, zdołała zatrzymać jadącego na północ czerwonego austina 10. Za kierownicą siedział starszy człowiek. Niepewnie zlustrował wzrokiem trójkę ludzi, którzy bez środka transportu znaleźli się na zupełnym pustkowiu.

Gdyby wcześniej zobaczył kałużę krwi, z pewnością by się nie zatrzymał. Kiedy tylko dostrzegł rannego, chciał uciekać, przekonany, że troje ludzi zabiło leżącego na poboczu mężczyznę. Maria musiała użyć wszystkich znanych jej środków perswazji, by przekonać Francuza, że zostali napadnięci.

Kierowca zastanawiał się tylko przez chwilę. Dostrzegłszy, że ofiara balansuje na granicy życia i śmierci, kazał wnieść ją do samochodu. Maria machinalnie podziękowała mu po niemiecku, co sprawiło, że staruszek stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

Marvin był przygotowany, by obezwładnić go, zostawić tam na pastwę losu i pognać do szpitala, jednak ostatecznie kierowca musiał uznać, że mimo wojny z Rzeszą niemiecki język na terenach przygranicznych nie świadczy o tym, że spotkał wroga.

Zabrał ich do Metz, cały czas powtarzając *l'hôpital* i inne słowa, których Rodemeyer nie rozumiał.

Maria radziła sobie z francuskim niewiele lepiej. Przez całą drogę próbowała okazać mężczyźnie swoją wdzięczność, lecz raz po raz obracała się przez ramię, zupełnie tracąc wątek. Leitner leżał na tylnym siedzeniu, a jego przyjaciel panicznie uciskał ranę.

Gdyby kilka miesięcy temu ktoś powiedział jej, że wybuchnie wojna pomiędzy Rzeszą a Polską, wskutek której ona i jej narzeczony, Staszek, zaczną morderczą ucieczkę na zachód, by dostać się do Francji, popukałaby się w czoło. Gdyby natomiast ktoś zasugerował, że pewnego dnia będzie patrzyła na niemieckiego żołnierza, który najchętniej zapewne zamknąłby ją w więzieniu, i modliła się o to, by przeżył, roześmiałaby się w głos.

– Przeżyje – powtarzał cicho porucznik Wehrmachtu, z przerażeniem obserwując krew przepływającą mu między palcami.

Leitner nie był jedynym zmartwieniem Marii. Według Rodemeyera jej narzeczony trafił w ręce zwyrodnialca, który nie znał litości. Psychopata zabrał Staszka do Berlina jako swój łup, Bóg jeden wie, co zamierzając. Starła się nie myśleć o wszystkich okrucieństwach, jakich byli w stanie dopuścić się tacy ludzie, ale nie potrafiła utrzymać na wodzy przerażonej wyobraźni.

Jedyny ratunek dla ukochanego stanowili dwaj Niemcy, z którymi jechała w kierunku stolicy regionu. Liczyła na to, że Christiana uda się uratować, a potem przekonać do tego, by ruszył

w pogon za Johannem Blankenburgiem. Przypuszczała, że nie będzie musiała wysuwać wielu argumentów, by osiągnąć cel. Człowiek, który wiozł Staszka w kierunku Rzeszy, wcześniej w niewiadomym celu porwał rodzinę Leitnera z dworca w Breslau. Christian z pewnością zrobi wszystko, by go odnaleźć, pomyślała.

W szpitalnej sali Marvin Rodemeyer położył rękę na ramieniu przyjaciela i przyjrzał się jego twarzy. Przez moment zastanawiał się, czy Obersturmführer rzeczywiście drgnął, czy tylko mu się wydawało. Po chwili uznał, że musiało mu się przywidzieć.

Zmienił zdanie, gdy nagle rozległ się chrapliwy, ledwie słyszalny dźwięk. Marvin natychmiast pomiarkował, że dochodzi z krtani Leitnera. Przyjaciel próbował coś powiedzieć.

Rodemeyer nachylił się nad nim.

– Zdrajco... – Usłyszał i gwałtownie się odsunął.

Przez moment zastanawiał się, co powiedzieć. W jego głowie wszystko brzmiało jak żalosne tłumaczenia, podczas gdy tak naprawdę nie miał zamiaru się tłumaczyć. Nawet przed Leitnerem.

– Nie może cię to dziwić, Christian – powiedział po chwili.

– Wy...

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać.

– Wynos się... – zdołał wychrypieć Obersturmführer.

Rodemeyer miał nadzieję, że jego sekret nigdy nie wyjdzie na jaw. Przynajmniej nie przed przyjacielem. Christian jako jeden z nielicznych wiedział o jego żydowskiej krwi, ale nie miał pojęcia, że Marvin od początku wojny prowadził działalność na rzecz wywiadu brytyjskiego, MI6. I pozostałoby tak jeszcze przez długi czas, gdyby nie ostatnie wydarzenia. Niestety jedynym sposobem, by zapobiec tragedii, było ujawnienie się.

Kiedy Holzer chciał dokończyć dzieła, strzelając do ranionego Leitnera, Rodemeyer musiał działać. Wiedział, że tym samym podpisze na siebie wyrok, ale nie było innego wyjścia. Tylko tak mógł ocalić towarzysza... i osobę, którą Brytyjczycy traktowali jako cenne źródło informacji.

– Moim wrogiem są Führer i Rzesza – odezwał się, odsuwając o krok od łóżka.

Christian nie odpowiadał.

– Nie ty – dodał Marvin, ale nie wiedział, czy Obersturmführer go usłyszał.

Nie dostrzegał sprzeczności w swoich słowach. Wprawdzie Leitner nosił mundur najbardziej zaufanej formacji Hitlera i niemal bezgranicznie wielbił Wodza, ale nie wyznawał ślepo nazistowskiej ideologii. Zawsze twierdził, że kwestie takie jak czystość rasy czy istnienie podludzi są zwyczajną propagandą – nie celem samym w sobie, ale środkiem do osiągnięcia politycznej dominacji Niemiec.

Rodemeyer wyszedł na korytarz i skinął przechodzącej w pośpiechu pielęgniarkę. Ruszył schodami w dół i po chwili opuścił szpital. Wyjął wygniecioną paczkę papierosów Salem Gold, którą znalazł w marynarce Leitnera, po czym odpalił jednego. Zaciągnął się kilkakrotnie i cisnął niedopałek na ziemię.

Wszystko, co mogło pójść źle, poszło jeszcze gorzej. Nie udało im się zatrzymać uciekinierów ani dowiedzieć się, gdzie jest przetrzymywana rodzina Leitnera. Wiedzieli tylko tyle, że jego żonę, Johannę, oraz pięcioletniego syna, Maximiliana, porwał bestialski oficer SD, Blankenburg.

Marvin potrząsnął głową, nie chcąc o tym myśleć. Wyciągnął kolejnego papierosa i wbił wzrok przed siebie. Po chwili dostrzegł dwie kobiety idące w kierunku gmachu. Poznał je natychmiast.

Blondynka miała francuską urodę i była znacznie młodsza. Jej upięte w kok jasne włosy idealnie współgrały z morelową cerą. Brunetka miała wyraźniejsze rysy twarzy i widać było po niej, że zaznała trudów wojny.

– *Servus*, Gina – powitał starszą z nich.

– Maria – poprawiła go.

Poniewczasie zorientował się, że machinalnie użył imienia, które przybrała, kiedy wraz z narzeczonym usiłowali przedostać się do Francji.

– Rzeczywiście – powiedział. – Trudno się przestawić.

Zbyła to milczeniem. Potoczyła wzrokiem po fasadzie budynku i zawiesiła spojrzenie na jednym z okien.

– Co z Christianem? – zapytała.

– Lepiej.

– To znaczy?

– Przebudził się na moment – odparł niechętnie Rodemeyer, skupiając wzrok na blondynce.

Elisa Boiss była kuzynką Marii, dziedziczką majątku w oddalonym o niecałe dwadzieścia kilometrów Louvigny. Jej dziecięca uroda kłóciła się z powagą, jaką od dwóch tygodni Rodemeyer widział w jej oczach. Po tym, co przeżyła, Marvin nie mógł się dziwić.

To od niego dowiedziała się, że jej rodzina została zamordowana przez oficera SD. Wraz z Marią próbował ją zatrzymać, ale Elisa twierdziła, że nie uwierzy w to wszystko, jeśli na własne oczy nie zobaczy ciała.

Wróciła do dworku Louvigny i zastała tam makabryczny widok. Drzwi były otwarte na oścież, kosztowności rozkradziono, a kuchnia tonęła we krwi. Blankenburg urządził żydowskiej rodzinie prawdziwe piekło. Dziewczyna z trudem relacjonowała później, że ledwo poznała matkę i ojca. Twarz brata była jakby zmiażdżona imadłem, nie dostrzegła nawet nosa czy ust. Z czerwonej masy gdzieniegdzie wystawały białe kawałki zębów. Wymiotowała dopóty, dopóki miała jeszcze czym. Potem osunęła się na podłogę i leżała tak bez ruchu aż do momentu, gdy nadszedł jeden z sąsiadów.

Jakiś czas później pojawił się urzędnik, który wspominał coś o zapomodze pogrzebowej. Elisa wciąż była oszołomiona, ale nie na tyle, by nie zorientować się, że państwo szybko się nią zainteresuje. Była nieletnia, a majątek Boissów stanowił małą fortunę. W obawie, że zostanie jej przydzielony kurator, zbiegła do swojej kuzynki, do Metz. Nie miała zamiaru zajmować się przepychankami z władzą – chciała dorwać człowieka, który urządził jej rodzinie krwawą rzeź.

Marvin wiedział, że patrzy teraz na zupełnie inną osobę.

– Lekarze coś mówili? – drążyła Maria.

Niemiec oderwał wzrok od blondynki i skinął głową.

– Lekarze tak, ale on nie.

– Słucham?

– Prędzej porozmawiałby z Neville'em Chamberlainem i podpisał pokój z Wielką Brytanią, niż pogadał ze mną.

– Dziwisz się?

Marvin popatrzył na nią z wyrzutem.

– Nigdy nie pozwoliłbym, żeby moja działalność jakkolwiek mu zaszkodziła – powiedział.

– I myślisz, że jego to interesuje?

– Powinno.

Maria pokręciła głową.

– Dla Christiana liczą się zasady – przypomniała, ruszając ku schodom. – Ty je złamałeś, współpracując z brytyjskim wywiadem. Nie spodziewaj się cudów.
Rodemeyer obejrzał się przez ramię i odprowadził kobiety wzrokiem.
– Spróbuj z nim porozmawiać – dodał.
Polka mruknęła coś na odchodnym, ale Marvin nie usłyszał co.

Maria ostatnie dni spędzała sam na sam z własnymi myślami. Nie znała zbyt dobrze francuskiego, a kuzynka nie mówiła biegle po niemiecku, toteż z zasady kontakt z Elisą był utrudniony. Teraz zaś dziewczyna zamknęła się w sobie i trudno było zamienić z nią choć kilka słów.

W dodatku brakowało tematów do rozmowy – wszystko, co nie wiązało się z Boissami, wydawało się Marii zbyt błahe, by o tym rozprawiać. A jednocześnie nie mogła wspomnieć o tym, co spotkało rodzinę Elisy.

Doskonale wiedziała, jak długi cień kładzie się na duszy człowieka, gdy ten ujrzy śmierć. Widziała ją nieraz podczas ucieczki na zachód... a także wcześniej. Kiedyś sama ją zadała. Dziś jej tajemnicę, prócz rodziny, znał tylko jeden człowiek.

Kiedy widziała go ostatnim razem, nachylał się nad rannym Leitnerem. Wycedził kilka przekleństw, unosząc górną wargę, a potem wsiadł do czarnego renault juvaquatre. Maria miała nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy.

BERLIN, III RZESZA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Johann Blankenburg stał przed siedzibą Nowej Kancelarii Rzeszy przy Voßstraße 6, oglądając budynek. Ponad czterema kolumnami, za którymi znajdowało się główne wejście, widniał dumny niemiecki orzeł. Rozpościerał skrzydła, dzierżąc w szponach obróconą swastykę. Widok ten sprawiał oficerowi SD przyjemność – Johann był przekonany, że ten symbol nazistowskiej dominacji niebawem pojawi się nad każdym urzędem w Polsce, Francji czy Wielkiej Brytanii.

Uśmiechnął się lekko, a potem ruszył w kierunku kolumn. Minął stojących przy nich strażników, którzy formalnie nie powinni poruszyć się przez cały czas, gdy stali na warcie. W praktyce jeden z nich drgnął, a drugi ukradkowo spojrzął na Blankenburga.

Johann nie był zdziwiony. Ludzie łatwo go rozpoznawali, ponieważ nosił nieregularne ozdoby na mundurze. Przystrajał go trupimi czaszkami, a ponadto starał się eksponować zdobycznego belgijskiego browninga.

Miał opinię jednego z najbardziej bezwzględnych członków Einsatzgruppen, grup specjalnych, które w czasie wojny niemiecko-polskiej siały terror na tyłach regularnej armii. Niektórzy przypuszczali, że historie o ich dokonaniach są przesadzone, ale ktokolwiek spotkał się z Blankenburgiem, wiedział, że tak nie jest.

Oficer SD wszedł do budynku ze swoim podkomendnym, Alexandrem Klaasem, i wychudzonym młodym chłopakiem. Tuż za progiem uniósł dłoń, wydając rozkaz, by poczekali na niego w holu.

– Zostań tutaj – dodał, patrząc na Klaasa. – Ja tymczasem idę poprosić o audiencję. – Uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie sposób. Osoby, które go nie znały, mogłyby uznać, że to zwykły przyjazny grymas. W rzeczywistości jednak kryły się za nim barbarzyństwo i zwierzęca dzikość, która tylko czekała, by Johann dał jej upust.

– Tak jest – odparł Alexander, ściskając mocniej rękę polskiego jeńca.

Blankenburg wszedł kamiennymi schodami na piętro i znikł na kilka minut. Gdy wrócił, skinął na swojego podkomendnego. Ten szybko popchnął więźnia we wskazanym kierunku.

Johann poczekał, aż mężczyźni się z nim zrównają, po czym złapał Polaka za kark. Nędzny pies nie stawiał się, jego opór został złamany w drodze do Berlina. Takie zachowanie jeńca nie sprawiało Blankenburgowi żadnej satysfakcji i żałował, że nie trafił na osobę pokroju kapitana, którego torturował w Lesku.

Poprowadził chłopaka na ostatnie piętro, a następnie skręcił w długi korytarz. Przeszli nim aż do końca, gdzie drogę zastąpiło im dwóch żołnierzy. Jeden z nich bez słowa wyciągnął rękę.

Johann wręczył mu swoją kartę identyfikacyjną i dokument upoważniający go do wejścia do pokoju, w którym mogli przebywać tylko nieliczni. Wartownicy dokładnie przejrzyli papiery, oddali je i odsunęli się na bok.

Oficer SD podszedł do masywnych drzwi i trzykrotnie zapukał. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, nacisnął klamkę i wprowadził jeńca do środka.

Po lewej stronie przestronnego gabinetu widniał ogromny portret Führera. Niemiecki wódz zdawał się bacznie przyglądać wszystkim w pomieszczeniu, krzyżując ręce na piersi. Jasnobrązowy mundur NSDAP zdobiły nazistowskie symbole oraz Krzyż Żelazny pierwszej klasy. Obok obrazu zwisały ogromne czerwone płótna przedstawiające białe okręgi z czarnymi swastykami.

Za biurkiem siedział łysiejący starzec z gęstą siwą brodą. Uniósł wzrok znad małych, okrągłych okularów i spojrzał przelotnie na Polaka. Potem uśmiechnął się lekko do Johanna.

– *Christophskräuter* – odezwał się usłużnie Blankenburg.

– Dajmy spokój formalnościom – odparł chłodno gospodarz.

Oficer SD kiwnął głową i zajął miejsce po drugiej stronie biurka. Gdyby ktokolwiek inny zrobił to bez pytania, zapewne nie pourzędowałby tutaj długo. Jedna krótka komenda sprawiłaby, że wartownicy wyciągnęliby nieszczęśnika na zewnątrz i więcej nie trafiłyby przed oblicze starca. Johann wiedział jednak, że może liczyć na specjalne względy. Nieraz wykonywał rozkazy tego człowieka, gdy nikt inny nie potrafił tego zrobić.

Brodacz otaksował wzrokiem jeńca.

– To jest współnik Torstena? – zapytał z niedowierzaniem. – To on miał uczestniczyć w morderstwie niemieckich żołnierzy?

– Niezupełnie.

Starzec uniósł brwi, jakby lekko podenerwowany tym, że musi dopytywać.

– Więc? – spytał, przesuując jakiś dokument po biurku.

– Jest uciekinierem z Warschau. Wraz ze swoją narzeczoną i Torstenem przypadkowo trafili do Rawitscha. Nie mieli pojęcia, kim naprawdę jest Torsten, i wedle tego, co z niego wyciągnąłem, nie uczestniczyli w morderstwach.

– Wystarczy na niego popatrzeć, by to stwierdzić.

Blankenburg obejrzał się przez ramię na Staszka, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Napotkał zdecydowany wzrok człowieka z brodą.

– Marnujesz mój czas.

– Nigdy bym nie śmiał – zastrzegł Johann.

Gospodarz wskazał na Polaka i skrzywił się.

– A jednak przychodzisz do mnie z jakąś płótką – rzekł.

– Tak, ale wiemy o tym tylko my – odparł Blankenburg. – Dla całej reszty to wywrotowiec, którego pojmałem we Francji i przywiozłem do Berlina.

Człowiek z brodą zmarszczył czoło. Cisza zdawała się przeciągać w nieskończoność.

– Gazety pisały o morderstwie w Rawitschu – podjął oficer SD. – Wiadomo, że znikła trójka ludzi. Nikt nie wie, że to Torsten jest odpowiedzialny.

– A ty chcesz udawać, że ująłeś groźnego polskiego przestępcę.

– Tak.

– To niegodne nawet ciebie, Johann.

– Należy mi się triumf.

– Pozorowany?

– Zasłużyłem na uznanie – odparł oficer SD. – Poza tym damy przykład polskim zawszonym psom, że nie warto z nami pogrywać.

Człowiek z siwą brodą nie odpowiedział. Zajął się przeglądaniem papierów rozłożonych na biurku i robił to przez dobry kwadrans, nim na powrót spojrzął na swego gościa. Blankenburg nigdy nie mógł przyzwyczać się do osobliwego zachowania przełożonego. Momenty ciszy zawsze towarzyszyły ich rozmowom, nieważne, czy te odbywały się telefonicznie, czy twarzą w twarz.

Niektórzy twierdzili, że Cerber przenosi się wówczas gdzieś w mroczne zakątki swojego umysłu, by paktować z diabłem. Johann nigdy by tak nie powiedział. Jeśli ktoś rozmawiał z Lucyferem, to wyłącznie on.

W końcu doczekał się odpowiedzi.

– Jak uważasz – oznajmił brodac. – Dla mnie to obojętne.

Oficer SD był usatysfakcjonowany. Przybył tutaj, by zyskać pozwolenie, i je otrzymał. Polak zostanie uznany za wroga Rzeszy i obarczony odpowiedzialnością za organizowanie działalności dywersyjnej na zajętych przez Niemcy terenach.

– Rozumiem, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebym zabrał go z powrotem do Warszawy i urządził tam przykładowy pokaz?

Cerber uniósł lekko głowę i przez moment milczał.

– Nie zrobisz tego – orzekł w końcu.

– Ale...

– Wyślesz go do Mauthausen.

Johann poruszył się niespokojnie.

– Do obozu koncentracyjnego? – zapytał.

– Oczywiście. Tam jest jego miejsce.

Człowiek z brodą spuścił wzrok na dokumenty. Odebrawszy sygnał, Blankenburg skinął głową, a potem wstał i wykonał nienaganne hitlerowskie pozdrowienie, stukając głośno butami. Wyprężył się jak struna i z prawą ręką wyciągniętą ku niebu niemal krzyknął:

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler* – odparł pod nosem Cerber, coraz bardziej pochłonięty swoją pracą.

Popchnięty przez Niemca Staszek wypadł na korytarz i zachwiał się. Dwóch wartowników natychmiast przygotowało się, by sprowadzić go do parteru, ale obaj zauważyli, że tylko się potknął. Blankenburg schwycił go za kark i poprowadził schodami w dół.

Z oddali Zaniewski zobaczył w holu podopiecznego swojego oprawcy, Alexandra Klaasa. Nie było tu Żyda polskiego pochodzenia, Rufina, który od opuszczenia Francji służył Niemcom za tłumacza. Bez niego nie mogliby prowadzić przesłuchań, które sprawiały im wręcz nieludzką przyjemność.

– *Schneller* – mruknął Johann, popędzając go w kierunku Klaasa.

Po chwili zatrzymali się przy młodym esesmanie, nieopodal przestronnych okien wychodzących na dziedziniec kancelarii. Niemcy oddali się żywiołowej dyskusji, z której Polak nic nie rozumiał. Wyjrzał przez szybę i zobaczył wystawny dziedziniec, przywodzący na myśl królewską rezydencję. Tymczasem gospodarzem tego miejsca nie był monarcha, a ciemnowłosy i ciemnooki Austriak z wąsikiem, który zdołał przekonać swoich pobratymców, że rasa nadludzi cechuje się jasnymi włosami i oczami. I że góruje cywilizacyjnie nad całą resztą świata.

Staszek machinalnie pokręcił głową. Odezwiał się ból w karku, który był rezultatem jednego z przesłuchań. Szczęśliwie, Blankenburg szybko znudził się maltretowaniem jeńca, powierzając tę rolę swojemu podkomendnemu. Początkowo, najpewniej chcąc zadowolić dowódcę, młody Klaas starał się za wszelką cenę okazać pogardę i niechęć dla podczłowieka. Z każdym mijającym dniem jego upór jednak malał, a po jakimś czasie za pośrednictwem Rufina odbyli rozmowę, której Staszek bynajmniej się nie spodziewał.

– *Jude* twierdzi, że znałeś tego kapitana – zaczął wtedy Klaas.

Staszek był zbyt wycieńczony, by domyślić się, o kim mowa.

– Obelta – dodał Alexander, ostrząc sztylet SS, którym przed momentem zadawał jeńcowi rany.

– Nie znałem... Był dowódcą mojego brata.

– I cholernie upartym sukinsynem – dodał z uznaniem esesman. – Jedyńm, który stawił opór Blankenburgowi.

W trakcie tortur Klaas nieraz wracał do tematu polskiego oficera. Dzięki opowieściom Zaniewski mógł z tej chaotycznej mozaiki ułożyć w wyobraźni portret Obelta. Szrama na twarzy, wynik bombardowania Luftwaffe w pierwszym dniu wojny. Podróż przez dawne tereny polskie aż do Leska, gdzie zamknięto go w piwnicy. Picie własnego moczu, jedzenie surowego ryżu, obrzynywanie palców i wyrywanie paznokci. Klaas mówił o tym wszystkim, jakby opowiadał o imponujących osiągnięciach. Staszek nie wiedział, czy miałyby należeć do Blankenburga, czy Obelta.

– Nie chciał nawet podać swojego imienia – powtarzał mu kilkakrotnie Alexander. – Kiedy już się odezwiał, powiedział, że nazywa się Adolf i przytknął dwa palce pod nos.

Póki Staszek rejestrował jeszcze słowa oprawcy, działały na niego krzepiąco. Z czasem jednak coraz trudniej było mu się na nich skupić.

– Masz szczęście, Polaku – podkreślał Klaas.

Być może biorąc wszystko pod uwagę, rzeczywiście je miał. Choć trudno było spojrzeć na to w ten sposób, gdy esesman ocierał jego krew ze swojego sztyletu. Rany miały być niewidoczne. Dowódca wydał jasny rozkaz, że nie chce, by pocięty stawił się w Berlinie przed obliczem wysokiego rangą urzędnika. Ostrze noża cięło więc skórę Staszka w pachwinach, pod pachami i w innych newralgicznych miejscach. Ból był nie do zniesienia.

Jeszcze bardziej dotkliwa była jednak świadomość tego, co miało nastąpić. Rufin przetłumaczył mu pewnego dnia rozmowę, którą odbyli Niemcy. Blankenburg jasno dał do zrozumienia, że Klaas powinien już powoli wymyślać możliwie najciekawszy sposób, by pozbawić Polaka życia. Po wizycie w Kancelarii Rzeszy miała to być zwykła formalność.

– Gdybyś tylko widział, co Obersturmführer robił z tym kapitanem – podkreślał Alexander. – Na sam widok padłbyś trupem.

– Niewykluczone – odparł Staszek.

Niemiec ściągnął brwi. Zaniewski widział, że stanowi dla niego enigmę. Mimo dotkliwych

tortur nie panikował, nie błagał o życie i nie podejmował daremnych prób ucieczki.

– Stoik z ciebie – ocenił esesman. – Prawdziwy stoik. Przypominasz mi te historyczne postacie, Cynceron i innych. Też chuchra, ale jak przyszło co do czego, umierali godnie.

Staszekowi przemknęło przez głowę, że Cynceron był raczej eklektykiem. Zachował to jednak dla siebie.

– Przynajmniej tak zanotowano w przekazach historycznych – powiedział.

– No tak – przyznał Klaas. – Ale po tobie nie zostanie ani jeden ślad.

– Nie tylko po mnie.

Wojna trwała od miesięcy i pochłonęła już tysiące istnień. Polscy żołnierze ginęli od niemieckich i rosyjskich kul, teraz przyszła kolej Finów. Cywile byli traktowani, jakby najeźdźcy za punkt honoru postawili sobie zupełną eksterminację podbitych narodów. Umieraniu nie było końca i cały świat wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie. W całym tym cierpieniu trudno było przejmować się tym, że zaginie ślad po jednym nic nieznaczącym człowieku. Przynajmniej tak starał się patrzeć na to Staszek – tak został wychowany.

– A mimo wszystko jesteś słaby – dodał Klaas. – Widzę to w twoich oczach.

– Słaby?

– Rozmawiasz z wrogiem – wyjaśnił Niemiec. – To już przejaw braku hartu ducha.

– Nie jestem żołnierzem – odparł Zaniewski. – Nie zakładam nawet, że przetrwam tortury.

– Pragmatyk.

Staszek spodziewał się, że oprawca będzie kontynuował znęcanie się nad nim, ale ten tylko mu się przyglądał. Uznał wówczas, że musi skorzystać z okazji i dowiedzieć się czegoś.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytał.

Alexander milczał. Sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się, czy podawanie informacji jeńcowi może okazać się błędem. W końcu westchnął i rozejrzał się.

– Do Berlina – oznajmił.

– W jakim celu?

– W żadnym. Jedziesz przy okazji. Obersturmführer ma się spotkać z przełożonymi. Zostaniesz przedstawiony jako cenna zdobycz.

Zaniewski zmusił się do tego, by zaśmiać się pod nosem.

– Sądzą, że kim jestem?

– Nikim.

– No właśnie. Dlatego nie rozumiem, czemu to ma służyć?

Alexander Klaas wyduł usta, jakby pytanie było zupełnie bezzasadne.

– Twoja rasa nie musi nic rozumieć.

– Oczywiście – mruknął Staszek i teatralnie westchnął.

Szybko pożałował swojej reakcji. Klaas obrócił w ręce nóż i zamachnął się, by uderzyć go rękojęścią. Polak zamknął oczy, ale nie poczuł uderzenia. Esesman zatrzymał rękę tuż przed jego głową, reflektując się, iż miał nie oszpecać jego twarzy.

– Okazywanie lekceważenia to najgorsze, co możesz zrobić – powiedział.

– Rozumiem.

– Nie żeby miało to wielkie znaczenie – dodał Alexander. – Po wizycie w Berlinie wrócisz do Warszawy. Tam Obersturmführer przykładowo cię ukarze. Spełnisz cel swojej egzystencji i staniesz się symbolem tego, co dzieje się z ludźmi, którzy nam się przeciwstawiają.

– Więc mam stracić życie dla propagandy?

Alexander Klaas pociągnął nosem i potarł ręce. Zimne powietrze zaczynało mu doskwierać.

– Tak – odparł obojętnie.

Kilka godzin po tamtej rozmowie Blankenburg dokonał inspekcji. Obejrzał dokładnie więźnia i nie był zadowolony. Klaas obawiał się, że niewiele brakuje, by sam zajął miejsce Polaka.

Dowódca jednak zdawał się nie dostrzegać Alexandra. Za pośrednictwem Rufina kazał Polakowi rozebrać się i położyć na plecach.

– Nie – zaproponował stanowczo Staszek.

– Wiem, że to uciążliwe – odparł Rufin. – Ale rób, co każe.

– Nie mam zamiaru.

– Widziałem na własne oczy, co się dzieje, kiedy ktoś nie wykonuje jego poleceń. On tylko na to czeka.

– Gdyby miał mnie poważnie okaleczyć, już by to zrobił – powiedział Polak, dostrzegając, że Johann patrzy z pretensją nie na niego, a na Żyda. – Chce, żebym dobrze prezentował się w Berlinie.

– Tak, ale jest wiele sposobów, by...

Rufin nie skończył, gdyż Blankenburg dopadł do niego i złapał go za włosy. Szarpnął głową chłopaka w dół, jednocześnie wyrzucając kolano. Rufin padł na ziemię, rozchlapując wokół krew, która trysnęła mu z nosa. Jęczał z bólu i zrozumiał, że to nie koniec. Zwyrondnialec stanął nad nim, rozpiął rozporek, a potem oddał mocz. Rufin wiedział, że jeśli poruszy się czy nie daj Boże spróbuje uciec, będzie jeszcze gorzej. Leżał bez ruchu, mocno zaciskając usta i powieki. Starał się nie oddychać, ale w końcu musiał zaczerpnąć tchu.

Zaniewski krzyczał, Klaas jednak szybko wymierzył w niego służbowy pistolet i Polak umilkł.

Kiedy Johann Blankenburg skończył, kiwnął na Staszka. Cedząc pod nosem przekleństwa, Polak niespiesznie się rozebrał i położył na chłodnej ziemi.

– Bielizna też – przetłumaczył z trudem Rufin.

Jeniec wykonał polecenie, obawiając się, że chłopaka zaraz spotka coś gorszego. Zwyrondnialec zapewne tylko czekał na to, by go podjudzić.

Blankenburg skupił wzrok na swoim podkomendnym i cmoknął z dezaprobatą.

– Nie podoba mi się to, Klaas.

– Co takiego, *Herr Obersturmführer*?

– Chcesz wyjść za niego? – spytał, wskazując na Polaka.

– Słucham?

– Traktujesz go jak panienkę.

Młody esesman popatrzył zmieszany na swojego dowódcę.

– Wszystkie informacje podaje dobrowolnie – zaczął się usprawiedliwiać. – Nie ma potrzeby...

– Potrzeba jest. Wynika z samego faktu, że to polskie ścierwo.

Blankenburg przykucnął przy jeńcu, po czym wyciągnął browninga z kabury i zanim Polak się zorientował, włożył mu lufę do ust. Polak starał się wypchnąć ją językiem, dusząc się przy tym.

Drugą ręką Johann sięgnął po zapalniczkę, podał ją Klaasowi, a następnie wyciągnął swój sztylet SS.

– Zapal i podtrzymaj pod ostrzem – polecił.

Gdy klinga się rozgrzała, Blankenburg przyłożył ją jeńcowi do pachwiny. Pamiętał, jak robił podobne rzeczy zawszonemu oficerowi w Lesku. Tamten nie wydał z siebie nawet cichego jęku, co Niemiec musiał docenić. W tym newralgicznym miejscu skóra była cienka i niewiele było

trzeba, aby zadać ból.

Z gardła Staszka dobył się przeraźliwy, stłumiony krzyk. Napór pistoletu natychmiast się zwiększył i Polak z trudem stłumił odruch wymiotny, dławiąc się przy tym. Katorga zdawała się nie kończyć, ale Zaniewski cały czas miał świadomość, że poprzedni jeniec musiał tygodniami znosić zabawy tej gnidy.

- Tak to się robi, Klaas – odezwał się Johann. – Myślałem, że do tej pory się nauczyłeś.
- Tak jest, *Herr Obersturmführer*.
- I żebym nie musiał znów sobie brudzić rąk tym ścierwem, jasne?
- Oczywiście.

CĂLIMĂNEȘTI, OKRĘG VÂLCEA, RUMUNIA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Bronek Zaniewski siedział pod barakiem mieszkalnym i obserwował pokaźne sople zwisające z dachu. Były długości ludzkiej nogi i od kilku dni wyglądały, jakby miały niebawem spaść. Natura jednak zdawała się trwać w dziwnym marazmie – jak zresztą wszystko w obozie jenieckim. Od kilku tygodni czas tu po prostu nie płynął.

Bronek podniósł się powoli i potarł ręce. Wypuścił parę z ust, obserwując, jak niknie w powietrzu. Potem z impetem strącił kilka sopli.

Przeszedł w kierunku ogrodzenia i omiół wzrokiem bezmiar zimowego krajobrazu. Śnieg w Rumunii zdawał się padać bez ustanku, a jeńcy nie nadążali z odśnieżaniem.

Po drodze nie było lepiej. Kiedy wraz z Osmundem Kremmerem i Maniurą wyruszyli z Palikrów na południe, wydawało się, że szlak przerzutowy dla zdemobilizowanych polskich żołnierzy jest utarty. Szybko przekonali się jednak, że czekają ich trudy, jakich się nie spodziewali.

Nocowali pokotem w oborach i stajniach, nie jedząc przy tym zbyt wiele. Stary ziemianin Kremmer znosił to całkiem nieźle – po podróży bydłowym wagonem do ZSRR był już zaprawiony. Gorzej trudne warunki znosił Maniura, który po pierwszym wrześniu wrócił do rodzinnej wsi. Zaniewski nieraz powtarzał przyjacielowi, że to wszystko betka w porównaniu z tym, co Sowietci zafundowali im w pociągu.

Do dzisiaj Bronek nie mógł wymazać tamtych obrazów z pamięci. Wciąż widział stłoczonych jak bydło ludzi, wszechogarniającą śmierć i czuł odór rozkładu. Czasem, zanim zasnął, przed oczami stawały mu obrazy zdesperowanych, wygłodniałych jeńców, którzy żywili się umarłymi. Innym razem przypominał sobie, jak pasażerowie z trudem usuwali ekskrementy przez niewielki prześwit między deskami. Przez szparę. Otwór, którego wyżłobienie przez pewien czas stanowiło niemal cały sens ich egzystencji.

Za dnia trudno było mu uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Dopiero nocami dochodziła do niego bolesna świadomość, że w istocie tak było.

Teraz, stojąc przed płotem, skupił wzrok na polach pokrytych grubą warstwą śniegu. Stamtąd obóz internowania musiał sprawiać wrażenie spokojnej osady gdzieś na obrzeżach miasta. Dachy baraków sięgały najwyżej trzech metrów, przywodząc na myśl podmiejski spokój i sielankę, a pomiędzy budynkami wiły się wąskie ścieżki.

Życie tutaj nie miało jednak wiele wspólnego z sielanką.

- Ustawić się w szeregu! – rozległ się głos jednego z rumuńskich żołnierzy.

Bronek odwrócił się i zobaczył strażnika, którego dobrze kojarzył. Nazywał się Ion Balmoș i odpowiadał za pilnowanie baraku, w którym zakwaterowano młodego sierżanta i jego dwóch kompanów.

– Zaniewski!

Bronek zaklął w duchu. Wiedział, że mieli nie zbliżać się do ogrodzenia. Ruszył szybko w kierunku wartownika, ale ten już ku niemu pędził. W mig znalazł się tuż przed nim.

Zatrzymali się, mierząc się wzrokiem.

– Czego tam wyglądasz? – spytał Rumun.

– Niczego.

Wartownik obrócił karabin w ręce i pogroził Polakowi kolbą.

– Mówią, że strzelać do was nie można, ale przyłożyć w kaczan i owszem.

– Próbuje szczęścia.

Balmoş uśmiechnął się. Rumuńscy strażnicy nie należeli do przesadnie zasadniczych, a Ion stanowił uosobienie spokoju. Na dobrą sprawę Bronek nie wiedział, co ten człowiek w ogóle tutaj robi – bardziej pasował do pilnowania szlabanu na przejściu granicznym. Być może znaczący był fakt, że nieszczęśnik mówił po polsku. Przez to wraz z internowanymi musiał odmrażać sobie tyłek w Călimănești.

Polacy mogli się tylko cieszyć. Balmoş pomagał im, jak mógł, mimo że formalnie władze obozowe pozostały neutralne w stosunku do osadzonych.

– Czekasz na zaproszenie? – zapytał Ion.

– Już idę – odparł Bronek, tocząc wzrokiem po gęstniejącym tłumie. – Co tu się w ogóle dzieje?

– Zdjęcie będą wam robić. Nie wiem, po co chcą utrwać wasze mordy, ale to nie moja decyzja.

– Może przydadzą im się na nagrobki.

– Zawsze optymistyczny, co?

– Klimat twojego kraju mnie tak nastraja – odparł Zaniewski, a potem ruszył w kierunku pozostałych jeńców.

Szybko wypatrzył Kremmera, który ochoczo do niego zamachał, jakby dostrzegł własną latorośl w tłumie innych dzieci.

– Szanowny panie sierżancie! – krzyknął.

Bronek uśmiechnął się do niego cierpko, a potem zajął miejsce obok Maniury, w drugim rzędzie równo ustawionych żołnierzy. Po jego prawej stał jeden z lotników, którzy czekali na przerzut na zachód.

– Serwus, Felo – odezwał się Zaniewski. Był niższy stopniem, ale jakiś czas temu przy wódce ustalili, że nie będą się tym przejmować.

– Serwus – odpowiedział Feliks. – Wiesz, co to za hucpa?

– Podobno chcą nas uwiecznić dla potomności.

Pilot obejrzał się przez ramię.

– Słyszałeś, Leoś? – spytał. – Twoja zakazana facjata pójdzie w świat.

Drugi z lotników odburknął coś pod nosem, ale Bronek już go nie słuchał. Skupił się na Kremmerze, który znacząco odchrząknął, sygnalizując, że ma coś do powiedzenia. Zazwyczaj nie wróżyło to niczego dobrego.

– Cóż tak pana strapiło dziś dzień? – zaindagował ziemianin.

Maniura wywrócił oczami i westchnął.

– Durne pytanie – ocenił. – Wiadomo, że tak jak my w śniegu, on się zakopuje w myślach o Anieli.

Kremmer wyduł usta.

– Sądziłem, że owa kwestia została zamknięta – rzekł. – To znaczy... po uzyskaniu informacji w kwestii małżeństwa niewiasty z szanownym chorążym Chwieduszką.

– Nie przeszła mi nawet przez myśl od... – Bronek urwał, zastanawiając się, ile dni minęło. Szybko stwierdził, że nie jest to imponujący wynik. – Od pewnego czasu – uciął.

Maniura poklepał przyjaciela po plecach.

– Niech się nie martwi – powiedział. – Ubijemy kilkuset szkopów i wrócimy do Polski jej szukać.

– Nie będę jej szukać.

– O, na pewno nie.

– Zależy mi tylko na odnalezieniu rodziców i brata.

– Zobaczymy, co będzie gadał, jak przyjdzie list od Chwieduszki, że ją znalazł.

Zaniewski obrócił się do towarzysza i posłał mu pełne wątpliwości spojrzenie. W tym samym momencie rozległo się kilka głośnych komend po rumuńsku.

– Zamknąć mordy! – przetłumaczył Balmos. – I uśmiechać się do fotografa!

– Nie będę się szczyrzył jak głupi do sera – bąknął Bronek.

– Oj tam – skwitował Maniura.

– Potem zdjęcie pójdzie w świat i będą mówić, że polscy żołnierze...

– Cisza! – ryknął Ion. – Patrzeć w jedną stronę! Nie ruszać się!

Kilku wojskowych pokręciło głowami, ale to nie przeszkodziło fotografowi w spełnieniu obowiązku. Po chwili strażnik dał rozkaz do rozejścia się i wszyscy szybko skierowali się do baraków, nie mając zamiaru marznąć dłużej, niż było to konieczne.

Idąc obok Kremmera, Zaniewski dostrzegł, że Balmos patrzy na niego znacząco.

– Zaraz przyjdę – powiedział sierżant, a potem zawrócił.

Przeszedł za Rumunem w miejsce, gdzie dwa baraki stały tak blisko, że między nimi mogła zmieścić się tylko jedna osoba.

– Jest szansa – odezwał się konspiracyjnie Ion. – Dziś w nocy.

Bronek nie spodziewał się, że kiedykolwiek usłyszy te słowa.

– O której?

– Punkt druga. Będziecie gotowi?

– Jesteśmy gotowi, od kiedy nas tu przywieźli.

– Dobra. Pamiętaj gdzie czy muszę powtarzać?

– Mam lepsze rzeczy do roboty niż słuchanie po raz kolejny twojej monotonnej gadaniny o...

– W porządku, Polaku. Żebyś tylko potem nie skomlał, że nie wiedziałeś dokąd i którądy. –

Rumun niepewnie spojrział na lewy przegub Bronka. – Zegarek jakiś macie?

– Mamy. Kremmer przehandlował za coś po drodze.

– Niepoważny typ.

– Mówi, że wszystko, co ludzkie, uwikłane jest w okowy czasu.

Balmos rozejrzał się nerwowo.

– Byleby tylko miał sprawny zegarek – rzucił, a potem ruszył w kierunku placu.

Zaniewski odczekał chwilę, wyjrzał zza rogu budynku, po czym skierował się ku swojemu barakowi. W środku dał znak Maniurze i Kremmerowi, znacząco skinąwszy do nich głową.

Między grającymi w karty jeńcami kręciło się dwóch strażników. Przymykali oko na to, że handlowano tutaj wszystkim co popadnie. Żaden z Rumunów nie miał interesu w tym, by trzymać w tym miejscu wojskowy dryl – choć nie trzeba było wiele, by stwierdzić, że kontrabanda pochodzi spoza obozu.

Bronek podszedł do pryczy, na której usiedli jego towarzysze.

– Olaboga – ocenił Kremmer, widząc poważny wyraz twarzy żołnierza. – A zatem to już?

– Niechże pan nie panikuje – odbąknął Zaniewski.

– Nie, oczywiście, ja...

– Ucieczki są na porządku dziennym. Zresztą sami Rumuni organizowali nam transporty na zachód.

– W rzeczy samej, panie sierżancie... tym niemniej to była inna sytuacja.

Maniura westchnął.

– Wówczas stać ich było na przychylność wobec nas – dodał Osmund. – Po zabójstwie premiera Călinescu jednak wszystko uległo zmianie.

– Cicho – syknął Bronek.

– Ależ nie ma potrzeby...

Maniura szturchnął ziemianina, a potem wskazał zbliżającego się mężczyznę. Kremmer natychmiast zrozumiał, że powinien zamilknąć. Starszy sierżant Adam Kiendry od początku sprawiał trzem Polakom problemy. Szczególnie uwziął się na Zaniewskiego, choć ten nie dał mu po temu żadnego dobrego powodu.

– Wstawaj – rzucił Kiendry.

– Dopiero usiadłem – oburknął Bronek.

Maniura podniósł się zamiast niego i uniósł otwarte dłonie.

– Dajcie spokój – zaapelował.

Adam stanął przed Zaniewskim, zmuszając go, by ten podniósł wzrok.

– Wstawaj, mówię.

– Słyszałem.

Kiendry zacisnął usta i przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar podnieść Bronka za fraki. O ile jednak strażnicy znosili handel, o tyle burda w baraku nie byłaby mile widziana. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

– Widziałem, jak kombinujesz z wartownikiem – odezwał się Kiendry.

– Aha.

– Co to za konszachty?

– Gównu ci do tego.

Adam prychnął pod nosem i pochylił się nad rozmówcą.

– Gównu to będzie z waszej ucieczki – szepnął. – Jak tylko podniosę raban, Rumuni wsadzą was do izolatek i tyle będzie.

– Idź do swoich, człowieku. I daj nam spokój.

Kiendry się wyprostował.

– Jak wolisz – odparł niby obojętnie i obrócił się. Niespiesznie zaczął oddalać się od trzech jeńców. – Żaden strażnik wam nie pomoże, jak już...

– Niechże pan poczeka – odezwał się cicho Kremmer.

Mężczyzna zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Spojrzał na Bronka pytająco, a ten zaklął pod nosem. Wiedział, że jedno słowo powiedziane pracownikowi obozowej administracji wystarczyłoby, by marzenia o przebiciu się na zachód legły w gruzach.

– Więc? – zapytał Adam.

Zaniewski wskazał mu wzrokiem pryczę. Mężczyzna uśmiechnął się triumfalnie i usiadł obok sierżanta.

– Jaki jest plan? – spytał.

– Balmoś wypuści nas o drugiej – odparł niechętnie Broniek. – Mamy się z nim spotkać po południowej stronie baraku i opuścić obóz tylną bramą. Wartownicy mają być powiadomieni o tym, że mała grupa Polaków będzie wychodziła.

– Tak po prostu?

– A czego się spodziewałeś? Że dostaniemy zrzut broni od Francuzów, wybijemy wszystkich strażników i grupowo uciekniemy?

Kiendry zbył jego uwagę milczeniem, a Broniek po chwili kontynuował:

– Przejdziemy kilka kilometrów drogą, która biegnie wzdłuż obozu. Tam ma czekać na nas samochód.

– Czyj?

– Rumunów, Kiendry.

– Nie wiedziałem, że są tacy chętni, żeby nam pomagać. Zamknęli nas tu jak jakieś, kurwa, szczury.

Kremmer aż zacmokał, słysząc nieparlamentarny język. Potem spojrzał na Adama, jakby miał przed sobą uczniaka, którego należy wyedukować.

– Szanowny panie sierżancie – podjął. – Obywatele Rumunii pozostają z nami w przyjaznych stosunkach. Fakt, że ich rząd wystosował ultimatum dotyczące zrzeczenia się władzy przez organy Rzeczypospolitej w zamian za bezpieczny przejazd do Francji, dowodzi ich dobrych intencji. Zważając na okoliczności, oczywiście. Trzeba mieć na uwadze, iż...

– Dobra staruchu, wystarczy.

– Ależ...

– Więc o drugiej – uciął Kiendry i wstał.

Broniek kiwnął głową, mierząc go wzrokiem.

– Muszę mówić, że szczęśliwy koniec tej eskapady zależy od tego, by zbyt wielu się o niej nie dowiedziało?

– Nie musisz – odparł Adam i oddalił się.

Kwadrans po drugiej w nocy czterech internowanych leżało na swoich pryczach w kompletnej ciszy. Dźwięk otwieranej zasuwki dawno powinien się rozleć. W niewielkich odstępach czasu spoglądali na siebie nerwowo. Czuli, jak każda kolejna minuta oddala ich od wolności.

– Jest pewny, że to dziś? – szepnął do Bronka Maniura.

Zaniewski posłał mu błagalne spojrzenie.

– No co? Balmoś nie mówi perfekcyjnie, może coś ci się pomyliło.

– To dziś.

– Może zegarek pana Kremmera...

– Mój czasomierz funkcjonuje prawidłowo – zastrzegł stary ziemianin.

Maniura nie zdążył odpowiedzieć, gdyż rozległo się pukanie w ścianę baraku. Polacy wymienili się spojrzeniami. Broniek powoli podniósł się jako pierwszy. Cicho ruszyli w kierunku drzwi, a potem przekonali się, że są uchylone. Wraz z Kiendrym wyszli na zewnątrz, czując, jak skórę na twarzy ściąga im siarczysty mróz.

– Ociągaliście się – zauważył Ion. – Otworzyłem kilka minut temu.

– Musiałeś zrobić to ciszej, niż przypuszczaliśmy.

Balmoś otaksował wzrokiem Adama.

– A ten?

– Przyszedł na doczepkę – odparł Zaniewski. – Nie będzie problemu?

– A ja wiem? – Rumun wzruszył ramionami. – To się okaże.

Ruszyli we wskazanym przez Iona kierunku, a Broniek czujnie rozglądał się wokół. W obozie zaległa zupełna cisza, mącona jedynie skrzypieniem śniegu pod butami uciekinierów.

– Stop – szepnął Kiendry, choć jego twarz sprawiała wrażenie, jakby krzyczał.

Wszyscy natychmiast zatrzymali się jak rażeni piorunem. Rumun spojrział pytająco na Polaka, a ten wskazał wieżę wartowniczą, gdzie stało dwóch strażników. Obaj omiatali wzrokiem teren przed tylną bramą.

Balmoś puścił pod nosem wiązaną po rumuńsku.

– Wiedzą, że dziś jest wyjście – syknął, karcąco patrząc na Adama. – Idziemy.

Zaniewski odetchnął z ulgą i ruszył za nim. Nie powinien się dziwić, nikomu tutaj nie zależało na tym, by za wszelką cenę trzymać ich w obozie. Miejsce było zresztą na tyle odludne, że w zimie trudno byłoby zbiegom przeżyć poza ogrodzeniem.

Szli powoli w kierunku bramy. Z każdym kolejnym krokiem emocje stawały się coraz mniejsze. Czuli, że wolność jest na wyciągnięcie ręki.

Nagle rozległ się dźwięk wystrzału z wieży wartowniczej, a potem nocną ciszę rozerwał przejmujący krzyk.

METZ, LOTARYNGIA, FRANCJA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Christian Leitner z trudem otworzył oczy. Przechylił głowę na bok i wyjrzał przez szpitalne okno. Patrząc na niespiesznie przesuwające się chmury, zastanawiał się nad tym, jak długo był nieprzytomny.

W końcu uznał, że nie ma to znaczenia. Liczyło się tylko to, że nie zginął od kuli Torstena Blankenburga. I to, że gdy tylko wydobrzeje, będzie mógł ruszyć w pogoń za nim i jego bratem.

Gdyby wierzył w Boga, zapewne teraz by mu podziękował. Wiedział jednak, że przeżył tylko dzięki uporowi lekarzy i swojemu. Kurczowo trzymał się krawędzi życia, nie mając zamiaru dać się pochłonać otchłani. Miał jeszcze zbyt wiele do zrobienia.

Powtarzał to sobie w myśli, gdy padł półprzytomny na ziemię. Nie potrafił się poruszyć, przed oczami widział jedynie czerń, ale umysł nie odmówił mu posłuszeństwa. Usłyszał wówczas, że to nie Holzer, a Johann Blankenburg porwał jego żonę i syna. Prostacki oficer SD, który był zakałą niemieckich służb. Nie był godzien noszenia jakiegokolwiek munduru zdobionego nazistowskim orłem. Leitner gardził nim – i obiecał sobie w duchu, że kiedy go dopadnie, nie pozwoli mu umrzeć zbyt prędko. Wymierzy sprawiedliwość.

Zamknął na moment oczy, a potem obrócił głowę w drugą stronę. Gdy ponownie je otworzył, zobaczył siedzącą przy łóżku kobietę.

– Gino... – powiedział zdezorientowany. Niemal nie poznał własnego głosu.

Uśmiechnęła się do niego.

– Cieszę się, że do nas wróciłeś.

Z trudem przełknął ślinę. Potrzebował chwili, by odnaleźć się w tej sytuacji.

– Jak się czujesz? – zapytała Maria.

– Zdolny do dalszej służby.

– Oczywiście – odparła pod nosem.

Christian skinął nieznacznie głową, czując, że siły szybko go opuszczają. Brakowało mu energii na rozmowę, jednak głos Polki działał na niego krzepiąco, jakby tkwił w nim zastrzyk energii. Jej wzrok i charakterystyczny błysk w oku sprawiały zaś, że serce zabiło mu szybciej.

Skarcił się w duchu za radość spowodowaną jej widokiem. Było to nie w porządku wobec

Johanny. Oprócz tego ta kobieta okłamywała go przez cały czas, gdy była w Rawitschu... a ostatecznie bez wahania odwróciła się od niego i zbiegła z miasta.

Raz po raz Leitner starał się sobie o tym przypominać, by utrzymać emocje na wodzy.

– Nie chcę ci przeszkadzać... – podjęła, podnosząc się z krzesła.

– Rozumiem.

– Ale zamieniłam kilka słów z Marvinem.

Christian odwrócił głowę z powrotem w kierunku okna.

– Zdrajca – powiedział cicho.

– Zdrajca Hitlera, to na pewno. Ale nie powiedziałabym, że Rzeszy.

Leitner spojrzał na nią, nagle pełen energii. Maria uniosła brwi i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Wystarczy wspomnieć o Adolfie, a...

– Hitler i Rzesza to jedność – powiedział, gromiąc ją chłodnym spojrzeniem. – Tylko jedna osoba może dźwżyć stery w państwie, którego dziejowym przeznaczeniem jest poprowadzenie Europy ku cywilizacyjnemu rozkwitowi.

Polka przez moment się zastanawiała. Christian przypuszczał, że nie wie, na ile może sobie pozwolić. Mimo że znali się już od jakiegoś czasu, do tej pory nie poruszali tematu Führera. Dotychczas Gina Henckel von Donnersmarck była przykładną Austriaczką.

– Nie obchodzi cię, że Twój wódz urządza moim ludziom rzeź? – zapytała po chwili.

Nie odpowiedział.

– Nie dbasz o to, że Żydów w całej Polsce wyrzuca się z domów? – dodała, wzburzona. – Że katuje się ich na ulicach, zamęcza na śmierć, a potem wrzuca ich ciała do anonimowych grobów?

– To element polityki – odpowiedział spokojnie. – Czasem trzeba przejść przez trudne czasy, by zapewnić światu lepszą przyszłość.

– Nie wierzę, że możesz tak myśleć – powiedziała cicho.

Christian zignorował tę uwagę.

– Koncepcja z nad- i podludźmi to tylko środek do osiągnięcia celu. Czymś trzeba porwać rzesze, skoro bez ich poparcia nie ma mowy o sukcesie. To, że w propagandę zaczynają wierzyć nie tylko ci, do których jest kierowana, ale także ci, którzy ją głoszą, to już zupełnie inna...

– Wystarczy, Christian. Mam dosyć twoich chorych poglądów.

Leitner popatrzył na nią ze zdziwieniem. Miał zamiar wytłumaczyć, że Hitlerowi nie zależy na eksterminacji ludności podbitych krajów, a za jednostkowe działania grupy bezmózgich fanatyków Wódz nie może odpowiadać.

– W niczym nie różnisz się od Blankenburga i jemu podobnych – dodała.

Spodziewał się, że obróci się na pięcie i wyjdzie, ale stała przed łóżkiem, wbijając w niego wyzywająco wzrok. Dążyła do konfrontacji, i trudno było jej się dziwić. Leitner uznał jednak, że najlepiej będzie, jeśli nie odezwie się słowem.

– Kolejny cholerny stoik – skwitowała pod nosem.

Nie wiedział, co ma na myśli. I wolał nie wiedzieć.

– Zresztą... – podjęła. – Czego się spodziewałam?

– Nie wiem.

– Masz taką samą papkę z mózgu jak cała reszta nazistów.

Nadal krzyżowali spojrzenia, żadne z nich nie odwracało wzroku.

– Pewnie przed wojną nosiłeś brunatną koszulę i chodziłeś od sklepu do sklepu, szukając, który przybytek prowadzi Żyd.

– Nie.

– I w trzydziestym ósmym mordowałeś Bogu ducha winnych ludzi za to, że chodzili do synagogi.

Christian spuścił wzrok.

– Jakie to ma dla ciebie znaczenie?

– Żadne – przyznała. – Nie interesują mnie twoje poglądy.

– Tymczasem sprawiasz wrażenie...

– Chcę wiedzieć, na czym stoję – przerwała mu. – Bo zamierzam wejść z tobą w ścisłą współpracę.

– Słucham?

– Zapolujemy razem na Blankenburga.

Przez chwilę milczał.

– Innej możliwości nie zakładam – powiedział w końcu.

Maria była zaskoczona, że od razu się zgodził. Sądziła, że będzie to wymagało sporo wysiłku i przekonywania. W końcu była uciekinierką z Polski, do tego Żydówką, na której ciążyły z pewnością zarzuty za wydarzenia w Rawiczu. Nie wspominając nawet o fałszywych dokumentach i posiadaniu broni, co samo w sobie było proszeniem się o karę śmierci.

Tymczasem Leitner sprawiał wrażenie, jakby puścił to wszystko w niepamięć.

– Jesteś zdziwiona – odezwał się.

– Trochę – przyznała. – Przypuszczałam, że najpierw będziesz chciał wsadzić mnie do więzienia, a dopiero potem rozmawiać o jakimkolwiek współdziałaniu.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

– Nie? – zapytała z uśmiechem. – Chyba sam siebie nie znasz, *Herr Obersturmführer*.

– Może nikt z nas siebie nie zna – odparł, a potem zaczerpnął tchu. – Znajdę Blankenburga i wymierzę mu sprawiedliwość. Zanim jednak to zrobię, powie nam, gdzie jest moja rodzina. I twój narzeczony.

Przesunęła kosmyk włosów za ucho i oderwała wzrok od niemieckiego oficera.

– Co potem? – zapytała.

– Na to pytanie znajdziemy odpowiedź, kiedy przyjdzie czas.

– W porządku – powiedziała. – Ale zabierzemy ze sobą Marviną i Elisę.

Leitner poruszył się niespokojnie i dostrzegła, że sprawiło mu to ból.

– Co do twojej kuzynki, nie widzę problemu, ale...

– Rodemeyer się przyda – wyprzedziła argument.

– Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Maria miała w zanadrzu ułożoną mowę o przyjaźni i wierności ideałom, ale brzmiała ona dobrze, dopóki Christian był nieprzytomny. Teraz, gdy patrzyła w jego oczy i widziała jego upór, była pewna, że takie przemówienia na nic się nie zdadzą.

– Kiedy tylko znajdę się w pobliżu tego człowieka, skuję go i zaprowadzę do najbliższego więzienia – oświadczył.

– Posłuchaj...

– Zdradził Führera – wpadł jej w słowo. – Donosił na mnie wrogowi. Zawiódł moje zaufanie i uchybił swemu obowiązkowi wobec Rzeszy Wielkoniemieckiej.

Widząc niemal fanatyczny błysk w oczach Leitnera, Maria wzdrygnęła się. Pierwszy raz widziała takie emocje na niemal zawsze stoickiej twarzy.

– Jest Żydem, Christian – powiedziała. – Spodziewałeś się, że będzie obojętnie przyglądał się, jak mordujecie jego braci?

– Nie. Ale wiedział, co...

– Jesteś nienormalny – ucięła, po czym obróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. – Zastanów się nad tym – dodała w progę.

Nie słyszała, by cokolwiek odpowiedział. Wyszła na korytarz i niemal natychmiast napotkała wzrok Elisy, która czekała na nią kawałek dalej. Maria odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Po chwili zrównała się z kuzynką.

– Nie zgodził się? – spytała Francuzka z przejęciem. Zdawała sobie sprawę, jak wiele zależy od decyzji Leitnera. Bez niego misja była skazana na porażkę, a Johann Blankenburg mógł czuć się bezpiecznie. Oficer SS był dla nich gwarancją, że zaistnieje realna szansa ujęcia kata jej rodziny.

– Zgodził – odparła Polka.

– Ale?

Maria westchnęła, wskazując kuzynce schody. Ruszyły przed siebie.

– W dalszej perspektywie nie możemy na niego liczyć – powiedziała. – Christian zrobi wszystko, by odnaleźć tę bestię i swoją rodzinę. Ale potem będziemy zdane na siebie.

– To i tak lepiej, niż przypuszczałam.

– Nie bądź tego taka pewna.

– Co masz na myśli?

– Nie wiadomo, co może mu strzelić do głowy – odparła Polka, gdy zeszły na parter. – Musimy na niego uważać.

Ta konkluzja odbijała się echem w jej głowie. Początkowo nie chciała przyjąć jej do wiadomości, ale przecież wiedziała, że Leitner najpierw jest żołnierzem, a dopiero później człowiekiem.

Po krótkiej rozmowie z Marią i Elisą pod szpitalem Marvin pospiesznie skierował się na rue des Piques. Tylko chwilę zajęło mu odnalezienie restauracji, która była umówionym miejscem spotkania. Wszedł do niej, ostentacyjnie mijając zdezorientowanego kelnera. Przybytek był ekskluzywny – należało przy wejściu podać swoją godność, a potem poczekać, aż ktoś łaskawie zaprowadzi gościa do stolika. Rodemeyer nie miał jednak na to czasu, i tak był już spóźniony.

Przy jednym ze stolików czekał na niego mężczyzna z siwymi, przerzedzonymi włosami. Wypatrzywszy Marvina, skinął na niego.

Niemiec uścisnął rękę prowadzącemu go agentowi MI6, a potem zajął miejsce obok.

– Witaj, Rhodes – odezwał się z wyraźnym brytyjskim akcentem starzec.

– Dzień dobry, panie Alberts. Miło mi pana widzieć.

– W istocie. Mnie pana również.

Brytyjczyk był wylewny jak zawsze, ale nie przeszkadzało to Rodemeyerowi. Przeciwnie, uznawał to za jego atut.

– Co tak ważnego się wydarzyło, że sprowadza pana tutaj?

Raphael Alberts pociągnął łyk earl grey, po czym kiwnął na kelnera i nienagannym francuskim zamówił pasztet z dziczyzny z czerwoną cebulą i pistacjami. Chłopak spojrział pytająco na drugiego z gości, ale ten pokręcił tylko głową.

– Posłuchaj, Marvin – zaczął Anglik.

Rodemeyer kiwnął głową, choć rozmówca był bardziej zajęty swoją herbatą aniżeli

obserwowaniem, czy przykuł uwagę agenta.

– Dotarliśmy do pewnych informacji – oznajmił półszeptem Alberts.

– Jakich?

Konieczność ciągnięcia za język weterana wywiadu z początku działała Niemcowi na nerwy, ale zdążył już do tego przywyknąć. Od kiedy zaczął pracować dla MI6, odbyli wystarczająco dużo rozmów.

– Obersturmführer Blankenburg działa na polecenie człowieka o kryptonimie Cerber.

– Nie wiedziałem, że nadajecie takie kryptonimy.

– Nie pochodzi od nas. Niemiecki.

Rodemeyer wyciągnął paczkę papierosów Gitanes i położył ją na stoliku. Raphael Alberts odsunął ją z niesmakiem i na jej miejscu położył brytyjskie rothmansy. Marvin chętnie poczęstował się jednym.

– Więc o co chodzi? – spytał z papierosem w ustach.

– Na tym etapie trudno stwierdzić – odrzekł Brytyjczyk. – Aczkolwiek przypuszczamy, że Cerber dostaje rozkazy prosto od Hitlera albo Himmlera.

– Ciekawe... – mruknął Rodemeyer, wypuszczając dym.

– Samo w sobie niezbyt. Ciekawe natomiast jest to, że ów jegomość nie figuruje w żadnych oficjalnych strukturach SS ani Gestapo.

Marvin odłożył papierosa do szklanej popielniczki.

– Co to oznacza?

Brytyjczyk wzruszył ramionami.

– Dla ciebie? Tyle, że poprzez twojego przyjaciela musisz dowiedzieć się więcej.

– Świetnie.

Raphael nachylił się do niego.

– Zrozum mnie dobrze, Marvin – podjął protekcjonalnie. – To może okazać się istotną kwestią. Jeśli Hitler w samym sercu podległych i zaufanych służb coś utajnił, to z pewnością uczynił to z ważnej przyczyny.

– Rozumiem.

– Więc nie muszę chyba dodawać, że jesteś naszą jedyną nadzieją, by czegokolwiek się w tej sprawie dowiedzieć?

Rodemeyer znów podniósł papierosa. Zaciągnął się nerwowo.

– Nie musi pan – powiedział. – Co nie zmienia faktu, że nie wiem, w jaki sposób miałbym...

– Christian Leitner doprowadzi cię do Blankenburga.

– Skąd ta pewność?

– Przystudiowaliśmy jego teczkę dość wnikliwie. Odnajdzie go, a wtedy ty musisz wkroczyć do akcji.

Marvin czuł na sobie ciężar spojrzenia Albertsa. Pomyślał, że naprawdę jest jedyną szansą Anglii, by dowiedzieć się, co na boku knuje Hitler.

SAKSONIA, III RZESZA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Staszek czuł się lepiej z każdym kolejnym kilometrem oddalającym go od Berlina. Nie chciał myśleć o wizycie w Kancelarii Rzeszy i nazistowskich flagach, które zdawały się zdobić całe miasto. Sprawiało wrażenie, jakby stanowiło jeden wielki punkt propagandy NSDAP i Hitlera.

Wiedział, że jest wieszony gdzieś w okolicy Linzu, do Austrii. Droga miała być długa, wynosiła ponad sześćset kilometrów. Polak nie miał złudzeń, że nie będzie dla niego łatwa. Był

przytłoczony bólem emanującym z najbardziej wrażliwych miejsc na ciele, ale zdawał sobie sprawę, że to dopiero początek.

Pierwszy postój Blankenburg zarządził w Leipzig, raptem dwieście kilometrów od Berlina. Klaas zaparkował na niewielkim poboczu, a oprawca obejrzał się przez ramię na jeńca i uśmiechnął szeroko.

Rufin pomógł mu wysiąść z samochodu, a Niemcy pogrążyli się w rozmowie, przygotowując do dalszej zabawy z polskim jeńcem.

– Pamiętaj, Alex – odezwał się Johann. – Obrzynanie pięt, uszu i warg. Nad tym musisz popracować.

– Tak jest, *Herr Obersturmführer*.

– Do dziś żałuję, że nie dotarliśmy do tego etapu z tamtym kundlem w Lesku.

– Wielka szkoda – przyznał Alexander. – Ale dostał, na co zasłużył.

Blankenburg roześmiał się i pogładził kaburę z pistoletem. Kiwnął na Staszka i ruchem ręki kazał mu ustawić się przed nim. Zaniewski niespiesznie ruszył we wskazanym kierunku, ale najwyraźniej nie o to chodziło. Klaas znalazł się tuż za nim i popchnął go z całej siły. Polak poślizgnął się na śniegu i wyłożył przed drugim z Niemców.

Johann kontynuował rozmowę, jak gdyby nigdy nic.

– Miej świadomość, że tortury to sztuka.

– Widziałem pana w akcji, nie trzeba mi tego mówić – odparł młody esesman.

– Mimo wszystko. Spędziłem na przygotowaniu swoich metod wiele czasu. Mówiłem ci, z czego jestem najbardziej dumny?

– Nie, *Herr Obersturmführer*.

– Podnosisz więźnia, wkładasz mu butelkę w dupę i...

– Sadzasz go z impetem na ziemię – dokończył Klaas. – Wspominał pan o tym, owszem.

Blankenburg pokiwał głową z dumą, po czym skupił wzrok na leżącym na ziemi Polaku. Zaśmiał się chrapliwie, dostrzegając, co tamten robi.

– Popatrz, Alex. Zwierzę.

Zaniewski skorzystał z okazji i napchał sobie trochę śniegu do ust. Chłód był przejmujący i zdawał się paraliżować każdy nerw w dziąsłach, ale nie pamiętał, kiedy ostatnim razem Niemcy dali mu choćby łyk wody.

– Dzicz – ocenił młody esesman.

– Tak. Ale wracając do tematu... Czasem nie masz na podorędziu żadnych narzędzi, ale to nie może cię zatrzymać. Do wielu metod wystarczą ci własne ręce. – Obszedł Staszka, który właśnie podniósł się do pozycji na czworaka. Blankenburg spojrział na niego z góry, a następnie uniósł nogę i z impetem opuścił ją na plecy Polaka. Wgniół go w ziemię, pochylił się i szarpnął jego głową mocno w tył. Jeniec wydał z siebie jęk bólu.

– Widzisz, Alex? – zapytał podniecony Blankenburg. – Jeden prosty ruch, a kwiczy.

– Imponujące, *Herr Obersturmführer*.

Staszek z trudem skupił wzrok na młodszym Niemcu. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że bynajmniej nie uważa tego zachowania za imponujące. Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, w jakim celu dowódca męczy jeńca. I Zaniewski też nie mógł tego zrozumieć – nie miał żadnych przydatnych informacji ani nie zawinił Blankenburgowi niczym, co sprawiałoby, że oficer SD pragnąłby zemsty.

– Jeśli tak dalej pójdzie, Polak padnie od razu po przybyciu do Mauthausen – zauważył Klaas.

– I tak by padł – odparł przełożony. – Jeśli tacy jak on trafiają tam dobrze wyżywieni i bez

chorób, pociągną może kilka tygodni. Ale ostatecznie i tak nikt nie wychodzi stamtąd żywy.

– Oczywiście.

Blankenburg puścił Staszka i głowa jeńca uderzyła o śnieg.

– Pokażę ci jeszcze coś ciekawego – oznajmił Johann.

– *Herr Obersturmführer*, mając wszystko na uwadze, myślę, że już wystarczy.

Blankenburg popatrzył na niego zdziwiony i rozczarowany.

– Jeśli będziemy się nim jeszcze trochę zajmować, nie wypełnimy rozkazów – usprawiedliwił się Alexander. – Zdechnie nam tutaj.

Oficer SD przez moment się zastanawiał, patrząc na zanurzoną w śniegu głowę jeńca.

– W porządku – postanowił w końcu. – Innym razem.

Zaniewski wsparł się na trzęsących się rękach. Przysłuchiwał się rozmowie i nie musiał wiele rozumieć, by wiedzieć, że Niemcy prowadzą niezobowiązującą pogadankę. Biorąc pod uwagę to, co robił przy tym Blankenburg, należało uznać, że obaj są nienormalni.

Odczołgawszy się w kierunku samochodu, usiadł przy przednim kole. Potarł szyję, nadal czując ból. Gdy nazista odginał mu głowę, Staszek miał wrażenie, że zaraz rozerwie mu gardziel. Potem złapał go przejmujący skurcz w karku i przez moment myślał, że nie będzie w stanie podnieść się ze śniegu.

Niemcy znów wymienili się uwagami, niespecjalnie interesując się jeńcem. Zaniewski dałby wiele, by zrozumieć trochę więcej z ich konwersacji. Z rozrzewnieniem pomyślał o próbach, jakie narzeczona podejmowała, by nauczyć go kilku słów. Miał dobre chęci, ale brakowało mu zdolności lingwistycznych, którymi cechował się jego brat.

– Spójrz, jak zwisa mu głowa – zauważył Blankenburg, na powrót wykazując zainteresowanie Polakiem.

Staszek zrozumiał jedynie, że przyglądają się jego szyi. Po prawdzie nie był pewien, co stało się z jego kręganiami. Głowa rzeczywiście opadała mu niemal bezwładnie, co zdawał się sugerować ruchem ręki Johann.

Zbliżyli się do niego i oficer SD zmrużył oczy.

– Alex – podjął. – Czy ten szczur nie przypomina ci kogoś?

Klaas wyduł usta.

– Niespecjalnie.

– Nie przychodzi ci na myśl tego Polaka, którego spotkaliśmy pod Beniową?

– Chyba nie.

– Nie pamiętasz go?

– Pamiętam go aż za dobrze, *Herr Obersturmführer*. Reinhold Winterberg zapadł mi w pamięć na długo.

– No tak. W końcu ty i twój oddział Einsatzgruppen daliście się mu omamić i, jakby nie było, służyliście pod nim jakiś czas.

Młody esesman skrzywił się na samą myśl, ale Blankenburgowi to wspomnienie sprawiało satysfakcję.

– Spójrz na jego oczy – dodał Johann. – Poznaję to spojrzenie. I rysy twarzy także ma podobne.

Alexander przypatrywał się Staszce jeszcze przez chwilę. Polak poczuł się zaniepokojony jeszcze bardziej. Wolał, by traktowali go jako anonimowego jeńca, jednego z wielu – tymczasem zdawali się nim coraz bardziej zainteresowani.

– Być może ma pan rację – przyznał z zaskoczeniem Klaas.

Blankenburg wyprostował się, zadowolony.

– Żydzie! – krzyknął.

Rufin natychmiast znalazł się tuż obok. Nieudolnie stanął na baczność krok za Niemcem. Ten rozkazał mu tłumaczyć każde słowo, po czym przykucnął przed Polakiem.

– Reinhold Winterberg – powiedział. – Mówi ci to coś?

– Nie.

– Jesteś pewny? Nie zastanawiałeś się za długo nad odpowiedzią.

– Pierwszy raz słyszę to imię i nazwisko.

– Cóż... – odparł Blankenburg, szeroko się uśmiechając. – Chyba będziemy musieli to sprawdzić.

Staszek wiedział, że klamka zapadła. Ten człowiek będzie go męczył aż do skutku – ostatecznie każdy i tak przyznaje się do winy, choćby nie miał pojęcia, czym owa wina jest. On zapewne w pewnym momencie pęknie i zacznie pleść o Winterbergu, co mu ślina na język przyniesie. Odwlecze trochę dalsze tortury, ale Niemiec w końcu zorientuje się, że to wszystko banialuki. I na nowo zacznie się nad nim znęcać.

Nie było cienia szansy na ratunek.

Zaniewski zamknął oczy i zebrał się w sobie. To, co zamierzał zrobić, nie należało do honorowych posunięć. Ojciec i brat najpewniej nigdy by się do takiego poziomu nie zniżyli. Oni jednak w poprzednim życiu nosili mundury, Staszek zaś nie zdążył nawet założyć białego kitla.

Zebrał wszystkie siły, a potem szarpnął nogą w górę. Kucający przy nim Niemiec oberwał prosto między nogi. Wydał z siebie zduszony jęk i padł na bok, czerwieniejąc na twarzy.

Klaas natychmiast zamachnął się i kopnął jeńca w zębra. Zaniewski padł na bok, jego głowa bezwładnie uderzyła o ziemię.

– Coś ty zrobił... – jęknął Rufin.

Oficer SD poderwał się na równe nogi, choć sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz z powrotem upaść. Sapał ciężko, patrząc na Polaka.

– On cię zabije – dodał tłumacz.

– I tak by to zrobił – odparł Staszek, siląc się na spokój. Nie potrafił jednak zachować pozorów, głos mu się zatrzęsł.

Rufin rozglądał się nerwowo, nie wiedząc, gdzie oczy podziać.

– Nie rozumiesz, co on ci robi...

Zaniewski zdawał sobie sprawę, że śmierć nie nadejdzie prędko. Ale jego decyzja nie była pochopna ani emocjonalna – wykalkulował, że w ten sposób zmusi oprawcę, by ten skończył z nim szybciej. Może nawet podda się potrzebie zemsty i zrobi to już teraz.

– Nie wyobrażasz sobie, co cię czeka – dodał Rufin, cofając się o krok.

– Mną się nie przejmuj. Zapytaj lepiej szkopa, jak wyszła jajecznicza.

– Ale...

– *Halt die Klappe!* – ryknął Blankenburg i chłopak natychmiast zamilkł, spuszczaając wzrok.

Oficer SD poprawił mundur, a potem przez moment przyglądał się leżącemu na ziemi jeńcowi. Trzymał dłoń na podbrzuszu i nadal sprawiał wrażenie, jakby nie mógł do końca dojść do siebie. Staszek był zadowolony oporem, jaki udało mu się stawić, nawet jeśli był marny.

– Co powiedział ten pies? – zapytał Niemiec.

– *Herr Obersturmführer*, ja... – wydukał Rufin.

– Mów!

Tłumacz nie wiedział, jak się zachować. Był przerażony tym, że to na niego spadnie gniew za

słowa Polaka. Mimo to nie potrafił naprędce wymyślić niczego innego. Przełożył słowa jeńca, a potem zamknął oczy, czekając na cios.

Zamiast tego wszyscy usłyszeli chrapliwy śmiech Johanna. Spojrzał na podkomendnego i rozłożył ręce.

– Fascynuje mnie poczucie humoru podludzi – oznajmił. – A ciebie, Alex?

– Nieco mniej.

– Naprawdę są ciekawi. Choć tylko do pewnego momentu. Szybko się przejadają, nie uważasz?

Klaas pokiwał głową z uznaniem, jakby była to największa mądrość, jaką dane mu było kiedykolwiek usłyszeć.

Blankenburg znów przykucnął przy więźniu. Przypatrywał mu się przez moment, a potem obejrzał się przez ramię na podwładnego.

– Wyciągnij sznur z samochodu, Alex – polecił z zadowoleniem.

CĂLIMĂNEȘTI, OKRĘG VĂLCEA, RUMUNIA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

– Nie strzelać, idioto! – ryknął Ion Balmoș.

Uciekinierzy przypadli do ziemi, licząc na to, że tyle wystarczy, by wartownik ich nie wykończył.

– Kto tam jest, do kurwy nędzy?! – dodał Rumun.

– Trășculescu – odpowiedział niepewnie mężczyzna z wieży. – Nie wiedziałem, że dzisiaj jest wyjście.

Balmoș od razu skojarzył głos młodego strażnika. Wedle rozpiski ktoś inny miał tej nocy zajmować miejsce na strażnicy – ktoś, z kim Ion zawczasu się dogadał. Zresztą nawet i bez tego każdy inny doświadczony wartownik wiedziałby, że Polacy wychodzą i nie należy ich zatrzymywać. Ten najwyraźniej nie zdążył jeszcze odbyć nieformalnego przeszkolenia. Sprowadzało się ono do krótkiej porady – jeśli nie można pomóc jeńcom opuścić obozu, należy przynajmniej przymknąć oko.

Balmoș podał rękę Bronkowi i pomógł mu wstać.

– Co z nim? – zapytał, patrząc w bok.

Zaniewski padł natychmiast, gdy tylko rozległ się strzał. Jako pierwszy znalazł się na ziemi, bo od pewnego czasu starał się wyćwiczyć mięśnie, by reagowały szybciej niż umysł. Widział to pod Beniową, gdy Johann Blankenburg uniknął trafienia. Oficer SD sprawiał wrażenie, jakby uratował go odruch bezwarunkowy – w rzeczywistości była to jednak wyćwiczona reakcja. Bronek uznał, że skoro Niemiec potrafił tak się wyszkolić, on również da radę. Pobyt w obozie okazał się pomocny. Zaniewski wiedział, o której prowadzone są ćwiczenia w pobliskim lesie i w tych godzinach chodził za ostatni z baraków. Przypadał do ziemi, ilekroć rozbrzmiewał wystrzał. Gdyby ktoś obserwował jego starania, zapewne by go wyśmiał, ale sierżant był przekonany, że mozolne ćwiczenia mogą kiedyś uratować mu życie.

Przy wystrzale z wieży mięśnie zareagowały o ułamek sekundy za późno, ale Bronek i tak był zadowolony. Wydawało mu się, że pozostali również uniknęli kuli. Kiedy jednak Rumun pomógł mu wstać, wiedział już, że tak nie było.

– Krwawi – odezwał się Kiendry.

Zaniewski spojrział z przestrachem na Maniurę. Przyjaciel oberwał w nogę.

– A widział kiedyś, żeby ktoś nie krwawił, jak go postrzelono? – spytał Wacek Maniura,

krzywiąc się z bólu.

Bronek ściągnął pasek, a potem przykląkł na jedno kolano obok towarzysza broni. Zacisnął prowizoryczną opaskę ponad raną. Pacjent zawył z bólu.

- Nie byłoby krwi, jakbyś oberwał w łepetynę, raz a dobrze – zauważył Zaniewski.
- Też prawda – przyznał Wacek. – Może trzeba traktować to jako szczęście.
- Ty zawsze masz szczęście, brzydki skurczybyku.
- Niech sobie nie drwi, tylko pomoże – odparł Maniura, podnosząc rękę.

Bronek z Kremmerem pomogli mu wstać, ale ledwo noga sierżanta dotknęła podłoża, zasyczał z bólu.

- Jestem w formie – oznajmił. – Mogę pędzić jak Jesse Owens.
- Kto zacz? – zapytał ziemianin.

– Ten czarny, co to trzy lata temu w Berlinie pod nosem Hitlera wykrcił rekord na sto metrów. Dziesięć sekund z hakiem.

Poruszali się powoli w kierunku bramy, ale każdy krok Maniury był okupiony niemałym wysiłkiem. W dodatku jeniec zostawiał za sobą krwawy ślad. Bronek spojrzał na niego i przekonał się, że przyjaciel robi się coraz bardziej blady. Tymczasem Adam Kiendry znikł z pola widzenia – nie oglądając się za siebie, opuścił obóz.

- Pospieszcie się – odezwał się Balmoś. – Przez te strzały cały obóz się zbudził.
- Robię, co mogę – burknął Wacek.
- Zrób więcej.

Przypieszyli trochę, a Maniura zaczął lekko podskakiwać na zdrowej nodze. Coraz więcej krwi ściekało mu po łydce, ale nie przejmował się tym. Po chwili dotarli do bramy.

Bronek obejrzał się przez ramię na Rumuna.

- Dzięki, Ion – powiedział.
- Spieprzajcie, nie gadajcie! – ponaglił ich, nerwowo się obracając.
- Zaniewski uniósł kącik ust i wyprowadził przyjaciela na zewnątrz.
- Przekaż wyrazy uznania kierownikowi! – krzyknął na odchodnym.

Balmoś pokręcił głową z dezaprobatą, zamykając za nimi bramę. Z pewnością myślał już tylko o reprimendzie, jaka czekała go w gabinecie komendanta z samego rana.

Polacy przeszli szybko kilkanaście metrów, po czym odetchnęli i zwolnili. Księżyc tej nocy nie świecił zbyt jasno, byli skryci w mroku i czuli się bezpiecznie. Szli jednak dalej, Kremmer ciężko sapał, a Bronkowi Maniura zaczynał ciążyć coraz bardziej. Najwyraźniej spożytkował wszystkie siły na opuszczenie obozu, bo teraz powłóczył nogami i był zlany potem.

- Twoja tusza nie licuje z modelem podoficera Wojska Polskiego – zauważył Zaniewski.
- Niech się zamknie...
- Jak długo mamy tędy podążać? – zapytał z trudem Kremmer.
- Ion mówił, że kilometr, może półtora.

Osmund pokiwał głową, ledwo łapiąc oddech.

– I będzie tam czekał na nas automobil?

- O ile Kiendry nie potraktuje go jako swojego prezentu pożegnального.
- Toć... mówił, że... – wydukał Maniura i urwał, zwieszając głowę. – Miał tam...

– Nie wysilaj się – uciął Bronek. – I tak, miał tam czekać kierowca, znajomy Balmośa. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, zorientuje się, że coś jest nie w porządku, kiedy zamiast trzech uciekinierów zjawi się tylko jeden.

Przez moment szli w milczeniu, choć w przypadku Maniury można było mówić raczej

o wleczeniu się.

– Żyjesz? – bąknął Zaniewski.

– O tyle, o ile – odparł jego przyjaciel. – Ale padnę, jak zobaczę, że nie mamy środka lokomocji... wtedy niech Kiendrego pies obsra dwa razy.

– Albo nawet trzy – dodał Bronek.

Po kwadransie Osmund zatrzymał się, a wraz z nim dwaj żołnierze. Ziemianin zaczerpnął tchu, a potem wskazał wzrokiem przed siebie.

– Rozbłysk wieńczy naszą wędrówkę – rzucił.

– Słucham? – spytał Zaniewski.

– Zechce pan sierżant spojrzeć na linię drzew. Ktoś raczył zasygnalizować swoją obecność, włączając i wyłączając na przemian światła pojazdu.

– Nie można było tak od razu?

– Następnym razem niech powie: patrz pan, kurwa, świecą światłami! – odezwał się Maniura i zachichotał z trudem.

– Z całą stanowczością nie skalam tak języka.

Bronek miał wrażenie, że nigdy nie doczłapią się do samochodu. W końcu jednak zbliżyli się do niego na tyle, że w Maniurę wstąpiły nowe siły. Zaniewski z oddali dostrzegł dwóch mężczyzn. Jeden stał przy otwartych drzwiach od strony kierowcy, drugi kilka kroków od niego. Gdy podeszli bliżej, rozpoznał Kiendrego.

– Gdzie się paliło? – zapytał go Bronek.

– Co?

– Spieprzałeś, jakby...

– Mieliśmy poślizg, prawda? – wpadł mu w słowo Adam. – Wolałem się upewnić, że Rumun nie odjedzie. Nie uśmiecha mi się marsz na najbliższą stację kolejową.

Podeszli do auta i ułożyli rannego na siedzeniu pasażera. Dopiero później wymienili się uściskami dłoni ze znajomym Balmośa. Minę miał nietęgą, jakby coś nie poszło po jego myśli. Dopiero po chwili Zaniewski zaskoczył dlaczego.

Samochód, którym mieli jechać, Włosi zwali pieśczośliwie *topolino* – małą myszą. Fiat 500 był przeznaczony dla dwóch osób, ale jeśli się postarać, zmieściłyby się i cztery. Z pewnością jednak nie pięć.

– Wszyscy nie wejdziemy – odezwał się Kiendry.

– Twoja spostrzegawczość jest porażająca.

Adam wyciągnął papierosa i odpalił go, rozglądając się.

– Więc co proponujesz? – zapytał.

– Że cię tutaj zostawimy. Tak jak ty nas przed chwilą.

– Cóż, spodziewałem się tego – odparł Kiendry. – I chyba nie mam wiele do gadania, prawda?

– Nie masz.

– Choć Maniura jest ranny, a Kremmera trudno podejrzewać o to, że potrafiłby ubić muchę – zauważył rozmówca i wypuścił dym w kierunku księżycy. – Nadal jednak pozostajesz ty i kierowca. Dwóch na jednego to nigdy nic dobrego.

– Otóż to.

Kiendry pokiwał głową, a potem westchnął i bez słowa się obrócił. Ruszył niespiesznie w kierunku lasu.

Zaniewskiemu przeszło przez myśl, że Adam teraz rzeczywiście nie ma większych szans w starciu, ale jeszcze przed momentem mógł bez trudu zaskoczyć Rumuna i porwać samochód.

Zaklął w duchu.

– Czekaj – powiedział.

Gdy Kiendry zatrzymał się i odwrócił, Broniek podszedł do kierowcy. Porozumiewając się z nim właściwie wyłącznie na migi, zdołał przekazać mu, że sam poczeka tutaj, podczas gdy Rumun zawiezie resztę towarzyszy na dworzec.

– *Panimajesz?* – zapytał dla pewności.

– *Am înteles, am înteles* – odparł rozmówca i uspokajająco uniósł dłonie.

Wymianą zdań zainteresował się ziemianin.

– Cóż pan sierżant wyczynia? – zapytał.

– Bierze odpowiedzialność – wyjaśnił Kiendry, podchodząc bliżej. Cisnął niedopałek na ziemię, po czym otworzył drzwi od strony pasażera.

Broniek spojrział na Kremmera.

– Poczeka tutaj – oznajmił. – Potem kierowca po mnie wróci.

– Niech no się zastanowi – zaapelował z samochodu Maniura. – Lepiej zostawić tu tego buca...

Kierowca zajął swoje miejsce, a potem ponaglił ruchem ręki resztę.

– Szkoda czasu na dyskusje – uciął Zaniewski, przenosząc wzrok na Osmunda. – Niech pan wsiada.

Ziemianin przez moment trwał w bezruchu, jakby miał zamiar protestować. Ostatecznie jednak skinął głową i wcisnął się do tyłu. Po chwili dołączył do niego Kiendry, który zasadniczo wystawał za samochód.

– Może poczekać z tobą – rzucił do Bronka.

– Broń Panie Boże.

– *Să mergem!* – zakrzyknął Rumun, a potem uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu.

Silnik fiata zaprotekował – być może ze starości, a być może z nadmiernego obciążenia – jednak samochód niespiesznie ruszył przed siebie. Adam skłonił się nieznacznie Zaniewskiemu, gdy odjeżdżali.

Broniek odprowadził ich wzrokiem, a potem wyciągnął z kieszeni przetartej marynarki gniececiuchy. Zapalił jednego, zastanawiając się, jak długo będzie musiał czekać na powrót kierowcy. Nie wiedział, jak daleko znajduje się stacja kolejowa, ale z pewnością nie rzut beretem od obozu – w przeciwnym wypadku Balmoş nie fatygowałby się o załatwienie środka lokomocji.

Po godzinie Zaniewski przeklął w myśli decyzję o odstąpieniu miejsca Kiendremu. Początkowo nie miał takiego zamiaru, ale ostatecznie rozbrzmiało mu w głowie, że kapitan ostatni opuszcza statek. To on zorganizował ucieczkę – i to on był odpowiedzialny za tych ludzi.

Kolejna godzina przyniosła coraz większy niepokój. Broniek wypatrywał nadjeżdżającego samochodu, ale wokół niepodzielnie panował mrok nocy. Nasłuchiwał jakichkolwiek dźwięków, przejmująca cisza pozostawała jednak niezmacona.

Siedząc pod drzewem, nie odnotował nawet, kiedy zmorzył go sen. Zbudził się dopiero, gdy wschodzące słońce rzuciło na niego promienie. Skrzywił się i momentalnie poczuł przejmujący chłód. Potarł ręce i panicznie się rozejrzył, w pierwszym momencie nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Zaraz potem zrozumiał, że transport nie nadjedzie. Coś się wydarzyło i najwyraźniej było na tyle poważne, że towarzysze go porzucili.

METZ, LOTARYNGIA, FRANCJA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

O trzeciej po południu Thérèse Laroque, młoda pielęgniarka pracująca od roku w szpitalu Notre Dame de Bon Secours, westchnęła głośno. Zawahała się przed progiem sali, w której leżał Niemiec, a potem weszła do środka.

Wiedziała, że ten człowiek może sprowadzić na nich wszystkich kłopoty. Nie pokładała wiary w słowa, którymi trójka ludzi przekonała policję w Metz, że nie stanowią zagrożenia. Po tym, jak przywieźli tutaj rannego, oznajmili, że Polka jest jego narzeczoną oraz że razem zbiegli z Rzeszy w obawie o jej los.

Thérèse wystarczyło jednak krótkie spojrzenie w oczy pacjenta, by wiedzieć, że to jedynie zgrabna historyjka. Patrząc na wszystkich z wyższością, był oziębły i traktował szpitalny personel, jakby byli manekinami. Ani razu nie widziała, by się uśmiechnął czy choćby spojrzął na kogoś przychylniej.

Niechętnie go odwiedzała, inne pielęgniarki podobnie. Było w jego wzroku coś niepokojącego.

Ostatecznie jednak nie miała wyjścia. Teraz, kiedy jego stan się poprawił, lekarze nie zaprzęтали sobie głowy sprawdzaniem, jak sobie radzi. Ciężar czuwania nad nim spadł w całości na personel pomocniczy.

Thérèse otworzyła usta, by powitać Niemca, ale nagle zamarła. Łóżko było puste.

Natychmiast obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem ku korytarzowi.

– *Sachte* – rozległ się chłodny głos.

Zatrzymała się i rozejrzała po sali. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Niemiec musiał wstać z łóżka i ustawić się za drzwiami. Wyjrzała zza nich i zobaczyła, że stoi przy oknie z rękoma skrzyżowanymi za plecami.

Obrócił się i kiwnął do niej głową.

– Proszę się położyć – powiedziała.

Pacjent wzruszył bezradnie ramionami, jakby nic nie rozumiał. Wskazała mu łóżko, ale już tego nie widział, gdyż wrócił do kontemplowania widoku za oknem. Dopiero po chwili pielęgniarka zorientowała się, że nieco uchylił szybę. Wówczas dostrzegła srebrną papierośnicę na parapecie.

– *Keine Zigaretten*, proszę pana – odezwała się.

Leitner udawał, że nie słyszy. Odkąd się wybudził, czekał na sposobność, by wstać i wyjrzieć za okno. Miał serdecznie dosyć oglądania wnętrza szpitalnej sali i wolno przesuwających się chmur. Ledwo trzymał się na nogach, a gdy zapalił salema, zrobiło mu się jeszcze słabiej. Mimo to uznał, że było warto. Szkoda tylko, że chwilę spokoju zakłóciła mu ta nieznośna francuska pielęgniarka. Każda z nich patrzyła na niego z wyrzutem, jakby oczekiwały, że przy każdym spotkaniu będzie kłaniał im się w pas za to, że zjawiły się, by sprawdzić jego stan.

Spojrzał na papierośnicę, ale zanim zdążył wyjąć kolejnego salema, Francuzka znalazła się obok i zamknęła okno. Pogroziła mu palcem. Jemu! Oficerowi SS, który prędzej czy później ruszy na ten kraj wraz z resztą niemieckich sił.

Ujęła go za rękę i poprowadziła do łóżka. Nie protestował, wychodząc z założenia, że jakąkolwiek bajkę opowiedziała tym ludziom Maria, powinien zachowywać neutralność.

Położył się na łóżku i natychmiast opadł z sił. Nigdy nie przypuszczał, że znajdzie się w takiej sytuacji – przynajmniej nie w ten sposób. Trafienie do lazaretu po bitwie zawsze brał pod uwagę, choć jego podkomendni w oddziale twierdzili, że Hauptmanna nigdy nikt nie zaskoczy.

A jednak zaskoczył, i to nie podczas starcia. Wystarczyło niewielkie zamieszanie i obecność

kobiety, o której myślał stanowczo zbyt często, by trafił do szpitala. I pomyśleć, że to wszystko przez zwykłego kryminalistę, ukrywającego się pod pseudonimem Holzer.

Christian odsunął od siebie te myśli, uznając, że rozpamiętywanie przeszłości do niczego nie prowadzi. Skupił się na tym, co miał zamiar zrobić. Zaczął powoli układać pierwsze elementy konstrukcji, która miała sprawić, że dopadnie Johanna Blankenburga. Ledwo jednak dobrze zastanowił się nad tym, od czego zacząć, poczuł przemożną senność. Poddał się jej.

Zbudził się dużo później. Słońce już zachodziło, po pielęgniarce – ani jego papierosach – nie było śladu. Skierował wzrok w stronę okna i dostrzegł postać obróconą do niego tyłem. Zamrugał kilkakrotnie, nie dowierzając.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię. Był podstarzały i miał siwe, przerzedzone włosy.

– *Guten Abend, Obersturmführer* – powiedział bez emocji.

Leitner poruszył się, by sprawdzić, jakie ma możliwości obrony. Ciało nadal jednak odmawiało mu posłuszeństwa, a sił brakowało. Wycieczka do okna okazała się niezbyt dobrym pomysłem. Zmusił się do tego, by podciągnąć się do wezgłowia.

Usłyszał, że kolejna osoba wchodzi do pomieszczenia. Z trudem obrócił głowę w kierunku wejścia i zobaczył Marvina Rodemeyera. Dawny przyjaciel stanął obok starca i spuścił wzrok.

Christian świdrował spojrzeniem nieznanego.

– Kim pan jest? – zapytał, z frustracją słysząc, jak słabo brzmi jego głos.

– Raphael Alberts, pracuję dla rządu Jego Królewskiej Mości.

Leitner milczał, a Alberts skwitował to po chwili wymownym westchnieniem.

– Miło mi wreszcie pana spotkać osobiście, poruczniku – dodał.

I tym razem odpowiedziała mu cisza. Christian przeniósł wzrok na okno i zdawał się nie dostrzegać gości.

– Rozumiem, że powinienem dać sobie spokój z kurtuazją i przejść do rzeczy – podjął Brytyjczyk. – Tym bardziej, że moje informacje mogą pana zainteresować.

Niemiec zamknął oczy, ignorując Albertsa.

– Ufam, że pan słucha, poruczniku – dodał z lekkim uśmiechem Anglik. – Otóż wieści, które do mnie dotarły, pozwalają mi mniemać, że pańska rodzina została wprawdzie porwana przez człowieka nazwiskiem Blankenburg, jednak to nie on był pomysłodawcą.

Christian spojrzął na gościa. Przez moment krzyżowali wzrok niczym oręż.

– Po pierwsze, Rodemeyer ma opuścić salę – odezwał się w końcu Obersturmführer. – Po drugie, radzę kontynuować tylko, jeśli ma pan jakieś dowody na poparcie swoich tez.

Alberts otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać.

– W przeciwnym wypadku niech pan natychmiast opuści ten pokój – dodał Leitner.

Na reakcję nie musiał długo czekać. Starzec skinął na Marvina, a ten nie miał zamiaru dyskutować. Wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Raphael podszedł do łóżka i zajął miejsce na krześle.

– Postawmy sprawę jasno – odezwał się. – Nie jest pan w Rzeszy, poruczniku. Tutaj nie ma pan prawa wydawać rozkazów i...

– Do rzeczy.

Alberts skinął głową.

– Dobrze. Zatem muszę pana z przykrością poinformować, iż wedle zebranych przez nas informacji...

– Chyba nie rozumie pan, co mam na myśli.

Brytyjczyk uniósł brwi.

- Albo zacznij pan mówić konkretnie, albo uznaję tę rozmowę za skończoną.
- Naturalnie – odparł Alberts.

Po prawdzie Christianowi nie zależało na tym, by rozmówca przesadnie się spieszył. Wykorzystał tę okazję, by sprawdzić, jak bardzo zależy mu na jego współpracy. I najwyraźniej zależało mu wcale nielecho, skoro był w stanie znieść przerywanie sobie i wydawanie poleceń.

- Ustaliliśmy, że Blankenburg przyjmuje rozkazy od Cerbera.

Leitner zmarszczył czoło.

- Nie znam tego kryptonimu.
- Nie jest pan jedyny – odparł Raphael, prostując się na krześle. – To szef tajnej jednostki działającej blisko Hitlera.

- Jakiej jednostki?

- Myślę, że odpowiedź na to pytanie zna co najwyżej kilka osób w Rzeszy.

- A jednak wywiad brytyjski o niej wie? Niech pan da sobie spokój.

Christian odwrócił głowę w bok i podciągnął się jeszcze trochę.

- Muszę uprzedzić, poruczniku, że nie odpowiem na żadne pytanie związane z naszym źródłem osobowym.

Alberts na moment zamilkł.

- Jedyne, co mogę panu powiedzieć, to że Blankenburg dostaje rozkazy prosto od tego człowieka. Nie ma możliwości, by działał na własną rękę. Porwanie rodziny innego członka SS, nawet tak nie lubianego w środowisku, jak pan, byłoby niemożliwe bez rozkazu z góry.

- Jakies inne rewelacje ma mi pan do przekazania? Czy możemy na tym poprzestać?

- Owszem, mam. Rozkazy Cerbera podpisuje bezpośrednio Himmler lub nawet sam Hitler. Jak pan więc widzi, Blankenburga i pańskiego ukochanego Führera dzieli wyłącznie jedna osoba. Mówi to wiele o...

- Niech pan wyjdzie. Natychmiast.

Mimo że Leitnerowi nadal brakowało sił, jego głos już nie zdradzał słabości. Był chłodny i niepozostawiający pola do dyskusji. Brytyjczyk nie oponował. Podniósł się powoli, a potem opuścił pomieszczenie.

Rodemeyer czekał na Alberta w korytarzu, oparty o ścianę. Nie spodziewał się cudów i właściwie sądził, że przyjaciel wyrzuci Brytyjczyka już po kilku sekundach. Tymczasem rozmowa trwała chwilę dłużej. Gdy drzwi się otworzyły, Marvin wbił wzrok w Raphaela.

- Udało się? – zapytał, gdy Anglik do niego podszedł.

- Owszem.

- Zgodził się na współpracę? – spytał zdziwiony Rodemeyer.

- Jeszcze nie, jego lojalność jest zbyt głęboko zakorzeniona.

Marvin pokiwał głową w zadumie.

- Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek udało się go panu przekonać.

- Spokojnie, Rhodes, to wymaga czasu. Ale Niemcy zrobili nam niebywały prezent, uprowadzając jego rodzinę. Jeśli jest dla niego tak ważna, jak mówisz, prędzej czy później jego miłość do Adolfa wygaśnie.

Rodemeyer nie był przekonany.

- Zobaczysz, nie miną dwa dni, a zda sobie sprawę, że mamy wspólny interes w dotarciu do Blankenburga.

SAKSONIA, III RZESZA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Klaas wyciągnął sznur z samochodu i rzucił go na ziemię obok jeńca. Staszek podniósł wzrok i z zadowoleniem dostrzegł, że Blankenburg nadal krzywi się z bólu.

– Zobacz, Alex – odezwał się Johann. – Obserwuj, jak się cieszy. Niczym pies, który naszczał na dywan.

– Widzę, *Herr Obersturmführer*.

– Jak to możliwe, że ta rasa tak długo przetrwała?

– Nie tak długo – odparł Alexander. – Ich kraj istnieje raptem dwadzieścia jeden lat.

– No tak – przyznał Blankenburg. – To i tak wielkie osiągnięcie, zważając na to, jakimi są dzikusami. Ale ja również potrafię sięgnąć do pokładów dzikości. Utnę skurwielowi jaja, a potem wepchnę mu je do mordy, Alex.

– Z chęcią to zobaczę.

Staszek znów poczuł ciężki wojskowy but na plecach. Usłyszał, jak Niemiec wzywa Rufina. Nawet bez znajomości niemieckiego można było poznać, co znaczy słowo *Jude* – naziści wypowiadali je z taką odrazą, jakby usta miały im się pokryć ohydnymi bąblami.

– Najpierw pokażę ci coś innego – odezwał się do Klaasa oprawca. – Nauczyłem się tej sztuczki od Rosjan podczas Wielkiej Wojny. Mimo zgnilizny intelektualnej potrafią od czasu do czasu wpaść na coś dobrego.

Nadal przyciskając Zaniewskiego do podłoża, Johann wydał kilka krótkich komend. Kazał Rufinowi podnieść nogi jeńca i zgiąć je w kolanach tak, by pięty dotknęły pleców. Sam zaś pochylił się nad Polakiem i złapawszy go za włosy, pociągnął głowę w tył.

Zaniewski zawył z bólu, czując, jak nadwerżone mięśnie karku znów się napinają.

Blankenburg obwiązał mu sznurem szyję, po czym naciągnął linę i zrobił dwie pętle wokół kostek. Staszek wygiął się w łuk, dotykając podłoża zasadniczo tylko brzuchem. Z trudem przychodziło mu wytrwanie w tej pozycji i szybko oblał się potem. Krople natychmiast zrobiły się zimne, gdy uświadomił sobie, że rozluźniając mięśnie, udusi się.

Blankenburg przyglądał się Polakowi z zadowoleniem.

– Jak ci się podoba, Alex?

– Imponujące, *Herr Obersturmführer* – powiedział Klaas bez przekonania, co nie uszło uwadze dowódcy.

Alexander został wychowany w duchu nazistowskim. W wieku piętnastu lat wstąpił do Hitlerjugend, co przez długi czas wspominał jako najdonioślejszy moment w swoim życiu. Odnosił same sukcesy, a opiekunowie wieszczili mu szybką i udaną karierę w służbie Wodzowi. Był przyzwyczajony do tego, że nakazy moralności powinno traktować się z przymrużeniem oka, a zasady ignorować, jeśli zachodzi taka konieczność. Ukształtowały go przede wszystkim gry i zabawy w Hitlerjugend. Polegały one na zawodach między chłopcami, które rządziły się tylko jednym prawem – brakiem reguł. Wszystkie chwytły były dozwolone.

Obserwując jednak stopień okrucieństwa, jaki prezentował jego niegdysiejszy wzór do naśladowania i ideał oficera, Klaas stwierdził, że nazistowska młodzieżówka nie mogła go przygotować na coś takiego.

– Widzę, że ta metoda cię nie urzekła – przerwał jego rozważania dowódca. – Może nie rozumiesz, w czym tkwi piękno.

Alexander poprawił poły marynarki, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie było sensu zaprzeczać, Blankenburg widział, że przekroczył jego granicę tolerancji.

– A powinno ci się to spodobać. Wiesz dlaczego?

Klaas otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać.

– Otóż polski pies dostał od nas prezent w postaci decydowania o własnym życiu.

– Tak?

– Przyjrzyj się, Alex. Jego przetrwanie zależy od siły mięśni. Jeśli nie będzie umiał utrzymać nóg w takiej pozycji i opuści je, sam zaciśnie pętlę na swojej szyi. To samo nastąpi, jeśli przestanie odginać głowę.

– To rzeczywiście wymyślne.

Johann Blankenburg poklepał Staszka po plecach.

– Zazwyczaj na tym etapie przyjmujemy zakłady. Ile według ciebie wytrzyma? Moim zdaniem góra kilkanaście minut.

– W takim razie nie ma się o co zakładać. Podzielam pana zdanie.

Z każdą kolejną sekundą coraz trudniej było Staszкови wytrwać w tej pozycji. Początkowo sądził, że zdoła wytrzymać najwyżej minutę, ale szacunek okazał się pesymistyczny – minęło ich już kilka.

Naraz jednak zaczął kaszleć i mieć trudności z przełknięciem śliny. Uświadomił sobie, że to sygnał ostrzegawczy. Mięśnie zaczynały odmawiać mu posłuszeństwa. Szybko odchylił głowę w tył, ale złapał go skurcz w karku. Szarpnął nogami w kierunku pleców, ale niewiele mógł już zrobić.

Podniósł wzrok na Niemców i ze zgrozą przekonał się, że patrzą na jego zmagania, jakby obserwowali dobre widowisko.

Uświadomił sobie, że to ostatnie chwile jego życia.

Nie mógł liczyć na ratunek. Znajdował się w samym sercu Rzeszy, najbliższych sojuszników mógł szukać dopiero kilkaset kilometrów stąd. Maria i Elisa z pewnością będą starały się go odnaleźć – był pewien, że zbiegły z Louvigny zaraz po tym, jak pojawili się tam Niemcy. Nigdy jednak nie znajdą nawet jego ciała.

– Dlaczego... – wychrypiał.

Blankenburg cisnął papierosa w śnieg, po czym niespiesznie podszedł do Staszka, zmruczył oczy i nachylił się do niego.

– Was? – zapytał Niemiec.

– Dlaczego?

Blankenburg podniósł się i wzruszył ramionami.

– Co on tam szczeka? – spytał Rufina.

– Pyta dlaczego.

– Dlaczego co? Dlaczego urodził się podczłowiekiem?

– Nie wiem, proszę pana.

– To go zapytaj, Żydzie.

Rufin przykucnął obok i z przerażeniem spojrzął na przekrwione oczy jeńca.

– Nie podoba mi się, że mówi do mnie po polsku – dodał Blankenburg, a potem zamachnął się i kopnął Zaniewskiego w żebra.

Staszek machinalnie się zgiął i poczuł, jak pętla zacisnęła się na szyi. Wiedział, że ten niezbyt mocny cios mógł okazać się dla niego śmiertelny. I że kolejny z pewnością już taki będzie.

Słyszając śmiech Johanna, czuł, jak opuszczają go siły. Mógł utrzymać nogi w tej pozycji stosunkowo długo, problem stanowił mocno nadwerężony kark. Oblała go fala gorąca, gdy

uświadomił sobie, że zaczął się trząść. Rozpoczęła się walka z samym sobą.

Staszek błędził myślami po najbardziej nierealnych scenariuszach ratunku. Panika zdawała się w nim narastać, osiągając wcześniej nieznane rozmiary, aż w końcu pękła jak balon, pozostawiając miejsce ciszy i spokojowi. Gdy jego myśli zaczęły wreszcie się układać, podążały wyłącznie w jednym kierunku – Marii.

Pomyślał o tym, jak wydał całe swoje oszczędności i zaciągnął dług u ojca, by zakupić dla niej pierścionek. Przypomnił sobie datę dziesiątego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku – niedzielę, gdy mieli stanąć na ślubnym kobiercu. Ze smutkiem stwierdził, że nie wie nawet, co wtedy robili i gdzie byli. Podczas ucieczki z Warszawy stracili poczucie czasu, pochłonięci zapobieganiem na bieżąco problemom, które wciąż się nawarstwiały. W końcu uznał, że musieli wtedy znajdować się gdzieś niedaleko Sochaczewa.

Cofnął się myślami w spokojniejsze czasy.

Przed oczami przemykały mu obrazy z wielu wieczorów, które spędzali w „Café Adria”, sącząc kawę Pluton i delektując się swoim towarzystwem.

Poczuł, jak sznur zacieśnia mu się na szyi, a powieki powoli opadają.

Klaas przestąpił z nogi na nogę, z niepokojem obserwując to, co się działo. Wiedział, że dowódca nie pozwoli Polakowi umrzeć, ale z lubością doprowadzi go na skraj śmierci. Gdyby postąpił inaczej, złamałby bezpośredni rozkaz od swojego przełożonego, by dostarczyć jeńca do obozu.

– Jak długo jeszcze będziemy go tak męczyć, *Herr Obersturmführer*? Zaraz straci oddech.

– Co takiego, Alex?

– Jeniec, on...

– Widzę doskonale, co się dzieje – zganił go Johann. – Sądziysz, że to jakaś zabawa?

– Myślałem, że mieliśmy go umieścić w obozie jako przykład dla innych Polaków...

– Taki był zamysł.

Klaas popatrzył pytająco na dowódcę.

– Ale precyzyjnego rozkazu nie otrzymaliśmy.

– Nie?

– Oczywiście, że nie.

Klaas z niepokojem spojrział na Polaka, nie mając pojęcia, co dzieje się w głowie dowódcy. Wcześniej twierdził, że wydane polecenia były dość jasne.

– Czyli...

– Czyli obserwuj, bo docieramy do najlepszego momentu.

Alexander niechętnie spojrział na Zaniewskiego, który właśnie zamknął oczy. Rozluźnił mięśnie, a nogi i szyja zawisły bezwładnie po obu stronach sznura.

Blankenburg wciągnął głęboko powietrze i wyprostował się, jakby dopiero teraz mógł odetchnąć pełną piersią. Uśmiechnął się szeroko i zbliżył do więźnia.

Klaasowi przeszło przez myśl, że nie bez powodu dowódcę łączą więzy krwi z seryjnym zabójcą. Człowiek, który znany był teraz jako Holzer, ileś lat temu siał strach na terytorium Rzeszy, a potem znikł. Wojna jednak sprzyjała bestiom. Teraz wynurzył się ze swojej nory, podobnie jak Blankenburg.

– *Herr Obersturmführer*...

– Tak, Alex?

– Jeśli zaraz go nie odwiążemy...

– Jestem zawiedziony – odparł Johann, choć bynajmniej na takiego nie wyglądał. – Sądziłem, że się zrozumieliśmy. Nie ma powodu, by kiedykolwiek go rozwiązywać.

Alexander był gotów w każdej chwili dopaść do Polaka i przeciąć sznury, ale najwyraźniej nie powinien liczyć na pozwolenie. Dowódca rzeczywiście podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać.

Blankenburg wyciągnął paczkę papierosów, dobył jednego i oblizał usta. Skinąwszy na podkomendnego, wsiadł do samochodu.

Klaas stał jak rażony piorunem, patrząc na uduszonego Polaka. Potem spuścił wzrok i zajął miejsce obok dowódcy.

OKRĘG VÁLCEA, RUMUNIA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Bronek pocierał ręce, starając się pobudzić krążenie. Usiadł po turecku, ogrzewając stopy, ale na niewiele się to wszystko zdało. Każdy podmuch wiatru był jak smagnięcie bicia, który ślizgał się po całym jego ciele.

Nie mógł uwierzyć, że nikt po niego nie wrócił. Nawet jeśli jego towarzysze zostaliby zatrzymani przez Rumunów, kierowca z pewnością postarałby się ocalić choć jednego ze znajomych Balmoşa. A jeśli i on zostałby ujęty, zainteresowano by się całą sprawą i wyduszono z niego, że jeszcze jeden Polak czeka pod lasem. Ktoś zjawiłby się, by odstawić go do obozu.

Zaniewski przeklął się w duchu za oddanie miejsca Kiendremu. Poczul irracjonalny przypływ odpowiedzialności za tego człowieka, a nie miał ku temu podstaw. Byli równi stopniem, sytuacja mogłaby być więc odwrotna.

Podniósł się, uznawszy, że nie ma sensu tego roztrząsać. Spojrzał na boki, zastanawiając się, jaki kierunek powinien obrać. W końcu ruszył w lewo, sam nie wiedział dlaczego.

Powoli tracił czucie w opuszkach palców, co specjalnie go nie dziwiło. Noc spędzona na takim ziąbie musiała zebrać żniwo. Za dobry omen wypadało jednak przyjąć, że nadal żyje i może chodzić. Problem stanowił brak wody i jedzenia.

Szedł przez rachityczny las, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków świadczących o tym, że gdzieś w okolicy znajduje się cywilizacja – silnika samochodu, motoru czy choćby odgłosów rąbania drewna.

Nie usłyszał nic, poza przeciągłym rykiem. Pomyślałby pewnie, że to dzikie zwierzę, gdyby nie to, że dźwiękowi towarzyszyło uczucie wielkiej pustki w żołądku. Przełknął ślinę i przyspieszył kroku, próbując się rozgrzać.

Obozowe życie nie należało do najłżejszych, wciąż brakowało jedzenia, a chłód w barakach doskwierał nieustannie. Zaniewski nie pamiętał, kiedy ostatnio zjadł porządny posiłek – i przypuszczał, że nieprędko będzie miał taką okazję.

Przemknął mu przez myśl befsztyk tatarski na surowo, znienawidzone przez braci danie, które ich matka przygotowywała dość często dla ojca. Teraz zabiłby za kawałek ohydneho mięsa, choć za młodu ze Staszkiem przierzucali sobie kawałki na talerz.

Westchnął, dochodząc do wniosku, że najlepiej nie myśleć o jedzeniu. Ani o rodzinie, na dobrą sprawę. Tylko katowałyby się świadomością własnej bezsilności.

Stawiał ostrożnie kroki, przedzierając się przez las. Starał się wybierać miejsca, gdzie nie zapadnie się w śnieg. Przemoczenie butów równałoby się odmrożeniu stóp. W zimie zasadniczo nie sam chłód był największym przeciwnikiem człowieka, a wilgoć – wraz z mocnym wiatrem stanowiła śmiertelną mieszankę.

Słońce zaczynało operować coraz mocniej i wyłysiałe korony drzew nie zapewniały żadnej

ochrony. Promienie nieznośnie odbijały się od śniegu i oślepiały Bronka. Oczy szybko się zmęczyły i sierżant kilka razy stracił koncentrację. Po godzinie buty i ciepłe onuce miał już zupełnie przemoczone. Potem dostrzegł kryształki lodu na obuwiu.

Po kilku godzinach świszczący w oddali wiatr zaczął działać na Bronka usypiająco, a narastające zmęczenie spowodowało, że postanowił znaleźć sobie miejsce do odpoczynku. Rozgarnął trochę śniegu, a potem usiadł pod drzewem. Nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Obudził się już przed zmrokiem i uznał, że nie ma sensu iść nocą przez las. Najlepiej było przespać się jeszcze kilka godzin, zgromadzić siły, a o świcie ruszyć dalej. Jedyne, czego potrzebował, to ogień.

Podniósł się z trudem, a potem zaczął obchodzić okolicę, szukając chrustu. Pourywał trochę wątych gałęzi, ułożył je tam, gdzie wcześniej rozgarnął śnieg, a potem dodał do tego grubsze kawałki drewna. Okazało się jednak zbyt mokre. Broniek podjął kilkadziesiąt prób wykrzesania iskry, nim zwątpił w swoje wysiłki.

Rozejrzał się za korą brzoźową, która paliła się w niskich temperaturach i stanowiła idealną rozpałkę, nie tylko w trudnych warunkach. Nigdzie jednak brzoź nie dostrzegł. Zrezygnowany, cisnął patyki na igliwie i zaklął głośno.

Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w stos opału, czując, jak ciało oplatają mu dreszcze. W końcu zmytygował się, że źle zabrał się do rozpalania. Chrust nie może mieć kontaktu z podłożem. Powinien ustawić niewielką konstrukcję, by oddzielić rozpałkę od chłodu ziemi.

Zebrał najbardziej suche drewno, jakie udało mu się znaleźć, a potem ułożył je na igliwiu i dopiero na nim umieścił chrust. Mrok opadł już zupełnie, a noc była jeszcze ciemniejsza niż podczas wyjścia z obozu.

Czuł, że powieki robią mu się coraz cięższe. Tarł gałęzią o gałąź, jednak efektu nadal nie było. W końcu pojawiła się iskra. Krzyknął z radości i zabrał się do roboty ze zdwojoną mocą.

Po chwili zajęła się podpałka, a potem jeden z większych kawałków drewna. Broniek odetchnął z ulgą, czując ciepło na rękach. Pożałował, że za dnia nie złapał choćby małego leśnego zwierzęcia. Teraz obracałby je powoli nad ogniem i czekał na kolację.

Z tą myślą jakiś czas później zapadł w niespokojny sen.

Na dobre obudził się rankiem. Na niebie znów nie było ani jednej chmurki. Ognisko dawno wygasło i Zaniewski znów czuł, jak oplata go zimno. Uderzył się w jeden i drugi policzek, a potem podniósł. Miał wrażenie, że jego żołądek się zapadł.

Broniek ruszył przed siebie z nadzieją, że prędzej czy później trafi na jakieś truchło. Gdzieś niedźwiedź czy inny drapieżnik musiał dorwać sarnę lub dzika. Być może uda mu się znaleźć choćby kawałek mięsa.

Tego dnia jednak nie natknął się na żadne zwierzęta.

Gdy o zmroku zasypiał pod kolejnym drzewem, nie udało mu się rozpałcić ogniska. Nie miał siły szukać suchej rozpałki, tego dnia zresztą padał śnieg.

Z przerażeniem przekonał się, że stracił czucie w palcach. Zastanawiał się przez chwilę, a potem ściągnął but i skarpetę. Palce miał białe, nieznacznie spuchnięte. Dotknął ich po kolei, by upewnić się, że nic nie czuje. Potem z powrotem założył obuwię i wstał.

Nie miał siły iść, ale nie zamierzał zostać tutaj ani chwili dłużej.

Przez całą noc przedzierał się przez las, potykając się i zataczając od drzewa do drzewa. Z trudem potrafił wyłowić cokolwiek z mroku, kilka razy wyłożył się na wystających konarach przysypanych śniegiem.

W końcu w niemrawym świetle księżycy zobaczył prześwit. Wiedział, że patrzy na polanę...

albo na pole. Jeśli była to druga ewentualność, dotarł do skraju lasu. Wiedziony nadzieją, przyspieszył kroku.

Manewrując między drzewami, jakby był pijany, w końcu dotarł do linii drzew. Wypadł na rozległe pole, w oddali dostrzegł niewielkie zabudowania. W jednym z okien tliło się chybottliwie światło.

Zaniewski uniósł ręce w geście zwycięstwa i zrobił krok naprzód. Nogi odmówiły mu jednak posłuszeństwa. Upadł na kolana i przez moment trwał w bezruchu, walcząc ze swoim ciałem.

W końcu się poddał. Upadając, zdołał jeszcze się obrócić, by paść na plecy.

Zamknął oczy. Naraz wydało mu się, że zrobiło się jasno, jakby słońce wzeszło tuż ponad nim i rozwiało mrok nocy. Zamrugął kilkakrotnie i przekonał się, że w istocie tak jest. Na tle słonecznej tarczy dostrzegł jakąś postać. Stała nad nim i przyglądała mu się.

– Co tak leżysz? – rozległ się głos jego brata.

Bronek uśmiechnął się.

– Zmęczyłem się – odparł.

Przez moment zastanawiał się, co się dzieje, ale jego umysł szybko przyjął, że wszystko jest w porządku.

– Wstawaj.

– Daj mi spokój. Nie mam już siły.

– Jeszcze trochę musisz z siebie wykrzesać – zaproponował Staszek. – Widziałeś wioskę, to już niedaleko.

– Sam idź. Zawołaj kogoś, żeby mi pomógł. Ja już dalej nie dam rady.

– Chętnie, ale mnie tu nie ma.

Bronek popatrzył na niego niepewnie. Zastanowił się przez chwilę i utkwiał wzrok w prawie bezchmurnym niebie. Przeniósł go z powrotem na brata i powiedział:

– Więc gdzie jesteś, młody?

– Daleko stąd.

– Ale ja cię widzę.

– Bo masz halucynacje. Wysoki stopień hipotermii powoduje zaburzenia myślenia. Twój organizm...

Bronek machnął ręką, nie słuchając dalszych wywodów brata. Chwilę później całkiem stracił przytomność.

METZ, LOTARYNGIA, FRANCJA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

Maria i Elisa siedziały w milczeniu w kawiarni przy rue des Piques, gdzie umówiły się na spotkanie z Rodemeyerem. Cała trójka miała wspólnie opracować plan działania oraz ocenić, w jakim stopniu Christian Leitner będzie sojusznikiem, a w jakim wrogiem. Marvin spóźnił się już ponad kwadrans, a kawa, którą zamówiła Maria, zupełnie wystygła. Ponieważ kuzynki porozumiewały się z trudem, obie przywykły do ciszy – przestała być dla nich niewygodna. Maria właściwie cieszyła się, że w takich sytuacjach może być sama z własnymi myślami. Utkwiła wzrok za oknem, choć tak naprawdę nie dostrzegała ludzi i samochodów, które przemykały po ulicy. We Francji życie biegło normalnym torem, nikt nie miał zamiaru zamartwiać się tym, co dzieje się na wschodzie.

Tymczasem Warszawa została zbombardowana, Żydzi byli traktowani gorzej niż bezpańskie kundle, a Niemcy zachowywali się, jakby podbili nie inny cywilizowany naród, a plemię dzikusów. Maria wiedziała, że dobrze zrobili ze Staszkiem, uciekając ze stolicy. Choć i podczas

swej drogi doświadczyli więcej okrucieństwa niż niejedyn człowiek przez całe życie.

Wodząc wzrokiem za niewielkim renault juvaquatre, myślała o narzeczonym. Zastanawiała się, czy istniała jakakolwiek szansa, by wyrwał się ze szponów Blankenburga. Może wyskoczył z pędzącego samochodu, a potem popędził przed siebie, we właściwym sobie tempie? Nie bez powodu przed wojną interesował się nim Polski Związek Lekkiej Atletyki.

Była to myśl tyle naiwna, co krzepiąca. Może udało mu się uciec w inny sposób? A jeśli tak, to może zdołają go odnaleźć. Istniało kilka miejsc, w których mogliby się spotkać – Louvigny czy wieś przy granicy, gdzie pochowali szwajcarskiego chłopca...

– Myślisz o Stanie? – odezwała się Elisa łamanym niemieckim.

– Nie znoszę tej wersji jego imienia.

Kuzynka zdawała się nie rozumieć.

– Myślisz, że żyje?

– Co to za pytanie?

– Przepraszam, źle... źle się wyraziłam – odparła zmieszana Elisa.

Polka przez moment milczała. W końcu oderwała wzrok od przechodniów i spojrzała na dziewczynę.

– Oczywiście, że żyje – powiedziała. – Zaniwscy są twardzi, choć nie u wszystkich widać to już na pierwszy rzut oka.

Francuzka pokiwała głową.

– Znajdziemy go – zapewniła.

Maria uśmiechnęła się do niej ciepło, doceniając próbę podniesienia jej na duchu. Potem popatrzyła na zegar stojący w rogu kawiarni. Półgodzinne spóźnienie nie mogło wieszczyć niczego dobrego.

Elisa również spojrzała na zegar.

– Może coś mu wypadło – podsunęła.

– Albo Christian go zabił i właśnie zakopuje ciało.

Godzinę przed umówionym spotkaniem w kawiarni Rodemeyer stanął przed szpitalem Notre Dame de Bon Secours i wziął głęboki wdech, tocząc wzrokiem po schodach. Pochylił głowę i powoli zaczął pokonywać kolejne stopnie. Wszedł do szpitalnego gmachu i skierował się na pierwsze piętro, po drodze mijając pielęgniarkę, która żywiła do jego przyjaciela nieskrywaną antypatię. Ukłonił jej się i przyjaźnie uśmiechnął, a ona odwzajemniła ten gest.

Stanął przed salą, w której leżał Leitner. Zapukał kilkakrotnie i odczekał parę sekund. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, wszedł do środka.

Christian obrzucił go chłodnym spojrzeniem, po czym bez słowa odwrócił głowę. Rodemeyer nie miał wątpliwości, że gdyby znajdowali się na terenie Rzeszy, przyjaciel zachowałby się zgoła inaczej – zrobiłby wszystko, by umieścić go za kratami.

Świadomość, że Marvin jest Żydem, to jedno, ale informacja, że pracuje dla wywiadu obcego państwa, to już zupełnie co innego. Rodemeyerowi przemknęła przez głowę niepokojąca myśl, że gdyby wrócili do kraju, Leitner zabiegałby o to, by samemu wymierzyć karę śmierci.

Wzdrygnął się i poczuł, jak ślina grzęźnie mu w gardle. Odchrząknął, przygotowując się do zrobienia tego, po co tu przyszedł.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie działałem na twoją niekorzyść. – Marvin zbliżył się do łóżka. – Nigdy nie dostarczałem im żadnych informacji, które mogłyby zagrozić tobie czy twojej karierze.

Cisza ze strony Leitnera mówiła więcej niż tysiąc słów.

– Wiem, że czujesz się zdradzony, ale...

– Nie, Marvin. Zdradziłeś przede wszystkim Rzeszę.

Przez moment milczeli. Rodemeyer był zaskoczony, że przyjaciel w ogóle zdecydował się odezwać.

– Rzesza zdradziła mnie pierwsza – powiedział. – Wiesz dobrze, co robi się z Żydami. Nie jesteś ślepy, musisz dostrzegać to bestialstwo.

Leitnerowi nadal w głowie rozbrzmiewały słowa Marii, które rzuciła na odchodnym. Gdy opuszczała jego pokój, czuł jedynie złość i rozczarowanie. Spodziewał się po niej, że nie podda się tak łatwo emocjom. Poza tym nigdy nie dał jej podstaw, by traktowała go jako jednego z tych fanatyków, którzy ślepo wierzą w propagandę, którą mają szerzyć.

Przeciwnie, kierował się zdrowym rozsądkiem. Wiedział, że po Wielkiej Wojnie Europa potrzebowała nowej koncepcji politycznej. Liga Narodów się nie sprawdziła, była zbyt słaba. Owszem, udało jej się zażegnać kilka konfliktów, jak podczas mediacji między Polską a Czechosłowacją, gdy oba kraje kłóciły się o złoża węgla. Na dłuższą metę jednak niewiele więcej mogła osiągnąć.

Tymczasem Rzesza mogła wszystko. Mogła wystąpić jako sternik nowego ładu.

Państw europejskich nie stać było dłużej na to, by lawirować w próżni, zdane same na siebie. A jednocześnie przeszłość pokazała, że nie potrafią dobrowolnie współpracować. Potrzebny był bat – stabilny alians polityczny, rządzony żelazną ręką. Ta ręka należała do Adolfa Hitlera.

Christian dostrzegał jednak, że popełniono pewien błąd. W pełni rozumiał, dlaczego Führer wykorzystywał propagandę na drodze do zdobycia władzy. Teraz jednak powinien zmienić taktykę – do prowadzenia wojny potrzebne były inne narzędzia. Nie można przyrzędzić pierwszego dania i deseru z tych samych składników, bez względu na geniusz kucharza.

– A może jednak jesteś ślepy? – odezwał się Rodemeyer.

Leitner milczał.

– Może, podobnie jak szare masy, oślepiła cię charyzma tego szaleńca?

Nie mógł dziwić się dawnemu przyjacielowi. Emocje kazały mu formułować takie osądy – i Christian na jego miejscu zapewne byłby równie krytyczny. Marvin doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co spotykało Żydów w Rzeszy i na podbitych terenach. Nienawidzili Wodza, bo musieli znaleźć punkt zaczepienia, personifikację wszystkich doznanych krzywd. Ale był to błąd.

– Zwyrodnialcami są ludzie pokroju Blankenburga – podjął Obersturmführer. – Ludzie, którzy wykorzystują wizerunek i dobre imię Führera do swoich celów.

Rodemeyer pokręcił głową.

– Kiedy się obudzisz? – zapytał.

Leitner westchnął. Ta rozmowa nie miała najmniejszego sensu.

– Kiedy wreszcie przejrzysz na oczy? – ciągnął Marvin. – Brzmisz jak naiwne dziecko. Myślisz, że wszyscy wokół Hitlera działają bez jego wiedzy? Bez jego poleceń? Blankenburg dostaje rozkazy prosto z Berlina.

Rodemeyer zrobił długą pauzę, czekając na odzew.

– Te rozkazy dotyczyły porwania twojej rodziny, do cholery!

– Wyjaśnię tę sprawę – odparł służbowo Christian.

– A ja chcę ci w tym pomóc.

– Ty? Ty pomagasz teraz Wielkiej Brytanii, Marvin.

Słowne przepychanki trwały przez ponad godzinę. Rodemeyer postanowił, że nie da za wygraną, choć trudno było spierać się z człowiekiem, który dysponuje żelaznym głosem i pewnością siebie. Mimo to podawał w wątpliwość każdy argument przedstawiany przez Leitnera. Nigdy wcześniej tego nie robił, była to pierwsza tak szczerza rozmowa między nimi.

– Na moim miejscu zrobiłbyś dokładnie to samo – powiedział w końcu Marvin.

– Wątpię.

– Doprawdy? Więc jak rozwiązałbyś tę sytuację? Z pewnością nie patrzyłbyś z uwielbieniem na Hitlera, podczas gdy członków twojej rodziny chowano by w anonimowych grobach?

Christian milczał.

– Co byś zrobił?

– Nie wiem – przyznał Leitner. – Ale z pewnością znalazłbym honorowy sposób.

Przez chwilę patrzyli na siebie i Rodemeyer uznał, że w oczach przyjaciela nie ma już tyle pretensji, co wcześniej.

– Jedyne, o co proszę, to możliwość, by wam towarzyszyć – dodał Marvin.

– W jakim celu?

– Chcę dopaść tego człowieka. Tak samo jak ty.

Przekonywanie trwało jeszcze jakiś czas, ale z każdą upływającą minutą Rodemeyer dostrzegał postęp. W końcu był już pewny, że przyjaciel pozwoli mu wraz z nimi ruszyć w pogoń za Blankenburgiem.

– Mam jeden warunek – oznajmił Christian.

– Jaki?

– Nie będziesz w tym czasie składał jakichkolwiek raportów MI6.

– Zgoda.

– I będziesz miał świadomość tego, że dawny Marvin dla mnie umarł.

– Rozumiem.

– Nie jesteś tym człowiekiem, którego miałem za przyjaciela.

Rodemeyer pokiwał głową. Wiedział, że ta rozmowa zakończy się w ten sposób i był gotów na bardziej cierpkie słowa.

– Jeśli zobaczę, że działasz na szkodę Rzeszy, nie zawaham się.

– Wiem.

– I jeszcze coś, Marvin – dodał Obersturmführer. – Jeśli odkryjemy jakiegokolwiek drugie dno działalności tego degenerata, ja postanowię, ile upublicznimy.

Porucznik pokiwał głową, wiedząc, że nie ma nic do gadania. Prawdę mówiąc, wiedział także, że Leitner może odgrywać przed nim teatrzyk. Mógł zgodzić się na zabranie go ze sobą tylko po to, by własnoręcznie dostarczyć go przed oblicze sprawiedliwości.

Sytuacja wymagała jednak, by Marvin i na to przystał.

Rozmowę przerwało im pukanie do drzwi. Christian skrzywił się na myśl, że znów pojawi się tu francuska pielęgniarzka. Po chwili Thérèse przeszła przez próg i posłała Marwinowi szeroki uśmiech.

Leitner mruknął coś pod nosem.

– Co mówisz? – spytał Rodemeyer.

– Słusznie, że się do siebie uśmiechacie. W końcu jesteście sojusznikami.

Rodemeyer zdawał się zaskoczony lekkim tonem. Podciągnął mankiet i spojrzawszy na zegarek, uświadomił sobie, że spędził w szpitalu za dużo czasu.

– Muszę iść – oznajmił, wstając z krzesła.

– Najwyższa pora. Zapytaj jeszcze tylko tę kobietę, kiedy mnie wypuszczą.

Od Thérèse nie udało mu się zyskać zbyt wielu informacji. Wedle jej najlepszej wiedzy Leitner miał spędzić jeszcze kilka dni przykuty do łóżka, zanim będzie można mówić o jakiegokolwiek podróży. Podkreśliła jednak, że ostatecznie wszystko w rękach lekarzy i być może ten okres się wydłuży.

Przetłumaczywszy wszystko, Rodemeyer ruszył do drzwi.

– Poczekaj – zatrzymał go Leitner.

Szpieg zatrzymał się w progu i odwrócił.

– Załatw papiery – polecił Obersturmführer. – Zadbaj o przejście przez granicę i o środek transportu.

– Nie będzie z tym problemu, Christian.

Leitner kiwnął głową, przeklinając w duchu brytyjskie MI6 i całą sytuację, w którą został wplątany on i jego rodzina. Na tym etapie niewiele rozumiał. Przypomniawszy sobie jednak, że na początku wojny spotkał w Rawitschu dwóch gestapowców, którzy sprawiali niepokojące wrażenie już samą swoją obecnością – tacy jak oni nie powinni znajdować się na terenie działań frontowych oddziałów wojska.

Christianowi przemknęło przez myśl, że ci ludzie mogą być związani z SD. W końcu Gestapo wykonywało jedynie polecenia kierownictwa Sicherheitsdienst. Funkcjonariusze zresztą nie bez powodu nosili romby z napisem „SD” na mundurach.

Ale dlaczego komukolwiek w strukturach służb bezpieczeństwa miałyby zależeć na uprowadzeniu jego rodziny? Mógł wyobrazić sobie, że zrobiła to bestia wiedziona prymitywnymi pobudkami, ale żeby rozkaz wydał ktoś z Berlina? W dodatku nie byle kto. Zapewne znaczące było to, że ukrywał się pod pseudonimem Cerbera, mitycznego trójgłowego psa, który strzegł wejścia do zaświatów.

OKOLICE ZWICKAU, III RZESZA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

– Jak ci się podobało, Alex? – zapytał Blankenburg, moszcząc się w samochodzie.

– Niezwykle pomysłowe, *Herr Obersturmführer*.

Johann spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Uważasz, że Polak na to nie zasługiwał?

– Nic z tych rzeczy.

Blankenburg nie miał zamiaru dłużej znosić wykrętów podkomendnego. Westchnął teatralnie, obracając się do Klaasa.

– Myślisz, że nie widzę twojej słabości? – zapytał. – Do kurwy nędzy, rzygam już tym. Współczujesz każdemu psu, któremu ucinamy choćby kawałek ogona.

Alexander sprawiał wrażenie, jakby chciał się wytłumaczyć, ale Johann nie dał chłopakowi szansy. Poklepawszy go po plecach, dodał:

– Weź się w garść, masz być elitarnym żołnierzem.

– I chcę nim być. Chodzi tylko o to, że czasem zastanawiam się...

– To się nie zastanawiaj.

– Tak jest.

– A teraz patrz i się ucz.

Blankenburg opuścił szybę i przywołał stojącego obok Rufina.

– Na co czekasz, Żydzie? – zapytał, patrząc na zegarek. – Jak zaraz nie zaczniesz w niego dmuchać, zdechnie.

Tłumacz spojrział skołowany na Staszka, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Niemca.

– Widzisz, jak oni nic nie rozumieją? – mruknął Blankenburg.

– Widzę.

Obersturmführer znów zwrócił się do Żyda.

– Przyklej się do jego ust, no już!

Chłopak potrząsnął głową i dopiero teraz dotarło do niego, że właśnie otrzymał przyzwolenie, by podjąć próbę ratunku udręczonego Polaka. Momentalnie do niego dopadł, zdawszy sobie sprawę, że każda sekunda jest na wagę złota. Kilka minut z zaciśniętą na szyi pętlą wystarczy, by przez niedotlenienie mózgu zaszły nieodwracalne zmiany, nawet jeśli uda mu się odratować jeńca.

Klaas wyszedł z samochodu i zbliżył się do Rufina, który robił wszystko, by rozwiązać sznury, nim zacznie resuscytację. Wiedział, co należy zrobić – widział kiedyś, jak lekarz ratował tonącego człowieka. Przypuszczał, że zasady będą takie same.

Niemiec wyciągnął sztylet, a potem rozciął więzy. Chłopak natychmiast położył Staszka na plecach i przystąpił do akcji reanimacyjnej. Na zmianę wdmuchiwał mu powietrze do ust i uciskał klatkę piersiową, wkładając w to więcej siły, aniżeli było to potrzebne. Uznał, że połamane żebra będą najmniejszym zmartwieniem Zaniewskiego, jeśli ten w ogóle się obudzi.

Rufin nie miał odpowiedniego przeszkolenia, ale szybko przekonał się, że jego paniczne zabiegi przyniosły efekt. Staszek otworzył szeroko oczy i złapał haust powietrza. Wbił przerażone spojrzenie w chłopaka i sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

Jego mętny wzrok stał się wyraźniejszy, gdy popatrzył na stojącego nad nim Obersturmführera.

– Jak tam po drugiej stronie? – zapytał wesoło Blankenburg, wyciągając papierosa. Zapalił, czekając na odpowiedź. Kiedy jej nie otrzymał, szturchnął Polaka nogą. – Mowę ci odjęło?

Zaniewski otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie dobył głosu. Niemiec pochylił się nad nim i wypuścił mu dym prosto w twarz.

Staszek nie był w stanie zebrać myśli. Przez moment wydawało mu się, że wie, co się dzieje wokół, ale już chwilę później odniósł wrażenie, jakby znajdował się za grubą, matową szybą. Zniekształcony głos Blankenburga próbował się przez nią przedrzeć, ale bez powodzenia. Jeszcze przed momentem malowały mu się przed oczami obrazy spod dziwnego, kubistycznego pędzla, których znaczenia nie rozumiał. Teraz znów zaczynał je widzieć, ale raz po raz objawiał mu się rzeczywisty świat.

Lucida intervalla. Jasne przerwy, momenty świadomości.

Zaniewski potrząsnął głową, a przynajmniej wydawało mu się, że to zrobił. Przez moment widział nad sobą znieawidzone oblicze, potem znów wróciły kubistyczne, kolorowe kształty.

Lucida intervalla. „Występują w niektórych chorobach psychicznych i innych zaburzeniach umysłu. Sprowadzają się do przejściowych okresów oprzytomnienia, gdy umysł działa normalnie”.

Była to definicja z jednej z książek, które czytał na studiach. Staszek nie potrafił sobie przypomnieć, kto był autorem tego opracowania. Alzheimer? A może Bleuer, twórca pojęcia schizofrenii? Nie, pewnie Freud, to on rozdawał karty w tej dziedzinie.

W uszach pobrzmiwał mu irytujący szum, który zdawał się stale narastać. Momentami udawało mu się wyłowić z niego pojedyncze słowa, wypowiedane po niemiecku. Starał się przeciągnąć każdą „jasną przerwę” i okiełznać dezorientację, ale przychodziło mu to z trudem. Z pewnością nie pomagał Blankenburg, który co jakiś czas trącał go nogą, jakby chciał się upewnić, czy chłopak żyje.

W końcu Zaniewski zacisnął pięści i zebrał się w sobie. Kubistyczne kształty znikły, a szum powoli zaczął zanikać. Odetchnąwszy z ulgą, Staszek poczuł ciepło promieni słonecznych na twarzy.

– Popatrz, popatrz. Jednak się obudził – zauważył Blankenburg.

– Sss...

– I jeszcze coś tam syczy – kontynuował Johann, wyraźnie rozbawiony. – Żydzie, nachyl się i posłuchaj. Pierwsze pocałunki macie już za sobą, nie wstydz się.

– Sss... kurwy... sssynu... – wycharczał Staszek, nim Rufin zdążył się nachylić.

Blankenburg wydał usta i powoli pokiwał głową. Najwyraźniej miał elementarną wiedzę w zakresie polskich przekleństw – Zaniewski spodziewał się, że kapitan Obelt wyedukował Niemca odpowiednio.

– Jesteś niezadowolony? – zapytał Obersturmführer. – Przecież żyjesz, psie.

Johann cisnął niedopałek obok jeńca.

– Choć rozumiem, że możesz czuć ohydę. Sam prędzej oberznąłbym sobie wargi, niż pozwolił Żydowi, żeby robił mi sztuczne oddychanie.

Blankenburg przykucnął obok Polaka, a potem poklepał go po głowie niczym dobrego kundla.

– No, już, już – powiedział. – Było, minęło.

Klaas stał obok, wyraźnie zmieszany.

– Pomyśl o tym tak – ciągnął degenerat. – Niedługo będziesz wspominał to z rozrzewnieniem. Zdzielił Staszka otwartą dłonią po twarzy, po czym podniósł się i wyprostował.

Spojrzał z góry na więźnia i poczuł odrazę. Nie lubił takiej miękkości, znacznie bardziej cenił sobie tych, którzy umierali z butnymi okrzykami na ustach. W dodatku Alex okazał się równie słaby jak Polak.

Blankenburg kazał Żydowi wejść do samochodu, a potem spiorunował wzrokiem podkomendnego.

– Spodziewałem się po tobie więcej – powiedział do Alexandra.

Chłopak wyprężył się jak struna, gotów znieść najgorszą połajanę.

– Brak ci ikry – dodał Johann. – Sądziłem, że mogę na ciebie liczyć, ale teraz widzę, że popełniłem błąd.

– Ależ...

– Przyglądałem się twoim reakcjom. I to nie od dzisiaj.

Dostrzegał wcześniej słabość podwładnego i trochę go niepokoiła. Teraz jednak należało uznać, że Klaas być może po prostu nie jest materiałem na oficera. Ostatecznym sprawdzianem miało być to, jak zachowa się podczas katowania polskiego jeńca. Ku rozczarowaniu Johanna nie sprostował zadaniu. Przez cały czas sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar wystąpić przeciwko dowódcy i uratować nieszczęśnika. Byłby to błąd. Blankenburg zarzynał ludzi znacznie lepiej wyszkolonych od Klaasa.

– Nie gardzisz podludźmi, Alex?

Młody esesman wyglądał, jakby narastała w nim złość. Z dwojga złego Johann wolał widzieć

takie emocje.

– Mowę ci odebrało? – zapytał.

– Nie, *Herr Obersturmführer*. Ale proszę pamiętać, że uratowałem panu życie w Polsce. Gdyby nie ja, leżałby pan teraz martwy gdzieś w Bieszczadach, a polskie psy tańczyłyby na pańskim grobie.

Blankenburg przez moment trwał w bezruchu. Chłopak wiedział, że ważą się jego losy i pewnie zastanawiał się, czy podjął dobrą decyzję.

Po chwili dowódca szeroko się uśmiechnął. Z zadowoleniem przyjął fakt, że Alexander wreszcie powiedział coś sensownego.

– Ja niczego nie zapominam, Alex.

– Rozumiem.

– Szczególnie sytuacji, w której coś komuś zawdzięczam. Nie ma ich zbyt wiele.

– Oczywiście.

– Gdybym o tym zapomniał, nie stałbyś tu teraz.

– Pan również – zauważył Klaas.

Blankenburg skinął głową z uznaniem. Otaksował wzrokiem podkomendnego, a potem wyciągnął kolejnego papierosa.

– Będą jeszcze z ciebie ludzie, Alex. Musisz tylko uczyć się od najlepszych.

– Tak jest.

Obersturmführer był zadowolony. Skinął na chłopaka, a ten szybko załadował więźnia do samochodu. Pojechali kilkanaście kilometrów na południe, gdzie mieli przekazać Zaniewskiego innym esesmanom. To oni mieli zawieźć go do obozu w Austrii.

Miejscem spotkania była niewielka zatoczka przy drodze, kawałek za Lipskiem. Niemcy opuścili samochód i wypatrywali pojazdu. W końcu pojawił się czarny mercedes-benz 130.

Łysy kierowca zaparkował obok ich samochodu, przeciągnął się i opuścił wóz. Spojrzał bez wyrazu na Blankenburga, co zdarzało się raczej rzadko, a potem leniwie wykonał hitlergruß.

Gdy Rufin wyciągał umęczonego jeńca z auta, kierowca przedstawił się i oznajmił, by wrzucić go na tylne siedzenie. Johann skinął głową, a jego podwładni wykonali polecenie. Z mercedesa wysiadł drugi esesman i oparł się o dach.

– To ta gwiazda polskiej partyzantki? – bąknął łysy.

Blankenburg nie miał zamiaru zaszczycać go odpowiedzią.

– Zdaje się, że miał być w przyzwoitym stanie – dodał kierowca.

Johann spojrzał na niego bykiem.

– To podczłowiek – oznajmił. – Gdy się urodził, był w nieprzyzwoitym stanie. Jego przodkowie przez całe życie byli w nieprzyzwoitym stanie.

– Można i tak na to spojrzeć.

Blankenburg poczekał, aż Zaniewski znajdzie się z tyłu pojazdu, a potem wraz ze swoimi towarzyszami skierował się do swojego samochodu.

– Dostarczcie go na miejsce – rzucił na odchodnym.

– Oczywiście – odparł łysol. – *Heil Hitler*.

– *Heil Hitler!* – zakrzyknął Johann, a potem wszedł do auta.

Staszek odprowadził wzrokiem oprawcę, po czym opadł ciężko na siedzenie. Poczul ulgę, że nie będzie musiał więcej patrzeć na tego człowieka – choć po prawdzie mogły czekać go jeszcze gorsze przeżycia. Ze zgrozą pomyślał, że za jakiś czas może wspominać Blankenburga raptem

jako preludium do prawdziwego koszmaru.

Dwaj Niemcy rozmawiali pod nosem, zupełnie go ignorując. Zaniewski wyłowił tylko kilka słów – „póżywy”, „Polak”, „śmierć”. Tyle wystarczyło, by wiedział, że wyrusza w podróż, z której prawdopodobnie już nie wróci.

Zebrał się w sobie i przypomniał podstawowe formułki, których uczyła go Maria.

– Kim jesteście? – zapytał, podnosząc się lekko.

Pasażer obrócił się przez ramię i spojrzął na zamknięcie drzwi. Oba rygle były wciśnięte, Staszek nie miał co myśleć o ucieczce.

– Kim... – zaczął jeszcze raz.

– *Halt die Klappe* – wpadł mu w słowo kierowca.

Zaniewski wiedział, że kolejne próby nawiązania kontaktu będą równie daremne.

OKRĘG VÁLCEA, RUMUNIA, GRUDZIEŃ 1939 ROKU

– Żyje? – zapytała młoda dziewczyna, patrząc na leżącego w śniegu mężczyznę.

– Chyba nie.

– Weź zobacz, mamó.

– Sama zobacz, ja nie dotknę umarlaka.

Dziewiętnastoletnia Cătălina Stoicescu nigdy wcześniej nie widziała żołnierza. Co dopiero w polskim mundurze, a w dodatku martwego. Mimo to popatrzyła na matkę spode łba i zrobiła krok w stronę wojaka. Pochyliła się nad nim i nagle odsunęła.

– Czuć śmierć? – spytała przerażona matka.

– Chyba nie. Ale czuć wszystko inne – odparła Cătălina i skrzywiła się. Nabrała powietrza do płuc i znów się pochyliła, by sprawdzić, czy leżący oddycha. Spojrzała na jego gęstą brodę i przyłożyła rękę do ust. Po chwili poczuła lekki powiew powietrza.

Odwróciła się w stronę matki i uśmiechnęła się szeroko.

– Jeszcze dycha? – zdziwiła się kobieta.

– Jak mu nie pomożemy, szybko przestanie.

Matka Cătăliny rozejrzała się wokół niepewnie.

– No nie wiem – powiedziała. – Łatwiej byłoby zakopać truchło, niż pomagać ledwo żywemu...

– Mamó!

– No dobrze, dobrze. Ja go wezmę za nogi, ty za ręce.

– To może być dość... trudne, ale spróbuj.

Kobieta podeszła do żołnierza od tyłu. Złapała go za kostki i podniósłszy nogi, skinęła na córkę. Zdołały ująć kilka metrów, nim matka puściła nieszczęśnika. Stopy opadły bezwładnie na biały puch, zatapiając się w nim.

– Co za smród!

– Mówiłam ci, mamó.

Spróbowały od innej strony. Jedna złapała za prawą, druga za lewą rękę, po czym zaczęły ciągnąć mężczyznę po śniegu. Było trochę lepiej, ale nadal z trudem wytrzymywały zapach. W końcu starsza z kobiet pokręciła głową.

– Idź po ojca – powiedziała.

– Nie trzeba, wytrzymam. Ty idź i spotkamy się w połowie drogi.

Matka Cătăliny potaknęła i oddaliła się szybkim krokiem, podczas gdy córka, wyczerpując każdy mięsień swojego wątłego ciała, starała się przyciągnąć nieznanego bliżej domu.

W pewnym momencie dostrzegła, że zdołał na chwilę unieść powieki.

– Co jest, kurwa... – wyszeptał.

Natychmiast wypuściła jego ręce i odskoczyła. Nie rozumiała, co powiedział, ale ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie jest zadowolony. Wycofała się o kilka kroków, zanim dostrzegła, że mężczyzna się nie porusza. Najwyraźniej przeblysł tylko chwilowy.

Podeszła do niego, a potem ostrożnie podniosła mu ręce i znów zaczęła ciągnąć go w kierunku domu. Po chwili dostrzegła ojca, który biegł w jej stronę. W mig znalazł się przy niej.

– Oszalałyście, kobiety? – spytał, oddychając ciężko.

– To już trzeba oszaleć, żeby ratować nieznajomego? On tam prawie ducha wyzionął, tato.

– Nie, żeby ratować, tylko żeby go, do cholery, ciągnąć po śniegu jak kawał świniaka.

– Ale co...

– Nic już, Cătălina, trzymaj te ręce, ja wezmę za nogi.

– Niech tato lepiej uważa – ostrzegła i zachichotała, sądząc, że ojciec nie będzie w stanie wytrzymać odoru, do którego ona już przywykła.

We dwójkę poszło im sprawnie. Szybko zanieśli Polaka do chaty, a potem ojciec zakomenderował, by ułożyć go na łóżku. Cătălina zaoferowała, że na jakiś czas odstąpi mu swoje.

– W porządku – zgodził się gospodarz.

– Nie ma mowy – zaoponowała matka.

Mężczyzna spojrzał srogo na żonę i ta szybko się wycofała. Cătălina obawiała się, że matka będzie narzekać, tak jak wtedy, gdy przyniosła do domu zbłąkanego psa, ale temat nagle się urwał. Wszyscy skupili się na Polaku, którym zaczęły targać dreszcze.

– Szybko, dawaj mi tu koce – polecił ojciec. – I gotuj kaszę.

Gdy kobieta popędziła do kuchni, mężczyzna usiadł na łóżku i zaczął pocierać stopy nieszczęśnika. Nie mógł działać cudów, ale mimo to próbował. Cătălina zaczęła robić to samo z jego zimnymi jak lód rękoma.

– Gotujesz tę kaszę?! – krzyknął ojciec.

– Nastawiłam wodę! Nie krzycz!

Stoicescu tarł skórę żołnierza, aż jemu samemu zrobiło się gorąco. Przekonał się jednak, że nie przynosi to żadnego efektu. Spojrzał na córkę.

– Przynies z szafy moje stare ubrania. Najgrubsze, jakie znajdziesz.

Cătălina szybko wykonała polecenie. Przyniosła kożuchy i ciepłe koszule, a potem odwróciła się zawstydzona, gdy ojciec rozbierał Polaka. Starła się nie patrzeć, ale ciekawość ostatecznie zwyciężyła – nigdy wcześniej nie widziała nagiego mężczyzny. Trudno było stwierdzić, czy ten jest przystojny. Gęsta broda i warstwa brudu pokrywały mu twarz.

– Odwróć się – mruknął pod nosem ojciec, po czym cisnął przemoczone łachy w kąt i zaczął ubierać Polaka w swoje stare ciuchy. Potem owinął go kocami i dołożył do ognia.

Matka szybko zgotowała cały gar kaszy, którym można by wykarmić kilka oddziałów takich żołnierzy. Ojciec Cătăliny wydał parę zdecydowanych i klarownych rozkazów, a żona i córka zaczęły upychać kaszę do grubych skarpet leżących na łóżku. Potem wszyscy dokładnie obłożyli nimi ciało wyziębionego mężczyzny i na powrót zawinęli go w koce.

– Co teraz, tato?

– Czekamy, czy go wezmą diabły, czy nie.

Cătălina pokiwała głową, przybierając pełną skupienia minę, po czym usiadła obok Polaka i przyglądała się jego twarzy.

– Staszek! – krzyknął nagle wojak.

Odskoczyła przerażona. Żołnierz zaczął rzucać się, jakby opętały go moce piekielne. Zanim jednak ktokolwiek zdążył zareagować, opadł znów na łóżko. Ojciec poprawił koce, a potem poklepał biedaka po ramieniu. Cătălina spojrzała na niego z przestraszeniem, ale gospodarz machnął ręką, a następnie podszedł do kamiennego pieca, pokrytego niemal całkowicie sadzą, i dołożył drewna.

Bronek na dobre obudził się dopiero następnego dnia. Poderwał się na łóżku, jakby coś przypalało mu plecy. Koce zsunęły się na podłogę, wraz ze skarpetami, a po całej izbie rozsypała się kasza.

– *Liniștit* – odezwała się młoda dziewczyna.

Bronek wbił w nią wzrok, nie mogąc zebrać myśli. Na dobrą sprawę mógł być już w zaświatach, choć to miejsce nie przywodziło na myśl nieba ani piekła. Raczej jedną z chałup na przedmieściach Baranowicz, chylącą się ku upadkowi.

Zakaszła i poczuł rozdzierający ból w płucach, choć wiedział, że to niemożliwe – ilekroć przy Staszku mówił, że bolą go płuca, ten wygłaszał kazanie o tym, że płuca boleć nie mogą, bo nie mają unerwienia czuciowego.

Bronek w końcu okiełznał kaszel i powiódł wzrokiem po pokoju. Z ciekawością spojrzął na rozrzucone koce i kaszę.

– *Ia-O încet* – powiedziała uspokajająco dziewczyna.

– Nie mam pojęcia, co do mnie mówisz – odparł Zaniewski, skupiając wzrok na jej twarzy. Policzki miała zapadnięte i nie należała do najpiękniejszych, ale dobrze patrzyło jej z oczu.

Przekrzywiła głowę na bok i przyjrzała mu się równie wnikliwie, jak on jej.

– Rozumiesz? – zapytał. – Ja nic *nie panimaju*.

Obejrzała się przez ramię.

– *Tată! Mamă!* – zawołała.

Bronek uniósł lewy kącik ust. Jeśli jakieś słowa powinny być uniwersalne dla wszystkich języków świata, to właśnie te. Po chwili dostrzegł dwójkę starszych ludzi przekraczających próg izby. Kobieta patrzyła na niego podejrzliwie, trzymając się za biodra.

Zaniewski położył rękę na piersi i ukłonił się rodzicom dziewczyny.

– Bronek – powiedział trochę ciszej, niż zamierzał.

– Co on tam gada? – spytała matka Cătăliny.

– Pewnie dziękuje nam za uratowanie – odparł ojciec.

– Żeby tylko na nas nie ściągnął jakichś problemów. Gdzie Polak, tam zawsze coś złego się dzieje.

Cătălina pokręciła głową.

– Daj spokój, mamo. Człowiek był w potrzebie, myśmy mu pomogli. Nie ma w tym nic złego.

– Słuchaj córki. I zrób mu jakąś herbatę – dodał mężczyzna.

Kobieta przez moment się zastanawiała, po czym syknęła coś pod nosem i udała się do kuchni.

Z zachowania rodziny Bronek starał się wyczytać, czego może dotyczyć rozmowa. Odnotował niezbyt przyjazny ton kobiety, który kontrastował z ciepłem w głosie dziewczyny i neutralnością ojca. Wziąwszy wszystko to pod uwagę, stwierdził, że los się do niego uśmiechnął.

Nadszedł czas, żeby sprawdzić, jak bardzo. Zaczął niepewnie ruszać stopami, a potem każdym palcem z osobna. Złapał się za głowę i na chwilę zanurzył twarz w dłoniach. Kiedy ponownie ułożył je na łóżku i spojrzął na dziewczynę, ta odwzajemniła szeroki uśmiech, który pojawił się na jego twarzy.

Po chwili gospodyni zjawiła się z gorącą herbatą. Niemal czując już, jak rozgrzewa go od środka, Broniek nie mógł się powstrzymać – pociągnął zbyt duży łyk i natychmiast wypluł wszystko na podłogę.

– Przepraszam – powiedział, uciekając wzrokiem.

Jego spojrzenie padło na kilka strzelb wiszących na ścianie. Bez wątpienia była to porządna broń, nie żadne atrapy. Ściągnął brwi i popatrzył pytająco na gospodarza.

– Popatrz, Cătălina – odezwał się ojciec. – Podobają mu się moje strzelby.

– Wreszcie masz kogoś pod naszym dachem, kto je docenia, tato.

– Tak, tak – odparł i ściągnął jedną, po czym podał ją Bronkowi. Ten spojrzął na nią nieufnie, a potem sprawdził, czy jest nabita.

Gospodyni rozłożyła szeroko ręce.

– Czyś ty oszalał?! – zapytała.

– Co?

– Dajesz mu broń?

– Nie będziesz mi mówiła, komu mogę dawać swoją broń, a komu nie.

– Zaraz nas wszystkich powystrzela.

Broniek uśmiechnął się porozumiewawczo do mężczyzny, a ten szybko odwzajemnił grymas. Polak obrócił strzelbę i podał ją kolbą właścicielowi. Ten pokręcił głową uspokajająco, po czym wskazał na siebie.

– Gavril Stoicescu – rzekł.

Przeniósł wzrok na córkę i dodał:

– Cătălina Stoicescu.

– Broniek – odparł Zaniewski.

Gospodarz uśmiechnął się od ucha do ucha, najwyraźniej uznając, że wzajemne przedstawienie się to niemałe osiągnięcie.

– Gavril *și* Broniek – powiedział, po czym wziął strzelbę, wycelował ją w ścianę i udawał przez chwilę, że strzela. Potem wskazał ręką za okno i powiedział coś po rumuńsku.

Zaniewski potrzebował chwili, by zaskoczyć. W końcu zrozumiał, że otrzymał zaproszenie na wspólne polowanie, kiedy tylko wróć mu siły. Nie wiedział tylko na co – lub na kogo – będą polować.

II

Tota vita discendum est mori.
– *Przez całe życie trzeba się uczyć umierania.*
SENEKA MŁODSZY

OKOLICE RAWITSCHA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Johanna Leitner siedziała na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Przez ostatnią godzinę delikatnie – i zupełnie machinalnie – gładziła syna po głowie. Maximilianowi początkowo trudno było przywyknąć do warunków panujących w celi i Johanna obawiała się, że chłopiec nigdy nie zmruży oka. W końcu jednak opuściły go siły i nie miało żadnego znaczenia, czy zasypia w swoim łóżku, czy na zawilgoconej podłodze.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, od kiedy tu trafili. Mogła przypuszczać, że w grę wchodziły już tygodnie.

Kiedy Max zaczął się wiercić, przestała gładzić go po głowie. Popatrzyła w jego nieskazitelnie lazurkowe oczy i jak zawsze ich odcień przepełnił ją dumą. Uwielbiała w swoim mężu wszystko, ale cieszyła się, że kolor tęczywek syn odziedziczył po niej. Nie mógłby być bardziej aryjski.

Mały Max codziennie pytał, dlaczego musi spędzać wieczory z dala od niej, bawiąc się z paniami, których nie znał. Johanna nie wiedziała, jak mu to wytłumaczyć. Mówiła tylko, że na razie musi tak być.

Każdego dnia przychodził po niego mężczyzna w mundurze SS i zabierał go na godzinę lub dwie. Jej nigdy nie wypuszczali z celi, a mały nie rozumiał, dlaczego on może wychodzić, a matka nie. Drażył temat codziennie, mimo że Johanna nie miała mu nic do powiedzenia. Równie często wypytywał o ojca, którego ubóstwiał i traktował niemal jak mitycznego, potężnego herosa. Cały czas powtarzał, że ojciec niebawem się zjawi i przepędzi wszystkich tych, którzy nie pozwalają im wychodzić.

Po jakimś czasie Johanna podjęła temat. Układała opowieści, w których Christian przeprawiał się przez łądy i oceany, by ich oswobodzić. Wymyślała kolejne przeciwności losu, które z każdym dniem pokonywał, przybliżając się do nich, ale powoli zaczynało brakować jej pomysłów.

W jej historiach Leitner zawsze był już tuż-tuż, ale coś w ostatniej chwili mu przeszkadzało. W rzeczywistości zapewne nawet nie wiedział, gdzie przetrzymywana jest jego rodzina. Johanna

dawno się z tym pogodziła.

Gdy Maximilian zasnął po kolejnej opowieści, patrzyła na rytmicznie unoszącą się klatkę piersiową syna. Potem przeniosła wzrok na jego kark. Mogłaby zaoszczędzić mu wszystkich cierpień, jakie niechybnie go czekają. Naraz wzdrygnęła się, zgorzonna, że takie myśli w ogóle przyszyły jej do głowy. Synowi nic nie groziło. To ona była narażona na niebezpieczeństwo.

Rankiem rozległ się dźwięk zasuwy. Drzwi do celi się otworzyły, a w progu pojawił się strażnik. Tuż obok niego stał człowiek, którego miała nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć.

– *Heil Hitler*, Johanno – powitał ją Blankenburg.

– Nie kalaj nazwiska Führera.

– Ależ nie kalam. Działam na jego rozkaz.

– Bzdura.

Strażnik zbudził chłopca, a potem wyprowadził go na korytarz. Przed drzwiami Maximilian posłał jeszcze błagalne spojrzenie matce, ale się nie odezwał. Zmusiła się do przelotnego uśmiechu, by dodać mu otuchy. Potem znikł jej z pola widzenia.

Obersturmführer skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią z góry. Czuła na sobie ciężar jego spojrzenia już po raz trzeci. Wcześniejsze wizyty wiązały się dla niej z płaczem, krwią i cierpieniem. I nic nie wskazywało na to, by tym razem miało być inaczej.

– Ten mały jest naprawdę podobny do ojca – odezwał się Blankenburg. – Brakuje mu tylko mrozącego krew w żyłach wzroku, którym umiejętnie operuje Christian. Czy też operował.

– Co takiego?

– Niestety, pani Leitner, moim smutnym obowiązkiem jest poinformować, że pani mąż kojfnął.

– O czym ty...

– Christian nie powrócił z Francji. Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, ale najwyraźniej dopadła go sprawiedliwość. Panie świeć nad jego duszą.

Johanna spojrzała na niego bez wyrazu. Po tym, co przeszła w tej norze przez ostatnie tygodnie, nie miała zamiaru wierzyć w nic, co mówią ci ludzie. Blankenburg dostrzegł to i cmoknął z dezaprobatą.

Potem zbliżył się do niej, uniósł palec wskazujący i zakreślił nim w powietrzu. Wiedziała, co to oznacza.

– Miej chociaż odwagę to powiedzieć – syknęła.

– Nie ma problemu – odparł. – Rozbieraj się, szmato.

Ten sam scenariusz przerabiali za każdym razem. Do dzisiaj bolały ją miejsca, gdzie ranił ją tydzień wcześniej. Podniosła się z podłogi i stanęła naprzeciw niego. Poczowała szczypiącą woń alkoholu i jego rękę na talii.

– Ściągaj to.

Zanim zdążyła zaproponować, zdzielił ją otwartą dłonią po twarzy.

– Ściągaj, albo podobnie zabawię się z młodym.

Wiedziała, że byłby do tego zdolny. Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego esesmana czy gestapowca, byłaby świadoma, że to tylko puste groźby. Po tej bestii mogła jednak spodziewać się wszystkiego.

Po chwili ściągnęła ubranie i bieliznę. Ułożyła je przy sienniku i stanęła przed Blankenburgiem. Ten potoczył wzrokiem po jej nagim ciele i zbliżył się.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Johanno – powiedział.

Strażnik szedł z chłopakiem z powrotem do celi. Jeszcze kilkanaście metrów przed drzwiami usłyszał głośne sapanie, wyłącznie męskie. Kobieta milczała, tak jak poprzednio. Krzyczała i oponowała tylko za pierwszym razem – potem dowiedziała się, że syn wszystko słyszał. Od tamtej pory zachowywała milczenie.

Esesman stanął z chłopakiem przy drzwiach. Współczuł im dwojgu i mężowi kobiety, który nie miał pojęcia, jakie katusze przeżywa jego żona. Gdyby kiedykolwiek się dowiedział, zapewne najpierw zabiłby Blankenburga, a potem samego siebie.

Wartownik przerwał rozważania, dosłyszawszy kroki. Skierował wzrok w stronę korytarza i przekonał się, że zmierza ku niemu wyższy stopniem oficer SS. Natychmiast przyjął postawę zasadniczą i zaszalutował.

– *Heil...*

– Otwieraj – uciał przybysz.

– Niestety, *Herr Scharführer*, w tej chwili nie mogę otworzyć. Jak pan słyszy... – Strażnik urwał i wzruszył ramionami.

Drugi z mężczyzn spojrzał na Maximiliana, a potem skinął porozumiewawczo do wartownika. Stanął obok niego i cierpliwie czekał, aż Blankenburg skończy. W końcu rozległ się gardłowy jęk, plaśnięcie, a chwilę później kroki.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął zadowolony oficer. Strażnik spojrzał do środka, nie wpuszczając tam jeszcze malca. Naga Johanna leżała na sienniku, wbijając nieprzytomny wzrok w sufit. Nogi miała rozłożone, a z kącika jej ust ciekła strużka krwi. Jedwabiste, zazwyczaj starannie ułożone włosy były w zupełnym nieładzie. Pod lewym okiem miała wyraźny siniak.

Blankenburg poprawił spodnie.

– Alex? – zapytał, patrząc na przybysza. – Co tu robisz? Chcesz sam zasmakować pani Leitner?

– Nie, *Herr Ober...* – odparł Klaas i ugryzł się w język.

– No, no, no – zestrofował go Johann. – Nie po to dostałem awans, byś tytułował mnie poprzednim stopniem.

Wartownik dopiero teraz dostrzegł, że zmieniły się symbole na mundurze przełożonego.

– Proszę o wybaczenie, *Herr Hauptsturmführer* – poprawił się Alexander.

Blankenburg pokiwał głową z satysfakcją, po czym kiwnął na strażnika i wraz z Klaasem oddalił się długim, ciemnym korytarzem.

TRIER, MOSELLAND, ZACHODNIA RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

– Potrzebujesz czegoś? – spytała Maria, patrząc z niepokojem, jak Christian rozwiązuje buty.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Kiedy wreszcie uporał się ze sznurówkami, ustawił buty równo obok hotelowego łóżka, jakby od linijki. Położył się i sięgnął po papierośnicę. W środku znajdowały się porządne, niemieckie papierosy, które z ulgą nabył, gdy tylko przekroczyli granicę.

– Na pewno nie chcesz do nas dołączyć? – zapytała Maria, patrząc w kierunku wyjścia. – Podszkolilibyśmy Elisę w niemieckim.

– Nie, dziękuję.

– Dziś Nowy Rok, mógłbyś odpuścić.

– Przypomnij mi, dlaczego to zasługuje na uczczenie?

Maria się nachmurzyła. Nie miała ochoty na dysputy z Leitnerem, choć każda wymiana zdań stopniowo poprawiała ich relacje.

– Chociażby dlatego, że o ile mnie pamięć nie myli, to ten zwyczaj wprowadził twój ulubiony Juliusz Cezar.

Christian popatrzył na nią zdziwiony. Przez moment miała wrażenie, że się uśmiechnie, ale ostatecznie kąciki ust ani drgnęły.

– Nie mylisz się – przyznał. – Ale wcześniej ten dzień obchodzono pierwszego marca, a później w wielu krajach europejskich pierwszego kwietnia.

– Dążysz do czegoś?

– Do tego, że to święto nie ma większego sensu. W państwie, które tak wielbi Rodemeyer, dopiero w osiemnastym wieku zmieniono datę świętowania z dwudziestego piątego marca na pierwszego stycznia.

Dziewczyna wywróciła oczami i skierowała się do wyjścia.

– Jak chcesz, Christian.

– Twierdzą tylko, że to irracjonalne. Do pewnego momentu w każdym europejskim kraju świętowano początek nowego roku w inne dni, a potem Kościół postanowił, że...

– Nie chcesz iść, to nie – ucięła.

Po prawdzie nie mogła liczyć na cud. W restauracji hotelowej siedział Marvin, a Leitner robił wszystko, by unikać dawnego przyjaciela. Niegdyś być może udałoby się jej go przekabacić, ale od czasu wydarzeń w Rawitschu Leitner był nieustannie czujny. Patrzył na nią jak na potencjalnego wroga, a ona doskonale to rozumiała.

Zatrzymała się przed drzwiami, ale nie złapała za klamkę. Obróciła się z powrotem do Christiana.

– Jeśli zostaniesz tu sam, będziesz katował się myślami.

– Być może.

– A to do niczego dobrego nie prowadzi – kontynuowała. – Ostatecznie finał może być tylko jeden.

– Tak?

– Znajdziemy ich – zapewniła go. – Całych i zdrowych.

Przez moment zdawał się skonsternowany. Potem pociągnął papierosa i spojrzał na nią przelotnie.

– Mam taką nadzieję – powiedział. – To samo dotyczy twojego narzeczonego.

Oparła się plecami o drzwi i wyciągnęła paczkę papierosów. Przeciwnie niż Leitnerowi, jej bardziej smakowały francuskie. Podpaliła jednego, a potem ciężko wypuściła dym.

– Uważasz, że żyje? – zapytała, natychmiast karcąc się w myślach. Jeszcze niedawno była gotowa ofuknąć Elisę za to, że w ogóle dopuściła inną możliwość, ale od jakiegoś czasu czarne scenariusze same układały się w jej głowie.

Christian skinął głową.

– Pytam nie po to, żebyś mnie pocieszał – zastrzegła. – Chcę poznać twoje zdanie.

– Nie chcesz.

Maria przeniosła wzrok na okno. Noc była rozświetlona lampami ulicznymi, co stanowiło miłą odmianę po długiej podróży pogrążonymi w mroku bezdrożami.

– Co oni mogli z nim zrobić? – spytała w końcu.

– Trudno stwierdzić.

Sporunowała go wzrokiem i pokręciła głową.

– Dziękuję. Zawsze można na ciebie liczyć.

– Nie mam żadnych informacji, a nie chcę spekulować.

Przez moment milczeli. Maria wiedziała, że każda kolejna sekunda ciszy jest niewypowiedzianym ponagleniem dla Leitnera. W końcu odchrząknął i odłożył papierosa do popielniczki.

- Ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jest dobrym materiałem propagandowym.
- Co takiego?
- Jako jeniec może służyć za straszak na innych Polaków...
- Chyba żałuję, że zapytałam.
- Mam na myśli to, że nie leży w niczyim interesie, żeby pozbawić go życia.

Maria prychnęła pod nosem.

– A od kiedy Rzesza robi cokolwiek logicznego? – zapytała, po czym obróciła się i wreszcie chwyciła klamkę. – Zresztą nieważne – dodała. – Zapomnij o tym i pograż się we własnych udrękach.

– Zaczekaj.

Zignorowała go i wyszła na korytarz. Z impetem zamknęła za sobą drzwi, sama nie wiedząc dlaczego. Nie powinno rozdrażnić jej nic, co powiedział – był to jego sposób na sformułowanie pocieszającej myśli. A mimo to zawrzało w niej.

Zeszła do przestronnego holu, odsuwając od siebie te myśli. Nie chciała zastanawiać się nad emocjami, jakie w niej buzowały. I przypuszczała, że Christian również nie ma zamiaru o tym myśleć. Raz po raz dostrzegała jego rozterkę – czasem traktował ją niemal jak przyjaciółkę, innym razem ledwo się odzywał.

Przeszła przez hol i weszła do restauracji. Miała zamiar porządnie się napić.

Dostrzegłszy młodą blondynkę, otoczoną przez trzech mężczyzn, skinęła na nią. Podeszła i obrzuciła nieprzychylnym wzrokiem adoratorów.

- Gdzie Marvin? – zapytała.
- Wyszedł jakiś czas temu – odparła Elisa.

Nie była to odpowiedź na pytanie, ale Maria kiwnęła głową i oddaliła się. Zamówiła w barze lampkę wina, a potem z ulgą się napiła. Po chwili usłyszała przeciągły mechaniczny ryk, a potem dźwięk zatrzymującego się pojazdu. Do holu wszedł zadowolony Rodemeyer, ściągając gogle.

– Niesamowity, niesamowity! – oznajmił, wypatrzywszy Polkę.

Maria wzruszyła ramionami.

- Niesamowite jest to, że dorosły mężczyzna ma tyle frajdy z jakiegoś motoru.
- Motocykla. I nie jakiegoś, tylko prawdziwego monstrum. Musicie się ze mną przejechać tym demonem prędkości.

– Może później – studziła go Maria, wyciągając kolejnego perfumowanego papierosa.

– Nie wiesz, co cię omija. Bmw R 51 osiąga niebotyczne 183km/h, i ten niestandardowy silnik ma aż...

– Opowiedz o tym Elisie – ucięła.

Agenci MI6 w Metz wyposażyli ich nie tylko w motocykl, ale także w fałszywe dokumenty, pozwalające na spokojne przekroczenie granicy Francji z Luksemburgiem, a następnie dotarcie do Rzeszy. Zadanie znacznie ułatwiły dwa tysiące reichsmarek.

Maria była zaskoczona sprawną organizacją akcji. Dotychczas sądziła, że Brytyjczycy niespecjalnie radzą sobie w prowadzeniu działań wywiadowczych w kontynentalnej Europie. Przemawiał za tym fakt, że traktowali Rodemeyera jak kurę znoszącą złote jajka, podczas gdy Marvin tak naprawdę nie miał dojścia do wysokich rangą funkcjonariuszy. Dodatkowo Anglicy starali się zwerbować Leitnera, ale usłyszeli jedynie, że zawisną kiedyś na stryczku.

Nie miała wątpliwości, że Christian nie rzuca słów na wiatr. Zapamiętywał twarz każdego człowieka, który pomagał im dostać się do Rzeszy. Później niewątpliwie złoży dokładny raport swoim przełożonym.

Maria, Elisa i Marvin wypili tego wieczoru więcej, niż dyktował to zdrowy rozsądek. Kiedy następnego dnia Maria koło południa opuściła swój pokój i skierowała się do hotelowej restauracji, by cucić się kawą, czuła, że nadal jest trochę pijana. Popatrzyła na podłużne lustro wiszące w holu. Jej oczy nie mogły już być bardziej przekrwione. Stwierdziła, że musi szybko przyjąć odpowiednią dawkę kofeiny, zanim wyparuje z niej ostatni gram alkoholu, a lekki szum w głowie zastąpi przenikliwy ból.

Popijając pierwszą filiżankę, dostrzegła wchodzącego do restauracji Leitnera. Szedł sprężystym krokiem, choć podpierał się czarną laską o srebrzystym, okrągłym uchwycie. Powiódł wzrokiem wokół, ale nie zobaczył Polki.

– Christian – powiedziała, ściągając jego uwagę.

Dostrzegłszy ją, zbliżył się i z dezaprobatą utkwił wzrok w jej oczach. Przez moment nad czymś się zastanawiał.

– Spacer – oznajmił w końcu.

– Słucham?

Wskazał głową wyjście.

– Chodź, dobrze ci to zrobi.

– Może „dzień dobry” byłoby na miejscu?

– Niewątpliwie – odparł, po czym kuśtykając, opuścił hotel.

Maria rozejrzała się, zastanowiła chwilę, a następnie poszła za nim. Przeszli może kilometr, prawie się do siebie nie odzywając. W końcu dotarli do ruin jakiejś budowli, która wyglądała, jakby pochodziła z czasów starożytności. Maria objęła ją wzrokiem z fascynacją.

– Nigra Porta – odezwał się Leitner.

– Co takiego?

– Czarna Brama. Ma około tysiąca siedmuset lat. Była jedną z największych bram miejskich w Europie.

Maria podeszła bliżej, ostrożnie stawiając kroki. Była już kompletnie pogrążona w swoim świecie. Kilka lat temu ukończyła studia z architektury na Uniwersytecie Warszawskim, a sam dyplom był potwierdzeniem nie tylko jej wiedzy, ale także zamiłowania do wszystkich budowli, które cechowały się własną duszą. Podeszła pod mur i położyła na nim dłoń, zamykając oczy. Christian przez chwilę przyglądał się temu w ciszy.

– Co robisz? – zapytał w końcu.

Jeszcze przez moment nie otwierała oczu. Potem uśmiechnęła się i spojrzała na niego.

– Jeśli powiem, że dotykam przeszłości, zabrzmi to fatalnie.

– Ani trochę – odparł, tocząc wzrokiem po ruinach. – Zabrzmi to prawdziwie.

Odsunęła się trochę, by mieć lepszy ogląd fasady.

– Poza tym tutaj przeszłość zlewa się z przyszłością – dodał.

– Co takiego?

– To monument cesarstwa, które niegdyś rządziło połową świata.

Maria oderwała wzrok od budowli i pokręciła głową.

– Po to mnie tu przyprowadziłeś? Żeby rozmawiać o analogiach między starożytnym Rzymem a Rzeszą?

Obróciła się na pięcie, nie mając zamiaru czekać na odpowiedź. Doskonale ją знаła.

Wracając do hotelu, nie odezwali się do siebie słowem. W pewnym momencie Maria uświadomiła sobie, że musi nieco zwolnić, bo utykający Leitner został za nią. Posłała mu ponaglące spojrzenie.

– Właściwie nawet do twarzy ci z tą laską – powiedziała. – Dzięki niej wyglądasz nobliwie. Nie skomentował, ale wydawało jej się, że spojrzał na nią przekornie.

Późnym wieczorem cała czwórka zebrała się w opustoszałej recepcji hotelu. Wszyscy wbijali wzrok w niewielki czarny telefon Ericsson DBH 1001 ze srebrną tarczą numerową. W końcu Leitner podniósł słuchawkę.

Kiedy usłyszał sygnał zgłoszenia się centrali, zaczął wykręcać palcem wskazującym numer. Potem wyprostował się i nabrał tchu.

– Rüdiger Heller, słucham? – odezwał się głos po drugiej stronie.

– *Heil Hitler, Herr Sturmbannführer.*

– Leitner! Do cholery, gdzie ty jesteś?

– Spędziłem trochę czasu we Francji – odpowiedział spokojnie Christian.

– Jak to we Francji?

– Co jest niezrozumiałe?

Rozmówca był tak zaskoczony, że na chwilę zamilkł.

– Christian, nie drwij ze mnie – odezwał się w końcu. – Oczekuję pełnego raportu, natychmiast.

– Oczywiście. Zatem donoszę, że aktualnie znajduję się w hotelu w Trier.

Leitner słyszał, jak przełożony wymienia z kimś ciche uwagi. Nie znosił tego człowieka. Nie tylko dlatego, że to on szantażem i groźbami wciągnął go w struktury SS – Heller stanowił zaprzeczenie modelu niemieckiego oficera. Był lekkoduchem, nie miał zasad moralnych i uciekał się do niehonorowych manipulacji.

– Jesteś tam, Rüdiger?

– Nie wiem, co próbujesz osiągnąć, Leitner – odburknął Heller. – Ale to jest, kurwa, niesubordynacja.

– W żadnym wypadku.

Rozmówca zaśmiał się pod nosem.

– Chyba żyjesz w innym świecie – oznajmił. – Jeśli chcesz się uratować, weź dupę w troki i zasuway do Posen. Chcę cię u mnie widzieć najpóź...

– Nie mam takiego zamiaru.

– To był rozkaz, do kurwy nędzy! – wycedził Rüdiger.

Christian milczał. Przemknęło mu przez głowę, że robi to, by napawać się konsternacją dowódcy, ale zaraz upomniał się, że nie należy do osób, które czerpałyby przyjemność z tak błahych powodów.

– Leitner?

– Powiedz Cerberowi, że jadę.

Niemiec kątem oka dostrzegł, że Maria uśmiechnęła się szeroko.

– Co powiedziałaś?

– Masz problemy ze słuchem, Rüdiger?

– Ale skąd...

– Mniejsza z tym. Przekaż mu, że jadę. Niech czeka na mnie w Berlinie.

Christian znów usłyszał przyciszoną rozmowę. Stawała się coraz głośniejsza, zapewne dlatego, że była także bardziej nerwowa.

- Posłuchaj mnie – zaczął Heller. – Nie rozumiesz, z czym igrasz.
 - Doprawdy?
 - Nie masz bladego pojęcia, kto...
 - Żegnaj, Rüdiger – wpadł mu w słowo Leitner. – *Sieg heil.*
 - Ale...
- Obersturmführer odłożył słuchawkę, a potem obrócił się do Marii.
- Myślę, że Cerber będzie na nas czekał – powiedział.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

- Wyłaź – rzucił od niechcienia łysy kierowca.

Staszek z trudem wyszedł z samochodu. Podparł się o dach, omiatając wzrokiem okolicę, ale drugi z esesmanów szybko wyskoczył z mercedesa i pogonił go w kierunku kamiennej bramy. Górował nad nią nazistowski orzeł z dziobem zwróconym w prawo, szeroko rozpościerający skrzydła. Zaniewski spojrział na niego przelotnie i poczuł nieprzyjemny powiew zimnego powietrza. W oddali znajdowała się wieża strażnicza, połączona z bramą wysokim murem. Kawalek dalej Polak dostrzegł główne wejście do obozu, opatrzone napisem „Arbeit macht frei”. Oprócz wież i strażników terenu strzegł podwójny drut kolczasty.

Po chwili Staszek przekonał się, że wzbudził sensację, podjeżdżając pod obóz z dwoma niemieckimi żołnierzami. Ludzie odziani w więziennicze pasiaki, którzy uczestniczyli w pracach budowlanych w okolicy obozu, spoglądali na niego ukradkiem. Sprawiali wrażenie, jakby każde podniesienie wzroku znad łopaty mogło skończyć się śmiercią.

Byli wychudzeni i trudno było uwierzyć, że mają w ogóle siłę utrzymać narzędzia. Tymczasem przrzucali gruz i ziemię, wylewając siódme poty mimo niskiej temperatury.

- *Schneller* – rzucił od niechcienia łysy.

Zaniewski przyspieszył kroku. Po chwili zobaczył, że przed bramą czeka na nich esesman w pełnym umundurowaniu. Łysol zatrzymał się przed nim i zaszalutował. Powitali się, chwalać Wodza, po czym kierowca zapytał:

- Dezynfekujemy go, *Herr Unterscharführer*?

Umundurowany mężczyzna otaksował Staszka wzrokiem i skrzywił się.

- S-sam n-nie wiem – wyjąkał. – Jak sądzisz, Thorben?
- Moim zdaniem nie ma co przesadzać.
- No to niech b-będzie – odparł kierownik bloku. – Jak on się nazywa?
- Stanisław Zaniewski.
- Twój p-polski jest ohydny, Thorben.
- Pan wybaczy, *Unterscharführer*, nie moja wina.

Zaśmiali się, a potem łysy strażnik, Thorben Fehrmann, kopnął Staszka i wskazał mu kierunek, w którym więzień powinien się udać. Przeszli przez bramę i Zaniewski przekonał się, że nagle wszyscy pracujący wokół mężczyźni skupili się wyłącznie na swoich zadaniach.

- Ile mu d-dajesz, T-thorben? – spytał kierownik bloku.
- Na razie nie dam mu nic.
- No t-tak, oczywiście. Wieczorem przyjmujemy z-z-zakłady, ale nie radziłbym ci stawiać więcej niż jednej marki na to, że da radę powyżej dwóch miesięcy.
- Zobaczmy. Na razie to ja przoduję w stawce.
- Masz nosa, to t-trzeba ci przyznać.

Kierownik obozu odkaslnął i splunął Staszekowi pod nogi. Polak drgnął, ku uciesze

esesmanów.

– Delikatny – zauważył Thorben i pogładził się po łysinie.

– No. Dobra, zabieraj mi go, k-k-kurwa, sprzed oczu.

– Tak jest.

Fehrmann znów wyciął więźniowi kopniaka i tym razem Zaniewski nie był gotowy na atak. Zatoczył się w przód, tracąc równowagę. Robił wszystko, by ją odzyskać, ale ostatecznie wyłożył się jak długi na środku zaśnieżonego placu. Zaklął w duchu i wsparł się na trzęsących się rękach. Wtedy oberwał jeszcze dwa razy. Thorben kopnął go w podbrzusze, a potem w klatkę piersiową. Więzień przetoczył się na plecy.

– Wstawaj – rzucił Niemiec. – Nie pora na odpoczynek.

Zaniewski podniósł się i otrzepał ze śniegu. Ubranie już przemokło, ale przypuszczał, że to najmniejszy z jego problemów. Ruszyli w kierunku jednego z lepiej wyglądających budynków. Gdy weszli do środka, Staszek poczuł charakterystyczny zapach papieru, tuszu i papierosów. Siedzący w biurze esesmani wymieniali się rozbawionymi uwagami i wskazywali na Polaka.

Zaniewski nie rozumiał ani słowa i po raz kolejny pożałował, że nigdy nie nauczył się niemieckiego. Powinien zrobić to nie z sympatii, ale z nienawiści. Wpadało bowiem znać język swoich sojuszników dobrze, ale wrogów jeszcze lepiej. Uśmiechnął się na myśl o tym, że Maria byłaby zadowolona z tej konstatacji.

– Co on taki, kurwa, wesoły? – spytał mężczyzna z małymi okularami, wiszącymi na końcówce nosa.

– Jełop – wyjaśnił Thorben.

– Będą ich tak przysyłać w nieskończoność? Przydałby się ktoś...

– Większy, co?

– Choćby trochę – potwierdził okularnik. – Coby chociaż mógł kamienie przewalać. To chuchro zemrze, zanim wyrobi normę.

– Bez wątpienia.

Mężczyzna westchnął, a potem spojrzął na Polaka znad okularów.

– Imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia – powiedział.

Staszek zdołał częściowo zrozumieć, o co pyta szkop.

– Stanisław Zaniewski – odparł.

– Data i miejsce urodzenia.

– Nie rozumiem.

– Faktycznie, kurwa, jełop jakich mało – przyznał pod nosem okularnik.

– Nie zna niemieckiego – wyjaśnił Thorben, po czym przetłumaczył rozkaz i sam dopełnił reszty rozmowy. – Narodowość? – spytał.

– Polak. Przecież mówię po polsku.

Fehrmann zdzielił go otwartą dłonią po twarzy.

– Odpowiadaj na pytania, jełopie.

Staszek kiwnął głową.

– Miejsce ujęcia?

– Louvigny – odparł Zaniewski z nienagannym francuskim akcentem.

– Co?

– We Francji.

– Jak to się pisze?

Staszek nachylił się nad dokumentami, a wtedy okularnik szybko przesunął ku niemu biurko.

Kantem wymierzył akurat w przyrodzenie i Zaniewski zgiął się wpół, wydając z siebie cichy jęk. Thorben złapał go za kark i wyprostował.

– Baczność, jełopie – powiedział.

Obaj Niemcy się zaśmiali. Najwyraźniej była to ich mała tradycja.

Po chwili wszelkim formalnościom stało się zadość, a Fehrmann przepędził więźnia na korytarz. Cały czas go popychając, prowadził go między innymi osadzonymi, którzy spoglądali na niego martwym wzrokiem. Przywodzili na myśl jedynie puste powłoki, nie realnych ludzi. Zaniewskiemu przemknęło przez myśl, że ani się obejrzy, a stanie się jednym z nich.

Fehrmann wprowadził go do niewielkiego pokoju ze sprzętem fotograficznym. Panował tu zupełny nieład i Staszek pomyślał, że jego samotne przybycie stanowi odstępstwo od normy. Zazwyczaj zapewne wpędzano tutaj cały tłum ludzi.

– Siadaj – powiedział Thorben, znów łapiąc go za kark.

Zaniewski zajął miejsce przed obiektywem.

– Głowa na podpórkę.

Staszek wykonał polecenie i szybko uwieczniono go na trzech fotografiach. Jednej *en face*, drugiej z półprofilu, oraz trzeciej z profilu. Gdy łysy skończył, do pokoju wszedł okularnik. Spojrzał na Polaka z rozbawieniem.

– Dobrze się ustawił? – zapytał.

– Pozował jak panienska. Będzie idealne na nagrobek.

– Ta? A kto mu jakiś zbuduje?

ZAŚMIALI SIĘ, a potem Thorben zasłonił aparat i kazał Zaniewskiemu wyjść na korytarz. Ruszyli w kierunku wyjścia, ale zatrzymali się już po chwili przed wyższym stopniem esesmanem. Ten obrzucił więźnia obojętnym wzrokiem, po czym spojrzał pytająco na Fehrmanna.

– Takiego brudnego prowadzisz na blok? – zapytał.

– Jaki on tam brudny, *Herr*...

– Umyć go.

– Tak jest – odparł Thorben. Odczekał, aż wyższy stopniem funkcjonariusz się oddali, a następnie przywalił Polakowi w tył głowy. Wysyczał coś po niemiecku i popędził go w przeciwnym kierunku. Przeszli do przestronnego pomieszczenia, wyposażonego jedynie w prysznic oraz długie ławy. Leniwie kręciło się po nim kilku ludzi w pasiakach, którzy zamarli, słysząc kroki. Gdy zobaczyli Staszka, wymienili między sobą parę cichych uwag i wrócili do swych zajęć. Fehrmann wepchnął Polaka pod jeden z pryszniców.

– Nie trzeba najpierw dezynfekcji? – podpytał stojący obok więźni.

– Nie, nie jest aż tak brudny. Umyjcie go tylko.

Ci osadzeni nie wyglądali tak źle, jak reszta. Ten, który stał najbliżej, kazał Staszкови rozebrać się do naga. Polak szybko to zrobił, a potem osłonił genitalia.

– No popatrz, popatrz – odezwał się Thorben. – Wstydzisz się.

– Zając się nim? – zapytał więźni.

Skinienie głowy wystarczyło, by mężczyzna rzucił się na Zaniewskiego z pięściami. Zanim Staszek zdążył zareagować, oberwał już na tyle mocno, że nie mógł myśleć o przejęciu inicjatywy w nierównym starciu. Huczało mu w głowie, gdy osadzony w końcu przerwał. Wsparł się o ścianę.

– Trzeba cię umyć, rozumiesz? – powiedział Fehrmann. – Jak się będziesz zasłaniał, nie wszystko się umyje.

Zaniewski skinął głową.

– Rozumiesz? – syknął esesman.

– Tak.

Staszek widział jeszcze, jak wrzucają jego ubranie do dużego szmacianego worka. Zaraz potem uderzyła w niego fala lodowatej wody. Odczuł szok termiczny, ale stał nieruchomo, wiedząc, że jakikolwiek opór przyniesie efekt odwrotny do zamierzonego. Zgrzytając zębami, starał się wytrwać.

BĂBUEȘTI, OKRĘG VALCEA, RUMUNIA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Bronek uśmiechnął się do swoich wybawców, kiedy wznosili toast, choć nie potrafił zrozumieć ani słowa. Nie do końca też wiedział, z jakiej przyczyny tego dnia na umór piją samogon gospodarza. Z pewnością w grę nie mogły wchodzić walory smakowe.

Do tej pory dzięki drygowi do języków udało mu się przyswoić trochę podstawowych zwrotów i rozeznac się w podstawach gramatyki. Od razu dostrzegł, że rumuński ma więcej wspólnego z łaciną niż jakikolwiek inny znany mu język nowożytny.

Zdołał też poznać słowo klucz.

– *Noroc!* – powiedział, a potem pociągnął łyk samogonu i próbował się nie skrzywić. Odpowiedzieli mu, próbując wymówić polski odpowiednik – na zdrowie.

Rodzina Stoicescu, zamieszkująca niewielką wieś Băbuești, traktowała go już jak swojego. W szczególności młoda Cătălina, która sprawiała wrażenie, jakby widziała ich już razem na ślubnym kobiercu. Od kiedy przystrzygł brodę, zapalała do niego jeszcze większą sympatią.

Mimo że nie potrafili się sprawnie porozumiewać, atmosfera była nad wyraz przyjazna. Bronka ujęły ich ufność i otwartość. Kiedy wróciły mu siły, chciał pomóc w gospodarstwie, ale Gavril stanowczo oponował. Wciąż przebąkiwał jednak, że przydałaby mu się pomoc na polowaniach. Pewnego dnia zaproponował Zaniewskiemu wspólną wyprawę do lasu, a ten chętnie na to przystał.

Matka Cătăliny spojrzała na niego z rezerwą, gdy wychodził z nabitą bronią, ale trudno było uznać to za nieufność – gdyby kobieta sądziła, że może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, nigdy nie pozwoliłaby mężowi dać mu broni.

– Gavril și Bronek. Bum bum – powiedział gospodarz, nakładając grube buty.

– Sam bym tego lepiej nie ujął – odparł Polak.

Zaniewski szybko zorientował się, że Gavril Stoicescu był myśliwym z wieloletnim stażem. Patrząc na wszystkie zebrane przez niego trofea, właściwie można byłoby zastanawiać się, czy robi cokolwiek poza łowieniem zwierzyny. Ściany w każdej izbie zdobiły kolekcje rozmaitych, mniejszych lub większych, poroży. Niektóre były pojedyncze i mocno zakrzywione, inne masywne, w kształcie łopaty. Trudno było dojść, z ilu rodzajów zwierzyny pochodzą.

Równie imponująca była kolekcja strzelb i karabinów, a niektóre wyglądały niemalże na zabytkowe. Bronek zastanawiał się, w jaki sposób ojciec Cătăliny zdołał zgromadzić pod swoim dachem tak okazały arsenał. Zapewne nie był to wysiłek jednego pokolenia.

Żałował, że nie może nawiązać z nim rozmowy. Szczególnie kiedy pewnego razu Gavril wziął do ręki winchestera, model 1897. Polak dobrze znał tę broń – miała mechanizm przeładowania za pomocą ruchu łoża. Gospodarz zaproponował, że użyczy mu strzelby, ale Bronek pokręcił głową i wskazał na długi, niemal półtorametrowy karabin firmy Martini-Henri. Sądził, że Gavril będzie miał opory przed wręczeniem mu tak wyrafinowanej broni, która swoje na pewno widziała. Rumun zagwizdał jednak pod nosem, ściągnął karabin ze ściany i dał go Polakowi.

Teraz Broniek obracał jednostrzałowy karabin w dłoniach, starając się przyzwyczaić do jego ciężaru i długości lufy. Wiedział, że gospodarz ma kilka nowszych modeli produkcji amerykańskiej, ale to było to.

– Gavril și Broniek – powtórzył ojciec Cătălina, kierując się do wyjścia.

Zaniewski ukłonił się kobietom, a potem poszedł za swoim dobroczyńcą. Czuł, że Cătălina wodzi za nim wzrokiem aż do momentu, gdy zamknął drzwi. Wyszli na zewnątrz i odetchnęli pełną piersią. Styczeń nie okazał się tak srogi jak grudzień i temperatura była znośna.

Przeszli do lasu, z którego jakiś czas temu praktycznie wyczołgał się Broniek. Wydawało mu się, że od tamtego momentu minęły miesiące, ale trudno było stwierdzić to na pewno. W Băbuești nikt nie przejmował się odmierzaniem upływającego czasu.

– *Cerb* – szepnął Gavril i szturchnął Bronka.

Gospodarz zmienił się nie do poznania, gdy tylko na horyzoncie pojawił się jeleni. Sympatyczny starszy człowiek przeistoczył się w łowcę. Zmrużył oczy, otworzył lekko usta i trwał w pełnym skupieniu, nie poruszając się. Zaniewski spodziewał się, że wyruszy na polowanie z podstarzałym myśliwym, tymczasem miał obok siebie drapieżnika.

Oderwał wzrok od Gavrila i skupił się na zwierzynie. Jeleń był stanowczo zbyt daleko, by łudzić się, że trafiłoby się go z winchestera. Rumun miał podobną broń, zasięg mógł wynosić góra dwadzieścia metrów. Mimo to zaczął mierzyć do zwierzęcia.

Nieświadomy zagrożenia jeleni snuł się po niewielkiej polanie, szukając w śniegu pożywienia. Broniek dotknął ramienia towarzysza i na migi pokazał mu, że znajdują się zbyt daleko od celu.

Gavril uśmiechnął się, a potem zamknął jedno oko. Przymierzył i zaczął powoli, monotonicznie oddychać. Każdy jego ruch przywodził na myśl dobrze naoliwiony mechanizm. Przy którymś wydechu musnął lekko język spustowy i rozległ się dźwięk wystrzału.

Jeleń padł na śnieg, rozchlapując wokół krew. Broniek zagwizdał pod nosem, po czym złożył dłoń w rulon, a potem przytknął ją do swojego karabinu, sugerując, że sam trafiłby jedynie, gdyby miał celownik optyczny.

Rumun zaśmiał się i wyciągnął rewolwer. Podeszli do powalonego zwierzęcia i dokładnie je obejrzel. Nie było potrzeby, by dobijać zwierzę, strzał był czysty.

Gavril wylał z siebie potok niezrozumiałych słów, a Zaniewski kiwał tylko głową. Chwilę później Stoicescu zarządził powrót do domu. Polak był zawiedziony – miał nadzieję przetestować swój karabin.

Wzięli zwierzę za kopyta, a potem zaczęli ciągnąć je po śniegu. Nie był to najlepszy sposób na przetransportowanie go do chałupy, ale alternatywy nie było. Z tego, co Broniek zdążył się zorientować, w Băbuești nie mieli nawet wozu drabiniastego. Nazywanie tego miejsca wsią było zresztą nieco na wyrost. Był to raczej przysiółek.

Po powrocie Broniek niechętnie rozstał się z karabinem, który wrócił na swoje miejsce na ścianie. Pomyślał jednak, że nie ostatni raz Gavril zabrał go na polowanie. Spojrzał na gospodarza z wdzięcznością, ale ten miał minorową minę.

Gospodyni zdziwiła się, że mąż jest nie w sosie. Mięsa będzie sporo, wszyscy będą chodzić z pełnymi brzuchami przez dobrych kilkanaście dni. Może Polak coś przeszkrobał? Albo nie sprostał oczekiwaniom Gavrila? Mąż zawsze spodziewał się wiele po ludziach noszących mundur. Nie rozumiał, że nie wszyscy otrzymali takie przeszkolenie, jak niegdyś on.

– Coś taki zły? – spytała.

– Trzeba sprowadzić kogoś, kto mówi po polsku.

- Nie ma nikogo we wsi.
- To trzeba wziąć kogoś z Călimănești.
- Tam już prędej. Syn znajomej mówi po polsku albo węgiersku.

Gavrilowi oczy zapłonęły z entuzjazmu. Nie miał zamiaru tracić więcej czasu. Odłożył strzelbę, a potem zbliżył się do córki.

- Cătălina, pójdziesz do Călimănești.
- Tato, zimno jest.
- Nie przesadzaj – zaoponował. – Pół godziny i będziesz na miejscu.
- Ale...
- Słońce jest jeszcze wysoko.
- Wiem, tylko że...
- Chcesz się z nim porozumieć, czy nie?
- Oczywiście, że chcę.
- Więc nie zwlekaj – odparł ojciec. – Straciliśmy już wystarczająco dużo czasu.

Ubrała się w kilka warstw i tak okutana ruszyła do drzwi. Gavril usiadł w kuchni, słysząc jeszcze, jak żona udziela dziewczynie kilku zupełnie absurdalnych przestróg. Westchnął, gdy Polak usiadł naprzeciw niego. Z pewnością nie miał pojęcia, czego dotyczyła rozmowa, choć Stoicescu musiał przyznać, że gość szybko nauczył się podstawowych zwrotów po rumuńsku.

Po chwili żona nastawiła wodę i Gavril zaczął toporną rozmowę z Bronkiem. Był już zmęczony przekazywaniem mu wszystkiego na migi, ale miał nadzieję, że niebawem się to zmieni.

Tymczasem minęło kilka godzin, a po Cătălinie nie było śladu. Żona zaczynała się już niepokoić, a na dworze powoli zmierzchało.

- Idź po nią – zaproponowała. – Może nogę skręciła w śniegu czy...
- Nic jej się nie stało – odparł, ale podniósł się z krzesła. Nie miał zamiaru siedzieć beczynn timer i wysłuchiwać utyskiwań małżonki. Ściągnął ze ściany strzelbę i ze zdziwieniem przekonał się, że Polak stoi obok niego.
- A ty dokąd? – zapytał go.

Odparł coś niezrozumiale, ale zasadniczo nie potrzebowali słów, by się w tej sytuacji porozumieć. Gavril wskazał mu swój arsenał, pozwalając, by sam wybrał. Polak ujął springfielda M1903, a gospodarz pokiwał głową z uznaniem. Zastanawiał się przez moment, a następnie ruszył do jednej z izb. Wyciągnął prosty, zatraskowy celownik optyczny firmy Lattey. Sprzęt nie był najlepszej jakości, a przy odrzucie broni potrafił zranić strzelca wyborowego w łuk brwiowy, ale spełniał swoje zadanie. Podobnie jak karabin, pochodził z czasów Wielkiej Wojny. Gavril nie montował go na springfieldzie od lat. Miał w swoich zasobach także inne konstrukcje brytyjskie, firm Commons i Martin, ale były równie liche jak ten od Lattey. Nie bez powodu Brytyjczycy wszystkie je odrzucili i w 1915 roku zdecydowali się wprowadzić do armii lunety Periscopic Prism.

Gavril westchnął, wspominając tamte czasy. Dzieliła go od nich przepaść. Wtedy wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi, teraz mieszkał w niewielkim siole, do którego prowadziła jedna, wąska i zapomniana droga.

Zabrał celownik, po czym wrócił do przedsionka. Ułożył dłoń w rulon i skinął znacząco do Polaka. Ten szybko zrozumiał, o co chodzi, a gdy tylko zobaczył lunetę, rozpromienił się. Szybko umocował ją do springfielda, a potem Rumun dał mu dwie łódki nabojoye, po pięć nabożów każda. Ruszyli na poszukiwania dziewczyny.

MAGDEBURG-ANHALT, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Elisa ziewnęła, zasłaniając się ręką. Wydawało jej się, że bez końca ogląda monotony krajobraz, który przewijał się za oknem. Chciała, by ta podróż już się skończyła i by znaleźli się w Berlinie – mimo że czekał tam na nich człowiek o pseudonimie Cerber. Informując Hellera, zasadniczo poinformowali jego mocodawcę. I dali mu czas na przygotowanie się.

Francuzka nie rozumiała rozmów prowadzonych przez kuzynkę i Leitnera. Przypatrywała mu się uważnie, starając się stwierdzić, w jakim stopniu jest sojusznikiem, a w jakim wrogiem. Czasem odnosiła wrażenie, że to w gruncie rzeczy dobry człowiek – zaraz potem jednak patrzył na nią tak, jakby wbijał sople lodu w jej oczy. Wówczas przypominała sobie, jak z zimną krwią we Francji zastrzelił żandarma, Copina. Po prostu wyciągnął pistolet i strzelił, nie patrząc nawet na upadające ciało.

Mimo to Elisa widziała, że coś jest między nim a Marią. Początkowo sądziła, że to jedynie złudzenie, ale im dłużej ich obserwowała, tym bardziej była pewna, że pierwsze wrażenie było słuszne. Choć słowa tego nie zdradzały, spojrzenia tej dwójki spotykały się zbyt często.

Sama Elisa natomiast nie mogła opędzić się od myśli o Stanie. Wspominała z rozrzewnieniem czas, który spędzili razem w Metz i Louvigny. Lubiła wracać do tamtych chwil – sprawiały, że nie katowała się rozdrapywaniem ran związanych ze śmiercią rodziny. Skupiając się na pozytywnych wspomnieniach, zaczęła dostrzegać w nich więcej, niż powinna. Teraz miała wrażenie, że czasem spoglądał w jej oczy tak głęboko, że niemal dotykał duszy. A komplementy na temat różnobarwności tęczy wydawały jej się zachętą do czegoś więcej. Pamiętała jego śmiech – i to, jak sama świetnie bawiła się w jego towarzystwie. Świat przestawał wtedy mieć znaczenie.

– Mózg ci wybuchnie – odezwała się kuzynka, wyrywając ją z przemyśleń. – Już prawie dymi ci z uszu.

Elisa zmieszała się, nerwowo poprawiając kosmyk jasnych włosów. Nie zrozumiała do końca, o co chodzi, ale nie miało to żadnego znaczenia. I tak poczuła się, jakby Marie przejrzała jej uczucia.

– Nie rozumiem – odparła.

Polka wskazała na czoło, a potem uniosła pytająco brwi.

– Blankenburg? – zapytała.

Na dźwięk tego nazwiska dziewczyna zeszywniała. Oczami wyobraźni zobaczyła zmasakrowane ciała rodziców i brata, zalaną krwią podłogę i splądrowany dworek.

Maria ponieważ zorientowała się, że kuzynka bynajmniej nie rozpamiętywała wydarzeń z Louvigny.

– Przepraszam, nie chciałam...

Elisa uśmiechnęła się. Właściwie myślała o tym człowieku tak czy inaczej – i to stanowczo zbyt często. Jednak jego nazwisko wypowiedane na głos zabrzmiało, jakby kuzynka przyzywała moce piekielne.

– *Pardon* – powtórzyła Maria.

Zamilkły. Elisa nie miała nic przeciwko ciszy, szczególnie kiedy alternatywą byłaby rozmowa o zwyrodnialcu... lub jej uczuciach. Odetchnęła, kwitując w myśli, że kuzynka nie ma pojęcia o żarliwości, jaka pojawiła się nieoczekiwanie w jej sercu.

– To diabeł wcielony – włączył się Rodemeyer.

Kobiety spojrzwały na niego z niezadowoleniem. Najwyraźniej Blankenburga nie tak łatwo było

się pozbyć, nawet jeśli występował jedynie jako temat rozmowy.

- Nie demonizuj go – odparł pod nosem Leitner.
- Nie demonizuję. Cała rodzina to banda degeneratów.

Wyglądając za okno, Maria otoczyła ramieniem kuzynkę, jakby bezwiednie. Elisa doceniła ten gest i pomyślała, że jej polska krewna to jedyne oparcie, na jakie może liczyć na tym świecie. Żałowała, że nie mogą poznać się lepiej.

Od czasu do czasu myślała o cierpieniach, jakie zada Blankenburgowi, gdy tylko go złapią. Wizje były wyjątkowo drastyczne i drobiazgowo, napawały ją niepokojem. Nie wiedziała, czy to normalna reakcja – być może w poprzednim, przedwojennym świecie nie, ale teraz...

– Zresztą właśnie dzięki swojej bezwzględności dwa pokolenia temu dorobili się małej fortuny w Offenbachu – ciągnął Rodemeyer. – Inna sprawa, że zostawili za sobą cały korowód trupów.

Leitner nie zamierzał podejmować tematu.

– Rodzina stała się dobrze sytuowana, nawet szanowana – kontynuował niezrażony Marvin. – Dopiero dwóch braci zmieniło jej renomę. Johann stał się gestapowskim katem, a Torsten zwykłym mordercą. Wieść niesie, że pierwsze trzy ofiary zamordował za pomocą świecznika.

– Jeśli wziąć pod uwagę, w jaki sposób zabił żołnierzy Wehrmachtu w Rawitschu, to wydaje się całkiem możliwe – zauważyła Maria.

Leitner w duchu przyznał jej rację. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby Holzer wówczas nie targnął się na życie Heinlego i drugiego żołnierza, nie jechaliby teraz w jednym samochodzie w kierunku Berlina. Maria i jej narzeczony bez trudu przeszliby dalej na zachód jako Austriacy, a Christian wraz z resztą armii udałby się na wschód. Jego rodzina byłaby cała i bezpieczna, a o Blankenburgu nigdy by nawet nie usłyszał.

Urwał rozważania, uznając, że do niczego nie prowadzą. Mogło wydarzyć się nieskończenie wiele rzeczy, które odmieniłyby ich los. Nie było sensu tego roztrząsać.

– Nie obchodzi mnie przeszłość – odezwała się młoda Francuzka, wolno dobierając słowa. – A to, że go zabiję, kiedy tylko zobaczę.

Christian złowił spojrzenie Marii w tylnym lusterku. Wiedział, że zarówno ona, jak i jej kuzynka liczyły właśnie na niego. Mimo szumnych zapowiedzi młodej, obie planowały, że to on będzie tym, który wymierzy sprawiedliwość.

Zatrzymali się w Magdeburgu, około stu sześćdziesięciu kilometrów od stolicy Rzeszy. Poruszali się niepozornym oplem, choć Brytyjczycy oddali im do dyspozycji motocykl bmw R 51. Leitner jednak kategorycznie stwierdził, że maszyna przykuwa zbyt dużo niepotrzebnej uwagi i Rodemeyer był zmuszony zostawić ją w Trier. Temat wracał co jakiś czas, głównie za sprawą Marii.

– Należy mu się trochę od życia – argumentowała. – Widziałam go na tym motorze. Cieszył się jak dzieciak.

- Z pewnością bardziej cieszy się, składając raporty wrogom Rzeszy.
- Dasz kiedyś spokój?
- Wydaje mi się, że nie.

Marvin przez większość czasu udawał, że nie słyszy podobnych rozmów. Nie reagował na kąśliwe komentarze Leitnera i rzadko zabierał głos. Gdy zasiedli w magdeburskim wyszynku, zamówił sobie zupę, a potem w milczeniu zawiesił wzrok gdzieś w oddali.

Christian spodziewał się, że Polka prędzej czy później będzie się starała zamienić z Rodemeyerem choćby kilka słów. I nie pomylił się.

– To, co mówiłeś mi o Holzerze... – zaczęła. – To wszystko prawda?
– O Torstenie.
– No tak.
– Nazwisko Holzer przywłaszczył sobie od niejakiego Matthiasa Holzera, którego ubił świecznikiem w...
– Tak, pamiętam historię z lichtarzem.
Skinął głową.
– Wszystko to potwierdzone informacje, nie byle historyjki z gazet – powiedział Rodemeyer.
– Okropne.
– Bez dwóch zdań. Ale to nie wszystko.
– Nie?
– Gazety pisały o nim „Boa Dusiciel”. Zasłużył sobie na ten przydomek sposobem, w jaki pozbawiał życia inne ofiary. W zasadzie tylko to łączyło zabójstwa, bo dobierał cele bez żadnego klucza.
Polka pokręciła głową z niedowierzaniem.
– I pomyśleć, że moja rodzina traktowała go jak przyjaciela.
Leitner miał ochotę dodać, że podobnie on traktował Marvina, ale ostatecznie ugryzł się w język. Nie miał zamiaru po raz kolejny narażać się Marii, zresztą spuszczone wzrok Rodemeyera mówił sam za siebie.
– Torsten uciekł z rodzinnego Offenbachu po tym, jak udusił swoją matkę, Dorotheę Blankenburg – dodał Marvin. – I nie chcesz wiedzieć, co zrobił z jej ciałem po śmierci.
Maria aż się wzdrygnęła.
– Boa Dusicielem straszono w całej Hesji, aż pewnego dnia słuch po nim po prostu zaginął – ciągnął dalej Rodemeyer. – Znikł, rozpułnął się w powietrzu.
– Holzer ma do tego talent.
– Niestety.
Christian uznał, że talenty tego zbrodniarza nie mają żadnego znaczenia. Jeśli kiedykolwiek trafi na jego trop, wymierzy mu karę za wszystko, co zrobił. W szczególności za to, że targnął się na jego życie. Holzer nie dokończył sprawy, ale Leitner nie zamierzał powtarzać jego błędu.
Dwójka rozmówców kontynuowała dyskusję na temat kryminalisty, a Leitner rozejrzał się po przybytku. Był urządzony niemal wyłącznie w bordowym kolorze. Gdzieś wisiły czarno-białe fotografie przedstawiające doniosłe chwile z historii Rzeszy. Nastrój jednak nie był podniosły, wręcz przeciwnie, toporne zasłony niemal odcinały dopływ światła do wnętrza.
Christian przestał się rozglądać, gdy pojawił się kelner, by przyjąć kolejne zamówienia.
– Earl grey poproszę – wyrwał się Marvin. – Byle gorącą.
Leitner wbił wzrok w dawnego przyjaciela i przez moment się nie odzywał. W końcu jednak uznał, że musi zabrać głos.
– Chyba żartujesz – skonstatował.
– Dlaczego?
– Może jeszcze poprosisz w małej filiżance, z wizerunkiem opactwa westminsterskiego?
Marvin uśmiechnął się pod nosem, doceniając to, że Christian zmusił się do żartu. Podniósł wzrok, a potem wzruszył ramionami.
– Widzisz, nie jest ze mnie zbyt dobry...
Nagle urwał, z osłupieniem wbijając wzrok w wejście do lokalu. Wszyscy natychmiast zamarli, widząc pełną przerażenia minę Marvina.

Leitner obrócił się przez ramię.

– Obersturmführer Christian Leitner? – spytał mężczyzna zbliżający się do stolika.

Przybysz nosił mundur z naszywką „SD”, a za nim kroczyło czterech mężczyzn. Leitner nie mógł nie zauważyć, że trzech ma odpięte kabury z pistoletami. Sięgnął po laskę, jakby mogła stanowić potencjalną broń.

Klienci restauracji pospuszczali głowy, niektórzy zaś pospiesznie wezwali kelnerów, by uregulować należność i jak najprędzej opuścić lokal. Każdy wiedział, że obecność Sicherheitsdienst nie wróży niczego dobrego.

– Kto pyta? – zaczął Christian, podnosząc się.

– To nieistotne – odparł funkcjonariusz. Zatrzymał się przed Obersturmführerem i zmierzył go wzrokiem. Przyjął butną postawę i Leitner uznał, że przydałaby mu się lekcja pokory. Być może gdyby był w pełni sił, udzieliłby mu jej.

– Gestapo? – spytał Christian

Mężczyzna skinął na swoich towarzyszy, a ci szybko otoczyli stolik.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Po przymusowej kąpieli Thorben któryś raz z kolei zdzielił Staszka po głowie, a potem kazał mu przejść do pokoju obok i usiąść na krześle w rogu. Więzień wykonał polecenie, myśląc jedynie o tym, że z każdą chwilą będzie gorzej.

– Czas na nowy krzyk mody – odezwał się Fehrmann.

Zaniewski podniósł wzrok i zobaczył, że do pomieszczenia wszedł inny osadzony, niosąc przybory do golenia. Był jednym z tych lepiej odżywnionych.

– Będziesz miał fryzurę *à la* maciora, którą jesteś.

Thorben skinął na drugiego więźnia, a ten szybko zabrał się do roboty. Ostrzygł Staszka, a potem z pomocą żyłki usunął resztę włosów. Trudno było zliczyć, ile ran Zaniewski w ten sposób odniósł, nie tylko na głowie. Wolał o tym nie myśleć ani nigdy tego nie wspominać.

Potem Staszce zostały wydane więzienny pasiak, czapka, para skarpet oraz obuwie. Jeden but wyglądał na stosunkowo nowy, drugi natomiast musiał być reperowany. Z pewnością nie przez szewca, bo gdy tylko Zaniewski założył but, poczuł gwóźdź wbijający się w stopę. Starał się stąpać ostrożnie, wskutek czego sprawiał wrażenie, jakby utykał.

Narzucił na siebie szarą koszulę z jasnoniebieskimi pasami. Miała szorstki materiał i przywodziła na myśl raczej worek ziemniaków niż część garderoby, nawet więziennej.

Otrzymał numer 2402 i literę „P” na piersi. Przypuszczał, że jest to oznaczenie narodowości.

– Dokąd go dają? – zapytał mężczyzna, który wydał mu ubranie.

– Do trzynastego – odparł Thorben.

Staszek nie był zdziwiony. Tego dnia dopisywało mu szczęście.

Fehrmann wskazał kierunek i Polak szybko ruszył przed siebie. Po wyjściu na dziedziniec uszedł ledwie kilka kroków, nim ponownie oberwał w głowę. Zatoczył się do przodu i zacisnął zęby, starając się stłumić złość.

– Co tak kulejesz? – mruknął Thorben.

– Mam gwóźdź wbity w zelówkę.

– Widocznie odpadła. Trzeba było ją przytwierdzić.

– Tak, tylko że...

Tym razem Staszek dostał w kolano. Gdy machinalnie się zgiął, Fehrmann przywalił mu w ciemię. Zaniewski przypuszczał, że esesman dopiero się rozkręca – i nie pomylił się. Niemiec

sprowadził go na ziemię, a potem zaczął zapamiętane okładać, raz po raz pytając, czy teraz czuje się komfortowo. Gdy skończył, podniósł się i splunął na więźnia.

– Wstawaj – rzucił.

Ciężko oddychając, Staszek wsparł się na rękach i spojrzał na czerwone plamy na śniegu. Podniósł się i starał zachować równowagę. Przychodziło mu to z trudem, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli da temu człowiekowi najmniejszy powód, załucze go na śmierć.

– *Raus*, jełopie – polecił Thorben, wskazując jeden z baraków.

Po drodze Zaniewski czuł na sobie zaciekawione spojrzenia więźniów. Przepuszczał, że w makabrycznej obozowej monotonii pojedynczy nowy więzień będzie stanowił temat wielu rozmów.

Gdy dotarli na blok trzynasty, z baraku wyszedł mężczyzna, który wpuścił ich do obozu. Jąkała spojrzał na Staszka, jakby go nie poznawał.

– Co t-tam, Thorben? – spytał z uśmiechem.

Kierownik bloku w randze *Unterscharführera* nazywał się Moritz Strötzel. Zważywszy na okoliczności, robił nawet zabawne wrażenie. Pod nosem starał się usilnie wyhodować wąsik imitujący zarost Adolfa Hitlera, niestety natura poskąpiła mu tam włosów. Były rzadkie i jasne, i Moritz raczej nie mógł liczyć na to, że komukolwiek będzie przypominać Wodza.

– Świnia ogolona i umyta – oznajmił Fehrmann.

– D-dobrze, pierdolnij go w jakiś k-kąt.

Thorben wepchnął Staszka do środka, a potem zamiast wypełnić rozkaz, stanął w progu i zajął się rozmową z *Unterscharführerem*. Zaniewski skorzystał z chwili spokoju, by ocenić sytuację.

Barak był zapełniony może w połowie, pod ścianami ustawiono liche dwupiętrowe łóżka. Sienniki sprawiały wrażenie, jakby miały za moment się rozpaść, a leżący na nich ludzie przywodzili na myśl widma.

Z boku postawiono niewysoki murek, który od razu przykuwał uwagę. Staszek początkowo nie wiedział, czemu ma służyć – sięgał może do kolan i miał równo rozmieszczone otwory. Dopiero po chwili Zaniewski załapał, że to ubikacja.

Obok była rura, z której pewnie puszczano wodę. Prysznicem trudno było to nazwać, ale i tak stanowiło to zapewne uśmiech losu.

Powiódł wzrokiem dalej i przekonał się, że część osadzonych najwyraźniej śpi na podłodze. Pod jedną ze ścian ułożone były sienniki, z których wystawała słoma.

Staszek przestał się rozglądać, dostrzegłszy poruszenie przy wejściu. Wyminął kilku wychudzonych więźniów, a potem zauważył, że jeden z nich leży u stóp Niemców. Strötzel i Fehrmann patrzyli na niego z obrzydzeniem.

– Ma gorączkę? – spytał Moritz.

– *Ja, Blockführer* – odparł jeden z osadzonych. Odbiegał wyglądem od pozostałych, jego pasiak nie był wypłowiały, miał owalną twarz. Nie był gruby, ale natychmiast rzucał się w oczy, z uwagi na całą resztę wynędzniałych nieszczęśników.

Strötzel szturchnął nogą chorego i westchnął. Skinął na zadbanego kapo, a ten natychmiast złapał leżącego za fraki i wyciągnął go na zewnątrz. Z pomocą innego więźnia postawili go na nogi.

– Brawo – ocenił Moritz. – Teraz naprzód, już bez pomocy.

Esesman wyciągnął pistolet i obserwował, jak biedak niepewnie stawia kroki. Z każdym kolejnym metrem chwiał się coraz bardziej, aż w końcu upadł na ziemię. Strötzel stanął nad nim, wyprostował rękę, a potem jak gdyby nigdy nic strzelił mu w tył głowy. Krew i mózgowie

trysnęły z dziury w czaszce, a Niemiec schował pistolet.

Stojący w progu Zaniewski potrzebował chwili, by ogarnąć umysłem to, co się wydarzyło. Tymczasem reszta więźniów wydawała się zupełnie niezainteresowana wydarzeniami przed barakiem. Chłopak szybko stwierdził, że najlepiej będzie, jeśli on też zacznie sprawiać takie wrażenie. Odwrócił się, a potem ruszył w głąb hali. Minął siedzących na podłodze więźniów i podszedł do najbardziej zadbanych łóżek. Uznał, że musi jak najszybciej nawiązać kontakt z kimś, kto ma tu cokolwiek do gadania.

Zauważył, że wszystkie prycze są idealnie zaścielone, niczym od linijki.

– Spierdalaj od mojej buksy – rozległ się głos zza jego pleców.

Zaniewski odwrócił się i zobaczył wychudzonego mężczyznę, który patrzył na niego spode łba. Mimo ostrego tonu i nieprzyjaznego spojrzenia, nie sprawiał wrażenia, jakby chciał zaatakować – przyjmował raczej postawę obronną.

– Ja nie... – zaczął Staszek.

– Widzisz, że prycza jest zajęta.

– Widzę. Nie miałem zamiaru...

– Brunetek w niej szukasz?

– Co?

– Pcheł – oznajmił rozmówca i pokręcił głową. – Nic nie znasz z obozowego języka, co?

– Nic a nic.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Dopiero przyjechałeś? – zapytał. – Przecież nie było żadnego cugangu.

– Czego?

– Transportu – mruknął więzień. – I nie martw się, szybko załapiesz slang.

– Nie wątpię. Przydałoby mi się też miejsce na noc – dodał Zaniewski, rozglądając się po pryczach.

– A ciuki masz?

– Czy co mam?

– Kipy – wyjaśnił rozmówca. – Papierosy. Jakby ci się udało przesprycić filcera i wnieść coś tutaj... albo grajfnąc po drodze któremuś esesmanowi, miałbyś dobry start.

– Niestety nie mam papierosów.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– W takim razie wypada tylko się cieszyć, że trafiłeś tu w sobotę. Jest kilka wolnych miejsc.

Staszek powiódł wzrokiem po pryczach.

– Wszystkie są zaścielone – zauważył.

– Bo ktoś zrobił to rano – odparł rozmówca i uśmiechnął się lekko. – Nie znaczy, że wróci na noc do swojej buksy, rozumiesz?

– Rozumiem.

– W soboty i niedziele po południu mamy wolne – kontynuował przerwany wątek więzień. – Można wychodzić z baraku. W każdy inny dzień byłoby tu tyle ludzi, że szpilki byś nie wetknął, tym bardziej nie znalazł łóżka.

Zaniewski skinął głową z wdzięcznością. Obawiał się, że nikt nie będzie gotowy zamienić choćby słowa z nowo przybyłym, tymczasem już zdążył się czegoś dowiedzieć.

– Uważaj na Torbę – dodał mężczyzna.

Staszek machinalnie spojrzął pod nogi.

– Na tego esmana, który cię tu wprowadził. Wyjątkowa gnida.

– Chyba wszyscy nimi są.

Osadzony opadł ciężko na swoją pryczę, a potem spojrzął powątpiewająco na Zaniewskiego.

– Starczy już tych bzdur – powiedział. – Idź znaleźć sobie miejsce.

– Dzięki za...

– No, już. Daj mi spokój.

Staszek uznał, że wyczerpał kredyt dobrej woli u rozmówcy. Obrócił się, a potem omiół wzrokiem wnętrze baraku. Skoro większość więźniów przebywała na zewnątrz, łatwo byłoby wejść z kimś w konflikt, omyłkowo zajmując jego „bukse”. Do zmroku nie pozostało już wiele czasu i Zaniewski postanowił poczekać. Potem wybierze to łóżko, na które nikt nie wróci.

Przeszedł między siennikami, czując przemożny smród dobywający się zarówno z nich, jak i leżących na nich więźniów. Trudno było mu zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby pozostać w baraku, kiedy była pora wyjścia. Część nie miała siły, to jasne, ale niektórzy sprawiali wrażenie, jakby było im wszystko jedno.

Jeden z nich zerwał się z miejsca i stanął przed Staszkiem.

– Spokojnie, ja nie...

– Masz sztumele? – zapytał osadzony.

Zaniewski gorączkowo starał się przypomnieć sobie wszystkie nowe słowa, które usłyszał. Wydawało mu się jednak, że ten termin nie padł. Po wyrazie twarzy rozmówcy mógł spodziewać się, że chodzi o ciuki.

– Nie – odparł. – Miałem trudną przeprawę i...

– Te, te – uciął więzień. – Teraz będziesz mi całą historię swojego życia opowiadać, profesorze?

– Nie miałem...

– Każdy z nas miał ciężką przeprawę.

Staszek nie miał zamiaru kłócić się z tym człowiekiem. Każda możliwa odpowiedź właśnie do tego ostatecznie by prowadziła, więc kiwnął tylko głową, a potem ruszył w bok, chcąc wyminąć przeszkodę.

– Załatwisz na jutro – dodał więzień.

Zaniewski zatrzymał się.

– Co takiego? – zapytał.

– No jak co, kipy, nie?

– Nie sądzę.

– Co ty powiedziałeś, mały skurwielu?

Mężczyzna natychmiast zaszedł mu drogę i stanął tak blisko, że Staszek poczuł smród z jego ust.

– Że nie sądzisz? – dodał. – Ty dopiero dowiesz się, czego nie sądzisz...

Zawiesił głos i Zaniewski przygotował się na uderzenie. Nie nadawał się do bitki, ale po ostatnich przeżyciach nie miał zamiaru dłużej dać sobą pomiatać. Zaciśnął pięści i uniósł gardę. Przypuszczał, że nie przypomina nawet namiastki boksera, choć ojciec czasem zabierał jego i Bronka na gale. Staszek do dziś pamiętał walkę ówczesnego mistrza Polski w wadze muszej, Szapsela Rotholca z Gwiazdy Warszawa. Przypuszczał, że jeśli popularny „Szapsio” trafił do podobnego piekła, radzi sobie znacznie lepiej niż on.

Przeciwnik był chyba podobnego zdania, bo uśmiechnął się szeroko. Zaniewski starał się patrzeć mu prosto w oczy i dać do zrozumienia, że się nie boi. Efekt musiał jednak być nie najlepszy. Mężczyzna odsunął się o krok, a potem sam uniósł pięści.

– Rozpiardolę ci czaszkę – odezwał się.

Staszek z trudem przełknął ślinę. Wiedział, że to dość prawdopodobny scenariusz. Napiął mięśnie, po czym przygotował się na atak.

– Zostaw go – rozległ się donośny, zachrypnięty głos.

Zaniewski na moment zupełnie znieruchomiał, ale z ulgą dostrzegł, że przeciwnik zachował się zgoła inaczej. Zaklął pod nosem, a potem odwrócił się i powoli odszedł.

Staszek rozejrzał się skołowany w poszukiwaniu wybawcy i po chwili zorientował się, że był to jeden z tych więźniów, którzy dobrowolnie zostali w baraku. Siedział pod ścianą, wodząc wzrokiem gdzieś w oddali.

– Dziękuję – powiedział Staszek.

Mężczyzna z głęboką blizną na policzku podniósł się, a potem skierował do swojej pryczy. Wydawał się kimś ważnym w obozowym świecie. Większość osadzonych spuszczała wzrok, kiedy ich mijał.

Kapitan Obelt usiadł w końcu na swojej buksie, a potem szturchnął Czesława Zmitkiewicza.

– Co to za młody? – zapytał.

Jego towarzysz niechętnie się podniósł i spojrzał we wskazanym kierunku. Otaksował chłopaka, a potem wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie znam.

– Przed chwilą mieliłeś z nim ozorem.

– Mówiłem mu tylko, żeby znalazł sobie pryczę – odparł Czesław. – Zresztą jaka różnica, kto to jest? Za dwa dni i tak pójdzie do pieca.

Obelt z niechęcią dodał w duchu, że nie on jeden. Takich chłopaków przybywało tu coraz więcej – i wszyscy znikali równie szybko. Kapitan spojrzał jeszcze na młodego, a potem westchnął i położył się na łóżku. Zamknął oczy, starając się o niczym nie myśleć. Tę sztukę jakis czas temu opanował do perfekcji.

Zaniewski z niepokojem obserwował, jak grupa więźniów wraca do baraku. Wydawało mu się, że nawet połowa z nich by się tutaj nie zmieściła. Thorben i jeden z zadbanych więźniów powoli szli pomiędzy rzędami upychających się obok siebie ludzi.

Staszek rozpaczliwie poszukiwał miejsca, które pozostawałoby wolne dłużej niż pozostałe. W końcu ruszył do jednej z pustych prycz, ale ubiegł go inny osadzony. Zaklął w duchu, uznając, że jest na straconej pozycji. Pozostali więźniowie doskonale wiedzieli, kto tego dnia zostawił wolne miejsce.

Zaniewski ułożył się w końcu na jednym z sienników na podłodze, tuż obok mężczyzny, który sprawiał wrażenie względnie przyjaznego człowieka. Leżeli ramię w ramię, ale towarzysz nie oponował.

– Kim jest ten obok Torby? – odezwał się Staszek.

– Zamknij się – syknął więzień.

Zaniewski wykonał polecenie.

– To kapo – dodał po chwili rozmówca. – Uważaj na niego. I bądź cicho.

Fehrmann przechadzał się znudzony między pryczami, raz po raz dźgając kogoś pałką lub trącając nogą. Staszek nie dostrzegł w tym żadnego celu, esesman robił to dla czystej satysfakcji. Idący za nim kapo przykładał się zaś do swojej roboty – wyrzucał więźniów z łóżek, po czym wywracał ich sienniki na drugą stronę. Zupełnie jakby mogli wnieść jakąś kontrabandę

z pustego, ogrodzonego placu. Potem jeden i drugi wydawali komendy, by ułożyć się równo i przylgnąć do siebie jak najbardziej.

Po skończeniu obchodu Niemcy stanęli przed progiem i ocenili efekty swojej pracy. Thorben przeciągnął się i ziewnął, najwyraźniej uznając, że sprawa jest załatwiona. Kapo był jednak innego zdania. Podszedł do leżących na ziemi mężczyzn i zaczął jeszcze bardziej dopychać ich do siebie.

W pewnym momencie spojrzął na Zaniewskiego. Polak zupełnie znieruchomiał, mając nadzieję, że wyczerpał limit pecha na ten dzień. Szybko przekonał się jednak, że tak nie było. Kapo ruszył w jego kierunku.

Zatrzymał się przed Staszkiem i uśmiechnął, a następnie wziął mocny zamach. Drewniany but wylądował z impetem na zębach leżącego obok osadzonego. Ten kaszlnął i wypluł kawałek zęba, bezwiednie, jakby to była codzienność.

Kapo położył but na ramieniu Zaniewskiego, a potem wywarł nacisk. Polak robił dokładnie to, czego od niego oczekiwano. Przylgnął do rannego i czekał. Kapo obrzucił go obojętnym spojrzeniem, a potem się oddalił.

BĂBUEȘTI, OKRĘG VALCEA, RUMUNIA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Bronek i Gavril przeszli niecały kilometr, nim Rumun nagle uniósł rękę. Obaj stanęli jak rażeni piorunem, mechanicznie podnosząc broń. Zaniewski starał się wyłowić z mroku powód nagłego zatrzymania i po chwili dostrzegł dwójkę ludzi. Szli niespiesznie w ich kierunku.

– *Ascunde* – polecił Stoicescu.

Bronek nie miał pojęcia, co oznacza to słowo, ale po nerwowym szepcie uznał, że pora się schować. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy Gavril dał susa prosto w krzaki na poboczu. Polak zrobił to samo.

– *Cătălina* – odezwał się Stoicescu.

– Niewątpliwie – odparł po chwili Zaniewski. Wprawdzie w ciemnicy nie sposób było dostrzec twarzy, ale niewątpliwie drogą szła młoda dziewczyna. Trudno było spodziewać się, że ktoś inny niż córka Gavrila nocą przemieszcza się z Călimănești do Băbuești.

Towarzysz drgnął, ale Bronek położył mu dłoń na ramieniu, starając się go uspokoić.

– Jeszcze nie – powiedział.

Gdyby nawet Rumun znał polski, i tak pewnie nie zrozumiałby, co chłopak do niego mówi. Wpijał wzrok w nocną czerń, jakby starał się ją rozwiać siłą woli i dostrzec, kto prowadzi jego córkę.

Po chwili starszy człowiek sprawnie przykląkł na jedno kolano, przyłożył karabin do ramienia i przygotował się do strzału.

Zaniewski znieruchomiał, nie wiedząc, co robić. Strzelanie do jelenia z takiej odległości w świetle dnia wydawało się daremnym przedsięwzięciem, ale celowanie do człowieka w środku nocy? Zupełny bezsens. Tym bardziej, że tuż obok kroczyła Cătălina.

Zaklął pod nosem, a potem ściągnął przez ramię swoją broń. Oparł wygodnie kolbę, skorygował nieco ustawienie lunety i spojrzął przez nią przed siebie. Kompletnie nic nie widział. Oderwał wzrok od celownika i wyłowił ludzi z mroku. Znów dokonał korekty.

Wyszedł z założenia, że jeśli ktokolwiek ma strzelać, lepiej będzie, jeśli zrobi to ten, kto ma celownik optyczny. Powiększenie nie było duże, ale mogło zadecydować o życiu lub śmierci dziewczyny. Nie było czasu, by wyperswadować cokolwiek Gavrilowi.

Wziął głęboki wdech i wycelował w mężczyznę. Teraz widział go nieco lepiej.

Nagle Stoicescu położył mu dłoń na ramieniu. Polak natychmiast zwrócił do niego głowę i przekonał się, że Rumun promienieje. Machnął ręką, jakby starał się zasugerować, że jest tylko dumnym, nadopiekuńczym starcem. Mamrotał coś przy tym, ale Zaniewski nie potrafił niczego zrozumieć. Gavril klepnął go w plecy, a potem wyszli na drogę. Nadchodzący ludzie w pierwszej chwili się przerazili, ale Stoicescu szybko zamachał do córki i ją uspokoił, przyspieszając kroku.

Bronek został z tyłu i z oddali obserwował wylewne powitanie. Stoicescu najpierw wyściskał Cătălinę, a potem mężczyznę, który najwyraźniej odprowadzał ją do domu.

Gdy Polak podszedł bliżej, spojrzął na dobroczyńcę i zupełnie zdębiał. Naraz jednak pomyślał, że miasto, z którego wraca dziewczyna, nie jest duże. Ile mogło być tam osób, które znały polski?

– Ion, ty skurczybyku – powitał go z szerokim uśmiechem.

Balmoș odwzajemnił grymas, wyciągając rękę. Uścisnęli sobie mocno prawice.

– Co ty tu robisz, Polaku?

– Co robię? – spytał Zaniewski, rozglądając się. – Ratuję swój tyłek po tym, jak twój transport okazał się niespecjalnie przydatny.

– O czym ty mówisz?

– Były trzy miejsca w samochodzie i...

– Zgodnie z umową.

– Tak, ale nas było czterech, jeśli pamiętasz.

Ion wywrócił oczami.

– Oddałeś miejsce Kiendremu?

– Niestety, zebrało mi się na...

– Zupełny debilizm.

– Można tak to nazwać – przyznał Bronek. – Kierowca miał po mnie wrócić, ale najwyraźniej wypadło mu to z głowy. Zamiast więc dostać się na dworzec, poznałem trochę okoliczne lasy. Są piękne o tej porze roku.

– Dziw mnie bierze, że przeżyłeś.

Gavril przypatrywał się mężczyznom nieco skonsternowany, więc Balmoș szybko wytłumaczył mu, skąd się znają. Rumun uniósł brwi, pokiwał głową, a potem wskazał kierunek ku Băbuești. Cała czwórka ruszyła niespiesznie przed siebie.

– Co mogło się stać? – zagaił Bronek.

Ion przez chwilę milczał.

– Nie mam pojęcia – odparł w końcu. – Ale jak tylko wrócę do Călimănești, dowiem się wszystkiego.

– Może kierowca nie mógł odnaleźć miejsca, w którym mnie zostawił? Była ciemna noc i...

– Nie. Zna dobrze teren.

– Więc najwyraźniej po prostu uznał, że szkoda zachodu. I benzyny.

– Nie sądzę – zaoponował Ion. – Znam go dobrze, nie zrobiłby tego. Coś musiało się stać.

– Kiedy ostatnio się z nim widziałeś?

Rumun zastanawiał się przez moment, a potem pokręcił głową.

– Ostatnim razem przed waszym wyjściem.

W drodze powrotnej do chaty Gavрила rozprawiali na temat scenariuszy, które mogły się wydarzyć. Były to jedynie czyste spekulacje, do których Bronek nie przywiązywał większej wagi. Dopóki Balmoș nie rozpyta w mieście, niczego się nie dowiedzą.

Gdy weszli do chałupy, gospodyni natychmiast spiorunowała męża wzrokiem i nabrała tchu przed długim monologiem. Nie potrzeba było znajomości rumuńskiego, by wiedzieć, że obsztorcowuje go za zbyt późny powrót.

– Ion... – mruknął Zaniewski. – Powiedz jej, że zatrzymali cię dłużej w obozie i dziewczyna musiała na ciebie czekać.

– Co?

– Powiedz cokolwiek, byle ta kobieta się uspokoiła.

– Zwariowałaś? Nie mam zamiaru brać tego na siebie.

Gavril ukradkowo wskazał mężczyznom pomieszczenie obok kuchni. Odebrawszy sygnał do wycofania się, przeszli do izby i usiedli na starych fotelach. Ściany zdobiły tutaj liczne trofea myśliwskie, co tworzyło nieco ponurą atmosferę.

– Zakładam, że przebili się na zachód – podjął Bronek, myśląc o przyjaciółach.

– Być może tak było.

Obrócił się do Rumuna.

– Będziesz w stanie załatwić mi też przerzut?

– Teraz?

– Niekoniecznie w tej chwili – odbąknął Bronek. – Ale w najbliższym czasie.

– Ja się tym nie zajmuję – zastrzegł Ion. – Daję cynk, a potem kieruję was na dworzec. Resztę załatwicie sobie we własnym zakresie.

– Mój własny zakres jest problematyczny, bo nie przejdę o własnych siłach kilku kilometrów. Poza tym kabzę mam pustą.

– Jak wcześniej mieliście uciekać?

– Maniura rozmówił się z jednym z żołnierzy. Ten dał mu namiar na twojego odpowiednika w innej wsi, na zachodzie. Mieliśmy tam pojechać pociągiem.

– I nie pamiętasz, co to za wieś?

– Niespecjalnie. Miałem na głowie inne rzeczy.

Ion pokiwał głową w zadumie, a potem potoczył wzrokiem po trofeach.

– Źle ci tutaj? – zapytał.

Polak popatrzył na niego błagalnie.

– Dobrze – odparł. – Ale wiesz, że nie o to chodzi.

– Pewnie, że wiem. Chcesz walczyć z Niemcami i zginąć.

– Względnie bez tego ostatniego.

Ion przez moment milczał.

– Masz szczęście, że na nich trafiłeś – powiedział w końcu. – Powinieneś skorzystać.

– Wiem, przyjęli mnie jak...

– Nie, nie – zaoponował Rumun. – Chodzi mi o to, że Gavril to... – urwał, szukając odpowiedniego słowa, co rzadko mu się zdarzało. – Arcymistrz.

Zaniewski przechylił się przez boczne oparcie i ściągnął brwi.

– Jaki znów arcymistrz?

– Strzelectwa. Możesz się od niego wiele nauczyć, jeśli ci pozwoli.

– Nie wątpię, ma okazały arsenał i trofea.

– Trofea? – zapytał Ion i zaśmiał się. – To, co tu widzisz, to zwierzęta, które ustrzelił, żeby się najęść. To urodzony strzelec, tak jak jego ojciec i dziad. Zawsze tu tak było.

– Uczył cię strzelać?

– Żartujesz, Polaku? W rodzinie Stoicescu uczy się tylko swoich. Niestety stara nie wydała na

świat chłopca, więc tradycja niechybnie przepadnie. Nie wygląda na to, żeby dalej starał się ją zbrzuchacić.

Bronek pokiwał głową.

– Weźmie kogoś innego – podsunął. – Jak nie syna, to wnuka czy siostrzeńca.

– Nie ma.

– To kogoś z wioski.

Balmoś znów cicho zachichotał.

– Nie masz pojęcia, jak ludzie z wioski ich odbierają.

– Najwyraźniej nie.

– Jak dziwaków, których trudno zrozumieć. O Gavrilu chodzą różne słuchy, niektórymi opiniami czuje się mocno dotknięty. Nigdy nie przekaze swojej wiedzy wioskowym durniom.

– Mnie tym bardziej nie.

– Gdybyś się postarał, może udałoby ci się...

– Chcę iść na front, Ion – uciął Zaniewski. – Przeszedłem przeszkolenie, odbyłem kilka lat służby, jestem gotowy.

– Mhm.

– Chcę dostać się do Francji, znów założyć mundur i ruszyć na Szwabów.

– Na razie, jak sam zauważyłeś, nie jesteś w stanie przejść kilku kilometrów, co dopiero mówić o podróży.

– Szybko dochodzę do siebie.

Mężczyźni przerwali rozmowę po polsku, gdy gospodarz wszedł do pokoju. Balmoś dostrzegł wyraźną ulgę na jego obliczu. Starzec zamknął za sobą drzwi, a potem opadł ciężko na jeden z foteli. Ion przez moment się zastanawiał, po czym uznał, że może zrobić dla sierżanta więcej, jeśli przejmie inicjatywę.

– Panie Stoicescu – zaczął. – Polak chciałby pana poprosić, żeby pan go strzelać nauczył.

– Bronek.

– No tak, Bronek.

Ion spojrział na Zaniewskiego, który zainteresował się rozmową. Gavril milczał, patrząc na jedno z poroży.

– Nie przekazujemy naszego doświadczenia poza rodzinę – powiedział w końcu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale to sytuacja wyjątkowa.

Stoicescu zgromił go wzrokiem, krzyżując ręce na piersi.

– Masz na myśli brak męskiego potomka?

– W żadnym wypadku – zapewnił szybko Ion. – Chodzi mi o to, że pański gość jest żołnierzem, chce przedrzeć się na zachód i walczyć.

– Tak... – odparł w zamyśleniu Gavril. – Zdaję sobie z tego sprawę. Wojskowy wojskowego zawsze pozna.

Po okolicznych wsiach krążyły różne legendy na temat tego, gdzie walczył Stoicescu. Jedni mówili, że w Wielkiej Wojnie, inni, że dołączył do republikanów hiszpańskich w trzydziestym szóstym i tłuł się z nacjonalistami przez kolejne trzy lata. Wersji było tyle, ile głów.

Ion spostrzegł, że gospodarz świdruje wzrokiem Polaka.

– I cóż on w tej Francji chce robić? – zapytał. – Wojny tam nie ma.

– Twierdzi, że zbierają się tam polskie siły.

– Zbierać to się mogą.

Balmoş uznał, że najwyższa pora przetłumaczyć choć część rozmowy Zaniewskiemu. Pomiął fakt, że poprosił gospodarza w jego imieniu o pomoc w szkoleniu techniki strzelania. Lepiej będzie, jeśli przekona Bronka, że to Gavril wyszedł z inicjatywą.

– Chętnie bym się od niego uczył, Ion – skwitował Zaniewski. – Ale tutaj mogę strzelać co najwyżej do saren, a ja na muszce chcę mieć Niemców.

– Rozumiem, ale we Francji też ich nie ma.

– To tylko kwestia czasu.

Zaniewski spojrział na gospodarza i przez moment marszczył czoło.

– On nie wygląda na zadowolonego – zauważył Polak. – Cóżes mu nagadał?

– Nic.

– To nie on wyszedł z propozycją, tylko ty, prawda?

Balmoş wzruszył ramionami i skierował wzrok na okno. Przez moment wszyscy milczeli, a potem Ion zwrócił się do starca w swoim języku:

– On chce tylko zabijać szkopów.

– To się chwali.

– Pomoże mu pan?

Stoicescu rozplótł ręce i rozsiadł się na fotelu jak basza.

– Nie wygląda na pocieszonego – zauważył. – To nie on wystosował prośbę, prawda?

– Niezupełnie, ale...

Gavril uniósł dłoń, więc Balmoş czym prędzej urwał. Po wyrazie twarzy obu mężczyzn widział jednak, że jego misja zakończyła się sukcesem. Przynajmniej tutaj. Nazajutrz bladym świtem udał się z powrotem do Călimănești, by dowiedzieć się, co przydarzyło się pozostałym Polakom. Zostawił Bronkowi słownik, dzięki któremu ten mógł nawiązać jako taki kontakt ze swoim nauczycielem.

MAGDEBURG, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Leitner trwał w niemal całkowitym bezruchu. Poruszały się tylko jego oczy, gdy spoglądał na otaczających go ludzi. Nie było sensu oceniać swoich szans – były oplakane. Nawet gdyby przysłano po niego byle chłystków, przewaga liczebna zrobiłaby swoje. Tymczasem zjawili się tutaj wyszkoleni funkcjonariusze SD, widać to było po przyjętej pozie i chodzie – każdy krok robili, jakby szkolono ich tylko do tego, by równo stawiać nogi. Nie musieli nawet nosić mundurów, bo i bez tego z odległości kilkuset metrów było widać, że to Sicherheitsdienst.

Ten, który wywołał go ze stopnia, imienia i nazwiska, patrzył na niego wyczekująco. Reszta trzymała ręce na kaburach z pistoletami. Klientela w restauracji natychmiast się przerzedziła i w odległości kilku stolików zostali tylko oni.

– Gestapo? – powtórzył Christian.

– Robi to panu jakąś różnicę, *Obersturmführer*?

Funkcjonariusz zbliżył się o krok i spojrział na Leitnera z góry. Miał jasne włosy, ze starannie zaczesaną na prawo grzywką. Modelowy esesman.

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

– Nie zawsze ma się to, co się lubi.

Christian skierował wzrok na oznaczenie stopnia funkcjonariusza.

– W porządku, *Kriminalobersekretär*. Powiedz mi zatem, czego chcesz?

– Pan i pańscy towarzysze są proszeni o udanie się z nami.

– Nie wygląda to jak prośba.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Leitner popatrzył na siedzącą naprzeciw Marię. Skinęli do siebie nieznacznie głowami.

– Niech będzie – powiedział Christian. – Choć spodziewałem się, że komitet powitalny Cerbera będzie miał nieco więcej ogłady.

Bacznie obserwował reakcję funkcjonariusza. Ten machinalnie powiódł wzrokiem na boki, jakby wspomniano publicznie o czymś, co nie powinno być poruszane poza wąskim gronem ludzi. Leitner wsparł się o stół i podniósł. Podpierając się laską, ruszył w kierunku wyjścia.

– Zaparkowaliśmy z drugiej strony – odezwała się Maria po niemiecku, gdy opuścili budynek.

Nikt jej nie odpowiedział. Szli w kierunku trzech czarnych samochodów na tyłach wyszynku. Spojrzała na Leitnera, a ten posłał jej uspokajające spojrzenie. Sprawiał wrażenie, jakby miał wszystko pod kontrolą, ale Polka zdawała sobie sprawę, że to jedynie pozory.

Wcześniej zapewniał ją, że nim zajdzie słońce, on odzyska swoją rodzinę, ona narzeczonego, a jedynym, który będzie musiał martwić się o swój los, będzie Johann Blankenburg.

Wiedziała, że ułożył sobie pewien plan – i nawet głęboko wierzył w jego realizację – ale nie była w stanie go zweryfikować. Podał jej jedynie oględne informacje i zapewnienia, z których nic nie wynikało. Miała tylko nadzieję, że jego zazwyczaj chłodna kalkulacja nie była przyćmiona chęcią zemsty i potrzebą odnalezienia bliskich.

Gdy podeszli do samochodów, zauważyła, że Marvin sprawia wrażenie, jakby był gotów uciekać. Zaraz jednak przekonała się, że to raczej gotowość do podjęcia jakichkolwiek działań. – Rodemeyer patrzył wyczekująco na Leitnera, jakby spodziewał się, że ten w ostatniej chwili da znać, by stawili opór.

Zamiast tego Christian wsiadł do jednego z pojazdów. Marvin znikł po chwili w drugim, a Maria i Elisa zostały poprowadzone do trzeciego. Polka czuła, że serce wali jej jak młotem.

Od Berlina dzieliło ich sto pięćdziesiąt kilometrów. Trzy samochody jadące w równym szyku pokonały tę trasę w niewiele ponad dwie godziny.

Gdy wjechali do miasta, Maria po raz pierwszy miała okazję zobaczyć to, co Leitner określał jako „majestat Berlina”. Metropolia w rzeczy samej prezentowała się ciekawie pod względem architektonicznym, choć Maria uważała, że użyte określenie bardziej pasuje do Lwowa, Krakowa lub Warszawy.

Wjechali do miasta od południowego zachodu, niespiesznie mijając rozległe wody Wannsee. Przed oczami Marii przemykały kolejne przecznice, chodniki wypełnione ludźmi i wszechobecna zieleń. Nic w Berlinie nie wskazywało na to, by gdzieś na wschodzie ten naród prowadził krwiożerczą wojnę. Minęły cztery miesiące, Niemcy powiększyły swoje włości o połowę terytorium dawnej Polski, a życie tutaj toczyło się, jak gdyby nic się nie zmieniło.

Dotarli w końcu do Potsdamer Platz i zwolnili, wjeżdżając w Hermann-Görling-Straße. Po kilku metrach zatrzymali się przed głównym wejściem do Kancelarii Rzeszy przy Voßstraße 6. Ogromny nazistowski orzeł, odlany z brązu, oraz krwistoczerwone sztandary z symbolami Rzeszy przyprowadziły Marię o zgrozę. Zdała sobie sprawę, że stoi w przedsionku piekła. Postanowiła zrobić krok ku otchłani. Przełknęła ślinę, popatrzyła na kuzynkę, a potem sięgnęła do klamki.

– *Halt* – odezwał się jeden z funkcjonariuszy, natychmiast wyciągając rękę.

Nim zdążyła otworzyć drzwi, złapał ją mocno za przegub. Odrzuciła jego dłoń i spiorunowała go wzrokiem.

– Wyjdziecie, jak powiem – oznajmił.

Nie miała zamiaru wdawać się w przepychanki. Obejrzała się przez ramię na samochód z Rodemeyerem, ale nie mogła dostrzec go w środku. Z pojazdu przed nimi wysiadł Leitner i zaczął rozmawiać z kierowcą.

Po chwili funkcjonariusz Sicherheitsdienst wskazał mu kierunek. Christian ruszył ku budynkowi.

Cerber oparł brodę na dłoni, drugą przykładając słuchawkę telefonu do ucha. Rozmówca jak zwykle wylewał mu wszystkie swoje żale związane z niepowodzeniami na froncie. Każdy inny przywódca każdego innego kraju traktowałby sytuację jako wprost wymarzoną, tymczasem on każdy najmniejszy problem wyolbrzymiał do maksimum.

– Chcę poznać twoje zdanie – zakończył jego przełożony.

Brodacz musiał wysłuchać całej litanii utyskiwania na błędy generałów. Czasem odnosił wrażenie, że niewiele brakuje, a dojdzie w Rzeszy do takich czystek, jak miało to miejsce w Rosji.

– Moje zdanie? – zapytał Cerber. – A co ja mogę powiedzieć?

– Mów – rozległ się stanowczy głos.

Cerber wyprostował się jak struna i zaczerpnął tchu.

– *Mein Führer* – podjął. – Taktyka wojskowa to nie moja działka. Mogę natomiast powiedzieć o strategii w szerszym kontekście. Potrzebujemy rudy żelaza jak niczego innego.

– Niewątpliwie – odparł Hitler.

– Jeśli zaatakujemy teraz Francję...

– Kiedy – poprawił go Wódz.

– Oczywiście – pokajał się Cerber. – Kiedy zaatakujemy Francję, staniemy przed groźbą ogromnego deficytu tego surowca.

– Więc co proponujesz?

– Zabezpieczmy najpierw dostawy rudy żelaza ze Skandynawii. Wystarczy, że opanujemy norweskie porty, a będziemy mogli systematycznie sprowadzać ją ze Szwecji, *Mein Führer*.

Starzec usłyszał, że rozmówca zasłonił dłonią mikrofon i zamienił z kimś kilka słów. Odczekał chwilę, nim nadejdzie jego kolej.

– Wasz opór przed pójściem za ciosem jest dla mnie niezrozumiały – odezwał się w końcu Hitler.

Cerber nie wiedział, kogo oprócz niego ma na myśli Wódz, ale przypuszczał, że nie ma to większego znaczenia. Ten człowiek zawsze musiał mieć wroga – czy to wśród swoich, czy zewnętrznego. To napędzało go do objęcia władzy w NSDAP, a potem w kraju. I to teraz stanowiło motor napędowy wszystkich innych działań. Führer przeniósł tę optykę z wymiaru własnej psychiki na społeczeństwo. Od pewnego czasu także ono miało jednego, spersonalizowanego wroga, odpowiedzialnego za całe zło – Żyda.

– Przemyśl to – polecił Hitler, a potem się rozłączył.

Ich relacje były na tyle zażyłe, że nie musieli silić się na uprzejmości. Wódz kontaktował się z nim nader często, przedstawiając swoje pomysły i krytykując wojskowych za to, że nie potrafią dobrze ich realizować. Cerber jednak niewiele mógł powiedzieć na temat działań militarnych Rzeszy. Jego zadanie w tym wielkim mechanizmie politycznym było zupełnie inne. Dzięki niemu Rzesza będzie trwała przez tysiące lat, a w szkołach będą nauczać o misji, jaką on sam wykonał dla świata.

Przez moment siedział w ciszy, którą w końcu ponownie przerwał dźwięk telefonu. Starzec

podniósł słuchawkę.

- Zapomniałem zapytać o tego człowieka – odezwał się Hitler.
- Christiana Leitnera.
- Tak. Nadaje się?
- Jeszcze nie wiem.
- Wiązałeś z nim ogromne nadzieje.
- Tak, *Mein Führer*, ale muszę jeszcze mu się przyjrzeć.
- Zrób to – polecił Wódz. – Opowiesz mi o swoich wnioskach podczas kolacji.

Gdy rozmówca się rozłączył, Cerber głośno westchnął. Zaproszenie na kolację u kanclerza Rzeszy niewiele miało wspólnego z perspektywą wystawnej uczy. Po pierwsze, nie podawano mięsa, bo Hitler niedawno przestał je spożywać. Po drugie, nie można było palić papierosów ani cygara, na alkohol również trudno było liczyć. Wódz był zwolennikiem teorii pewnego wielkiego Niemca, Richarda Wagnera, który stronił od wszystkich tych rzeczy, by zachować siły vitalne.

Ledwo Cerber odłożył słuchawkę, a rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść – rzucił oschle brodac.

Jeden z podległych mu funkcjonariuszy wszedł do pokoju, a potem wykonał perfekcyjnie wyćwiczone hitlergruß.

- Przyjechali – oświadczył.
- Świetnie. Wprowadź Leitnera.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Pierwsza noc była dla Staszka gehenną. Gdy zamknięto drzwi, odór niemytych ciał i umierających ludzi zdawał się narastać z każdą chwilą. Zaniewski nie zmrużył oka przez większą część nocy, dopiero nad ranem usnął. Obudził się jednak szybko – zadbali o to kapo, kopiący go bez ogródek. Tak samo traktowali wszystkich innych, którzy sami się nie obudzili.

Potem gruchnęła wiadomość, że będzie jeszcze gorzej – przyjechał kolejny transport i nowi więźniowie mieli zostać umieszczeni w bloku trzynastym. Zapowiedziano, że sienniki na podłodze zostaną wymienione na dwupiętrowe łóżka.

Kiedy część osadzonych zajęła się przygotowaniami, reszta była przeganiana wokół baraku. Na zewnątrz panował siarczysty mróz i po powrocie Staszek padł na pierwsze lepsze łóżko przy wejściu. Tym samym wybrał sobie miejsce, które będzie musiał zajmować przez najbliższy czas.

- Wstawaj, kurwo! – wydarł się kapo.

Zanim Polak zdążył wykonać polecenie, tamten złapał go za fraki i zrzucił z łóżka. Zaniewski wylądował na podłodze, ale czym prędzej się poderwał, by nie zebrać cięgów. Wszyscy ustawili się przy swoich pryczach.

Fehrmann przyglądał im się z niesmakiem, przechadzając się przed tymi, którzy zamienili dziś sienniki na łóżka.

- Słuchać! – ryknął. – Ścielenie to dla was sprawa życia lub śmierci.

Staszek wywnioskował to już na własną rękę. Patrząc na to, jak zaścielone są łóżka wiarusów, zorientował się, że osiągnęli perfekcję nie bez powodu.

- Słoma w siennikach ma być równo ułożona, jakby odprasowana. Najmniejsze zagłębienie sprawi, że zajebie was jak psy.

W normalnym więzieniu Zaniewski uznałby to w porywach za niebezpieczne przechwałki. Tutaj była to po prostu proza życia. Nawet tak błaha sprawa, jak ślanie łóżka, mogła okazać się

biletem w zaświaty.

– Jełop – odezwał się nagle Torba.

Staszek zrozumiał, że mówi do niego.

– Pokaż, jak ścielisz – polecił esesman.

Polak natychmiast obrócił się do posłania i zaczął je poprawiać. Słomy w nim było tyle, że nie starczyłoby nawet na paszę dla świń. Uklepał nieco siennik, ale efekt był opłakany.

Nie musiał obracać się, by wiedzieć, że strażnik nie jest zadowolony. Natychmiast tuż obok pojawił się kapo i wymierzył Staszekowi cios pod żebra. Gdy Polak wygiął się w bok, mężczyzna poprawił jeszcze dwukrotnie, sprowadzając więźnia do parteru.

Thorben zamachnął się od niechcienia pałką i przywalił mu w plecy. Potem westchnął teatralnie.

– Wstawaj. Czas trenować.

Zaniewski podniósł się z trudem i zobaczył, że kapo zupełnie zniweczył jego wcześniejsze próby.

– Ścielić! – ryknął Fehrmann.

Na tę komendę wszystkie ręce poszły w ruch. Staszek zauważył, że bardziej doświadczeni więźniowie mieli kawałki drewna, którymi wygładzali swoje koce. Wszystko to przywodziło na myśl mechaniczną pracę w fabryce. Thorben i kapo przechadzali się pomiędzy łózkami, pochylając głowy, by mieć posłania na linii wzroku. Jeśli stwierdzili jakiegokolwiek uchybienie, ścielenie na bloku było powtarzane. Zaniewski ze zgrozą pomyślał, że nieszczęśnik, który spowoduje obowiązek ponownego ścielenia, zbierze potem cięgi od pozostałych.

Szczęśliwie jemu dość szybko udało się opanować tę sztukę. Niektórzy byli jednak znacznie bardziej oporni, przez co cały proces trwał dobre pół dnia. Kawałki słomy powbijały mu się w dłonie, a wszystkie ruchy wykonywał już machinalnie. Współczuł tym, którzy nadal nie mogli osiągnąć zadowalającego efektu – Thorben bił ich dotkliwie, opluwał i sprawiał wrażenie, jakby był gotów zabić. Im bardziej tłukł ich po rękach, tym gorzej szło im ścielenie, ale Fehrmanna to nie interesowało.

Przy którymś obchodzie zatrzymał się przy mężczyźnie z blizną, który wczoraj pomógł Staszekowi. Spojrzał na niego, potem na pryczę.

– U ciebie jak zwykle najrówniej.

Więzień stał na baczność przed łóżkiem, jakby nie dostrzegając Torby.

– Podziękuj za pochwałę – dodał esesman, podnosząc pałkę.

Fehrmann nie czekał długo, by wymierzyć milczącemu mężczyźnie razy. Przywalił mu mocno w brzuch, ale ten tylko na moment zgiął się wpół, a potem wyprostował. Wciąż miał ręce skrzyżowane za plecami. Dostał jeszcze dwa razy, po czym Thorben bez słowa się oddalił, jakby był przyzwyczajony do takiej sytuacji.

Gdy ta hucpa się skończyła, Staszek oparł się wycieńczony o pryczę. Nigdy by nie pomyślał, że tak prosta i w zasadzie naturalna czynność jak przygotowywanie posłania, może zostać wykorzystana do znęcania się nad innymi ludźmi. Powtarzane przez kilka godzin monotonne ruchy zupełnie wyzuły go z sił. Marzył już tylko o tym, by się położyć i zasnąć, ignorując przejmujący głód.

Strażnicy przepędzili ich w kierunku jadalni. Więźniowie szli jak po sznurku, w zupełnej ciszy.

Kiedy dotarli do stołówki, Staszek wmieszał się w grupę więźniów i liczył na to, że uda mu się nawiązać z kimś choćby krótką rozmowę. Wiedział, że by tutaj przeżyć, musi znaleźć

sojuszników. Wczoraj najlepszym kandydatem wydawał mu się mężczyzna, który wyciągnął do niego pomocną dłoń, teraz jednak musiał ten osąd zweryfikować. Najwyraźniej nie miał dobrych stosunków ze strażnikami, w dodatku otwarcie im się przeciwstawiał, co w żadnym więzieniu nie mogło się skończyć niczym dobrym.

Próbował dopchać się do człowieka, który wydawał ciepłą zupę, ale w pewnym momencie poczuł dotkliwy ból w okolicach brzucha i cofnął się. Dostał jasny sygnał, by się nie pchać. Ustawivszy się na końcu długiej kolejki, obserwował, jak część więźniów dostaje od kucharza porcje parującego jedzenia, czasem nawet podwójne. Cała reszta sprawiała wrażenie żebraków, którzy liczą na ogryzki.

W końcu Zaniewski dotarł do kucharza i dostał niewielką porcję zupy. Usiadł z nią przy najbliższym stoliku i wypił niemal całą za jednym razem. Siedzący obok więzień popatrzył na niego z dezaprobatą i Staszek zrozumiał, że w ciągu kilku sekund pochłonął cały swój dzienny przydział.

Spojrzał na pustą miskę i nie zauważył, że zbliżył się do niego kapo.

– Szybko wtrząchnąłeś – odezwał się przybysz. – Musisz racjonować sobie porcje. Szczególnie jeśli dostajesz tak mało.

Zaniewski podniósł wzrok i przekonał się, że mężczyzna nie wygląda, jakby chciał z niego zadrwić.

– Będę wiedzieć na przyszłość – powiedział.

– Prawidłowo. A teraz wyjątkowo mogę dać ci trochę więcej.

Staszek nie spodziewał się niczego dobrego, ale kapo sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście miał zamiar pomóc.

– Jeśli jest taka możliwość...

– Zawsze jest – odparł rozmówca. – Chodź.

Zaniewski podniósł się i zabrawszy miskę, ruszył za kapo. Domyślał się, że bratanie się z tymi, którzy pełnią funkcję obozowych psów, nie będzie dobrze widziane, ale umierał z głodu.

Przypuszczał zresztą, że kapo nie chcą go skaperować. Z tego, co udało mu się ustalić, w skład tej uprzywilejowanej grupy wchodził wyłącznie niemieccy więźniowie. Znajdowali się na szczycie łańcucha pokarmowego i nie było tam miejsca dla takich, jak on.

– Jerker – przedstawił się mężczyzna.

– Staszek.

Niemiec przeprowadził go przez stołówkę i zatrzymał się za stołem, na którym było najobficiej. Kawałek dalej znajdowało się już przejście do kuchni. Zapach nie należał do najpiękniejszych – z pewnością szef kuchni w Savoyu na Nowym Świecie wzdrygnąłby się, ale Staszekowi skręciło żołądek.

– Bądź grzeczny, to będziesz dobrze traktowany – odezwał się Jerker.

Zaniewski zrozumiał, że popełnił błąd. Nagle głód go opuścił.

Jerker zatrzymał się i odwrócił do niego. Zbliżył się, a potem położył mu rękę na ramieniu. W pierwszym odruchu Staszek chciał odtrącić dłoń kapo, ale w porę uświadomił sobie, że w ten sposób może zginąć.

Niemiec nagle przesunął rękę na jego krocze i ścisnął.

Zaniewski odskoczył do tyłu, przygotowując się na atak, jednak Jerker tylko się zaśmiał.

– Co się dzieje? – zapytał. – Zbyt bezpośrednio się do tego zabieram?

Staszek zacisnął usta. Wiedział, że nie wyjdzie z tej sytuacji obronną ręką. Z dwojga złego lepiej jednak było zostać poturbowanym.

– Odwróć się, to potraktuję cię z czułością – dodał kapo.

Zaniewski rozejrzył się. Na stole obok leżał widelec, który powinien podnieść i czym prędzej wrazić w łeb temu człowiekowi. Honor tego wymagał. Instynkt samozachowawczy podpowiadał jednak, by jak najprędzej się oddalić.

Staszek cofnął się o krok.

– Poczekaj, nie odchodź – powiedział błagalnie Niemiec.

Kilku innych zaśmiało się chrapliwie, nie unosząc wzroku znad zup.

– Nie chcę problemów – odparł Zaniewski, nadal się wycofując.

– Nie będziesz ich miał, jak zrobisz, co każę.

– Prędzej zdechnę.

– Jak chcesz – odparł Jerker, a potem szybko doskoczył do Polaka. Przyłożył mu najpierw w jedną, potem w drugą skroń, niemal ogłuszając. Złapał go za głowę i zgiąwszy go wpół, wyciął mu w brzuch z kolana. Gdy Staszek zaniósł się kaszlem, wypuścił go i pozwolił, by więzień upadł na podłogę.

Rozejrzył się po tych, którzy siedzieli najbliżej.

– Wy tam! – krzyknął.

Mężczyzna z blizną na twarzy i jego towarzysz powoli unieśli wzrok. Spojrzeli na Staszka, potem na Jerkera, i dopiero wtedy się ruszyli. Podeszli do Zaniewskiego i chcieli go podnieść, gdy Niemiec syknął na nich z niezadowoleniem.

– Jak wołam, macie zapierdalać.

Tylko młodszy z mężczyzn skinął głową. Jerker zamachnął się, a potem przywalił jednemu i drugiemu. Nie sprawiali wrażenia, jakby specjalnie ich to obeszło.

– Zabierać stąd to ścierwo – polecił kapo.

Podnieśli go i skierowali się do swojego stolika. Powłócząc nogami, Staszek dotarł na miejsce i ciężko opadł na drewnianą ławę. Zwiesił głowę. Czuł, jakby żołądek mu się zapadał.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Za co? – zapytał ten bez blizny. – Wykonywaliśmy tylko polecenie.

Staszek spojrzał na niego niepewnie.

– Ale podjąłeś dobrą decyzję – dodał rozmówca.

– Słucham?

– Wbrew pozorom niewielu jest takich, którzy odmawiają. A raz się skurwisz, to już kurwą pozostaniesz.

– Mhm – mruknął tylko Zaniewski.

Żołnierze podnieśli się i zabrali swoje miski, by dokładnie je wyszorować. Obelt nie miał zamiaru brać na swoje barki dodatkowego ciężaru. I bez niańczenia tego chłopaka miał dużo kłopotów.

– Może byśmy go trochę... – zaczął jego towarzysz.

– Mało masz problemów, Zmitkiewicz?

– Nie, ale chłopak tu zginie.

– My też, jeśli będziemy przyjmować odpowiedzialność za każdego nowego, który tu trafia. Jasne?

– Tak jest, panie kapitanie – odparł Czesław szeptem, rozglądając się.

Obelt w pierwszej chwili spiorunował go wzrokiem, ale potem tylko pokręcił głową, unosząc lewy kącik ust.

BĂBUEȘTI, OKRĘG VALCEA, RUMUNIA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Z pomocą słownika Bronkowi udało się dowiedzieć, że otrzymał w prezencie od gospodarza karabin springfield M1903. Miała to być zarówno nagroda za to, że ruszył z Gavrilem na poszukiwania córki, jak i preludium do nauki fachu, który Stoicescu miał opanowany do perfekcji. Na początek Polak miał po prostu nie rozstawać się z karabinem. Nosił go więc wszędzie, nawet do wychodka. Gavril twierdził, że ma znać każdą rysę na lufie, ale Bronek traktował to raczej jako dziwactwo nauczyciela niż coś realnie pomocnego.

Wolał jednak robić, co mu kazano, bo jeśli tylko Gavril zauważył, że uczeń porusza się bez karabinu, rozpoczynała się kanonada niezrozumiałych słów po rumuńsku, wystrzeliwana ze zdwojoną siłą. Rumun po trosze przywodził Bronkowi na myśl Obelta. Od pewnego czasu próżno było w jego zachowaniu szukać tego spokojnego, nieco niemrawego, podstarzałego człowieka, który ugościł go w swoim domu.

Dzień po tym, jak Balmoș wrócił do Călimănești, Gavril zabrał Polaka do lasu na pierwszą lekcję. Miał ze sobą wysłużonego rosyjskiego mosina, z licznymi otarciami na wszystkich drewnianych elementach.

Błąkali się po lesie przez dwie godziny i w pewnym momencie Zaniewski stracił orientację. W końcu nauczyciel wybrał miejsce. Rozejrzał się, a potem zebrał trochę gałęzi i skleił z nich podpórkę pod lufę. Przyklęknął na jedno kolano, oparł karabin o lichey statyw, a potem czekał.

Bronek zrozumiał, że musi zrobić to samo. Nie poszło mu to tak sprawnie, ale ostatecznie zajął miejsce obok Rumuna. Tkwili w bezruchu przez pół godziny, choć Zaniewski nie widział w tym żadnego celu. W zasięgu wzroku nie było żadnej zwierzyny.

Dopiero po kolejnej półgodzinie dostrzegł ptaka siedzącego na gałęzi drzewa, jakieś pięćset metrów dalej. Miał niebiesko-czarne prążkowane skrzydła i jasnobrązowe upierzenie. Niechybnie ofiarą Gavrila miała stać się sójka.

Bronek ledwie ją dostrzegał, ale gdy Stoicescu oddał strzał, ptak spadł bez życia w biały puch pod drzewem. Strzelec obrócił się do swojego ucznia.

– Teraz ty – powiedział.

Zaniewski wybrał sobie cel. Ptak był trochę większy i siedział nieco bliżej, ale Bronek nie miał zamiaru dłużej czekać. Przymierzył, a potem delikatnie musnął spust. Karabin wystrzelił, ale ptak odleciał, spokojnie łopocząc skrzydłami.

Rumun pokiwał głową bez słowa, rozłożył podpórkę, a potem skierował się z powrotem do chałupy. Bronek poszedł za nim, nieco skonsternowany.

Po dwóch dniach Stoicescu przyszedł do niego bladym świtem i wyrwał go ze snu. Kilka niezrozumiałych okrzyków sprawiło, że Zaniewski poderwał się i czym prędzej chwycił za springfielda. Broń ważyła około czterech kilogramów, miała długość niewiele ponad metr i po kilku dniach Bronek nie zamieniłby jej na nic innego.

Znów poszli do lasu, tym razem weszli głębiej. W pewnym momencie Gavril zatrzymał się i przyklęknął obok jednego z drzew. Gdy Polak zrobił to samo, nauczyciel wyciągnął słownik. Podał go Bronkowi, a potem zaczerpnął tchu.

– Po pierwsze – zaczął powoli. – Zero ruchu.

– Rozumiem.

– Jeden ruch. Śmierć.

– W porządku.

– Jedno miejsce, jeden strzał.

Zaniewski pokiwał głową. Stoicescu powiódł wzrokiem wokół i wypatrywszy kolejnego ptaka, wskazał sierżantowi nowy cel. Po chwili życie kolejnej Bogu ducha winnej sójki skończyło się na potrzeby ćwiczenia. Ledwo ptak oberwał, a Rumun zerwał się z ziemi i zmienił miejsce. Broniek niechętnie poszedł w jego ślady.

Nie miał ochoty bawić się w edukację od postaw, mimo to robił, co mu kazano. Oddawał strzał, zrywał się, zamierał. Powtórzyli ten scenariusz kilkakrotnie, dopóki Gavril nie dał znaku, że jest zadowolony.

– Nigdy nie zostawaj w jednym miejscu – poleciał.

– Mhm – mruknął Zaniewski. Liczył na praktyczne porady, a na razie otrzymywał abecadło każdego strzelca wyborowego. Rumun musiał zauważyć jego rozgoryczenie, bo pokiwał głową ze zrozumieniem i zabrał się do roboty.

Ułożył kolejną podpórkę z gałęzi, tym razem polewając jej górną część wodą z manierki. Szybko ściągnął szalik i ułożył go w tamtym miejscu, a dopiero potem oparł lufę karabinu. Zrobił miejsce Bronkowi, a następnie wskazał mu jedną z gałęzi.

Polak spojrział przez lunetę, ale niczego nie dostrzegł.

– Do czego mam strzelać?

– Do niczego. Masz czekać.

– Niech będzie – odburknął Zaniewski.

Po godzinie miał serdecznie dosyć. Po dwóch był gotów przywalić karabinem Rumunowi i zawrócić do domu.

– Czekanie to natura strzelca – odezwał się w końcu Gavril.

– Fakt – przyznał Broniek po rumuńsku, a potem dodał po polsku: – Ale od czasu do czasu wypadaloby, żeby postrzelał.

Stoicescu pokręcił głową z dezaprobatą. Nie rozumiał ani słowa, ale ton głosu wystarczył. W końcu nadleciał niewielki ptak, gawron lub sroka. Polak ocenił, że znajduje się jakieś trzysta metrów dalej.

– Najważniejsza jest odległość – odezwał się Gavril.

– Co ty powiesz?

Rumun szturchnął go lekko, a potem wskazał mu szeroki pień w oddali.

– Drzewo jest czterysta metrów stąd.

– Może i tak. Co mi po tym?

– To punkt orientacyjny. Masz ocenić odległość i zapamiętać.

Zaniewski wolałby oceniać to pod względem celu, ale zrobił, co mu kazano. Dopiero potem znów przyłożył oko do lunety.

– Napinasz ciało – zauważył nauczyciel. – Musisz się odprężyć. Wszystko ma odbywać się delikatnie, szczególnie naciśnięcie spustu.

Broniek nie rozumiał każdego wypowiedzanego słowa, ale ogólny sens łapał. Postarał się rozluźnić mięśnie.

– Bark trochę do tyłu. Jeszcze – perorował dalej Stoicescu. – I weź głęboki wdech.

Zaniewski nabrał tchu.

– Teraz wypuść i strzelaj!

Gdy wydychał powietrze, poczuł przyjemne, momentalne odrętwienie. Musnął język spustowy i leśną ciszę przeszył dźwięk wystrzału.

Ptak, niczego nieświadomy, uszedł z życiem, odlatując z gałęzi.

Kolejne dni upływały Bronkowi na podobnych ćwiczeniach. O świcie wychodzili z Gavrilem

do lasu i wracali dopiero po zmroku. Nauczyciel instruował go w technikach układania się do strzału – głównie w taki sposób, by wytrwać w danej pozycji przez kilka godzin. Przedstawiał mu także sposoby kamuflażu i poruszania się, ale najwięcej czasu spędzali na ocenianiu odległości od celu. Dwa dni Gavril przeznaczył na ćwiczenie, podczas którego przechadzali się po okolicy, a Broniek miał podawać odległości od poszczególnych punktów.

Wieczory upływały Zaniewskiemu na studiowaniu teorii, a także na ćwiczeniu oczu. Stoicescu upierał się, że bez tego nie można nawet myśleć o byciu strzelcem wyborowym. Do znudzenia powtarzał mu, jak najlepiej umocować celownik, jak nie zdradzić swojej pozycji poprzez niefortunny refleks światła na lunecie, jak usuwać zanieczyszczenia z lufy czy w końcu jak oddawać celne strzały w mglistą pogodę.

Broniek szybko stracił rachubę czasu. Nie wiedział, ile go upłynęło, nim Balmoś znów pojawił się w chałupie Gavrila. Gdy załomotał do drzwi, Polak był zajęty jednym z najbardziej bzdurnych ćwiczeń, jakie nakazał mu Stoicescu – miał w danej pozycji odnaleźć środek ciężkości, umieścić broń, jakby zamierzał oddać strzał, a potem tkwić w tej pozycji jak najdłużej.

Iona do domu wpuściła gospodyni, a potem wskazała mu, gdzie znajduje się Broniek. Zaniewski dostrzegł Balmośa, gdy ten wychodził z sieni. Rumun spojrzał na niego jak na wariata i pokręcił głową.

– Wiedziałem, żeby cię tu nie zostawiać.

– Ćwiczę.

Ion uniósł brwi i przez moment się nie odzywał.

– Mam dla ciebie transport – powiedział w końcu. – Może być do Włoch?

BERLIN, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Leitner stał przed grubymi drzwiami i patrzył podejrzliwie na dwóch wartowników. Kimkolwiek był gospodarz tego miejsca, musiał cierpieć na paranoję. Nikt o zdrowych zmysłach nie stawiałby warty w Kancelarii Rzeszy.

Drzwi się otworzyły i na korytarz wyszedł esesman, z którym Christian przyjechał do Berlina. Bez słowa wskazał mu gabinet, a Obersturmführer wszedł do środka, podpierając się czarną laską ze srebrną główką. Strażnicy zamknęły za nim drzwi.

Leitner zatrzymał się przed biurkiem, przełożył laskę do drugiej ręki, a potem uderzył się w pierś i wyrzucił dłoń w przód.

– *Heil Hitler!* – powiedział.

– *Heil* – odparł zdawkowo gospodarz.

Christian zmierzył go wzrokiem, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu. Jedyнным źródłem światła był niewielki przesmyk w grubych kotarach w oknie. Po drugiej stronie wisiał ogromny wizerunek Führera. Leitner szybko pomiarkował, że przedstawia Wodza z lat działalności w NSDAP – Hitler miał na sobie jasnobrązowy mundur, na którym dumnie prezentował się Krzyż Żelazny. Portret był rozpowszechniony w Rzeszy, bo miał przedstawiać nie tylko politycznego przywódcę, ale także bohatera.

– Wygląda dostojnie, nieprawdaż? – zapytał starzec.

– Naturalnie.

– Niewielu już pamięta, że tym odznaczeniem szafowano po Wielkiej Wojnie.

– Myli się pan – odparł Christian. – Wielu o tym pamięta, ale nikt o tym nie wspomina.

– Dlaczego tak jest? – spytał badawczo Cerber.

– Czyż to nie oczywiste? Boją się. Wiedzą, że Führer otrzymał je zasłużenie i nie chcą

sugerować, że było inaczej. Wiedzą, czym karzemy kłamliwą propagandę.

Starzec powoli pokiwał głową.

– Miło mi pana gościć, *Herr Leitner*.

Milczeli, patrząc sobie prosto w oczy. To niewerbalne starcie zaczęło przeciągać się coraz bardziej i dwóch innych ludzi na ich miejscu z pewnością zaczęłoby czuć się niekomfortowo.

– Mieliśmy już okazję się poznać – odezwał się w końcu Obersturmführer.

– Doprawdy?

– W Posen, na balu SS. Powiedział pan, że przypominam mu siebie samego z lat młodości. Rozmawialiśmy chwilę o mojej rodzinie. Miał pan czarny garnitur, niebieską koszulę i czarny krawat.

Człowiek z brodą uniósł brwi.

– Doskonała pamięć.

– Dziękuję.

Leitner zajął miejsce po drugiej stronie biurka i omiół wzrokiem rozłożone na nim dokumenty. Było ich sporo, ale gospodarz najwyraźniej był zorganizowany. Już na pierwszy rzut oka wszystko miało swoje miejsce.

– Nie przedstawiłem się wtedy – zabrał głos brodac.

– To prawda.

– Musimy zatem to naprawić. I stosownie zacząć nasze relacje. – Gospodarz wstał i niespiesznie podszedł do barku. Przekręcił kluczyk w drzwiczkach, wyciągnął butelkę koniaku Frapin, a potem postawił ją na stoliku przy oknie. Zaprosił Leitnera ruchem ręki, a sam usiadł na krześle.

Christian zrobił to samo i odłożył laskę.

– Poniżej XO nie piję – powiedział Cerber. – Wie pan, co to znaczy?

– Nie gustuję w koniakach.

– Pańska strata. Ten tutaj to *Vieille Reserve*. Minimum sześćdziesięciu lat leżakowanie, choć przeciętnie około dwudziestoletnie. Rodzina Frapin robi koniaki od trzynastego wieku.

– Preferuję niemieckie trunki.

– Rozumiem. Francuzom co do zasady nic nie wychodzi dobrze, ale koniak potrafią zrobić.

Gospodarz nalał Leitnerowi, a potem ujął swój kieliszek za nóżkę. Christian nie wiedział wiele na temat picia koniaku, ale znał poprawny chwyt. Otoczył czaszę dłonią, a potem uniósł kieliszek do ust.

– Tutaj nie musi pan pić w ten sposób – odezwał się starzec.

– Słucham?

– Ogrzewać koniak należy, jeśli temperatura spada poniżej osiemnastu stopni. W Nowej Kancelarii Rzeszy nawet w zimie jest dwadzieścia.

Leitner odstawił trunek.

– Może przejdziemy do konkretów? – zapytał.

Maria siedziała w samochodzie, tocząc wzrokiem po fasadzie budynku. Musiała przyznać, że mimo całej gamy nazistowskich symboli, robił wrażenie. Gmach był monumentalny, a postawiono go w ciągu dziewięciu miesięcy, uprzednio zburzywszy wszystko, co się tu znajdowało. Hitler dał swojemu architektowi, Albertowi Speerowi, zupełną wolność – zarówno projektancką, jak i finansową. Maria ze smutkiem skonstatowała, że potrzeba fanatyka i zbrodniarza, by architekt miał wolną rękę.

Nagle w oddali dostrzegła esesmana, który jechał z Leitnerem. Opuścił budynek w towarzystwie kilku innych funkcjonariuszy. Z tej odległości, na tle ogromnej fasady, robili wrażenie mrówek. I zapewne o to chodziło Speerowi.

Niemcy szli w kierunku ich samochodów. Po chwili Maria przekonała się, że skręcili w stronę tego, którym jechał Rodemeyer. Obejrzała się przez ramię, Elisa zrobiła to samo.

Obserwowały, jak jeden z esesmanów otwiera drzwi, a drugi każe Marwinowi wysiąść.

– Moja kolej na audiencję? – zapytał.

Najbliżej stojący funkcjonariusz wyciągnął go za fraki z auta.

– Hej! – krzyknął Rodemeyer. – Spokojnie!

Ledwo Marvin się wyprostował, a jeden z esesmanów wziął niewielki zamach i uderzył go w brzuch. Rodemeyer jęknął, podczas gdy drugi z funkcjonariuszy złapał go za kark.

– Tak, twoja kolej – odparł. – Pierdolony brytyjski szpiegu.

Maria zdębiała. Patrzyła na to, co się dzieje, ale niczego nie rozumiała. Nie tak miało to wyglądać. Nie taki był plan.

– Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona Elisa. – Co oni mówią?

– Wiedzą... wiedzą, że pracuje dla Anglików.

– Jak to? Skąd?

Polka potrząsnęła głową.

– Christian musiał im powiedzieć – odparła słabo Maria, uświadamiając sobie, że Leitner ich zdradził.

– Ale...

Kuzynka urwała, najpewniej zdawszy sobie sprawę, jak opłakana jest sytuacja. Znajdowali się w samym sercu Rzeszy i tylko łut szczęścia mógłby sprawić, że wyjdą z tego cało. I to przy założeniu, że miałyby w Christianie sprzymierzeńca.

On jednak zmienił strony. Zaniechał swojego planu na ostatniej prostej.

– Powinam... – zaczęła nieprzytomnym głosem Polka. – Powinam była wiedzieć...

– Może jeszcze nie wszystko stracone.

Maria spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Dla niego liczy się tylko Rzesza – odezwała się. – Jak mogliśmy łudzić się, że może być inaczej?

Elisa stanowczo pokręciła głową.

– Ale co z jego rodziną?

– Rodziną? Bardziej obchodzi go Führer!

Maria zakłęła siarczyście pod nosem, czując, że oczy robią jej się szkliste. Spojrzała w bok. Funkcjonariusze prowadzili Rodemeyera do budynku, jeden z nich przykładł mu pistolet do brzucha. Oszołomiony Marvin chwiał się na nogach. Musiał wiedzieć, że zdrada Leitnera równa się śmierci. Kiedy tylko skończą go przesłuchiwać, nie stanie przed żadnym sądem.

– Zabił go – odezwała się Maria.

– Co?

– Doskonale wiedział, co go czeka...

Urwała, naraz myśląc o Elise i o sobie. Nie znajdowały się w dużo lepszej sytuacji. Polka i Francuzka nie zostaną dobrze potraktowane. I o tym również Leitner musiał doskonale wiedzieć.

Zastanowiła się, czy w ogóle znała tego człowieka.

Christian dopijał swój trunek w spokoju, wodząc wzrokiem po miejscu, które podwładni Cerbera nazywali Hadesem. Raz po raz pociągał cygaro Romeo y Julieta, czując już skutki wypitego alkoholu.

– Dostałem kiedyś od Churchilla – odezwał się gospodarz, wskazując na cygaro. – Mówił, że pali tylko takie.

– Darzy pan dziwną sympatią rzeczy pochodzące z Francji i Anglii.

– Przeciwnie. Ale są wyjątki, zaliczam do nich właśnie Winstona.

– Z jakiego powodu?

– To dobry polityk. I zdecydowany. Jako pierwszy na świecie użył gazu bojowego przeciwko ludności cywilnej, kiedy był ministrem wojny.

– Interesujące – mruknął Leitner.

– Poza tym jako jedyny wśród tych idiotów na Wyspach wiedział, do czego zmierzamy.

Christian Leitner pokiwał głową i pociągnął kilkakrotnie cygaro. Pogrążyli się w rozmowie na temat obecnego premiera Wielkiej Brytanii, Chamberlaina, podczas gdy dwóch funkcjonariuszy zaciągało Rodemeyera do piwnic Starej Kancelarii Rzeszy.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Staszek opuścił stołówkę i wraz z resztą więźniów wrócił do baraku. Unikali wzroku strażników, trzymali spuszczone głowy i snuli się jak widma. Dotarłszy na miejsce, zaczęli sprzątać na bloku, a potem zostali przepędzeni na plac apelowy.

Ustawiono ich w równym szeregu, raz po raz rozlegały się okrzyki po polsku i niemiecku. Zaniewski dostrzegł w oddali wysoki drut kolczasty, nieprzekraczalną barierę oddzielającą ich od normalnego świata. O ile normalny świat jeszcze gdzieś tam istniał.

Popatrzył po swoich towarzyszach. Widział, że wszyscy są zgnębieni. Przechadzający się wzdłuż rzędów esesmani opluwali ich i traktowali jak najgorsze ścierwa, a oni cierpliwie to znosili. Staszekowi przemknęło przez myśl, że on niczym się od nich nie różni. Znajduje się tylko w innym miejscu równi pochyłej.

Przyjdzie moment, że zrobi wszystko, by przeżyć. Zgodzi się na cokolwiek, co Jerker mu zaproponuje, byleby zdobyć trochę jedzenia. Wzdrygnął się na tę myśl.

– Krzywo! – ryknął Niemiec przechodzący za nim.

Potem Zaniewski oberwał w tył głowy i zatoczył się do przodu. Spowodowało to niemałe zamieszanie i dwóch innych więźniów natychmiast do niego doskoczyło. Pomogli mu wrócić do szeregu.

– Równać! – darł się Jerker, tłukąc kolejnego nieszczęśnika.

Staszek szybko pomiarkował, że to samo dzieje się przy każdym rzędzie więźniów.

Gdy ta chora zabawa dobiegła końca, Zaniewski miał posiniaczone całe plecy i obolały kark. Miał ochotę zwiesić głowę i wpatrywać się w ziemię, ale wychylenie się z szeregu choćby na kilka centymetrów powodowało, że strażnicy zalewali osadzonego falą ciosów.

W pewnym momencie padła komenda, by ustawić się grupami roboczymi. Staszek nie miał pojęcia, jak postąpić. Nie został przydzielony do żadnej grupy, kiedy trafił do obozu, a większość więźniów na rozkaz ustawiła się w określonym porządku, do którego Polak nie znał klucza. Stał więc zdezorientowany, rozglądając się na boki.

– Nie stój tak, idź do jakiejś grupy – rozległ się cichy głos za jego plecami.

Staszek odwrócił się i zobaczył niskiego człowieka. Lewe oko miał zamknięte i chłopak mimowolnie zaczął zastanawiać się nad tym, co mu dolega. Po polsku knypel mówił z dziwnym,

obcym akcentem. Było w tym trochę wschodniego zaciągania, ale Zaniewski nie mógł stwierdzić, z jakiego regionu.

– Co to za grupy? – zapytał.

– Nie gadaj. Chodź.

Zrównał się krokiem z rozmówcą. Był pokrzepiony myślą, że wreszcie znalazł się ktoś, kto może mu realnie pomóc. Postanowił skorzystać z okazji, by dowiedzieć się więcej o przeżyciu w tym miejscu.

– Zastanawiam się, czy...

– Na Boga, cicho – syknął kurdupel. Wskazał strażników, którzy znęcali się nad jednym z więźniów. Leżał już na ziemi, a oni z lubością okładali go pałkami. – To grozi za gadanie – dodał.

Gdy jednak przeszli kawałek dalej, oddalając się od esesmanów, rozmówca głośno odetchnął. Najwyraźniej tutaj można już było rozmawiać.

– To kamieniołom Wiener Graben – oznajmił, wskazując wyrobisko na północ od baraków. – Twoje nowe miejsce pracy. Wszystko wytłumaczę ci w trakcie roboty, ty tylko musisz sprawiać wrażenie, jakbyś był na miejscu.

– W porządku. Dziękuję.

Staszek wskazał na zamkniętą powiekę.

– Zapalenie spojówek? – zapytał.

– A ty co, lekarz? – odparł z nadzieją rozmówca.

– Skończyłem medycynę.

Knypel natychmiast się ożywił.

– Jezusie Mario, przydasz się – oznajmił, wyciągając do niego rękę. – Federico Garaffoni.

– Staszek Zaniewski – odparł chłopak, potrząsając jego prawicą. – Jesteś Włochem?

– Połowicznie. Nazwisko po ojcu, pochodził z Pordenone. Matka z Tarnopola. Nie pytaj, jak się spotkali.

Polak chciał uśmiechnąć się w odpowiedzi, ale nie miał okazji.

– Co to, kurwa, ma być! – doszedł ich krzyk Jerkera.

Zanim Staszek zdążył się obrócić, kapo zamachnął się pałką i trafił nią go pod kolano. Zaniewski stracił równowagę i padł na wydeptany śnieg. Jerker stanął na nim i przyłożył mu palicę do krocza. Nacisnął, a Polak miał wrażenie, jakby genitalia podchodziły mu do brzucha. Wydał z siebie jęk, ale kapo nie przerywał.

– Powtarzam tyle razy... – wycedził Jerker. – Nie gada się podczas roboty.

W końcu odpuścił. Zanim jednak odszedł, wymierzył jeszcze po ciosie Staszewi i Federicowi. Potem Włoch pomógł swojemu towarzyszowi wstać.

– Mówimy na to banan lub bykowiec.

Zaniewski ledwo łapał dech.

– Co? – spytał.

– Na palicę... Czy pałkę, jak wolisz.

Chłopak nie zdążył skomentować, bo dostrzegł zbliżającego się do nich Thorbena. Garaffoni szybko go puścił, a Polakowi przemknęło przez myśl, że katorga w tym miejscu nigdy się nie kończy.

– Jełop! – krzyknął Fehrmann. – Nie wiedziałem, że jesteś gejem. Zaraz ci załatwię właściwy trójkąt na pasiak.

Staszek pokręcił głową i zacisnął zęby. Esesman stanął przed nim, wyciągając bykowiec.

– Co to ma być? – zapytał. – Miny robisz?

Przywalił mu pałką z jednej strony, naraz chwytając go za fraki z drugiej. Cisnął nim o ziemię, a Staszek niefortunnie wylądował na czworaka.

– Nie, nie – powiedział Niemiec. – Tak wypinaj się do swojego chłopaka, Jerkera.

Torba wziął zamach i kopnął go w brzuch. Zaniewski miał wrażenie, że podskoczył nieco, a potem rozciągnął się na ziemi. Oberwał w głowę palicą i zahuczało mu obezwładniająco w uszach. Spodziewał się kolejnych ciosów, ale nie nadeszły. Gdy po chwili podniósł niepewnie wzrok, dostrzegł, że Fehrmann znęca się nad Włochem. Okładał go bez pamięci, mimo że Garaffoni tryskał krwią na lewo i prawo.

Potem esesman jak gdyby nigdy nic się oddalił, a więźniowie już się nie odzywali. Utykając, dołączyli do jednej z grup roboczych, po czym zaczęli przerzucać kamienie. Początkowo Zaniewski miał wrażenie, że mają osiągnąć jakiś limit dzienny – wszyscy spieszyli się, jakby od tego zależało ich życie. Potem przekonał się jednak, że praca była daremna. Gdy przeniesli zwały kamieni na jedną stronę, esesmani, zaśmiewając się, kazali im przywrócić poprzedni stan. Trwało to cały dzień.

Po zapadnięciu zmroku wrócili zmordowani do baraku.

– Dlaczego tak cię okładali? – zapytał Staszek.

– A myślałeś, że jak tu traktują komunistów?

Zaniewski przez chwilę milczał.

– Ja też nie jestem ich zwolennikiem – odezwał się w końcu.

Włoch uśmiechnął się pod nosem.

– Długo tu jesteś? – zapytał.

– Wydaje mi się, że całe życie – odparł Staszek. – Ale właściwie dopiero przyjechałem.

Federico wskazał na numer obozowy na pasiaku.

– 2402. Dostałeś po umarlaku – oznajmił. – Nic dziwnego, codziennie paru oddaje ducha.

Lekki ton mógłby świadczyć o tym, że prawda ta go nie dotyczy. Staszek pomyślał, że być może takie nastawienie pozwala zachować resztki zdrowia psychicznego.

– To wszystko przechodzi ludzkie pojęcie – odezwał się po chwili Zaniewski.

– Przyzwyczaisz się.

Tego bał się najbardziej.

Następnego dnia obudził go nieprzyjemny dźwięk dzwonu, dobiegający z placu apelowego. Kilku więźniów szybko skierowało się ku wyjściu z baraku, a do środka wszedł Jerker. Wszyscy pozostali zerwali się z łóżek i zaczęli je gorączkowo ścielić.

Zaniewskiemu poszło nie najgorzej, ale i tak zebrał ciężki od kapo. Szczęśliwie Staszek nie był jedynym, któremu Niemcy wywracali siennik i kazali rozpoczynać pracę od nowa.

Potem cały obolały stanął w kolejce po zupę. Ledwo zaspokoił pierwszy głód, a musiał wracać na blok, gdyż nadeszła pora sprzątnięcia. Działał wspólnie z Włochem – Federico zamiatał, Zaniewski szorował. Efekt nie był dla esesmanów zadowalający, choć Polakowi wydawało się, że lepiej już nie wyczyszczą swojej części podłogi.

– Jestem wykończony – oznajmił Zaniewski, gdy wychodzili z baraku.

– Nie łam się, dopiero początek dnia.

Staszek głęboko westchnął. Szli w zbitej grupie na plac apelowy. Niektórzy więźniowie ciągnęli swoich towarzyszy. W pierwszej chwili Zaniewski pomyślał, że ci nie mają siły iść, jednak potem przekonał się, że są martwi. Inni z pewnością zaraz do nich dołączą.

Kątem oka dostrzegł mężczyznę z blizną na twarzy. Skinął do niego głową, ale nie otrzymał

odpowiedzi.

Więźniowie ustawili się w rzędach, a esesmani i kapo znów zaczęli przechadzać się za ich plecami. Okładali ich palicami i wszystkim innym, co akurat mieli pod ręką. Zaniewski ustawił się pośród ludzi ze swojej wczorajszej grupy roboczej, został jednak rozdzielony z Garaffonim.

Po chwili dostrzegł, że zbliża się jeden ze strażników. Zatrzymał się za jego plecami. Przygotował się na uderzenie, ale po chwili ze zdziwieniem stwierdził, że esesman go minął. Ulga była jednak tylko chwilowa – zaraz pojawił się Jerker, który zdzielił go po potylicy.

Po apelu Polak ruszył do kamieniołomu. Nigdzie nie dostrzegł wczorajszego towarzysza i sam zajął miejsce, przy którym pracowali. Przerzucanie kamieni w pojedynkę było jeszcze większą mordęgą, jednak Zaniewski starał się nie dawać Niemcom powodu, by go poganiać.

Godzinę po rozpoczęciu roboty dostrzegł zbliżającego się Thorbena.

– Gdzie zgubiłeś chłopaka? – zapytał esesman.

– Ja...

Staszka zalała fala uderzeń w głowę. Padał na ziemię, a potem podnosił się, wspierając na łopacie. Dostarczał tym chyba Fehrmannowi przyjemności, bo ten tłukł go dłużej niż zwykle. W końcu Niemiec otrzepał ręce i rozejrzał się.

– Wstawaj – powiedział. – Dam ci kogoś do towarzystwa.

Zaniewski odprowadzał go wzrokiem, gdy skierował się ku grupie więźniów przekopujących rów przy ogrodzeniu obozu. Przyglądał się im przez chwilę i wybrał dwóch kandydatów. Wzięli sprzęt, a potem ruszyli w kierunku Staszka. Ten z ulgą przekonał się, że zna więźniów.

Czesław Zmitkiewicz uściśnął mu rękę, mężczyzna z blizną tylko nieznacznie skinął.

– Uważaj na tego Włocha – odezwał się Zmitkiewicz.

– Dlaczego?

– Źle się zadawać z komunistami. Z homoseksualistami też.

– Ale on...

– Słuchaj się, chłopcze, to może pożyjesz jeszcze trochę.

Czesław spojrzął badawczo na swojego towarzysza i Zaniewski nie mógł nie zauważyć, że to niewerbalna prośba o pozwolenie.

– W porządku – odezwał się mężczyzna. – Czas dać mu kilka wskazówek.

BĂBUEȘTI, OKRĘG VALCEA, RUMUNIA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Ion Balmoș rozsiadł się w wysłużonym fotelu, który zazwyczaj zajmowała głowa rodziny. Trzymał kubek z gorącą herbatą, ogrzewając dłonie.

– Odłóż ten karabin, Polaku – odezwał się. – I siadaj.

– Nie rozstaję się z nim – odparł Bronek, po czym zajął miejsce obok.

Ion siorbnął herbatę i rozsiadł się wygodniej. Zaniewski nie miał zamiaru go ponaglać – prędzej czy później sam przejdzie do meritum i powie mu wszystko na temat kanału przerzutowego, jaki znalazł.

– Cemu ona zawsze robi taką mocną? – zapytał Rumun.

– Jak dla mnie jest w porządku.

– Nieważne. Słuchaj, jest szansa, żeby przerzucić cię do Jugosławii, a stamtąd do Włoch.

– Świetnie – odparł Bronek, obracając karabin.

– Świerzbią cię ręce, co?

– Po prostu za dużo Niemców chodzi po świecie. Trzeba to zmienić.

Balmoș szeroko się uśmiechnął i wziął kolejny łyk herbaty.

– Na granicy z Jugosławią będzie czekał mój człowiek. Mogę ci zagwarantować, że tym razem nikt nie nawali i trafisz prosto do Włoch.

– Tam też masz kontakty? – spytał Zaniewski ironicznie. Ion starał się stwarzać wrażenie, jak gdyby siatka jego znajomości rozciągała się niemalże na cały świat. Bronek natomiast z autopsji wiedział, jak można liczyć na tych rzekomych „jego ludzi”.

Balmoș popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Nie – powiedział. – We Włoszech będziesz musiał poradzić sobie sam.

– Sam na terytorium sojusznika Rzeszy? Brzmi jak przednia zabawa.

– Z całą pewnością, Polaku. Ale stamtąd krótka droga do neutralnej Szwajcarii. Z niej bez problemu przejedziesz do Francji i dołączysz do tej swojej wielkiej armii, która zmiecie Hitlera z powierzchni ziemi.

Do pokoju weszła Cătălina i Rumun szybko się podniósł, nie chcąc ryzykować, że dziewczyna powie ojcu, iż rozsiadł się w jego fotelu. Widząc entuzjazm w oczach Polaka, szybko zaczęła wypytywać o szczegóły. Gdy się wszystkiego dowiedziała, w jej oczach pojawiły się łzy. Bronek uśmiechnął się, nie bardzo wiedząc, co w tej sytuacji począć.

– Kiedy wyruszę? – przerwał krępującą ciszę.

– Jutro. Wszystko jest dopięte na ostatni guzik, nie może być żadnej zwłoki. Zabieram cię stąd jeszcze dzisiaj, przenocujesz u mnie w Călimănești.

Zaniewski pokiwał głową i rozejrzał się wokół, uświadamiając sobie, że patrzy na trofea Gavriła po raz ostatni.

Gospodarz wreszcie wrócił do chałupy. Doskonale wiedział, co przywiodło tam Balmoșa. Przez moment się zastanawiał, po czym podniósł słownik i zaczął wyławiać z niego polskie słowa.

– Niegotowy – udało mu się wydukać. – Nauka...

– Przykro mi, panie Stoicescu – uciął Bronek. – Ale mój kraj potrzebuje rąk, by trzymać karabiny.

Ion szybko przełożył jego słowa.

– Nie ma już twojego kraju, synu – odparł Gavril.

Bronek z przykrością musiał w duchu przyznać mu rację.

– W takim razie muszę zrobić wszystko, by znów pojawił się na mapach – odparł.

Gospodarz pokręcił głową z rezygnacją. Jeszcze przez chwilę starał się wyperswadować pomysł swojemu uczniowi. Argumentował, że może nie przeżyć długiej podróży do Francji – po drodze będzie roiło się od Niemców. Potem podniósł argument, że jeden żołnierz niczego nie zmieni. Ostatecznie jednak przyznał, że rozumie wolę walki, która napędza młodego człowieka.

– Ja walczyłem za ideały w Wielkiej Wojnie – powiedział. – Było to największe głupstwo, jakie mogłem zrobić. Ty przynajmniej walczysz za kraj.

Bronek wstał i uścisnęli sobie ręce.

– Springfield jest twój – dodał Gavril.

– Dziękuję. Za broń, rady i uratowanie życia.

Cătălina szaszlochała cicho i uciekła do kuchni, gdzie krzątała się jej matka.

Po półgodzinie Zaniewski spakował rzeczy do niewielkiego tobołka i był gotowy do drogi. Rodzina Stoicescu stanęła na progu. Uściskali go, a żona Gavriła dała mu prowiant na drogę i pocałowała w oba policzki.

– Uważaj na siebie – powiedział gospodarz. – I pamiętaj, ty i broń to jedno. Oddech. Punkt równowagi. Luźne mięśnie. Brak ruchu...

– Będę uważać. I pamiętać o wszystkim.

Gdy z Ionem oddalali się od domostwa, Zaniewski obrócił się i posłał Rumunom uśmiech. Niełatwo było opuścić to miejsce. A kiedy znikło im z pola widzenia, poczuł irracjonalną tęsknotę.

Szli przez kilkanaście minut w milczeniu.

– Gavril zdążył cię czegoś nauczyć? – zagaił Balmos.

– Z pewnością próbował.

– Nic nie trafiło do tego twojego polskiego łba?

– To się okaże, jak będę miał okazję przetestować nauki na szkopach.

– Oby kiedyś do tego doszło.

Bronek ściągnął karabin z ramienia i obrócił go w dłoniach.

– W zasadzie możemy sprawdzić teraz.

– Co?

– Ile wyniosłem z nauk Gavrila.

– Jeśli chcesz do mnie strzelać i udawać, że jestem Niemcem, to nie radzę.

– Nie, chodź – polecił Bronek i ruszył w stronę odległej około pięćset metrów ściany lasu.

– Daj spokój, chce ci się? Jest zimno. I ciemno, do cholery.

– Całą wieczność trenowałem jakieś bzdury. Muszę choć raz strzelić.

– Brzmisz jak pomyleniec.

Zaniewski spojrział na niego znacząco, sugerując, że Rumun się nie myli.

Weszli w głąb lasu i usadowili się przy zwałonym konarze drzewa. Bronek oparł o niego springfielda i przyjął odpowiednią pozycję.

– Do czego chcesz strzelać?

– Do tego, co przyjdzie.

– Świetny pomysł – odparł Ion, a potem dodał jeszcze kilka zdań w swoim języku. Polak nie potrzebował słownika, by wiedzieć, że towarzysz klnie w najlepsze. – Długo będziemy tu sterczeć?

– Zaraz coś się pojawi.

Balmos nie był przekonany, ale chwilę później wypatryli w świetle księżyca jakiś ruch. Zaniewski wiedział, że za dnia mogliby siedzieć tu godzinami, ale nocą zwierzyna była znacznie bardziej aktywna.

– Zabijesz niewinnego dzika? – zagaił Ion, gdy dostrzegli, co się zbliża.

– A masz coś na kolację?

– Właściwie nie.

– Poza tym jest wojna – dodał Bronek. – Szkoda ci jednego dzika?

– Nie widzę, żeby nosił gdzieś swastykę.

– Co dziwne, bo w końcu to świnia.

Zarechotali cicho, a potem Zaniewski przyłożył oko do lunety i zmrużył drugie.

– Jest za daleko – powiedział Balmos, podczas gdy Bronek odnalazł już punkt orientacyjny i mógł stwierdzić, że zwierzę znajduje się nie dalej niż czterysta pięćdziesiąt metrów od jego pozycji. Wyregulował celownik, uspokoił oddech i rozluźnił mięśnie. Odgiął bark do tyłu, wiedząc, że zaraz nastąpi naturalny odruch mięśni – gdy tylko dostaną sygnał od mózgu, że za moment nastąpi odrzut, ramię się cofnie. Zmieni się pozycja karabinu, a przez to tor lotu pocisku. Była to jedna z cegiełek, które Gavril położył pod fundament jego nauki.

Potem Zaniewski delikatnie dotknął języka spustowego. Rozległ się wystrzał. Krew trysnęła

ze zwierzęcia na śnieg i dzik padł bez życia. Mężczyźni podeszli do niego i upewnili się, że nie cierpi.

– Jak zamierzasz zatańczyć go do Călimănești? – zapytał Rumun.

– Ja chwycę za przednie kopyta, ty za tylne.

Ion milczał.

– Daleko to? – zainteresował się poniewczasie Broniek.

– Nie chcesz wiedzieć – odparł Balmoș, pochylając się.

Zmierzając w kierunku Călimănești, Zaniewski myślał o tym, że jest gotowy. Nigdy nie czuł się tak komfortowo, dzierżąc karabin, i nigdy nie trafił do tak małego celu z takiej odległości. Każdy mięsień w jego ciele zdawał się pulsować i Broniek byłby skłonny choćby dziś ruszyć na wroga.

Wiedział, że niebawem będzie miał okazję.

BERLIN, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Opuszczając budynek Nowej Kancelarii Rzeszy, Christian Leitner ostrożnie stawiał kroki. Pożałował, że wypił tyle mocnego koniaku, nie będąc jeszcze w pełni sił. Wypalone cygaro z pewnością nie pomogło.

Szybko spostrzegł, że Maria wykrzykuje coś pod jego adresem z samochodu. Chwyciła za klamkę i chciała wyjść, ale esesmani szybko zareagowali.

– Christian! – krzyknęła, choć Leitner mógł to odczytać jedynie z ruchu warg.

Zatrzymał się przed autem, wspierając o laskę. Spojrzał na Marię i trwał przez moment w bezruchu, wprowadzając ją w konsternację. Oderwał wzrok od Polki i powiódł nim po ulicy.

Po tym wszystkim, co usłyszał w gabinecie Cerbera, cały jego świat przestał istnieć. A przynajmniej w takiej formie, jaką znał do dzisiaj. Wszystkie priorytety się zmieniły i to, co niegdyś było czarne lub białe, teraz zyskało nieskończenie wiele odcieni szarości.

Kierowca otworzył drzwi i wychylił się z pojazdu.

– Wszystko w porządku, *Herr Leitner*?

– Tak – odparł Christian, patrząc na Marię. – Otwórz drzwi. Nigdzie nie ucieknie.

Funkcjonariusz wykonał polecenie, a Polka szybko wyszła na zewnątrz i stanęła przed Leitnerem. Spiorunowała go wzrokiem i miał wrażenie, że zaraz splunie mu prosto w twarz... lub choćby się odezwie. Tymczasem po prostu patrzyła na niego ze wściekłością.

– Obecność funkcjonariuszy musi cię powstrzymywać – odezwał się.

Wiedział, że spokojny ton głosu doprowadził ją do szewskiej pasji. Zaciśnęła usta i pokręciła głową.

– Co ty wyprawiasz, Christian?

– Nie rozumiem?

– Zabiłeś go, zdajesz sobie z tego sprawę? Podpisałeś wyrok na Marvina.

Leitner czuł się cudownie. Już dawno nie wypił tyle mocnego trunku i ogarnęła go błogość.

– W każdym kraju za zdradę traci się życie.

– Zakatuj go tam! – odparła, wskazując na budynek.

Christian zbliżył się o pół kroku. Znaleźli się tak blisko siebie, jak nigdy wcześniej. Spojrzał jej głęboko w oczy i dostrzegł, że się go boi.

– Zdradził swój naród, rozumiesz? – powiedział. – Złamał ślubowanie, jakie złożył jako żołnierz.

– Z pewnością nie przyrzekał wierności Hitlerowi.

– Mylisz się. Każdy z nas to zrobił.

Maria spojrzała na niego, jakby go nie poznawała.

– Co się z tobą stało? – zapytała. – Czy może to ze mną coś jest nie tak? Może to ja nie widziałam zwyrodnialca, który chował się za tą nędzną fasadą cywilizowanego...

– Milcz, Żydówko! – ryknął, podnosząc laskę.

Oboje spojrzeli na nią, jakby była rekwizytem, który pojawił się znienacka w sztuce, w której nie miał prawa być.

– Uderzysz mnie? – zapytała.

– Wchodź do samochodu.

– Nie.

Christian skinął na esesmana, a ten natychmiast wyszedł z pojazdu i wpakował do niego Polkę. Protestowała, ale Leitner się odwrócił. Dopiero, gdy funkcjonariusz zamknął drzwi, spojrzał na samochód.

– To wszystko, *Herr Obersturmführer*?

– *Hauptsturmführer*.

– Przepraszam, oczywiście.

– „Oczywiście” co?

– Oczywiście, *Herr Hauptsturmführer*. Nie wiedziałem, że został pan awansowany.

Wypił dużo, ale nie usprawiedliwiło to wybuchu złości. Stracił na moment kontrolę i nie był z tego powodu zadowolony. Spojrzał na Marię, ale ta obejmowała kuzynkę, wbijając wzrok przed siebie.

Nagle obróciła się do niego.

– To ci sami ludzie, którzy porwali twoją rodzinę! – krzyknęła na tyle głośno, że usłyszał. – Będziesz miał ich krew na rękach, bo to ty jesteś zdrajcą, Christian!

Gdy Maria uderzyła o szybę, odsunął się o krok.

– Idź! – krzyknęła. – Nie chcę cię więcej widzieć!

Odsunął się i chciał wrócić do budynku, ale uzmysłowił sobie, że nie wydał rozkazów. Spojrzał na kierowcę, kiedy ten wyciągał paczkę papierosów Juno. Poczęstował Christiana, a ten chętnie skorzystał.

– Kobiety to problemy – skwitował funkcjonariusz. – Ale Żydówki to...

– Zachowaj swoje uwagi dla siebie.

Esesman stanął na baczność.

– Oczywiście – odparł i spojrzał na pasażerki. – Co z nimi będzie?

– Umieść je w piwnicy Starej Kancelarii.

– Tak jest.

– Jutro się nimi zajmiemy.

Leitner odszedł kawałek, a potem z oddali obserwował, jak funkcjonariusze wyprowadzają kobiety. Skrzyżowali im ręce na plecach, a potem poprowadzili w kierunku Wilhelmstraße. Po chwili znikli w budynku Starej Kancelarii Rzeszy, który jakiś czas temu został wkomponowany w nowy kompleks rządowy.

Christian dopalił spokojnie, czując, że kręci mu się w głowie coraz bardziej. Koniak działał z opóźnionym zapłonem, co nie było niczym nowym. *Hauptsturmführer* ruszył ku *Hermann-Göring-Straße*, rozglądając się.

Według instrukcji Cerbera miał skierować się ku lewemu skrzydłu budynku, w którym mieściły się koszary i apartamenty dla świty politycznej Hitlera. Przebywali tam także

funkcjonariusze najbardziej zaufanych służb, osobiście odpowiedzialni za ochronę samego Führera.

Dotarł do pomieszczenia, a potem ze zgrozą odkrył, że ktoś przygotował dla niego butelkę koniaku. Nie był to rocznik, w którym gustował Cerber, ale procentów miał tyle samo. Christian nalał sobie szklankę.

Nie pamiętał, ile wypił ani kiedy zasnął.

Otworzywszy rano oczy, natychmiast zakrył je dłonią. Doszedł do siebie po chwili i przekonał się, że jest w ubraniu. Czarna laska ze srebrną główką leżała na podłodze.

Ostrożnie się podniósł i omiół wzrokiem pomieszczenie. Najwyraźniej dostał jedno z lepszych, tutejszy odpowiednik apartamentu. Nie dziwił się – jeśli Cerber mówił prawdę, Rzesza będzie dbała o niego bardziej niż o innych. A jego nazwiska będą uczyły się dzieci w szkole.

Skrzyżował ręce za plecami i podszedł chwiejnie do okna. Z lewego skrzydła budynku rozpościerał się widok na Tiergarten. Ogród miejski zajmował dwieście hektarów i imponował ogromem zieleni. Zbudowano go w XIX wieku, niegdyś polowali tutaj elektorzy brandenburscy.

Przemknęło mu przez myśl, że kiedyś zajmowany przez niego pokój będzie takim monumentem. Ludzie będą przechodzić tu i mówić, że niegdyś mieszkał tu bohater Trzeciej Rzeszy, Christian Leitner.

Z przeciwległego okna roztaczał się widok na dziedziniec Kancelarii i Ogrody Ministerialne. Po prawej stronie znajdowały się wewnętrzny ogród i szklarnia, a wszystko przywodziło na myśl cesarskie rezydencje. Miało także oddziaływać odpowiednio na psychikę człowieka. Od przestronnego holu Kancelarii, liczącego niemalże sto pięćdziesiąt metrów, przez wysokie sufity i ogromne gabinety, do imponującego otoczenia budynku – całość dobitnie sugerowała, że to jest samo centrum cywilizowanego świata. Każdy, kto wchodził na teren Hitlera, miał świadomość, że jest jedynie marnym pionkiem w jego grze.

Leitner potrząsnął głową, stwierdzając, że jego myśli zaczęły żyć własnym życiem. Oddałby wiele, by wypuścić się na bieg po Tiergarten lub wrócić do niegdysiejszej tradycji ćwiczeń składających się z trzydziestu pompek, sześćdziesięciu brzusków i czterdziestu przysiadów. Jego stan zdrowia nie pozwalał jednak na żadną aktywność fizyczną. Westchnął i odszedł od okna, po czym nienagannie zaścielił łóżko. Wziął szybki prysznic, złożywszy równo ubranie, a potem przebrał się w nowy mundur. Cerber zadbał o wszystko. A może niemal o wszystko, bo do pokoju nie podano mu niczego, co mogłoby zwalczyć nudności.

Christian uznał, że w ciągu najbliższej półgodziny musi zjeść coś ciepłego, bogatego w tłuszcz, by uzupełnić poziom elektrolitów.

Kiedy doprowadził pomieszczenie do idealnego porządku, oparł się lewą ręką o ścianę, stojąc naprzeciwko lustra. Spojrzał głęboko w swoje przekrwione spojówki i trwał tak przez chwilę w bezruchu, nawet nie mrugając.

Stłumił ochotę, by uderzyć pięścią w zwierciadło. Poprawił mundur, a potem skierował się na dół. Wyszedł na Hermann-Göring-Straße i udał się do pierwszej lepszej restauracji. Po chwili zwyciężył batalię z kacem. Jako oręż posłużyło mu kilka weißwürste, białych kiełbasek skąpanych w musztardzie i ostrym sosie, którym towarzyszyła eintopfe. Był to rodzaj zupy łączonej z drugim daniem, przy czym jedno i drugie gotowano w jednym garze; posiłek ostatnio bardzo popularny w Berlinie – sam Hitler zachęcał, by rodziny zastępowały tradycyjne obiady właśnie eintopfe, aby zaoszczędzić pieniądze.

Odzyskawszy nieco sił, skierował się do Starej Kancelarii Rzeszy. Zimowe powietrze działało

na niego orzeźwiająco i kiedy stanął przed strażnikiem strzegącym wejścia do cel, wyglądał niemalże trzeźwo.

– *Heil Hitler* – powitał go wartownik.

– *Heil Hitler. Hauptsturmführer* Leitner do więźniów.

– Tak jest – odrzekł strażnik, odciągając grubą zasuwę.

Leitner wszedł do długiego korytarza. Po obu stronach ciągnęły się wejścia do cel, gdzieś z oddali dobiegał głośny szloch. Po chwili Christian usłyszał także jęki kogoś, kto najpewniej właśnie był przesłuchiwany przez Gestapo.

Obejrzał się przez ramię.

– Gdzie Żyd? – zapytał.

Wartownik wskazał mu drzwi, za którymi zamknięto Rodemeyera.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Czesław Zmitkiewicz jeszcze raz się rozejrzył, by zyskać pewność, że żaden esesman ani kapo nie słyszy wymiany zdań. Wraz z Obeltem nieraz widzieli, jak jedna błaha rozmowa potrafiła sprawić, że Niemcy bili do nieprzytomności, a potem zostawiali człowieka na pastwę losu.

Stwierdziwszy, że nic im nie grozi, Zmitkiewicz przeniósł wzrok na Staszka. Chłopak trzymał się lepiej, niż Czesław się spodziewał. Wyglądał, jakby SS zwinęło go prosto z biblioteki akademickiej, a mimo to radził sobie.

– Słuchaj – podjął. – Po pierwsze, nic dobrego nie przyniesie ci znajomość z Włochem. To ten sam typ, co kapo, z którym miałeś do czynienia.

– Myślałem, że homoseksualiści są tutaj oznaczani różowymi...

– Nie gadaj tyle, bo zwrócisz na nas uwagę. Słuchaj.

Staszek pokiwał głową i popatrzył na Obelta, który leniwie podnosił łopatę w górę i w dół, udając, że pracuje.

– Co do zasady mają oznaczenie, ale mniejsza z tym. Musisz uważać też na Sznycla, a może nawet przede wszystkim na niego.

– Na kogo?

– Moritz Strötzel. Sznycel. Kierownik bloku, ciągle się jąka, wyjątkowy degenerat. Niewiele lepszy od niego jest jeden ze strażników, którego poznałeś. Thorben Fehrmann. Torba.

– Sznycel i Torba.

Zmitkiewicz wzruszył ramionami.

– To jedne z najmniej obraźliwych określeń – powiedział. – Sznyclowi wystarczy, żebyś przed nim się potknął. Zakatuje cię bez mrugnięcia okiem. Jesteśmy dla niego jak mrówki.

– Jak odchody mrówek – poprawił go Obelt.

– Może i tak. W każdym razie...

– Cisza! – polecił kapitan zachrypniętym głosem.

Staszek szybko spostrzegł, co spowodowało reakcję mężczyzny z blizną. Zza sterty kamieni nieopodal wyszedł Jerker. Natychmiast do nich podszedł, a jego wyraz twarzy nie wieszczył niczego dobrego.

Zaniewski przypuszczał, że kapo słyszał choć część rozmowy.

– Co to ma, kurwa, być? – syknął.

Staszek widział, że nadciąga cios, ale postanowił się nie uchylać. Z dwojga złego, lepiej było zebrać cięgi i liczyć na to, że oprawcy szybko przejdzie ochota do znęcania się. Oberwał palicą

w plecy, a gdy zatoczył się w przód, Jerker podciął mu nogi.

Uwaga o odchodach mrówek nie była dla niego żadną rewelacją. Wiedział doskonale, że w Mauthausen więźniowie traktowani są nie lepiej niż błakające się wokół obozu psy.

Kapo przeszedł obok miejsca pracy Staszka, głośno cmokając i kręcąc głową.

– Kiepska robota – skomentował. – Musisz zasypać ten dół i zacząć od nowa.

– Rozumiem.

– Rozumiesz? – zapytał Jerker, śmiejąc się. – Wątpię. Do was nie trafia tak skomplikowany przekaz. Musicie wszystko mieć prosto wyłożone.

Przez moment milczał, a leżący na ziemi Staszek nie wiedział dlaczego. Po chwili usłyszał odgłos splunięcia i poczuł coś mokrego na głowie.

– Barbarzyński naród, barbarzyński sposób przekazu – dodał kapo. – Teraz rozumiesz. Prawda, Polaku?

– Tak.

– Wstawaj! – ryknął Jerker.

Zaniewski szybko wykonał polecenie. Chciał wytrzeć ślinę, ale ledwo podniósł rękę, a kapo przywalił mu prosto w twarz.

– Noś to z dumą, skurwielu – dodał, po czym się oddalił.

Staszek spuścił wzrok, widząc, że jego towarzysze również wbijają spojrzenie w łopaty. Pracowali ze zdwojoną mocą, nikt nie chciał przykuwać więcej uwagi strażników. I tak należało uznać za uśmiech losu, że Jerker nie słyszał prowadzonej rozmowy.

Popołudnie przeszło w wieczór, a krople potu nieustannie spływające Staszekowi po plecach stały się zimne jak lód. Czuł, że siły go opuszczają i nie wiedział, czy dotrwa do końca pracy. Raz po raz miał ochotę rzucić narzędzia i położyć się na ziemi.

W końcu skapitulował. Wbił łopatę w śnieg i oparł się o nią.

– Nie rób tego – odezwał się mężczyzna z blizną. – Udawaj, że pracujesz.

– Nie mam siły...

– Więc zginiesz.

Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać. Spojrzał na rozmówcę i stwierdził, że z jakiejś przyczyny budzi respekt. Być może chodziło o tę szramę na policzku – z pewnością zdobył ją podczas walki.

Zaniewski zaczął pozorować robotę, podobnie jak jego towarzysz. Spostrzegł, że żołnierz ma to opanowane do perfekcji. W milczeniu nakładali jak najmniej kamieni i przynosili je o kilka centymetrów.

– Teraz możesz odpocząć – odezwał się w końcu towarzysz.

– Hę?

Mężczyzna wskazał na liczną grupę, która zmierzała w kierunku obozu. Staszek zorientował się, że to nowi więźniowie.

Jeszcze w swoich ubraniach, dzierżąc niewielkie torby, pędzili na złamanie karku, poganiani i bici przez esesmanów. Jakby tego było mało, Niemcy wypuścili psy, które nerwowo ujadają, obskakując nowo przybyłych. Wszyscy biegli w kierunku obozu, przez co zwierzęta zrobiły się nerwowe – gryzły nieszczęśników po nogach, a gdy któryś się przewrócił, szybko do niego dopadały.

Grupa została przepędzona długimi schodami przez kamieniołomy, a potem wprowadzona na ogrodzony teren obozu.

– Z powrotem do roboty – rozkazał mężczyzna z blizną.

Zaczęli niespiesznie przerzucać kamienie.

– Gorzej niż było... – odezwał się po chwili Zaniewski.

– Gorzej? – parsknął Zmitkiewicz. – Bydło w porównaniu z nami ma sielskie życie.

Staszek poczuł, że łapie go skurcz w karku – wspomnienie po tym, co zrobił mu Johann Blankenburg. Poruszał trochę głową, nie przestając pracować. Powiódł wzrokiem po urwisku, które zamykało kamieniołomy od północnego zachodu. Na górze spostrzegł grupę ludzi stojących w równym rzędzie. Przywodzili na myśl turystów, którzy wdrapali się tam, by objąć wzrokiem okolicę.

– Co oni tam robią? – zapytał.

– To spadochroniarze – odparł Czesław.

– Kto?

– Tak mówią na nich esmani. Zaraz będą ich po kolei katapultować.

– Co takiego?

Mężczyzna z blizną głośno westchnął.

– Skurwysyny każdego dnia upatrują sobie jakichś biedaków – odezwał się. – Wieczorem zabierają ich tam i zaczynają swoją chorą grę. Zaraz będą ich po kolei zrzucac ze skały.

Staszek nie wierzył, dopóki nie zobaczył, jak jeden z Niemców kopnął pierwszego więźnia w plecy. Rozległ się przeraźliwy krzyk, który po chwili przerodził się w przejmującą ciszę. Ciało więźnia roztrzaskało się o drobne, ostre kamienie, znajdujące się pod urwiskiem. Kiedy esesmani dokończyli swoje dzieło, kapo oznajmili koniec pracy.

– Co teraz? – zapytał Zaniewski.

Czesław wskazał mu drewnianą konstrukcję, na której złożyli część kamieni.

– Bierz to na plecy i chodź.

Trzech Polaków zgięło się wpół, a potem umieściło ładunek na plecach. Wraz z resztą ludzi w kamieniołomach ustawili się przed długimi schodami prowadzącymi do obozu. Zaraz potem, ponaglani przez strażników, zaczęli mozolnie wdrapywać się na górę. Niemcy pokrzykiwali, bili i pozwalali sobie na wszystko, na co cywilizowany człowiek nigdy by sobie nie pozwolił.

Staszek starał się skupić na pokonywaniu schodów. Naliczył ich sto osiemdziesiąt sześć. Udało mu się cało dotrzeć na górę, ale nie wszyscy mieli takie szczęście. W połowie drogi esesmani wyławiali tych, którzy źle umocowali kamienie. Sprowadzali ich do parteru, a potem tłukli budulcem. Dwóch więźniów zginęło, z ich czaszek została jedynie krwawa miazga. Jedno z ciał Jerker zepchnął po schodach. Wszyscy wydawali się zadowoleni tym, jak posoka rozbryzgiwała się co kilka metrów.

Kiedy Zaniewski pokonał ostatni stopień, strażnicy popędzili grupę na plac apelowy. Kazali ustawić się w równych rzędach i Staszek przypuszczał, że dojdzie teraz do liczenia. Załatwią formalności, a potem pójda coś zjeść.

Mylił się.

Dwie godziny upłynęły osadzonym na uporczywym ćwiczeniu ściągania i zakładania czapki. Był to wieczorny odpowiednik katorgi ze ścieleniem łóżek. Powtarzali tę prostą czynność do upadłego.

Głowa pulsowała mu nieznośnym bólem, marzył z powodu niskiej temperatury, a wykończony organizm wołał choćby o łyżkę ciepłej zupy. Kiedy Niemcy wreszcie im odpuścili, nie mógł uwierzyć, że udręka się skończyła.

W stołówce dostał pół talerza zupy. Do tego dołożono kawałek chleba, co Czesław skwitował mianem ekstrawagancji. Wszyscy rozłożyli niewielkie chusteczki, umieścili na nich te kilka

okruchów, a potem z pietyzmem się posilali.

Jeden z osadzonych niefortunnie stracił kawałek chleba. Naraz na podłogę rzucili się wszyscy siedzący obok. Staszek miał wrażenie, że jeden z nich uderzył zębami o podłogę. Wyjadł chyba wszystkie okruchy, bo klęczący obok więzień sformułował kilka obelżywych uwag, zanim odszedł.

Mężczyzna, któremu spadło jedzenie, nie zdążył zareagować. Pobladł cały, wbijając nienawistny wzrok w tego, który prawie rozbił sobie zęby.

– Ty pierdolony złodzieju – odezwał się. – Zdechniesz dziś w nocy.

Drugi zignorował go, oddalając się spokojnie.

Staszek wbijał nieprzytomny wzrok w ścianę przed sobą i gryzł twardy chleb nad miską, tak by nie sprowokować żadnego konfliktu, rozrzucając resztki posiłku.

Poczuł nagle mocne szturchnięcie. Siedział skulony pod ścianą, mając nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy go niepokoić. Podniósł wzrok i zobaczył Zmitkiewicza.

– Chodź, młody – odezwał się Czesław, wskazując miejsce, gdzie siedzieli z Obeltem.

Chwilę wcześniej odbył rozmowę z kapitanem, który twardo oponował przed wzięciem chłopaka pod swoje skrzydła. Argumentował, że ich duet jest w tym piekielnym obozie optymalnym układem, który ma choćby liche szanse przeżycia. Jedna osoba mniej lub więcej mogła szybko tę sytuację zmienić. Zmitkiewicz jednak nie dawał za wygraną i w końcu udało mu się wynegocjować, by Staszek choć zjadł w ich towarzystwie to, co Niemcy nazywali jedzeniem.

– Zobaczysz, Zmitkiewicz, przyklei się do nas jak rzep do psiego ogona – zastrzegł jednak Obelt.

Czesław wzruszył ramionami, po czym z dobrze skrywanym zadowoleniem podszedł do Staszka. Zdążył polubić młodego, szczególnie po tym, jak stanowczo odmówił Jerkerowi. Niejeden skomlałby o ratunek, tymczasem chłopak się postawił, licząc tylko na siebie.

Zmitkiewicz widział już zbyt wielu ludzi, którzy ulegli seksualnym propozycjom kapo. Ludzi, po których nigdy by się tego nie spodziewał.

– Siadaj – powiedział, gdy podeszli do Obelta. – Wprawdzie to strefa dla muzułmanów, ale dzisiaj na nic lepszego nie można liczyć.

– Muzułmanów? Jesteście... wyznawcami Allaha?

Obelt roześmiał się ochryple.

– Nie – odparł Zmitkiewicz. – Muzułmanie to wszyscy ci, którzy nie mają specjalnych względów w obozie. Krótko mówiąc, ludzie na równi pochyłej, o krok od śmierci. Reszta to prominenci. Ty nieomal znalazłeś się pod protekcją jednego z nich, ale odmówiłeś dania dupy.

– Co się chwali – dodał Obelt.

Staszek odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do nowych towarzyszy. Po chwili potrząsnął głową, jakby coś sobie uświadomił.

– Nie przedstawiłem się – powiedział i wyciągnął rękę do mężczyzny z blizną. – Staszek Zaniewski.

Kapitan Obelt upuścił łyżkę do zupy i wbił wzrok w oczy chłopaka. Na chwilę zapadła zupełna cisza.

– Coś nie tak? – spytał zdezorientowany Staszek.

CĂLIMĂNEȘTI, OKRĘG VALCEA, RUMUNIA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Bronek z trudem otworzył oczy. Miał wrażenie, że dopiero co dotarli do chaty Balmoşa, tymczasem ten już go budził, twierdząc, że czas wyruszać.

– Nie pospałem – oznajmił, przeczesując włosy.

– I mnie to ma interesować?

– Mam deficyt. Niespecjalnie wysypiałem się u Gavrila – perorował dalej Zaniewski. – Do późnych godzin walczyliśmy teorię, a potem bladym świtem szliśmy do lasu.

Rumun odparł coś pod nosem, a potem wyszedł z izby. Bronek uznał, że nie ma czasu do stracenia. Przeciągnął się i szybko doprowadził do porządku. Gdy wyszedł do sieni, zobaczył Iona pochylonego nad stołem. Rozłożył na nim mapę i bębnił palcami o blat.

– Będziesz łaskaw spojrzeć? – burknął.

Zaniewski stanął obok.

– Twoim kierowcą będzie Costel – oznajmił Balmoş. – Nie jest orłem i kompletnie brak mu rozeznania w terenie, więc musisz co nieco wiedzieć.

– Świetnie. Wiedziałem, że mogę liczyć na twoich ludzi.

– Jest godny zaufania – odparował Ion. – I nie wyrzuci cię z samochodu za twoje typowo polskie grubiaństwo.

Bronek uśmiechnął się, wodząc wzrokiem za czymś do picia. Najwyraźniej jednak gospodarz o to nie zadbał.

– Zawiezie cię, gdzie trzeba – dodał Balmoş. – Musisz tylko pilnować, żebyście jechali w dobrym kierunku. Spójrz.

Bronek popatrzył na mapę. Rumun wskazał mu miejsce, gdzie się znajdują, a potem zaczął wodzić palcem na zachód. Raz po raz sprawdzał, czy rozmówca uważnie śledzi trasę. Formułował wskazówki i polecenia, ale Zaniewski wiedział, że wszystkiego nie spamięta. Mimo to z przekonaniem kiwał głową.

– Oczne Mari – oznajmił w pewnym momencie Ion, wskazując na niewielkie miasteczko. – W okolicach Horezu skończy wam się dobra droga i dalej gównianą pojedziecie do Mateeşti. Stamtąd skierujecie się do Târgu Jiu i musicie zachować wzmożoną ostrożność, bo jest tam obóz internowania. Mogą pilnować dróg, nie mówiąc o debilach, którzy ukochali Hitlera i chętnie doniosą władzom, że Polak podróżuje sobie jak panisko po kraju. Stamtąd jest prosta droga do Turnu Severin. Znajdziesz się na granicy z Jugosławią.

– Cudnie.

– Cieszę się, że patrzysz na to z optymizmem.

– Mam dobre doświadczenia z twoimi znajomymi.

Ionowi nie udało się dowiedzieć niczego o człowieku, który miał wrócić po Bronka. Nie było po nim śladu, podobnie jak po Maniurze, Kremmerze i Kiendrym. Zaniewski obawiał się, że trafili na rumuńskie władze i ostatecznie wszyscy znaleźli się już nie w obozie internowania, ale w gorszym miejscu. Mimo to nie mógł nic zrobić – Balmoş twierdził, że sprawdził każdy trop. Rozpytał wśród urzędników, jednak nikt nic nie wiedział o trzech Polakach. Obiecywał, że będzie nadal drążył, ale jego zdaniem kompani Bronka dawno przebili się do Francji.

– Powtórzmy wszystko – odezwał się, patrząc na mapę.

– To konieczne?

– Tak, bo połowy nie zapamiętałeś.

– Niech będzie – odparł Zaniewski, wzdychając. – Ale najpierw zaparz mi tej lury, którą nazywasz kawą.

Po chwili Bronek usiadł na skrzypiącym krześle, zwilżył usta czarnym trunkiem, a potem

z lubością zapalił gnieciucha. Powtórzyli cały plan i Zaniewski sądził, że tym razem udało mu się wszystko spamiętać. Przez moment kopcili w milczeniu.

– Będziesz ich szukać, Ion? – zapytał Bronek.

– Tego grubasa i starucha, co tak dziwnie mówił?

Polak spiorunował go wzrokiem.

– Oczywiście, że będę. Przecież obiecałem.

– Odezwę się do ciebie z Francji.

– W porządku – odparł Rumun, mrużąc oczy przy sztachnięciu. – Choć wydaje mi się, że wiem, co się stało.

Zaniewski uniósł brwi.

– Nie ma samochodu – dodał Balmoś. – To każe sądzić, że twoi towarzysze napadli mojego znajomego, zgwałcili go, a potem ukryli ciało gdzieś w lesie. Pojazd ukradli.

– Takie zwyczaje u was panują?

Ion zaśmiał się pod nosem, a następnie zdusił niedopałek w popielniczce.

– Nic im nie jest – powiedział po chwili. – Siedzą we Francji i czekają na ciebie. Nie rozumiem tylko, dlaczego wraz z nimi znikł mój człowiek. Ale dowiem się, gwarantuję ci to.

Zaniewski przez moment patrzył w okno.

– Nie możemy przełożyć tego transportu do Jugosławii? – zapytał w końcu.

– Mówiłem ci. Nie ma mowy, Costel się nie zgodzi. Teraz albo nigdy.

– W porządku, w porządku.

– Zresztą co chciałbyś tu zrobić? Ledwo dukasz po naszymu, nie ma żadnych śladów i nikt nic nie słyszał.

Zaniewski zdawał sobie sprawę, że poszukiwania najpewniej byłyby daremne, ale niełatwo było po prostu wyjechać. Miał jedynie nadzieję, że we Francji powita go dwóch jego przyjaciół, całych i zdrowych.

Wstał od stołu i zostawił Balmośa w kuchni, gdy ten przygotowywał ciorbę. Położył się na chwilę w izbie, myśląc o tym, że niebawem dane mu będzie znów założyć polski mundur. Albo francuski z jakimś polskim oznaczeniem – nie wiedział, jakie uniformy mają siły na zachodzie.

Nawet nie zorientował się, kiedy zasnął.

Obudził się jakiś czas później, gdy zupa już wystygła. Iona nigdzie nie było, więc Bronek nastawił wodę w czajniku i usiadł w kuchni. Zapalił papierosa, uświadamiając sobie, że coś mu się śniło. Niewiele pamiętał, ale wiedział, że we śnie pojawiła się Aniela.

Ścisnęło go w klatce piersiowej, gdy pomyślał o tym, że ukochana wyszła za jego towarzysza broni, niegdyś wroga, dziś właściwie brata. Zaniewskiego ciekawił los Chwieduszki. Zostawili go w Sołoniowie, rodzinnej wsi Maniury, a potem nie mieli z nim kontaktu.

Bronek postanowił, że jak tylko dotrze do Francji, postara się nawiązać kontakt.

– Żyjesz, Polaku? – zapytał Balmoś, wchodząc do chałupy.

– O tyle, o ile. Zupa mi wystygła.

– Tak, dobrą godzinę temu.

– Costel już jest?

– Zaraz będzie – odparł Rumun, stawiając na stole wypchaną torbę. – Twoje nowe rzeczy – oznajmił. – Przebieraj się.

Zaniewski powybierał kilka ubrań, podczas gdy Ion zajął się przygotowywaniem mamałygi, popularnej rumuńskiej potrawy. Tym razem Balmoś dodał do kaszy gryczanej trochę mniej mleka, by potrawa była gęstsza i Polak mógł zabrać trochę jako prowiant. Na śniadanie oprócz

zupy podał mu sery i maczane w oleju ogórki.

Bronek spojrział na nie z powątpiewaniem.

– Strasznie capią – oznajmił.

– Nie podoba się, nie jedz.

– Już u Gavrila przekonałem się, że z jakiegoś powodu lubicie przesolone i prześmierdnięte sery. Czasem mam wrażenie, że moglibyście jeść samą sól i smrodek.

– Won z kuchni.

Polak uniósł dłonie.

– Spokojnie – powiedział. – Jestem już zaprawiony w waszych kulinarnych bojach. Poradzę sobie.

Niechętnie zjadł po kawałku każdego rodzaju sera, choć miały raczej wątpliwe walory smakowe. Zimna zupa też nie należała do najsmaczniejszych, ale biorąc wszystko pod uwagę, należało się cieszyć, że ma w ogóle co do gęby włożyć.

Gospodarz popatrzył na zegar stojący w sieni.

– Jeszcze pół godziny i wreszcie będę miał cię z głowy, Polaku.

Nie pomylił się. Po niecałych dwóch kwadransach przybył Costel. Przywitał się wylewnie ze swoim znajomym, po czym równie entuzjastycznie z Bronkiem, jak gdyby znali się już całkiem nieźle. Miał przeredzone włosy i tik nerwowy, wskutek którego dość często i energicznie mrugał oczami.

Zaniewski wrzucił swój tobołek do niezbyt okazałego gazika z 1933 roku i powiódł wzrokiem po wybrakowanych nadkolach i miejscu, gdzie powinien znajdować się przedni zderzak.

– Potwór szos – ocenił.

– Dziękuję – odparł kierowca, zdziwiony, że Polak wydukał cokolwiek po rumuńsku. Wyciągnął do niego ręce, by wziąć kolejny bagaż, i nagle zamarł. – Co to jest? – zapytał, patrząc na Iona.

Bronek spojrział na owiniętego kocami springfielda.

– O nie, panowie – zastrzegł Costel. – Takich rzeczy to ja wozić ze sobą nie będę.

– Uspokój się – zaapelował Balmoş. – Jesteś gotów wieźć polskiego uchodźcę, to co ci za różnicę robi, czy ma ze sobą broń?

– No jakże...

– Jak was złapią, i tak będzie pozamiatane, i tak.

– Ale...

– Wiem, ile pali twój gazik, Costel. Dwanaście litrów na sto kilometrów.

– Co?

– A płacę ci, jakby spalał dwa razy więcej. Więc bierz ten pieprzony karabin i wsiadaj.

Bronek rozumiał tylko trzy po trzy, ale musiał przyznać, że jego towarzysz miał dar przekonywania. Żałował, że Ion nie wyruszy razem z nim.

Kierowca wsiadł do gazika, a Zaniewski podał rękę Balmoşowi. Pokleпали się po ramieniu, po czym Polak okrążył samochód.

– Dzięki, Ion – powiedział, opierając się o dach.

– Pamiętaj, żeby pilnować mapy. Jeśli jemu zostawisz pilotowanie, wywiezie cię do Turcji. Albo gorzej.

Polak uśmiechnął się i kiwnął głową. Balmoş wyciągnął z kieszeni kilka banknotów, a potem wręczył mu je.

– Kilkadziesiąt lirów. Niewiele, ale przyda ci się, jak wyjedziesz z Jugosławii.

– Dzięki, Ion – powtórzył Broniek i wszedł do samochodu. – Kiedyś ci odeślę.

Silnik miał początkowo problem z rozruchem, ale w końcu zaskoczył. Gazik zarzęził niepokojąco, a następnie Costel z uwagą i precyzją chirurga zaczął wycofywać.

– Wal do Niemców z taką pasją, jak do tamtego dzika! – krzyknął jeszcze Balmos, gdy odjeżdżali.

BERLIN, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Strażnik odciągnął ciężką, metalową zasuwę w drzwiach celi. Leitner potrzebował dłuższej chwili, by przyzwycząić się do panującego tam mroku. Brak światła podziałał kojąco na jego zmęczony kaczem umysł, a po chwili Hauptsturmführer dostrzegł trójkę ludzi.

Rodemeyer leżał na podłodze, Maria i Elisa siedziały pod ścianą z podkulonymi nogami. W środku panowała wilgoć, słycać było krople spadające ze stropu.

– Hauptsturmführer, co? – odezwał się Marvin. – Dostałeś awans, pieprzony gnoju.

Zaległa cisza. Christian słycał tylko chrapliwy oddech dawnego przyjaciela. Rzęzenie dobywające się z płuc brzmiało niepokojąco.

– Jesteś z siebie zadowolony? – zapytał Rodemeyer. – Duma cię rozpiera, że zdemaskowałeś Żyda?

Leitner obejrzał się przez ramię.

– Światło – rzucił do wartownika.

Samotna żarówka zapalała się i gasła przez chwilę, po czym rozświetliła się na pomarańczowo. Christian odczekał chwilę, by oczy więźniów przyzwycząiły się do jasności. Potem zbliżył się do Marvina.

– Nawet się nie odezwiesz? – zapytał pobity więzień.

– Nie mam zamiaru rozmawiać z gnidą, która zdradziła Führera.

Christian spojrział na dwie kobiety siedzące pod ścianą. W rozmowie z Cerberem podkreślił, że jeśli spadnie im włos z głowy, sprawca narazi się na jego gniew. Starzec zagwarantował mu, że nie spotka ich żadna krzywda.

Leitner patrzył na Marię, chcąc sprawdzić, czy w istocie tak było. Nie wybaczyłby sobie, gdyby któryś z tutejszych prymitywów podniósł na nią rękę.

Obie trzęsły się z zimna i miały spierzchnięte wargi, ale nie ulegało wątpliwości, że nikt ich nie skrzywdził. Christian potoczył wzrokiem po zabrudzonym ubraniu Marii. Przypominało mu to widok, który zastał niegdyś w lesie, gdy odnalazł Heinlego i dwójkę rzekomych Austriaków. Odegnął szybko tę myśl.

Skupił się na Rodemeyerze. Wyglądał znacznie gorzej od towarzyszek – nie ulegało wątpliwości, że uczestniczył w przesłuchaniu Gestapo. Siniaki i zaschnięta krew pokrywały jego twarz, a na niektórych palcach brakowało paznokci. Nie na wszystkich, więc Marvin najwyraźniej w pewnym momencie pękł. Raphael Alberts od tej pory nie powinien czuć się bezpieczny.

– Ty? – odezwał się Rodemeyer. – Ty masz czelność mówić mi o zdradzie?

Leitner nie miał zamiaru z nim dyskutować. Marvin tymczasem z trudem się podniósł i zbliżył do niego. Nie stanowił żadnego zagrożenia, z trudem stawiał kroki, mimo to Christian przygotował się, by odeprzeć atak.

– Nie rozumiesz, że Hitler zniszczy Niemcy? – zapytał dawny przyjaciel. – Nie, oczywiście, że nie. Nigdy tego nie zrozumiesz, bo masz zawszony nazizmem umysł.

Leitner westchnął.

– Führer wprowadził naród niemiecki na drogę ku chwale – odparował. – I jeśli któryś z nas jest zaślepiiony, to właśnie ty, Marvin. Zaślepiiony swoją własną, ułomną narodowością. Na tyle, że nie widzisz, iż cały świat padnie nam do stóp.

– Co ty bredzisz?

– Ty i cała reszta ludzi twojego pokroju zobaczy, dlaczego to wszystko było konieczne.

– Idź do diabła, zasrany fanatyku – odparł Rodemeyer, a potem przyłgął plecami do ściany i osunął się na podłogę.

Maria objęła mocniej Elisę, nawet nie patrząc na przybysza. Nie miała zamiaru zamieniać z nim ani jednego słowa. Nocy nie przespały – nieustannie budziły je krzyki i pojękiwania innych więźniów. Szybko stało się jasne, że to nie żaden areszt, ale katownia.

Polka spodziewała się, że nie zostaną tutaj długo. Marvin z pewnością nie będzie miał tyle szczęścia – on znalazł się tutaj celowo. One jednak były trzymane w piwnicy jedynie tymczasowo. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Nocą Rodemeyera wrzucono bez ogródek do celi, pobitego i półprzytomnego. Ułożyły go na plecach, a potem starały się otrzeć krew z jego twarzy. Ich zabiegi szybko okazały się bezcelowe. Cierpiał przy każdym ruchu, jak i przy każdej myśli, gdy przypominał sobie, kto zgotował mu taki los.

Maria podniosła wzrok na Leitnera. Przez pół nocy zastanawiała się, jak mógł podpisać wyrok śmierci na przyjaciela. Dziś wiedziała, że były to płonne rozważania. Christian się zmienił, widziała to w jego oczach. Coś w nim pękło po spotkaniu ze śmiercią i porwaniu rodziny.

To, co działo się, od kiedy wszedł do celi, potwierdzało jej najgorsze obawy.

– Mów, co wiesz – odezwał się do Marvina. – Zaoszczędź sobie katongi.

– Pierdol się, Christian.

Hauptsturmführer zbliżył się jeszcze o krok.

– Chcę znać nazwiska wszystkich, którzy współpracują z Albertsem.

Rodemeyer splunął na podłogę.

– Zapytaj tych gestapowców, którzy mnie wczoraj okładali – odparł. – Wymyśliłem im kilka przypadkowych nazwisk.

– Tak chcesz grać?

Marvin wzruszył ramionami.

– Jesteś idiotą, Christian – powiedział. – Podobnie jak cała reszta tutejszych orłów Rzeszy. Nie znam żadnych tajemnic, nazwisk ani szyfrów. Jestem facetem, który chciał zrobić coś dobrego. Nie żadnym zawodowym szpiegiem.

– Zobaczymy, co będziesz mówił, jak przyjedzie tu twoja rodzina.

– Jak śmiesz...

– Milcz – zestrofował go Leitner, nachylając się nad nim. – I zapamiętaj moje słowa, bo to nasze ostatnie spotkanie.

– Przed piekłem – dodał Marvin.

Hauptsturmführer wyprostował się, ignorując uwagę. Obrócił się, a potem ruszył w kierunku wyjścia. Obejrząwszy się przez ramię, skinął na kobiety.

– Wstawać – polecił. – Wychodźcie.

Maria zauważyła, że Elisa nie rozumiała komendy. Mimo że łapała coraz więcej po niemiecku, potrzebowała chwili, by zaskoczyć na odpowiednie tory. Polka gorzko skwitowała w duchu, że ta sytuacja niebawem się zmieni. Elisa, jak i każda inna dziewczyna w Europie,

będzie musiała uczyć się języka zwycięzców.

– *Raus!* – ponaglił Christian, wychodząc na korytarz.

Maria podniosła się i podała rękę kuzynce. Potem spojrzała na Rodemeyera, który posłał im pocieszający uśmiech.

– Zostawisz go tutaj? – zapytała, patrząc na plecy Hauptsturmführera.

– Tak.

– Jak możesz...

– Jeśli chcecie, możecie zostać tu z nim.

– Zwierzę – powiedziała po polsku, po czym przykucnęła przy Marwinie. Spojrzała mu w oczy i położyła dłoń na jego ręce. Lubiła go i ceniła przede wszystkim za to, że wstąpił do Wehrmachtu, by chronić swoją rodzinę. Miał świadomość, że już zgłaszając się na komisję, ryzykował życie. Co tu mówić o dorobieniu się rangi porucznika.

Polka podniosła się, a potem ruszyła ku Leitnerowi.

– On tutaj umrze – powiedziała, choć wiedziała, że Niemiec doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Christian nie odpowiedział. Opuszczając celę, kobiety posłały jeszcze krótkie spojrzenie Rodemeyerowi. Potem drzwi bezpowrotnie się zatrzasnęły.

Przeszli kawałek w milczeniu.

– Dokąd nas zabierasz? – zapytała w końcu Maria.

Weszli schodami w górę, Niemiec się nie odzywał. Maria obejrzała się na strażników, którzy za nimi podążali. Wszyscy skupiali wzrok na Elisie, przywodzili na myśl wygłodniałe ogary. Maria z niepokojem pomyślała, że jej kuzynce może grozić tu znacznie więcej niż jej. Ona już z wyglądu była Żydówką – co do zasady Niemcy powinni trzymać się od niej z daleka. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, by zainteresowali się młodą blondynką z różnobarwnymi tęczęwkami i powabną figurą.

Potem przypomniała sobie Heinlego, który nieomal zgwałcił ją w lesie.

– Christian – odezwała się. – Co z nami będzie?

– Traficie tam, gdzie wasze miejsce – powiedział w końcu.

– Gdzie?

Znów zamilkł.

– I czym sobie zasłużyliśmy? – ciągnęła. – Rozumiem, że chcesz wymierzyć mi karę, ale Elisa niczego nie zrobiła i...

– Myślisz, że nie wiem?

Ściągnęła brwi.

– O czym? – spytała skołowana.

– Że płynie w niej żydowska krew?

Maria znieruchomiła, ale jeden z idących za nimi esesmanów natychmiast ją popchnął. Bąknął coś o tym, by się nie zatrzymywać, ale Polka ledwo słyszała jego słowa. Echem w głowie odbijało jej się to, co powiedział Leitner. I jego pełen obrzydzenia ton.

– Nie wierzę – powiedziała. – Nie wierzę, że coś takiego może mówić ten sam człowiek, który niegdyś uratował mnie przed...

– Nie ten sam.

– Ludzie ot tak się nie zmieniają.

– Ot tak nie – przyznał. – Ale byłem wówczas naiwny.

Maria wbiła wzrok w jego plecy, gdy opuszczali budynek kancelarii bocznymi drzwiami.

– Byłem także zaślepiony i dałem się omamić.

– Zaślepiony?

– Uczuciem – powiedział. – Uczuciem, do którego wstyd mi się teraz przyznać.

Polka z trudem przełknęła ślinę. Oboje wiedzieli, że coś między nimi jest, jednak była przekonana, że na zawsze zostanie to niewypowiedziane. A jeśli już którekolwiek z nich kiedyś poruszy ten temat, zrobi to w zawołany sposób. I w innych okolicznościach.

– Christian...

– Przez te platoniczne emocje nie zachowałem odpowiedniej czujności – dodał, wciąż się nie odwracając. – Dałem się wciągnąć w twoją manipulację. Tak wtedy, jak i później. Na szczęście Führer nie zostawia swoich żołnierzy. Nieustannie ich prowadzi, pomaga przejrzeć na oczy.

Naraz Maria zrozumiała, że to nie bliskie spotkanie ze śmiercią czy utrata rodziny podzielała na Leitnera w ten sposób. Spuściła wzrok.

– Rozmawiałeś z Hitlerem.

– Owszem, dostąpiłem tego zaszczytu.

Dostrzegła, że wyprężył pierś i się wyprostował. Pomyślała, że to ona była naiwna. Spodziewała się, że człowiek bezgranicznie wielbiący Hitlera okaże się w istocie dobry.

Zatrzymali się przed zabrudzoną ciężarówką, której paka była przysłonięta ciemnoszarą plandeką. Polka spojrzała na nią z przestachem i obróciła się do Leitnera. Miała zamiar podjąć ostatnią próbę rozmówienia się z nim, ale widząc jego stanowczy wzrok, szybko z tego zrezygnowała.

– Wasza wolność się skończyła – powiedział, po czym ruszył w stronę Ministerstwa Propagandy.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, STYCZEŃ 1940 ROKU

Obelt dopiero teraz porządnie przyjrzał się chłopakowi. Rzeczywiście było w nim coś z Zaniewskiego, którego znał. Kapitan uniósł lewy kącik ust i pokręcił głową. Potem podniósł łyżkę i nabrał trochę zupy.

– Muszę przyznać, że wielu ludziom się przedstawiałem, ale takiej reakcji nie uświadczyłem – odezwał się Staszek.

– Chłopcze – odparł Obelt – trzeba było od razu mówić, żeś Zaniewski. Byłem dowódcą twojego cholernego brata.

– Bronka?

– A masz jakiegoś innego? – odbąknął żołnierz i rozejrzał się nerwowo. – I uspokój się, ściągasz na nas uwagę.

– Ale... ale jak to? – zapytał Staszek, ignorując polecenie i nie zniżając głosu.

– Urnę ci ozór, chłopcze – ostrzegł kapitan. – Co z wami jest, Zaniewscy, że nie potraficie wykonywać nawet najprostszych rozkazów?

Rozmówca potrząsnął głową, jakby dopiero teraz dotarła do niego waga słów Obelta.

– Przepraszam – rzucił, rozglądając wokół.

Kilku więźniów skupiało na nim wzrok, bo nieczęsto zdarzało się, że dwóch żołnierzy zapraszało kogoś do swojego stolika. Kapitan odchrząknął, przykuwając uwagę Zaniewskiego, a potem wskazał mu, by skupił się na swojej zupie.

– Co się z nim stało? – spytał cicho Staszek.

– Nie wiem. Ostatni raz o nim słyszałem od dwóch Niemców, których z obecnym tutaj Zmitkiewiczem wysłaliśmy do piekła, gdzie ich miejsce.

Czesław wyduł usta i pokiwał głową.

Widząc wyczekujące spojrzenie chłopaka, Obelt niechętnie opowiedział mu, jak dwóch funkcjonariuszy zabrano ich z oflagu w Murnau. Ponieważ mieli ich zabić, bynajmniej nie byli oszczędni w słowach. Rozwodzili się nad tym, że zanim Obelt trafił do obozu, grupa Polaków próbowała odbić go z rąk SS w Lesku. Partyzanci porwali jednak nie tę ciężarówkę i zamiast jeńca znaleźli żołnierską korespondencję.

– Cholerni Zaniewski i Chwieduszek – dodał kapitan. – Tylko oni mogli za tym stać.

Obelt urwał, dostrzegając, że zbliża się do nich Jerker. Wykrzyknął kilka komend, na które wszyscy więźniowie jak jeden mąż się podnieśli. Kapitan wiedział, że właśnie przypadał dzień, kiedy fryzjer blokowy będzie wszystkich dokładnie golił.

Po tym, jak z ich ciał usunięto każdy jeden włos, Staszek starał się wyciągnąć z rozmówcy nieco więcej. Dostawał jedynie lapidarne odpowiedzi, ale udało mu się ułożyć z nich obraz wszystkiego, co spotkało Bronka po wybuchu wojny.

Potem Zmitkiewicz zadbał o to, by Zaniewski mógł spać na pryczy obok. Staszek po raz kolejny dostrzegł, że tych dwóch żołnierzy wzbudza respekt pozostałych więźniów. Zaniewski zasnął zadowolony, choć z nieprzyjemną pustką w żołądku.

W nocy obudził ich przeraźliwy krzyk. Zaświecono wszystkie światła, a chwilę później do baraku wpadł wściekły Torba w towarzystwie Jerkera.

– Co się dzieje? – spytał Staszek.

Towarzysze wodzili wzrokiem dookoła, starając się namierzyć źródło niepokojących dźwięków. Te jednak nagle się urwały, gdy gehenna nieszczęśnika dobiegła końca. Fehrmann i kapo podeszli do pryczy, na której leżał martwy mężczyzna.

Staszek rozpoznał jego twarz. Był to więzień, który wcześniej wykradł kilka okruchów innemu osadzonemu. Teraz jego głowa zwisała bezwładnie z łóżka, a z szyi sterczały mu kawałki połamanej deski – jednej z tych, które więźniowie wykorzystywali do ścielenia.

Dwaj Niemcy przez moment przyglądali się obojętnie ciału.

– Co my tu mamy, Jerker? – mruknął Torba. – Czyżby złodziej?

– Bez dwóch zdań.

– Szkoda było wstawać.

Perorowali jeszcze przez chwilę, dopóki głosu nie zabrał inny uprzywilejowany więzień. Zapytał, czy mogą wynieść zwłoki, na co Fehrmann odpowiedział charakterystycznym rechotem.

– W żadnym wypadku – oznajmił. – Spędzicie sobie z nim noc.

Thorben nie miał zamiaru spędzać w baraku więcej czasu. Opuścił go, a potem z hukiem zamknął za sobą drzwi. Jerker potoczył wzrokiem po osadzonych. Najwyraźniej miał jeszcze coś do zrobienia.

– Ściągać koce, kurewskie pomioty! – ryknął.

Robiąc dokładnie to samo, co jego towarzysze, Staszek zrzucił z siebie koc, którym wcześniej się owinął. Nie bardzo rozumiał, dlaczego to robią, ale wszyscy przykładali się do tej czynności, jakby od jej prawidłowego wykonania zależało ich życie.

Gdy więźniowie złożyli koce na pryczach, Jerker w towarzystwie młodego chłopaka przechadzał się między łózkami. Takich młodych pomagierów nazywano piepelami – i Zaniewski wiedział, że kapo chciał, by on został jednym z nich.

W końcu Jerker zatrzymał się przed jedną z prycz i głośno się zaśmiał.

– Mamy zmarzlucha! – zakrzyknął.

Potem wszystko działo się już błyskawicznie. Kapo dobył palicy i natychmiast zaczął bez pamięci okładać nieszczęśnika, który pod więziennym pasiakiem miał sweter. Niemiec skończył dopiero, gdy ofiara przestała się poruszać.

– Ktoś jeszcze? – zapytał, przyglądając się innym.

Odpowiedziała mu pełna przejęcia cisza, a Jerker pokiwał głową, po czym opuścił barak. Wszyscy odetchnęli.

– Zabił go za to, że było mu zimno? – zaszeptał Staszek.

– I tak, i nie – odparł Zmitkiewicz.

– Tutaj nie zabija się z jakiejś przyczyny, Zaniewski.

– No tak – powiedział cicho Staszek i potarł oczy.

– Każda wymówka jest dobra. A jedną z nich jest to, że każdy, kto założy na noc coś cieplejszego, w istocie planuje ucieczkę pod osłoną nocy.

– Rozumiem – odparł Staszek i na moment zamilkł, wpatrując się w sufit. – A udało się kiedyś komuś stąd uciec? – dodał.

Obelt zaśmiał się chrapliwie, a Czesław przewrócił oczami.

– Zaniewscy – skwitował kapitan, jakby to miało wszystko tłumaczyć. – Nie, nikomu się to nie udało. Zresztą nawet gdybyś zwiął, zabiłby cię pierwszy lepszy mieszkaniec okolicznych wiosek. Oni są przekonani, że przebywają tutaj zbrodniarze, bandyci, barbarzyńcy i podludzie, którzy w żadnym wypadku nie powinni pozostawać na wolności.

– Rozumiem, ale...

– Nawet gdyby znalazł się jakiś mniej parszywy Niemiec, to za niezawiadomienie władz czy nie daj Boże pomoc nam z pewnością grozi kara śmierci.

– Nikt nie próbował uciec? – ciągnął temat Staszek.

– Niejeden próbował.

– Ktoś wydostał się za bramy obozu?

– Nie. Wartownicy na wieżach mają dobrego cela, a zasięg ich broni jest całkiem przyzwoity. Choć bywa czasem, że trafiają, a nie zabijają. Taki nieszczęśnik ma przesrane, bo w najlepszym wypadku wieszają go na placu apelowym. W najgorszym... cóż, nie chcesz wiedzieć.

– Musi być jakiś spo...

– Oczywiście, jakiś sposób zawsze jest – przerwał mu Obelt. – Zostanie spadochroniarzem. Inaczej się obozu nie opuszcza. Zrozum Zaniewski, że tutaj kontrolują każdy transport z obozu, przetrzepują nawet małe pokrowce, jakbyśmy mogli się zminiaturyzować i w nich schować. Banda idiotów.

Kilku więźniów roześmiało się, ale natychmiast umilkło, gdy Obelt potoczył wzrokiem wokół.

– Idź spać, Zaniewski. Pośnij sobie o tej swojej ucieczce – powiedział oficer i obrócił się na drugi bok.

Po porannym apelu Staszekowi, Obeltowi i Zmitkiewiczowi trafiła się kolejna parszywa robota. Esesmani zagonili ich za ogrodzenie i rozkazali kopać długie doły. Kiedy osadzeni skończyli, byli zmuszeni wrzucać do nich nagie ciała tych, którzy tej nocy zmarli. Najwyraźniej nastąpiła jakaś awaria w krematorium – a może esesmani po prostu chcieli urozmaicić sobie rutynę dnia codziennego.

Staszek naliczył piętnaście ciał i nieomal zwymiotował, gdy zobaczył je pozbawione ubrań. Wystające żebra sprawiały wrażenie, jakby miały przebić naciągniętą skórę. Kości miednicy widoczne były tak wyraźnie, że był w stanie rozpoznać dół biodrowy. Staszek odniósł wrażenie,

że dłonią może objąć najgrubsze miejsce na rękach czy nogach więźniów. Po zmianach pośmiertnych mógł stwierdzić, że niektórzy przeleżeli w barakach znacznie więcej niż jedną noc. Z przerażeniem pomyślał o tym, że współwięźniowie mogli zwyczajnie przegapić śmierć jednego z towarzyszy.

Podczas gdy wrzucali ofiary do dołów, esesmani i kapo bacznie im się przyglądali. Osadzeni pracowali ze spokojem, mechanicznie, jakby ze znużeniem zasypywali puste dziury w ziemi, a nie anonimowe mogiły.

Pośmiertne maski tymczasem wpatrywały się w nich z otwartymi oczami i ustami. Staszek wzdrygnął się, gdy rzucona przez niego garść ziemi wpadła między popękane zęby nieszczęśnika.

Przeszło mu przez myśl, że nigdy nie uda mu się być tak obojętnym, jak reszcie. Zaraz potem zmitygował się, że przecież każdy z nich musiał myśleć tak samo.

Musi istnieć jakiś sposób, by stąd uciec, powiedział sobie w duchu. Trzeba tylko poczekać na odpowiednią okazję. Reszta więźniów popełnia największy z możliwych błędów, tracąc nadzieję. Przez to mogą przegapić moment, na który powinni czekać. Zaniewski postanowił, że ucieknie, a potem odnajdzie Marię, gdziekolwiek jest.

Wbił łopatę w ziemię i przysypał czyjąś dłoń. Początkowo starał się to robić najgodniej jak potrafił, jednak szybko przekonał się, że nie ma w tym nic godnego. Ci ludzie już znikli w odmętach historii. Nikt nigdy nie dowie się o ich losie, rodziny nigdy tutaj nie trafią.

Nagle Staszek przerwał rozmyślania. Kątem oka zauważył, że jeden z esesmanów się zamachnął – zaraz potem rzucony przez niego kamień trafił go prosto w skroń. Staszek mimowolnie się skulił, słysząc śmiech i kilka uwag po niemiecku.

– Nie opierdajaj się – rzucił leniwie kapo stojący obok.

Nie było sensu argumentować, że właśnie oberwał kamieniem w głowę i krwawi, bo strażnik z całą pewnością to dostrzegł. Zmitkiewicz wymienił ze Staszkiem porozumiewawcze spojrzenia, po czym kiwnął głową w stronę rowu, sugerując, by kontynuował pracę. Zaniewski otarł krew z czoła i popatrzył w kierunku grupy Niemców, którzy śmiejąc się, podnosili kolejne kamienie. Rozbawieni, zaczęli rzucać nimi w osadzonych. Polacy wiedzieli, że aby przeżyć, muszą udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Uchylenie się od kamienia oznaczało niechybną śmierć.

Niełatwo było Staszekowi walczyć ze swoim ciałem. Robił wszystko, by się nie uchylać, ale raz po raz miał wrażenie, że odruch samozachowawczy brał górę. Szczęśliwie każdy z kamieni sięgał celu, więc Niemcy byli zadowoleni.

Obelt przywykł do upodlenia. Po tym, co musiał znieść z rąk Johanna Blankenburga, potrafił znieść więcej niż przeciętny człowiek. Nieznośną nowością było dla niego jednak to, że tutaj nie mógł okazać jakiegokolwiek oporu. W piwnicy w Lesku mógł napluć Blankenburgowi w twarz, przedrzeźniać go, imitując hitlerowski wąsik, czy w końcu uparcie twierdzić, że ma na imię Adolf. W obozie natomiast wszelki przejaw najmniejszego oporu wiązał się z natychmiastową śmiercią. Czuł, że to niszczy hart jego ducha znacznie bardziej niż barbarzyńskie zabawy Blankenburga.

Podniósł wzrok znad sterty zwłok i dostrzegł coś niepokojącego.

– Uwaga – odezwał się. – Młody strzela.

Esesmani byli tak zajęci swoją zabawą, że nie zwrócili uwagi na to, iż Polak się odezwał.

Staszek wyglądał na zdezorientowanego, więc Zmitkiewicz szybko wskazał mu jeden

z budynków kawałek dalej. Na kamiennej werandzie stał komendant obozu ze swym górami dziesięcioletnim synem. Z uśmiechem wręczył mu strzelbę z okazałą, drewnianą kolbą, wielkości niemal połowy filigranowego chłopca. Ten komiczny obraz przerodził się w makabryczny żart chwilę później, kiedy komendant zatoczył ręką krąg. Jego gest zdawał się mówić: oto twoje dominium, synu, wybierz i strzelaj. Młodemu nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Przymierzył, a potem zaczął oddawać strzały.

– Jesteśmy bezpieczni – oświadczył półgłosem Obelt, nie zważając na kolejne dźwięki wystrzałów i zabierając się na powrót do kopania. – Upatrzył sobie innych.

Kątem oka Obelt dostrzegł, że Zaniewski kręci głową z niedowierzaniem. Nie mógł mu się dziwić. Choćby spędził tutaj tyle czasu, co on, każdy kolejny dzień przynosił zaskoczenie. Kładąc się spać, człowiek mógł sądzić, że już niczego bardziej barbarzyńskiego nie uświadczy, tymczasem następnego dnia esesmani budzili się z nowymi pomysłami. Okrucieństwu nie było końca. Były tylko nowe metody.

Kapitan patrzył na ludzi, którzy nie mogli uciekać przed kulami chłopaka. Wiedzieli, że do nich mierzy, ale pozostając w bezruchu, mieli jeszcze szansę. Uciekając, pieczętowali swój los. Dwóch zginęło przy tej diabolicznej dziecięcej zabawie.

Obelt skupił się na zasypywaniu grobu anonimowych ofiar.

III

Ad impossibilia nemo obligatur.
– *Nikt nie jest zobowiązany do rzeczy niemożliwych.*
JEDNA Z ZASAD CORPUS IURIS CIVILIS

WYBRZEŻE MORZA CZARNEGO, RUMUNIA, LUTY 1940 ROKU

Gazik Costela podskakiwał na nierównościach, które zdawały się nie kończyć. Broniek miał już serdecznie dosyć zarówno nieustannych wstrząsów na siedzeniu pasażera, jak i głupawego uśmiechu swojego towarzysza. Costel zdawał się nie przejmować stanem rumuńskich dróg i zawieszenia swojego pojazdu.

Jednak nie dlatego Zaniewski zmienił plan podróży.

Zamierzał zrobić to już od jakiegoś czasu, choć nie miał zamiaru informować o tym Balmoșa. Ufał mu, ale istniało ryzyko, że to on miał coś wspólnego z zaginięciem jego towarzyszy. A jeśli tak było, żadne z nich nie wyjdzie dobrze na tym, jeśli Broniek również wpadnie w zastawione sidła.

Uprzejmość tego człowieka była podejrzana, a jego braterskie poklepywanie po plecach przesadzone. Z drugiej strony, kierowca wydawał się poczciwiną. W dodatku nie był specjalnie rozgarnięty, co odpowiadało Bronkowi.

Trochę na migi z użyciem mapy, a trochę łamanym rumuńskim, wytłumaczył mu, że nie zamierza jechać do Jugosławii. Costel oponował, ale w końcu zrozumiał, że dzięki temu długa podróż jego pasażera znacznie się skróci. Będzie miał go z głowy w try miga.

Pojechali na wschód, ku wybrzeżu Morza Czarnego. Po dwóch lub trzech godzinach dotarli do Pitești, miasta położonego w okręgu Arges, gdzie posilili się przed dalszą podróżą. Broniek protestował, chcąc jak najszybciej zabrać się do realizacji założeń swojego planu i nie pozostawać w Rumunii ani chwili dłużej, niż było to niezbędne. Niestety podczas całej podróży na wschód Costel okazał się nieugięty wyłącznie w jednej kwestii – posiłków. Zjadał cztery dniennie i nie sposób było tego przeskoczyć.

Po skonsumowaniu sarmale, mięsa mielonego zawijanego w liście winorośli, ruszyli dalej. Drogami, które były nimi tylko z nazwy, dotarli do Târgoviște, stolicy okręgu Dambovita, i stamtąd udali się do Ploiești. Costel zachwalał tamtejsze wina i domagał się od Bronka deklaracji, iż ten spróbuje i kupi choć jedną butelkę. Zaniewski zbył tę propozycję milczeniem.

Po kilku godzinach – i dwóch posiłkach – przekroczyli Dunaj nieopodal miejscowości Hârşova, a potem zatrzymali się na noc w niewielkiej wiosce. Stąd od celu podróży dzieliło ich już tylko około stu kilometrów.

Następnego dnia Costel wysadził Bronka w Konstancy, największym rumuńskim mieście nad Morzem Czarnym. Zaniewski pożegnał kierowcę, życząc mu szczęścia w życiu, i odetchnął z ulgą, że nie musi dłużej przebywać w towarzystwie tego człowieka.

Liry schował w wewnętrznej kieszeni fufajki, którą otrzymał od Balmoşa, a potem skierował się w stronę portu w południowej części miasta. Dotarwszy na miejsce, zobaczył mnóstwo mniejszych i większych okrętów, których nazw nie potrafił wymówić. Nie kojarzył także niektórych bander. Usiadł na nadbrzeżu i długo obserwował portowe życie.

Chciał robić wrażenie przeciętnego podróżnego, który czeka na okazję, by za drobną opłatą zabrać się na któryś statek. Był gotów szorować pokład i ładować ciężkie skrzynie, byleby się stąd wyrwać. Przypuszczał, że nie będzie z tym problemu.

Dwa dni później uznał, że być może rozsądniej było trzymać się planu Balmoşa. Nie czuł się pewnie z zawiniętym w koce karabinem. Trzymał go nocami pod głową, ale ten nie dawał mu poczucia bezpieczeństwa, budził raczej niepokój. Gdyby ktokolwiek się nim zainteresował, Bronka trafiłby do pierwszego lepszego aresztu.

Chodził od marynarza do marynarza, starając się wytłumaczyć, że jest gotów pomagać na pokładzie w zamian za transport. Używał wszystkich znanych mu języków i raz prawie udało mu się z kapitanem pewnego frachtowca. Ostatecznie jednak zabrano na pokład kogoś innego. Takich jak on było tutaj na pęczki – a część z nich miała już coś wspólnego z morzem. Większość kapitanów nie chciała nawet z nim rozmawiać, nie mówiąc o tym, by zabrać na pokład szcaura ładowego, który do niczego się nie przyda.

Wiedział, że gdyby trzymał się wersji Iona, byłby już pewnie gdzieś w Jugosławii. Mógł jeszcze wyjść na plus, ale musiałyby znaleźć włoskiego marynarza, który byłby gotów zabrać go prosto do swojej ojczyzny.

Trzeciego dnia zaczęło mu burczeć w brzuchu tak okropnie, że miał wrażenie, jakby żołądek zapadł się w sobie. Skończyła mu się już rumuńska waluta – i choć w zanadrzu miał trochę włoskich lirów, postanowił nie wydać ani pół centesima. Siedział na swoim stałym miejscu, obserwując marynarzy. I czekał.

Tracił już nadzieję, gdy rozległ się okrzyk, który dobrze znał.

– Kurwa wasza mać! – wydarł się jakiś mężczyzna.

Zaniewski natychmiast zerwał się na równe nogi. Dźwięk polskiego był jak balsam dla uszu. Szybko zlokalizował, skąd dobiegł, po czym skierował się w tamtą stronę. Zobaczył czterdziestolatka z przeredzonymi włosami, który nie golił się chyba od miesiąca.

– Polacy! – krzyknął Bronka, nie mogąc się powstrzymać.

Z uśmiechem popędził w ich kierunku, ale marynarze najwyraźniej ani go nie zauważyli, ani nie usłyszeli. Ten, który przed momentem zaklął, zdawał się kierować resztą i nie był zadowolony ze swoich współtowarzyszy. Kilkuosobowa grupa uwijała się jak mogła, wciągając po trapie niewielkie ładunki i mocując je na pokładzie.

– Hej! – krzyknął Zaniewski. – Polacy!

Tym razem mężczyzna z brodą obejrzał się przez ramię. Dostrzegłszy biegnącego ku niemu rodaka, uśmiechnął się szeroko.

– A ty coś za jeden? – zapytał.

Bronka był w siódmym niebie. Nie wydawało mu się, naprawdę odnalazł rodaka. Gdy do

niego dopadł, uściśnął mu mocno prawicę, ale brodacz natychmiast przyciągnął go do siebie. Pokleпали się po plecach niczym starzy znajomi.

– Bronek Zaniewski – odparł żołnierz.

– Miło mi. Jorgos Karagiozopoulos.

Bronek był lekko skonsternowany, ale nie zdążył wypytać o nic wilka morskiego, gdyż to on przejął inicjatywę.

– Niezły z ciebie obieżyświat – skwitował Jorgos. – Żeby aż tutaj Polaka przywiało?

– Długa historia.

Karagiozopoulos uśmiechnął się, obnażając pożółkłe zęby.

– Jak skończę z tą bandą nieudaczników, wszystko mi opowiesz – powiedział, a następnie krytycznie otaksował rozmówcę wzrokiem. – Widzę, że łatwego życia to ty nie masz.

Zaniewski rozłożył tylko ręce, a marynarz na moment zwrócił uwagę na swoich kompanów, pokrzykując na nich w nieznanym Bronkowi języku. Raz po raz przeplatał polecenia polskimi przekleństwami. Potem odwrócił się z powrotem do Zaniewskiego.

– Czekasz tu na kogoś? – zapytał.

– Na coś.

– Transport, co?

– Otóż to.

– Właśnie ci się trafił, chłopie. Płyniemy do Patras, jeśli chcesz, znajdzie się miejsce na pokładzie.

– Pewnie – odparł Bronek bez chwili zawahania, a potem przez moment milczał. – A gdzie to jest?

– W zachodniej Grecji.

– Świetnie.

Jorgos Karagiozopoulos roześmiał się, ale zaraz znów zaczął grzmieć na pozostałych żeglarzy. Żywiłowo gestykułował i sprawiał wrażenie, jakby chciał niektórych rozerwać na kawałki własnymi rękoma.

– Widzisz, jakie są te brygady sztauerskie? – zapytał.

Bronek pokręcił głową z dezaprobatą, choć nie miał pojęcia, czym są owe brygady.

– Nie potrafią nawet umocować ładunku na burcie. Zawsze powtarzam, i zapamiętaj to sobie, załoga i przewożone towary są jak rodzice i dzieci. Oddałbyś swoje dzieci do takiego bezmyślnego obmacywania, jak robią to ci debile z portu?

– Absolutnie nie.

– No właśnie. Nie mówię już o tym, że sztauowanie to sztuka. Nie może się do tego brać byle idiota. Wystarczy, że jeden ładunek będzie się ocierał o drugi, i co wtedy?

– Tragedia – odparł Zaniewski, tocząc wzrokiem po kadłubach masywnych statków i grubych linach cumowniczych. Wszędzie było brudno, a smród zdawał się wszechogarniający. W połączeniu z masą odchodów od wszelkiej maści latających zwierząt i pogodą, która nastrojała w najlepszym wypadku samobójczo, port w Konstancy sprawiał raczej nieciekawe wrażenie. Sytuacji nie poprawiał nieustający świergot rybitw, mew czy innych ptaszydeł. W dodatku co rano Zaniewskiego witała ciężka, napawająca niepokojem mgła. Opuścił to miejsce z wielką ulgą, choćby po to, by dostać się do Grecji.

Jorgos ofuknął jednego ze sztauerów.

– Poza tym – podjął przerwany wątek. – Rozmieszczenie ładunku tak, by trzym nie był zbyt duży, to narzędzie do zastępowania balastu wodnego. O ile jesteś dobrym kapitanem. Łapiesz?

– Pewnie – odparł Polak, przyjmując pełen uznania wyraz twarzy. Nie miał bladego pojęcia, o czym mówił Jorgos.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Maria poprawiła chustę, nachylając się nad podłogą. Znała każdą równo przyciętą belkę z ciemnego drewna, które od jakiegoś czasu była zmuszona szorować. Łatwiej byłoby bez nieustannie opadającego, wyblakłego nakrycia głowy, ale służba musiała je nosić.

Oparła się na chropowatej ścierce i szorowała drewno, starając się nie zostawić brudu w żadnej szczelinie. Pod koniec dnia jej wysiłki skrupulatnie oceniano i byłoby lepiej zarówno dla niej, jak i innych dziewczyn, by znaleziono możliwie jak najmniej uchybień.

Wprawdzie kary cielesne stosowane były rzadko, ale nadzorcy mieli dużą inwencję, gdy chodziło o dolegliwości innej maści.

– Mówiłam, więziesz to jak welon, paniusiu – rozległ się nieprzyjemny kobiecy głos.

Maria obróciła głowę i spojrzała na spoconą kobietę z chustą niemal przyklejoną do nalanej twarzy. Masywna Algunde nie zrobiła na niej najlepszego pierwszego wrażenia, gdy Maria dotarła po długiej i wyczerpującej podróży do Lüttendorfu. Odczucie było zresztą obopólne.

Uroda nowo przybyłej w połączeniu z jej pełnym wigoru usposobieniem kontrastowały z topornością Algunde, jej niskim głosem i powolnymi, ociężałymi ruchami. Niemka najwyraźniej poczuła się zagrożona, choć Maria nie miała zamiaru podkopywać jej pozycji w domu.

Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia – liczyło się to, że Polka była obca. To samo zresztą dotyczyło Elisy, która w sferze towarzyskiej zrobiła tu taką samą furorę, jak jej kuzynka. Obie zostały szybko znienawidzone przez resztę i zarówno kucharki, jak i sprzątaczkę chciały pozbyć się ich jak najszybciej.

– Nie myśl tyle, Algunde, bo ci się głowa poci.

– Słucham?

– A tę twoją chustę i tak wypadaloby uprać już miesiąc temu.

– Jak śmiesz...

– A teraz wybac, jestem zajęta – ucieła Polka, szorując podłogę z jeszcze większą siłą.

Była tu od dwóch tygodni i wiedziała, że niechęć służby może pokonać tylko sumiennym wykonywaniem obowiązków. Pół miesiąca temu wrzucono kobiety na pakę ciężarówky, a potem zasunięto plandekę. Jadąc przez Berlin, słyszały miejską wrzawę i młodych chłopaków, nawołujących do kupna najnowszego numeru jednej z gazet. Wysadzono je w okolicach Bambergu, pod okazałym domem, gdzie Maria szorowała teraz podłogi.

Gospodarzem był starszy, chudy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu. Z kamiennym wyrazem twarzy poinformował je, że jeśli spróbują uciekać, zginą.

Potężny budynek miał dwa piętra i poddasze, wykonany był z czerwonej cegły i miał ciemne, masywne okiennice z litego drewna. Sprawiał wrażenie, jakby był niedokończony – część elewacji nie została pomalowana do końca. Otaczał go gęsty las, a miejsce wydawało się oddalone od wszelkiej cywilizacji. Gabriel oznajmił im, że znajdują się w Lüttendorfie, nieopodal Bambergu.

Wnętrza rezydencji zupełnie nie licowały z odludziem. Podłogi pokrywały zadbane, ciemne deski, a wszystkie ciągi komunikacyjne w domu pokryte były okazałymi dywanami. W oknach wisiały grube i ciężkie kotary, tworząc nieco mroczny klimat, który nie pasował do rozlicznych mebli w stylu kolonialnym.

To – i wszystko inne – przez te dwa tygodnie zdążyło Marii zbrzydnąć. Jednak nawet najtrudniejszy w czyszczeniu dywan był niczym w porównaniu z uwagami Algunde.

– Znów się mądrzysz, paniusiu – powiedziała otyła Niemka. – A powinnaś znać swoje miejsce.

– I jakież to miejsce, co?

– Jesteś Żydówką – odparła Algunde, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

– Ach, tak. Powinnam więc leżeć w grobie?

Kobieta nie odpowiedziała. Była nieformalną przełożoną wszystkich służących w domu i mieszkała tu od dobrych dwudziestu lat. Była nieco odpychająca, ale Gabriel i jego żona traktowali ją z sympatią, znacznie lepiej niż resztę.

Niestety nie przekładało się to na to, jak ona traktowała inne służące. Dyrygowała wszystkimi, wprowadzając pruski dryl – i pewnego pechowego dnia natknęła się na opór materii. Chciała urobić młodszą z kobiet, blondynkę, gdy tylko ta przekroczyła próg rezydencji, ale Maria natychmiast wkroczyła do akcji. Powiedziała o jedno czy dwa słowa za dużo i wiedziała już, że będzie miała w Algunde wroga.

Teraz była także świadoma tego, że Niemka przez te wszystkie lata zapewne poznała wiele sposobów, by pozbyć się niechcianych służących. Gabriel zdawał się mieć do niej pełne zaufanie, a stara wydra z pewnością już knuła, jak sprawić, by Maria raz na zawsze znikła.

– Szoruj – bąknęła Algunde.

– Szoruję ze zdwojoną mocą, bo wyobrażam sobie, że ta ściera to ty – odparowała Maria, wałąc pięścią w mokrą ścierkę. – I po prawdzie nie potrzeba do tego wiele wyobraźni.

– Ty przebrzydła, żydowska wywłoko...

Wiedziała, że nie powinna doprowadzać do eskalacji konfliktu, ale nie mogła odmówić sobie tej przyjemności.

– Daj spokój, Algunde – powiedziała do ścierki, trąc teraz delikatniej o podłogę. – Nie bądź zła.

– Pożałujesz tego, suko, pożałujesz...

Maria dopiero teraz uświadomiła sobie, że rozmówczyni poczerwieniała na twarzy i zaczęła głośno sapać, zupełnie jakby miała wybuchnąć. Naraz jednak się uspokoiła, gdyż do pokoju wszedł Gabriel.

Polka natychmiast spoważniała, Algunde natomiast popatrzyła na gospodarza błagalnie.

– Nowa się burzy – oznajmiła. – Nie mam już na nią siły.

– Co masz na myśli?

Gabriel budził w niektórych dziewczynach obawę, ale dla Marii był człowiekiem bezbarwnym. Miał cały czas taki sam wyraz twarzy i przypuszczała, że nawet, gdyby palił mu się dom, obserwowałby to ze spokojem. Nie był to stoicyzm, raczej marazm. Było w tym mężczyźnie coś niepokojącego, ale Polka daleka była od strachu.

– Mówię panu, że takie łachudry nie przynoszą tu nic oprócz kłopotów.

Gabriel podszedł do Marii i przez chwilę przyglądał się jej pracy. Szorowała skrupulatnie, choć najchętniej zamachnęłaby się ścierką i dzieliła go po twarzy.

– Na moje oko jest porządna.

– Ależ Herr...

– Sugerujesz, że moje oko się myli, Algunde? – przerwał jej.

– Oczywiście, że nie, proszę pana.

– Świetnie, świetnie – rzucił na odchodnym, a potem w zamyśleniu udał się do swojego

gabinetu. Jeśli można było mówić o lepszych lub gorszych aspektach pracy tutaj, to sprzątanie tamtego pomieszczenia należało z pewnością do tych drugich. Gabriel był beznadziejnym pedantem i w każdą niedzielę rano, po zakończeniu cotygodniowego gruntownego sprzątanego gabinetu, poświęcał godzinę, by białą chustką sprawdzać, czy nigdzie nie ostał się kurz.

Z dwojga złego Polka wolała szorować podłogi. Momentami można było pozorować pracę i chwilę odpocząć. Gdy drzwi za Gabrielem się zamknęły, podniosła wzrok na Algunde. Ta syknęła coś pod nosem i odeszła.

Po zachodzie słońca Maria i Elisa ułożyły się na niewygodnych, wąskich łózkach w nieogrzewanej przybudówce domu. Od dwóch tygodni nie mogły doprosić się o pościel i spały owinięte kocami.

– Przekłeta łajdaczka – skwitowała pod nosem Polka. – To Algunde odpowiada za przydział pościeli.

Kuzynka sprawiała wrażenie, jakby w ogóle jej nie słyszała. Wbijając nieprzytomny wzrok w sufit, prawie nie mrugając.

– Ja tak nie dam rady, Marie...

– Jutro coś z tym zrobię, a na razie ogrzejemy się nawzajem. Już nie w takich warunkach musieliśmy spędzić noc, że przypomnę ci tę piwnicę w Berlinie.

– Nie chodzi o zimno.

Maria nie miała pojęcia co ma odpowiedzieć. Stroniła od oklepanych, pustych zapewnień, że „wszystko będzie dobrze”, choć nie wiedziała, czy to właśnie nie tego Elisa teraz potrzebuje. Mimo wszystko zdecydowała się na milczenie i pozwoliła, by kuzynka sama odnalazła w sobie wystarczający hart ducha, by przetrwać tę sytuację. Służenie aryjskim panom nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy, ale biorąc pod uwagę nazistowską nawałnicę szalejącą na świecie, Maria potrafiła wyobrazić sobie gorszy scenariusz.

Z przemyśleń wyrwał ją nagle krzyk dochodzący z zewnątrz.

– Leitner! – dał się słyszeć męski głos.

Gdy nikt nie odpowiedział wołającemu, ten kilka razy powtórzył. Polka szybko oceniła, że mężczyzna jest pijany.

– Leitner! Wychoś... wychoś tu... kurwa, do mnie!

Znow odpowiedziała mu cisza. Maria przypuszczała, że mężczyzna odejdzie z kwitkiem. Gabriel Leitner, starszy brat Christiana, nie należał do osób, które lubiły tego typu konfrontacje.

– Wyjdź! – krzyczał uporczywy pijak.

Maria objęła kuzynkę i poprawiła koc.

– Wyjsiesz, abo zajebię kaszdeho w tfoim domu, ty skur... skurwiay gnoju!

Mężczyzna darł się tak w najlepsze przez dobre pół godziny, jednak najwyraźniej słysząc było go tylko w przybudówce. Żaden członek rodziny Leitnerów nie zareagował na te nawoływania.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Wiał zimny wiatr znad Dunaju. Miasto Mauthausen położone było nad jego skutym lodem korytem, a dwa kilometry dalej zorganizowano miejsce kaźni dla wszystkich tych, których Trzecia Rzesza postrzegała jako swoich wrogów.

Staszek zastanawiał się, czy mieszkańcy wiodą zwyczajne, niczym niezmacone życie, czy też może snują się jak cienie ulicami swojego miasta, nie mogąc uwierzyć w to, że za miedzą ludzie masowo umierają. Choć po prawdzie niewiele miało to wspólnego z umieraniem. Umieranie kojarzy się z czymś naturalnym, zwykłą kolejną rzeczą, nieuchronnym końcem. Natomiast

wszystko to, co działo się w Konzentrationslager Mauthausen, było nienaturalne, zwyrodniałe, i stanowiło ostateczną aberrację.

Gdyby nie to, że kapitan Obelt i Czesław Zmitkiewicz roztoczyli nad nim parasol ochronny, zginąłby wiele dni temu. Nie miał pojęcia, jak zdobywać jedzenie, ani tym bardziej – jak wytrzymać morderczy wysiłek i minimalne racje. Wprawdzie przez kilka pierwszych dni radził sobie nie najgorzej, ale brak wiedzy i doświadczenia obozowego sprawiłby, że szybko wrzucono by go do anonimowej mogiły.

Teraz szedł zdecydowanym krokiem wzdłuż jednego z baraków w północnej części obozu. W oddali widział kamieniołomy granitu, gdzie był zmuszony pracować dzień po dniu wraz z więźniami, którzy obudzili się rano żywi. Często było tak, że szczęście trwało krótko. Na porządku dziennym, a właściwie wieczornym, było uporczywe bicie osadzonych przez kapo i Thorbena – choć ten drugi właściwie był jednym z najłagodniejszych esesmanów w obozie. Zazwyczaj nie zabijał bez powodu, podczas gdy reszta strażników nie potrzebowała żadnej wymówki, by zakatować człowieka.

Po wieczornych ciągach – najczęściej wymierzanych przez Jerkera – rano więźniowie nie byli w stanie pracować, a więc spisywano ich na straty. Drugiej szansy nikt tutaj nikomu nie dawał.

Staszek potrząsnął głową, zatrzymując się przy ścianie baraku. Wewnątrz urzędowali niżsi rangą esesmani, najpewniej spędzając czas na rozrywkach, które dla Zaniewskiego wydawały się już czymś zupełnie nierealnym. Nawet zwyczajna gra w karty urosła do miana rzeczy nieosiągalnej. Rzeczywisty świat przerodził się w odległe marzenie, a jego miejsce zajęło wypełnione cierpieniem piekło.

Odczekał chwilę, rozglądając się na wszystkie strony, po czym znów zaczął ostrożnie przesuwać się naprzód. Wiedział, że gdyby ktokolwiek go dostrzegł w tym miejscu, nie zginąłby od razu. Esmani zrobiliby z niego przykład.

Idący przed nim Niemiec znów się zatrzymał, więc Polak natychmiast zrobił to samo. Serce waliło mu jak młotem, nigdy jeszcze nie skradał się w ten sposób. Gra była jednak warta świeczki.

Esesman się zatrzymał, więc misja niemal się skończyła. Zaniewski zamknął oczy i czekał. W końcu Niemiec się oddalił.

Staszek zbliżył się do miejsca, gdzie tamten przystanął, a potem z zadowoleniem stwierdził, że dzisiaj będzie mógł odtrąbić sukces. Pochylił się i podniósł niedopałek, na który polował. Kawałek dalej leżał ogryzek jabłka – to była dobra noc. Zapakował obie rzeczy w ubranie i szybko oddalił się od niebezpiecznego terenu.

Wróciwszy na blok, powitał towarzyszy uśmiechem.

– Co zdobyłeś? – zagał Zmitkiewicz.

– Chyba życie, bo mogłem tam zginąć.

– To zdobywasz z każdą sekundą spędzaną tutaj – zauważył Obelt. – A teraz pokaż fanty.

Staszek odwinął zdobycze tak, by żaden inny więzień nie mógł ich dostrzec. Zmitkiewiczowi oczy zapłonęły, zaś kapitan pokiwał głową z uznaniem.

– W sumie zebrała się połowa papierosa – oznajmił. – Jutro wymienimy to na zupełne. Tymczasem daj ten ogryzek.

Zaniewski usiadł na pryczy Zmitkiewicza, obok Obelta. Ten rozłożył chustkę na sienniku, rozejrzał się kilkakrotnie i wyciągnął niewielki nożyk, dzięki któremu od pewnego czasu mogli dzielić się ze sobą jedzeniem, jakie udało im się znaleźć. Obelt z pietyzmem okrajał ogryzek, by podzielić go na trzy równe części. Potem jeden ze swoich kawałków podsunął Staszekowi.

– Za fatygę – powiedział.

Polacy, nauczeni doświadczeniem, powoli i spokojnie zaczęli przeżuwać ścinki jabłka. Delektowali się każdą chwilą, bo taki rarytas nie trafiał się zbyt często.

Zaniewski nie pamiętał, kiedy ostatnio miał w ustach coś równie dobrego i miękkiego. Wprawdzie serwowano im co pewien czas pół łyżki margaryny lub nawet nieznaczące ilości kaszy, niemniej ostatnio wszystko zdawało się przegniłe. W dodatku ograniczono im porcje, a kilka dni temu prawie przestano karmić. I tak skromne menu ograniczyło się do zupy, którą właściwie można było nazwać wodą z lekkim dodatkiem smakowym.

Gdyby Staszek miał wyżyć tylko na tym, dawno by padł. Szczęśliwie Obelt i Czesław nauczyli go, jak zdobywać jedzenie. W drugim miesiącu potrafił już sobie radzić. Najbezpieczniej było przyciążać się niedaleko kogoś z uprzywilejowanych ludzi – jak Jerker i jego świta homoseksualnych więźniów – w oczekiwaniu na niezdarny ruch przy jedzeniu. Potem trzeba było tylko liczyć na to, że upuszczony kawałek będzie na tyle mały, że się nim nie zainteresują.

Było o to coraz łatwiej, bo coraz więcej takich więźniów się pojawiało. Kodeks karny Rzeszy w artykule sto siedemdziesiątym piątym penalizował homoseksualizm, a Jerker szybko brał nowo przybyłych pod swoje skrzydła. Zresztą i bez tego nie cierpiałby na braki personalne – każdy w obozie wiedział, dzięki czemu może zdobyć trochę jedzenia.

Nie zawsze jednak można było dybać na okruchy. Czasem kapo i ich pomocnicy byli uważni – szczególnie gdy obozowe władze ograniczały przydziały. Wówczas cała nadzieja była w Obelcie. Kapitan zazwyczaj potrafił w resztkach odnaleźć jakąś kość, a potem kruszył ją z pomocą swojego nożyka, by nie połamali sobie zębów przy jedzeniu.

Dzisiejszy ogryzek jabłka był dla nich prawdziwym darem od losu. Wcześniej na obiad jedli obierki z ziemniaków, a w dodatku podzielili się nimi z jednym z nowo przybyłych, młodym Alanem Zorychtą.

Chłopak przyjechał kilka dni temu wraz z dużą grupą więźniów i nieomal stracił życie na schodach. Schodach składających się dokładnie ze stu osiemdziesięciu sześciu stopni i ciągnących się przez trzydzieści jeden metrów w górę.

Siedemnastoletni Alan Zorychta pochodził z Gorlic i mimo że udało mu się przeżyć „schody śmierci”, kiedy wreszcie przekroczył obozową bramę, wyglądał na jednego z tych, którzy szybko zginą.

Staszek wypatrzył go, a potem wskazał towarzyszom. Zmitkiewicz i Obelt zgromili Zaniewskiego wzrokiem, dobitnie sugerując, że nie ma mowy o jakiegokolwiek pomocy. Albo on, albo my, argumentowali – i Staszek musiał przyznać, że najpewniej mają rację. Mimo to Zorychta szybko zorientował się w obozowej hierarchii i starał się przylgnąć do Polaków.

Zagadywał, kiedy tylko miał okazję, a Zaniewski nie potrafił go zignorować. W drugim dniu po przybyciu chłopak odstąpił mu nawet swój przydział marmolady, co było najgorszym wyjściem z możliwych. Staszek odrzucił prezent, ale był to jasny sygnał dla pozostałych, że Alan jest w stanie zrobić wszystko, by otrzymać protekcję.

W takiej sytuacji Obelt podjął decyzję, by chłopakowi pomóc. Następnego dnia skinęli na niego, by usiadł z nimi przy stole. Skubali obierki, zadowoleni, że mają cokolwiek na talerzach, gdy za plecami kapitana stanął Jerker.

– Gówno byście zżarli, jak bym wam dał – odezwał się.

Żaden z nich nie odpowiedział. Nie chcieli prowokować bestii. Kapo podszedł do Staszka, przyglądał mu się przez chwilę, po czym zwrócił uwagę na chłopaka przy stole.

– Ty – powiedział. – Zapowiadałeś się całkiem nieźle. Tymczasem skończyłeś tu z gównojadami.

Zorychta spojrział na niego i poprawnie się uśmiechnął.

– Co to w ogóle, kurwa, jest? – zapytał Niemiec, podnosząc obierek.

– Jedzenie – odparł Zorychta.

Jerker zaśmiał się pod nosem, a potem położył dłoń na plecach młodego i pochylił się nad nim.

– Smakuje ci? – zapytał.

– Tak.

– Mam coś, co bardziej ci posmakuje.

– Nie, dziękuję.

Alan spojrział na Obelta w poszukiwaniu pomocy. Oficer jednak skupiał się na swoim daniu, podobnie jak reszta więźniów. Kapo wyprostował się, a potem przyłgnął przyrodzeniem do ramienia chłopaka.

– Posmakuje ci – powiedział.

Chłopak milczał, a Staszek nerwowo się poruszył. Natychmiast jednak dostrzegł karcący wzrok kapitana. Przypuszczał, że jego ręce świerzbiją jeszcze bardziej, ale wystarczyło podnieść wzrok, by przypieczętować swój los.

– Widzę, że rozważasz propozycję – dodał Jerker.

– Nie.

– Mam całą kiełbasę. Dosyć dużą. Chodź, podzielę się z tobą.

Zaniewski uświadomił sobie, że kapo toczy wzrokiem po reszcie. Najwyraźniej w tym przedstawieniu chodziło także o to, by któryś z nich zaprotestował. Z pewnością Jerker liczył, że będzie to Obelt. Tajemniczy mężczyzna z blizną na twarzy podważał jego pozycję na bloku i budził respekt, który kapo chciał mieć na wyłączność. Szukał okazji, by pokazać, kto tak naprawdę tutaj rządzi – a chłopak znalazł się pośrodku tego konfliktu.

– Jestem najedzony – odparł niepewnie Zorychta.

– Zgłodniejesz, jak pójdziesz zapierdalać w kamieniołomach.

– Ale ja...

– Tak, tak – uciął Jerker. – Byłeś w innej grupie roboczej. Byłeś. Od dzisiaj będziesz przewalać najcięższe głazy. Jasne?

Alan spojrział na rozmówcę. Ten wyszczerzył się, a potem ponownie nachylił się i wyszeptał mu coś na ucho. Staszek znów miał ochotę zainterweniować, zacisnął jednak usta i wbił wzrok w talerz.

Po chwili dostrzegł, że Zorychta wstaje. Zaklął w duchu, gdy chłopak ruszył za Niemcem w kierunku kuchni.

– No to już po nim – powiedział Czesław, odprowadzając go wzrokiem.

– Może nie – zaoponował Staszek. – Mnie też tak prowadził.

– Byłeś wyjątkiem, Zaniewski. Tutaj mało kto odmawia dobremu jedzeniu. Tym bardziej że na początku jest różowo. Zgadzasz się i dostajesz żarcie, nic nie musisz robić... nic, oprócz złożenia obietnicy, że dasz się kiedyś wydupczyć albo wydymać w usta. Trudno odmówić kiełbasie, jeśli jedyne, co musisz zrobić, to złożyć deklarację. Jakkolwiek poniżającą. Potem jednak Jerker doprosi się o swoje.

Obelt nie zabierał głosu. W milczeniu skończył posiłek, a potem wstał i się oddalił.

– Lepiej zapomnieć o chłopaku – odezwał się Zmitkiewicz. – Nie wyciągniemy go już z tego.

Po kilku godzinach pchania tacek z wapniem z jednej strony kamieniołomów na drugą przyszedł czas na wieczorny apel. Jak co dzień więźniowie katowani byli niekończącym się ściąganiem i zakładaniem więziennych czapek. Tym razem jednak uwięzieniem tego upiornego zajęcia, które śniło się Staszкови po nocach, była inna, równie lubiana przez esesmanów zabawa.

Miał tylko nadzieję, że nie padnie na niego ani żadnego z jego towarzyszy. Nadzieja szybko okazała się płonna. Usłyszał za plecami głos Jerkera, a potem poczuł uderzenie w okolicach lędźwi.

Znał ten sygnał. Oznaczał, że więzień został wybrany do zabiegu skoku.

– Ty też – dodał Jerker, uderzając Zmitkiewicza.

Staszek i Czesław wyszli przed szereg i przeszli na główną obozową drogę. Po lewej stronie znajdowały się baraki mieszczące kuchnię, pralnię i obozowe więzienie. Po prawej blok pierwszy, szósty i jedenasty. Gdy Niemcy ustawili między nimi więźniów, zapanował ogólny entuzjazm. Strażnicy uwielbiali zabiegi skoki.

OKOŁO 40 MIL MORSKICH OD WYBRZEŻA TURCJI, MORZE CZARNE, LUTY 1940 ROKU

Od kiedy „Aigokeros” opuścił port, miarowe kołysanie stało się zmorą Bronka. Wszystkie spożyte ostatnio ryby zdawały się robić wszystko, by opuścić żołądek tą samą drogą, którą tam trafiły.

Zaniewski nigdy wcześniej nie postawił nogi na pokładzie statku, stąd nie miał zielonego pojęcia, że cierpi na chorobę morską. Już po zostawieniu w tyle Konstancy, ale jeszcze przed wyjściem w otwarte morze, poczuł dziwne otepienie. Niedługo potem ogarnęła go fala zmęczenia, po której nastąpiły zawroty głowy i wszechogarniające uczucie gorąca. Uwięzieniem całego tego procesu były nudności i wymioty.

Wszystko to działo się przy akompaniamencie śmiechów załogi, zgryźliwych uwag i wykładaniu mądrości na temat szczerów lądowych przez kapitana statku, Jorgosa Karagiozopoulosa. W efekcie Bronka musiał spędzać większość czasu na pokładzie, gdyż nawet krótkotrwała wizyta pod nim kończyła się opłakaniem.

Na świeżym powietrzu było lepiej. Ale tylko trochę.

Bronka przechylił się przez sterburtę i wrzucił do morskiej otchłani już nie resztki jedzenia, ale wyłącznie wydzieliny ze swojej wątroby. Potem wyprostował się i otarł usta, dostrzegając, że zbliża się do niego nieustannie rozbawiony Karagiozopoulos.

– Nie rozumiem, co w tym dla was satysfakcjonującego – powiedział słabo Zaniewski.

– Obstawiamy, czy wyrzygasz jakiś organ.

– Bardzo zabawne.

Kapitan poklepał go po plecach i stanął przy burcie.

– Ustaw się tak, żeby widzieć, jak statek kołysze się na boki – poradził w przypiływie dobrej woli.

Zaniewski rozejrzył się niepewnie. Marynarz wskazał na miejsce tuż przed niewielką nadbudówką, znajdującą się w centralnym miejscu „Aigokerosa”.

– Masz *naftía*, bo twoje zmysły wariują. Mózg rejestruje, że się kołyszysz, a oczy tego nie widzą. Dlatego najgorzej jest pod pokładem.

– *Naftía*, mówisz... – odparł machinalnie Bronka, tłumiąc odruch wymiotny. Słowa kapitana statku zlewały się z wszechobecnym szumem morza i głośnymi okrzykami załogi.

– Choroba morską. Jakoś grecki termin bardziej mi odpowiada.

– Do mnie żaden nie przemawia.

Jorgos zaśmiał się pod nosem, a potem wskazał przed siebie.

– Wbij wzrok w horyzont i stój tak, żeby widzieć sterburkę i bakburkę. To półśrodek, ale za dwa dni wszystko będzie w porządku.

Bronek pokiwał głową i od razu tego pożałował, bo poczuł napływającą falę gorąca. Wychylił się za burkę i zwymiotował, czym wzbudził głośne wiwaty członków załogi.

– Żartowałem z tym wyrzycaniem organów – odezwał się Karagiozopoulos. – Zakładamy się o to, ile razy będziesz jeszcze rozmawiał z Posejdonem.

Zaniewski spędził już na „Aigokerosie” wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że to nie drwina. Marynarze nie mieli tu wielu rozrywek – obstawianie, jak długo szczur lądowy będzie jeszcze się męczył, z pewnością stanowiło dobre urozmaicenie codziennej rutyny.

– Na ile postawiłeś? – spytał Broniek, kiedy oderwał się od burty i głośno westchnął.

– Trzydzieści.

Zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze. Kapitan statku wiedział, czego się spodziewać. Od kilkudziesięciu lat pływał na takich krypach.

– I ktoś naprawdę to liczy? – zapytał Polak.

Jorgos ze spokojem wskazał na młodego członka załogi, który niespiesznie szorował pokład, ukradkowo spoglądając na Bronka.

– Uważaj tylko, żeby nie wywalać kwasów żołądkowych na poszycie – przestrzegł Jorgos, stukając o burkę. – Poczujęm się osobiście dotknięty.

„Aigokeros”, grecki węglowiec pod dowództwem Jorgosa Karagiozopoulosa, był źródłem dumy i obiektem miłości swojego kapitana. Dbał on o łajbę, przy każdej okazji czyszcząc grecki napis „ΑΙΓΟΚΕΡΟΣ” na burcie i doglądając, by jednostka prezentowała się odpowiednio w porcie.

„Aigokeros” miał około stu dwudziestu metrów długości oraz siedemnastu szerokości, jego ładowność wynosiła nieco ponad dziewięć ton, a parowy silnik tłokowy opalany węglem o mocy dwóch tysięcy trzystu koni mechanicznych pozwalał rozpędzić statek do prędkości dziesięciu węzłów. Jorgos utrzymywał nawet, iż płynąc kiedyś niedaleko wybrzeża Syrii, zdołał dobić do jedenastu. Maksymalny zasięg „Aigokerosa”, zwodowanego w porcie w Pireusie w 1929 roku, wynosił około czterech tysięcy kilometrów, przy utrzymaniu prędkości maksymalnej. Krypa dysponowała raptem dwoma miejscami pasażerskimi, z czego jedna kajuta została przydzielona Bronkowi. Zanim to się stało, trzeba było pobieżnie ją sprzątnąć – wszystkie gnijące i śmierdzące rzeczy zostały przeniesione do drugiego wolnego pomieszczenia.

Zaniewski nie narzekał na zakwaterowanie. Biło na łeb spanie w zaśniewionym lesie czy w rumuńskim obozie. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie przekłeta *naftía*.

Skorzystał z rady kapitana i zajął miejsce przed nadbudówką, w której znajdował się mostek. Wbił wzrok przed siebie, jednocześnie starając się być cały czas świadomym kołysania.

– Potrzebujesz jakiejś roli na statku – odezwał się Jorgos, wychylając się z niewielkiej konstrukcji. – Nie możesz tak cały czas rzygać, musisz się do czegoś przydać.

– Mhm.

– Inaczej załoga niedługo wywali cię za burkę.

– Chętnie się czymś zajmę, Jorgos. Ale co ja tutaj mogę robić?

Kapitan przez moment się zastanawiał.

– Jak dojdziemy do portu w Çanakkale, będziesz bunkrował ładunki.

– Niech będzie.

– A na razie, jeśli skończyłeś rozmowy z Posejdonem, możesz zostać tymczasowym parzygnatem.

– Kim?

– Kucharzem, na litość boską. O ile umiesz gotować.

– Niespecjalnie.

– Więc możesz być stewardem – odbąknął Karagiozopoulos. – Będziesz podawał posiłki załodze.

Na myśl o spędzaniu czasu w kuchni i w stołówce zrobiło mu się słabo. Jorgos przewrócił oczami.

– Wolisz kundlować w jakimś porcie, to zaraz cię wysadzimy – powiedział.

– Dobra, dobra.

– No to świetnie, zawijaj się do mesy – zarządził kapitan. – I pamiętaj, że wachta kuchenna wstaje o piątej, żeby zrobić śniadanie.

Nie mając innego wyjścia, Zaniewski chwiejnym krokiem skierował się na dolny pokład. Przypuszczał, że jak tylko marynarze zobaczą jego pobladłą twarz, natychmiast każą mu wrócić na górę – szybko przekonał się jednak, że był w błędzie. Nic nie rozumiał po grecku, ale i bez tego wiedział, że mają przedni ubaw z tego, że Broniek może nahaftować im do jedzenia.

Jakiś czas później „Aigokeros” zwolnił, by przemierzyć cieśninę Bosfor, łączącą Morze Czarne z morzem Marmara i oddzielającą Europę od Azji. Zaniewski robił, co mógł, by podczas wykonywania prac w mesie powstrzymać odruch wymiotny. Żarty żartami, ale na widok rzygowin na podłodze żeglarzom mogłoby nie być do śmiechu. Tylko raz musiał udać się do kingstona, jak żeglarze nazywali toaletę.

Polak był właśnie w kambuzie, odbierał od parzygnata talerze, gdy rozległo się wołanie kapitana.

– Broniek! – powtórzył Karagiozopoulos.

Zaniewski szybko przeszedł do mesy i rozejrzał się. Nagle zapanował tu niecodzienny spokój. Nigdzie nie dostrzegł Jorgosa, ale marynarze wskazali mu wyjście na pokład. Po chwili ciszę na powrót zastąpił gwar.

Załoga szanowała swojego kapitana, być może do przesady. Nie odnosili się do niego po imieniu, nazwisku czy nawet sprawowanej funkcji. Mówili o nim wyłącznie w jeden sposób – „Pierwszy po Bogu”.

Zaniewski ruszył w górę po zejściówce.

– Chodź na dek – ponaglił go Jorgos. – Zobaczysz Konstantinoupoli.

Zająwszy miejsce obok kapitana na sterburcie, Broniek powiódł wzrokiem po lądzie. Przed nimi rozpościerały się niemal całkowicie zalesione wzgórza, z których w kilku miejscach próbowały przebić się czerwone dachy domów.

– Stambuł, nie Konstantynopol.

– Że co takiego? – spytał Jorgos, nie odrywając wzroku od miasta.

Po chwili, przy samym brzegu zatoki Złoty Róg, ukazał się ich oczom strzelisty minaret. Tuż obok znajdowała się biała kopuła – i oba te budynki stanowiły tutejszy meczet. Naraz rozległo się przeciągłe wycie. Krzyczący mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby ćwiartowano go żywcem i Polak zrozumiał, że nadaje z wieży.

– Co to jest, do cholery? – spytał Broniek.

– Muezin. Pięć razy dziennie nawołuje do modlitwy, na wszystkie strony świata, wykrzykując adhan.

– I po co się tak drze? Ludzie chyba wiedzą, kiedy przyjść na modlitwę.

– Wy macie swoje wielkie dzwony kościelne, oni to. Teraz woła pewnie na asr, trzecią modlitwę.

Bronek popatrzył na Karagiozopoulosa ze zdziwieniem, ale szybko zapomniał o dziwnych praktykach w tych odległych stronach. Skupił całą uwagę na Stambule. Miasto sprawiało doprawdy magiczne wrażenie – rozciągało się na ogromnym terenie, po obu stronach cieśniny Bosfor. Zaniewskiemu wydawało się, że zabudowa ciągnie się bez końca.

– Coś się tak zjeżył, chłopie?

– Nie wiedziałem, że cokolwiek wiesz o islamie.

– Się pływa, się słyszy, się łapie. O, słuchaj, słuchaj. Teraz woła, że modlitwa jest lepsza od snu – powiedział Jorgos.

Zaniewski starał się wsłuchać, ale nawoływanie zlewało się w jeden przeciągły, charczący dźwięk. Towarzyszył im, kiedy przepływali przez cieśninę. Przed sobą „Aigokeros” miał morze Marmara, ale Bronka najbardziej interesowało to, co było po bokach.

Karagiozopoulos musiał dostrzec zainteresowanie Polaka, bo wskazał mu okazały budynek po lewej burcie.

– Dworzec Haydarpaşa – powiedział. – Koniec trasy dla wszystkich, którzy podróżują koleją z Europy do Azji. Postawiono go w 1872 roku, jeszcze za czasów Imperium Ottomańskiego.

Bronek pokiwał głową, konstatuując, że kapitan tej kropy musi mieć całkiem ciekawe życie. Ten wskazał na drugą stronę miasta.

– Błękitny Meczet – powiedział. – Wybudowany na planie kwadratu o powierzchni około dwóch i pół tysiąca metrów kwadratowych. Mają rozmach, co?

– Z pewnością.

– Ta masywna kopuła pośrodku ma średnicę ponad dwudziestu metrów.

Zaniewskiego niespecjalnie to interesowało, ale jeszcze raz skinął głową z uznaniem. Kopułę otaczało wiele mniejszych, a całość okalały minarety – wszystko robiło monumentalne wrażenie, Bronka wolałby jednak zobaczyć trochę tutejszego życia, nie architektury.

– Powinieneś przekonać się, jak to wygląda od środka – powiedział kapitan „Aigokerosa”.

– Może kiedyś – odparł Zaniewski, a następnie ostatni raz objął wzrokiem panoramę Stambułu i wrócił pod pokład, by dopełnić swoich kuchennych obowiązków.

Choć tego dnia odpowiedzialny był jedynie za obieranie ziemniaków, skupiła się na nim cała krytyka dobywająca się z greckich gardeł i dotycząca jakości posiłków. Przycichła dopiero, gdy kapitan wszedł do mesy i zajął miejsce obok Bronka. Rozejrzał się wokół z dezaprobatą i ponaglił jednego ze stewardów, by podał mu jedzenie.

– Nie mają co robić, to psioczą na żarcie i parzygnatów – bąknął. – Pierdoleni galernicy.

Bronka postanowił milczeć, poświęcając całą uwagę swojemu plackowi z dżemem.

– Albo rozprawiają godzinami o kucharach, albo o wojnie – kontynuował Jorgos.

Zaniewski już od pewnego czasu zamierzał poruszyć ten temat, ale nie wiedział, jaki status zachowuje Grecja. Mogło się okazać, że płynie pod banderą sojusznika Rzeszy.

– Nie wiem, co gorsze – dodał Karagiozopoulos. – A ciebie nie ciekawi, co na froncie?

– Ciekawi.

– O nic nie pytasz. A pacyfista z ciebie żaden, sądząc po tym karabinie zawiniętym w koce.

Bronka nie ukrywał, co nosi na plecach. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli zagra z kapitanem w otwarte karty. I być może tak samo powinien postąpić przy rozmowach o światowym konflikcie.

– Podczas podróży tutaj nauczyłem się, że takie pytania nie zawsze prowadzą do dobrego finału – zauważył.

– No tak. A tu nie masz gdzie spieprzać w razie czego.

– Otóż to.

Jorgos westchnął, a potem uniósł uspokajająco dłonie.

– Nie wiem, na ile jesteś na bieżąco, chłopie, ale Rosjanie nadal tłuką się z Finami. W Wielkiej Brytanii i Belgii ogłosili powszechną mobilizację.

Zaniewski na moment się zamyślił.

– Więc Europa naprawdę szykuje się do wojny.

– Spozregawczy z ciebie człek – odparł Karagiozopoulos, wpychając placek do ust. – Ale na morzu spokój, co mi przypomina, że czas się sklarować. Przyjdź do mojej kajuty po jedzeniu.

– Tak jest – odpowiedział z uśmiechem Broniek. Nie znał żargonu marynarskiego, ale wyrażenie „sklarować się” mogło mieć tylko jedno znaczenie.

I rzeczywiście miało. Tego wieczora do swojej kajuty wracał chwiejnym krokiem. W pomieszczeniu na rufie panowały zaduch i wilgoć. Zaniewski ułożył się na koi i wiercił przez jakiś czas. Wciąż miał wrażenie, że jeśli tylko zmrzy oczy, spadnie z łóżka przy pierwszym przechyle okrętu. Tej nocy jednak zasnął stosunkowo szybko.

Wstał przed piątą, by o pełnej godzinie stawić się w kambuzie i pomagać kukom w przygotowaniu porannego posiłku dla załogi.

Kiedy skończył, wyszedł na pokład i oddał poranny hołd Posejdonowi. Wbił wzrok w horyzont. Nie widział w oddali żadnego lądu, jedynie bezkres spienionych wód. Po chwili udało mu się dojrzeć zarys statku, który pojawił się w oddali. Kierował się w stronę „Aigokerosa”.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

– Wychodź, Gabriel! – ryczał mężczyzna stojący pod domem. – Wiem, że chowasz tam Żydów!

Gabriel Leitner siedział niewzruszony w swoim gabinecie, kończąc ekspertyzę prawną związaną z aborcją w Trzeciej Rzeszy. Za dwa tygodnie miał na jej podstawie wygłosić przemówienie na forum Akademii Prawa Niemieckiego, której przewodził Hans Frank. Referat nosił tytuł „Wprowadzenie kary śmierci za przestępstwo aborcji w świetle ekspansji terytorialnej Rzeszy Wielkoniemieckiej”.

Praca nad tekstem stanowiła miłą odmianę. Niegdyś Gabriel był uznanym w Rzeszy praktykiem, prowadzącym kancelarię we Frankfurcie nad Menem. Od pewnego czasu jednak zamierzał poświęcić się karierze naukowej. By to osiągnąć, dwa lata temu sprzedał kancelarię i poprosił brata, by mógł na jakiś czas zamieszkać w wybudowanym przez niego domu w Lüttendorfie. Christian przystał na to ochoczo, twierdząc, że Johanna i Maximilian i tak nie chcą tam przebywać. Uparli się, by pozostać w mieście dopóty, dopóki Christian nie wróci z frontu.

Początkowo Gabriel doskonale ich rozumiał. Rezydencja była duża, służba składała się niemal w całości ze starej Algunde, a w okolicy nie było niczego ciekawego. Idealne miejsce do pisania opracowań prawnych, ale niekoniecznie do życia.

– Widziałem ich! – krzykacz znów się odezwał. – Wiem, że tam są!

Gabriel wprowadził się, gdy część wewnątrz była jeszcze w stanie surowym. Szybko skorzystał z pozycji brata w Wehrmachcie – a później SS – i zawnioskował o przydział ludzi z podbitych

terenów. Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewał. Ręk do pracy na wschodzie było w bród, ale problem pojawił się w samym domu i był dwugłową hydrą. Składał się z Algunde i Heleny – żony Gabriela, która przeganiała stąd wszystkie co urodziwsze Polki, obawiając się, że Gabriel prędzej czy później sobie pofolguje.

– Syjoński psie!

Christian wiedział, że wszystkie kandydatki w końcu są odrzucane, więc jego brata zdziwiło, że sam wyszedł z propozycją, by przyjęli dwie kolejne dziewczyny. Zaznaczył, że jedna jest Żydówką, ale świetnie mówi po niemiecku i jest niezwykle obrotna. Druga miała być Francuzką, kaleczącą niemiecki, ale pracowitą.

Gospodarz nie miał wyjścia. Gdyby nie to, że dobrze znał swojego brata, przypuszczałyby, że zrobił jednej i drugiej bękarty, i teraz chce je ukryć. Christian jednak był wzorowym mężem. Gabriel nigdy nie słyszał, by choć popatrzył na inną kobietę poza swoją żoną.

– Kundlu izraelicki!

Starszemu z braci nie przeszkadzało, że w jednej z dziewczyn płynie żydowska krew. Spodziewał się zresztą, że nikt nigdy się o tym nie dowie. Wbrew temu, co głosiło Ministerstwo Propagandy, większość tych ludzi wizualnie nie różniła się od innych Niemców. Tym razem jednak coś musiało zdradzić dziewczynę. Wieść rozeszła się po okolicznych domostwach lotem błyskawicy, ostatecznie docierając do samej wioski.

Część mieszkańców nigdy nie widziała na własne oczy Żyda, za to nasłuchiwała się wiele na jego temat podczas przemówień Führera. W pewnym momencie Gabriel zaczął obawiać się, że przypuszczą szturm na jego dom. Ostatecznie jednak tylko jeden z nich postanowił działać.

– Leitner! Umyj się z żydowskich szczochów i wyjdź do mnie!

Heinrich Sperling był lokalnym bohaterem z czasów Wielkiej Wojny. Walczył dzielnie w imieniu Cesarstwa Niemieckiego i otrzymał między innymi Krzyż Żelazny pierwszej klasy, który nosił dumnie na piersi, nawet gdyby wychodził do piekarza. Był zgorzkniały, bo z jakichś przyczyn nie mógł ruszyć wraz z Wehrmachtem na kolejną wojnę. Znalazł jednak sposób, by prowadzić bitwę na miejscu.

Gospodarz zaprosił go jakiś czas temu, by załagodzić sytuację, ale spotkanie szybko przerodziło się w towarzyską tragedię. Sperling opuścił dom, złorzecząc Leitnerom i grożąc zawiadomieniem Gestapo. Gabriel nie wiedział, czy to zrobił – jeśli tak, Christian zapewne załatwił sprawę, bo żadni funkcjonariusze się nie pojawili.

– Czekam! – ryknął. – Dawaj tu tę Żydówkę!

Tym razem Heinrich nie poprzestał na krzykach. Ledwo jego głos zabrzmiał, a w kierunku okna pofrunął kamień. Rozbił szkło w drobny mak i spadł na podłogę w gabinecie Gabriela. Ten odruchowo się zasłonił, ale odłamki go nie sięgnęły.

Nie spodziewał się, że do tego dojdzie. Sięgnął do szuflady i wyciągnął pistolet, który niechętnie przyjął jako prezent od młodszego brata. Podszedł do okna i wychylił się z bronią.

– Widzisz to, Heinrich? – zapytał.

– Co? Grozisz bohaterowi?

– Grozę żalosnemu pijaczynie. Odejdź!

Gospodarz nie miał zamiaru strzelać, ale kiedy Sperling ani drgnął, pociągnął za spust. Rozległ się huk, a kula pomknęła w zupełnie inne miejsce. Efekt był jednak zadowalający. Weteran natychmiast odskoczył w tył, a potem obrócił się i popędził przed siebie. Resztę nocy Gabriel mógł spędzić w spokoju, choć przypuszczał, że Heinrich nie spocznie, póki nie dorwie Żydówki.

Rankiem Maria obudziła się zupełnie przemarznięta. Elisa trzęsa się obok niej, energicznie pocierając dłonie.

– Marie – odezwała się. – Słyszałaś te odgłosy w nocy?

– Odgłosy?

– Wystrzały. To znaczy jeden. Wydaje mi się, że ktoś strzelał.

Polka przeciągnęła się i natychmiast pożałowała, bo zsunął się z niej koc i poczuła przejmujące zimno. Szybko na powrót się opatulila.

– Słyszałam tylko krzyki, potem zasnęłam jak kamień.

– Może mi się przyśniło.

– Najpewniej – odparła Maria, ściągając mocniej poły koca.

Po chwili przekonała się, że jest już dość późno. Każdego innego dnia tygodnia oznaczałoby to, że spóźniły się do kuchni, ale w sobotę gospodarz wstawał później.

– Chodź – powiedziała, niechętnie się podnosząc. – Dochodzi ósma. Zaraz będzie raban, że nas nie ma.

W niedzielę i pozostałe dni tygodnia musiały o szóstej stawić się umyte, ubrane i z chustami na głowach. Zazwyczaj nie miały wielu obowiązków, ponieważ Algunde czuła się osobiście odpowiedzialna za przygotowanie posiłku. Maria i Elisa na przemian parzyły kawę lub herbatę, obierały jajka ze skorupki czy kroїły chleb. Wszystko inne robiła stara Niemra, czasem w towarzystwie swojej protegowanej, trzydziestotrzyletniej Käthe Müller-Bard. Młodsza z kobiet miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt i była przeraźliwie chuda. Stanowiły ciekawy duet, który Maria raz określiła jako „pies i rzep na jego ogonie”. Käthe bez dwóch zdań była pragmatyczna – podlizywała się starej i robiła wszystko, by nie stracić jej sympatii. Dzięki temu reszta służby musiała się liczyć także z nią.

Podczas gdy Leitnerowie spożywali śniadanie, Maria mogła skorzystać z godziny lub dwóch wolnego – w zależności od kaprysu pani domu, Heleny. Jakiś czas temu udało jej się wynegocjować z Gabrielem ołówek i plik pożółkłych kartek, dzięki czemu teraz spędzała ten czas na pisaniu listów.

Adresowała je do Staszka, czując, że powinna to zrobić. Nie sądziła, by kiedykolwiek mógł je przeczytać, ale działały na nią uspokajająco. Czasem czuła się niemalże tak, jakby z nim rozmawiała.

Wielokrotnie w listach zastanawiała się i pytała o to, gdzie się teraz znajduje i co się z nim dzieje. Przeklinała Christiana Leitnera, który ich wszystkich zdradził, wysyłając swojego najbliższego przyjaciela w zaświaty, a ją wraz z Elisą na uwłaczającą służbę Niemcom.

Dzisiaj miała już resztki ołówka. Wypisywała nim niewielkie literki na samym końcu jednej z ostatnich kartek.

„Barani łbie,

to już tradycja, że po śniadaniu biorę ołówek i skrobę. Jeśli kiedykolwiek dostaniesz te listy, nie mam wątpliwości, że ich nie rozszyfrujesz. Miejsce mi się kończy, a z każdym dniem mam Ci coraz więcej do powiedzenia, więc poprawy się nie spodziewaj.

Elisa trzyma się nie najlepiej, ale się trzyma. Czasem trudno mi uwierzyć, że jeszcze niedawno szliśmy z nią, zupełnie niewinną i beztroską, po ulicach Metz. Nie wiem, kiedy ostatnio widziałam na jej twarzy uśmiech, i zaczynam się obawiać, że już go nie zobaczę.

Ja jakoś znoszę służbę sakramenckim szkopom, ale ona, wychowana w domu francuskich

arystokratów, nie może poradzić sobie z pewnymi sytuacjami. Gruba flądra Algunde uwzięła się na nas, pisałam Ci o tym. Nie lepiej jest z bratową Leitnera. Helena nieustannie nas kontroluje i wrzeszczy, że jeśli nie będziemy dokładnie sprzątać, poleci utopić nas w jeziorze nieopodał. Najgorzej jest ze sprzątaniami wychodka, bo pod okiem Heleny czy Algunde zmienia się to w jeszcze bardziej uwłaczającą czynność, niż mógłbyś sądzić.

Na noc zamykają wszystkie okna i drzwi, ale na dobrą sprawę mogłybyśmy się wymknąć. Tylko dokąd? Kiedy patrzę na Elisę, widzę, że nie wytrzyma długo bez wikt i opierunku, który tu jej zapewniają. Wiem, że znajdujemy się gdzieś w okolicach Bambergu, na północ od Norymbergi, ale trudno powiedzieć gdzie dokładnie. Mamy pewnie kilkaset kilometrów do jakiegokolwiek granicy. To samo serce Rzeszy, a na granicy francuskiej podobno jest teraz gorąco. Myślałam o neutralnej Szwajcarii, ale bez pieniędzy, ubrań i zapasów wydaje się to samobójczą podróżą. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś stało się Elisie.

Mam nadzieję, że Tobie udało się znaleźć bezpieczne miejsce i myślisz o mnie równie często, jak ja o Tobie. Wspominam, jak siedzieliśmy w „Café Adria” z tym Twoim znajomym z Paryża, jak on się nazywał? Pierre? Albo Jacques? Nie wiem, ale pamiętam bardzo dobrze, jak się nudziłam, kiedy rozprawialiście o medycznych sprawach po francusku. Teraz oddałabym wszystko, żeby siedzieć w Warszawie i z nudów palić jednego egipskiego za drugim, dmuchając Ci Twoim ulubionym, perfumowanym dymem prosto w twarz”.

Maria odłożyła ogryzek ołówka, słysząc kroki. Ciężki dźwięk zwiastował nadejście łachudry.

– Paniusiu, zbieraj dupsko – odezwała się Algunde.

Polka spojrzała na zegar i ściągnęła brwi.

– O co chodzi? – zapytała. – Jest dopiero...

– Poczekaj no! – wpadła jej w słowo Niemka. – Zaraz powiem panu Leitnerowi, jak to cholerna polska Żydówka nie wywiązuje się ze swoich obowiązków!

Maria westchnęła i spojrzała na siedzącą obok Elisę. Dziewczyna podniosła się jak na komendę, patrząc przed siebie nieprzytomnie. Polka również się podniosła, nie było sensu kłócić się z wywłoką.

– Macie się wypucować, byle dokładnie – poleciła. – A potem stawić w holu.

– Po co?

– Po to, żebym was nie wywaliła na zbity pysk!

Z jej ust poleciało kilka kropel śliny, co było wystarczającym powodem, by skończyć dyskusję. Maria i Elisa skierowały się do drugiego pomieszczenia, gdzie stała blaszana wanna. Tu i ówdzie przeciekała, miała chropowaty materiał, ale służba doceniała, że Leitnerowie w ogóle postawili tu jakiegokolwiek urządzenie sanitarne. Niewątpliwie przeważała pedantyczna natura Gabriela, który chciał, by w domu wszystko było zadbane. Łącznie z podłudźmi.

Gdy się myły, do pomieszczenia zajrzała Käthe Müller-Bard.

– Szybciej, dziewczyny – poleciła. – Pan Leitner kazał wszystkim się zebrać.

– W jakim celu? – zapytała Maria.

– Podobno przyjechał jego brat.

Polka znieruchomiała.

– I mówią, że jest przystojny. Może weźmie którąś na... no, wiecie – dodała Käthe z chichotem, po czym znikła za drzwiami.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Staszek wygiął się w literę „C”, łapiąc się za kostki. Trwał tak w bezruchu, czekając na znak, by rozpocząć zabawę.

Podobnie jak wielogodzinne ścielenie łóżek, ściąganie czapek czy cokolwiek, co wymyślili sobie Niemcy, tak i wykonywany przez wiele godzin żabi skok mógł doprowadzić człowieka do rozpacz.

Jeden z esesmanów dał sygnał do startu. Staszek widział, że biegnie ku niemu Czesław Zmitkiewicz. Gdy znalazł się tuż za nim, odepchnął się od jego zgiętych pleców, rozłożył szeroko nogi i przeskoczył przezeń. Po tym przyjął pozycję Zaniewskiego i czekał, aż kolejny więzień zrobi to samo.

Staszek po raz pierwszy uczestniczył w tej hucpie. Miał nadzieję, że potrwa krócej niż pozostałe zabawy, ale tymczasem minęła godzina, a esmani zdawali się nie mniej zadowoleni, niż na początku.

– Zmitko... – szepnął za którymś razem, gdy Czesław nad nim przeskakiwał. – Ile jeszcze?

Musiał poczekać na kolejną okazję, by uzyskać odpowiedź.

– Pół godziny – odparł Zmitkiewicz.

Staszek szybko znienawidził uczucie, jakie powodowali przeskakujący nad nim więźniowie. Nienawidził także samemu skakać nad innymi. Czynność była teoretycznie niewinna, właściwa raczej przedszkolakom niż więźniom, ale szybko stała się narzędziem opresji.

Żabi skok zakończył się wcześniej, niż przewidywał Zmitkiewicz, a mimo to Staszek położył się na swojej więziennej pryczy cały obolały, szukając wytchnienia w śnie. Kiedy ten nadszedł, przyniósł umęczonej psychice oczekiwaną ulgę. Podświadomość przeniosła go do Warszawy, do czasów zanim jeszcze wybuchła wojna. Był u Marii w domu, razem z jej siostrami oraz matką, spędzając miło czas na sączeniu imbirowej herbaty i rozmowach. W pewnym momencie tę sielankową wizję zakłócił człowiek, o którym już dawno nie myślał. Holzer pojawił się jakby znikąd. Podnosił górną wargę i marszczył nos, patrząc na Staszka jak dzikie zwierzę. Zanim chłopak zdążył zapytać go, co tutaj robi, bandyta zaczął niszczyć zastawę stołową, która była w rodzinie Herensztadów od pokoleń. Sapał przy tym ciężko, jakby go to podniecało.

Zaniewski obudził się z ulgą, że to tylko sen. Echem w głowie odbijało mu się sapanie, ale po chwili stwierdził, że to nie podźwięk ze snu – ktoś obok niego ciężko oddychał. Staszek rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł. Po chwili dotarły do niego jęki.

– Ale przyłóż się do tego, *bambino* – szepnął ktoś.

– Staram się.

Staszek rozpoznał głos Federica Garaffoniego. Obelt i Zmitkiewicz szybko uświadomili go, że Włoch wprawdzie nosi oznaczenie komunisty, ale trafił do obozu za orientację seksualną. Poza tym w rzeczywistości nazywał się Fryderyk Garafowicz i najpewniej z Włochami nie miał wiele wspólnego.

Po tym, jak pobili ich esesmani, Garaffoni nie próbował nawiązywać kontaktu z Zaniewskim. Z pewnością kluczowe było to, że Polak trzymał z dwoma więźniami, którym nikt nie chciał podpaść.

Naraz jęk przeszedł w głośnie stękanie. Staszek potoczył wzrokiem po osadzonych, ale żaden z nich się nie wybudził. Musieli być już przyzwyczajeni do takich sytuacji. Po chwili jeden z mężczyzn wydał z siebie stłumiony krzyk. Rozległ się dźwięk plaśnięcia o nagą skórę, a potem nastąpił finał nocnej akcji.

Zaniewski obrócił się na drugą stronę, starając się o tym nie myśleć.

Nagle jednak rozświeciły się wszystkie żarówki ponad ich głowami. O ile dźwięki nie

wybudziły więźniów, o tyle jasność zrobiła to natychmiast. Staszek mimowolnie zamknął oczy, oślepiiony.

Usłyszał krzyki po niemiecku, a potem odgłos kroków. Do baraku wpadło kilku funkcjonariuszy, a osadzeni natychmiast zerwali się z łóżek. Zaniewski robił to, co jego towarzysze. Ustawił się czym prędzej przed pryczą na baczność i czekał.

Po chwili dostrzegł Jerkera, który szedł między łózkami i ściągał z niektórych pościel. Inny rewir do kontroli otrzymał Thorben, który wprawdzie spokojniej, ale równie skrupulatnie sprawdzał, czy któryś z więźniów przypadkiem nie jest za ciepło ubrany.

Za nimi stał wyprostowany kierownik bloku, Unterscharführer Moritz Strötzel. Przeczesując wzrokiem wnętrze baraku, głośno cmokał z dezaprobatą.

– Kurwa, Sznycel – bąknął Czesław.

Obelt uspokoił podkomendnego ruchem ręki.

– To ten jąkała, który... – zaczął Staszek.

– Cicho – syknął kapitan. – Stój spokojnie, nie ruszaj się, nie oddychaj. Nie zwracaj na siebie uwagi.

Choć Zaniewski nie był żołnierzem, słysząc komendy wydawane przez Obelta, zawsze miał ochotę zsalutować i odpowiedzieć „tak jest”. Zresztą w tej sytuacji najlepiej było zdać się na doświadczonych towarzyszy.

– Mam coś! – odezwał się Fehrmann.

Odkrył prześcieradło, pod którym obok siebie leżeli niemal całkowicie nadzy Federico Garaffoni oraz Alan Zorychta. Chłopak nie zdążył przeskoczyć do innego łóżka, zanim Sznycel zaczął przeczesać wzrokiem barak.

– Wspa-pa-paniale – odparł Strötzel, po czym skierował się ku dwóm mężczyznom. Stał przy łóżku i popatrzył na nich z niesmakiem. Gładził niewielki wąs, którym miał nadzieję upodobnić się do Wodza.

Zorychta i Garaffoni trzęśli się z zimna, podwójnie obnażeni. Esesmani szukali potencjalnych uciekinierów, tymczasem odnaleźli coś znacznie lepszego.

– Co to, ku-kurwa, ma być? Pierdolicie się? – spytał kierownik bloku.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, Sznycel odchrząknął przeciągle, a potem splunął na ich pryczę.

– Panie kierowniku, ja tutaj tylko... – zaczął niepewnie Federico.

– Co ty tu-tutaj ty-tylko? Tylko chciałeś zabawić się z ty-tym młodym? – przerwał mu Strötzel, po czym rozejrzał się. – Zwierzęta! Powinno was się od razu palić żywcem, zamiast tu trzymać jak cywilizowanych ludzi!

– Ja tylko miałem sprawdzić... dla pana Jerkera – dodał trochę głośniejszym głosem Garaffoni.

Staszek nie miał wątpliwości, że Federico rzeczywiście wykonywał polecenia Jerkera. Poznał już kapo na tyle dobrze, by wiedzieć, że mógł całą tę sytuację zaaranżować dla zabawy. Kiedy na niego spojrzał, dostrzegł błysk zadowolenia.

Esesmani jednak nie mieli zamiaru pokładać wiary w słowach więźnia.

– Dostyc te-tego – powiedział Moritz. – Fehrmann, wyciągnijcie tych dwóch na zewnątrz. Ty-tylko ich.

– Tak jest.

– I pilnujcie, żeby nikt inny nie wy-wyszedł. Jak będzie chce, niech pa-patrzy z baraku.

Chwilę później Thorben i Jerker wypędzili dwóch mężczyzn przed barak, kopiąc ich i tłukąc pałkami. Nieszczęśnicy padli na ziemię przed wejściem, a kierownik bloku szybko do nich doskoczył i zaczął kopać ich po głowach.

Zaniewski podszedł do drzwi jako jeden z nielicznych. Chciał wiedzieć, czy więźniom uda się przeżyć, najwyraźniej jednak reszta towarzystwa była zdania, że nie. Niektórzy po prostu wrócili do snu.

Chwilę po tym, jak Strötzel zaczął kopać chłopaka, ten stracił niemal wszystkie zęby. Usta miał zalane krwią, oczy zamknięte, a twarz rozoraną ranami ciętymi. Jerker tymczasem znęcał się dotkliwie nad Garaffonim, folgując sobie do woli. Obrócił ofiarę na plecy, po czym z impetem opuszczał but na jej brzuch. Na zmianę tłukł go pięściami, prostował się, kopał, a potem znów okładał rękoma.

Wyglądało na to, że Niemcy skończą dopiero, gdy więźniowie wyzioną ducha. W pewnym momencie jednak Moritz wyprostował się i przeciągnął. Ewidentnie znudziło mu się to zajęcie.

– Jesteście wolni – powiedział. – W każdej chwili możecie odejść. Ale chyba lubicie być okładani, co?

Staszek popatrzył na półprzytomnych Zorychtę i Garaffoniego, stwierdzając, że twarz Polaka bardziej zmasakrowana już być nie może. Federico trzymał się trochę lepiej, ale kierownik bloku szybko to zmienił. Uderzył go pięścią w twarz, a potem poprawił kilkakrotnie pistoletem. Zaniewski miał wrażenie, że nos więźnia się zapadł. Krew rozplynęła się obfitym strumieniem na oba policzki i ściekła na śnieg.

Strötzel zamachnął się jeszcze raz, ale Zaniewski odwrócił wzrok. Napotkał spojrzenie Zmitkiewicza, który stał kawałek dalej. Rozejrzawszy się za Obeltem, przekonał się, że kapitan leży na swojej pryczy i przewraca się na drugi bok.

– Naoglądaliśmy się już tutaj takich rzeczy – wyjaśnił Czesław. – Esmani lubią nas męczyć. Ale jeszcze bardziej lubią, jak uciekamy.

Staszek przeniósł wzrok na czołgającego się w stronę drutu kolczastego Alana Zorychtę, któremu udało się przebyć z trudem może metr, zanim Niemcy się nim zainteresowali.

– To jednak op-puszczasz nas? Bardzo mądra decyzja – powiedział Moritz.

Polak zostawiał za sobą krwawy ślad, pokonując kolejne centymetry, które przybliżały go do złudnej wolności. Kierownik bloku podszedł do niego, złapał go za kark, a potem podniósł go do klęczek.

– Poczekaj – powiedział. – Pozwól, że ci pomogę.

Cisnął Zorychtą w przód, a ten wyrznął twarzą w ziemię. Jerker zaśmiał się pod nosem, choć nie wyglądało na to, by czerpał z tego przyjemność. Sprawiał raczej wrażenie człowieka, który liczył na coś więcej.

Federicowi udało się podnieść z ziemi i zataczając się, ruszył w stronę Alana. Musiał wiedzieć, że jedyną szansę na ratunek mają wspólnie. Znalazłszy się obok chłopaka, pomógł mu wstać. Objęci, zaczęli powoli iść w kierunku ogrodzenia.

– Pięknie! – pochwalił ich Moritz. – Ra-razem sobie poradzicie!

– Ćwiczyli współdziałanie całą noc – dodał kapo.

– Jak dojdziecie do ogrodzenia, wypuścimy was.

Niemiec rozgarnął trochę śniegu i wy dobył spod niego niewielki kamień. Jerker zrobił to samo i po chwili zaczęli ciskać nimi w więźniów, popędzając ich. Ci ledwo trzymali się na nogach, ale uparcie parli do przodu.

– Pozwolili kiedyś komuś odejść? – zapytał Zaniewski.

– Nie.

Na potwierdzenie słów Zmitkiewicza nocną ciszę przeszył dźwięk wystrzałów z wież wartowniczych. Kule poszybowały w kierunku ziemi, sięgając ciał więźniów. Staszek widział,

jak jeden z pocisków wbija się z impetem w głowę Zorychty. Chłopakiem rzuciło w tył, a mózgowie i krew rozprysnęły się wokół.

Zaraz potem ciało Garaffoniego bezwładnie padło na ziemię.

– Koniec zabawy! – krzyknął Jerker, obracając się ku barakowi. – Chyba że któryś z was chce jeszcze dziś spróbować szczęścia?

Więźniowie cofnęli się jak przestraszone zwierzęta.

– Nie? – zapytał kapo. – Nie szkodzi, jutro znów będzie okazja.

Czesław czym prędzej zamknął drzwi, a potem wszyscy wrócili na swoje prycze. Na bloku panowała absolutna cisza, nie było słyhać nawet pojedynczych pochrapywań.

– Czasem tak robią – odezwał się Zmitkiewicz. – Dla fryców zawsze to jakieś urozmaicenie. Biją niemal do nieprzytomności, a potem pozwalają odejść. Umęczony umysł nie rozumie, że to równa się śmierci.

Zaniewski usiadł na łóżku i spojrzał na niego.

– Wystarczy wejść na teren przed ogrodzeniem, żeby zaczęli strzelać?

– A czego się spodziewałeś? Że esmani będą krzyzczeć „stój, bo strzelam”?

– Myślałem po prostu, że ci zwyrodnialcy sami wolą zadawać śmierć.

– Niekoniecznie. Banalnie jest zabić któregoś z więźniów, wystarczy przywalić mu dostatecznie mocno w głowę. Niektórych można złamać jak zapałki. To dawno się im znudziło.

Zaniewski milczał, po raz pierwszy myśląc o tym, że sytuacja w obozie nigdy się nie poprawi. Przeciwnie, oprawcy będą szukać coraz bardziej wymyślnych sposobów, by zabijać kolejnych więźniów.

– Teraz satysfakcję sprawia im doprowadzanie nas do stanu, w którym sami wybierzemy śmierć – dodał Zmitkiewicz.

Staszek ułożył się na boku i skupił na własnym oddechu, by się uspokoić. Było mu niewygodnie i chciał ułożyć się na plecach, ale tutaj nie było to dobrym pomysłem. Taka pozycja zawsze wiązała się z ryzykiem spożycia nieplanowanej kolacji. Kilka nocy temu widział, jak na twarz jednego z więźniów spada biała, nieduża pluskwa, a potem wpada do ust. Było ich tutaj na pęczki. Przeslizgiwały się po ścianach i suficie, w końcu od nich odpadając. Najgorzej jednak było, gdy insekty opily się krwi któregoś z więźniów. Stawały się wówczas ciemne, mokre i wydzielaly nieznośny smród.

Zaniewskiemu niemal udało się zasnąć, gdy usłyszał nieprzyjemny charkot, a potem kaszel. Nie miał wątpliwości, że jednemu z więźniów pluskwa właśnie wpadła do gardzieli. Obrócił się na bok, a potem zakrył głowę ręką.

STEINHÖRING, MÜNCHEN-ÖBERBAYERN, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Christian Leitner od półgodziny przechadzał się po niewielkim parku. Dotarł w końcu do zadbanych posągów z białego kamienia, przedstawiających powabne kobiety. Skręcił na północ, mijając skupisko kilkunastometrowych drzew, po czym jego oczom ukazał się trzypiętrowy budynek, którego jasna elewacja kontrastowała z ciemną karpiówką na dachu.

Oparł swoją laskę, z którą nie rozstawał się przez ostatnie dwa miesiące, o jedno z drzew, a następnie skierował się ku budynkowi. Minął owalną wieżyczkę i główną bramę wszedł na krużganek, rozglądając się wokół ze spokojem. Na moment zawiesił wzrok na powiewającej czarnej fladze z białymi runami SS.

– Witam, *Herr Hauptsturmführer* – powiedziała kobieta w białym płaszczu, otwierając drzwi budynku i uśmiechając się szeroko.

Leitner zdawkowo skinął jej głową.

– Wszystko gotowe? – zapytał.

– Oczywiście, wszystko zostało uregulowane. Jeśli chciałby pan od razu przystąpić do...

– Tak – odparł chłodno Christian, rozglądając się. Po chwili skupił wzrok na kobiecie i zmrużył oczy.

– Dobrze, w takim razie proszę za mną – powiedziała.

Przeszli wzdłuż bocznej ściany budynku i stanęli przy niewielkim wejściu, do którego prowadziły niskie, trzystopniowe schody. Leitner ruszył w górę, starając się nie utykać, po czym znikł za drzwiami.

Wszedłszy do niewielkiego korytarza, zobaczył otwarte wejścia do trzech pomieszczeń. Jedno z nich zasłonięte było czerwoną, grubą kotarą. Leitner zajrzał najpierw do pozostałych dwóch, a upewniając się, że nikogo w nich nie ma, wrócił do drzwi wejściowych i przekręcił umieszczony w zamku klucz. Usłyszał ruch za kotarą, więc powoli skierował się ku niej. Odsłonił wnętrze niewielkiego pokoju i zobaczył około dwudziestoletnią dziewczynę, odzianą jedynie w białą, prześwitującą halkę. Siedziała na łóżku z baldachimem i czekała na niego.

Christian ściągnął marynarkę mundurową i powiesił ją na krześle. Resztę ubrania złożył równo i umieścił na komodzie obok. Spojrzał na wiszący nad łóżkiem portret Adolfa Hitlera. Poczul abominację. Portret Wodza nie powinien znajdować się w takim miejscu. Umieścić go tutaj musiał zupełny idiota lub ktoś chcący zadrwić sobie z przywódcy narodu.

Leitner podszedł do ściany i ściągnął obraz. Potem spojrzał na zdeorientowaną dziewczynę.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

W odpowiedzi opuściła lewe ramięczko halki. Żołnierz pokręcił głową, ale zbliżył się, przyglądając jej się uważnie.

– Nie mówisz po niemiecku?

– Mówię.

– Więc jak się nazywasz? Ile razy mam cię pytać?

– To istotne?

Leitner potarł czoło.

– Jeśli o coś pytam, powinnaś odpowiadać.

– Gørild.

– Szwedka?

– Norweżka – odparła Gørild, nadal siląc się na beztroski uśmiech.

Leitner zbyt często widywał strach w oczach wrogów, by go nie rozpoznawać, nawet jeśli był dobrze skryty. Dziewczyna była przerażona. Zapewne liczyła na to, że trafi jej się spokojny, ułożony esesman, który najlepsze lata ma już za sobą. Tymczasem stał przed nią młody oficer, który mógł zrobić z nią wszystko, co mu się żywnie podobało.

Wbijając w nią wzrok, Christian ściągnął bieliznę i podszedł jeszcze bliżej. Delikatnym ruchem zasugerował jej, by się położyła, a potem sam zrobił to samo.

– Rozbierz się – powiedział, a Gørild posłusznie spełniła jego polecenie. To i każde kolejne.

Następnego dnia opuścił Steinhöring. Przejechał niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów i zaparkował otrzymane od Cerbera bmw 335 na jednej z ulic w Norymberdze. Nowy, pokryty połyskującym srebrnym lakierem sedan przykuwał uwagę każdego przechodnia. Wysiadający z samochodu oficer SS w nienagannym mundurze, prezentujący wszystkie wymagane dla tego stanowiska cechy fizyczne, wzbudzał jeszcze większy podziw.

Zasiadł w jednej z kafejek na Adolf-Hitler-Platz. Zastanawiał się nad tym, czy nie odwiedzić znajdującego się niedaleko Lüttendorfu. Leitner przywołał w myślach mapę Bawarskiej Marchii Wschodniej i stwierdził, że nie może dzielić go od rodzinnej wsi więcej aniżeli pięćdziesiąt, góra sześćdziesiąt kilometrów.

Nadarzyła się niepowtarzalna okazja, by sprawdzić, jak brat zajmuje się jego domem. Nie uniknąłby przy tym jednak spotkania z Marią. Nie chciał do tego dopuścić z dwóch względów – po pierwsze obawiał się własnych uczuć, a po drugie przypuszczał, że pretensjom nie będzie końca. Polka powinna wiedzieć, że mógł ją spotkać znacznie gorszy los, ale z pewnością skupi się tylko na tym, że Leitner oddał ją bratu jako służkę.

Nie powinien tam jechać. Gabriel dobrze zajmuje się rezydencją, nie mogło być co do tego wątpliwości. W składaniu tam wizyty nie było nic logicznego, nic roztropnego. Mimo to trudno było z niej zrezygnować.

– Co dla pana? – zapytał kelner, wrywając go z przemyśleń.

– Nürnberger rostbratwürste i kawa.

– Już podaję – odparł mężczyzna, skłonił się nisko i oddalił.

Leitner niegdyś uwielbiał mundur Wehrmachtu. Wydawało mu się, że sam fakt jego noszenia nobilituje człowieka. Tymczasem to odznaczenia Schutzstaffel budziły największy respekt.

Po chwili kelner postawił przed nim talerz kiełbasek z rusztu. Były cieńsze i krótsze od swoich odpowiedników w innych regionach Rzeszy. Do kawy Christian otrzymał najnowsze wydanie dziennika. Podziękował skinieniem, a potem rozłożył gazetę.

– Imponujący automobil – rozległ się głos zza jego pleców.

Nie mając ochoty na rozmowę, kontynuował czytanie „Fränkische Tageszeitung”. Uznał, że natręt szybko da spokój.

– Imponujący automobil – powtórzył mężczyzna.

Leitner powoli podniósł wzrok znad gazety, ale nie obrócił się.

– Nie jestem głuchy – powiedział.

– A jednak pan nie odpowiada.

Mógłby rozkwasić mu łeb na stoliku i nikt by nie zareagował. Jako Hauptsturmführer miał niemal nieograniczoną władzę pośród cywili. Mimo to zrezygnował nawet z obejrzenia się przez ramię. Westchnął, a potem zagłębił się w artykule chwalcącym postępy Armii Czerwonej na terytorium Finlandii.

Propaganda, skwitował w duchu Leitner. Czerwone sępy potykają się o własne nogi, jeśli Wehrmachtu nie ma w pobliżu. Radziecka ofensywa o sile miliona ludzi powinna dawno zmiążyć wszelki opór. Finowie wystawili do walki jedną trzecią takiej armii.

Christian przeczesywał wzrokiem dalsze wynurzenia autora artykułu, ale zupełnie się wyłączył. Nagle zrozumiał, że pragnie uczestniczyć w tej wojnie. Wziąć w ręce karabin i pod gradem kul nieprzyjaciela popędzić w bezpieczne miejsce, by znaleźć pozycję do strzału. Chciał celować do wroga i eliminować cel za celem.

Podczas kampanii w Polsce w walkach uczestniczył tylko w pierwszych dniach. Potem został zobligowany, by zdobyć Rawitsch i utrzymać tam niemieckie siły. Kiedy później ruszył dalej, zawrócono jego kompanię w okolicach Bugu. Tuż przed tym, jak mogłaby zasmakować bitwy.

Leitner odczuwał wielki niedosyt. Nagle noszony mundur wydał mu się nie przywilejem, a obciążeniem. Przez wzgląd na niego nigdy nie trafi na front.

– Naucz się pan kultury – burknął natręt.

Leitner zamknął gazetę, po czym złożył ją i odłożył na stolik, obok pustej filiżanki po kawie.

Wyprostował się, a potem obrócił. Mężczyzna nagle poblądł, widząc oznaczenia SS.

– *Herr Hauptsturmführer...* – zaczął.

Christian wstał od stołu.

– Proszę o wybaczenie – dodał mężczyzna. – Nie sądziłem... założyłem, że to uniform pocztowy lub...

– Słucham?

– Teraz wszyscy są w Polsce, mało jest tutaj funkcjonariuszy...

Leitner nagle znalazł się tuż przy nim. Złapał go za rękę, wykręcił ją i założył mu za plecy, a następnie popchnął biedaka z całej siły. Ten wyrznął głową o stolik, roztrzaskując porcelanową podstawkę od filiżanki.

Żaden z gości się nie odezwał. Wszyscy za to czym prędzej dopijali swoje trunki i regulowali rachunek.

– Wiesz, z kim rozmawiasz? – spytał cicho Christian.

– Przepraszam... ja... nie chciałem... – powiedział z trudem człowiek.

Leitner poczuł się dziwnie, słysząc tak żałosny ton z ust innego Niemca. Pierwsze miesiące wojny przyzwyczyły go do tego, że w ten sposób mówili przedstawiciele podbitych narodów. Jednak Niemiec?

Było to osobliwe. Ale tkwiło też w tym coś przyjemnego.

Christian w końcu wypuścił rękę mężczyzny, a potem wrócił do swojego stolika. Dojadł kiełbaski, poprosił o kolejną porcję i doczytał w spokoju artykuł.

OKOŁO 60 MIL MORSKICH OD WYBRZEŻY GRECJI, MORZE EGEJSKIE, LUTY 1940 ROKU

Po przebyciu ponadstukilometrowej Cieśniny Dardanelskiej, niegdyś zwanej Hellespontem, „Aigokeros” minął z prędkością dziesięciu węzłów wyspę Lesbos i znalazł się mniej więcej pośrodku Morza Egejskiego. Potem obrał kurs ku przesmykowi między dwoma wyspami – przybrzeżną Eubeą i Andros, znajdującą się w archipelagu Cyklad.

Bronkowi udało się uniknąć „bunkrowania” ładunków w porcie w Çanakkale, gdyż zajęty był przygotowaniem obiadu. Jednak teraz, stojąc na dziobie „Aigokerosa”, stwierdził, że wolałby ładować tonę węgla, niż zrywać się z łóżka o tak barbarzyńskiej porze i przygotowywać śniadanie dla marynarzy. Było kilka minut po szóstej rano, a on był zmęczony nocnym pićm z kapitanem. W dodatku nie było co liczyć na wdzięczność kompanów – przeciwnie, kiedy tylko pojawi się w mesie, będą utyskiwać na jajecznicę i wszystko inne.

– Co tam widzisz, Polaku? – odezwał się po angielsku bosman.

Zaniewski oderwał wzrok od horyzontu i spojrzał na najbardziej zaufanego człowieka kapitana. Urodzony na Krecie Kaklamanis Papaspyrou od wielu lat pływał z Jorgosem, traktowali się jak rodzina.

Bronek wskazał marynarzowi mały punkt w oddali.

– Chyba statek – powiedział.

Kaklamanis przyglądał się przez chwilę, a następnie się obrócił.

– Te, gwiazdołap! – krzyknął. – Chodź no tu na chwilę.

Kolejny Grek, Athanasios Kountourakis, stawiał się natychmiast, jakby na pokładzie panował żołnierski dryl.

– Słucham, panie bosmanie? – zapytał jeden z nawigatorów.

– Zobacz, czy coś tam widzisz – polecił bosman i wskazał kierunek. Mężczyzna wyciągnął lunetę i przez chwilę w zupełnej ciszy przeczesywał horyzont.

– Coś tam płynie, faktycznie.

– Daj – powiedział bosman, wyciągając rękę. Przez kilka chwil wpatrywał się w linię, gdzie morze stykało się z niebem. Potem oddał lunetę gwiazdołapowi i pokręcił głową.

– I? – spytał Bronek.

– Niech cię chuj, Polaku. Ale masz wzrok.

Zaniewski uniósł lewy kącik ust, po czym przeciągnął się i przeczesał włosy. Dzisiaj czuł się już trochę lepiej, jednak Posejdon nadal mu nie odpuszczał. Bronek składał mu hołd znacznie rzadziej, ale i tak nie potrafił jeszcze normalnie funkcjonować. Usiadł na relingu i wyciągnął papierosa, z trudem odpalając go przy szalejącym wietrze.

– O kurwa – rozległ się zaniepokojony głos bosmana. – Kountorakis, leć po starego, ale już.

Bronek pierwszy raz słyszał, by ktoś publicznie nie odniósł się do kapitana jako do „Pierwszego po Bogu”. Nawigator puścił się pędem w stronę śródkręcia, mając w głębokim poważaniu zasady bezpiecznego poruszania się po pokładzie.

Karagiozopoulos szybko stawiał się na miejscu, poprawiając kapitańską czapkę.

– Co się dzieje? – spytał.

Bronek wystrzelił niedopałek przez sterburtę, a bosman podał Jorgosowi lunetę, tłumacząc wszystko, co zaszło. Od kapitana czuć było wyraźną woń alkoholu, ale nie budziło to niczych obiekcji. Po prawdzie, nie przeszkadzało też Karagiozopoulosowi w wypełnianiu swojej funkcji.

– Nie ma bandery, panie kapitanie – zakończył Papaspyrou.

– Nie jestem ślepy, Kaklamanis – odparł stanowczo Jorgos, wlepiając wzrok w zbliżającą się jednostkę. – Jeszcze.

W ciągu kilku minut wszyscy stawili się na dziobie. Tylko jeden z marynarzy nie był zaaferowany – młody chłopak, któremu najwyraźniej nikt nie powiedział, że może przestać szorować pokład. Bronek go kojarzył, tamten wcześniej nieustannie go obserwował, zliczając hołdy złożone Posejdonowi.

– Piraci? – zapytał Zaniewski.

– Albo kaperzy – mruknął Karagiozopoulos.

Polak podniósł się z relingu i podszedł na przód okrętu. Statek stawał się coraz bardziej wyraźny.

– Pływają po tych wodach? – zapytał Bronek.

– Najwyraźniej – mruknął Jorgos.

– Jesteśmy jakieś sto sześćdziesiąt lig do Afryki – dodał Kaklamanis. – Może stamtąd się sukinsyny zapędziły.

– Nie sądzę – uciął kapitan, po czym obrócił się do zebranych.

Bronek widział, że wszyscy czekają na decyzję. Możliwości były tylko dwie.

– Mają mniejszą jednostkę, zapewne szybszą – podjął w końcu Karagiozopoulos. – Zresztą z naszym obładowaniem nigdzie nie uciekniemy.

– Więc? – spytał zaniepokojony bosman.

Jorgos oparł się o reling i spuścił głowę. Właściwie nie musiał niczego mówić, ale marynarze musieli czekać, aż formalnie podejmie decyzję. Tutaj rzeczywiście ten człowiek był pierwszy po Bogu.

Gdy podniósł głowę, gwiazdołap nagle się ożywił.

– Wciągnęli banderę! – krzyknął, przytykając lunetę do oka.

– Cypryjską? – spytał beznamiętnie Jorgos.

Głos dowódcy szybko ostudził entuzjazm.

– Skąd pan wiedział, kapitanie?

– A kto inny pływałby bez niej po tych wodach? – odparł Karagiozopoulos, prostując się. – To grupa cypryjskich nacjonalistów, o której parę tygodni temu było głośno. Porwali drobnicowicę płynącą z portu w Anamur.

Zaniewski nie miał pojęcia, o czym mowa – ani tym bardziej o konfliktach między Grecją a Cyprzem. Widząc jego zdezorientowany wzrok, Jorgos westchnął.

– Mógłbym ci tłumaczyć historię Cypru i opisać całą sytuację polityczną, ale streszczę to do tego: nacjonaści są wkurzeni, że Wielka Brytania anektowała wyspę w 1914 roku i zrobiła z niej kolonię.

– Aha.

– W trzydziestym pierwszym zorganizowali narodowy zryw, który Anglicy krwawo stłumili. Richard Palmer, obecny gubernator, nie należy do lubianych. Różnie ich równo.

Bronek miał wrażenie, że cała Europa po Wielkiej Wojnie była jednym wielkim gotującym się tygłem. Każdy naród miał do innego pretensje. Nic dziwnego, że w końcu tygiel wykypiał.

– Wprawdzie większość ciągnie do nas – kontynuował Jorgos – ale są też tacy, którzy chcą pełnej niepodległości i są w stanie zrobić wszystko, by zwrócić uwagę świata na swoje racje. Ci, którzy na nas nacierają, właśnie do takich należą.

Bronek przełknął ślinę. Nie brzmiało to najlepiej.

– Może popłyniemy w drugą stronę? Przynajmniej zyskamy trochę czasu – zaproponował.

– Płynie to gówno po morzu, my idziemy – odburknął urażony Jorgos.

– Słucham?

– Mam ci to wyspelować? Okręt idzie albo jedzie. Zresztą nieważne. – Kapitan machnął ręką, a potem obrócił się do bosmana. – Czas się przygotować – powiedział.

Kaklamanis skinął głową z przejęciem.

– Ogłosić alarm! – krzyknął. – Niech każdy weźmie coś, czym może się bronić!

Zaniewski rozejrzał się po pokładzie. Nie było tutaj wiele takich rzeczy, być może więcej ostrych narzędzi znalazłoby się na kutrze rybackim.

– Nie możemy czegoś zrobić? – zapytał. – Mają mniejszy statek, więc...

– Więc co? – wpadł mu w słowo Karagiozopoulos. – Mamy ich staranować?

– Lepsze to, niż...

– Chyba nie mówisz poważnie, Polaku? – zapytał Jorgos, ale nie czekał na odpowiedź. – Szoruj lepiej do kotłowni. Przydasz się tam smoluchom.

Zaniewski nie miał zamiaru polemizować z dowódcą. Czym prędzej zszedł pod pokład i zapukał w metalowe drzwi. Gdy się otworzyły i zobaczył utyłanych mężczyzn, uświadomił sobie, że jest durniem. Obrócił się na pięcie i popędził w miejsce, gdzie mógł przydać się o wiele bardziej.

Mijając bosmana, złowił jego zdziwione spojrzenie.

– Ster prawo na burt! – krzyknął Jorgos, zupełnie zaaferowany nieprzyjacielską jednostką.

– Jest ster prawo na burt!

Bronek zerknął na nadpływający statek. Widział już wyraźnie cypryjską banderę i twarze marynarzy.

– Midszip ster!

– Jest midszip!

Karagiozopoulos wykrzykiwał kolejne rozkazy, a „Aigokeros” kreślił zygzaki wzdłuż spienionych fal.

Polak popędził do swojej kajuty, zabrał z niej pakunek ze springfieldem, a potem wrócił na pokład. Zmachany, ledwo zdołał przekrzyczeć kapitana.

– Jorgos! – ryknął. – Mam propozycję.

Karagiozopoulos obrócił się do niego z niepokojem. Wyglądał, jakby ktoś przystawił mu lufę do głowy. Broniek spostrzegł, że Cypryjczycy ustawiają się na burcie. Szybko rozwinął pakunek i położył go na przyrządach nawigacyjnych.

Jorgos wbił wzrok w broń. Potem spojrzął na Bronka.

– Jak dobrze z tego strzelasz?

– Przyzwoicie.

Karagiozopoulos nie zastanawiał się długo.

– To co tu jeszcze robisz? Zapieprzaj na bakburtę i spróbuj w coś trafić!

Broniek zajął wskazane miejsce i przyklęknął na jedno kolano. Przyjął pozycję dokładnie taką, jak uczył Gavril, a potem przyłożył oko do celownika optycznego. Starał się zablokować karabin na ramieniu, ale cały czas nim kołysało. Nagle poczuł falę gorąca i wzbierający odruch wymiotny.

Udało mu się go stłumić i na powrót zajął się Cypryjczykami. Pozostawali w bezruchu, czekając, aż znajdą się na tyle blisko, by dokonać abordażu. Nie widzieli strzelca.

Zaniewski jednak wiedział, że nie stanowi dla nich zagrożenia. Okręt wykonywał zbyt gwałtowne ruchy, które w połączeniu z kołysaniem fal uniemożliwiały oddanie celnego strzału.

Obrócił się w kierunku mostka.

– Płyn spokojniej! – krzyknął.

– Co? – spytał bosman, wychylając się z nadbudówki.

– Płyn spokojniej, do kurwy nędzy!

Jorgos i Kaklamanis wymienili się nerwowymi uwagami, a Zaniewski poczuł, że znów ogarnia go *naftia*. Jajecznicza podeszła mu do gardła, poczuł coś kwaśnego w przełyku, a potem targnął nim odruch wymiotny. Pozbył się śniadania za burtę.

– Pięknie! – krzyknął ktoś.

– Nasz strzelec na niewiele nam się zda, jak będzie karmił Posejdoną, zamiast strzelać – zauważył Papaspyrou.

Karagiozopoulos w milczeniu obserwował zbliżającą się jednostkę. Za nim powoli ustawiała się cała załoga, dzierżąc noże, pręty i wszystko, co mogło posłużyć jako oręż. Broniek wziął głęboki wdech i spojrzął przez lunetę. Cypryjczycy byli znacznie lepiej uzbrojeni.

– Na nic wam się ten arsenał zda w starciu z karabinami – odezwał się Zaniewski.

Nikt mu nie odpowiedział. Otarł rękawem usta, a potem znów przyjął pozycję do strzału. Trząśił się lekko, ale był do tego przyzwyczajony. Zresztą i tak nie robiło to żadnej różnicy – wszyscy gracze w tej rozgrywce pozostawali w ruchu.

Nagle jeden z przeciwników go spostrzegł. Szturchnął swojego towarzysza, a ten kolejnego. Wieść szybko rozniosła się po wrogim statku i już po chwili Cypryjczycy skupili całą swoją uwagę na Bronku.

Zaśmiewali się w najlepsze, machając do niego lub wykonując obsceniczne gesty. Niektórzy rozkładali szeroko ręce, odsłaniając w teatralnym geście klatkę piersiową.

Po chwili statek zaczął kołysać się miarowo. Zaniewski skupił wzrok i rozluźnił ciało, celując w rząd postaci, który nieuchronnie zbliżał się do „Aigokerosa”. Mimo że Broniek trzymał pewnie swój karabin, celownik co chwilę przesuwał się w prawo lub lewo, cel uciekał mu sprzed oczu.

Sierżant zaczął delikatnie kołysać się wraz ze statkiem. Dopóki fale były jednostajne, mógł przewidzieć, gdzie mniej więcej znajdzie się celownik chwilę po tym, jak go ustawi.

Zaniewski poczekał kilka chwil, ignorując nawoływania, by strzelał. Wymierzył między głowami dwóch Cypryjczyków, a potem delikatnie nacisnął język spustowy springfielda.

Wystrzał był jak balsam dla uszu. Pocisk pomknął w kierunku burty zbliżającego się statku. Czas jakby na moment się zatrzymał, gdy Broniek wbijał wzrok w lunetę karabinu. Potem obserwował, jak kula wbija się w czaszkę jednego z nieprzyjaciół, rozchlapując krew na pozostałych.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Maria szybko skończyła pomagać Elisie w toalecie, a potem sama z jej pomocą prędko się obmyła. Niestety, proces ten wymagał współdziałania – jedna osoba siedziała w wannie, podczas gdy druga przechylała ostrożnie wiadro. Każda kropla była na wagę złota, choć Polka dowiedziała się, że nieopodal była studnia. Christian miał wykopać ją w 1936 roku, od razu po tym, jak kupił działkę, na której rok później postawił dom.

– Co on miałby tutaj robić? – odezwała się Elisa.

– Nie wiem.

– Może chce nas stąd zabrać?

Maria nie odpowiedziała, dokładnie obwiązując głowę chustą i uważając, by żaden kosmyk włosów nie wydostał się na zewnątrz. Elisa zrobiła to samo, po czym opuściły niewielkie pomieszczenie i przeszły na korytarz.

Ustawiły się po obu stronach, w równym rzędzie wraz z resztą służących. Aż do głównego wejścia na ścianach ciągnął się korowód obrazów. Głównie pospolitych oleodruków, przedstawiających gustowne damy w wyszukanych kapeluszach czy też krajobrazy związane z tutejszą okolicą i pejzażem miejskim Frankfurtu nad Menem. Honorowe miejsce, na wprost wejścia do domu, zajmowały jednak trzy elementy odizolowane od reszty.

Pierwszym była fotografia rodziny Leitnerów. Pośrodku widniał Christian w mundurze Wehrmachtu, po jego prawej znajdowała się Johanna, a mały Maximilian chował się za ojcem. Po lewej stronie stało dwóch mężczyzn. W jednym Maria z trudem rozpoznała Gabriela, jako że szeroko uśmiechał się do zdjęcia. Obok niego z tak samo sztucznym uśmiechem stała Helena, a w tle wprawny obserwator mógł dostrzec Algunde w stroju gospośki.

Drugim wyróżnionym elementem było okazałe czerwone płótno, przedstawiające czarną swastykę w białym kole. Trzecim natomiast obraz autorstwa niejakiego Fridolina Leibera, zatytułowany „Anioł Stróż”, na którym wysłannik niebios roztaczał opiekę nad dwójką dzieci beztrudnie bawiącą się u jego stóp. Maria nie mogła zrozumieć, czym kierował się ten, który umieścił religijne malowidło obok swastyki.

Oderwała wzrok od obrazu Leibera, gdyż rozległo się zdecydowane pukanie w grube odrzwia. Kiedy Algunde podeszła do nich i otworzyła je z uśmiechem na twarzy, witając gościa, Gabriel bąknął coś do swojej żony i choć Maria nie słyszała, co mówi, po wyrazie jego twarzy mogła bez wątpliwości stwierdzić, że nie był ucieszony tą wizytą.

– Witaj, bracie – powiedział oschle Gabriel, witając trzeciego, najmłodszego z Leitnerów.

Gottfried Leitner przywitał się wylewnie z gospodarzem. Maria nie mogła uwierzyć w to, co widzi. W holu stał mężczyzna przypominający młodszą wersję Christiana. Lekko się uśmiechał, ale przyjmował postawę niemal zasadniczą. Miał szare oczy o przenikliwym spojrzeniu i równo przystrzyżone jasne włosy.

Gottfried przywitał się z Heleną, ignorując wszystkie służące z wyjątkiem Algunde. Puścił do niej oko i posłał jej zdawkowy uśmiech. Zaraz potem zza niego wyszedł drugi mężczyzna, o równie aryjskim wyglądzie. Gottfried przedstawił go jako Davida Wißmanna, Austriaka i swojego znajomego ze studiów.

Dzień upłynął pod dyktando przygotowań do kolacji. Służba krzątała się nerwowo, starając się sprostać wszystkiemu, czego zażyczyła sobie Helena.

Kiedy goście w końcu zasiedli wieczorem w salonie, Maria podawała napoje. Skorzystała z okazji, by posłuchać rozmowy dwóch braci, o których istnieniu do niedawna nie miała zielonego pojęcia.

– Wyrzucili cię, Gottfried? – zapytał Gabriel i jednym haustem opróżnił kieliszek czerwonego wina, które przed chwilą nalała Maria. Skinął na nią, by podała mu butelkę.

– Takie teraz czasy, bracie.

– A ten to kto, kolega komunista? – spytał gospodarz, wskazując na milczącego Davida.

– Kulturalnie byłoby, żebyś się zwracał bezpośrednio do niego, nie sądzisz?

– Myślałem, że w waszym mniemaniu wszyscy jesteście kolektywem.

– Daj spokój, bracie – odparł z uśmiechem Gottfried, mierząc Marię wzrokiem.

Poczuła się nieswojo, ale udała, że tego nie widzi.

– Ja mam dać spokój? – burknął Gabriel. – To ty obnosisz się z tymi głupotami.

– To nie głupoty.

– Przeciwnie. To największe głupoty, jakie można teraz mówić. Trafia się za to do więzienia.

– Lenin to wizjoner.

Gospodarz prychnął, rozkładając ręce. Dolał sobie wina.

– Dążył do utopijnego stanu rzeczy. Teraz Stalin kontynuuje to dzieło.

– Jeśli takie rzeczy głosiłeś na uczelni, dziwi mnie, że ograniczyli się do wyrzucenia was – odparł z niesmakiem Gabriel. – Powinniście trafić do jednego z tych obozów pracy.

Gottfried uśmiechnął się i wskazał na swojego towarzysza.

– Rodzice Davida pomogli.

– Choć przy tym mnie wydziedziczyli – dodał Wißmann. – I zakazali powrotu do Frankfurtu.

– Prawidłowo – wtrąciła Helena. – Władze Johann Wolfgang Goethe-Universität i tak okazały się wam bardzo przychylnie.

Maria słyszała, że ta uczelnia do czasu była bezpieczną przystanią dla osób o lewicujących poglądach, które stały w sprzeczności z jedyną słuszną ideologią nazizmu. Najwyraźniej jednak i ten bastion w końcu upadł.

– Pomyśleliśmy, że Lüttendorf będzie idealnym miejscem, by przez jakiś czas przeczekać wszystkie te emocje – dodał Gottfried.

– A co później? – zapytał starszy brat.

– To się okaże.

Maria nie wieszczyła niczego dobrego. Do szczęścia brakowało im tylko tego, by dwóch komunistów zamieszkało w rezydencji. Jeśli ściągną na siebie uwagę mieszkańców okolicznych wsi, w końcu stróże prawa mogą zainteresować się domem. A przy tym także służbą.

Gabriel najwyraźniej był podobnej myśli.

– Nie możesz przybiegać do mnie lub Christiana zawsze, gdy...

– Słucham? Ja do was?

– Mam tylko na myśli, że...

– Nie chcesz nas ugościć, nie ma problemu.

– Nie przerywaj mi, na litość boską.

Gottfried podniósł się, jego towarzysz zrobił to samo.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy, bracie.

Gabriel spojrział błagalnie na żonę, która pokręciła głową i obrzuciła młodzieńców protekcjonalnym spojrzeniem.

– Czasem nie wierzę, że płynie w nas ta sama krew – odezwał się gospodarz.

– Ja tym bardziej.

– Siadaj. Uspokój się.

– Trudno mi być spokojnym, kiedy w centralnym miejscu domu wisi flaga NSDAP.

– Wisi i będzie wisieć.

– W takim razie nie spędzę tutaj ani sekundy więcej.

Ostatecznie jednak Gabrielowi udało się załagodzić sytuację. Pomocne z pewnością okazały się kolejne dwie butelki wina, które podała im Maria. Młodszy Leitner oponował, twierdząc, że nikt nie musi im usługiwać, ale najstarszy z braci szybko mu uzmysłowił, że to jego dom i jego zasady.

– Marksizm to samobójstwo umysłu – powiedział, gdy Polka już niemal zasypiała na stojąco.

Dwóch młodych ludzi uśmiechnęło się do siebie porozumiewawczo.

– Myślisz, że ta idiotyczna ideologia doprowadzi cię do czegokolwiek? – syknął Gabriel.

– Spokojnie bracie, jakoś będzie.

– Jakoś? – spytał ostro Gabriel, po czym spiorunował Marię wzrokiem. – Ile mam czekać? Daj mi tę butelkę.

– Mogę ci powiedzieć tyle, że myślę o przyszłości i widzę ją w jasnych barwach.

– Doprawdy? – zapytał gospodarz, podnosząc się z fotela. Wyszarpnął Marii z ręki butelkę piwa Astra.

– Nazizm rychło upadnie, panie Leitner – włączył się do dyskusji David Wißmann. – To opium dla ludu, zupełnie jak religia. W swych głównych założeniach ta ideologia jest sprzeczna z naturą człowieka, co doprowadzi do jej nieuchronnego końca. Określa się jako socjalistyczna, w rzeczywistości jednak uprawia kult wyzysku, faworyzując wszechobecną w NSDAP burżuazję i przedkładając jej partykularne interesy nad dobro ogółu. Każdy kraj obecnie zmierza, choć powolnymi krokami, do sytuacji, w której proletariusze dokonają kolejnego światowego przewrotu i doprowadzą do powstania nowej fali komunizmu, która go zaleje. Nazizm się skończy, a tacy ludzie jak my zostaną okrzyknięci wizjonerami.

Gottfried Leitner pokiwał głową, przyjmując pełen uznania wyraz twarzy.

Gabriel zaśmiał się pod nosem.

– NSDAP nazywa się socjalistyczną, ponieważ jest socjalistyczna – odparował. – Nie ma nic wspólnego z prawicą, panie Wißmann. Absolutnie nic.

– W takim razie proponuję panu poczytać *Manifest der Kommunistischen Partei*. To niedługa lektura, a uświadomi panu...

Gabriel uniósł dłoń, więc gość szybko urwał.

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich bredni pod moim dachem – oznajmił gospodarz.

– Widać nie tylko Christian jest fanatykiem nazizmu – zauważył Gottfried.

Gabriel spiorunował wzrokiem młodszego brata. Maria stwierdziła jednak, że daleko było temu spojrzeniu do mrozącego krew w żyłach wzroku tego Leitnera, którego znała. Niemniej wszyscy mieli trochę cech wspólnych. Byli do siebie wizualnie podobni, a oprócz tego niezłomnie trwali przy swoich przekonaniach. I prawdopodobnie wszyscy byli zaślepieni inną

ideologią.

Drażliwy temat został szybko zakończony i rozmowa skupiła się na kwestiach bardziej błażych, związanych głównie z miłosnymi podbojami Gottfrieda.

W środku nocy dyskusję przerwał krzyk z zewnątrz.

– Psie łańcuchowy! – ryknął mężczyzna. – Nową dostawę Żydów dostałeś?

Bracia spojrzeli po sobie, a Gabriel głośno westchnął.

– Co to za pajac? – spytał Gottfried, a cała lekkość jego stylu bycia nagle zamieniła się w stanowczość, którą Maria dobrze kojarzyła.

– Heinrich Sperling.

– Ten weteran?

– Weteran i idiota – poprawiła go Helena. – Za punkt honoru postawił sobie, by co noc nas nękać.

Gottfried spojrział z zaciekawieniem na brata.

– Czemu się nim nie zajmiesz? – spytał.

– Jest niegroźny. Choć wczoraj wypił za dużo i musiałem postraszyć go pistoletem Christiana.

Gabriel wyciągnął rękę do Marii, a ta podała mu kolejne piwo. Musiała przyznać, że najstarszy członek rodziny Leitnerów dysponuje wyjątkowo mocną głową. Z drugiej strony, kulminacja mogła dopiero nastąpić.

– Berberyjski karaluchu! – darł się Sperling. – Wszó z dupy!

David roześmiał się w głos, ale braciom nie było do śmiechu. Heinrich kontynuował jeszcze przez chwilę, po czym Gottfried uznał, że miarka się przebrała. Zerwał się z krzesła i skierował do drzwi.

– Czekaj! – próbował zatrzymać go gospodarz.

Alkohol dał się jednak we znaki. Ledwo najstarszy Leitner podniósł się z krzesła, a opadł na nie, zupełnie zdezorientowany. Chłopak tymczasem dopadł już do drzwi, a w sukurs ruszył mu Wißmann, zabierając pustą butelkę po piwie.

– Gottfried! – zawołał Gabriel.

Młody Leitner zrzucił marynarkę w holu i cisnął ją w kąt. Podwijając rękawy koszuli, wyszedł na zewnątrz i omiół wzrokiem okolicę. Nie miał zamiaru pozwolić, by ktokolwiek obrażał jego brata.

Pobiegł za róg budynku, w miejsce, z którego pokrzykiwał Sperling. Weteran wykrzykiwał kolejne obelgi, gdy dostrzegł chłopaka i natychmiast urwał. Dotknął Krzyża Żelaznego na piersi, jakby miał to być jakiś talizman.

– Odebrało ci mowę? – zapytał Gottfried, zwalniając kroku.

Heinrich zaczął się cofać.

– Jak śmiesz...

– Jak ja śmiem? – syknął młody. – To ty drzesz się pod naszymi oknami, stary pierdolcu.

– Bezcelny gówniarz! – krzyknął Sperling, nagle się zatrzymując. Stał w trochę zbyt szerokim rozkroku, a potem uniósł gardę.

Zza rogu wyłonił się trzymający butelkę po piwie David Wißmann, szczerząc się szeroko. Gottfried obrócił się i odpowiedział równie zadowolonym wyrazem twarzy. Zaraz potem Helena i jedna ze służących przyprowadziły Gabriela.

Służka od razu spodobała się młodemu Leitnerowi. Mimo że chusta odejmowała jej trochę uroku, w jej oczach było coś przyciągającego, usta zachęcały do bliższego poznania, a krągłości

były w sam raz. Gottfried powiódł wzrokiem po jej talii, a potem z powrotem zwrócił uwagę na przeciwnika.

Heinrich był wąty, więc chłopak uznał, że będzie trzymał się kanonu walki wręcz, który wpajał mu z uporem maniaka Christian. Zbliżył się do Sperlinga, po czym sam uniósł gardę. Okrążyli się, a Gottfried uznał, że pora działać. Podczas gdy brat bełkotał wyrazy sprzeciwu, młody doskoczył do adwersarza, biorąc zamach. Wyprowadził potężny prawy sierpowy, trafiając Heinricha w skroń.

Ten zatoczył się w bok, zachwiał, a potem jak kłoda padł na ziemię. Natychmiast starał się podnieść, ale najwyraźniej sam tego wieczoru trochę popił. Wsparł się na rękach i chwilę trwało, nim udało mu się wrócić do poprzedniej pozycji.

Gottfried stał obok, obserwując weterana. Wißmann sprawiał wrażenie, jakby był zawiedziony tym, że krzykaczem okazał się wąty starzec.

Sperling splunął pod nogi młodego.

– To wszystko? – zapytał. – Wasze pokolenie naprawdę nadaje się tylko do dojenia krów.

Gottfried zaśmiał się z tak sformułowanej obelgi. Ignorując nawoływania brata, znów ruszył na Heinricha. Zamarkował uderzenie lewą ręką, po czym hakiem uderzył prawą Sperlinga prosto pod brodę. Rozległo się trzaśnięcie i przeciwnik znów wylądował na ziemi. Tym razem już się nie poruszył.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Nieznosny dźwięk dzwonu z placu apelowego brutalnie wyrwał Staszka ze snu. Polak usiadł na pryczy i westchnął, po czym skinął Obeltowi i Zmitkiewiczowi, którzy leniwie schodzili ze swoich posłań. Po chwili wszyscy zaczęli z pietyzmem je ścielić. Starali się, by efekt był jak najlepszy, jednak wszelkie zabiegi były daremne. Zaraz zjawi się Jerker, a potem przez najbliższe godziny będą robić to samo do znudzenia. Nie miało znaczenia, że do tej pory każdy z nich opanował tę sztukę do perfekcji.

Tego dnia skończyli dość szybko, zajęło to półtorej godziny.

Idąc na śniadanie, Staszek doszedł do wniosku, że największym przeciwnikiem więźnia nie są esmani, a nuda i monotonia. W takich ilościach same w sobie mogły doprowadzić człowieka na skraj rozpacz. W pierwszych dniach pobytu w obozie nie mogło być o nich mowy, a ciągłe zastrzyki adrenaliny nie pozwalały człowiekowi nawet dobrze się nad tym wszystkim zastanowić. Jednak teraz, gdy „życie obozowe” stało się po prostu życiem, każdy powtarzany element był katogą. Zaniewskiemu nie przeszkadzało już nawet ustawiczne bicie, zresztą żaden z więźniów zdawał się tym nie przejmować. Ścielenie i ściąganie czapek należało do znacznie gorszych dolegliwości.

Równie bolesna była świadomość, że wolność stała się jedynie majakiem z przeszłości, podobnie jak szereg innych, prozaicznych kwestii – mycie się, załatwianie przy minimalnej prywatności czy w końcu pełny żołądek. To wszystko było teraz jedynie niewyraźnym wspomnieniem.

Po śniadaniu nastąpiła zbiórka i przejście do kamieniołomu. Dziś z nieba padały grube płaty śniegu i więzienny pasiak Staszka szybko przemókł. Chłopak wraz ze swoimi towarzyszami został przydzielony do grupy noszącej ziemię po schodach. Było to parszywe zadanie, które urastało do prawdziwej katogi przy tak obfitych opadach. Najpierw trzeba było odśnieżyć teren, potem nałożyć ziemię do nosideł mocowanych na plecach, a ostatecznie wnieść cały ładunek po stu osiemdziesięciu sześciu stopniach.

Gdy kapo na moment znużył się pilnowaniem porządku, Czesław szturchnął Zaniewskiego.

– Wszystko w porządku? – szepnął.

Staszek pokiwał głową, ładując kolejną łopatę ziemi na nosidło.

– Kiepsko dzisiaj wyglądasz.

– I jeszcze gorzej się czuję – odparł. – Ale co w tym dziwnego?

Obelt uciszył ich ręką, a Zaniewski spostrzegł, że w ich stronę idzie jeden z oprawców. Rzeczywiście, Staszek tego dnia czuł się fatalnie. Powieki same mu opadały, mimo że nie chciało mu się spać. Brzuch zdawał się bardziej wklęsły niż dotychczas. Wystające żebra sprawiały przygnębiające wrażenie, a do tego coś zalegało mu w płucach.

Mijając ich, esesman obrzucił więźniów wzrokiem. Zaniewski łudził się, że Niemiec pójdzie dalej, ale w pewnym momencie się zatrzymał. Wyciągnął palicę, a potem zbliżył się.

Staszek zaklął w duchu, gdy strażnik wziął zamach. Okładał na zmianę Zaniewskiego, Zmitkiewicza i Obelta. Tłukł na ślepo, nie przymierzając się. Był jednym z nowo przybyłych esesmanów i najwyraźniej polecono mu, by sobie poużywał.

Kiedy skończył, Polacy leżeli na ziemi, a Niemiec stał nad nimi i głośno oddychał, jakby przeżywał chwilę miłosnego uniesienia. Nie tłumacząc powodu, dla którego nagle ich zaatakował, przymocował pałkę za paskiem spodni, po czym zasłonił ją połą płaszczka i odszedł.

– Wstawaj, Zaniewski – odezwał się Obelt.

Staszekowi huczało w głowie, ledwo mógł usłyszeć słowa kapitana. Tembr głosu brzmiał dziwnie nieznamo, a obraz przed oczyma mu się rozmazywał.

– No już – ponaglił go wojskowy. – Bo cię ubiją za opieprzanie się.

Zmitkiewicz powoli się podnosił, stękając przy tym. Po chwili trzech Polaków wróciło do roboty jak gdyby nigdy nic. Trudniej kopało się w ziemi, ale nie mogli zwolnić tempa.

– Kto to był? – zapytał słabo Zaniewski.

– Pierwszy raz widzę skurwiałego syna – wycedził Obelt, odprowadzając wzrokiem esesmana.

– I oby ostatni. Jakby mało było tutaj psychopatów – dodał Zmitkiewicz.

– Tak nie da się żyć – szepnął Staszek i zaczął wrzucać ziemię do pojemnika. Na samą myśl o wnoszeniu ładunku po schodach ciągnących się ponad trzydzieści metrów w stronę obozu zrobiło mu się słabo. Na domiar złego zauważył Thorbena, który w towarzystwie nowego psychopaty zbliżał się do ich grupy.

– Widzę, że już poznaliście Rottenführera Schneuera – powiedział z uśmiechem.

Czesław uniósł łopatę, po czym z impetem wbił ją w ziemię.

– Mieliśmy okazję – odezwał się.

Nie trzeba było długo czekać na reakcję Fehrmanna. Zamachnął się, a potem zdzielił Zmitkiewicza po twarzy.

– Milczeć! – dodał. – Na ziemię!

Polacy jak jeden mąż znów padli. Thorben przez moment milczał, jakby czekał, aż któryś znów zdecyduje się na nieposłuszeństwo. Potem westchnął głęboko.

– W Dachau też są tacy bezczelni? – zapytał.

– Zdarzają się.

– Ostatecznie jednak i tak padają, gdy im się każe.

– Oczywiście.

– W takim razie szybko się tu odnajdziesz – dodał Thorben, jakby chciał się pochwalić drylem w Mauthausen. Szturchnął Staszka nogą. – Czołgać się! – rozkazał.

Polacy zaczęli posuwać się do przodu po mokrej ziemi.

– Wstawać!

Poderwali się na równe nogi.

– Morda w piach!

Znów padli.

Żałosne przedstawienie trwało, aż więźniowie powtórzyli cały proces kilkadziesiąt razy. Esesman z Dachau wydawał się znudzony, ale gdy Fehrmann na niego patrzył, natychmiast z uznaniem kiwał głową. Staszek miał wrażenie, że Thorben nigdy nie skończy.

Ostatecznie jednak kazał im się podnieść i wrócić do pracy. Zaniewski wypluł ziemię i złapał za łopatę.

– Nie wiem, jak u was, ale tutaj mamy zobowiązania – odezwał się Torba.

– Co takiego?

– Co rano zobowiązujemy się do pewnej liczby.

– Nie rozumiem.

– Zakładamy się, ilu uda nam się zabić do zmierzchu.

– Ach – odparł Schneuer z uśmiechem. – Tak, oczywiście. Zazwyczaj nie schodziłem poniżej dziesięciu Żydów.

– Przyzwoity wynik.

Rottenführer wzruszył ramionami, a potem esesmani zostawili Polaków w spokoju.

Przez cały dzień Zaniewski marzył tylko o jednym – by ściągnąć przemoczone ubranie. Podczas wchodzenia po schodach ciało się ogrzewało i lód na pasiaku topniał, ale zaraz potem wilgoć znów zamarzała.

Umorusany i przemarznięty, siadł w stołówce. Miał nadzieję, że ogrzeje się trochę czymś ciepłym, ale dzisiaj dostali suchy chleb. Jadł najwolniej, jak potrafił, niestety już po kilku minutach posiłek się skończył.

– Idziesz łowić, Zaniewski? – spytał Obelt.

– Nie wiem, czy dzisiaj...

– Ja pójdę – uciął Zmitkiewicz i nie czekając, aż ktokolwiek zaoponuje, podniósł się. Gdy kapitan skinął mu głową, Czesław skierował się do wyjścia, a potem do miejsca, gdzie esmani przechadzali się, popalając papierosy.

Dzień okazał się pechowy i Zmitkiewicz wrócił bez choćby jednego niedopałka.

– Trudno – odezwał się Obelt. – Będziemy skrobać.

Podniósł się, po czym Polacy skierowali się na plac apelowy. W rogu personel kuchenny wystawiał właśnie pojemne gary, w których wcześniej gotowano zupę dla więźniów.

Obelt rozejrzał się czujnie.

– My skrobimy, ty obserwujesz – powiedział.

Zaniewski skinął głową, a towarzysze odczekali, aż personel zamknie za sobą drzwi, po czym ruszyli do garów. Trzymając chusteczkę w jednej ręce, drugą starali się zeskrobać resztki z użyciem kawałka drewna. Staszek tymczasem uważnie się rozglądał. Sam fakt, że otrzymał to zadanie, świadczył, że Obelt mu ufa. Wystarczyło, by przegapił przypadkowego kapo lub esmana, a skrobiących spotkałaby śmierć.

Tym razem jednak nikt nie nadszedł. Po kilku chwilach kompani mocno ścisnęli chusteczki i popędzili z powrotem do Zaniewskiego. Schowali jedzenie i przeszli w milczeniu na swój blok. Usiadłszy na pryzkach, przyjrżeli się swojej zdobyczy. Nie było tego wiele, ale wystarczająco, by poczuć radość.

Naraz pośród więźniów przeszedł szmer. Staszek podniósł wzrok, zaniepokojony. Szybko

przekonał się jednak, że to nie ich posiłek spowodował poruszenie.

Nowy esesman, który dziś rano potraktował ich palicą, rzucił jednemu z więźniów kilka skórek od chleba. Więzień natychmiast zakrył je dłońmi, wstał i odszedł na bok, by zjeść w spokoju.

– Ciekawe, co ta żmija zrobiła, że jedzenie dostaje? – spytał Zmitkiewicz.

W jego głosie pobrzmiewała zazdrość i Staszek nie mógł się dziwić. Sam oddałby wiele, by dostać dodatkowe skórki.

– Pamiętam, jak moja matka robiła ojcu co tydzień w niedzielę mielony befszyk tatarski – odezwał się. – Jadł to na surowo i rozsmakowywał się w tym. Z bratem nigdy nie chcieliśmy tego tykać, ale co ja bym teraz...

– Hej, chłopaki – odezwał się konspiracyjnie jeden z osadzonych, przerywając mu. – Słyszeliście o zwolnieniach?

Zaniewski obrócił się do mężczyzny, który zatrzymał się obok ich pryczy i nachylił do nich. Kapitan pokręcił głową i przyjął wygodniejszą pozycję.

– Jakich zwolnieniach? – zapytał Staszek.

– No! Nie słyszeliście. Będą zwalniać, podobno za tydzień lub dwa. Niektórzy wrócą do Polski.

– Zmiataj stąd – powiedział zachrypniętym głosem Obelt, powoli unosząc wzrok.

Mężczyzna zrobił uspokajający gest dłońmi i oddalił się, kontrolnie spoglądając jeszcze w stronę Obelta.

– Takie pogłoski pojawiają się co pewien czas – odezwał się Zmitkiewicz. – Nie przykładaj do nich większej wagi.

– Ale...

– Nadzieja zabija ostatnia – dodał kapitan.

Zaniewskiego zmroziło, gdy uświadomił sobie, że to jedno z najprawdziwszych zdań, jakie tutaj usłyszał.

– Upłynie ten rzekomy termin zwolnień, a ty załamiesz się jeszcze bardziej – ciągnął Czesław.

– Widzieliśmy, jak inni to przerabiali. Do cholery, sami to przerabialiśmy.

Staszek pokiwał głową.

– Niemcy nigdy nas stąd nie wypuszczą.

Świadomość ta towarzyszyła Zaniewskiemu przez resztę dnia. Wieczorem, gdy wrócili do baraku, miał nadzieję znaleźć ukojenie w śnie. Ledwo jednak położył się na pryczy, a znów podniósł się raban. Grupa kilkunastu więźniów stała przy wejściu, pertraktując z Jerkerem, by mogli popatrzeć.

Staszek podniósł się z łóżka.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał Obelt. – Nic tam po tobie.

– Chcę zobaczyć.

Kapitan machnął ręką, a Czesław zwlókł się z łóżka. Wraz z Zaniewskim ruszył do wyjścia. Stanąwszy tuż przed progiem, starali się pozostać niezauważeni dla kapo. Zmitkiewicz szturchnął jednego z gapiów.

– Co jest? – zapytał.

Z zewnątrz dobiegł przeraźliwy krzyk, jakby kogoś żywcem obdzierano ze skóry.

– Łąpali jakiegoś księdza, co kradł – wyjaśnił rozmówca. – Biją go teraz.

– Księdza? – zapytał z powątpiewaniem Staszek. – Myślałem, że oni nie kradną.

Mężczyzna popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Bo nie kradną – rozległ się głos Obelta. Kilku więźniów zrobiło mu miejsce, gdy torował sobie drogę do swoich towarzyszy. – Widocznie ten czymś podpadł. Może spowiadał po kątach.

– E tam – skwitował ktoś. – Pewnie po prostu obrywa za to, że nosił koloratkę.

– Nie – zaoponował kapitan. – Jeden z kapo jest religijny. Porządny człowiek, zważając na okoliczności. Roztacza parasol ochronny nad duchownymi.

– Albo roztaczał – poprawił dowódcę Zmitkiewicz.

Nagle rozmowa się urwała, bo Jerker dał znak, że można wyjść na zewnątrz. Więźniowie ustawili się w równym rzędzie pod ścianą. Normalne pobicie nie przyciągało takiej uwagi, ale kiedy maltretowano księdza, wszyscy wychodzili. Każdy chciał okazać wsparcie modlitwą – choć ledwo któryś się przeżegnał, szła w ruch palica.

– To nie Niemcy – zauważył Czesław.

Zaniewski spojrzał na mężczyzn okładających półprzytomnego duchownego. Rzeczywiście, byli to więźniowie, nawet nie kapo. Staszek spojrzał pytająco na Obelta, ale ten najwyraźniej również nie rozumiał sytuacji.

W końcu szeptem wytłumaczył im ją jeden z osadzonych. Tego wieczora zupełnie odbiło dwóm furiatom, którzy wykrzykiwali, że Bóg jest nazistą. Obwiniali Go o to, że zrzucił na świat niemiecką plagę, co spodobało się strażnikom. Wypuścili tych dwóch z baraków i pozwolili im krzyczeć do woli. Pech chciał, że w końcu natknęli się na księdza.

Jeden z nich splunął na ofiarę.

– Gdzie jest Bóg?! – ryczał ze łzami w oczach. – Dlaczego cierpimy?!

Drugi kopał go, jakby walił w worek z ziemią.

– Chrystus też cier... – zaczął ksiądz, ale nie dokończył, gdyż jeden z agresorów przywalił mu pięścią między oczy. Wrzeszczał przy tym jak dzikie zwierzę, a potem zaczął młócić rękoma na oślep.

Staszek zauważył, że Obelt zakasał rękawy.

– Hej, zaraz... – zdążył powiedzieć, nim kapitan ruszył w kierunku kotłujących się mężczyzn. Zaniewski spojrzał z przestrachem po esesmanach, ale wydawali się na tyle rozbawieni, że Obelt nie przykuł ich uwagi. Kapo także zdawali się obojętni.

Napastnicy na moment przerwali, dostrzegając zbliżającego się więźnia. Niemcy nagle spoważnieli, jednak gdy tylko zrozumieli, że sytuacja dostarczy im jeszcze większej rozrywki, kilku ochoczo zaklaskało.

Staszek ruszył za Obeltem, nie zastanawiając się. Tuż za nim chciał pójść Zmitkiewicz, ale jeden z kapo szybko wytłumaczył mu z pomocą pałki, że trzech na dwóch byłoby przesadą.

– O co chodzi? – zapytał jeden z więźniów.

Polski język w ustach zwyrodnialców podziałał na Zaniewskiego jak płachta na byka. Był przyzwyczajony, że Niemcy czy Rosjanie tłuką ludzi bez powodu, ale jego rodacy? Tutaj najwyraźniej nie obowiązywały żadne zasady.

– Won sprzed moich oczu – odezwał się Obelt.

– Spokojnie...

– Wypierdalać! – ryknął kapitan.

Ku rozżaleniu Niemców, agresorzy odsunęli się o krok, popatrzyli po sobie, a potem skierowali się ku swojemu barakowi. Staszek odetchnął, ale tylko na moment. Drogę zaszło im dwóch esesmanów, trzymających palice w gotowości.

– Spuść wzrok – odezwał się cicho kapitan.

Zaniewski czym prędzej to zrobił, ale wiedział już, że to spotkanie nie zakończy się dobrze.

Esmani powiedzieli coś, czego nie zrozumiał, a potem zaśmiali się i odsunęli.

– Pozwalają nam go podnieść – powiedział Obelt.

– Tak po prostu?

– Nie żartuj. Będą nas okładać.

Staszek przełknął ślinę. Ta sytuacja była tak surrealistyczna, że nie był pewien, czy nie śni. Jeśli tak, był to jeden z najgorszych koszmarów w jego życiu.

– Nie daj się – dodał kapitan. – Musimy go podnieść i zabrać do baraku.

– Wiem.

– Do dzieła.

Kiedy pochylili się nad rannym, na plecy spadł im grad uderzeń. Trudno było utrzymać się na nogach, co dopiero podnieść nieprzytomnego księdza. Staszek oberwał w potylicę i poczuł, że coś mokrego ścieka mu po karku.

– Nie damy rady! – krzyknął Obelt. – Ciągnij go!

Walcząc z dezorientacją, Zaniewski chwycił duchownego za drugą rękę. Esesmani okładali ich nieprzerwanie. Skończyli dopiero, gdy Polakom udało się zaciągnąć księdza na blok. Potem Obelt i Zaniewski padli na ziemię, dysząc ciężko i plując krwią.

– Trzeba ich zbadać – powiedział ktoś.

Staszek resztkami świadomości pomyślał, że to bezcelowe. Po ranach tłuczonych nie kwalifikowano osadzonych do obozowego lazaretu. Gdyby personel medyczny chciał to robić, musiałyby nieustannie przyjmować kolejnych pacjentów.

Ktoś pomógł Zaniewskiemu wrócić na łóżko. Ostatnie, co pamiętał, to niewyraźne przekleństwa cedzone przez Obelta. Potem zasnął, zupełnie przemarznięty. Obawiał się, że już się nie obudzi, ale poczucie senności było tak przemożne, że nie potrafił go zwalczyć.

Rankiem obudził go Zmitkiewicz. Popatrzył na niego z przestachem, ale kiedy Staszek zmusił się do zdawkowego uśmiechu, odetchnął.

– Na kapitanie goi się jak na psie – szepnął. – Ale o ciebie się bałem.

Zaniewski podniósł się z trudem. Plecy zdawały się całe spuchnięte, a skóra jakby poparzona.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Pomóż mi tylko przejść do ustępu.

Gdy schodził z pryczy, Czesław posłużył mu pomocną dłońią, a potem zaprowadził go za murek.

– Gdzie ksiądz? – zapytał Staszek, ściągając spodnie. Dawno wyzbył się wstydu, podobnie jak cała reszta osadzonych.

Zmitkiewicz nie odpowiadał, więc chłopak podniósł na niego oczy. Czesław powoli uniośł rękę i wskazał w bok. Zaniewski dostrzegł ciało leżące nieopodal. Smród śmierci nikł gdzieś w odorze kału i moczu, Staszek nigdy nie powiedziałby, że obok leży martwy człowiek.

Może właśnie z tej przyczyny to właśnie tutaj składowano zmarłych. Kiedy ktoś szedł za potrzebą, po prostu odsuwał zwłoki.

Zaniewski załatwił, co musiał, a potem podszedł do duchownego. Sprawdził, czy pojawiły się nowe rany – dwóch zwyrodnialców mogło dokończyć roboty w nocy, kiedy spał. Nie dostrzegł jednak kolejnych obrażeń.

– Bierzmy go – rozległ się głos Obelta.

Staszek obrócił się do kapitana i pokiwał głową. Nie było sensu nawet odmawiać modlitwy, nie tutaj.

Po chwili wraz ze Zmitkiewiczem wynieśli ciało na plac apelowy. Złożyli je na uboczu, gdzie esesmani pozwalali czasem umieszczać zmarłych. Nikt nie zaproponował, więc więźniowie uznali,

że dziś nic nie stoi temu na przeszkodzie. Bywało jednak, że zmarli leżeli na bloku przed długie dni.

Odmówiono im śniadania, twierdząc, że najedzą się modlitwą za katabasa. Czekali przed stołówką, aż wszyscy skończą, a potem ustawili się na zbiorce. Przeszli do kamieniołomu, a następnie bici i poniżani spędzili pół dnia na przerzucaniu kamieni.

Zaniewski miał wrażenie, że popękały mu wszystkie kręgi. Mimo to pozorował robotę najlepiej, jak potrafił. A w tym czasie namyślał się. Kiedy pilnujący ich Niemiec oddalił się o kilka kroków, podzielił się swoimi spostrzeżeniami z towarzyszami.

– Mam pomysł – odezwał się.

– Ja mam ich milion – odparł Zmitkiewicz.

Obelt spojrzał na chłopaka z rezerwą.

– Wiem, jak stąd uciec – dodał Zaniewski.

Kapitan ściągnął brwi i rozejrzał się. Nerwowość była uzasadniona, bo za samą rozmowę na ten temat esesmani potrafili przykładowie nieszczęśników ukarać. Na tyle, by pozostałym więźniom odechciało się takiego gdybania. Do równie opłakanej sytuacji doszłoby, gdyby rozmowę usłyszał któryś z osadzonych – prędzej czy później przehandlowałby taką informację za obierki.

Chłopak patrzył wyczekująco na kompanów.

– Lepiej zajmij się łopata – poradził Czesław. Spojrzał na dowódcę w poszukiwaniu poparcia, ale ten świdrował wzrokiem Zaniewskiego.

Staszek poczuł, że ma jedyną, niepowtarzalną okazję.

– Naprawdę jest szansa – szepnął. – Myślałem nad tym i...

– Mów – uciął Obelt.

Zaniewski nabrał tchu.

– Na początek będziemy potrzebować wszystkich worków po cemencie, jakie uda nam się znaleźć. Ewentualnie kartonów.

– I co z nimi zrobimy? – burknął Zmitkiewicz.

– Upchamy je pod ubrania, by nikt nie widział – odparł Staszek, a potem streścił swoim towarzyszom niedoli resztę planu. Zajęło mu to raptem kilka minut, nie było w tym nic przesadnie skomplikowanego.

Żołnierze przez moment milczeli.

– Szaleństwo – skonstatował w końcu Czesław. – Jeśli ktoś nas złapie, trafimy do kompanii karnej, a potem wyprują nam flaki. I wywieszają je na wieżach strażniczych.

– Jeśli nas złapią.

Zmitkiewicz znów spojrzał na Obelta w poszukiwaniu poparcia. Ten uniósł lewy kącik ust, a potem z impetem wbił łopatę w ziemię.

OKOŁO 60 MIL MORSKICH OD WYBRZEŻY GRECJI, MORZE EGEJSKIE, LUTY 1940 ROKU

– O kurwa – powiedział Bronek.

– Co?

– Trafiłem!

Oderwał wzrok od lunety karabinu i spojrzał na pokład nadpływającego statku. Zapanował na nim nieopisany chaos, gdy załoga zdała sobie sprawę z tego, że nie są już bezpieczni. Jeden z nich starał się kierować pozostałymi, jednak większość zaczęła panicznie szukać miejsca, które zapewni im ochronę. Niepokój był zrozumiały, bo wypadało przyjąć, że tylko strzelec wyborowy

potrafi przestrzelić głowę ofierze znajdującej się na innym statku na pełnym morzu.

Przez szum fal rozbijających się o poszycie „Aigokerosa” Broniek ledwo mógł usłyszeć radosne okrzyki greckiej załogi. On także czuł uniesienie, ale naraz zreflektował się, że w ostatecznym rozrachunku niewiele to zmienia. Cypryjski statek nadal zbliżał się do nich z zawrotną prędkością.

Zaniewski ponownie przystawił oko do lunety springfielda i przeczesywał wzrokiem pokład. Marynarze się pochowali, trudno było namierzyć któregokolwiek z nich. W końcu jednak Polak natrafił na potencjalną ofiarę.

Mężczyzna chował się za niewielką skrzynią, ale na tyle nieudolnie, że odsłonił kawałek ciała. Broniek przypomniał sobie strzał, który niegdyś oddał w podobnej sytuacji. Celował do Alexandra Klaasa. Fakt, że wtedy chybił, przypieczętował los Obelta. Kapitan był prowadzony na muszce przez Blankenburga, a jego osłaniał właśnie Klaas.

Tym razem Zaniewski nie miał zamiaru chybić.

Wycelował mniej więcej w środek skrzyni, gdzie, jak sądził, znajduje się korpus marynarza. Uspokoił oddech i wczuł się w kołysanie statku, po czym oddał drugi strzał.

Ciało bezwładnie padło na pokład, a Grecy podnieśli kolejny triumfalny krzyk. Statek nadal jednak zmierzał wprost na nich. Kilku Cypryjczyków zaczęło wychylać się zza swoich osłon, by oddać pierwsze strzały. Kule świsnęły w powietrzu, a gromkie okrzyki na pokładzie „Aigokerosa” natychmiast się urwały.

– Chować się! – rozkazał Jorgos, przykucając obok Polaka.

– Muszę znaleźć tego, który wcześniej dyrygował resztą – mruknął Zaniewski.

Karagiozopoulos przytaknął mu i wyciągnął lunetę. Zaczęli obaj szukać cypryjskiego dowódcy, ale bez skutku.

– Nic z tego – powiedział Broniek, celując do pierwszej lepszej ofiary.

– Poczekaj – zatrzymał go Jorgos, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Celuj w nadbudówkę.

Zaniewski przeniósł celownik we wskazane miejsce.

– Widzisz nawigatora?

Broniek zmrużył jedno oko, drugim wypatrując celu.

– Widzę.

– To nie strzelaj do niego, bo nie będzie miał kto zmienić kursu tej krypy.

Polak zaśmiał się pod nosem. Grecy mieli w sobie coś z wesołych samobójców.

– Wal w tego, co stoi obok. To da mu wyraźny sygnał, by spieprzać jak najdalej.

Rozległy się kolejne salwy z wrogiego statku. Pociski rozbiły szybę na mostku i roztrzaskały kilka skrzyń na pokładzie. Niektóre strzały były tak chybione, że kule wbiły się w poszycie.

Broniek skupił wzrok na celu. Po chwili cały otaczający go świat zlał się w jeden cichy, spokojny i ledwo zauważalny szum. Obserwował ruch ust człowieka, który wykrzykiwał coś do jednego z marynarzy. Ofiara była zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa. Marynarzowi wydawało się, że w nadbudówce jest bezpieczny. Pochylił się nad jednym z urządzeń pokładowych, a potem spojrział w kierunku „Aigokerosa”. Zaniewski miał wrażenie, że jego wzrok padł prosto na lunetę.

Broniek ze spokojem pociągnął za spust. W ułamku sekundy pocisk przeszył szybę osłaniającą mostek, roztrzaskując ją na tysiące małych kawałków, i trafił ofiarę tuż nad prawym okiem.

Cypryjczycy odpowiedzieli ogniem, ale Polak natychmiast spostrzegł, że wystraszony nawigator odbija na bakburtę.

– Zakręcają – powiedział.

- Widzę! Wal do nich!
- Odkupisz mi potem naboje?
- Niech cię, Polaku... kupię ci całą zbrojownię.

Zaniewski strzelał dopóty, dopóki tłukli w nich przeciwnicy. W końcu któryś z nich dał znak, by przerwać ogień. Cypryjska jednostka przez chwilę płynęła ustawiona do nich bokiem, jak statek piracki z zamierzchłych czasów, a potem zawróciła.

Na pokładzie rozległy się oklaski. Bronek podniósł się z pozycji strzeleckiej i odstawił karabin na bok. Grecy podbiegli do niego i zaczęli poklepywać go po plecach. Nie musiał rozumieć ich słów, by wiedzieć, że to mieszanka przekleństw i wyrazów wdzięczności.

- Jesteś cholernym wirtuozem – zawyrokował Karagiozopoulos.

Kapitan wyprawił prawdziwą ucztę. Menu składało się między innymi z placków z cukinii, podawanych przez kuków z nadmierną ilością tymianku, zupy cytrynowo-jajecznej, którą Grecy nazywali *avgolemono*, oraz zbyt dużej liczby kotletów z białej fasoli, na widok których Bronek poczuł nieodpartą pokusę, by po raz kolejny odbyć rozmowę z Posejdonem.

Wszystko to smakowało ohydnie, ale kucharze sprawnie maskowali ten fakt, podając duże ilości *travaritze*. Był to rodzaj bimbrowy, który nawigator statku samodzielnie pędził przed wyruszeniem w morze. Po tej rozgrzewce Grecy przechodzili do głównego dania – ouzo. Anyżowa wódka przywodziła na myśl rozwodnione wapno, ale działała dokładnie tak, jak miała.

Rankiem Zaniewski obudził się w swojej kajucie z bólem głowy i mdłościami. Obraz przed oczami wirował mu nieznośnie i niewiele pamiętał z ostatniej nocy. Były śpiewy, a alkohol lał się strumieniami. Trudno było się dziwić, w końcu wszyscy wymykali się śmierci.

Bronek wyszedł na pokład, osłaniając oczy przed promieniami słońca. Pierwszy dojrzał go Kaklamanis.

- Ahoj, Polaku! – krzyknął.

Każda zgłoska była niczym wbijany w skronie nóż. Mimo to Zaniewski uśmiechnął się poprawnie i podszedł do relingu.

- Pamiętasz, że wczoraj zostałeś zmustrowany na „Naczelnego i Jedynego Strzelca na Pokładzie”? – spytał bosman.

- Czy wy nie miewacie kaca? – spytał zachrypniętym głosem i odkaszlnął.

- Jak wypijemy, to tak. Wczoraj ledwo języki umoczyliśmy – odparł Papaspyrou, po czym roześmiał się i poklepał towarzysza mocno po plecach.

- Gdzie jesteśmy? – spytał Bronek, kiedy jego oczy przyzwyczyły się do słońca.

Kaklamanis rozejrzał się po okolicy, jakby chciał zasugerować, że bez żadnych znaków rozpoznawczych jest w stanie określić położenie „Aigokerosa”.

- Przepłynęliśmy Cyklady – oznajmił, drapiąc się po brodzie. – Jesteśmy teraz na Morzu Mirtejskim. Niedługo powinieneś po lewej zobaczyć Kretę, cudowna wyspa!

- Ach tak.

- No – odparł zamyślony bosman, a następnie wyprostował się jak struna, dostrzegając kątem oka Karagiozopoulosa. – Ahoj, panie kapitanie! – rzekł głośnie, niż było to konieczne.

- Ciszej – powiedział Jorgos.

- Fale szumią, to muszę...

- Nie mam nastroju, Kaklamanis.

- Rozumiem, panie kapitanie! – krzyknął bosman i zsalutował. Zanim dowódca zdążył zgromić go wzrokiem, szybko odszedł w kierunku mostka.

Jorgos stanął obok Zaniewskiego i powiódł wzrokiem po oceanicznym bezkresie.

– Starsi kapitanowie kiedyś powtarzali mi, że najgorsze, co mogę zrobić, to pić z załogą. Teraz wiem, że to prawda. Wszyscy nieustannie ci dolewają.

– Parszywy los.

– Otóż to... – odparł w zamyśleniu Karagiozopoulos.

Bronek potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że coś jest nie w porządku. Obrócił się do kapitana i zmarszczył czoło.

– Jorgos – podjął. – Co jest?

Greki westchnął, a potem skinął w bok i poprowadził go na rufę statku. Stali przez moment w milczeniu, Karagiozopoulos wyraźnie nie wiedział, jak mu coś zakomunikować. Zaniewski zaczął obawiać się, że po pijaku omyłkowo zastrzelił jakiegoś majtka.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości – powiedział w końcu kapitan, pocierając brodę.

– Domyślałem się, że obie są złe.

– Tylko jedna. Od której mam zacząć?

– Złej. Wolę zachować co lepsze na deser.

Kapitan pokiwał głową i nieznacznie się uśmiechnął.

– To będzie naprawdę dobry deser – powiedział. – W każdym razie muszę ci z przykrością powiedzieć, że mam w załodze skrajnych idiotów.

Bronek z ulgą pokręcił głową, a potem się przeciągnął.

– Nie jest to dla mnie ani zła wiadomość, ani też wielka niespodzianka.

– No tak, tak. Niestety grupa tych idiotów zebrała się wczoraj, kiedy poszedłeś spać, żeby dopić resztki ouzo. Niefortunnie, dorwali twój karabin i zaczęli imitować swojego nowego bohatera, który składa częste hołdy Posejdonowi, jakby zależało od tego...

– Co? – wpadł mu w słowo Bronek. – Co z moim springfieldem?

– Chłopcy bawili się w strzelanie z dzioba do ptaków, przynajmniej tak twierdzą. Mnie to się wydaje mało prawdopodobne, jako że była noc...

– Ale... – zaczął Zaniewski i złapał się za głowę.

Kiedy Cypryjczycy odpłynęli, załoga „Aigokerosa” wciągnęła go do mesy, a po obfitym posiłku zaczęli wlewać w siebie alkohol. W tym całym zamieszaniu, ciągłym przyjmowaniu pochwał i poklepywaniu po plecach, Bronek na śmierć zapomniał o karabinie Gavrila. Pamiętał, że w pewnym momencie postawił go obok krzesła, opierając lufę o kant stołu.

Popatrzył błagalnie na Jorgosa.

– Nie mów mi, że...

Urwał, a kapitan rozłożył ręce.

– Broń spadła im do wody, jak jeden z debili się wychylał. Drugi chciał skakać i już przechodził przez burtę, ale na szczęście go zatrzymali.

Bronkowi cisnęło się na usta tyle przekleństw, że nie wiedział, od którego zacząć.

– Zapewniam cię, że ta banda bydlaków zostanie ukarana. Już teraz na potężnym kacu szorują największy brud pod pokładem.

Polak w milczeniu wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił i poczuł, jakby ktoś powoli wbijał mu harpun w czoło. Nie stracił jedynie kawałka żelastwa z elementami drewna, tylko rzecz, która stała się dla niego wyznacznikiem własnych umiejętności. Nie wspominając już o wartości sentymentalnej springfielda.

– Jeśli chcesz im wymierzyć sprawiedliwość, to nie widzę przeciwwskazań, żeby dostali po mordzie.

– Nie ma potrzeby – odparł słabo. – Dadzą mi jakiś we Francji.

– Oby nie gorszy, bo będę miał cię na sumieniu.

– Oby.

Bronek z utęsknieniem czekał na chwilę, kiedy „Aigokeros” dobije wreszcie do portu przeznaczenia, załoga opuści trap, a on postawi pierwszy krok na suchym lądzie. Wyobrażał sobie, jak wielką przyjemnością będzie to, że ziemia się nie rusza, a żołądek nie oprotestowuje wybranej przez właściciela formy transportu.

– Właśnie z tym wiąże się dobra wiadomość – odparł Karagiozopoulos i postukawszy w reling, wskazał w lewo. – Wiesz, co tam jest?

– Nie.

– Morze Libijskie. Afrykę mamy na wprost, Azję na lewo-skos.

– Świetnie. Zmieniamy kurs i płyniemy polować na groźnie wyglądające bananowce?

Jorgos przysiadł na relingu i uśmiechnął się szeroko.

– Przechwyciliśmy dziś rano sygnał SOS od greckiego frachtowca, znajdującego się w okolicach wyspy Karpathos na Morzu Kreteńskim. Mieli niewielkie problemy i wprawdzie pomógł im inny statek, ale po rozmowie z kapitanem dowiedziałem się, że idą do Bejrutu. I że na pokładzie mają kilkudziesięciu Polaków, którzy próbują dostać się do Syrii.

– Co takiego? – Bronek na moment zamarł z papierosem między palcami. Potrząsnął głową, wpatrując się w oczy kapitana.

– Zaskoczony?

– Po jaką cholere moi ludzie mieliby tam płynąć?

– Tego dowiedziałem się już, rozmawiając po polsku z najwyższym stopniem żołnierzem na pokładzie. – Karagiozopoulos zrobił krótką przerwę, zastanawiając się nad czymś. – Musisz wybaczyć, chłopie, ale nie pamiętam nazwiska, miałem wtedy kaca wielkości lewiatana.

– Po co polscy żołnierze mieliby płynąć do Afryki? Jorgos, trudno mi w to uwierzyć.

– Czyś ty zgłupiał? Do jakiej Afryki?

– No, Syria...

– Syria, chłopie, leży w południowo-zachodniej Azji.

– Chyba nie masz racji – odparł niepewnie Polak.

Jorgos westchnął i pokręcił głową, a potem machnął ręką.

– Tak czy inaczej, dowódca mówił, że idą tam jako żołnierze armii francuskiej. Słyszałem zresztą, że Francuzi okopują się w Syrii od jesieni tamtego roku. Chodzą słuchy, że będą wspierać Turków, jak uderzą na nich Szwaby.

Bronek wgapił się w punkt za bakiem, który przed momentem wskazał mu Jorgos.

– Zmieniłem już kurs, idziemy do portu w Bejrucie – oznajmił Grek.

Zaniewski czuł, że serce wali mu jak młotem. Przypuszczał, że marynarze będą szukali sposobu, by odwdziaczyć się za uratowanie przed cypryjskimi nacjonalistami, ale takiego obrotu spraw się nie spodziewał. Polacy w Bejrucie? Nawet jeśli weszli w skład armii francuskiej, nie było żadnego powodu, dla którego mieliby tam przebywać.

– Jaki to kraj? – spytał Bronek.

– Liban.

Nie kojarzył, by Liban był w stanie wojny z Niemcami ani by ktokolwiek wspominał, że prowadzone mogą być tam działania wojenne.

– Jak długo będziemy tam płynąć?

– Pływa to...

– Wiem, wiem, pływa to gównem. Jak długo będziemy tam iść?

– Mamy tam jakieś dwieście lig... – Kapitan greckiego frachtowca ściągnął brwi i zawiesił wzrok gdzieś na horyzoncie. – Jeśli utrzymamy dziesięć węzłów, to jakieś trzy dni – powiedział w końcu.

– Nie możecie mnie po prostu gdzieś wysadzić? Tamci zgarną mnie po drodze.

– Tak ci spieszno od nas uciekać, co, chłopie?

– Nie, ale nadłóżycie sześć dni drogi.

– O nas się nie martw. Moi ludzie zwariują, jeśli ci się nie odwdzięczą. Tym bardziej że na razie zrobili to, pozbawiając cię broni.

Zaniewski spojrział przed siebie. Jeśli Jorgos miał rację, tysiąc kilometrów dalej znajdowało się wybrzeże Azji Południowo-Zachodniej. Bronek nigdy nie zastanawiał się nad tym, kiedy wojna dosięgnie inne kontynenty, skupiał się raczej na tym, ile czasu upłynie, zanim Rzesza zwróci się przeciwko swoim europejskim sąsiadom. Jednak fakt, że polscy żołnierze płynęli do Syrii, świadczył o tym, że coś musiało być na rzeczy.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Gottfried Leitner był zadowolony z fachowo wyprowadzonego „prawego z dołu”. Gdyby starszy brat to widział, zapewne byłby dumny. Kiedyś dwie godziny dziennie spędzał na szkoleniu go w technice walki wręcz. Gottfried lubił te lekcje i chłonał wszystkie rady jak gąbka. Dzięki temu mógł zaimponować rówieśnikom w szkole, którzy zazwyczaj patrzyli na niego krzywo. Uważali, że zyskał sobie przychylność nauczycieli dzięki rodzinnej renomie – i z dzisiejszej perspektywy Gottfried musiał uznać, że tamte dzieciaki miały rację.

Uczęszczał do tej samej szkoły w Bambergu, którą wcześniej kończyli jego dwaj bracia. Nazwisko Leitnerów było dobrze znane, a Gabriel i Christian kojarzeni byli przez kadre ze wzorowym zachowaniem i świetnymi osiągnięciami w nauce.

Czując presję środowiska i oczekiwania rodziny, że on także zapisze się złotymi zgłoskami w historii szkoły, postanowił wyróżnić się w inny sposób. Na początek zawałając kolejne egzaminy, choć kadra nauczycielska utrudniała mu realizację tego zadania najlepiej, jak potrafiła. Szybko został odsunięty przez rówieśników i powoli alienowano go coraz bardziej. Wszystko zmieniło się, kiedy zaczął boksować – choć nie był to jedyny powód, dla którego Gottfried zaczął się szkolić w tym kierunku.

Chciał być w czymś lepszy od Christiana. Nigdy nie postrzegał najstarszego z braci jako rywala, jako że ten odnosił sukcesy w sferze naukowej, która niespecjalnie interesowała Gottfrieda. Natomiast wysportowany Christian, radzący sobie nie tylko w boksie, był obiektem westchnień wielu kobiet i zawsze skupiał wokół siebie niemałą grupę zwolenników.

Gottfried nigdy nie chciał być taki jak on. Zamierzał być znacznie lepszy. Kwintesencją jego starań miało być pokonanie brata w walce bokserskiej. Niestety, kiedy nabył odpowiednich umiejętności, Christian wyjechał na studia. W domu bywał rzadko i zostawał na krótko, a potem zaciągnął się do wojska. Słuch po nim niemalże zaginął.

Młody Leitner westchnął, urywając rozważania. Nie, brat nie byłby z niego dumny. Przyłożył starcowi, który nie miałby z nim najmniejszych szans, nawet gdyby Gottfried wypił jeszcze jedną butelkę wina.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył idącego ku niemu Gabriela.

– Czyś ty zwariował? – zapytał gospodarz.

Protekcjonalny ton podzielał na chłopaka drażniąco.

– Jeśli ktoś tu zwariował, to ty, bracie. Jakiś staruch rzuca gnój na twoje imię, a ty siedzisz

spokojnie w ciepłym gabinecie, popijając piwo.

Gabriel pokręcił głową i skinął na Marię. Podeszli do leżącego na ziemi Sperlinga.

– Zobacz, czy oddycha – polecił pan domu.

Maria skwitowała w duchu, że mogła się tego spodziewać. Powinna wiedzieć, że każdy z braci Leitnerów jest nie zrównoważony i każdy robi to, co mu się żywnie podoba. Na swój sposób wszyscy mieli nierówno pod kopułami.

Przykucnęła obok starca i z niepokojem spojrzała na obitą twarz. Nie przypuszczała, że jeden – nawet siarczyście – cios może pozbawić człowieka przytomności. Sperling musiał oberwać z siłą, z jaką koń potrafi wierzgnąć. Wzdrygnęła się na samą myśl.

– Żyje – powiedziała. – Ale jeśli ma tak pozostać, musimy go stąd zabrać.

Najstarszy z braci obrócił się do Gottfrieda, ale ten wraz ze swoim towarzyszem już szedł w kierunku domu. Wymieniali się leniwie uwagami, jak gdyby nigdy nic. Najwyraźniej dla nich przedstawienie dobiegło końca.

– Musimy zabrać go do szpitala – odezwała się Maria.

– Nie – zaoponował Gabriel.

– W takim razie do domu...

Gospodarz pokręcił głową.

– Zostawimy go tutaj – zawyrokował. – Kiedy się ocknie, będzie miał nauczkę.

– To chyba nie najlepszy pomysł.

Nie najlepszym pomysłem było także to, by rozmawiać z panem domu jak równy z równym. Maria obawiała się, że Gabriel zaraz przywoła ją do porządku, ale ten zdawał się zupełnie nieświadomy naruszenia zasad. Wbijał wzrok w Heinricha i marszczył brwi.

Niestety nie on jeden był strażnikiem dobrych obyczajów w domu Leitnerów.

– Jak śmiesz... – zaczęła Helena. – Co ty sobie wyobrazasz, żydowska ladacznico?

Maria podniosła się i odwróciła. Obok gospodarza stała Algunde z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Przechyliła głowę na bok i przypatrywała się Polce, jakby miała widzieć ją ostatni raz.

Helena zbliżyła się do męża.

– Pozwalasz podludziom odzywać się do ciebie w taki sposób?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc zrób porządek.

Sterling poruszył się niespokojnie i to na nim Gabriel skupił całą uwagę.

– Słyszysz?

– Tak, tak – odparł. – Później ją ukarzę.

Pan domu machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Kobieta syknęła coś pod nosem, pokręciła głową, a ostatecznie wraz z Algunde odeszła. Polka odetchnęła. Zimna krew Leitnerów po raz kolejny ją uratowała.

– Nie ma za co – bąknął po chwili Gabriel.

Spojrzała na niego i uznała, że podziękowanie rzeczywiście byłoby na miejscu.

– Jestem wdzięczna, panie Leitner – przeszło jej z trudem przez gardło.

Starła się nie tytułować w ten sposób nikogo z rodziny, ani tym bardziej nie okazywać im żadnej wdzięczności. Ich naród najechał jej kraj, palił i niszczył wszystko na swej drodze. Nie zasługiwali na nic z tych rzeczy.

A tymczasem ona musiała im usługiwać i robić wszystko, co jej kazano. W pierwszych dniach stawiała opór, ale szybko przekonała się, że ci ludzie doskonale wiedzą, jak radzić sobie z takimi jak ona. W rezydencji były egzekwowane standardowe kary – na noc zamykano buntowniczkę

w piwnicy, by tam spędziły kilka godzin w towarzystwie pleśni i szczurów. Bardziej niepokorne służące traktowano batem normalnie używanym przy jeździe konnej. Do tego jednak Leitnerowie wprowadzili również inne zasady, bardziej dotkliwe.

Gdy któraś ze służących stawiała opór, reszta musiała znosić konsekwencje jej zachowania. Tak było pierwszego dnia, gdy Maria odmówiła usłudze Gabrielowi. Pan domu początkowo pozbawił resztę dziewczyn ciepłej pościeli na jedną noc, a później zmniejszył im racje żywnościowe. Reszta służących szybko zadbała o to, by niepokorna służąca podporządkowała się swojej roli. Algunde zresztą wydłużyła okres bez pościeli do dwóch tygodni.

– Zagalopowałeś się – dodał po chwili Gabriel, szturchając nogą Heinricha.

– Wiem.

– Otrzymałabyś razy batogiem, gdyby nie to, że Christian kazał dobrze cię traktować.

W głosie Gabriela wyraźnie zabrzmiała nuta szacunku, ale także tęsknoty. Najwyraźniej cenili brata.

– Doprawdy? – zapytała.

Gabriel zbył to pytanie milczeniem, chodząc wokół Sperlinga. Szturchnął go jeszcze raz, a ten uniósł jedną powiekę. Leżący popatrzył na gospodarza, jakby go nie dostrzegał, a potem spróbował bez skutku się podnieść.

– Pddccll... – wymamrotał.

– Słucham? – spytał Gabriel, pochylając się.

– Padalcu – powiedziała Maria.

Gabriel popatrzył na nią badawczo, a potem się uśmiechnął.

– To twoje czy jego słowa?

– Oczywiście, że jego, panie Leitner – odparła, również z uśmiechem.

Gospodarz wskazał jej wejście do domu, a potem oboje skierowali się do środka. Maria obawiała się o starca, temperatury w nocy były nadal niskie. Mimo to nie odezwała się słowem.

Gdy weszli do środka, Gabriel chwycił ją za rękę i zatrzymał. Zwalczyła naturalny odruch, by odtrącić jego dłoń.

– Poczekaj – powiedział.

Z trudem przełknęła ślinę, czując na sobie spojrzenia służących, którzy chwilę wcześniej obserwowali wydarzenia z okien. Większość z nich musiała zauważyć, że pan domu zatrzymał Polkę. Maria spojrzała na niego niepewnie.

– Nie bój się – dodał. – Chodź.

Poprowadził ją do swojego gabinetu, a ona zaczęła rozważać, jak daleko będzie gotów się posunąć. Cel tej nocnej schadzki był jasny. Gospodarz wypił sporo wina, a potem doprawił się piwem. Nie będzie pierwszym człowiekiem w historii, który spróbuje dobrać się do służącej.

Zamknął za nimi drzwi, a potem powiódł wzrokiem po gabinecie. Wyciągnął butelkę whisky i dwie szklance.

– Siadaj – polecił.

Z obawą zajęła miejsce przed biurkiem. Rozważała, na ile może mu pozwolić, zanim złapie za pierwszy lepszy przedmiot i dzieli go po głowie. Niechybnie przyjdzie jej uciekać, co łatwe nie będzie, bo Elisa została już zamknięta w części dla służących.

Pan domu napełnił jej szklankę do połowy.

– Pij.

Zamoczyła usta, skrzywiła się i odstawiła trunek. Gabriel opróżnił naczynie jednym haustem. Stał obok niej, a potem przysiadł na biurku. Podniosła niepewnie wzrok, spodziewając się, że

napotka lubieżne spojrzenie.

– Boisz się mnie? – zapytał, ściągnając brwi.

– Nie.

– Wyglądasz, jakbyś się bała.

– Obawiam się tylko tego, co mogę panu zrobić, jeśli...

Gabriel roześmiał się, unosząc dłonie.

– Nie mam niecnych zamiarów – zapewnił ją z uśmiechem. – Christian dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli spadnie ci włos z głowy, znajdzie dla mnie przytulną piwnicę przy Prinz-Albrecht-Straße.

Maria popatrzyła na niego pytająco.

– To kwatery Gestapo w Berlinie – wyjaśnił. – Ale mniejsza z tym. Powiesz mi, dlaczego mojemu bratu tak zależy na twoim bezpieczeństwie?

– Nie sądzę, by tak było.

– A jednak nie wspominał o tej drugiej, blondynce.

Polka wzruszyła ramionami, sięgając po trunek. Smakował gorzej niż stary olej, ale w tej sytuacji wypadało się napić.

– Nosisz jego bękartę? – spytał Gabriel.

– Na Boga, nie!

– Jesteś szpiegiem, którego chroni jako osobiste źródło osobowe?

– Chciałabym.

Pan domu obszedł biurko i dolawszy sobie whisky, zasiadł po drugiej stronie.

– W takim razie o co chodzi?

– Dobrze pytanie.

Zabębnił palcami o blat.

– Mój brat nie należy do niewiernych mężczyzn... właściwie to niedopowiedzenie. Nie znam nikogo, kto byłby bardziej oddany żonie.

Maria skinęła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Sama nie do końca mogła zrozumieć Leitnera, choć wytłumaczenie jego zachowania mogło być tylko jedno. Problem polegał na tym, że kłóciło się ze wszystkim innym, co zrobił.

– W dodatku jesteś Żydówką – dodał gospodarz. – Christian zaś...

– On nie wierzy w propagandę. A przynajmniej kiedyś nie wierzył.

Gabriel zawiesił na niej wzrok, a ona przez moment trwała w bezruchu. Odstawiła szklankę, mitygując się, że nie powinna wygłaszać takich osądów. Leitner nie zasługiwał na to, by mówić o nim cokolwiek dobrego.

– No dobrze... – odparł Gabriel i na moment zawiesił głos. – Widzę, że nie dowiem się niczego ani od niego, ani od ciebie. Nie będę naciskał.

– Dziękuję.

– Jeśli jednak będziesz chciała kiedykolwiek... – Pan domu urwał, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzał na nie skonsternowany, a potem przeniósł wzrok na zegar. – Wejść! – powiedział.

Z korytarza wychynęła Algunde i zamarła, widząc siedzącą przy biurku Marię. Przez moment stała z otwartymi ustami, nie odzywając się. Polka przeklęła w myśli starą rurę – teraz będzie miała z nią jeszcze gorzej.

– Panie Leitner... – podjęła Niemka. – Dziś niedziela i...

– Rzeczywiście! – odparł, klepiąc się w uda. – Już po dwunastej, oczywiście, chcesz

posprzątać.

Ponieważ Gabriel pracował za dnia, pozwalał robić porządek w swoim gabinecie tylko nocą. Wpuszczał tutaj jedynie Algunde, twierdząc, że w pokoju znajduje się zbyt wiele istotnych dokumentów, by mogły pałętać się tu osoby, którym nie ufa. Sam fakt, że wpuścił Marię, był czymś wyjątkowym.

Sprzątano gabinet raz w tygodniu, w nocy z soboty na niedzielę. Scenariusz zawsze był ten sam – Gabriel kończył pracę, szedł spać, a na posterunku pozostawiał Algunde. Rano brał gorącą kąpiel z solą, a potem wracał do gabinetu, sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Był pedantem i żadna inna służąca nigdy nie chciała zastępować Algunde – jeden krzywo ułożony dokument mógłby sprawić, że pan domu zmniejszy racje żywnościowe.

Stara stała w progu, czekając.

– Tak... – dodał Gabriel. – Dziś nie będziesz potrzebna.

– Ale...

– Maria posprząta.

Algunde sprawiała wrażenie, jakby jej głowa miała eksplodować. Poczzerwieniała ze złości, opierając się o framugę.

– Ależ, panie Leitner, to nie...

– Zamknę ją tutaj na klucz – powiedział. – Otworzę rano. Nie ma się czego obawiać.

Polka chciała zaprotestować, ale ostatecznie trudno było odmówić propozycji, która byłaby utarciem nosa Algunde. Uśmiechnęła się więc w duchu i milczała, czekając na dalszy rozwój wypadków.

– Muszę zaprotestować – powiedziała stanowczo stara służąca. – To niedopuszczalne, żeby taka...

– Wystarczy, Algunde.

Kobieta umilkła, zaciskając usta.

– Drzwi będą zamknięte, nic się nie stanie. A ty weź sobie wolne na tę noc, należy ci się trochę snu.

Ociągając się, Algunde w końcu zostawiła ich samych. Maria popatrzyła na gospodarza i stwierdziła, że sytuacja sprawiła mu trochę satysfakcji. Pociągnął kolejny łyk whisky, co z pewnością do mądrych posunięć nie należało.

– Wybacz – powiedział. – Będziesz tu tylko kilka godzin.

Maria również się napiła.

– Muszę cię zamknąć, inaczej nie zasnę.

– Rozumiem.

– Nie ruszaj niczego, co nie musi być ruszone, a potem spraw, by wszystko było tak, jak zostawiłem.

– Oczywiście.

– I miej się na baczności, bo Algunde może zaatakować.

Polka uśmiechnęła się do pana domu, a ten przez moment się zastanawiał, po czym nalał sobie ostatnią porcję whisky. Starał się jeszcze delikatnie wy badać, co łączy ją z Christianem, ale Maria nie miała zamiaru niczym się z nim dzielić. Zresztą co miałyby powiedzieć? Sama nie wiedziała, co ich łączy.

Jakiś czas później, gdy Gabriel miał już zbierać się do snu, rozległ się dźwięk klaksonu. Zaraz potem Polka usłyszała chrzęst ziemi pod oponami samochodu. Pojazd zatrzymał się przed wejściem na posesję.

Zeszli na dół, zaciekawieni i zaniepokojeni. Drzwi frontowe otworzył Hans, jeden ze służących. W progu pojawili się rozanieleni Gottfried i David wraz z dwiema towarzyszkami. Gospodarz zlustrował ich wzrokiem.

– Co to ma znaczyć? – zapytał bełkotliwie.

– Bracie! – krzyknął Gottfried. – Jesteś nawalony jak bela!

– Co to za kobiety?

Wißmann zrobił krok naprzód.

– Byliśmy w Memmelsdorfie, to rzut kamieniem... – zaczął.

– Wiem, gdzie jest Memmelsdorf, Davidzie – uciął pan domu, wskazując na dwie dziewczyny. Były nie mniej upojone od reszty towarzystwa. Jediną względnie trzeźwą osobą była Maria. – Kim one są?

– Poznaliśmy je w „Die Rosa Nashorn” i zaproponowaliśmy, by...

– Nie, to nieistotne – wpadł mu w słowo Gabriel, kręcąc głową.

Przez chwilę Polka miała wrażenie, że gospodarz straci równowagę. Ten jednak zapobiegliwie wsparł się o komodę.

– Nie będziecie spraszać tutaj... nie, nie w moim domu – powiedział, po czym skinął na Hansa. Zanim którykolwiek z młodzieńców zdążył zaproponować, służący wykonał niezwerbalizowane polecenie i zamknął drzwi.

Gabriel obrócił się do Marii.

– Cóż... – podjął. – Dołączą do Heinricha na zewnątrz. Może w ten sposób wróci im rozum.

– Pan Sperling opuścił teren rezydencji, panie Leitner – odezwał się usłużnie Hans.

– Ach, tak?

– Wstał o własnych siłach i oddalił się.

– Świetnie, świetnie... – wymamrotał Gabriel, następnie skinął na Marię i ruszył w kierunku swojego gabinetu. Podprowadził ją pod same drzwi, a potem wpuścił do środka. Algunde środki czyszczące zostawiła na korytarzu, więc Polka po drodze zabrała je ze sobą.

– Poradzisz sobie? – zapytał gospodarz.

– Wszystko będzie lśniło.

– Dobrze, dobrze... w takim razie zamykam cię. Nie miej żalu, to... inaczej nie mógłbym...

– Proszę iść spać, panie Leitner.

Uśmiechnął się do niej zdawkowo, a potem wyszedł na korytarz. Usłyszała chrzęst zamka i odetchnęła. Jakkolwiek reszta nocy miała upłynąć jej na sprzątanii, była wdzięczna losowi za chwilę samotności. Miała tylko nadzieję, że Elisa poradzi sobie bez niej.

Przesunęła wiadro, a potem namoczyła szmatę i zaczęła szorować podłogę. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że nie musi robić tego z tą przeklętą chustą. Ściągnęła ją i z radością poczuła na czole nieustannie przeszkadzającą grzywkę.

Dwie godziny po tym, jak Gabriel opuścił gabinet, Maria usłyszała przeraźliwy krzyk, który przeszył nocną ciszę. Zamarła na klęczkach i nasłuchiwała. Zaraz potem usłyszała uderzenie, a następnie huk, jakby coś się waliło.

Zerwała się na równe nogi i popędziła do wyjścia. Machinalnie chwyciła za klamkę, a potem zaczęła tłuc w drzwi rękoma.

– Hej! – krzyknęła. – Co tam się dzieje?

Nikt jej nie odpowiedział, ale usłyszała jakiś dźwięk na korytarzu. Wydawało jej się, że coś upadło nieopodal wejścia do gabinetu.

– Halo! Ktoś tam jest?

Spojrzała na drzwi i cała zeszywniała. Nagle zrobiła krok w tył, uświadamiając sobie, że po drugiej stronie leży ciało. Ciało tego, kto przed chwilą wydał z siebie przeraźliwy krzyk, rozbrzmiewający teraz echem w jej głowie.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Staszek obserwował Obelta, który wytrwale kręcił nożem w kości, którą tego dnia udało im się zdobyć. Z początku cierpliwie czekał, teraz jednak coraz bardziej się irytował. Kapitan robił, co mógł, ale ich dzisiejsze danie z trudem się kruszyło. Nie miało też żadnych walorów smakowych – dostarczało jednak niezbędnego wapnia, a to było na wagę złota.

Zaniewski przedstawiał towarzyszom kolejne fazy swojego planu i z zadowoleniem dostrzegał, że pokładają w nim coraz więcej wiary. Nawet wcześniej sceptyczny Zmitkiewicz zdawał się przekonany. Pomysł był śmiały, ale wykonalny. Kiedy tylko mogli bezpiecznie rozmawiać, poddawali pod dyskusję wszystkie jego aspekty.

– I co potem? – spytał cicho Czesław.

– Będziemy potrzebować cywilnych ubrań – odparł Staszek.

Obelt nie przywiązywał większej wagi do snucia rozważań na temat tego, co zrobią po opuszczeniu obozu. Skupiał się na tym, jak go opuścić – najlepiej o własnych siłach.

Zmitkiewicz pokiwał głową.

– Tak, to podstawa – powiedział. – Warto byłoby mieć też jakieś dokumenty i zamachać nimi Niemcowi przed nosem, kiedy przyjdzie do kontroli.

– Będziemy unikać zaludnionych miejsc. Nikt nas nie skontroluje.

– Ale jeśli...

– To dokumenty na nic się nie zdadzą. Narobią nam więcej problemów niż pożytku. Wiem z doświadczenia – odparł Staszek, uśmiechając się blade.

– Może, ale...

– Ćśśś! – uciszył go Zaniewski, spuszczaając szybko głowę.

– Co jest? – spytał Zmitkiewicz.

Obelt błyskawicznie wsunął nóż do rękawa. Za posiadanie ostrza była tylko jedna kara i żaden z nich nie chciał ryzykować. Szczególnie teraz, gdy wreszcie udało im się ukuć sensowny plan ucieczki z miejsca, z którego co do zasady ucieczka nie powinna być możliwa.

Po chwili podszedł do nich kapo, który zwrócił uwagę Staszka. Chłopak go nie znał, ale towarzysze mu o nim wspominali. Przed jego przybyciem do obozu został przeniesiony w inne miejsce, podobno do Flossenbürga. Obelt miał nadzieję, że ten człowiek już nigdy nie pojawi się w zasięgu jego wzroku, ale zeszłego dnia wypatrzyli go przy głównej bramie.

Zaniewski łudził się, że nigdy nie dane mu będzie go poznać. Niestety, więzień wrócił do obozu cały i zdrowy. I nadal cieszył się specjalnymi względami, urzędując na ich bloku jako kapo.

– Proszę, proszę – powiedział po polsku, uśmiechając się na widok Obelta i Zmitkiewicza. – Myśleliście, że macie mnie z głowy?

Żołnierze nie odpowiadali.

– Pod moją nieobecność musieliście mieć tu sielankę. Widzę, żeście utuczeni jak dwa świniaki.

– Mhm – burknął Obelt, zaciskając usta.

Zaniewski nie wiedział o tym mężczyźnie wiele. Nazywał się Tobiasz Kaniak i zanim trafił za druty Mauthausen, był zawodowym plutonowym Wojska Polskiego. Obelt pałał do niego czystą

nienawiścią. Twierdził, że sprzeniewierzył się wszystkiemu, co stanowiło podwaliny narodu polskiego. Nie dość, że współpracował w obozie z Niemcami, to jeszcze czerpał z tego niebywałą przyjemność. Znęcał się nad innymi więźniami, nieraz znacznie okrutniej niż esesmani. Nie miał żadnych zahamowań, a w dodatku na każdym kroku podkreślał swoją wyższość nad innymi osadzonymi.

Obelt powtarzał, że jeśli dane by mu było ubić jedną osobę w obozie, wybrałby Tobiasza Kaniaka. Odczucia były zresztą obustronne. Każdy inny kapo, a nawet niektórzy esesmani odnosili się do kapitana inaczej niż do reszty więźniów. Bywało, że traktowali go z godnością, podczas gdy Kaniak zawsze pomiatał nim na każdym kroku.

– I jakiegoś nowego sobie przygruchaliście – zauważył kapo. – Obaj go penetrujecie czy tylko szef ma specjalne względy? – zapytał, patrząc na Zmitkiewicza.

Obelt podniósł się z pryczy i odszedł kawałek.

– No, jak cię zwą? – zapytał Tobiasz, przyglądając się chłopakowi. – Mała dziwka czy może jakoś inaczej?

– Staszek Zaniewski.

Kaniak patrzył na niego z niesmakiem, jakby w jakiś sposób przedstawienie się miało go urazić. Zbliżył się do niego, a potem powoli wyciągnął z kieszeni zaokrąglony kamień, mieszczący się w dłoni. Pokrywał go bordowy nalot.

– Widzisz to?

Zaniewski skinął niepewnie głową, dostrzegając, że Zmitkiewicz się krzywi. Naraz zrozumiał, że to atrybut władzy tego człowieka. Zrozumiał także, że niechybnie nim oberwie. Właściwie nie powinno go to dziwić, Tobiasz nie był dobrze zbudowany. Bez tego dodatku trudno byłoby mu sprać nawet wymizerowanego więźnia.

Zanim Zaniewski dobrze się nad tym zastanowił, kapo wziął zamach. Kamień trafił chłopaka prosto w skroń, aż zahuczało mu w głowie. Potem Kaniak poprawił z drugiej strony i przyglądał się efektom swoich poczynań. Uderzył raz jeszcze, wyprostował się i schował kamień.

– Posłuchaj – powiedział koncyliacyjnie. – Musisz sobie zasłużyć, by móc się do mnie zwracać wprost.

Staszek pokornie pokiwał głową, nie odzywając się. Kapo stał przy nich jeszcze przez moment, czekając chyba, aż Obelt lub Zmitkiewicz się odezwą. Obaj jednak wbijali wzrok w podłogę, licząc, że Kaniak da spokój. Ten w końcu się oddalił, by poszukać innych osadzonych, których jeszcze nie znał.

Zaniewski westchnął, ocierając strużkę krwi z czoła.

– A na tego jak mówicie? – zapytał.

– Skurwysyn – odparł głośno Obelt, po czym wrócił na swoje miejsce i znów zajął się kruszeniem kości.

– Lepsze to niż Torba czy Sznycel – zauważył Staszek.

– Spodziewać by się można, że Polak będzie trzymał ze swoimi, ale to wyjątkowa kanalia – dodał Czesław. – Jak był tu wcześniej, zawsze chodził za nim młody Cygan. Kaniak zrobił sobie z niego nawet nie pomagiera, ale niewolnika. A jak mu się znudził, zabił go.

– Miał równie parszywy sposób zdobywania jedzenia – dodał kapitan.

– Jaki?

– W nocy mordował kogo popadnie, byle rano przejąć jego porcję – wyjaśnił Zmitkiewicz.

– Nagminnie – dopowiedział Obelt, podając towarzyszom kawałki kości.

Posilili się, a potem kapo wypędził ich na zewnątrz, by kontynuowali pracę. Tego dnia trzem

Polakom udało się znaleźć w grupie roboczej, która pracowała na skarpie. Staszek stanął nad urwiskiem i rozejrzał się.

Miejsce to znajdowało się między drogą dojazdową do obozu a stu osiemdziesięcioma sześcioma schodami śmierci. Zazwyczaj stali tutaj nie ci, którzy planowali ucieczkę, ale ci, których nazywano spadochroniarzami. Miesiąc temu Zaniewski patrzył na to miejsce z dołu, po raz pierwszy obserwując, jak nieszczęśnicy spadają na postrzępione skały. Miał nadzieję, że nigdy nie postawi tutaj stopy, wciąż pamiętając makabryczny obraz roztrzaskanych ciał. Od jakiegoś czasu jednak wiedział, że będzie musiał się tu pojawić.

Gdyby dziś Niemcy chcieli się zabawić w zrzucanie więźniów, cały plan Staszka spaliłby na panewce. Przerzucił kilka kamieni, ale nagle zeszywniał, słysząc krzyk dochodzący gdzieś z dołu.

– Błagam, nie! – wydarł się jakiś więzień.

Staszek przerwał pracę i obrócił się za siebie, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma żadnego esesmana, który jednym delikatnym kopnięciem zakończyłby jego żywot. W najbliższej okolicy nikogo nie było i Polak wychylił się nieznacznie za urwisko, spoglądając w dół.

Zobaczył grupę siedmiu mężczyzn, których ustawiono tuż pod kamienną skarpią. Przed nimi stało kilku rozbawionych esesmanów, choć początkowo Staszek nie mógł stwierdzić, co ich tak bawi. Dopiero potem dostrzegł młodego chłopaka, który czołgał się przed Niemcami. Starą się złapać któregoś za but, ale ci szybko odtrącali jego dłonie, jakby odganiaли karalucha.

– Prawie cię miał! – krzyknął jeden z esmanów.

– Patrz, jak bierze!

– Lepiej niż wygłodniałe zwierzę.

Zarechotali, podczas gdy biedak próbował schwycić czyjś but. Skomlał przy tym, błagając o litość. Dźwięk niósł się w górę i Zaniewski nie miał problemu z wyłowieniem szloch.

– On już na oczy nie widzi – zauważył jeden z Niemców.

– Podstaw mu swoją śmierzdzącą girę, będzie szedł na węż.

Znów roześmiali się w głos. Pozwolili więźniowi jeszcze przez chwilę się czołgać, zapewniając go, że jeśli tylko schwyci but, darują mu życie. W końcu jednak zabawa im się znudziła, a Polakowi nie udało się osiągnąć celu.

Gdy śmiech przebrzmiał, nieszczęśnik przerwał swoje starania i podniósł wzrok. Jeden z Niemców zbliżył się, wyciągając pistolet.

– Dlaczego? – zapytał więzień.

Esesman wymierzył w głowę, a potem zakończył cierpienia biedaka. Jego ciało padło jak kłoda na ziemię, a zaraz potem pozostali wyciągnęli swoje walthery. Wycelowali w stojących pod skarpią więźniów.

– *Bitte... erbarme...* – wydukał jeden z osadzonych.

– Niech pan ma litość, zostawiłem w domu...

Rozległ się huk wystrzałów, który zastąpił błagania, próby przekupienia oprawców i inne dramatyczne starania, by uratować życie. Krew rozbryznięta się na skalnej ścianie za Polakami, a ich ciała opadły na ziemię. Potem jeden ze strażników podszedł do biedaka, który nie miał na tyle szczęścia, by zginąć od razu.

Stanął nad nim i kopnął go, przyglądając się. Więzień jęknął z bólu, a Staszek dostrzegł z góry, że z brzucha wypływają mu trzewia. Niemiec pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że podludzie robią problemy nawet w takiej sytuacji. Strzelił mu w głowę, a potem się oddalił.

Zaniewski wrócił do swoich zadań.

Zrobił tego dnia wszystko, co miał zrobić, starając się nie rozpamiętywać wydarzeń pod urwiskiem. Kiedy wieczorem wchodził po przeklętych schodach, miał poczucie, że dzięki temu dramatycznemu widokowi zdwoił swoje wysiłki. Wszystko wskazywało na to, że jemu i jego towarzyszom uda się uniknąć okrutnego losu.

Zmienił zdanie, gdy po drodze zatrzymał go jeden z esesmanów. Stał przed nim, a potem odciągnął go na bok. Byli na dziewięćdziesiątym pierwszym stopniu.

Zaniewski spojrzał w górę, a potem z trudem przełknął ślinę. Nie znał tego Niemca i nie miał pojęcia, czego od niego oczekuje. Ten szturchnął go karabinem, jakby było to konieczne, by przykuć jego uwagę.

– Masz się rano dobrze umyć, zawszony Polaku – powiedział po niemiecku. – A potem dokładnie ogolić, jasne?

Oprawca mówił na tyle szybko, że Staszek zrozumiał jedynie epitet. Rozłożył bezradnie ręce.

– *Nicht ferstehe* – wydukał.

Niemiec był wyraźnie zdenerwowany. Powiódł wzrokiem wokół, a potem zamachnął się i obróciwszy karabin w dłoń, przyłożył Zaniewskiemu kolbę. Ten zachwiał się, z przestachem myśląc o tym, jak długo spadałby po schodach, nim by się zatrzymał.

Esesman podniósł broń, skupiając na sobie uwagę przechodzących.

– Który mówi po niemiecku? – zapytał.

Jeden z osadzonych ostrożnie uniósł dłoń i został wezwany na tłumacza. Niemiec powtórzył to, co już wcześniej powiedział Staszekowi, a więzień skinął głową.

– Będziesz przesłuchiwany – dodał strażnik.

Zaniewski wiedział, że lepiej nie pytać o powód. Spuścił wzrok, czekając, aż esesman pozwoli mu iść dalej. Ten po chwili uderzył go w plecy, więc Polak ruszył przed siebie.

Dotarli na górę, zobaczyli Obelta i Zmitkiewicza. Obaj ustawili się już w równym rzędzie na wieczorny apel. Idąc ku nim, usłyszał wystrzał i głośne szczekanie. Obrócił głowę w bok i zobaczył psa przywiązanego do wbitego w ziemię pała. Zwierzę biegło wokół, ujadając głośno. Było zupełnie zdezorientowane, co wyraźnie cieszyło wartowników. Kiedy tylko kundel się uspokajał, oddawali kolejny strzał.

Zaniewski stanął obok towarzyszy.

– Skurwiele – ocenił Zmitkiewicz. – Zawsze strzelają tak, by przypadkiem nie trafić, bo wtedy kończy się zabawa.

Szczęśliwie dla zwierzęcia, tym razem jeden z esesmanów źle wymierzył i zakończył jego życie. Szybko przywołano kilku więźniów, by odwiązali psa i zakopali truchło. Niemcy wyciągnęli papierosy i zajęli się rozmową, oddalając się kawałek.

Wezwani więźniowie skorzystali z okazji i z pomocą własnoręcznie wykonanych narzędzi pokroili ciało psa. Wrzucili kilka części do dołu, a resztę upchnęli pod ubrania. Potem zakopali dziurę.

– Wezwali mnie na przesłuchanie jutro – szepnął Staszek.

Obelt i Czesław spojrzeli na niego ukradkiem. Szybko jednak zmitygowali się i wrócili do poprzedniej pozycji.

– Po co? – spytał cicho Zmitkiewicz.

– Bóg jeden wie.

– To komplikuje sprawę – zauważył Obelt.

– Niekoniecznie. Jak nie wrócę, wiejcie beze mnie.

Żołnierze nie odpowiadali, bo nie było nic do powiedzenia. Nie było to miejsce ani czas na

składanie szlachetnych deklaracji bez pokrycia. Po chwili zza budynku wyszedł Jerker i natychmiast wbił wzrok w trzech Polaków. Zaniewski był przekonany, że kapo nie widział, że rozmawiają, ale jego wzrok kazał sądzić, że jednak się pomylił.

Z dwójga złęgo wołał jednak mieć do czynienia z Jerkerem niż z byłym plutonowym. Niemiec podszedł do nich, wyciągając palicę. Okładał ich przez chwilę, obrzucił stekiem wyzwisk, a potem odpuścił. Gdyby karę wymierzał Kaniak, mogłoby być znacznie gorzej.

Staszek nie sądził, by kiedykolwiek docenił fakt, że czuwa nad nimi Jerker. Ich blok nie należał do szczęśliwych. Gdzieniedzie grupy więźniów miały nad sobą normalnych, polskich kapo. Tacy ludzie traktowali swoich rodaków lepiej niż pozostałych osadzonych. W dodatku mścili się na niemieckich więźniach, jak tylko mogli – i o ile esesmani tego nie widzieli.

Niektórzy mówili, że polski kapo to zdrajca, inni, że zbawca. Prawda leżała zapewne gdzieś pośrodku i wszystko zależało od człowieka.

– Posłuchaj... – odezwał się szeptem Obelt, przerywając jego rozmyślenia.

Zaniewski spojrział na szkopów, a potem na kapitana.

– Nie okazuj tam słabości – kontynuował. – Najmniejszego przejawu strachu uczepią się jak rzep psiego ogona i będą na tym żerować. Będą drążyć, aż wydlubią ci dziurę w mózgu.

– Mam im się stawiać? Równie dobrze mogę zaraz pobiec pod ogrodzenie.

– Współpracuj na tyle, na ile nie zaszkożysz sobie ani nikomu innemu. Ale nie okazuj słabości, bo to cię zgubi.

Staszek pokiwał głową, choć właściwie nie wyobrażał sobie, jak mógłby wcielić w życie porady Obelta.

– Nadal nie rozumiem, po co go wzywają – mruknął Zmitkiewicz.

Zaniewski znów się rozejrzył. Strażnicy i kapo byli zajęci w innym sektorze placu.

– Może ktoś posłyszał, o czym rozmawiamy – podsunął Staszek.

– Nie żartuj – odparł Czesław z uśmiechem. – Gdyby tak było, w nocy przyszedłby esman albo Jerker, a rankiem chowałibyśmy cię za placem apelowym.

OKOŁO 15 MIL MORSKICH OD WYBRZEŻY AZJI POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ, MORZE ŚRÓDZIEMNE, LUTY 1940 ROKU

Bronek stał na dziobie „Aigokerosa” i wbijał półprzytomny wzrok w bezkres oceanu. Raz po raz gładził się po brodzie, myśląc o tym, że urosła do rozmiarów, które według standardów Wojska Polskiego byłyby niedopuszczalne.

Po raz pierwszy od długiego czasu był absolutnie trzeźwy. Grecy mieli to do siebie, że nie żalowali ouzo, a odkąd pokonali Cypryjczyków, dbali o to, by Polak zawsze miał w czym usta zamoczyć. Mówili na niego *skopectis*, co najpewniej oznaczało strzelca wyborowego.

Bronek na dobre uświadomił sobie swoje osiągnięcie dopiero, gdy w końcu wytrzeźwiał. Uznał, że Gavril byłby dumny, zresztą nie tylko on. Gdyby widział to ojciec, który zabierał go za młodu na treningi strzeleckie do lasu, byłby wniebowzięty. Ale będzie musiało wystarczyć mu to, że Bronek przekuje swoje nowo nabyte umiejętności na stopy niemieckich ciał.

Uśmiechnął się na samą myśl, że w końcu dołączy do wysiłku wojennego rodaków. Zanim jednak zdążył odpłynąć myślami, usłyszał za sobą kroki. Obrócił się i spostrzegł Kaklamanisa Papaspyrou i trzech uśmiechniętych marynarzy. Jeden z nich dzierżył wiadro z czerwoną mazią, drugi pędzel z szerokim włosiem, trzeci natomiast grubą linę.

– Co to ma być? – zapytał Zaniewski.

– Taka nasza tradycja – wyjaśnił jeden z nich.

Zbliżyli się ostrożnie, jakby spodziewali się, że Polak ich zaatakuje.

– Chyba mi się nie spodoba.

– Chyba nie – potwierdził Papaspyrou.

Zanim Bronek zorientował się, że ich uśmiechy są sztuczne, a ostrożność bynajmniej nieporozumowana, było już za późno. Znaleźli się tuż obok, szybko go unieruchomili, a Kaklamanis obwiązał jego ciało liną.

– Nieźle – powiedział. – Nie byłem gotowy.

Zaśmiał się pod nosem, ale żaden z towarzyszy nie odpowiedział tym samym. Zaniewskiemu naraz przemknęła przez głowę niepokojąca myśl. Tak naprawdę nie wiedział, dokąd płynęli. Nawet gdyby Jorgos pokazał mu busołę i mapę, niewiele byłby w stanie stwierdzić na otwartym morzu, w nieznannej części świata.

Jego springfield zaś znikł w wyjątkowo wygodny sposób.

Szybko skarcił się w myśli za absurdalne scenariusze. To oczywiste, że chodzi o jakąś marynarską tradycję. Nikt tutaj nie był do niego wrogo nastawiony. Powiódł wzrokiem po mężczyznach, gdy ci wymieniali się jakimiś uwagami po grecku.

– Po co to wiadro i pędzel? – zapytał Kaklamanisa.

Ten obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem i kontynuował rozmowę. Bronek musiał przyznać, że po raz pierwszy widział w oczach bosmana taką niechęć.

Po chwili zza nadbudówki wyszedł kapitan. Powiedział coś do swoich załogantów, na co odpowiedzieli mu podniesionymi głosami. Uniósł rękę, ucinając dyskusję. Dopiero wtedy spojrzał na Polaka.

– Jorgos, co to ma...

– Milcz.

Zaniewski słyszał już zasadniczy ton kapitana. Ale teraz nie miał nic wspólnego z tym, którego używał, wydając rozkazy w kryzysowej sytuacji. W oczach Karagiozopoulosa Bronek dostrzegł coś niepokojącego – jakiś pierwiastek szaleństwa, który wcześniej ignorował.

– Dobra – odezwał się. – Zabierajcie się do umazania mnie tym i miejmy to z głowy.

Jorgos ustawił się w centralnym miejscu pokładu, po czym uniósł rękę.

– Posejdonie, królu mórz i oceanów, wzburzonych i spokojnych wód! – odezwał się tubalnie.

Błysk szaleństwa w jego oczach stał się tak wyraźny, że zdawał się oślepić samego kapitana. Zaniewski dobrze kojarzył ten wzrok. Widział go, ilekroć spoglądał w oczy Blankenburga.

Z niedowierzaniem obserwował zmianę, jaka zaszła w kapitanie greckiego frachtowca. A może dostrzegał coś wcześniej? Albo dostrzegłby, gdyby cały czas nie podawano mu ouzo? Nie, było to śmieszne założenie. Tak samo jak śmieszne było odwoływanie się do starożytnego greckiego bóstwa.

– Posejdonie, władco oceanicznych głębi! Właścicielu morskiej domeny! Oto naznaczamy szczura lądowego, który wtargnął na twoje królestwo i splamił je swoją obecnością!

Bronek naprężył wszystkie mięśnie i starał się rozciągnąć krępujące go sznury, by później, rozluźniając ciało, uzyskać więcej miejsca. Żarty czy nie, nie miał zamiaru pozostawać bierny.

– Posejdonie, włodarzu wodnych czeluści, zwierzchniku marynarzy! W twoim imieniu naznaczamy tego, który w twoich głębinach zakończy swoje życie!

Karagiozopoulos opuścił rękę, a potem skinął na stojących obok Kaklamanisa członków załogi. Ci zanurzyli pędzle w wiadrze, a potem wysmarowali Zaniewskiemu twarz czerwoną farbą. Początkowo próbował się bronić, rzucając głową na lewo i prawo, ale po chwili uznał, że to bezcelowe.

– Niech was... – urwał, gdy trochę farby dostało mu się do ust.

Jeśli to były żarty, Grecy posunęli się trochę za daleko.

– Posejdonie, synu Rei i Kronosa! Przybądź na morskim rydwanie i zabierz tego szczura lądowego! – krzyknął Jorgos.

Marynarze wrzucili Bronkowi pod koszulę coś oślizłego, co nie pachniało przesadnie dobrze. Zaniewski szybko skonstatował, że wszedł w bliższą relację z dwoma martwymi rybami. Za plecami usłyszał szepty marynarzy, wciąż prowadzone po angielsku. Mówili coś o braku ratunku, sygnale SOS, niechybnym końcu i innych mało optymistycznych sprawach.

Kapitan Karagiozopoulos tymczasem kontynuował.

– Posejdonie, przyprowadź swe konie wodne i zabierz go! Połknij go, tak jak Kronos połknął ciebie!

Jeden z majtków podał mu wieniec laurowy, a Jorgos z pietyzmem założył go na głowę. Drugi marynarz wyciągnął ku niemu atrybut Posejdona, trójząb. Karagiozopoulos chwycił go, a potem uniósł w kierunku nieba. Drugą rękę wycelował w Bronka.

– Zabierz tego szczura lądowego, a oddaj nam wilka morskiego! – ryknął.

Zaniewski przełknął ślinę.

– Wilka morskiego, który od tego momentu zwać się będzie Brzask Egejski!

Wszyscy marynarze ryknęli coś po grecku jak jeden mąż. Unieśli ręce, a potem zaczęli klaskać, jakby na ich oczach właśnie miał miejsce jakiś cud. Część była tak wstawiona, że ledwo trafiali w swoje dłonie.

Kaklamanis znalazł się tuż przy Zaniewskim wraz z dwoma innymi załogantami, którzy trzymali wiadra pełne wody.

– Powstań, Brzasku Egejski! – ryknął Jorgos.

Marynarze unieśli wiadra, a kapitan opuścił trójząb, celując nim w Polaka.

– Ku chwale Brzasku Egejskiego! Wybawiciela „Aigokerosa”! Pogromcy cypryjskich piratów!

Na tę komendę mężczyźni wylali mu na głowę wiadra, dopełniając osobliwego chrztu morskiego. Zaniewski potrząsnął głową, rozchlapując na nich wodę. Wydawało się, że wszystkim im cała sytuacja sprawiła dziką przyjemność.

– Jesteście nienormalni – zauważył Broniek.

– Tak to jest, jak się spędza za dużo czasu na morzu – odparł Jorgos.

– Niech będzie. Ale te dwie ryby moglibyście już...

– Nie zadomowiły się? – zapytał rozbawiony kapitan.

– Zabieraj je, Jorgos, albo...

– Dobrze, już dobrze – odparł Karagiozopoulos i dał znak marynarzom, by rozwiązali Polaka. Ledwo dwie ryby wymsknęły się zza koszuli, Zaniewski pochylił się, podniósł je, a potem cisnął nimi w Kaklamanisa i resztę.

Jorgos podał mu papierosa, a potem podpalił.

– Przez moment wydawało ci się, że po tobie – zauważył.

– W żadnym wypadku.

– A ten strach w twoich oczach skąd się wziął?

– Z obawy, że rozwalę ci łepetynę, jak tylko mnie rozwiążecie.

Karagiozopoulos rozłożył ręce.

– To nie moja sprawka. Wszystko obmyślił Kaklamanis.

Bronek zaciągnął się i wypuścił dym na bok.

– Tak czy inaczej masz teraz morskie imię – dodał kapitan.

– Brzask Egejski nie brzmi zbyt dobrze...

– Nieistotne – odparł Jorgos, odpalając papierosa także sobie. – Sukcesywnym karmieniem Posejdoną przekonałeś go, że trzeba cię przyjąć w poczet wilków morskich.

– Jestem zaszczycony – bąknął Zaniewski.

– Prawdziwy zaszczyt spotka cię pod pokładem.

Polak obrócił się do rozmówcy i spojrzął na niego z niepokojem.

– Co? To nie koniec?

– Oczywiście, że nie. Musimy to uczcić.

Tym razem jednak nie była to popijawa taka, jak po przegonieniu Cypryjczyków. Kapitan pozwolił wprawdzie rozlać rum chowany przez jednego z kuków, ale potem rozgonił towarzystwo do kajut, argumentując, że po świcie czeka ich wiele roboty.

Następnego dnia nikt nie budził Zaniewskiego. Wstał dopiero po śniadaniu i czekał na niego gotowy posiłek. Zjadł szybko, chcąc już zająć miejsce w nadbudówce i wypatrywać stałego lądu.

Gdy wyszedł na pokład, zobaczył Karagiozopoulou stojącego na dziobie. Oparł się rękoma o reling i wbijał wzrok w widok przed sobą. Zaniewski dostrzegł majaczący na horyzoncie port w Bejrucie.

Nigdy nie oglądał nawet zdjęć z Afryki – czy, jak chciał Jorgos, Azji – i niewiele wiedział o tych stronach. Syria i Liban były dla niego enigmatycznymi, nic niemówiącymi nazwami. Z trudnością wyobrażał sobie, jak wygląda tam zwyczajne życie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Najważniejsze było, że niebawem znów stanie na stałym lądzie, a potem dołączy do rodaków.

– Ahoj, Brzasku Egejski – powitał go Jorgos.

– Ahoj, panie kapitanie – odparł Zaniewski, zajmując miejsce obok.

Stali w milczeniu, wpatrując się w linię brzegową.

– Wczoraj nękała mnie jedna kwestia – odezwał się Bronek.

– Tylko jedna?

– Co oznacza skrót SOS?

– *Save our souls*. Ratujcie nasze dusze.

Zaniewski przyjął tę informację jako prawdę, ale zaraz spostrzegł, że Jorgos uśmiechnął się krzywo.

– A przynajmniej taka jest wersja dla tych, którzy nie muszą wiedzieć – dodał Grek. – W rzeczywistości chodzi o to, że łatwo nadać litery „S” i „O” alfabetem Morse’a. CQD, pan-pan i mayday trochę gorzej.

Bronek pokiwał głową.

– Ale to przypadkiem nie szkopy wymyśliły? – spytał.

– Ano niestety, właśnie oni.

– To dlaczego...

– Przystaniesz drążyć? – zapytał Jorgos, obracając się przez ramię. Posłał bosmanowi pytające spojrzenie, a ten ze spokojem pokiwał głową. Najwyraźniej doszło do jakiejś wymiany informacji, której Zaniewski nie był w stanie zrozumieć.

– O co chodzi? – chciał wiedzieć.

– O nic. Sprawdzam, czy nawigator i Kaklamanis mają wszystko pod kontrolą.

Bronek spojrzął przed siebie.

- Przecież port jest na wprost. Co to za sztuka, podpłynąć tam?
- Niełatwo będzie wprowadzić tam „Aigokerosa”.
- O czym ty mówisz?

Greki westchnął, drapiąc się po brodzie.

– Dotychczas trzy razy tu zawijałem – powiedział. – Raz będąc nawigatorem na łajbie zwanej „Voskos”, dwukrotnie natomiast prowadząc tę krypę.

Bronek wyteżał wzrok, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby stanowić przeszkodę dla niewielkiego frachtowca.

– Za każdym razem, kiedy tylko zbliżałem się do kei portu w Bejrucie, los zdawał się mówić mi, że powinienem zawrócić.

– Dlaczego?

– Pierwsza i druga wizyta zakończyły się stratami finansowymi. Poobijaliśmy inne statki, najedliśmy się sporo stresu i odechciało nam się kolejnych odwiedzin w tym porcie. Mimo to zjawiliśmy się tu po raz trzeci.

Jorgos zniżył głos. Po wczorajszej wesołości nie było śladu.

– Musieliśmy pożegnać się wówczas ze Spiridonem Polymerosem, młodym chłopakiem, który był odpowiedzialny za obsługę jednej z cum rufowych. Nie miał doświadczenia, więc przydzieliłem go do mało wymagającego zadania. Nikt nie zwracał na niego uwagi. – Karagiozopoulos pociągnął mocno papierosa. – Dopiero po kilku minutach jeden z moich ludzi zorientował się, że młody Spiridon znikł. Szukaliśmy go, ale bez skutku.

– Co się z nim stało?

– Jakiś czas później ciało wypłynęło w porcie. Musiał wpaść do wody, do dziś nie wiem dlaczego. Wszyscy jednak byliśmy zgodni, że nad tym pieprzonym portem wisi jakieś fatum.

Zaniewski nie wierzył w złe omeny, ale słuchając tej historii, tym bardziej docenił to, że marynarze zdecydowali się wysadzić go właśnie tutaj. Kiedy znaleźli się na wodach przybrzeżnych, na pokładzie „Aigokerosa” zapanowała nienaturalna cisza.

Potem przerwał ją okrzyk kapitana:

– Klarować kokpit!

– Tak jest! – odparł żywo stojący najbliżej marynarz, po czym przekazał wieść dalej.

Na pokładzie zapanował chaos, a przynajmniej tak początkowo wydawało się Polakowi. Potem dostrzegł, że każdy zna swoje miejsce i dokładnie wie, co ma robić. Wyglądało to wszystko dość podniośle, ale po chwili Bronek przekonał się, że większość załogantów po prostu czyści łajbę, by prezentowała się dobrze w porcie.

Kapitan Karagiozopoulos, jak każdy inny szanujący się dowódca statku, przykładął dużą wagę do tego, by wejście do jakiegokolwiek portu, choćby najbardziej obokurnego w regionie, odbyło się w odpowiedniej atmosferze i we właściwej formie. Zarówno załoga, jak i statek mieli odpowiednio się prezentować.

Gdy Jorgos otaksował Zaniewskiego spojrzeniem, ten zrozumiał, że wypadałoby dopiąć koszulę i schować ją do spodni.

– Zadowolony? – spytał, zaciskając pasek.

– Niespecjalnie, ale lepiej chyba nie będzie.

Zanim Bronek zdążył odparować, Karagiozopoulos puścił do niego oko, a potem skierował się na śródokręcie i po chwili zniknął na mostku, gdzie pochylił się nad przyrządami.

Kiedy pokład został uprzątnięty, a marynarze doprowadzili się do przyzwoitego stanu, „Aigokeros” obrócił się rufą do portu. Gdy zaczął powoli zbliżać się do kei, Zaniewski stanął

obok majtka, który wcześniej przyjmował zakłady.

– Czemu podchodzimy w ten sposób? – zapytał go.

Chłopak wskazał na niewielki budynek w oddali.

– Kapitan portu, Ahmed... Abdullah... cholera, nie pamiętam, jak się zwie, nakazał jakiś czas temu, by wszystkie jednostki podchodziły rufą.

– Wygląda to trochę niebezpiecznie.

– I w tym przypadku faktycznie jest – potwierdził chłopak. – Ale „Pierwszy po Bogu” sobie poradzi.

Chwilę później Zaniewski obserwował, jak załoga w pełnym skupieniu prowadziła dwie liny cumownicze pod relingiem na rufie, przygotowując się do rzucenia ich. Dwóch załogantów w grubych rękawicach patrzyło na Araba stojącego na nadbrzeżu. Ten dzierżył równie grubą i ciężką linę, czekając, aż będzie mógł rzucić ją na pokład. Reszta załogi była ustawiona na burtach, gotowa, by zgłosić jakikolwiek błąd przy wprowadzaniu do portu.

Arab w końcu cisnął murinę na pokład, a ten szybko został bosakami schwycony przez Greków. Przytwierdzili go do knagi na dziobie i sprawdzili mocowanie. Statek powoli przybliżył się do miejsca, gdzie powinien zupełnie wytracić prędkość.

– To ma nas utrzymać? – zapytał Zaniewski.

– Jest przymocowane do nabrzeża i dna portu. Wystarczy – odparł majtek, a potem obrócił się i oddalił.

Bronek nawet tego nie zauważył. Wbijał wzrok przed siebie i napawał się widokiem lądu. Na nadbrzeżu panował chaos, wydawało się, że nikt tutaj nad niczym nie panuje. Nad kotłującymi się ludźmi unosiły się tumany kurzu, wszyscy na siebie pokrzykiwali, żywo gestykulowali i kłócili się.

Po kilku chwilach stwierdził, że znów się pomylił. Był w tym wszystkim jakiś zamysł i czyjaś ręka, która sterowała poszczególnymi grupami kupców, rybaków, marynarzy i przypadkowych przechodniów. Gwar był ogłuszający, ale głos kapitana przedarł się przezeń bez trudności.

– Teraz! – wydał komendę Karagiozopoulos.

Wszyscy załoganci, którzy do tej pory obserwowali burty statku, niemal w tym samym momencie przełożyli przez nie obijacze. „Aigokeros” w zółwym tempie dobił do nabrzeża.

Bronek wsłuchiwał się w harmider na lądzie. Rzęzące dźwięki zdawały się nie mieć nic wspólnego ze słowami. Ludzie w turbanach, kefijach i abajach sprawiali wrażenie, jakby na siebie pochrząkiwali, a nie rozmawiali. Zaniewski dałby wszystko za słownik, a najlepiej za dobrego nauczyciela.

Karagiozopoulos stanął obok i Polak spostrzegł kilka kropeł potu na jego czole. Jorgos omiół wzrokiem rejwach w porcie, a potem pokiwał głową w zamyśleniu.

– Poszło zbyt łatwo – oznajmił.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Maria opadła na fotel za biurkiem, który mógł zajmować jedynie pan domu. Dolała sobie whisky, która dawno jej się skończyła. Wciąż smakowała ohydnie, ale biorąc wszystko pod uwagę, dobrze było wzmocnić umysł procentami.

Wbiła wzrok w drzwi, za którymi najprawdopodobniej leżało czyjeś ciało. Przerażliwy krzyk nie pozostawiał wątpliwości, że był to ostatni dźwięk, jaki wydała z siebie ofiara. Polka wzdrygnęła się, a potem pociągnęła spory łyk.

Początkowo próbowała zbudzić kogoś z rodziny, ale jej nawoływania i tłuczenie w drzwi na

nic się zdało. Mury w domu były grube, a gabinet Gabriela nie graniczył z niczyją sypialnią.

W końcu zrezygnowała i usiadła za biurkiem. Teraz nasłuchiwała kolejnych dźwięków, ale słyszała jedynie ciche zawodzenie wiatru na zewnątrz.

Wstała i podeszła do okna. Stała tam chwilę, a potem wróciła na poprzednie miejsce. Kręciła się tak w kółko przez kilka chwil, zanim w końcu odetchnęła głęboko i powiedziała sobie, że musi się uspokoić.

Ledwo z powrotem usiadła na fotelu, a doszedł ją ciężki dźwięk kroków. Podniosła wzrok i spojrzała na drzwi. Pomyślała, że może jej się wydawało, ale zaraz usłyszała skrzypienie desek.

Przemknęło jej przez myśl, że o tej porze nikt nie przechadza się korytarzem. Jeśliby kogoś zbudziła, przyszedłby znacznie wcześniej.

Przełknęła ślinę, myśląc o tym, że to morderca. Mógł ją usłyszeć, wrócić do swojego pokoju, a potem przemyśleć całą sprawę. Teraz postanowił, że lepiej będzie usunąć także ją.

Zerwała się z fotela i zaczęła otwierać szuflady, szukając czegokolwiek, czym mogłaby się bronić. Jedna z szuflad była zamknięta na klucz i wyglądała zbyt solidnie, by sforsować zamek. W pozostałych nie było niczego przydatnego.

Skrzypienie się nasiliło i Maria zupełnie zdrętwiała. Po chwili dźwięk rozpląnął się w nocnej ciszy. Rozejrzała się, a potem schwyciła ciężki świecznik stojący na stoliku obok barku. Ustawiła się za drzwiami i uniosła swoją marną broń.

Nie słyszała jednak kroków ani innych dźwięków. Ktokolwiek był po drugiej stronie, mógł się rozmyślić, pomyślała. Wrócił do swojego pokoju, uznał, że służąca przecież nic nie widziała, cały czas była zamknięta w pokoju.

Zaczerpnęła tchu, zamykając na moment oczy. Czuła, że serce wali jej jak młotem, ale stopniowo udało jej się uspokoić. Zaczęła rozważać, co mogło się wydarzyć. Cokolwiek by to nie było, nic jej nie groziło – klucz do tego pokoju mieli tylko Gabriel i Algunde, a wywalenie drzwi z zawiasów z pewnością obudziłoby domowników.

Poza tym zawsze mogła salwować się ucieczką. Stała przy oknie i spojrzała w dół. Skok będzie niebezpieczny, z dwojga złego jednak lepiej zaryzykować, gdyby morderca zaczął dobijać się do drzwi.

Nagle dostrzegła jakąś postać. Światło księżyca było słabe, ale po chwili zauważyła także trzy inne. Grupa młodych ludzi zataczała się, kierując się w stronę lasu. Byli wyraźnie rozbawieni, ale nie sprawiali wrażenia, jakby przed momentem któreś z nich dokonało rzeczy przechodzącej ludzkie pojęcie.

Wciąż nasłuchując, nalala sobie jeszcze whisky i usiadła za biurkiem. Oparłszy łokcie na blacie, schowała twarz w dłoniach i trwała tak w bezruchu, sama nie wiedziała, jak długo. Potem skrzyżowała ręce na biurku i położyła na nich głowę.

Dopiero nad ranem rozległ się krzyk zwiastujący, że ktoś w istocie odnalazł ciało. Był piskliwy i wyrażał prawdziwą trwogę. Jeśli Maria potrzebowała potwierdzenia, że doszło do zabójstwa, to właśnie je otrzymała.

– Hej! – krzyknęła zachrypniętym głosem i odchrząknęła. – Pomocy!

W odpowiedzi ktoś podbiegł, a Polka słuchała coraz mniej wyraźnego dźwięku kroków. Przeciągnęła się, plecy bolały ją po zbyt długim siedzeniu w niewygodnej pozycji. Nie wiedziała, czy przysnęła – wydawało jej się, że nie, ale na dworze już świtało.

Po kwadransie znów rozległo się skrzypienie podłogi, a potem dźwięk przekręcanej klucza. Maria wreszcie odetchnęła.

Do środka wszedł Gabriel, pobladły jak zjawa. Nie przypominał siebie samego – miał

wyraźne cienie pod oczami, przekrwione spojówki i mętny wzrok. Szlafrok był niechlujnie zawiązany, włosy miał w nieładzie, a jego twarz pokrywała szczecina. Z pewnością był jeszcze pijany i nie rozumiał, co się dzieje.

– Co... – zaczął.

Maria wstała i podeszła do niego. Bała się wychylić na korytarz.

– Co tu się stało... – wydukał.

Maria popatrzyła w stronę progu. Tuż za nim znajdowała się czyjaś ręka, a wokół kałuża krwi. Z tej perspektywy Polka nie mogła dostrzec, kto jest ofiarą. Z pewnością kobieta, ale po kawałku dłoni trudno stwierdzić coś więcej.

Zrobiła krok w kierunku korytarza, modląc się, by nie była to Elisa. Potrafiła wyobrazić sobie, że któryś z pijanych mężczyzn wszedł w nocy do przybudówki, gdzie urzędowała służba. Francuzka była najładniejsza ze wszystkich dziewczyn, od razu rzuciła się w oczy. W dodatku miała aryjski wygląd, co musiało podobać się Niemcom. Mogła początkowo w obawie o własne życie udać się z którymś z nich, a potem próbować się bronić tutaj, na korytarzu.

– Co tu się stało? – zapytał jeszcze raz pan domu.

Maria zaczerpnęła tchu i wychyliła się za drzwi. Na podłodze leżała Algunde, wbijając martwy wzrok w sufit. Skórę miała trupioblada, a usta otwarte. Polka wzdrygnęła się, ale odetchnęła.

Niemiec złapał ją za rękę i obrócił do siebie.

– Mów! – krzyknął.

– Ja... nie wiem.

Potrząsnął głową, jakby starał się doprowadzić umysł do porządku. Chwilę to trwało, ale w końcu Maria dostrzegła w jego oczach spokój, jaki utożsamiała z Leitnerami. Biorąc pod uwagę, że traktował Algunde niemal jak członka rodziny, zasługiwało to na uznanie.

– Byłaś tu całą noc? – spytał, przeczesując wzrokiem gabinet, jak gdyby samo pomieszczenie mogło udzielić odpowiedzi na pytania, które kołatały się w jego umyśle.

– Tak.

Polka znów spojrzała na kobietę. Dostrzegła, że oprócz czerwonej mazi na podłodze rozlał się również mocz. Ciało leżało w nienaturalnej pozycji, a w powietrzu unosił się smród ekskrementów. Obok Algunde leżał metalowy pogrzebacz, którego gospodarz używał do przewracania kłód w kominku.

Nagle Maria uświadomiła sobie, że kobieta ma w kieszeni drugi klucz do gabinetu. Morderca mógł bez trudu otworzyć drzwi, gdyby chciał. Z trudem przełknęła ślinę, odpychając od siebie tę świadomość.

Gabriel na trzęsących się nogach podszedł do barku.

– Gdzie jest whisky? – zapytał.

Polka podeszła do biurka i nalała mu porcję. Opróżnił szklanicę jednym łykiem, a potem nerwowo wziął haust powietrza. Zamknął na moment oczy, okiełznując narastające emocje.

– *Mein Gott...* – powiedział, kręcąc głową.

Usiadł za biurkiem, z przerażeniem patrząc w kierunku otwartych drzwi.

Trwał tak, niemal w całkowitym bezruchu, podczas gdy reszta domowników i służących odkrywała makabryczny widok. Maria stała obok niego, uznając, że to najlepszy sposób, w jaki może okazać gospodarzowi wsparcie bez przekraczania pewnych granic. Potem jednak uzmysłowiła sobie, że Gabriel nawet nie odnotował jej obecności.

Nadchodzące godziny przepełniły szloch, ale także oskarżenia i wszechobecny strach.

Helena widziała tylko jedną winną. Polka musiała nasłuchać się, jak pani domu wykrzykuje pod jej adresem najwymyślniejsze obelgi, nie oszczędzając przy tym Żydów.

Maria spodziewała się, że logicznie myślący Gabriel nie weźmie sobie do serca słów żony, ten jednak szybko polecił zamknąć Polkę w piwnicy. Być może chciał mieć spokój od utyskiwań Heleny, a może było mu obojętne, gdzie znajdzie się służąca.

Wypuszczono ją dopiero po kilku godzinach. Była wygłodniała, jakby pościła od wielu dni. Ostatnim posiłkiem była whisky gospodarza, co tylko pogarszało sprawę.

Kiedy prowadzono ją do gabinetu, powiodła wzrokiem po korytarzu. Służący spisali się na medal, nie było śladu po krwi i innych wydzielinach. Miejsce wyglądało tak, jak gdyby nic się tu nie wydarzyło.

Jeden z chłopaków wprowadził ją do środka, a potem zamknął drzwi. Popatrzyła pytająco na siedzącego za biurkiem Gabriela.

– Moja żona sugeruje, że powinniśmy ubić cię jak sukę.

Polka zacisnęła usta, by się nie odezwać, i spuściła wzrok, aby nie prowokować Niemca swoją reakcją.

– Uważa, że nie powinienem wypuszczać cię z tej piwnicy.

– Rozumiem.

– Tymczasem ja chętnie wtrąciłbym tam raczej ją.

Maria podniosła wzrok i otworzyła usta. Gabriel uśmiechał się blado, choć widać było, że zmusił się do tego. Czuł rzeczywisty smutek po stracie kobiety, którą Polka postrzegала wyłącznie jako jędzę. Spojrzał na pustą butelkę po alkoholu i skrzywił się.

– Chyba zabrakło nam trunku – oznajmił.

– Przepraszam, ja...

– Nie ma o czym mówić. Ta noc musiała stanowić dla ciebie horrendum.

Maria zastanawiała się nad tym, na ile może sobie pozwolić. Gospodarz zaś wyciągnął kluczyk i otworzył jedną z szuflad. Wyciągnął z niej butelkę whisky Lagavulin, a potem polał obydwójgu. Mimo że trunek pewnie kosztował tyle, co roczna pensja najlepszego służącego, nie miała zamiaru upić choćby łyka.

– Horrendum przeżywałam podczas ucieczki z Polski – odezwała się w końcu.

– Słucham?

– To, co tutaj mnie spotkało, to nic.

Gabriel sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– W porównaniu z nocami spędzonymi w lasach, kiedy przypadkowy Niemiec mógłby bezkarnie mnie zabić, zamknięcie w pokoju przez kilka godzin nie było niczym strasznym.

– Rozumiem – odparł, a kategoryczny ton głosu świadczył, że nie ma zamiaru o tym rozmawiać. Wyciągnął z kolejnej szuflady papierośnicę, a potem zapalił. Maria z rozrzewnieniem pomyślała o perfumowanych egipskich.

– Ale nie wezwał mnie pan, żeby rozmawiać o okrucieństwach wojny – dodała. – Wszyscy udajecie, że to się nie dzieje naprawdę.

– Nie pozwalaj sobie.

– Wmawiacie sobie, że te akty bandytyzmu, których dopuszczają się...

Gabriel uderzył dłonią w biurko i Maria urwała. Wiedziała, że musiało się to skończyć w taki sposób, ale trudno było ugryźć się w język, kiedy słowa prawdy zaczynały płynąć same.

Spojrzała w oczy Gabriela i dostrzegła, że ma do siebie pretensje za ten wybuch. Podobnie jak

Christian, starał się trzymać nerwy na wodzy. Zaciągnął się głęboko papierosem, a potem popatrzył na służącą.

– Jesteś jedyną osobą w tym domu, co do której mogę być pewien, że nie zabiła Gunde – odezwał się.

Maria skinęła głową.

– Choć motyw mógłbym znaleźć bez problemu, to nie można zaprzeczać faktom. A fakt jest taki, że byłaś tutaj zamknięta przez całą noc.

– Mogłam ją zabić, a potem zamknąć się w gabinecie.

– Nie. Jedyne pary kluczy mieliśmy ja i Algunde. Jej były na zewnątrz.

Polka skinęła głową. Formalnościom stało się zadość i mogli przejść do rzeczy.

– Pomożesz mi ustalić, kto pozbawił ją życia.

– To raczej zadanie dla policji.

– Zabroniłem wzywania śledczych.

– Dlaczego?

Gabriel wstał od biurka, trzymając szklanicę. Podeszedł do okna, a potem założył rękę za plecami i wyjrzał na pokryty śniegiem ogród. Obrócił się do rozmówczynie.

– Algunde mogła zostać zamordowana przez każdego z służących – powiedział. – Ale także przez każdego z rodziny.

Maria spojrzała pytająco na papierośnicę, a gospodarz skinął głową. Po chwili z lubością się zaciągnęła.

– Mogła to zrobić moja żona lub Gottfried. Wierz mi, że oboje byliby do tego zdolni. A jeśli okaże się, że to któreś z nich... nie, nie mógłbym pozwolić, by za to odpowiedzieli. Rozumiesz?

– Za dużo naczytał się pan Agathy Christie – wypaliła Maria.

– Wolę Conan Doyle'a. Ale to nie ma nic wspólnego z powieścią detektywistyczną.

– Mogłabym polemizować.

– Nieistotne – odparł, z powrotem siadając za biurkiem. – Albo mi pomożesz, albo wrócisz do tej piwnicy. I pozwolę Helenie zrobić z tobą to, co uzna za słuszne.

Polka spojrzała na niego bykiem.

– Pomogę także bez gróźb. Nie wiem tylko, w czym.

– W dochodzeniu.

– Pan zamierza je prowadzić?

Robiła wszystko, by jej ton nie zabrzmiał protekcyjnie, ale nie udało jej się. Gdyby taką deklarację złożył Christian, zrozumiałaby. Ale mężczyzna, który całe dni spędzał w swoim gabinecie z maszyną do pisania? Niespecjalnie nadawał się na śledczego.

Gabriel bez trudu wyłapał powątpiewanie w jej głosie.

– Zapewniam cię, że wiem o tym więcej niż przeciętny zjadacz chleba. Jestem członkiem Akademii Prawa Niemieckiego i zajmuję się prawem karnym. Wprawdzie ostatnimi czasy moja działalność naukowa sprowadza się do kwestii związanych ze skutkami penalizacji pewnych zachowań na terenach podbitych, niemniej... – Gabriel urwał, widząc brak zainteresowania rozmówczynie.

– Rozumiem, że zna pan wyśmienicie teorię, być może także praktykę, jednak... czas teraz na opłakiwanie straty. Nie bez powodu dochodzenia prowadzą ludzie niezwiązani emocjonalnie z ofiarami.

– Czas na żałobę będzie później. I nie będę do tego mieszać kogokolwiek z zewnątrz.

Z wyczekiwaniem wbił wzrok w Polkę.

– Od czego więc zaczniemy? – spytała.

– Od tego, żebyś mówiła mi na „ty”, ilekroć jesteśmy sami.

Nie spodziewała się tego po zasadniczym przedstawicielu rodziny Leitnerów, miło ją zaskoczył.

– Ale nie tytułuj mnie tak w obecności meduzy, która mieni się moją żoną – dodał, a Maria mimowolnie się uśmiechnęła.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Sądny dzień rozpoczął się od dokładnego mycia, golenia całego ciała i czyszczenia ubrania. Staszek sądził, że łatwiej byłoby dać mu nowy pasiak – ale być może był to oksymoron. Wszystkie były używane.

Cały proces skrupulatnie nadzorował Jerker, jakby był osobiście odpowiedzialny za to, by więzień stanął przed przesłuchującymi w odpowiednim stanie. Najwięcej uwagi kapo poświęcał goleniu. Na ciele osadzonego miał nie pozostać ani jeden włos.

Zaniewskiego to nie dziwiło. Niemcy byli przekonani, że wszy towarzyszą każdemu w obozie. Od czasu do czasu organizowano specjalną zbiórkę, zwaną *läuseapel*, podczas której dokonywano oceny więźniów pod kątem zawszawienia. Często zarządzano także *läusekontrolle*, czyli obowiązkowy przegląd bielizny własnej i współwięźniów. Nie należało to do najgodniejszych rzeczy, o jakich można było pomyśleć, ale biorąc wszystko pod uwagę, osadzeni wykonywali te czynności z obojętnością.

Staszek umył się, jeszcze nim większość więźniów się zbudziła – Jerker zadbał o to, by wstał odpowiednio wcześniej i miał prysznic dla siebie. Potem Polak narzucił na siebie swój pasiak i przeżył dysonans poznawczy. Ubranie, które powinno wydzielać fetor, pachniało czymś świeżym. Zaniewski ze zgrozą uświadomił sobie, że ten obcy zapach to nic innego, jak proszek do prania.

Kapo wyprowadził go z bloku, popychając przy tym bez ogródek. Staszek sądził, że na tym etapie Niemcy robią to już machinalnie.

– Nie mam dla was specjalnej sympatii – odezwał się nagle Jerker.

– Nigdy bym nie powiedział.

Kapo zdzielił go dłonią po głowie.

– Ale i bez tego ci współczuję. Czegokolwiek od ciebie chcą, nie wyjdiesz stamtąd żywy.

Staszek nie odpowiedział. Nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę ze zwyrodnialcem, zresztą niczego nie mógł się od niego dowiedzieć.

Jerker zaprowadził więźnia pod wejście do baraku Departamentu Politycznego, znajdującego się po lewej stronie od głównej bramy. Zaniewskiemu powiedziano, że to tutaj urzęduje Gestapo.

Rejestrowano tu więźniów, przechowywano oraz administrowano wszelką dokumentacją, a także gromadzono przydatne informacje. Obozowa wieść niosła, że przeprowadzano tu także brutalne, często kończące się śmiercią przesłuchania.

Kapo zapukał do drzwi, nikt jednak nie odpowiadał. Siarczysty poranny mróz doskwierał mu znacznie mniej niż Zaniewskiemu, ale wydawał się znacznie bardziej poirytowany. Najpewniej nie był przyzwyczajony, że ktoś każe mu wstawać jeszcze przed słońcem, a potem niańczyć więźnia, jakby miał iść na wystawę.

Załomotał w drzwi trochę za głośno i natychmiast się cofnął. Polak usłyszał zbliżające się kroki. Drzwi się otworzyły i w progu stanął niski rangą funkcjonariusz SS. Odesłał kapo machnięciem ręki, a potem wskazał Staszкови, by wszedł do środka.

Zaniewski miał wrażenie, że wkroczył do innego świata. Wszechobecny obozowy syf i nieustępliwy smród nagle znikły. Zastąpiły je schludny wystrój, wypastowane podłogi i przyjemne zapachy środków czystości. Po chwili Staszek wyczuł aromat świeżo zmielonej kawy.

Pomyślał, że może stał się jakiś cud. Może ktoś w kadrze administracyjnej uznał, że doszło do pomyłki, a Zaniewski nigdy nie miał trafić do Mauthausen. Były to myśli zgoła absurdalne, ale właściwe każdemu, kto spędził tu choć trochę czasu. Każdy na swój sposób łudził się, że ten koszmar jest jakąś makabryczną pomyłką – i że niebawem się skończy.

Prowadzący go esesman traktował go z obojętnością. Szedł za nim, nie dźgając go karabinem ani nie okładając pięściami. Nie odzywał się, nie znęcał się nad nim, traktował go niemal jak powietrze. Staszek czuł się przez moment, jakby został wyjęty z brutalnego obozowego świata.

Zaraz jednak zmitygował się w myśli, że to wszystko złuda. Niemcom chodzi o to, by zapomniał, po co tu jest. Chcieli przyćmić świadomość tego, że zaraz zostanie poddany nieludzkiemu przesłuchaniu, a potem wrzucą jego ciało do jednego z anonimowych grobów.

Wzdrygnął się na tę myśl.

Esesman wprowadził go do małego pokoju, który wystrojem nie przypominał reszty pomieszczeń. Było tu tylko kilka rzeczy – liche biurko, stojąca obok szafka zamykana na klucz oraz trzy krzesła. Zaniewskiego posadzono na tym, które stało przed biurkiem. Potem strażnik związał mu ręce za plecami. Kilkakrotnie sprawdził wiązanie, po czym opuścił pomieszczenie.

Staszek sądził, że zaraz stawią się przesłuchujący, w końcu nie bez powodu musiał zjawić się tu o świcie. Mijały jednak minuty, a nikt nie przychodził. W pokoju nie było zegara, ale Zaniewski po jakimś czasie uznał, że musiała minąć co najmniej godzina.

Przez cały ten czas starał się nie myśleć o tym, co go czeka. Ostatecznie jednak pesymizm wziął górę. Polak wyobrażał sobie diabelskie oblicza ludzi, którzy będą go torturować, i nie mógł skupić się na niczym innym. Obrazy te przeszywały mu umysł niczym najostrzejszy ból głowy, z którym nie sposób sobie poradzić.

Uznał, że to wszystko przemyślane działanie. Gestapowcy chcą, by siedział tutaj i sam męczył się swoimi myślami. Musiało to w ich przekonaniu stanowić odpowiednie preludium do tego, co chcieli mu zrobić.

W końcu Zaniewski usłyszał, jak drzwi za nim się otwierają. Dźwięk ciężkich żołnierskich butów sprawiał, że przy każdym kroku funkcjonariuszy niemal podskakiwał. Obejrzał się i zobaczył dwóch mężczyzn w pełnym umundurowaniu Gestapo. Mieli nienagannie ułożone fryzury, a zapach wody kolońskiej był wyraźnie wyczuwalny.

Nie patrząc na Staszka, jeden z nich odsunął krzesło za biurkiem, po czym usiadł i otworzył zamykaną na klucz szafkę. Wyciągnął plik dokumentów i rzucił je na blat. Drugi stanął obok, wyprostowany jak struna, mierząc więźnia wzrokiem.

– *Name* – powiedział ten za biurkiem.

– Nie mówię po niemiecku.

Nie było to do końca prawdą, bo przez ostatnie miesiące nauczył się trochę. Ze zgrozą pomyślał, że największe wysiłki Marii nie były w stanie wtłoczyć mu do głowy podstawowych formułek, ale konieczność obozowa sprawiła, że podłapał to i owo.

Przesłuchujący z pewnością o tym wiedzieli. Każdy, nawet największy przeciwnik wszelkich przejawów niemieckości, w końcu uczył się języka. A i bez tego osadzony bez trudności powinien zrozumieć, o co jest pytany.

Gestapowiec stojący przy biurku szybko znalazł się obok niego i wymierzył mu potężny cios

w głowę. Przez moment Staszek miał wrażenie, że rąbnie na podłogę razem z krzesłem, ale mężczyzna szybko schwycił oparcie.

– *Name!* – ryknął ten zza biurka.

– Nie mówię po niemiecku.

Początkowo sam nie dowierzał, że te słowa wyszły z jego ust. Natychmiast poczuł strach, ale jednocześnie dziką satysfakcję. To było nieokazywanie słabości, o którym mówił Obelt.

Gestapowcy spojrzeli po sobie, a Zaniewski uznał, że podjął dobrą decyzję. Gdyby jedno uderzenie i dwa okrzyki wystarczyły, by zaczął współpracować, funkcjonariusze otrzymaliby jasny sygnał, że mogą pozwolić sobie na wszystko. I zapewne byłoby tak w przypadku wielu innych więźniów – przychodzili tutaj złamani, pozbawieni hartu ducha i gotowi na śmierć. Nie miało dla nich żadnego znaczenia, czy choćby spróbują stawiać opór.

– *Scheiße* – mruknął jeden z hitlerowców.

Ten za biurkiem schował akta z powrotem do szafki, zamknął ją na klucz, a potem obaj wyszli z pomieszczenia.

Staszek odprowadził ich wzrokiem, nie wiedząc, co się dzieje. Stał na wysokości zadania, ale bynajmniej nie tłumaczyło to rezygnacji gestapowców. Wedle wszelkiej logiki powinni natychmiast przystąpić do bardziej zdecydowanego przesłuchania.

Może im się znudziło? Może widząc opornego więźnia, uznali, że nie będą tracić czasu i brudzić sobie rąk? Zaniewski czekał na rozwój wydarzeń, ale znów wydawało mu się, że minęła dobra godzina, a nikt się nie zjawił.

Potem Niemcy wrócili i Polak zrozumiał, dlaczego znikli. Przyprowdziwszy tłumacza, ponownie zajęli swoje miejsca. Thorben Fehrmann stanął po drugiej stronie biurka, patrząc z radością na Staszka.

Zaniewski uznał, że mogło być gorzej. Mógł mu się trafić Kaniak, który z pewnością wzbogacałby każdą jego wypowiedź o dodatkową informację, która mogłaby rozdrażnić przesłuchujących. Tymczasem Torba, choć do najmilszych nie należał, będzie choć tłumaczył wszystko zgodnie z prawdą.

– *Name, polnische Schweine!* – ryknął oficer Gestapo.

– Mów, jak na ciebie wołają, jełopie – bąknął Fehrmann.

– Zaniewski.

Thorben wyjął papierosa i zapalił. Gestapowiec wyciągnął z szafki dokumenty i znów rzucił je na blat. Tym razem jednak położył na nich lugera P08, ten sam model, który kilka miesięcy temu Staszek obracał w dłoniach w lesie, w okolicach wsi Neu Wiersenwitz. Najbrzydsza broń na świecie, choć zabranie jej z gabinetu Leitnera było cokolwiek satysfakcjonujące.

Hitlerowiec obrócił broń lufą w jego kierunku, a potem pokręcił głową z niedowierzaniem. Polak dostrzegł, że na twarzach gestapowców pojawiły się szerokie uśmiechy.

– Przeliteruj – rozkazał jeden z nich.

Staszek zrobił, co mu kazano. Nie miał pojęcia, dlaczego jego nazwisko miałoby kogokolwiek interesować.

– Zaniewski! – ucieszył się jeden z oficerów. – Ścigany nakazem aresztowania za zbrodnie przeciwko bezpieczeństwu Rzeszy.

Thorben uniósł brwi i strzepnął popiół na podłogę. Kiedy przetłumaczył słowa przesłuchującego, Staszka oblała fala gorąca.

– Jakim nakazem? Za co? – zapytał. – To jakaś pomyłka.

Funkcjonariusze pokiwali do siebie głowami z zadowoleniem, a Thorben patrzył na Polaka

nierozumiejącym wzrokiem. Sprawiał wrażenie, jakby widział go po raz pierwszy. Otworzył lekko usta i uniośł brwi, trwając w bezruchu.

– Polskie ścierwo chowało się tuż pod naszymi nosami – dodał gestapowiec. – Skurwysyński pomiot ścigany przez SS sam przyszedł do Gestapo.

– Wyjątkowe szczęście, *Herr Kriminaldirektor* – powiedział drugi.

– Szczęście? Nie, to udowadnia naszą wyższość nad nimi. – Mężczyzna przesunął kilka kartek. – Szczęście będzie, kiedy komendant się dowie.

– W istocie – odparł drugi. – Sturmbannführer Zieries będzie bardzo usatysfakcjonowany.

Staszek spojrzał niespokojnie na Torbę. Ten nadal był zupełnie skołowany.

– Co się dzieje? – zapytał go.

– Milcz.

Zaniewski nie miał zamiaru tego robić.

– Co tu się dzieje? – powtórzył.

– Zaraz zostaną ci odczytane zarzuty.

– Kiedy ja nic nie zrobiłem.

– Twoje akta twierdzą inaczej – odparł Torba, pochylając się nad biurkiem i tocząc wzrokiem po rozłożonych dokumentach.

– Ale...

Fehrmann podniósł wzrok i popatrzył na Staszka niemal z uznaniem.

– No, no – powiedział. – Kiedy tu przyjechałeś, byłem przekonany, że jesteś zwykłym łachmytą, a tu proszę. Dałem ci się oszukać, choć nie powinienem. W końcu eskortował cię sam Hauptsturmführer Blankenburg, a potem zostałeś tu przyjęty nie w dzikim pochodzie, tylko indywidualnie. Teraz wiem dlaczego.

– Posłuchaj...

– Podniosłeś rękę na Państwo Niemieckie, ale teraz Państwo Niemieckie upierdoli ci za to głowę – przerwał mu Thorben, nie odrywając wzroku od porzucanych po blacie kartek.

– To jakiś makabryczny żart?

– Bynajmniej.

Oficer Gestapo szukał czegoś w swoich materiałach. Gdy w końcu to znalazł, złożył resztę akt i położył rękę na lugerze. Drugą podniósł jedną z kartek. Przytrzymał ją przez moment nad głową i niczym starożytny orator wygłaszający mowę na Forum Romanum odczytał:

– Podszywanie się pod oficera SS, Untersturmführera Reinholda Winterberga. Prowadzenie działalności konspiracyjnej i partyzanckiej w okolicach wsi Beniowa i miasta Lesko. Organizowanie działalności dywersyjnej w dolinie Sanu. Umyślne i w zamiarze bezpośrednim zabójstwo żołnierzy dwóch Einsatzgruppen. Zabójstwo pułkownika Arthura Brettfelda oraz sześciu innych oficerów Wehrmachtu podczas zorganizowanej akcji wywrotowej w zamku w Lesku. – Gestapowiec zrobił pauzę, po czym spojrzał Staszкови prosto w oczy. – A ja nazywam się Ulrich Kossendey i będę twoim katem.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, LUTY 1940 ROKU

Z pokładu „Aigokerosa” opuszczono trap i Bronek ochoczo ruszył w jego kierunku. Naraz jednak kapitan go powstrzymał, sugerując, że najpierw załoga wyniesie ładunek.

– Jaki ładunek? – zdziwił się Zaniewski. – Przecież jesteście tu nieplanowanie.

– Sprzedamy nadmiar z ładowni. Robimy to w każdym porcie.

Bronek z utęsknieniem spoglądał na ład, ale ostatecznie stwierdził, że ten nie ucieknie.

– Poza tym gdybyśmy cię ot tak wysadzili, byłoby podejrzenie.

– Czy ja wiem...

– Grecki frachtowiec zawijający do Bejrutu nie jest niczym dziwnym, ale z pewnością Arabowie zwróciliby uwagę, gdyby jedynym rozładowanym frachtem był mężczyzna.

Zaniewski obrócił się do kapitana i zmrużył oczy. Przez moment zastanawiał się nad pewną kwestią, a potem nagle zaskoczył.

– Zamierzacie tu zostać? – zapytał.

– Tylko na moment.

– Niech cię chuj, Jorgos.

Karagiozopoulos spojrział na niego z konsternacją.

– Że co proszę? – zapytał.

– Przypłynęliście tutaj, bo chcesz odgrzebać sprawę zaginięcia Spiridona.

Kapitan wyciągnął fajkę, upchał trochę tytoniu do komina, a potem podpałił. Sprawiał wrażenie, jakby był urażony sugestią Zaniewskiego.

– Nie – powiedział w końcu. – Głównie przyświecał mi cel, by wysadzić tutaj ciebie.

– Ale przy okazji...

– Przy okazji załatwię też kilka innych rzeczy. Pozbędę się nadmiaru towarów, których nie sprzedam w Europie, a wolne miejsce w ładowni wypełnię tutejszymi rarytasami. I owszem, mam zamiar sprawdzić, czy ktoś wie coś na temat Spiridona.

Bronek pokiwał głową, uznając, że katoryczny ton Jorgosa nie zwiastuje niczego dobrego. Trudno było powiedzieć, jaki naprawdę był główny powód przypłynięcia tutaj, ale właściwie nie miało to znaczenia. Liczyło się to, że Bronek zaraz stanie na nabrzeżu.

Przez moment stali w milczeniu i Zaniewski zastanawiał się, czy nie obraził kapitana. Marynarze nie zwykli przejmować się takimi uwagami, ale Karagiozopoulos nadal milczał, pykając fajkę.

– Widzisz tego, co tak lustruje nas wzrokiem, jakbyśmy przyszli tu z bombą przyklejoną do kadłuba? – zapytał w końcu, spluwając za pokład.

Bronek rozejrzał się, ale nie zobaczył nikogo, kto zwróciłby najmniejszą uwagę na przybycie „Aigokerosa”. Jorgos szturchnął go i wskazał mu niewysokiego Araba, który w odpowiedzi na gest kapitana uniósł nieznacznie rękę.

– Co to za jeden? – spytał Zaniewski.

– Kapitan portu. Ahmed jakiś tam, nigdy nie mogę spamiętać tych ich nazwisk, czy czym oni się tam identyfikują. Mam z nim trochę na pieńku.

– Dlaczego?

– Bo ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, wykazał daleko idącą obojętność wobec losu Spiridona.

– Rozumiem.

– Wyjątkowa szumowina, co kilkakrotnie już mu dobitnie komunikowałem. Ale kultura to kultura, chodź. Wypada się przywitać.

Gdy załoganci ustawili kilka skrzyń na ładzie, Bronek i Jorgos przeszli po trzeszczącym trapie. Każdy krok był dla Zaniewskiego na wagę złota, bo każdy przybliżał go o cenne centymetry do stałego lądu. Choć *naftía* jakiś czas temu wreszcie dała mu spokój, nie mógł doczekać się, aż poczuje nieruchome podłoże. Mijając burtę, Bronek poklepał metalowe poszycie.

Karagiozopoulos obejrzał się przez ramię i uśmiechnął.

- „Aigokeros” dba o swoich – powiedział.
- Nie mam zamiaru z tym polemizować. Ale szybko na pokład żadnej łajby nie wrócę.
- Wszyscy tak mówią.

Zaniewski przeszedł na koniec trapu i zatrzymał się. Spojrzał przed siebie, a potem postawił krok w przód, schodząc na libańską ziemię.

Kapitan portu jakby wyrósł spod ziemi tuż przed nimi.

– Salam alejkum! – zacharczał ochoczo ze sztucznym uśmiechem.

– *Wa ‘alejkum salam*, zawszony szmaciarzu – odparł kapitan „Aigokerosa”, łącząc arabskie powitanie z epitetem po polsku, na który Ahmed odpowiedział jedynie podniesioną brwią.

Arab badawczo spojrzał na Bronka, po czym przysunął się do niego i wymienił z nim pocałunki w obydwie policzki. Potem położył mu lewą rękę na ramieniu.

– *Ismii Ahmed Fahim El-Ghazzawy* – przedstawił się.

Zaniewski odwzajemnił się tym samym, choć nie był pewien, czy poprawnie rozróżnił niezrozumiałe słowa.

– Brzask Egejski – dodał po polsku Jorgos, a potem pograżył się w rozmowie z kapitanem portu.

Bronek przysłuchiwał się wymianie zdań i nadal nie mógł wyłapać choćby pojedynczych słów, nie mówiąc już o tym, by powtórzyć imię czy nazwisko człowieka, który przed momentem się przedstawił. Karagiozopoulos zdawał się jednak radzić sobie bez trudu.

Przed zejściem na ląd Zaniewski starał się wyciągnąć z Jorgosa co nieco na temat tego języka. Dowiedział się tylko tyle, że pismo tutaj opiera się zasadniczo na sztuce kaligrafii i ma niewiele wspólnego z tym, jak Europejczycy postrzegają słowo pisane.

Zresztą rozbieżności występowały nie tylko w tej sferze. Karagiozopoulos podkreślał, by uważał na gesty i słowa, bo jedno niefortunne zachowanie może spowodować prawdziwą tragedię. Większość wiadomości Jorgosa pochodziła jednak z trzeciej ręki, własnych domysłów czy w końcu z marynarskich przesądów. Nie rokowało to najlepiej, ale Zaniewski sądził, że jeśli zachowa odpowiednią ostrożność, uda mu się odegrać swoją rolę. Przynajmniej dopóty, dopóki nie znajdzie kogoś, kto będzie chciał robić mu za nauczyciela.

Kiedy Jorgos skończył rozprawiać z kapitanem, odwrócił się z powrotem do Polaka.

– Gnida chce myta, jak zwykle.

– Wysokiego?

– Mniej więcej takiego jak Charon przewożący nieszczęśników przez Styks.

– Nic mi to nie mówi.

– Powinieneś poczytać trochę mitologii. Szczególnie tej naszej.

– Jak będę mieć okazję – odparł Bronka, rozglądając się. – Na razie przydałby mi się podręcznik radzenia sobie w arabskim świecie.

Kapitan zaśmiał się i poklepał go po plecach. Podeszedł do nich Kaklamanis Papaspyrou w towarzystwie nawigatora, Athanasiosa Kountourakisa. Za nimi stało kilku innych marynarzy z „Aigokerosa”, z którymi Bronka nawiązał przyjacielskie kontakty. Zaniewski zrozumiał, że przyszli tu, by go pożegnać.

– Co teraz zrobisz, Polaku? – zapytał Karagiozopoulos.

– Muszę znaleźć swoich. Wiadomo, czy ich statek już przypłynął?

Jorgos spojrzał na kapitana portu, a potem zaklął pod nosem. Arab tymczasem już wykrzykiwał coś pod adresem innej załogi, oddalając się.

– Cholera, nie zapytałem. Wybacz.

– Nie ma sprawy.

– Ale powinni już gdzieś tutaj być. Odebraliśmy ich SOS, będąc jeszcze na Morzu Egejskim, a oni wychodzili wtedy z Morza Kreteńskiego. To znaczy wychodziliby, gdyby nie to, że ich krypa przeciekała między ładownią a zbiornikami balastowymi. Widzisz, jakie szczęście cię spotkało, że trafiłeś na przodującą jednostkę greckiej floty handlowej, a nie jakąś pływającą trumnę?

– Rzeczywiście – odpowiedział Broniek i głęboko zaczerpnął tchu.

Powietrze miało tutaj inny zapach. W dodatku było ciepłe, przyjemne i suche, co stanowiło miłą odmianę od tego, co czuł na pełnym morzu. Zaniewski wyprężył pierś, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu okrętu, na którym płynęli Polacy. Zaraz jednak zreflektował się, że nie zna nazwy.

– Jak się nazywa ich statek? – zapytał.

– „Alepou”, o ile mnie pamięć nie myli – odparł Jorgos i znów zaklął cicho. – Niech cię cholera. Poczekaj chwilę.

Pobiegł za Arabem, nawołując go już z oddali. Ahmed prawdopodobnie dobrze go słyszał – sprawiał wrażenie, jakby ogarniał wszystko, co działo się wokół. Mimo to poczekał, aż kapitan „Aigokerosa” do niego dopadnie. Zamienili kilka słów, a potem Grek się oddalił.

– Ten pacholek nadaje się tylko do szorowania pirsów – burknął Karagiozopoulos.

– Nic więcej nie wie?

– Mówi, że przypłynęli, a potem się rozpierzchli.

– Trudno. Poradziłem sobie w porcie w Konstancy, poradzę sobie i w Bejrucie – powiedział Zaniewski, a potem podał kapitanowi rękę. Uścisnęli sobie dłonie, ale Jorgos nie sprawiał wrażenia, jakby miał w istocie zamiar go pożegnać. Pozostałe wilki morskie również nie.

– O co chodzi? – zapytał niepewnie Broniek.

– Słuchaj... słusznie zauważyłeś, że będziemy tu jeszcze trochę. Nie ma powodu, żebyś sam wałęsał się po porcie. Zostań, będziesz przynajmniej miał we mnie tłumacza. Popytamy, gdzie możemy znaleźć tych twoich Polaków.

Broniek uniósł brwi.

– W porządku – zgodził się. – A o co naprawdę chodzi?

Karagiozopoulos rozprostował plecy i znów zaczął pykać fajkę. Dym powoli zlewał się z tumanem kurzu, jaki szedł od miasta. Kłębowisko pyłu zdawało się wszechobecne i stanowiło dla Bronka urzeczywistnienie hermetyczności arabskiego świata.

– Dobrze kombinowałeś wcześniej – odezwał się Grek. – Mamy tu pewną sprawę do załatwienia, która...

– Jeśli nie wiąże się z niczym trudniejszym niż strzelanie do Cypryjczyków z kołyszącego się na lewo i prawo statku, piszę się na to – przerwał mu Broniek.

Wiedział, że chodzi o coś w rodzaju osobistej wendety. Oczywiście było, że Jorgos i reszta mają zamiar dowiedzieć się, co stało się ze Spiridonem, a potem ukarać sprawcę. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że zrobił już dla załogi „Aigokerosa” dostatecznie dużo, ale z drugiej strony, gdyby nie on, nigdy by się tutaj nie pojawili.

Polak powiódł wzrokiem po marynarzach. Sami domyślili się, że nie zamierza ich opuszczać i podziękowali mu skinieniami.

– Skąd pewność, że tego chłopaka ktoś zabił? – zapytał Zaniewski. – Bo rozumiem, że właśnie to zakładacie?

– Słusznie rozumiesz.

– Więc?

Jorgos zaczął opowiadać mu o chłopaku, nakreślając mniej więcej sytuację. Potem przedstawił swój plan i czekał. Polak przez moment się zastanawiał. Sądził, że Grecy nie mają żadnych skonkretyzowanych zamierzeń, tymczasem Karagiozopoulos miał już wszystko poukładane.

Zaniewski pomyślał o kilkudziesięciu Polakach, którzy dotarli tu na pokładzie „Alepu”. Kręcą się teraz gdzieś po mieście, podczas gdy on właśnie zdecydował włączyć się w kolejną kabałę.

Wszystko, co powiedział kapitan, brzmiało dość niebezpiecznie. Miał zamiar przeczesać wszystkie najmniejsze, najniebezpieczniejsze uliczki w portowym mieście. Był przekonany, że jakichkolwiek informacji może zasięgnąć jedynie u najbardziej szemranych ludzi – i wiedział, jak do nich dotrzeć.

– Wiem, że priorytetem jest dla ciebie odnalezienie rodaków – zastrzegł.

– Oczywiście.

– Ale nie musisz się obawiać. Chcę tylko, byś w odpowiednim momencie strzelił do człowieka, którego odnajdziemy.

– Jest jeden problem. Zatopiliście mojego springfielda, a innej broni nie mam.

– Coś ci znajdę, to nie problem w Bejrucie. Ale muszę wiedzieć, że będziesz gotów.

– Możesz na mnie liczyć, Jorgos.

W oczach rozmówcy Zaniewski dostrzegł błysk... nie, zew natury, który mógł oznaczać tylko jedno. Grek czekał, aż ponownie pojawi się w Bejrucie i dane mu będzie znów podjąć próbę udowodnienia prawdy. Był odpowiedzialny za tego człowieka, co Broniek doskonale rozumiał.

– W takim razie zaczniemy od razu – oznajmił, wskazując w kierunku miasta. – A wy, siedzieć na biczu – dodał, patrząc na Kaklamanisa.

Zaniewski z ulgą opuścił portowy galimatias. Gdy przeszli kawałek i odwrócił się, musiał przyznać, że bejrucka przystań robi imponujące, egzotyczne wrażenie. Widok wszystkich tych okrętów i masy marynarzy robił swoje, a dodatkowego smaczku dodawała tutejsza roślinność, tak inna od europejskiej. Mimo to Broniek w mgnieniu oka zamieniłby ów widok na fasadę warszawskiej kamienicy, w której mieściło się mieszkanie rodziny Zaniewskich, na panoramę z Halicza w Bieszczadach czy też na widok „Szai” w Baranowiczach.

Kolorowe budynki o czterospadowych dachach, sięgające najwyżej dwóch pięter, ciągnęły się wzdłuż nabrzeża i niemal chowały się za długą ścianą wysokich, zielonych palm. Między nimi a wodami Morza Śródziemnego wiła się wąska ulica. Ruch był znikomy, a fale miarowo roztrzaskiwały się o wysoki mur.

– Świeżo sadzone cedry – odezwał się Jorgos, wskazując na rzędy niskich, rzadko posadzonych wzdłuż ulicy roślin. – Kiedyś była tu straszna dziura, teraz wygląda przyzwoicie. Ale poczekaj kilka lat, jak to wszystko wyrośnie.

– Za kilka lat mam nadzieję być w Polsce. I opijać kolejną rocznicę śmierci Hyclera.

– Życzę ci tego z całego serca.

Dwaj marynarze szli wzdłuż równo rozlokowanych latarni, mijając po drodze leniwie przechodzących Arabów w charakterystycznych strojach. Broniek nie wiedział, dokąd zmierzają, ale nie miał zamiaru pytać. Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

W pewnym momencie Zaniewski dostrzegł znak przy chodniku. Uśmiechnął się, widząc znany mu alfabet. Napis informował, że znaleźli się na avenue des Français. Kapitan „Aigokerosa” odprowadził wzrokiem Arabów, którzy ich minęli, po czym skinął na Bronka. Skręcili w wąską uliczkę odchodzącą od głównej promenady.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Gabriel otworzył okno gabinetu i wyjrzał na zewnątrz.

– Idą – powiedział do Marii.

Polka podniosła się i stanęła obok niego. Zauważyła czwórkę młodych ludzi, którzy chwiejnym krokiem kierowali się ku rezydencji.

– Gottfried ma oczy wielkości reichspfenniga – zauważył gospodarz.

– Przykro mi, ale...

– Nie macie w Polsce monet?

– Nie kojarzę tutejszych – odbąknęła Maria. – Może gdyby ktoś mi płacił za pracę, wiedziałabym, jak wyglądają.

Pan domu spojrział na nią bez wyrazu. Przez moment zastanawiała się, czy nie pozwala sobie na zbyt wiele. Kiedy jednak zobaczyła, że kąciki ust Gabriela drgnęły, odetchnęła. Jak na Niemca, był całkiem przyzwoitym człowiekiem. Przypuszczała jednak, że tego samego nie można powiedzieć o najmłodszym z braci.

Idąc ku domowi, zaśmiewał się i rzucał obscenicznymi żartami, coraz wyraźniej słyszalnymi. Nikt z młodych ludzi nie zauważył, że jest obserwowany z okna.

– Najwyraźniej jeszcze nie zdążyli wytrzeźwieć – zauważył Gabriel i westchnął.

– Myślisz, że to któryś z nich?

– To byłoby najłatwiejsze, prawda? – odparł. – Ale równie dobrze mogła to zrobić moja żona albo którakolwiek ze służących. Wszystkie miały na pieńku z Algunde, o czym sama doskonale wiesz.

Wskazał jej biurko, a Polka zajęła miejsce. Podniosła czarne, wykonane z mosiądzu pióro marki Duke i plik poślizgniętych kartek papieru. Gabriel jeszcze przez moment się zastanawiał, a potem zaczął dyktować. Ułożyli listę, która opierała się wyłącznie na domniemyanych motywach i hipotetycznych scenariuszach. Równie dobrze można było oskarżyć Heinricha Sperlinga czy jakiegokolwiek mieszkańca okolicznych wiosek. Zapewne niejedna osoba słyszała nocną bijatykę i wiedziała, że u Leitnerów nietypowo miała miejsce popijawa.

Podczas gdy gospodarz skupiał się bardziej na młodych, Maria myślała o tym, komu Algunde ostatnio zaszła za skórę najbardziej. Niestety najlepszą kandydatką była ona sama, a zaraz po niej Elisa.

Polka spojrzała na Gabriela i pomyślała, że cała ta sytuacja właściwie była dla niej korzystna. Abstrahując od tego, że inny człowiek stracił życie, rzecz jasna. Trudno było jednak przejść obojętnie obok tego, że zyskała zaufanie pana domu. Dawało to nadzieję na to, że uda jej się zabrać Elisę z Lüttendorfu.

Kiedy skończyła notować, przejrzała listę i pogładziła kartkę.

– Od kogo zaczniemy? – zapytała.

Pan domu przecesał włosy dłonią i opadł ciężko na krzesło po drugiej stronie biurka, normalnie zajmowane przez gości w gabinecie. Spojrział na Marię, a potem na kartkę. Obrócił ją do siebie i przez moment toczył wzrokiem po nazwiskach.

– Nie świadczy to o mnie dobrze... – mruknął.

– Co takiego?

– Chciałbym zacząć od Heleny.

Maria uważała, że to dobra decyzja, ale nie odezwała się słowem.

– Motywy tej kobiety pozostają dla mnie nieznanne – dodał. – I nie wiem, czego się po niej

spodziewać co dzień, gdy wstaje z łóżka.

Polka pokiwała głową.

– Nie mogę wykluczyć, że miała powód, by zabić Algunde. Wprawdzie nie sędzę, by mogła zrobić to z zimną krwią, ale mogła to być zbrodnia w afekcie. Być może emocje wzięły górę w jakiejś niefortunnej sytuacji.

– Nie można tego wykluczyć – potaknęła dyplomatycznie Maria.

– Więc to ona powinna być na szczycie listy.

Dziewczyna ociągała się z przyporządkowaniem jej do numeru jeden.

– Czy ona przypadkiem nie ma alibi? – spytała.

Gabriel przez chwilę wpatrywał się w nią skonsternowany, ale w końcu zaskoczył.

– Ach! Zastanawiasz się, czy jako normalne małżeństwo nie spaliśmy wtedy w jednym łóżku? Otóż nie, do normalnego małżeństwa nam daleko.

– Rozumiem – odparła Maria, nie chcąc wnikać w szczegóły.

– Widzisz... Ona potrafi uprzeć się przy najbardziej absurdalnych scenariuszach, byleby nie spać obok mnie.

– Tyle wiedzy mi wystarczy.

– Czasem narzeka, że niedokładnie się umyłem, mimo że spędziłem w wannie godzinę. Innym razem mówi, że śmierzę koźmi, mimo że jeździłem tydzień wcześniej. Ale najczęstsza wersja jest taka, że obawia się, iż będę lunatykować w nocy i ją zarzną.

Polka uśmiechnęła się, unosząc brwi.

– Bóg mi świadkiem, że czasem bym chciał – dodał Gabriel. – Czasem twierdzi, że jeśli śpimy razem w tym samym pokoju, powietrze jest zbyt gęste i nie może oddychać.

– Cóż... ma ciekawe argumenty.

– Nawet sobie nie wyobrażasz – bąknął. – To wszystko tylko kropla w morzu.

Zaczynała mu współczuć, ale uznała, że najlepiej będzie, jeśli zachowa swoje opinie dla siebie. Gabriel nie miał oporów, by dworować sobie z żony, ale mógłby mieć pretensje, gdyby robił to ktoś inny.

Uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, jak absurdalna to sytuacja. Siedzi na miejscu pana domu, podczas gdy ten pochyla się nad biurkiem naprzeciw niej i utyskuje na swoje życie małżeńskie.

– Coś cię bawi? – zapytał.

– Nie... to znaczy, poniekąd. Może trochę.

– Nie dziwię się. Też byłbym w dobrym humorze, gdybym o tych rzeczach tylko słuchał.

– Po prostu nie spodziewałam się...

– Takiej otwartości? – zapytał i wyduł usta. – No tak, być może to nie na miejscu. Ale musisz zrozumieć, że od dawna chciałem się tym z kimś podzielić.

Bynajmniej nie było to konieczne przy rozważaniach na temat zabójcy, uznała Maria. Początkowo przyjęła, że pan domu po prostu musi się wygadać, gdy ma okazję, ale teraz patrzyła na niego badawczo i nie widziała ulgi.

Skarciła się w myśli za opuszczenie gardy. To, że Gabriel zaufał jej, nie powinno oznaczać, że ona zaufa jemu. Wciąż to Niemiec, w dodatku z rodziny Leitnerów, która nie składała się z aniołów. Cała jego otwartość zapewne miała na celu tylko to, by i ona się otworzyła i zdradziła mu, dlaczego Christian ją tu przysłał.

– Idźmy dalej – odezwał się. – Mój brat i David Wißmann.

– Oraz ich towarzyszkę.

– Otóż to. Mówiłaś, że widziałaś ich nocą.

Maria pokiwała głową, przypominając sobie niewyraźne postacie w mroku.

– Niewiele widziałam – przyznała. – Ale nie sprawiali wrażenia, jakby właśnie odebrali komuś życie.

– Zakładasz, że stać by ich było na ludzką reakcję.

– Nie wiem, czy na ludzką, ale z pewnością po morderstwie byliby choć wstrząśnięci.

– Może zrobiła to jedna osoba, pozostali nie wiedzieli.

Musiła się z tym zgodzić, poza tym nie widziała ich dokładnie ani nie słyszała, o czym rozmawiają.

– Ci dwaj to komuniści – oświadczył Gabriel.

– I to ma cokolwiek tłumaczyć?

– Oczywiście. Daje pojęcie o tym, jaka jest kondycja ich umysłu.

– Taki dowód raczej nie obroniłby się w żadnym sądzie.

– Więc dobrze dla nas, że w sądzie nie jesteśmy – odparł, prostując się na krześle. – Gottfried na trzeźwo jest nieprzewidywalny, trudno powiedzieć, co dzieje się w jego głowie po wypiciu takiej ilości alkoholu.

– Wydaje mi się, że wszyscy bracia Leitnerowie mają...

– Nie przeholuj – skarcił ją, ale uśmiechnął się. – O której godzinie ich widziałaś?

Maria przez chwilę się zastanawiała.

– Około piętnastu, może dwudziestu minut po tym, jak ciało Algunde runęło na podłogę.

– Zapisz to – polecił Gabriel.

Podniósł się, a potem podszedł do okna. Robił tak niezliczoną ilość razy przez następne godziny, podczas których starali się wypisać potencjalne motywy i wszystkie informacje, które mogli traktować jako fakty. Owocem ich prac był szereg powierzchownych profili psychologicznych, lichych motywów i równie wątpliwych alibi.

Po tym, jak zapisali wszystko, co wiedzieli na temat Käthe Müller-Bard, dotarli do Elisy.

– Nie ma sensu tracić czasu na rozważania mojej kuzynki – oznajmiła Maria. – Käthe miała motyw, chciała zająć miejsce Algunde, ale Elisa?

– Wiem, że to twoja rodzina. Ale wszyscy są podejrzani, dopóki nie udowodnią, że nie są.

– Czy to nie powinno być na odwrót? Niewinni, dopóki nie udowodni się winy?

– Nie w tym domu, moja droga – odparł Gabriel, wzdychając.

– Nie brzmi to najlepiej.

– Brzmi dokładnie tak, jak powinno – oświadczył stanowczo gospodarz. – Traktuję twoją kuzynkę tak samo, jak każdego innego. Zakładam, że członkowie mojej rodziny mogą być nieobliczalni, a więc twojej również.

– Ale jednak...

– Z pewnością zanim tu dotarliście, mieliście niejedno traumatyczne przejście – nie dał jej dojść do słowa. – Tyle wystarczy. Nikt nie rodzi się mordercą. Odebranie komuś życia to najczęściej nie wykalkulowana decyzja, a działanie pod wpływem impulsu. Im bardziej nadwątlona psychika, tym łatwiej o ten impuls.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparła Polka. – Choć można by polemizować, czy najwięksi zwyrodnialcy nie rodzą się nimi. Jak spojrzeć na waszego Wodza...

– Licz się ze słowami – szybko uciął Gabriel.

Uniosła ręce w obronnym geście.

– Dążę tylko do tego, że Elisa raczej nie wbiłaby pogrzebacza prosto w głowę ofiary.

– Jest jedną z podejrzanych. Mów, co o niej wiesz.

Maria nie miała wyjścia. Zresztą na pewnej płaszczyźnie musiała przyznać mu rację. Wszystko, czego doświadczyła po pierwszym wrześniu, dobitnie pokazywało, że ludzie nie znają samych siebie. Nie mają pojęcia, kim tak naprawdę są ani kim potrafią się stać.

Staszek, pilny student medycyny, który swój czas wolny spędzał na długich dyskusjach w „Café Adria”, w mgnieniu oka potrafił przemienić się w człowieka, który pod dworcem w Głogau bez wahania strzelił do niemieckich policjantów, czy też który groził Bogu ducha winnej rodzinie pistoletem, by zdobyć volkswagena kăfera.

Omówili więc Elisę, a Maria postanowiła nie zatajać niczego, co mogłoby okazać się pomocne. Nadal uważała, że stawianie jej zarzutów jest grubymi nićmi szyte, ale Gabriel oczekiwał otwartości, więc mu ją zaoferowała.

Potem podkreśliła wszystko grubą linią.

– Idźmy dalej – powiedziała. – Bo dochodzimy do głównego podejrzanego.

– Heinrich Sperling.

– Wydaje się logicznym wyborem.

Gabriel pokiwał głową w zamyśleniu.

– Nie ma cienia wątpliwości, że miał motyw – przyznał. – Znał mnie i Algunde, wiedział, że była mi bliska jak matka, a jak zdążyłaś być może zauważyć, ten człowiek szczerze mnie nienawidzi. W dodatku to całe zajście z Gottfriedem mogło być impulsem, na jaki Sperling czekał.

– Na jego korzyść przemawia fakt, że zapewne ledwo się poruszał po tej bijatyce.

– Niekoniecznie. Nie zapominaj, że to twardy weteran. Może w starciu z Gottfriedem nie miał żadnych szans, ale to wciąż niebezpieczny człowiek.

Oboje byli zgodni co do tego, że trzeba mieć na niego oko. Maria nie wiedziała jednak, jak do tego doprowadzić. Jeśli miał choć trochę oleju w głowie, będzie omijał rezydencję Leitnerów szerokim łukiem.

– Jak go sprawdzimy? – zapytała.

– Zaprosimy go tutaj.

– Wyborny pomysł.

– Nie drwij. Zrobimy to pod pretekstem pojednania, ewentualnie ukorzenia się.

– I kto będzie się korzył?

– Jak to kto? Gottfried, oczywiście. Sperling chętnie przyjdzie. Nawet jeśli nie będą interesowały go przeprosiny, skorzysta z okazji, by spróbować puścić dom z dymem, podrzucić gdzieś gnijące jajko czy inaczej uprzykrzyć mi życie.

– Może i tak – przyznała. – Ale nie będzie współpracował.

– Trudno. W najgorszym wypadku siłą wyciągniemy z niego, o której wrócił do domu, i każemy przedstawić świadka.

Maria odwzajemniła uśmiech gospodarza, choć nie podzielała jego optymizmu. Heinrich musiałby być samobójcą, by dobrowolnie tutaj wrócić. Szczególnie jeśli to on był odpowiedzialny za śmierć Algunde.

Nie zdążyła zająknąć się na ten temat słowem, bo rozległo się pukanie do drzwi. Zanim pan domu zdążył przyzwolić, by je otwarto, do środka weszła Helena. Obrzuciła służącą pełnym obrzydzenia spojrzeniem, a potem założyła ręce na piersi.

– Gabriel – powiedziała. – Masz gościa.

Słyszając to, Maria poczuła, jak stopniowo drętwieje. Uświadomiła sobie, że Helena nie

należała do osób, które łatwo przyjmowały odmowę. Jeśli naprawdę chciała pozbyć się z domu Żydówki – i jeśli naprawdę to ją podejrzewała o zabicie Algunde – miała do dyspozycji szereg narzędzi.

Najprostszym było złożenie wizyty na najbliższym posterunku policji. Zapewne nie musiałyby długo przekonywać funkcjonariuszy, że to żydowska służąca jest najlepszym kandydatem na przestępcę.

Sytuację pogarszał fakt, że Gabriel się nie odzywał. Patrzył na żonę z pretensją, jakby pomyślał dokładnie o tym samym, co Maria.

– Mógłbyś go powitać? – zapytała Helena.

Polka wyraźnie usłyszała w jej głosie nutę satysfakcji. Gospodarz posłał jej zaniepokojone spojrzenie, a potem podniósł się z krzesła. Poniewczasie. Wszyscy usłyszeli głośne, ciężkie kroki na schodach, a zaraz potem skrzypienie podłogi.

To koniec, pomyślała Maria.

Donos, że w domu znajduje się Żydówka, uprawniał policjantów, by weszli bez pytania. Ona również wstała i z przestachem spojrzała w kierunku drzwi. Helena się odsunęła, a do środka wpadł mężczyzna w mundurze.

Gabriel otworzył usta i cofnął się o krok. Maria wbiła wzrok w przybysza.

– Christian... – powiedziała.

Cała sytuacja w jednej chwili skomplikowała się jeszcze bardziej.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, LUTY 1940 ROKU

Ulrich Kossendey miał już swoje lata, ale czuł, że nie osiągnął jeszcze wszystkiego, na co było go stać. Ranga Kriminaldirektora gwarantowała mu przyzwoite miejsce w hierarchii Gestapo, jednak zawsze sądził, że w tym wieku zajdzie jeszcze dalej.

Być może teraz będzie miał okazję.

Kossendey czekał, aż tłumacz przełoży akt oskarżenia, ale ten zupełnie zaniemówił. Trudno było mu się dziwić, musiał dostrzec w papierach, z kim mają do czynienia. Nakaz aresztowania, list gończy, rysopis i wysoki priorytet nadany przez SS nie pozostawiały co do tego najmniejszych wątpliwości.

Więzień nie był żadnym pospolitym przestępcą. Był Katem z Doliny Sanu.

Większość esesmanów traktowała tę postać niemal jak mit. Jeśli wierzyć plotkom, Kat w pierwszych dniach wojny grasował na pograniczu polsko-słowackim, samodzielnie dokonując mordów na niemieckich żołnierzach. Oficjalnie nikt nie potwierdził tych doniesień, ale wieść głosiła, że przestępca zaszył się gdzieś w górach.

Thorben wyprostował się, spojrzał na przełożonego, a potem przetłumaczył zarzuty.

Słuchając tej litanii, Staszek miał wrażenie, że Niemcy sobie z niego zadrwili. Powaga i zaangażowanie Fehrmanna przy odczytywaniu przewinień Zaniewskiego kazały jednak sądzić, że cała sytuacja nie ma nic wspólnego z żartami.

Waga zarzutów nie pozostawiała wątpliwości – próżno było liczyć na jakikolwiek uczciwy proces. Staszekowi groziła kara śmierci, wymierzona publicznie, przy aplauzie wszystkich Niemców znajdujących się w obozie.

Zaniewski potrząsnął głową, starając się ułożyć wszystko w logiczny scenariusz. Kiedy minął początkowy szok, uznał, że istnieje tylko jedna możliwość. Chodziło o jego brata.

Najwyraźniej struktury SS nie radziły sobie ze ściganiem przestępców tak dobrze, jak

z mordowaniem Bogu ducha winnych ludzi. Wystarczyło to samo nazwisko i nieco zbyt oględny portret pamięciowy, a mogło dojść do tragicznej pomyłki.

Bronek... Kat z Doliny Sanu. Staszek uśmiechnął się w duchu na myśl, że jeśli kiedyś nadarzy się okazja, by powiedzieć o tym bratu, ten będzie boki zrywał.

– Przyznajesz się do winy? – zapytał Thorben.

Polak spojrział na najwyższego rangą esesmana. Ulrich Kossendey był rozanielony i z pewnością liczył na to, że więzień będzie szedł w zaparte.

– Nie – powiedział Staszek. – Zaszła...

– Zamknij się – uciął Fehrmann.

– Jeśli mogę wyjaśnić...

– Nie, nie możesz – odparł tłumacz. – Zbrodniarzowi takiemu jak ty nie przysługują żadne prawa. Rozumiesz?

Zaniewski gorączkowo zastanawiał się nad tym, od której strony podejść do problemu. Jeśli dadzą mu szansę, być może uda się jakoś przekonać ich, że złapali niewłaściwego człowieka.

Zmarszczył czoło, patrząc w oczy Kriminaldirektorowi.

– I to jest wasz *Rechtsstaat*? – zapytał.

Na twarzy Kossendeya wykwitł jeszcze szerszy uśmiech.

– Co takiego? – spytał Thorben.

– Nie czytałeś Kanta?

Gdyby nie znajdowali się w gabinecie oficera, Fehrmann zapewne potraktowałby go bez ogródek. Tutaj jednak nie on decydował. Przeniósł wzrok na dowódcę, a ten uniósł brwi, zaciekawiony.

– Prekursor idei państwa prawa – dodał Polak.

Kiedy Thorben przełożył jego słowa, Ulrich wydał usta i z uznaniem pokiwał głową.

– Powiedz mu, że czas na dyskusje polityczne skończył się w Rzeszy w maju trzydziestego trzeciego roku i von Mohl obecnie nie ma nic do gadania – oznajmił.

– Ależ *Herr Kriminaldirektor*, czy to aby...

– Oczywiście, że konieczne! – odparł Kossendey. – Nie dość, że trafił się nam Kat z Doliny Sanu, to jeszcze okazał się rozumny.

Thorbenowi zrzędła mina.

– No, może nie do końca – dodał Ulrich. – W końcu dał się złapać, a najmądrzej byłoby wyrwać komuś broń i samemu się zastrzelić... Z drugiej strony może spodziewał się, że tutaj nie przyślą jego kartoteki. Nie pomyślał, że SS ze strachu najwyraźniej słało ją wszędzie.

Kossendey zaśmiał się pod nosem, a Fehrmann uśmiechnął się półgębkiem i przetłumaczył część wypowiedzi przełożonego. Staszek popatrzył z niepokojem na jednego i drugiego. Niemcy w dobrym humorze to nigdy nie był dobry znak. Szczególnie, kiedy jakiś Polak miał zamiar im go popsuć.

– Obawiam się, że nie będzie wam do śmiechu, jak tylko wytłumaczę parę rzeczy – powiedział, patrząc na Thorbena.

– Nie będziesz, psie...

– W takim razie Gestapo czeka wielka kompromitacja.

Fehrmann zmarszczył czoło, po czym – ponaglany przez Kriminaldirektora – przełożył słowa więźnia.

Ulrich Kossendey żałował, że jeniec nie mówi po niemiecku. Niechętnie korzystał z pomocy ludzi takich jak ten niekompetentny esesman – tych z politycznego nadania, którzy w poważnej

formacji nie zasłoby tak daleko, jak Fehrmann. Oprócz tego wolały bezpośrednio porozmawiać z więźniem... poznać lepiej osobę, dzięki której popchnie swoją karierę do przodu.

Ranga Kriminalrata oraz stopień Sturmbannführera nagle stały się realną, rychłą perspektywą. Ulrich przez moment świdrował wzrokiem Polaka.

– Niech mówi – orzekł w końcu. – Ale najpierw przywal mu porządnie, żeby nauczył się, że nie wypada przerywać.

Thorben ochoczo wykonał polecenie, uderzając więźnia w tył głowy i oznajmiając, że jeszcze jeden taki wybryk, a wszystko skończy się dla niego tragicznie.

Staszek odpowiedział skinieniem głowy i zacisnął usta, by nie okazać bólu. Zaczepnął tchu, starając się zebrać myśli. Zdawał sobie sprawę, że będzie miał tylko jedną okazję, by podjąć próbę ratunku. Bronkowi w żaden sposób zaszkodzić nie mógł – nawet stosując najokrutniejsze tortury, niczego by z niego nie wyciągnęli, bo zwyczajnie nie miał pojęcia, gdzie tamten przebywa.

– Macie niewłaściwego człowieka – zaczął spokojnym, wyważonym tonem. – Owszem, nazywam się Zaniewski, ale na imię mam Stanisław. Wy zaś szukacie mojego brata, który...

– Brednie – przerwał mu Fehrmann.

– Zapewniam, że nie – odparł Staszek. – Pasuję do rysopisu tylko dlatego, że...

– Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać – uciął esesman, a potem jeszcze raz przywalił więźniowi.

Zaniewski słuchał, jak Thorben przekłada na niemiecki jego słowa. Nie musiał rozumieć tego języka, by wiedzieć, jaki był efekt. Kiedy strażnik skończył, Kossendey zaśmiał się pod nosem i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Potem jego twarz nagle stężała. Wbił wzrok w Polaka.

– Doprawdy, sądziłem, że wielki partyzant będzie potrafił wymyślić lepszą historię – powiedział. – Widać niewola mu nie służy.

Fehrmann mruknął coś pod nosem.

– Możecie to bardzo łatwo sprawdzić – podjął Zaniewski. – Macie przecież gdzieś moje akta.

Ulrich sprawiał wrażenie, jakby rozmowa zaczynała go nużyć. Oczywiście, wszystkie dane więźnia znajdowały się w obozowej dokumentacji, ale Kriminaldirektor nie miał zamiaru w niej grzebać. Sprawa była jednoznaczna, a on nie miał obowiązku wysłuchiwać marnych tłumaczeń. Należało do niego przeprowadzenie egzekucji w odpowiedniej, publicznej oprawie. Tak, aby już żadnemu Polakowi nie przyszło na myśl powtarzać haniebnych czynów Kata z Doliny Sanu.

Staszek spojrzął na strażnika.

– Powiedz mi, że ma przed sobą nakaz aresztowania mojego brata, nie mnie – powiedział, po czym przeliterował: – S-t-a-n-i-s-ł-a-w Z-a-n-i-e-w-s-k-i. – Zrobił pauzę i dodał: – Gdzieś w tej katowni muszą być moje akta. Powinniście je sprawdzić, zanim...

Thorben znów go uderzył. Więzień obejrzał się przez ramię.

– Po prostu to sprawdźcie – syknął. – Zanim ośmieszycie się przed SS i innymi służbami.

Fehrmann niechętnie przetłumaczył ostatnią wypowiedź. Kiedy to zrobił, Kriminaldirektor przez moment się zastanawiał. Rozwagał implikacje skazania niewłaściwego człowieka – właściwie nie były zbyt dotkliwe, oprócz tego, że Schutzstaffel zapewne pozwoli sobie na nieco drwin pod adresem Gestapo.

Ulrich pociągnął za poły marynarki oficerskiej. Nie, nie warto było ryzykować.

Wezwał swojego asystenta, po czym polecił mu, by sprawdził akta Zaniewskiego. Słyszał, że Polak nie trafił do obozu ze zwykłej łapanki – jeśli wierzyć esesmanom, został tu skierowany

przez samego Blankenburga. Jeśli w istocie tak było, jego pełna dokumentacja z pewnością znajdowała się w Mauthausen.

Kiedy asystent opuścił pomieszczenie, Staszek poczuł iskierkę nadziei. Wiedział jednak, że przed nim jeszcze daleka droga.

– Owszem, byłem ścigany przez SS – zaczął. – Ale za przestępstwo podszywania się pod obywateli niemieckich. Dokumenty z Rawitscha powinny być w moich aktach, jeśli nie zostały zgubione.

Miał nadzieję, że Christian Leitner okazał się skrupulatnym oficerem i uczynił zadość wszelkim wymogom formalnym. Myśl, że Zaniewskiego mogła uratować sumienność Blankenburga i Leitnera była nieco osobliwa, ale ostatecznie teraz to właśnie od niej zależał jego los.

Podwładny Kossendeya wrócił po kilkunastu minutach. Staszek nie mógł wyczytać niczego z jego twarzy.

– Dawaj – ponaglił go Ulrich.

Asystent położył na biurku gruby plik kartek, zaszalutował, a potem cofnął się o krok i wyprostował jak struna.

Kossendey spuścił wzrok na dokumentację. Raport został sporządzony przez Hauptmanna Wehrmachtu, Christiana Leitnera. Oficer najwyraźniej miał za dużo czasu wolnego, bo wyjątkowo precyzyjnie opisał całą sytuację, która doprowadziła do wydania nakazu aresztowania.

Kriminaldirektor skończył czytać i na moment zamarł. Zaklął w duchu, a potem z impetem zamknął teczkę. Machnął ręką, strącając z biurka wszystkie papiery, i podniósł się.

Posłaniec nadal trwał w bezruchu. Thorben nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Jesteś pierdolonym, niekompetentnym idiotą, Friedrich – wysyczał Ulrich do swojego asystenta.

– Ale *Herr Kriminaldirektor*, to wszystko... te dane mogły zostać spreparowane.

– To prawda – poparł go Fehrmann. – Poza tym może być odpowiedzialny za to i za wydarzenia w Dolinie Sanu.

Kossendey wycedził ciąg przekleństw.

– Zamknąć się – rozkazał. – Nie widzicie dat?

Thorben minął Staszka i podniósł teczkę.

– Jeśli to chuchro to Kat – podjął, patrząc na Polaka – to najwyraźniej potrafi być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Ale...

– W dodatku ujął go cholerny Blankenburg – ciągnął Kossendey, trąc skronie. – Gdyby chłopak był człowiekiem, którego szukamy, Johann nie odstawiłby go do obozu.

Zaległa ciężka cisza. Staszek nie rozumiał, co mówią Niemcy, ale po ich reakcjach mógł jednoznacznie stwierdzić, że pojawiła się szansa, by wyjść z opresji.

Ulrich machnął ręką, po czym ruszył w stronę drzwi, zupełnie ignorując więźnia.

– *Herr Kriminaldirektor*... – zaczął niepewnie Fehrmann. – Co mamy z nim zrobić?

Kossendey złapał za klamkę i zatrzymał się. Zastanawiał się przez krótką chwilę.

– Wykąp go i wystaw na mróz.

– Rozumiem.

– Wyciągnij z niego, gdzie znajduje się jego brat – dodał dowódca. – I ani słowa o tym, co tu słyszałeś, jasne? Chyba że spieszysz się do grobu.

– Tak jest.

Gestapowcy opuścili pomieszczenie, a Fehrmann czym prędzej odwiązał sznur krępujący więźnia i wyprowadził go na zewnątrz. Właściwie się nie dziwił. To Gestapo nie potrafiło sprawdzić dokumentacji, SS zrobiłoby to na samym początku. Stanowiło to kolejny dowód na to, że tylko oficerowie Schutzstaffel powinni znajdować się w obozach.

Wyprowadziwszy Zaniewskiego na plac, Thorben skrzyknął kilku więźniów. Polecił im przygotować wiadra z zimną wodą, po czym oznajmił, że będą wylewać je na Staszka i uzupełniać, dopóki nie rozkaże, by przzerwali.

– Rozbieraj się – powiedział.

Zaniewski wzdrygnął się na myśl o tym, co go czeka, ale wykonał polecenie. Był już w obozie na tyle długo, by wiedzieć, że w takiej sytuacji opór jest bezcelowy. Zrzucił z siebie ubranie, a potem stanął na baczność. Nie próbował się zasłaniać, po prawdzie nie czuł już nawet wstydu.

– I nie ruszaj się – dodał Fehrmann.

Zaraz potem esesman wydał komendę, by zacząć polewać Polaka lodowatą wodą. Staszek starał się trwać w bezruchu, ale raz po raz targały nim mimowolne drgawki. Thorben szybko karał go z pomocą pałki.

Po kilku powtórkach w końcu odpuścił.

Trzęsąc się jak osika, Zaniewski podniósł przemoczone rzeczy. Strażnik popędził go do baraku, a tuż przed progiem przywalił mu w plecy na tyle mocno, by nieszczęśnik stracił równowagę.

Chłopak wpadł do środka i wyłożył się na podłodze. Przypuszczał, że to dopiero początek, ale nagle usłyszał, jak drzwi się za nim zamykają. Odwrócił się i przekonał, że Fehrmann wyszedł.

Podniósł się powoli i spojrzał przed siebie. Ledwo widział na oczy, ale zauważył, że zmierza ku niemu dwóch mężczyzn. Przemknęło mu przez myśl, że jest zupełnie nagi.

Zaraz potem poczuł falę gorąca. Pomyślał, że to absurdalne, ale potem przypomniał sobie, że przy wyziębieniu organizmu często występuje takie złudne uczucie. Nie był to dobry znak.

Mężczyźni się nad nim pochylili. Rozpoznał Obelta i Zmitkiewicza.

Pomogli mu wstać, owinęli go suchymi kocami, a potem poprowadzili na pryczę.

– Chyba mam... hipotermię – odezwał się cicho Staszek. – Pochowaliśmy go pod Carling. Gdybym zapadł w letarg, to musicie... – Urwał, a jego ciałem wstrząsnął nagły skurcz mięśni.

Umysł błądził po urywanych, niemających ze sobą nic wspólnego obrazach. W głowie kołatały mu się zdania, które niegdyś musiał przeczytać w jakiejś książce, opisujące ujemny bilans cieplny organizmu. Nie potrafił pozbierać ich w logiczną całość.

– Bredzi – powiedział Czesław Zmitkiewicz, dokładając kolejną warstwę ubrań, które miały ogrzać Staszka.

– Musimy... się stąd wynosić – wydukał ten ostatni, rozglądając się wpół zamkniętymi oczami.

Obelt przez moment milczał.

– Jak tylko poczujesz się lepiej, Zaniewski – odparł w końcu.

IV

Aequum est peccatis veniam poscentem reddere rursus.
– *Słuszne jest wybaczyć winy proszącemu o przebaczenie.*

HORACY

BERLIN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Człowiek z siwą brodą niespiesznie przerzucał stos dokumentów, które dzisiejszego ranka położył na jego biurku jeden z młodych funkcjonariuszy SD.

Mimo że zadania i kompetencje starca były jasno sprecyzowane i nie dotyczyły niczego, co wiązałoby się z otwarciem nowego frontu w Europie, Hitler wydał dyspozycję, by co rano dostarczano mu nową porcję raportów, opracowań i sugestii. Zazwyczaj człowieka z brodą to cieszyło, gdyż było dowodem zaufania, jakie pokładał w nim Wódz. Dziś jednak przeglądał papiery z obojętnością.

Miał już wyrobione zdanie na temat inwazji na Skandynawię, mimo to należało zapoznać się ze zgromadzonymi informacjami. Führer będzie oczekiwał szczegółowej opinii i starzec ją dla niego sporządzi, choć jego samego bardziej interesowała inna misja. Ta, w której Christian Leitner grał istotną rolę.

Mężczyzna westchnął głośno, po czym odłożył mapę przedstawiającą przypuszczalne rozlokowanie oddziałów wroga na terytorium Danii i Norwegii. Spojrzał na srebrny zegarek kieszonkowy, leżący na blacie, i stwierdził, że jego gość powinien już się zjawić.

Podniósł wzrok i przez moment zastanawiał się, czy udało mu się nakłonić Führera do odroczenia ataku na Francję. Ofensywa była jego zdaniem przedwczesna, ale dowództwo Wehrmachtu miało swoją wizję. Wizję, którą zaraziło Wódz niczym infekcją. Przez nią Hitler był przekonany, że Dania podda się bez oddania pojedynczego strzału.

– Idioci – mruknął do siebie Cerber.

Był zdania, że bez względu na decyzję władz, nawet najmniejszy kraj, dysponujący minimalnymi zdolnościami obronnymi, będzie zaciekle broniony przez ludność cywilną. Przykład Polski dobitnie pokazał, że buńczuczne zapowiedzi Wehrmachtu są na wyrost, a mimo to Führer wciąż pokładał wiarę w słowa dowództwa.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi i stary człowiek zamknął teczkę.

– Wejść – polecił.

Jeden z młodych funkcjonariuszy wprowadził do biura Johanna Blankenburga. Oficer SD wykonał nienaganne hitlergruß, a potem zbliżył się do biurka i stanął na baczność. Cerber odesłał młodego, a Blankenburgowi wskazał krzesło.

– Więc? – zapytał, oddychając ciężko.

Johann zajął miejsce.

– Żona Leitnera jest w ciąży – oznajmił. – Syn ma się dobrze, lekarze nie przewidują problemów z powrotem do społeczeństwa.

Cerber pogładził siwą brodę, po czym oparł ręce na blacie i popatrzył na Blankenburga z powagą.

– Każdy ma problemy z powrotem do społeczeństwa – zauważył. – Każdy, kto spędził choć trochę czasu w niewoli.

– Może – przyznał Johann. – Ale jest jeszcze młody, może będzie wartościowym Aryjczykiem. Co mam zrobić z żoną?

Cerber wyciągnął z kieszeni marynarki niewielki kluczyczek, obejrzał go, a potem włożył do zamka w jednej z dolnych szuflad biurka. Wyjął z niej grubą teczkę, opatrzoną napisem „Sauberkeit”. Przejrzał kilka plików i gdy znalazł ten, którego szukał, otworzył go i wyciągnął zdjęcie Johanny Leitner. Zostało zrobione na dworcu w Breslau. Kobieta była piękna, miała na sobie gustowne ubranie oraz kapelusz z szerokim rondem. Trzymała za rękę chłopca i zdawała się rozglądać. Zapewne szukała męża. Zamiast niego jednak spotkała wysłanego przez starca oficera.

Cerber spojrzał na Blankenburga z dezaprobatą.

– Nie mogłeś się oprzeć? – zapytał.

Rozmówca poruszył się niespokojnie i przeniósł wzrok na portret Wodza.

– Nie mogę mieć pewności, że to moje dziecko... – zauważył.

Gospodarz westchnął i pokręcił głową.

– Dałem ci bardzo precyzyjne instrukcje – powiedział. – Miałeś przewieźć ich do placówki pod Rawitschem. Nie bić tej kobiety, nie gwałcić jej, nie znęcać się nad nią ani nad dzieckiem.

Johann nie wyglądał, jakby żałował jakiegokolwiek ze swoich uczynków. Przeciwnie, zapewne odczuwał satysfakcję, że zhańbił żonę Leitnera.

– Mogłeś pokrzyżować moje plany – zauważył chłodno Cerber. – Moje i Führera, rozumiesz?

– Rozumiem.

Starzec widział w jego oczach złość. Gdyby nie to, że nikt w Rzeszy nie śmiałyby podnieść ręki na Cerbera, Blankenburg zapewne odpowiedziałby zupełnie inaczej. Bestia nie przywykła do traktowania z góry.

– Będziesz musiał to naprawić – dodał brodaty mężczyzna.

– Tak jest.

Nagle zadzwonił telefon na biurku. Cerber spojrzał na niego, po czym wymownie odchrząknął. Nie musiał nic dodawać, Johann doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kto dzwoni.

– Wróć za kwadrans – polecił gospodarz.

– Tak jest.

Rozmowa nie trwała nawet piętnastu minut. Odłożywszy słuchawkę, Cerber utwierdził się w przekonaniu, że sprawa związana z Christianem Leitnerem zajmuje mu cały dzień.

Wezwał z powrotem Johanna, wydał mu szereg rozkazów, a potem odesłał na korytarz. Kiedy ten zamknął za sobą drzwi, starzec pomyślał, że ludzie tacy jak Torsten i Johann

Blankenburgowie nie nadają się do funkcjonowania w normalnym świecie. Owszem, świetnie sprawdzali się na wojnie, wykonując najbrudniejszą robotę, ale w czasie pokoju zwyczajnie nie potrafili znaleźć sensu własnej egzystencji. Żerowali na cierpieniu, a gdy go zabrakło, musieli samodzielnie je zadawać.

Po chwili znów rozbrzmiał dźwięk aparatu na biurku. Tym razem nie mógł to być Hitler, rzadko kiedy znajdował czas, by telefonować tak często. Brodaty podniósł słuchawkę.

– Cerber – powiedział zachrypniętym głosem i odkasznął, zasłaniając na moment głośnik.

– *Eisenhut* – rozległo się hasło po drugiej stronie linii.

– Identyfikacja – odrzekł starzec, choć zdawał sobie sprawę, że nikomu nieuprawnionemu nie udałoby się zdobyć numeru jego telefonu, a tym bardziej wejść w posiadanie konkretnych, przypisanych do nazwisk haseł uwierzytelniających. Był jednak człowiekiem niezwykle ostrożnym, a oprócz tego trzymał się wszelkich procedur co do joty.

– Untersturmführer Heinz Stubbe – odpowiedział rozmówca.

Był pierwszym z podwładnych Cerbera, którzy nawiązali bezpośredni kontakt z Leitnerem, jeszcze w Rawitschu. Teraz odpowiadała za śledzenie go i donoszenie starcowi o wszystkim, co uznał za istotne.

– Słucham – mruknął Cerber.

– Leitner zgodnie z planem pojawił się w Bad Polzin i Klosterheide.

– Wykonał misję?

– Owszem, bez żadnych problemów. Chociaż w Steinhöring były niewielkie kłopoty.

– Jakiej natury?

– Stał się niestabilny, załamał się. Zaatakował mężczyznę w jednej z kawiarni, na oczach gapiów. Pije coraz więcej, dodatkowo wchodzi w kontakty seksualne z przypadkowymi...

– Wystarczy – uciął Cerber. – Jest w stanie wypełnić misję do końca?

– Podzielam opinię, że wymaga odpoczynku – odparł z rezerwą Stubbe. – Udzielona przez pana zgoda na wizytę w Lüttendorfie powinna załatwić sprawę.

– Obserwuj go – polecił brodac, po czym odłożył słuchawkę. Nie miał zamiaru rozmawiać z podrzędnymi funkcjonariuszami SS dłużej, niż to było konieczne. Poza tym spodziewał się, że psychika Leitnera w pewnym momencie pęknie jak bańka.

Nie stanowiło to żadnej niespodzianki, Christian był bowiem związany z rodziną równie mocno, co z Rzeszą. Zresztą także z tego względu starzec wybrał go na krótko po tym, jak Heinz Stubbe natknął się na niego w Rawitschu.

Tamto spotkanie nie było planowane. Leitner dostrzegł dwóch gestapowców, kiedy ci usuwali jednego z wrogów Rzeszy. Wypatrzył ich czarne bmw, zainteresował się nietypowym pistoletem z tłumikiem, a potem sprawdził ich dokumenty. Mieli papiery podpisane przez samego Himmlera, więc nie robił problemów.

Od tamtej pory Cerber się nim interesował. I ostatecznie sprawił, że Christian Leitner robił dokładnie to, czego od niego wymagał.

Starzec uśmiechnął się i sięgnął po kolejny plik dokumentów.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek Zaniewski przywdział skromny arabski ubiór w bliżej nieokreślonym odcieniu wyblakłego brązu. Składał się z dużego luźnego płaszczka, zwanego abają, oraz biało-czarnej chusty na głowę, zwanej kefiją. Handlarz, który mu je sprzedał, wciąż powtarzał słowo *hidżab*, ale polski żołnierz nie miał pojęcia, czy oznacza ono formę ubioru, żądanie zapłaty czy może

jakąś obelgę.

W mużułmańskim świecie czuł się osaczony dziwnym językiem, podejrzliwymi spojrzeniami, enigmatycznymi zachowaniami i wszechogarniającym gwarem. Pierwsze godziny w Bejrucie były wypełnione wątpliwościami. Przemierzał wąskie uliczki, niepewny, jak się zachować... i czym się w razie czego bronić. Naszła go nieprzesadnie miła konstatacja na temat kierunku, w którym skręciło jego życie – bez karabinu czuł się gorzej niż bez ręki. I wątpił, by w najbliższym czasie sytuacja miała ulec zmianie.

– Dziękuję – burknął po polsku do sprzedawcy, skłonił się lekko i poprawił abaję. Z chustą na głowie miał znacznie większy problem. Materiał nijak nie chciał ułożyć się odpowiednio. Noszenie go było jednak konieczne, jeśli miał zamiar wtopić się w tłum.

– *Hidżab* – odparł Arab.

– Mhm.

Muzułmanin westchnął i wyciągnął rękę po chustę. Bronek przez moment się zastanawiał, po czym oddał mu kefiję. Ten sprawnym ruchem złożył ją na pół, uformował trójkąt i bez słowa przyłożył Zaniewskiemu do czoła. Kilkoma szybkimi ruchami zawiązał materiał i zostawił spory kawałek, który opadł Polakowi na ramiona. Potem kiwnął głową z aprobatą.

Na koniec wyszczerzył poźółkłe zęby, powiedział kilka słów po arabsku i wsadził Bronkowi do ręki kawałek czarnego, miękkiego i poskręcane materiału.

Zaniewski miał tego dosyć. Rozejrzał się za Jorgosem Karagiozopoulosem i wypatrzył go przy stoisku obok. Grek szybko złowił jego wzrok i zbliżył się. Skompletował mużułmańskie okrycie także dla siebie, a potem zapłacił i wycharczał coś po arabsku.

Po chwili dwóch mężczyzn wmieszało się w tłum wypełniający bejruckie uliczki.

– Co to, do cholery, jest hidżab? – mruknął Bronek, starając się odpowiednio wymówić charakterystyczne „h”.

Karagiozopoulos zastanawiał się przez chwilę, jednocześnie uważnie rozglądając się wokół, jak gdyby kogoś lub czegoś szukał.

– Trudno to wytłumaczyć – rzucił od niechcienia.

– Spróbuj.

Jorgos poprawił chustę i obrócił się do Polaka.

– To połączenie skromności, prywatności, intymności i moralności. Chodzi o kotarę, która oddziela ich od Boga.

– Aha.

– O to, żeby skromnie się ubierali – dodał kapitan „Aigokerosa”.

Zaniewski skinął głową, żałując, że w ogóle pytał. Wyszli z przesmyku między niskimi budynkami i trafili na rozległy plac, stanowiący najwyraźniej jeden z głównych ośrodków miejskiego życia. Bronek potoczył wzrokiem po kolorowych elewacjach budynków i pomyślał, że pod względem tłoczącej się tu liczby osób i stopnia zadbania plac przywodzi na myśl podobne miejsca w europejskich stolicach. Nie tak wyobrażał sobie Bejrut.

– *Place des Martyrs* – oznajmił Karagiozopoulos. – Samo serce miasta.

– Ewidentnie.

– Nie ustępuje niczym metropoliom u nas, prawda?

Zaniewski potwierdził ruchem głowy, wodząc wzrokiem za przejeżdżającym tramwajem. Wszyscy przechodnie zdawali się gdzieś spieszyć, a harmider panował tak duży, że z trudem można było się tutaj porozumieć.

– Samochodów więcej niż w Warszawie – zauważył.

Jorgos wskazał na centralne miejsce placu i przyspieszył kroku. Polak poszedł za nim, z trudem manewrując między ludźmi i pojazdami.

Weszli do niewielkiego miejskiego parku otoczonego palmami. Wewnątrz było jak w oku cyklonu – cały tumult znikł jak ręką odjął, a jego miejsce zajęła sielankowa atmosfera. Zaniewski dostrzegł drzewa i krzewy, które z pewnością zostały sprowadzone tutaj z Europy.

Usiedli na niewielkiej ławce. Po drugiej stronie parku w dwóch równych rzędach stały zaparkowane samochody. Nie były jakie. Niewątpliwie ich właściciele cechowali się zbyt wysokim statusem, by szoferzy zatrzymywali się przy ulicach okalających plac. Mimo braku linii wyznaczających strefy parkowania stały w idealnej odległości od siebie.

Jorgos rozejrzał się, wyciągnął cygaro i przez moment obracał je między palcami. Włożył je do ust, ale nie zapalał. Potem znów zaczął się nim bawić. Po którejś z kolei sekwencji Zaniewski miał tego dość.

W końcu jednak Grek schował cygaro i szturchnął towarzysza. Wskazał na szereg samochodów.

Bronek dostrzegł zbliżającego się wysokiego mężczyznę, dla którego brak szofera byłby zapewne równie dotkliwy, jak dla niego samego brak karabinu. Dystyngowany dżentelmen podpierał się okazałą brązową laską, niespiesznie omiatając wzrokiem okolicę.

– Na niego tutaj czekamy? – zapytał Zaniewski.

– Tak.

– Więc może podejźmy? Nie widzi nas.

– Zauważy.

Polak westchnął, oderwał wzrok od mężczyzny i popatrzył po innych przechodniach. Uczucie, że wlepiają w niego wzrok, towarzyszyło mu, od kiedy opuścili portowe uliczki. Początkowo było to zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę obcy ubiór, ale teraz...

Dopiero po chwili Bronek uświadomił sobie, dlaczego tak jest.

– Jorgos.

– Tak?

– Byłeś tu już kiedyś?

Karagiozopoulos oderwał spojrzenie od nadchodzącego dżentelmena i przeniósł je na rozmówcę.

– Oczywiście – zapewnił. – Zawijaliśmy do Bejrutu nieraz, przecież ci o tym mówiłem. Dlaczego pytasz?

– Spójrz na nich – odparł Zaniewski, wskazując Arabów.

Większość odziana była w białe ubrania przypominające bardziej koszule niż tradycyjny muzułmański strój. Na głowach nosili wysokie czerwone nakrycia, odsłaniające czoło i kawałek włosów.

– W co ty nas poubierałeś?

Kapitan „Aigokerosa” na powrót wyjął cygaro, uśmiechnął się, a potem w końcu je zapalił.

– Nigdy nie byłem na Place des Martyrs – powiedział. – Większość spraw zazwyczaj załatwiam w ciemnych zaułkach. Tam noszą się inaczej.

Karagiozopoulos zaciągnął się głęboko i ledwo wypuścił dym, a mężczyzna w czarnym cylindrze zatrzymał się przed nimi. Spojrzał na nich z góry, przyglądając się twarzom niemal skrytym pod turbanami.

W końcu uśmiechnął się lekko.

– Nie poznałbym cię w tej szacie – powiedział po angielsku, z amerykańskim akcentem. –

Zwariowałaś?

– Czasem trzeba się wystroić – wyjaśnił Jorgos, podnosząc się.

Bronek zrobił to samo. Kapitan szybko go przedstawił, a następnie wymienili mocne uściski dłoni.

– Graham Driscoll, promotor idei niepodległości Libanu – powiedział dryblas.

– Bronisław Zaniewski – odparł Polak nienagannym angielskim, po czym zrobił pauzę, namyślając się. Równie dystyngowanym tonem dodał: – Brzask Egejski. I promotor idei skrócenia Hitlera o łeb.

– Słucham?

– To długa historia – uciął Jorgos i machnął ręką.

Greki wyjaśnił pokrótce, że Driscoll jest jednym z pracowników American University of Beirut – dość popularnym wśród mieszkańców, otwarcie bowiem głosi potrzebę uznania przez Francję suwerenności Libanu. Z racji swoich licznych kontaktów z przychylnymi mu Arabami niejednokrotnie służył Jorgosowi jako źródło informacji, a w zamian kapitan transportował dla niego towary, których na Bliskim Wschodzie znaleźć nie sposób.

– Arabowie, przyjacielu, żyją na pustyni. Tutaj mieszkają Libańczycy – poprawił go Graham.

– Ja tam nie widzę różnicy.

Po parku przeszedł lekki podmuch wiatru. Amerykanin upewnił się, czy cylinder aby się nie przekrzywił.

– Panowie – zaczął. – Chodźmy stąd. Znam właściwsze miejsca do prowadzenia prywatnej rozmowy. Tym bardziej że swoimi europejskimi rysami i osobliwymi strojami ściągacie uwagę całego Bejrutu.

Driscoll zaprowadził ich do swojego samochodu i zaproponował Bronkowi, by ten usiadł obok szofera. Sam wraz z Jorgosem zajął miejsce z tyłu i szybko pogrążyli się w rozmowie, jak dwóch naprawdę dobrych, starych znajomych.

– Miło widzieć, że zapuściłeś się choć raz poza port – zauważył Graham.

– Tak, tak. Teraz na własnej skórze przekonałem się, ile kurzu i brudu mnie ominęło.

– Ależ...

– Driscoll, do rzeczy – ponaglił go Karagiozopoulos.

Kierowca opuścił najruchliwszą ulicę wokół placu i skierował się ku obrzeżom miasta. Przez moment Graham milczał, podczas gdy kapitan „Aigokerosa” nerwowo ćmił swoje cygaro.

– Ostatnim razem nie potrafiłem ci pomóc – zaczął Driscoll. – I obawiam się, że tym razem jest podobnie.

Karagiozopoulos zaklął po grecku.

– Szukałem nowych informacji, zapewniam cię, ale... cóż, wygląda na to, że nie ma żadnych poszlak.

– Niemożliwe.

– Ludzie w Bejrucie czasem znikają, Jorgos. Spiridon także mógł.

– On nie znikł z Bejrutu, tylko z mojego pokładu – odparł pod nosem kapitan, wlepiając wzrok w horyzont. Między zabudowaniami widać było już rozległą, jałową pustynię.

Rozmówca wzruszył ramionami.

– To tym bardziej się zdarza – ocenił.

– Nie w przypadku „Aigokerosa”.

Wymienili się spojrzeniami, które sugerowały, że nie dojdą do porozumienia. Amerykanin podjął więc inny, niezobowiązujący temat, a Bronek przysłuchiwał się mu z obojętnością.

Wyglądał za okno, porażony bezbrzeżnością i jałowością Lewantu.

Po półgodzinie dotarli na obrzeża miasta. Przeciwnie niż w centrum Bejrutu, nie było tutaj ciasno wzniesionych budynków, które przywodziłyby na myśl europejski krajobraz. Najwyraźniej kolonizatorzy ze Starego Kontynentu nie zapuszczali się tak daleko. Tu kwitła przede wszystkim kultura mająca arabski rodowód.

W końcu kierowca zaparkował pod rozległą rezydencją, odgrodzoną od świata zewnętrznego gęstym rzędem drzew. Z zakurzonej ulicy widać było jedynie skrawek elewacji i trudno było stwierdzić, co znajduje się po drugiej stronie.

– Cedry – zauważył Driscoll.

– Słucham?

– Toczy pan po nich wzrokiem – wyjaśnił Amerykanin. – Występują tutaj w nadmiarze. Kiedy wybierałem tę działkę, była cała zarośnięta. Kazałem wyciąć większość cedrów ze środka i dzięki temu zyskałem naturalną osłonę.

Wyszli z samochodu.

– Obawia się pan czegoś? – zapytał Zaniewski.

– Tylko złej prasy – powiedział z uśmiechem Graham. – Chciałem żyć tu w odpowiednim standardzie, ale nie mogłem przecież pozwolić, żeby Libańczycy o tym wiedzieli – dodał, wskazując otwierającą się bramę. – Chodźmy.

Kiedy minęli rząd cedrów, Bronek zrozumiał, co miał na myśli Driscoll. Widoczny z ulicy kawałek elewacji stanowił jedynie element okazałej fasady. Budynek przypominał siedzibę amerykańskiego prezydenta.

Graham poprowadził swoich gości do wnętrza okazałego domu, po czym oznajmił, że musi się przebrać.

– Nie ma mowy – zaproponował kapitan „Aigokerosa”.

– Otrzymacie poczęstunek, a ja...

– Nie – powtórzył Jorgos.

– Tego wymaga kultura – zachnął się Driscoll. – Tak nie załatwia się interesów. Arabski zwyczaj wymaga, żebyśmy najpierw zamienili kilka słów o rodzinie, potem o znajomych, dalszej rodzinie, dalszych znajomych i...

– Mój statek niedługo odchodzi.

Przez moment mierzyli się wzrokiem.

– Poza tym z Arabami nie mamy wiele wspólnego – dodał Bronek, rozkładając ręce.

Graham westchnął, ale ostatecznie skinął głową i wydał kilka poleceń swojej służbie. Gdy Libańczycy zaczęli przygotowywanie czegoś do jedzenia i picia, gospodarz wyprowadził gości na zewnątrz. Przeszli na niewielkie wzniesienie na skraju działki, z którego roztaczał się imponujący widok na strefę przybrzeżną i Zatokę Świętego Jerzego.

Trzech mężczyzn utkwili wzrok we wzburzonych falach Morza Śródziemnego. Wyraz twarzy gospodarza wyraźnie stężał.

– Nie bardzo wiem, jak mógłbym ci pomóc – odezwał się Driscoll.

– Załatwiając broń – odparł Karagiozopoulos.

Amerykanin nawet nie drgnął.

– Tyle jest oczywiste – powiedział. – Niemniej to tylko narzędzie, a nie metoda.

– Wystarczy, by myśleć o wymierzeniu sprawiedliwości.

– Komu?

– Temu, kto odpowiada za śmierć Spiridona.

Przez moment milczeli.

– Nawet jeśli doszło do zabójstwa, nie ma żadnych śladów. W tym względzie nie mogę ci pomóc.

– Wystarczy, że załatwisz karabin. Porządny, z celownikiem.

Driscoll uniósł brwi.

– I cóż ci po nim? – zapytał.

Karagiozopoulos uśmiechnął się półgębkiem i wskazał na polskiego towarzysza.

– Mnie nic – odparł. – Ale ten tutaj potrafi dobrze wymierzyć.

Bronek nieustannie się rozglądał. W zasięgu wzroku nikogo nie było, z ulicy nikt ich nie widział. Służba najwyraźniej otrzymała polecenie, by nie zbliżać się do wzniesienia. Byli tutaj zupełnie sami.

Dokładnie tak, jak planował Jorgos. Scenariusz sprawdził się pod każdym względem – a Grek wcześniej w parku dokładnie opisał go Bronkowi. Jednoznacznie też określił, jaka będzie rola Zaniewskiego.

Polak zrobił krok w tył.

– Żałuję, że nie mogę bardziej się przydać – odezwał się Driscoll.

Bronek cofnął się jeszcze trochę. Karagiozopoulos pokiwał głową w zadumie, a potem nabrał głęboko tchu i przeciągnął się.

– Ależ możesz – zaprzeczył Grek.

Był to sygnał, na który czekał Polak. Niespecjalnie podobał mu się pomysł, by zaatakować od tyłu tego człowieka, ale kapitan upierał się, że to absolutnie konieczne.

Zaniewski wbił wzrok w plecy Grahama, a potem wziął porządny zamach i bez ogródek przywalił Amerykaninowi w potylicę. Driscoll niemal bezgłośnie runął na ziemię, zupełnie otumaniony.

– Aj – jęknął Jorgos, rozglądając się. – Po co tak mocno?

– Mówiłeś, że...

Greki przykucnął.

– Żeby to było solidne, ale przecież nie musiałeś go nokautować – szepnął.

Gospodarz mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, a kapitan „Aigokerosa” wskazał Zaniewskiemu nogi Driscolla. Chwilę później zaciągnęli go kawałek dalej.

Położyli go na wznak tuż przy skraju wzniesienia, po czym Jorgos kilkakrotnie wymierzył mu policzek.

– Ocknij się – syknął. – No już.

Graham wybełkotał coś pod nosem, ale potem nagle zaskoczył. Rozejrzał się z przerażeniem i dopiero, gdy zobaczył palec wskazujący na ustach Greka, powściągnął emocje.

– Jedno słowo, a polecisz w dół – odezwał się Bronek, przysuwając Driscolla w stronę urwiska.

– Ale... ale wy...

– Cisza – uciął Jorgos. – Będziesz się odzywał tylko, kiedy cię o coś zapytamy.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Christian Leitner stał w progu gabinetu, który pod swoją nieobecność wraz z całym domostwem oddał pod zarząd starszego brata. Popatrzył na Marię przelotnie, jakby była tylko jedną z anonimowych służek, choć poczuł, że serce zabiło mu szybciej.

W okamgnieniu wróciły obrazy, które od pewnego czasu starał się utopić w alkoholu.

Upokorzenie w Rawitschu, porwanie Johanny i Maximiliana, w końcu ciężkie obrażenia, które odniósł za sprawą Torstena Blankenburga alias Holzera. To wszystko wiązało się z Marią.

Być może nawet to w niej powinien upatrywać źródła tego, co go spotkało. W końcu właśnie od spotkania z nią wszystko się zaczęło. Leitner uznał, że to sensowna myśl. Jedna z wielu klarownych, które pojawiały się w jego umyśle coraz częściej, od kiedy przystał na propozycję Cerbera i postanowił wykonywać jego polecenia ku chwale Rzeszy i Führera.

– Witaj, bracie – odezwał się Gabriel, robiąc krok w jego kierunku.

– Witać możesz kogoś, jeśli przyjmujesz go w swoich włościach.

Tymczasowy gospodarz wydawał się nieco skołowany. Odchrząknął, a potem cofnął się. Energicznie wyrzucił w górę wyprostowaną rękę.

– *Heil Hitler!* – poprawił się.

– *Heil Hitler* – odpowiedział spokojnie Christian, patrząc badawczo na brata. – Zapomniałeś, że każdy cywil ma obowiązek witać się w tej sposób?

– Sądziłem po prostu... – zaczął Gabriel, ale urwał i machnął ręką. – Nie spodziewałem się ciebie.

– To wciąż mój dom.

– Oczywiście.

– Więc chyba nie muszę się zapowiadać? – Leitner znów spojrzął przelotnie na Marię i zbliżył się do okna. Spędzając długie, samotne dni w Rawitschu, wielokrotnie przypominał sobie widok z gabinetu w Lüttendorfie. Tej wizji jednak zawsze towarzyszył biegający po domu Maximillian oraz Johanna w wiosennym, przewiewnym stroju, która wołała ich na obiad do ogrodu.

Christian Leitner z trudem odrzucił te wspomnienia i skupił się na słowach brata. Gabriel właśnie kończył zapewniać go, że starał się prowadzić gospodarstwo najlepiej, jak potrafił.

Kiedy zamilkł, Christian spojrzął w kierunku korytarza.

– Więc jak do tego doszło? – zapytał.

Gabriel i Maria stali za biurkiem. Gospodarz wyglądał, jakby czekał na lincz. Zaplótł dłonie, trąc nerwowo kciukiem o palec wskazujący.

– Wciąż to ustalamy – powiedział.

Christian zbliżył się do biurka, po czym wskazał wzrokiem, że oboje powinni znaleźć się po jego drugiej stronie. Polka i starszy z braci nie zwlekali.

– Zapewniam cię, że dowiemy się, kto odpowiada za śmierć Algunde.

– To ja mogę o tym zapewnić, Gabriel – odparł pan domu i zajął swoje miejsce. Rozejrzał się, a potem sięgnął po butelkę whisky i szklankę. Napełnił ją, pociągnął łyk i westchnął.

Nie mógł powiedzieć, że stara służąca była dla niego jak matka. Stanowiłoby to nadinterpretację... jakkolwiek niewielką. Był z nią zżyty znacznie bardziej, niżby to wynikało z czystej logiki. Wymiar emocjonalny relacji ludzkich zawsze w pewnym stopniu stanowił dla Christiana zagadkę, wymykał się logice – w tym przypadku również tak było. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zrobi wszystko, by dowiedzieć się, kto odebrał życie Algunde.

– To wszystko – oznajmił.

Gabriel przez moment milczał. W końcu skinął na Marię i oboje ruszyli w kierunku wyjścia. Starszy z Leitnerów zatrzymał się przed progiem i obejrzał przez ramię.

– Gottfried jest w domu – oznajmił na odchodnym.

– Cieszy mnie to.

Kiedy Christian podniósł szklankę do ust, brat przepuścił Polkę w drzwiach, a potem zamknął je za sobą.

Maria miała wrażenie, że wiejska cisza jest ogłuszająca. Idąc do części domu zajmowanej przez służbę, nie mogła zebrać myśli. W końcu po prostu się poddała i pozwoliła, by uczucie dezorientacji ją oplotło.

Wróciła do Elisy, a potem usiadła na niewielkiej pryczy i zwiesiła głowę. Chwilę trwało, nim kuzynce udało się uzyskać od Marii wyjaśnienia. Polka zaczęła od Leitnera, a potem opisała wszystko to, co wiązało się ze śmiercią Algunde.

Elisa nie zdążyła skomentować. Zanim otworzyła usta, w progu pojawiła się Helena, nerwowo poprawiająca siwe włosy. Omiotła niepewnym spojrzeniem służki, wydała kilka krótkich instrukcji, a potem znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Dziewczynom polecono zadbać o odpowiednie powitanie pana domu. Kolacja miała być wystawna, wszystko dopięte na ostatni guzik. Kiedy Helena wydawała komendy, nie popatrzyła nawet przelotnie na Marię.

– Ona chyba cię podejrzewa – zauważyła Elisa, wiążąc na głowie chustę.

W pierwszej kolejności miały zabrać się za obieranie ziemniaków.

– Z wzajemnością.

Francuzka spojrzała na kuzynkę.

– Poważnie? – zapytała.

– A jak miałabym nie podejrzewać takiej jędzy?

Maria sądziła, że rozmówczyni uśmiechnie się choć lekko, ale Elisa miała grobową minę. W jej oczach Polka dostrzegła też cień zazdrości, jakby specjalne względy u Gabriela cokolwiek zmieniały.

– Masz pretensje? – zapytała.

– O co?

– O to, że Gabriel zaczął mi ufać?

– Nie.

Było to oczywiste kłamstwo, ale Maria nie miała zamiaru się sprzeczać. Mimo to postanowiła wyjaśnić dziewczynie kilka rzeczy.

– Ufa mi, bo nie ma innego wyboru – powiedziała. – Jedyne, której może być absolutnie pewny, to fakt, że nie ja zabiłam tę starą krowę.

– No tak...

– Poza tym to stwarza szansę, by zacząć planować ucieczkę z tej dziury... – Na moment urwała. – To znaczy: stwarzałoby, gdyby nie pojawił się Christian.

Elisa popatrzyła na nią smętnie. Jej różnobarwne tęczówki przestały intrygować kolorem, stały się odzwierciedleniem wszystkich tragedii, jakie dotknęły tę młodą dziewczynę. Maria zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później kuzynka nie udźwignie ciężaru tego, co się stało.

Nie miała jednak zamiaru zasypywać ją bezpodstawnymi słowami otuchy. Zamiast tego otoczyła ją ramieniem, a potem poprowadziła do kuchni. Bez słowa zaczęły obierać ziemniaki, nawet na siebie nie patrząc.

Mimo próśb Gabriela Christian nie zjawił się na kolacji. Ochocho z okazji skorzystali za to Gottfried z Davidem, których przez całą wieczór uważnie obserwował najstarszy z braci.

Gabrielowi wydawali się niespecjalnie wstrząśnięci sytuacją, ale ostatecznie niczego to nie dowodziło.

Nie próbował przekonać Christiana, by do nich dołączył. Był świadom, że brat spędza wieczór

w towarzystwie whisky i nic go od niej nie oderwie. Opuszczał gabinet tylko za potrzebą lub by zejść do piwnicy po kolejną butelkę. Nie pofatygował się nawet, by wysłać którąś ze służących po jedzenie.

Rankiem Gabriel spotkał go, gdy ten opuszczał gabinet. Christian stanął w drzwiach, patrząc na brata przekrwionymi oczami. Starszy z Leitnerów skorzystał z okazji i zerknął do pomieszczenia.

Nie przypominało pijackiej nory. Przeciwnie, w gabinecie panował przykładowy porządek i oprócz dwóch pustych butelek nic nie wskazywało na to, by przez noc trwała tam jednoosobowa popijawa.

Bez zdziwienia Gabriel spostrzegł, że obydwie butelki są równo ustawione na skraju biurka. Poprawił szlafrok i zerknął badawczo na Christiana.

– Wychodzisz? – zapytał.

– Jak widać.

Brział normalnie, ale zapach alkoholu aż szczypał w nozdrza. Mimo to, kiedy Christian ruszył przed siebie, nie miał najmniejszych problemów z utrzymaniem równowagi.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał starszy z Leitnerów.

Drugi nie odpowiedział. Schodził powoli po schodach, zapewne robiąc wszystko, by wyglądać godnie, jak na oficera przystało. W końcu zatrzymał się, wsparł o balustradę i obejrzał przez ramię.

– Nie będzie mnie przez jakiś czas – oznajmił. – Mam pewne rzeczy do załatwienia.

– Rozumiem, ale...

– Zajmij się kwestią Algunde.

Tylko Christian mógł w ten sposób, chłodnym tonem, określić utratę osoby, z którą spędzili całe dzieciństwo. Gabriel nie miał jednak zamiaru tego komentować. Zapewnił brata, że kiedy wróci, on przedstawi mu już pierwsze robocze wnioski.

– Liczę na to – odparł Christian i na moment zawiesił wzrok gdzieś w oddali. – I porozmawiaj z Heleną.

– Hm?

– Martwi się o ciebie.

Nie czekając na pytania, ruszył w kierunku wyjścia. Po chwili Gabriel wbijał już spojrzenie w zamknięte drzwi. Nie sądził, by żona w istocie się o niego martwiła, nie miała zresztą żadnych powodów. A nawet gdyby było inaczej, nie powiedziała by o tym Christianowi.

Starszy z Leitnerów odsunął tę myśl, a potem wrócił na piętro. Wszedł do gabinetu i tym razem lepiej przyjrzał się wewnątrz. Wszystko było po staremu.

Posłał po Marię i polecił jednej ze służących, by podały „Fachingen”. Gabriel ubóstwiał tę butelkowaną, gazowaną wodę – i po prawdzie stało się tak za sprawą brata. To Christian przywiózł niegdyś butelkę z Monachium, twierdząc, że to w istocie ulubiony napój Hitlera.

Polka weszła do gabinetu, a potem odczekała, aż druga służąca zostawi ich samych.

– Gdzie Christian? – zapytała.

– Trudno powiedzieć.

Maria uniosła brwi.

– Nie wnikajmy w to – dodał. – Zastanówmy się lepiej nad tym, kto mógłby w jakikolwiek sposób skorzystać na...

Urwał, gdy rozległ się głośny dźwięk kroków. Gabriel wystarczająco długo znał swoją żonę, by wiedzieć, że to ona zmierza w pośpiechu ku gabinetowi. Spojrzał na drzwi akurat

w momencie, gdy otworzyła je bez pukania.

Zdarzało się to niezwykle rzadko.

– Gabriel... – wysapała.

Twarz miała czerwoną, była roztrzęsiona i z trudem łapała oddech. Wbijała wzrok w męża, zupełnie ignorując Polkę. Otarła czoło wierzchnią stroną dłoni, a potem z trudem przełknęła ślinę.

– Co się stało? – zapytał Gabriel.

Zbliżyła się i przez moment sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar go objąć.

– Jedna ze służących... – zaczęła. – Znalazła ciało. Kolejne ciało... w piwnicy.

Leitner poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Zaległa cisza, wydawała się przeciągać w nieskończoność. W końcu Gabriel potrząsnął głową. Ruszył przed siebie, chcąc jak najszybciej przekonać się, kim jest ofiara.

Naraz jednak się zatrzymał. Wydał kilka krótkich rozkazów, by pozamykano wszystkie drzwi i okna. Musiał mieć pewność, że sprawca lub sprawczyni nie uciekną.

Dopiero potem skierował się do piwnicy.

– Musisz to zgłosić policji – usłyszał.

Obejrzał się i przekonał, że Maria idzie zaraz za nim. Helena została w gabinecie, zapewne szukając jakiegokolwiek butelki, której nie osuszyłby Christian.

– To, co się dzieje... – zaczęła Maria i urwała, kręcąc głową. – To właśnie nas przerosło.

– Nie.

– Nie rozwiążemy tej sprawy sami.

Zaczęli schodzić krętymi, wąskimi schodami do piwnicy. Niemiec odniósł wrażenie, że temperatura spada z każdym kolejnym schodkiem. Za niewielkim zakrętem robiło się na moment zupełnie ciemno – światło z holu nikło, a piwniczne oświetlenie zaczynało się dopiero na samym dole.

– Oczywiście, że nie sami – powiedział słabo. – Ale mamy teraz w domu Hauptsturmführera SS, prawda?

Maria nie odezwała się.

– Musimy tylko sprawić, że doprowadzi się do porządku.

– Nie spodziewaj się cudów.

Gabriel dostrzegł w oddali migotliwe, żółte światło.

– Skąd ta pewność? – zapytał.

Maria westchnęła tak, jak tylko kobiety potrafią – było w tym jednocześnie coś złowrogiego, pełnego politowania, ale także współczucie. Jak wiele innych kobiecych reakcji, stanowiło to dla starego Leitnera zagadkę.

– Christian bez chwili zawahania zdradził bliskiego przyjaciela, Marvina Rodemeyera.

– Znam Marvina.

– Zostawił go w celi na pewną śmierć – dodała.

Gabriel zatrzymał się.

– Christiana znam zaś jeszcze lepiej – odparł. – I wiem, że traktuje lojalność priorytetowo. Nie zostawiłby wieloletniego przyjaciela, nie po tym wszystkim, co razem przeszli.

Polka zbyła tę uwagę milczeniem, a Gabriel ruszył przed siebie. Weszli do części rozległej piwnicy, w której gromadzono stare meble, niepotrzebne rzeczy i dawno zapomnianą korespondencję.

Właściwie nie był przekonany, czy powiedział prawdę. Jeszcze kilka lat temu znał obydwu

swoich braci na wylot – teraz jawili mu się coraz częściej jako zupełnie obce osoby. Christian był zaślepiony ideami Rzeszy, Gottfried zaś możliwościami młodego wieku. W jednym i drugim przypadku brakowało umiaru.

Maria czuła zapach śmierci, gdy zbliżali się do ciała kolejnej ofiary. Podczas podróży na zachód poznała ten smród aż za dobrze. Nie robił już na niej żadnego wrażenia, podobnie jak sam widok śmierci.

Może byłoby tak nawet, gdyby wojna nie wybuchła. To, co zdarzyło się w przeszłości z ojcem, zaprawiło ją na całe życie.

Mimo to zwolniła kroku. Nawet najbardziej doświadczeni żołnierze niechętnie zbliżali się do ciała, jeśli tylko mieli wybór. Ona zasadniczo nie miała. Jeśli chciała myśleć o tym, by wraz z Elisą uciec, musiała zdobyć bezgraniczne zaufanie najstarszego z Leitnerów.

– Poczekaj tutaj – odezwał się Gabriel, gdy znaleźli się tuż przed zakrętem, za którym leżała ofiara.

– Wytrzymam.

Patrzył na nią przez moment, jakby nie dowierzał, że tak będzie. W końcu jednak skinął głową, po czym wyszedł za winkiel. Maria poszła tuż za nim – i byłaby na niego wpadła, gdyby nie jej dobry refleks.

– Aż tak źle? – zapytała.

Gabriel nie odpowiadał. Wyciągnął w prawo dłoń i oparł się o ścianę, przyglądając się ofierze. Maria przypuszczała, że najlepiej byłoby, gdyby obróciła się i wróciła na górę.

– To... – zaczął Leitner i urwał.

– Co takiego?

– To Elisa – wydusił w końcu.

Obrócił się do Polki i spojrzał jej w oczy. Maria patrzyła jakby na przestrzał.

– Przykro mi – powiedział tylko, a następnie minął ją i skierował się ku schodom.

Maria stała nieruchomo, patrząc na kuzynkę. Przemknęło jej przez myśl, że nie powinien jej tu zostawiać. Nie teraz, nie samej. Gabriel jednak wchodził już na klatkę schodową, wyraźnie słyszała kroki.

Równie głośne wydało jej się przełknięcie śliny.

– Jak... – zaczęła szeptem, a potem urwała.

Elisa leżała na posadzce z otwartymi oczami. Różnobarwne tęczęwki były wyraźnie widoczne, nawet w lichym świetle. Tak jak Algunde, kuzynka zmarła od ciosu zadanego prętem. Narzędzie zbrodni wbito jej w czaszkę. Nie był to pogrzebacz, a zardzewiały, być może przypadkowo znaleziony w piwnicy drąg.

Marii zrobiło się słabo. Zanim zorientowała się, co się z nią dzieje, poczuła się, jakby nagle straciła punkt podparcia. Runęła na kolana, uderzając boleśnie o kamienne podłoże. Zgięła się wpół, jej głowa opadła na ciało Elisy.

Trwała tak przez dłuższą chwilę, nie rozumiejąc, co się stało.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Minął tydzień, od kiedy Staszek został wezwany przez Kriminaldirektora Ulricha Kossendeya. Po tamtym spotkaniu nosił jeszcze wiele śladów, ale tym najbardziej wyraźnym była nieopuszczająca go potrzeba ucieczki.

Wspólnie z Obeltem i Zmitkiewiczem od pewnego czasu z niemałym trudem zbierali

niezbędne wyposażenie. Teraz dwóch żołnierzy musiało na jakiś czas odłożyć kompletowanie ekwipunku – należało skupić się na tym, by dostarczać Zaniewskiemu ciepłe jedzenie, odzież czy nawet medykamenty. Przehandlowali za nie część rzeczy, które miały się przydać po opuszczeniu piekła w Mauthausen.

Nie dyskutowali na ten temat. Wiedzieli, że to jedyne wyjście.

Ich wysiłki sprawiły, że po tygodniu Staszek był w lepszym stanie niż zdecydowana część więźniów. Nakłady były znaczne, ale jego przyjaciele byli zgodni, że postąpili słusznie. Hart ducha Zaniewskiego zdawał się to potwierdzać – od kiedy wrócił do zdrowia, był jeszcze bardziej zdeterminowany, by zrealizować plan.

Udało mu się nawet zasięgnąć języka u kilku obozowych weteranów, którzy wiedzieli o Mauthausen zdecydowanie więcej od nich.

– Drut jest pod napięciem trzystu osiemdziesięciu woltów – oznajmił towarzyszom. – Biorąc pod uwagę, że docierając do niego, będziemy już spoceni, tyle wystarczy, żebyśmy przy krótkim kontakcie doznali skurczu mięśni i już go nie puścili.

Zmitkiewicz skrzywił się i westchnął.

– I co w związku z tym? – zapytał. – Nie mamy alternatywy. Jedyнным sensownym wyjściem jest próbować tą drogą.

– Więc podpiszemy na siebie wyrok.

Zaniewski spojrział na Obelta, ten jednak nie miał zamiaru się odzywać.

– Trudno – ocenił Czesław. – Co innego nam pozostało?

– Mój plan.

Zmitkiewicz pokręcił głową i spuścił wzrok.

– Na to nie mamy odpowiednich środków, Stachu.

– Poradzimy sobie z tym, co mamy. Lepsza taka próba niż rzucanie się na drut pod napięciem.

– Jesteś tego pewien?

– Widziałeś, co się stało z Zorychtą i tym Włochem... Garaffonim – odparł Zaniewski. – Strażnicy nie pozwolili im nawet zbliżyć się do ogrodzenia, więc scenariusz, w którym łapię za drut, jest dosyć optymistyczny.

– Tak czy inaczej zajdę dalej, niż...

Zmitkiewicz urwał, gdy dowódca odchrząknął znacząco. Obaj rozmówcy skupili wzrok na Obelcie.

– Zaniewski ma rację – odezwał się kapitan. – Idziemy wcześniej obranym torem.

Czesław nie miał zamiaru polemizować. Przez moment patrzył wyczekująco na Obelta, jakby miał nadzieję, że ten zmieni jeszcze zdanie. Potem kiwnął głową.

– Nie ma innego wyjścia – dodał dowódca. – Może i plan jest lekkomyślny, ale przy braku alternatywy jest także zuchwały. A ja cenię sobie butność.

Zmitkiewicz uśmiechnął się blado.

– Poza tym nikt wcześniej tego nie próbował – dodał Obelt.

– Może dlatego, że to niemożliwe?

– Nie. Po prostu nikt jeszcze nie udowodnił, że da się to zrobić. A nam się uda.

Dwóch pozostałych Polaków spojrzęło po sobie, po czym lekko skinęło głowami.

Rankiem na placu apelowym Staszek ustawił się w strategicznym miejscu. Nie było to łatwe, jeśli wziąć pod uwagę dryl utrzymywany podczas opuszczania baraków. Musiał nieco lawirować, ale ostatecznie znalazł się tam, gdzie planował – obok trzech więźniów, którzy po zbiorce dzień w dzień wyjątkowo ociągali się w drodze po przydziały.

Z powodu swojego lenistwa lub zubożenia zawsze otrzymywali najgorszą robotę, której nie chciał nikt inny. Tym razem jednak Staszek miał zamiar zająć ich miejsce.

Był to kluczowy element jego planu. Bez niego nie mógłby myśleć o tym, by zacząć realizować którykolwiek z kolejnych kroków. Wiązało się to z pewnym problemem, bowiem trzech mężczyzn z pewnością zdążyło przyzwyczaić się do swojej roboty.

Zaniewski raz po raz zerkał na stojącego obok przywódcę grupy, czekając, aż oddalą się esesmani i kapo odpowiedzialni za utrzymanie równego szyku podczas dzisiejszego apelu. W końcu uznał, że Niemcy znajdują się na tyle daleko, by mógł nawiązać cichą rozmowę bez obawy, że obaj zostaną pobici.

Nachylił się do Andreeasa Immela, a potem znacząco odchrząknął. Czterdziestoletni Żyd spojrzał na niego skonsternowany. Był Niemcem, niegdyś z pewnością dumny ze swojej narodowości. Teraz stanowiła dla niego jedynie smętne przypomnienie rzeczywistości, która bezpowrotnie minęła.

– Czego chcesz? – zapytał Immel.

– Mam pewną propozycję.

Andreas rozejrzył się niepewnie.

– Więc szybko – szepnął. – Póki nie ma sztubowego.

– Chodzi o złoty interes.

Nie patrzyli na siebie. Wbijali wzrok przed siebie, ledwo poruszając ustami. Zaniewski nabrał tchu, by przedstawić propozycję, ale w ostatniej chwili rozmówca nieznacznie go szturchnął. Obaj wyprostowali się jak struny.

Z prawej strony nadchodził Rapportführer, esesman odpowiedzialny za utrzymanie porządku na placu apelowym. Staszek rozpoznał Schneuera, przeniesionego tu jakiś czas temu z Dachau. Według Zmitkiewicza Niemiec ten chełpił się przed innymi, że nigdy nie schodził poniżej dziesięciu ubitych dziennie więźniów.

W obecności jakiegokolwiek esesmana należało milczeć jak grób... ale przy Schneuerze szczególnie. Nie mniej istotne było równe ustawienie się w szeregu.

Niemiec minął dwóch więźniów, obrzucając Staszka przelotnym spojrzeniem. Zaniewski odczekał chwilę, po czym znów nachylił się do Żyda.

– Przehandluję całego papierosa za waszą grupę roboczą – szepnął.

– Co takiego?

– Słyszałeś.

– Mówisz poważnie?

Zaniewski potwierdził ruchem głowy. Reakcja rozmówcy go nie dziwiła – za całego papierosa można było dostać porządną, gęstą zupę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie płacił w ten sposób za możliwość podjęcia ciężkiej, fizycznej roboty.

Staszek byłby gotów oddać za nią jednak i dziesięć papierosów.

– Więc? – zapytał Polak.

Andreas Immel zmarszczył czoło. Nie na to liczył Zaniewski – był przekonany, że i tak wygórowana cena sprawi, że załatwi problem od ręki. Najwyraźniej jednak nie docenił Żyda.

– Nie – powiedział Andreas.

– Zwariowałeś?

– Wręcz przeciwnie – odparł spokojnie rozmówca. – Skoro jesteś gotów zapłacić tyle za ciężką harówkę, musi ci na niej zależeć.

– Posłuchaj...

– Pięć papierosów i mamy umowę.

Staszek lekko obrócił głowę w jego stronę.

– Chyba żartujesz – syknął. – Gdyby trzymać się racjonalnych zasad, to ty powinienesz mi zapłacić za...

– Ale nie trzymamy się ich, bo wyjątkowo zależy ci na tej robocie – uciął Immel. – Dlaczego? Nie muszę tego wiedzieć.

Zaniewski milczał.

– Dodaj jeszcze dwa papierosy, a porozmawiam z esesmanami.

– Co takiego?

Andreas westchnął, wciąż bacznie się rozglądając.

– Będą się dziwić, że zajęliście nasze miejsce – odparł. – Za siedem papierosów załatwię z nimi tę sprawę.

Staszek zaklął w duchu. Czego się spodziewał? Że niemiecki Żyd nie skorzysta z okazji?

Cena była wygórowana – za taką liczbę ćmików mogliby z Obeltem i Zmitkiewiczem wyprawić sobie ucztę. Przy odrobinie szczęścia w pokera mogliby ugrać jeszcze więcej. Nie było jednak czasu – ani sensu – targować się z Immelem. Poza tym koszt nie miał znaczenia. Dla Staszka liczyło się to, by jak najprędzej wyrwać się z tego piekła.

– Poza tym zabierzesz nam robotę – dodał Andreas. – Będziemy musieli szukać czego innego i powstanie ryzyko, że wezmą nas do pracy przy krematorium.

Zaniewski wiedział, że stamtąd się nie wraca. Zabierano tam od czasu do czasu kilku nieszczęśników. Gdy wyczyścili resztki, esesmani uznawali, że widzieli zbyt dużo.

– Zgoda – odparł w końcu Staszek.

Ostrożnie wyjął zwitek z kieszeni, wyjął z niego trzy papierosy, a resztę wręczył Immelowi. W innej sytuacji obawiałby się, że druga strona nie dotrzyma umowy, ale tacy ludzie jak Andreas do nich nie należeli. Niejednokrotnie właśnie dzięki nim udawało im się przeżyć w obozie.

Dodatkową gwarancję stanowił Obelt.

– Obserwuj mnie jutro na placu apelowym – oznajmił Żyd.

– Jutro?

– Dziś nie da rady.

– Ale...

– Taki jest mój warunek – uciął rozmówca. – Czekasz do jutra albo nici z umowy.

Staszek skinął głową.

– Pokażę ci, gdzie masz stanąć, a esesmanami się nie zajmuj – dodał Immel. – Pilnują nas względnie normalni... może oprócz jednego, który pojawia się od czasu do czasu.

– Wiem, gdzie stanąć – odpowiedział Zaniewski. Od dwóch tygodni, z przerwą na przesłuchanie, obserwował grupę Immela na placu. Wiedział dokładnie, gdzie się ustawiają i które chadzają. Zdawał sobie też sprawę z tego, że pilnują ich mimo wszystko dosyć liberalni hitlerowcy – oraz że jakiś czas temu dołączył do nich człowiek, który przed momentem obrzucił Zaniewskiego spojrzeniem.

„Psychol z Dachau”, jak określano Schneuera, mógł narobić jutro problemów, ale w razie potrzeby Zmitkiewicz i Obelt wiedzieli, co robić. Staszek zajmie się resztą.

Chwilę po zakończeniu wymiany nastąpiło przydzielanie do grup roboczych. Zaniewski tego dnia trafił do grona, w którym nie znał żadnego z więźniów. Szybko przekonał się jednak, że poszczęściło mu się – praca nie była zbyt ciężka, sprowadzała się do przewożenia ziemi na

taczkach. Jednocześnie grupa pracowała na tyle blisko Immela i jego towarzyszy, że Zaniewski mógł po raz kolejny obserwować ich rutynę.

Pilnujący ich esesman nie zwracał na nich większej uwagi, palił papierosa i leniwie strzepywał popiół. Jedyne od czasu do czasu przeczesywał wzrokiem okolice, szukając osób, które nadmiernie by się wałkonily. Staszek stwierdził w duchu, że jeśli podobna sytuacja będzie miała miejsce następnego dnia, plan się powiedzie.

Wykonał kilka kursów z taczką, a potem zatrzymał się na skraju kamieniołomów. Za niewielkim blokiem skalnym pracowali Andreas Immel i jego towarzysze. Żyd posłał mu porozumiewawcze spojrzenie.

Staszek odwrócił się, by kontynuować marszrutę, ale nagle zamarł. Zobaczył przed sobą Rapportführera Schneuera, który patrzył z odrazą na trzech więźniów pracujących nieopodal.

Zaniewskiemu zrobiło się gorąco.

– Dziwię się – powiedział Niemiec.

Staszek wiedział, że najlepiej będzie, jeśli się nie odezwie. Spuścił wzrok, mocniej ściskając uchwyt taczki.

– Dlaczego te żydowskie kurwy pracują tak powoli? – zapytał Schneuer. Westchnął, a potem spojrzał na ładunek ziemi. – A ty dlaczego wiesz tak niewiele, co?

Zaniewski otworzył usta, ale nie dobył głosu. Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie.

– Wracaj po trochę kamieni.

Polak skłonił głowę, obrócił taczkę i ruszył w stronę Immela. Żyd wraz ze swoimi kompanami wydobywał materiał skalny, który część osadzonych wiozła później w kierunku obozu. Staszek postawił wózek obok, a potem bez słowa załadował do niego trochę skruszonych skał.

Esesman stanął obok, zupełnie go ignorując. Przyglądał się Andreasowi.

Kiedy Zaniewski skończył, wycofał się i ruszył we wcześniejszym kierunku. Przez chwilę okolice wypełniały typowe dla Mauthausen dźwięki – uderzenia kilofami o kamienie, odgłosy rycia w ziemi, głośne sapanie więźniów... potem jednak nad to wszystko przebił się krzyk Immela.

Przy kolejnym kursie Staszek wrócił na miejsce, gdzie pracował Andreas. Zobaczył go leżącego kawałek dalej, z szeroko otwartymi oczami, w których brakowało już iskry życia. Obok przechadzał się Psychol z Dachau, leniwie obracając pałkę w dłoni.

Staszek w pierwszej chwili pomyślał o siedmiu straconych papierosach, dopiero później o tym, że skatowano kolejnego anonimowego człowieka. Ze zgrozą uświadomił sobie, jak bardzo obojętny się stał.

Śmierć Immela komplikowała sprawę. Nie dość, że nie rozmówi się z esesmanami, to jeszcze jego towarzysze zapewne nie mieli pojęcia o umowie, jaką zawarł z Polakiem.

– Ty – rozległ się głos Rapportführera.

Zaniewski natychmiast urwał wszelkie rozważania. Z nadzieją, że nie chodzi o niego, powoli podniósł wzrok. Kiedy spojrzał na esesmana, przekonał się, że ten wbija w niego spojrzenie.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek przechylił Driscolla nad urwiskiem. Wiedział, że prędzej czy później okaże się to konieczne – nie był tylko pewien, czy utrzyma dryblasę. Szczęśliwie Jorgos postanowił pomóc, dzięki czemu teraz obaj patrzyli, jak krew spływa Grahamowi do twarzy.

– Jesteście... szaleni... – wycedził.

W odpowiedzi Karagiozopoulos lekko zwolnił uścisk. Zaniewski natychmiast szarpnął w tył,

by nie wypuścić Driscolla.

– Odpowiadaj na pytania – poradził Grek. – Kto zabił Spiridona?

Graham szarpnął się, a Jorgos poluzował chwyt jeszcze bardziej. Bronek posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, w duchu przeklinając się za to, że zgodził się pomóc kapitanowi „Aigokerosa”. Gdyby wiedział dokładnie, na co się pisze, zastanowiłby się dwa razy.

– Mów! – krzyknął Karagiozopoulos.

– Kiedy ja naprawdę...

Grek wypuścił jego nogę i Zaniewski musiał się zaprzeć, by samodzielnie utrzymać mężczyźnę. Stęknął przy tym na tyle głośno, by nie uszło to uwadze jednego ani drugiego.

– W porządku! – ryknął Graham. – Powiem!

Jorgos chwycił Amerykanina za przegub.

– Więc mów – ponaglił. – Póki jeszcze masz okazję, bo widzę, że mojemu polskiemu koledze zaczyna się przykrzyć ta sytuacja.

– Spokojnie... spokojnie – zaapelował Driscoll.

Krople potu ściekały mu po szyi i skapywały w przepaść.

– Podciągnijcie mnie, błagam...

– Jak tylko zaczniesz gadać – zapewnił Karagiozopoulos.

Graham starał się spojrzeć na jednego lub drugiego, pozycja mu na to nie pozwalała.

– Jest grupa w porcie – zaczął. – Zajmuje się uprowadzaniem... zawodowo oczywiście, tych... tych...

– Rozumiesz coś z tego, co mówi? – przerwał mu Jorgos.

Bronek pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Ale może będzie składniej gadał w drodze na dół.

Graham Driscoll zamrugał kilkakrotnie, gdy pot napłynął mu do oczu. Otarł twarz, nabrał nerwowo tchu i pociągnął nosem. Zapewne przyjmował możliwość, że kiedyś znajdzie się w podobnej sytuacji. Nie mógł jednak przypuszczać, że to nie miejscowi, a Europejczycy zgotują mu taki los.

– Panowie, proszę was...

– Mów!

– To grupa Syryjczyków – powiedział. – Działają w porcie...

– W jaki sposób?

– Porywają członków załogi z mniejszych statków handlowych, kradną część ładunku albo niezbędne narzędzia ze statku... a za ich wydanie żądają zapłaty.

– Kto i gdzie? – spytał Karagiozopoulos.

– Nie sądzę, by mieli stałe miejsce...

– Kto i gdzie? – powtórzył Grek.

– Naprawdę nie wiem – wydukał Driscoll. – I nie słyszałem, by kiedykolwiek kogoś zamordowali... Nie wiem, czy to oni odpowiadają za zniknięcie tego chłopaka...

Jorgos zacisnął usta i nachylił się nad Amerykaninem.

– A jednak mogłeś o tym wspomnieć wcześniej.

– Ja...

– Mniejsza z tym – wtrącił Zaniewski, nie mając zamiaru wysłuchiwać tłumaczeń Grahama. Fakt, że ten poinformował Karagiozopoulosa o Syryjczykach dopiero teraz, zapewne był znaczący. Amerykanin nie milczał bez powodu.

Nie czekając na polecenie od kapitana „Aigokerosa”, Zaniewski wciągnął nieszczęśnika

z powrotem w bezpieczne miejsce. Driscoll położył się na plecach, rozkładając szeroko ręce. Na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech.

– Robisz z nimi interesy, co? – zapytał Karagiozopoulos.

– Ja... nie, to nie tak.

– Gówno prawda – ocenił Grek. – Ale twoje dochody na boku niespecjalnie mnie interesują. Za to z pewnością będą zajmowały całą ambasadę, gdy im o tym doniosę.

Cień uśmiechu znikł z twarzy Amerykanina.

– Piśnij choć słowo Syryjczykom, wyślij za nami ogon, pochwal się komukolwiek, a zapewniam cię, że twoi rodacy o wszystkim się dowiedzą. I będziesz się wówczas modlił, by zdążyli przerzucić cię z powrotem do kraju, zanim ja cię dorwę. Rozumiesz?

– Ależ...

– A gdyby coś mi się stało, ktoś z mojej załogi chętnie podzieli się z Arabami informacją o tym, jak wystawnie żyjesz sobie tutaj za cedrami. Jasne?

– Tak, jasne. Ale nie ma potrzeby...

– I załatwisz nam broń.

Amerykanin nie protestował. Broniek prawdopodobnie wątpiłby, że dystyngowany dryblas będzie potrafił załatwić sprzęt, o którym mówił Grek, ale Karagiozopoulos zawczasu przedstawił mu historię tego człowieka. Driscoll był wprawdzie pracownikiem American University of Beirut, ale daleko mu było do stereotypowego akademika. Krótco po tym, jak zaczął edukować miejscowych, uzmysłowił sobie, jak wielkie profity może czerpać, głosząc idee niepodległości Libanu. Szybko zyskał szerokie poparcie i stał się osobą, której chętnie płacono, by szepnęła dobre słówko na ten temat przedstawicielom amerykańskiej misji dyplomatycznej. Chętnie mamił też kobiety obietnicą lepszego życia u jego boku, a potem wsadzał je na jedne z mniejszych łajb płynących na północ. Nieszczęśnice nigdy więcej go nie widziały, ale Graham znacznie się dzięki nim wzbogacał.

Zaniewski miał ochotę zrzucić go z urwiska mimo deklaracji o współpracy, ale ostatecznie pomogli mu wstać, otrzepali ubranie, a potem popędzili go do rezydencji.

Jakiś czas później Broniek opuszczał główną bramę bogatszy o francuski rewolwer MAS Mle1982, popularnie zwany lebelem. Wprawdzie miał już swoje lata i bardziej nadawał się na wystawę niż do prawdziwej akcji, ale Polak i tak poczuł ulgę, mocując go za paskiem pod abają.

Dopiero wracając na Place des Martyrs, Zaniewski przyjrzał się broni. Zważył ją w dłoni, po czym kilkakrotnie wychylił bębenek i na powrót go zamknął. Mechanizm zdawał się zadbane.

– Spokojnie, kowboju – powiedział Karagiozopoulos. – Jeszcze będzie okazja, byś go użył.

– Oby nie.

– Taki z ciebie miłośnik pokoju?

– Po prostu chciałbym strzelać do Niemców, nie Arabów.

Szofer poruszył się nerwowo, ale się nie odezwał. Wysadził ich przy głównym placu miejskim, po czym bez słowa odjechał. Dwóch marynarzy potoczyło wzrokiem po szeregu palm.

– Jedna rzecz mnie nurtuje – odezwał się Broniek.

– Tylko jedna?

Zaniewski obrócił się do Jorgosa.

– Dlaczego tak ci zależy na odnalezieniu tego chłopaka? O ile jeszcze żyje?

– Nikt nie znika z mojego pokładu. Czy to na morzu, czy w porcie. Kapitan jest odpowiedzialny za swoją załogę.

– Tyle że on może już nie żyć.

– W takim razie winien jestem Spiridonowi sprawiedliwość.

Właściwie Zaniewski nie miał zamiaru polemizować. Rozumiał to doskonale. Skinął głową, a potem obaj w jednym momencie weszli między budynki. Minęli dużą reklamę Socony Vacuum, zawieszoną pod jednym z okien, i przeszli w stronę niewielkiej wieży zegarowej. Ruch o tej porze nie był wielki. Kilka samochodów niespiesznie przejechało obok, kobiety w ubraniach zakrywających niemal całe ciała prowadziły gdzieś swoje dzieci. Paru mężczyzn w charakterystycznych wysokich nakryciach głowy niosło na plecach towary na handel.

Bronek z Jorgosem weszli do jednego z budynków na Place de l’Etoile, a następnie przeszli po wąskich schodach dwa piętra w górę. Stanąwszy przed solidnymi drzwiami z dobrego drewna, zapukali dwa razy, zrobili przerwę, a potem powtórzyli to trzykrotnie.

Zgodnie z tym, co mówił Driscoll, mieszkał tutaj człowiek utrzymujący kontakty z Syryjczykami, a przy okazji dłużny Grahamowi przysługę. Zaniewski nie spodziewał się, by miał to być przestępca wielkiego kalibru – okolica wyglądała na porządną, zasiedloną raczej przez Europejczyków niż mieszkańców Lewantu.

– Dobrze wystukałeś kod? – zapytał Karagiozopoulos.

Zaniewski nie zdążył odpowiedzieć, gdyż rozległ się dźwięk otwieranego zamka. Ktoś lekko uchylił drzwi, ale natychmiast się odsunął. W pomieszczeniu goście dostrzegli mężczyznę o gęstej, równo przyciętej czarnej brodzie. Nosił tradycyjny arabski strój i nie wyglądał zbyt przyjaźnie.

– Przysyła nas Graham Driscoll – oznajmił Jorgos. – Chciałby przypomnieć o pewnej przysłudze.

Gospodarz taksował ich wzrokiem, nie odzywając się. Bronek uważnie nasłuchiwał jakichkolwiek dźwięków, starając się ustalić, ile osób znajduje się w mieszkaniu. Logika podpowiadała, że oprócz dwóch mężczyzn są tu jeszcze inni. I zapewne co do zasady pojawiają się tylko wtedy, gdy są potrzebni.

Zaniewski nabrał tchu. Ciężar lebela działał na niego uspokajająco.

Podszedł do jedynego okna w pomieszczeniu, a potem zajrzał przez próg do drugiego z pokoi. Nikogo nie dostrzegł.

Arab powiódł za nim wzrokiem, a potem wbił spojrzenie w Greka. Usiadł na krześle przy ścianie, nie proponując przybyšom, by się rozgościli.

– Czego on ode mnie chce? – zapytał.

– Informacji.

– Dla siebie?

– Nie.

– Tak myślałem – powiedział Arab, po czym wyciągnął okazałą tabakierę z dozownikiem, wykonaną z kości słoniowej. – Trudno było was nie zauważyć na Sehet el-shohada.

– Na czym? – zapytał Karagiozopoulos.

Arab umieścił końcówkę dozownika przy nosie i mocno pociągnął.

– Place des Martyrs – poprawił się. – Wiecie, co zrobiliście?

Marynarze milczeli.

– Ogłosiliście całemu Bejrutowi, że oto przybyło dwóch skurwieli z Europy, którzy szukają kogoś lub czegoś. A wasze śmieszne zachowanie i ubiór każą sądzić, że żadni z was szpiedzy. Czego tu szukacie?

– To nieistotne – odparł Bronek po francusku. – Jesteś dłużny Driscollowi przysługę.

Arab skupił na nim wzrok. Bez trudu rozumiał język, którym posługiwał się Zaniewski. Mimo

republikańskich władz Liban był terytorium mandatowym Francji, choć muzułmanie wciąż liczyli na to, że ten stan rzeczy ulegnie zmianie.

Gospodarz przez moment milczał i Broniek zaczął zastanawiać się, czy nie jest to dobra chwila, by sięgnąć po lebela. Ostatecznie jednak Arab powoli się podniósł i kiwnął głową.

– Owszem – powiedział. – Mam dług, którego chciałbym się pozbyć.

– Masz więc okazję.

Brodacz podszedł do Polaka.

– Czego chcecie?

– Odnaleźć grupę Syryjczyków – wyjaśnił Zaniewski. – Konkretnie tę, która okrada statki w porcie.

Arab roześmiał się, patrząc po gościach. Ostatecznie utkwił pełne politowania spojrzenie w kapitana greckiego frachtowca. Powiedział coś w języku, którego Broniek nie rozumiał, a potem dwóch mężczyzn wdało się w wymianę zdań.

Nie brzmiała najgorzej. Zaniewski skorzystał z okazji i obrócił się do okna. Omiótł wzrokiem okolicę, nie dostrzegając niczego podejrzanego. A przynajmniej tak przez moment mu się wydawało. Zaraz potem wypatrzył znajomą osobę.

Szofer, który wysadził ich na Place des Martyrs, właśnie opuszczał budynek, rozglądając się z uwagą. Broniek przez moment nie rozumiał, co się dzieje. Zaraz potem uprzytomnił sobie, że mężczyzna musiał pojawić się tu przed nimi. Wysadził ich na placu, a potem szybko przejechał do miejsca, gdzie się kierowali.

Powoli się odwrócił. Jorgos i gospodarz nadal prowadzili rozmowę – Karagiozopoulos urwał dopiero, gdy zobaczył zaniepokojony wzrok towarzysza.

Brodacz również przeniósł spojrzenie na Polaka.

– Właśnie mówiłem Grekowi, że przysługa, jaką jestem winien Driscollowi, nie pokryje ceny informacji, której oczekujecie. – Arab umieścił dozownik w drugim nozdrzu i pociągnął. Potrzęsnał głową, a potem przetaił rękawem pod nosem, czekając na odpowiedź.

Broniek przełknął ślinę. Obecność szofera była sygnałem alarmowym, który właściwie wystarczał, by stwierdzić, że mają nielichy problem. Arabowie z pewnością najpierw wybadają, ile pieniędzy gotowi są zapłacić Europejczycy – a kiedy okaże się, że nie przebiją kwoty zaproponowanej przez Driscolla, będzie po wszystkim.

Należało działać jak najszybciej.

– Chcesz, żebyśmy dopłacili? – spytał Jorgos dla porządku.

– Spodziewałeś się czegokolwiek innego?

– Nie – przyznał kapitan „Aigokerosa”. – Jakiej kwoty oczekujesz?

Arab wymienił sumę we frankach, a Karagiozopoulos prychnął głośno. Zaczynały się negocjacje, którym Broniek nie poświęcał minimalnej uwagi. Powoli wsunął rękę pod abaję i kiedy padła kontrpropozycja, zacisnął dłoń na uchwycie rewolweru.

Gospodarz nie wyglądał na zadowolonego, co utwierdziło Zaniewskiego w przekonaniu, że Graham przysłał tu szofera z zapłatą, by muzułmanie pozbyli się dwóch niesfornych marynarzy.

Należało działać natychmiast, póki jeszcze była pora.

Broniek nabrał tchu, przeniósł palec na kabłąk spustowy i zerknął na mężczyznę, który wcześniej otworzył im drzwi i natychmiast się odsunął. To jego musiał unieszkodliwić, by myśleć o uratowaniu sytuacji.

Kiedy ich wzrok się spotkał, Polak wyszarpał lebela spod abai. Zanim Arab się zorientował, Broniek pociągnął za spust. Iglica uderzyła w spłonkę, rozległ się huk, a pocisk pomknął w stronę

tamtego faceta.

Zaniewski trafił go w sam środek klatki piersiowej. Siła uderzenia odrzuciła Araba na ścianę, jednak Broniek nie widział smugi krwi, jaką zostawiła jego ofiara. W okamgnieniu odwrócił się w kierunku otwieranych drzwi.

Jorgos rzucił się na podłogę, osłaniając głowę. Zaniewski po raz kolejny pociągnął za spust, nawet nie przymierzając. Nie miał pojęcia, czy kogoś trafił, bo natychmiast odskoczył w bok.

Dostrzegł kątem oka, że do pomieszczenia wpadło dwóch mężczyzn uzbrojonych w karabiny.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Christian Leitner załatwił tylko część zaplanowanych spraw. Resztę odłożył na później, przez moment jedynie myśląc o tym, że kiedyś nigdy by sobie na to nie pozwolił. Teraz jednak poranny kac wydawał się wystarczającą wymówką.

Kupił piwo w pobliskiej wiosce, a potem wrócił na teren swojej posesji. Przechadzał się wokół domu, tocząc wzrokiem po elewacji, którą sam wznosił. Rodzina nie zdążyła się nacieszyć tym miejscem. Specjalnie dla Johanny ściągnął tutaj fortepian wykonany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym w Breslau przez J. Grosspietscha, ale żona nigdy na nim nie grała. Maximillian nie nacieszył się sielskim życiem ani urokami Lüttendorfu.

Leitner napił się piwa. Pomogłoby na kaca, gdyby nie to, że miał jeszcze w żołądku alkohol wypity nocą. Christian nie miał zamiaru się oszukiwać, wiedział, że nie jest z nim najlepiej. Podupadł zresztą nie tylko psychicznie, ale także fizycznie. Zaniechał codziennej rutyny ćwiczeniowej, obecnie jednak nie bardzo go to martwiło.

Zatrzymał się z tyłu domu, dostrzegając w oddali młodszego brata. Ten również wypatrzył Christiana i uniósł rękę, po czym podbiegł do niego szybko.

– Nie wiem, jakie standardy są w SS, ale tutaj nadal witamy się po przyjeździe – odezwał się Gottfried, wyciągając rękę.

Christian uniósł lekko dłoń.

– *Heil Hitler*, bracie – powiedział.

– *Heil Mussolini*.

Starszy z Leitnerów uniósł brwi. Właściwie powinien spodziewać się, że Gottfried nie wyrósł ze swoich głupkowatych zachowań. Doskonale wiedział, że może sobie na to pozwolić – ich relacja była wyjątkowa. Gdy Gottfried był młodszy, to właśnie Christian poświęcał mu najwięcej czasu. Nie ojciec, nie matka... i z pewnością nie Gabriel.

– Nie jesteśmy we Włoszech – powiedział esesman. – Zachowuj się, jak na Niemca przystało.

– *Sì, signore*.

Zmierzyli się wzrokiem, a Gottfried sięgnął do kieszeni. Wyjął zegarek i zmarszczył czoło.

– Pijesz o tej porze? – spytał.

– Jak widać.

– To niepodobne do wielkiego Christiana, dumy Bawarii i...

– Daj sobie spokój.

Brat usłuchał, choć tylko dlatego, że od strony domu zbliżał się do nich David Wißmann. Obrzucił starszego Leitnera obojętnym spojrzeniem, niemal całkowicie go ignorując. Zamienił kilka słów z Gottfriedem, a potem niemal teatralnie się odwrócił i zaczął powoli się oddalać.

Christian popatrzył na brata, a ten wzruszył ramionami.

– Nie miej mu za złe – powiedział Gottfried. – Konwenanse społeczne mają dla niego taką wartość, jak...

– Mało mnie to interesuje. Prawo wymaga, by przed oficerem wykonać poprawne nazistowskie przywitanie.

– Tak każe państwo.

– Otóż to.

– Państwo i twój Hitler.

– Słucham?

Młodszy z Leitnerów zrobił krok w stronę brata.

– Kim on jest, żeby mówić, kto komu powinien być posłuszny? To taki sam człowiek jak my.

Christian był przygotowany na to, że będzie musiał wykazać się tolerancją. Przypuszczał, że wystarczy mu jej na niedopuszczalne zachowania brata, ale może zabraknąć, gdy chodziło o jego towarzysza.

Westchnął i zbył ostatnią uwagę milczeniem. Powiódł wzrokiem po czerwonych ceglach, myśląc o tym, że najchętniej zburzyłyby ten budynek. Johanna ani Maximillian nigdy tutaj nie wróca, a on nigdy nie określi tego miejsca mianem domu.

– David! – krzyknął młodszy z Leitnerów.

Wißmann zatrzymał się i odwrócił. Kiedy towarzysz przywołał go ruchem ręki, ten niespiesznie się zbliżył. Christianowi przemknęło przez myśl, że będzie musiał wspiąć się na wyżyny wyrozumiałości.

– Wytłumacz mojemu bratu, kim jest Adolf – odezwał się Gottfried.

David otaksował mężczyznę w rozpiętym mundurze.

– Mam to mówić oficerowi SS? – zapytał pobłaźliwie. – Przykro mi, ale jego umysł nie dopuści do siebie prawdy.

– Mimo wszystko spróbuj.

– Sądzisz, że nagle otworzy oczy i zobaczy, że Hitler tylko pozoruje dobrotliwego przywódcę, chcącego pomagać zwykłym ludziom? Że w rzeczywistości jest uosobieniem klasy wyzyskującej? Że buduje swoją potęgę na wyciskaniu ostatniego grosza z najbiedniejszych i drwi z nich, śmiejąc im się prosto w twarz jak najgorszy kapitalista? Nigdy nie był narodowym socjalistą, nigdy nie...

– Milcz.

Chłodny ton sprawił, że chłopak wykonał polecenie. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar odpuścić. Cofnął się nawet o krok. W ostatniej chwili jednak coś musiało wziąć górę nad instynktem samozachowawczym.

– Hitler to marionetka niemieckiej klasy rządzącej – powiedział Wißmann. – Klasy, która od zawsze konkurowała z Żydami... i wreszcie znalazła sposób, by się ich pozbyć. Wystarczyło znaleźć odpowiedniego idiotę, który...

Christian złapał młodego za koszulę, gwałtownie przyciągnął do siebie, a drugą ręką wymierzył mu cios między oczy. Zanim Gottfried zdążył przyjść przyjacielowi w sukurs, jego brat cisnął komunistą o pobliskie drzewo.

David upadł na ziemię, zupełnie skołowany. Machinalnie otarł rękawem krew spod nosa i podniósł wzrok z obawą. Młodszy z Leitnerów stanął przed oficerem SS, rozkładając ręce.

– Zmieniłeś się – powiedział. – Kiedyś nie...

– Kiedyś ty nie zadawałaś się z bolszewikiem.

– A ty nie uderzyłyś kogoś słabszego.

Christian zerknął na powalonego chłopaka.

– Mnie wygląda na zdrowego.

– Ale nie potrafi boksować.

– Ty za to tak – odparł starszy z braci. – Może więc zrobisz użytek z tej umiejętności?

Gottfried opuścił ręce, a potem podwinął rękawy. Na moment spojrzął w kierunku domu, słysząc kroki. W progu pojawiła się Maria.

Christian obrócił się w jej kierunku i przekonał się, że Polka wygląda jak chodzące nieszczęście. Miała nieprzytomny wzrok, szkliste i podkrążone oczy. Włosy były w zupełnym nieładzie, zupełnie jak wtedy, gdy uratował ją przed Heinlem.

Leitner oderwał od niej wzrok na moment przed tym, jak obróciła się i znikła w środku.

– Hej! – krzyknął za nią Gottfried.

– Zostaw ją.

– Co takiego?

– Powiedziałem, żebyś dał jej spokój.

Młody Leitner sprawiał wrażenie, jakby czekał, aż brat się roześmieje. Kiedy nie doczekał się choćby podobnej reakcji, rozłożył ręce.

– Chciałem tylko, żeby przyniosła nam rękawice.

Popatrzyli na siebie wyzywająco. Przez moment Gottfried sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar rozpocząć pojedynek bez odpowiedniego wyposażenia. Potem jednak zrobił krok w kierunku domu.

– Daj mi chwilę – powiedział. – Przyniosę wszystko, czego nam trzeba.

Począł, aż David Wißmann się podniesienie, i obaj skierowali się do środka.

Wrócili po chwili z dwiema parami rękawic bokserskich. Bracia założyli je bez słowa, a potem ustawili się naprzeciw siebie. David stanął obok, patrząc na Christiana tak, jakby miał zamiar zająć miejsce jego brata.

Maria wróciła do gabinetu Gabriela, ledwo rejestrując to, co działo się wokół. Zapukała, a potem bez chwili zawahania weszła do środka. Zastała pana domu przy oknie.

– Co oni robią? – zapytał słabo.

– Nie wiem.

Odwrócił się do niej i przez moment patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu. Potem obszedł biurko i zbliżył się.

– Jeśli czegoś potrzebujesz...

– Nie.

Skinął głową.

– W takim razie wybac mi na moment – poprosił. – Zanim zajmujemy się Elisą, muszę powstrzymać moich braci przed... przed czymkolwiek, co zamierzają zrobić. To nie czas na takie rzeczy.

Nie mogła zgodzić się bardziej. Gabriel ruszył schodami w kierunku holu, a Maria poszła za nim. Powoli docierała do niej świadomość tego, co się wydarzyło. W domu Leitnerów był zabójca, który pozbawił życia dwie osoby.

Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że drugą z ofiar była Elisa. Niewinna młoda Elisa, mająca przed sobą jeszcze całe życie. Ostatnia z rodziny Boissów, jedyna ocalała z rzezi Blankenburga.

Polka wyszła na zewnątrz za gospodarzem. Ten jednak nie zdążył w porę rozdzielić swoich braci – zderzyli się już rękawicami, a potem przystąpili do dzieła. Gabriel i Maria zatrzymali się na schodach.

– Obawiam się, że musimy poczekać. – Najstarszy z Leitnerów westchnął i usiadł na ostatnim schodku.

Maria zrobiła to samo. Z każdym kolejnym wymienionym ciosem na podwórzu zbierała się coraz większa grupa. Wszyscy zdawali się raczej cieniami niż ludźmi. Helena usiadła obok męża, zupełnie ignorując Polkę. Służba w roboczych strojach ustawiła się obok. Wszyscy przypatrywali się bójce, ale nikt nie zdradzał żadnych emocji.

Nikt poza dwoma walczącymi mężczyznami.

Maria patrzyła na nich z obojętnością. Christian sprawiał wrażenie, jakby każdy ruch kosztował go sporo wysiłku, a do nóg miał przywiązane kłody. Obaj mężczyźni zachowywali się raczej defensywnie, zachęcali przeciwnika, by to on podjął inicjatywę.

W końcu zdecydował się na to Gottfried. Zamarkował uderzenie z mocniejszej, prawej strony, po czym gwałtownie wyprowadził lewy prosty. Oczami wyobraźni widział już pewnie, jak cios sięga celu, ale Christian zorientował się w porę i uniósł rękawice. Uderzenie wylądowało na gardzie.

Starszy z Leitnerów nie miał zamiaru czekać na kolejną próbę. Doskoczył do brata i wymierzył mu prawy podbródkowy – na tyle mocny, że Gottfried zachwiał się i cofnął.

– Komunizm ci nie służy – powiedział Christian.

– Z pewnością mniej, niż tobie nazizm i alkohol...

Gottfried znów natarł, a esesman na powrót uniósł gardę. Wymiana ciosów zaczynała robić się coraz bardziej dynamiczna. Po chwili obaj krwawili już obficie, jednak więcej celnych ciosów udało się wyprowadzić Christianowi.

Krew z łuku brwiowego i nosa spływała Gottfriedowi do otwartych ust. Oddychał ciężko, starając się robić unik za unikiem i wyprowadzać kontruderzenia. Wyraźnie tracił jednak inicjatywę.

– Masz dosyć? – odezwał się oficer SS.

Maria widziała, że adrenalina i fizyczna konfrontacja działały na niego jak narkotyk. Sprawiał wrażenie wyzwolonego, jakby od dawna tłamsił w sobie te pierwotne instynkty.

– Czy może jeszcze masz w zanadrzu jakieś leninowskie bzdury? – dodał.

Poruszał się mniej dynamicznie od przeciwnika, ale miał wyraźnie lepszą technikę. Gdyby Gottfried powściągnął emocje i zastanowił się chwilę, być może udałoby mu się to wykorzystać. Zamiast tego młócił jednak na oślep, coraz bardziej tracąc siły.

W końcu spuścił nieco z tonu. Odsunął się o pół kroku i zaczerpnął tchu. Christian nie zwlekał – natychmiast skorzystał z nadarzającej się szansy. Ruszył na brata, wyprowadzając zamaszysty sierpowy.

Gottfried był jednak na to gotowy i Maria uświadomiła sobie, że brak sił był jedynie pozorowany. Młodszy z Leitnerów sprawnie uchylił się od ciosu, a rękawica Christiana przeszła powietrze.

Zanim esesman zdążył przenieść z powrotem środek ciężkości, przeciwnik zaatakował. Cios trafił Christiana w żebra, tuż pod uniesioną rękę. Starszy z braci skrzywił się i jęknął, a Gottfried szybko wyprowadził kolejne uderzenie.

Stanowiło to preludium do całej kanonady ciosów. Zdezorientowany esesman cofał się w kierunku domu, przyjmując część na gardę, a część przepuszczając. Gottfried nie przebierał w środkach, uderzał z lewej i prawej strony, i mimo że technicznie ciosy pozostawiały wiele do życzenia, osiągnęły zamierzony efekt. Po mocnym lewym prostym Christian zachwiał się. Powiódł nieprzytomnie wzrokiem wokół, a następnie padł na zdeptany śnieg.

Gabriel natychmiast poderwał się ze schodów. Chciał ruszyć w stronę braci, ale żona złapała go za rękę.

– Nie mieszaj się – powiedziała. – Zasady to zasady.

– Jeden drugiego zaraz dla zasad zabije – odparł i odtrącił jej dłoń.

Podbiegł do Christiana, ale ten szybko uniósł w jego kierunku rękawicę, sygnalizując, by się zatrzymał. Twarz i mundur miał zalane krwią, wyglądał żałośnie i nie sprawiał wrażenia, jakby miał się podnieść. Mimo to Gabriel nie podszedł bliżej.

– Tak poległ Christian Leitner – oznajmił Gottfried. – A jego ukochana Rzesza polegnie tak samo!

David Wißmann był jedynym, który zaklaskał.

Christian z trudem podniósł się z ziemi. Nogi mu się trzęsły, w głowie huczało, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Wbił wzrok w plecy brata, który wykonywał triumfalne gesty w kierunku Davida, jakby ten był jego jednoosobową publiką.

Właściwie mógł w tej chwili wygrać pojedynek. Jeden cios w potylicę załatwiłby sprawę.

Esesman splunął krwią na śnieg.

– Jesteś idiotą, Gottfried – powiedział.

Brat obrócił się gwałtownie w jego kierunku, opuszczając ręce. Przez moment miał zatroskany wyraz twarzy, ale potem wykwitł na niej uśmiech. Zaczął podskakiwać w miejscu, kręcąc głową.

– Trzeba było korzystać, póki nie widziałem – powiedział, unosząc rękawicę.

Christian miał świadomość, że brakuje mu sił na kolejną wymianę uderzeń. Nie oznaczało to jednak, że zamierzał odpuścić. Zostało mu tylko jedno, ostatnie, dramatyczne wyjście. Zebrał się w sobie, a potem rzucił na młodszego brata. Miał nadzieję, że siła rozpędu spowoduje, iż powali go na ziemię, ale Gottfried utrzymał równowagę.

Leitnerowie znaleźli się w klinczu. Starszy robił wszystko, by w nim pozostali, młodszy usilnie starał się wyswobodzić. W końcu Gottfriedowi udało się uwolnić prawą rękę. Zaczął okładać brata po obtłuczonych żebrach.

Oficer SS zrozumiał, że ta taktyka mu się nie przysłuży. Zmobilizował się, by odepchnąć przeciwnika i wyjść ze zwarcia. Gottfried szybko odnalazł się w nowej sytuacji i wyprowadził lewy sierpowy, przed którym udało się Christianowi uchronić, odchylając się do tyłu. Jednocześnie zamachnął się z dołu i potężnym podbródkowym trafił brata celnie i dotkliwie.

Było to satysfakcjonujące, jakkolwiek nie dawało szansy na nokaut. Przez kolejne minuty przeciwnicy wymieniali się uderzeniami, coraz więcej uwagi poświęcając ofensywie, a coraz mniej defensywie.

Walka zaczynała przypominać pijacką bijatykę. Po chwili zupełnie przestały obowiązywać zasady boks, żaden z nich nie miał siły podnieść gardy czy wykonać odskoku, a potem podejścia. Stało się jasne, że zwycięży ten, który dłużej utrzyma się na nogach.

Christian czuł się wycieńczony. Wiedział, że to efekt samotnej libacji. Słaniał się na nogach, a po mocnym lewym sierpowym jego organizm w końcu dał za wygraną. Nie potrafiąc utrzymać się na nogach, zrobił krok w tył, a potem poczuł, jak upada.

Gottfried krzyknął coś niezrozumiałego. Zbliżył się do brata, jakby spodziewał się, że ten jeszcze wstanie. Christian jednak potrafił zmobilizować się jedynie do tego, by wypluć krew gromadzącą się w ustach.

Młodszy z Leitnerów zdjął rękawice, cisnął je obok brata, a potem wraz z Davidem oddalił się bez słowa w kierunku domu. Reszta zrobiła to samo.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Psychol z Dachau stanął obok Staszka i zmierzył go wzrokiem. Prawdopodobnie nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek widział już tego więźnia lub znęcał się nad nim. Codziennie okładał ich tyłu, że nawet gdyby próbował, nie zapamiętałby twarzy.

Pociągnął nosem i skrzywił się.

– Ten smród jest nie do wytrzymania – powiedział cicho, a potem wskazał na taczkę. – Co tu robisz?

– Wożę kamienie – odparł niezbyt dobrym niemieckim Staszek.

Esesman spojrział na taczkę.

– Wyłóż je.

– *Natürlich* – odparł Zaniewski i szybko wykonał polecenie. Potem wyprostował się i czekał na dalsze rozkazy. Wiedział już, jakie padną.

– Ładuj ścierwo – rzucił Niemiec i wyciągnął papierosa.

Palił spokojnie, przyglądając się, jak więzień umieszcza ciało Andreasa Immela na tacce. Nie było łatwo, ale po chwili Zaniewskiemu udało się zgiąć je tak, by się zmieściło. Ręce i nogi wystawały, jednak biorąc wszystko pod uwagę, był to jego najmniejszy problem.

Niemiec splunął na bok.

– Wiesz, gdzie go wieźć? – zapytał.

– *Ja, Herr Rapportführer.*

– Więc w drogę.

Popychając wózek, Staszek miał wrażenie, że wiezie stos kamieni. Kiedy oddalił się nieco od strażnika, sięgnął do kieszeni zmarłego. Z ulgą przekonał się, że papierosy były odpowiednio zabezpieczone i nie pogięły się. Odzyskał wszystkie siedem.

Dowiózł Immela do głębokiego rowu, gdzie wrzucano ciała. Trudno było nazwać to miejsce choćby anonimowym grobem – było raczej wysypiskiem.

Miał nadzieję, że po uporaniu się z tym zadaniem uda mu się rozmówić się z dwoma pozostałymi członkami grupy Andreasa. Szybko jednak przekonał się, że Schneuer nie odstępował ich o krok. Wszystko wskazywało na to, że wraz z Obeltem i Zmitkiewiczem będą musieli jutro improwizować.

Pod koniec dnia było to już absolutnie pewne. Po wieczornym apelu zrelacjonował wszystko swoim towarzyszom. Miał nadzieję, że oni poradzili sobie lepiej z elementami planu, które im przypadły.

Zmitkiewicz westchnął.

– Na moim froncie podobnie – powiedział. – Brakuje nam jednego kartonu.

Zaniewski zaklął w duchu.

– Mosze za nic nie chciał go prehandlować – dodał Czesław. – Damy radę bez niego?

Staszek zmrużył oczy, przez moment się zastanawiając.

– Mamy dwa wystarczającej wielkości, a do tego jeden gruby worek – odparł w końcu.

Obelt westchnął teatralnie, wierząc się nerwowo na pryczy.

– Przestańcie skomleć jak baby – powiedział pod nosem. – Komfortu się, kurwa, zachciało.

Tej nocy Staszek nie zmrużył oka. Gonitwa myśli trwała w najlepsze, podsuwając wyobraźni co rusz inne scenariusze. Raz udawało mu się wydostać z obozu i przedostać do Louvigny, gdzie odnajdywał Marię. Innym razem spotykali się w Warszawie – nieokupowanej, kwitnącej jak za najlepszych lat. Wszystkie wizje były optymistyczne, niektóre nawet bezczelnie, bowiem

zakładały szczęśliwą przyszłość, wychowanie pociech i spokojną pracę w szpitalu Świętego Łazarza. Stanowiły mrzonki, ale w noc przed ucieczką Zaniewski mógł sobie na nie pozwolić. Być może nawet powinien.

Na moment przed budzeniem odgarnął dziurawy koc i usiadł na pryczy. Rozejrzał się. Pozostali więźniowie jeszcze spali, choć podświadomie zapewne byli już gotowi na brutalne wyrwanie ze świata snów. Ich mięśnie z pewnością już spinały się w oczekiwaniu na poranną dawkę ciosów.

Staszek pomyślał, że nie ma zamiaru spędzać tutaj ani dnia dłużej. Nawet jeśli pozostałe elementy planu się posypią, nie pozwoli, by zrezygnowali.

Podniósł się i po cichu zbliżył się do towarzyszy. Zbudził ich, a potem wszyscy trzej wyjęli spod sienników rzeczy, które miały przydać im się podczas ucieczki.

Jakiś więzień kaszlnął, inny obrócił się na pryczy. Obelt rozglądał się uważnie, ale nie spostrzegł, by ktokolwiek ich zauważył.

Potem wszyscy wrócili na swoje miejsca i udawali, że śpią. Przeczekali tak kwadrans, a potem nastąpiła pobudka. Rozpoczęła się codzienna rutyna. Blokowi krzyczeli, bili więźniów, opluwali, a na koniec kazali ścielić łóżka. W końcu rozległ się odgłos dzwonu, obwieszczając obowiązek stawienia się na placu apelowym. Więźniowie ustawili się w równych szeregach i wyszli na zewnątrz. Po drodze strażnicy serwowali kolejną dawkę ciosów, ale na dobre rozkręcili się dopiero na appellplatz. Tłukli tam bez opamiętania, pilnując, by jeńcy stali idealnie równo.

Staszek powtarzał sobie w głowie, że to ostatni raz. Czy ucieczka się powiedzie, czy nie, już tutaj nie wróci. Były tylko dwie możliwości – albo znajdzie się poza ogrodzeniem, albo w anonimowym dole z innymi ciałami.

Odpowiednia liczba uderzeń w karki, głowy i plecy została w końcu wymierzona. Apel się zakończył, a trzech Polaków natychmiast ruszyło w kierunku, gdzie zazwyczaj ustawiała się grupa Immela. Zajęli ich miejsce w kolejce po przydział, niepewni, jak tę nagłą zmianę przyjmą główni zainteresowani.

Jeden z towarzyszy Andreeasa popatrzył na nich z konsternacją, a potem ruszył w ich stronę. Po drodze zakasał rękawy, więc Zaniewski nie spodziewał się niczego dobrego. Grupa znalazła już zastępstwo za Immela – był to postawny Żyd, którego Staszek nie znał.

Mężczyzna zbliżył się do nich, popatrzył na Zmitkiewicza, potem na Zaniewskiego, a ostatecznie zawiesił wzrok na Obelcie. Ten zrobił pół kroku w jego stronę.

– Won – powiedział kapitan.

Żyd wlepił spojrzenie w bliznę na twarzy oficera. Polak przeciągnął po niej palcem, po czym przesunął nim jeszcze w poprzek szyi. Przybysz obrócił się do swoich towarzyszy, jakby chciał, by to oni podjęli decyzję, co robić. Obaj spuścili wzrok.

– Won, powiedziałem – powtórzył Obelt. – Póki jeszcze możesz odejść o własnych siłach.

Więzień nie protestował. Cofnął się, a potem zostawił ich w spokoju. Zaniewski odetchnął z ulgą. Pierwszy, najłatwiejszy element planu się powiódł. Teraz zaczną się schody.

Dotarli do esesmana, który przydziałał ludzi do kopania rowów po północno-zachodniej stronie kamieniołomów. Nie było tu wielu chętnych do pracy, bo nie miała wiele wspólnego z typowym ryciem w ziemi – sprowadzała się do wydobywania ciężkich, granitowych bloków.

Niemiec popatrzył na nich, jakby był to ich pierwszy dzień w obozie.

– Co to za zmiany? – zapytał.

Zmitkiewicz wystąpił.

– Wymiana z tymi od Immela – powiedział, wskazując na grupę oddalających się Żydów. –

Chcieli odpocząć po wczorajszym.

Zaległo milczenie. Esesman przez moment się zastanawiał, po czym położył rękę na palicy. Spokojnie ją wyciągnął i zdzielił Zmitkiewicza po głowie. Czesław zatoczył się w bok, a potem stanął na baczność.

– Niech będzie – powiedział Niemiec.

Chwilę później prowadził ich po schodach. Staszek doskonale zdawał sobie sprawę z tego, ile stopni ma do przebycia. Za każdym razem je liczył i za każdym razem wychodziło mu sto osiemdziesiąt sześć. Stanowiło to marne zajęcie, ale zawsze jakieś.

W końcu przeszli między kamiennymi placami budowlanymi w kierunku miejsca, gdzie wczoraj Psychol z Dachau bez wyraźnej przyczyny zakatował Immela.

Zaniewski obawiał się, czy pod jego pasiakiem nie da się rozpoznać kartonu, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Drugi kawałek tektury Obelt przydzielił Zmitkiewiczowi, mimo protestów z jego strony.

Przeszli przez obozową bramę i minęli drut kolczasty. Staszek ostrożnie wyjął z kieszeni pogiętą kartkę i rzucił ją na ziemię. Była zaadresowana do Louvigny, do domu rodziny Boissów. Nie było to najlepsze miejsce, do którego mógł wysłać wiadomość, ale nie miał żadnej alternatywy. Opisał w nim Marii wszystko, co spotkało go od ich rozstania, lecz nie wspomniał jej ani z imienia, ani z adresu. Gdyby list wpadł w ręce esesmanów, Zaniewski podpisałby na nią wyrok – powszechną praktyką było karanie rodzin za próby ucieczki więźniów. Nie było sensu grozić ludziom znajdującym się na granicy śmierci, więc był to jedyny sposób, by powstrzymać osadzonych przed zbieganiem z obozu.

Zaniewski miał nadzieję, że list dostrzeże któryś z pracowników firmy Deutsche Erd und Steinwerke GmbH, która prowadziła wydobywanie surowca w kamieniołomach Mauthausen. Obiegowa wieść niosła, że część Niemców podnosi porzucone listy i nadaje je w najbliższej placówce. Trudno było w to uwierzyć, kiedy patrzyło się na poziom zwyrodnienia panujący w obozie, ale była to jedyna nadzieja, jaką miał Zaniewski i mu podobni.

Poczucie, że w razie śmierci ślad po nim nie zaginie, było krzepiące. Nie stanie się kolejnym anonimowym więźniem spalonym w krematorium czy wrzuconym do rowu. Ktoś dowie się, że tutaj był.

Trzech Polaków spojrzęło po sobie, wchodząc w głąb kamieniołomu. Tylko w trakcie pracy mogli myśleć o ucieczce. Teren obozu był pilnie strzeżony. Tutaj zresztą też skrupulatnie pilnowano więźniów, ale...

– Co to ma być? – rozległ się nagle znajomy głos.

Zaniewski obrócił się z przestachem. Zobaczył Jerkera, który zrównał się z nimi. Skłonił się esesmanowi.

– Dokąd oni idą? – zapytał. – To nie ich rewir.

– Była zmiana – odparł leniwie Niemiec. – A ty kto?

– Ich sztubowy.

Esesman nagle się rozpromienił.

– Świetnie – ocenił. – W takim razie będziesz miał dziś na nich oko. Mnie należy się trochę odpoczynku.

Zanim Staszek zrozumiał wagę tego, co się wydarzyło, strażnik już machnął ręką na trzech więźniów i niespiesznie oddalił się w inną stronę. Po drodze słyszeli, że dziś esesmani zebrali wyjątkowo liczną grupę spadochroniarzy, być może Niemiec chciał skorzystać z okazji.

Przedstawiało to niemały problem.

– Ruchy – ponaglił ich Jerker.

Dotarli na miejsce i rozpoczęli pracę w pocie czoła. Trzy godziny upłynęły im na kilkudziesięciu pchnięciach łopatami wśród metalicznych dźwięków, a potem wydobywaniu kamieni, które uniemożliwiały kopanie. Szybko opadli z sił. Nawet gdyby nie byli niedożywieni, zapewne po takim czasie mieliby dość.

Jerker początkowo patrzył im na ręce, najwyraźniej poczuwając się do odpowiedzialności za odpowiednie wykonanie zadania, ale po jakimś czasie usiadł znudzony na ziemi. Raz po raz spoglądał w stronę Polaków kopiących w wąskich rowach. Co kwadrans wynosili na górę kilka ciężkich kamieni, po czym ładowali je na taczki i zostawiali dla innych więźniów do przewiezienia.

Zaniewski obawiał się, że obecność Jerkera pokrzyżuje im plany. Wciąż jednak trzymał się pierwotnego założenia, że nie mają odwrotu. Nie odzywali się słowem, nie chcąc ściągać na siebie uwagi pilnującego ich Niemca.

Pierwszy z chwili jego nieuwagi skorzystał Zmitkiewicz. Między jednym a drugim pchnięciem łopatą zdołał wydobyć spod koszuli karton. Położył go szybko na skraju rowu i przysypał ziemią.

Po chwili Obelt zrobił to samo z kawałkiem poszarpanej torby. Potem przysła kolej na Staszka.

Zaniewski zerknął na Jerkera, a następnie pochylił się tak, by nie być widocznym zza rowu. Sięgnął pod pasiak, czując, jak fala gorąca przetacza mu się po plecach. Musiał to zrobić spokojnie, choć w miarę szybko, by zbyt długo nie pozostawać poza zasięgiem wzroku Jerkera. Poczul zimne krople potu. Jeszcze raz popatrzył na Niemca, a potem wyjął karton. Trzęsącymi się rękoma wsunął go pod nieubita warstwę świeżo wyrzuconej ziemi.

Nagle wzdrygnął się, gdyż odniósł absurdalne wrażenie, że usłyszał węża. Kiedy lekko się wyprostował, stwierdził, że to Czesław wydaje syczące dźwięki.

Sygnal ostrzegawczy, zdążył pomyśleć Staszek. Potem dostrzegł, że Jerker stoi nad nim i patrzy na niego z góry.

– Co ty, kurwa, robisz?

Polak miał wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę. Tyle przygotowań, tyle poświęceń i wyrzeczeń tylko po to, by już na samym początku przepaść?

Poczul, jak nogi się pod nim uginają.

– Ja... – zaczął.

Nie miał żadnego pomysłu na to, co odpowiedzieć. Jerker widział doskonale kawałek kartonu, który wystawał spod ziemi. Zaniewski panicznie starał się wymyślić jakiegokolwiek wytłumaczenie, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Niemiec pochylił się i podniósł ostro zakończony kamień.

– Co to ma być? – zapytał z uśmiechem. – Co kombinujesz?

Staszekowi w okamgnieniu zrobiło się sucho w ustach.

– Nieistotne – odparł zadowolony Jerker, obracając kamień w dłoni i przyglądając się więźniowi. – Tak czy inaczej kupiłeś sobie bilet na tamten świat.

Polak zdawał sobie sprawę, że kapo nie będzie czekał. Gdy któryś z tych ludzi łapał osadzonego na czymkolwiek alarmującym, nie musiał udowadniać nikomu winy. Zazwyczaj karę wymierzano od razu – właściwie tylko czekano na taką możliwość.

Niemiec uniósł kamień, gotowy do zadania ciosu.

– Jerker! – krzyknął Zmitkiewicz.

Zaniewski widział go kątem oka. Zdawał sobie sprawę, że towarzysz jest zbyt daleko, by w porę przyjść mu w sukurs. Zamknął machinalnie oczy, świadomy, że od uderzenia dzielą go jedynie sekundy.

Rozległ się głuchy odgłos. Po nim nastąpił cichy jęk.

Staszek otworzył oczy i zobaczył, jak kapo osuwa się na ziemię. Za nim stał Obelt z uniesioną łopatą, rozglądając się uważnie.

Kapitan uniósł kącik ust, a potem zepchnął Jerkera do rowu. Zaniewski spojrzął na upuszczony kamień, który przy odrobinie pecha mógł zakończyć jego życie. Zaczepnął tchu, uspokajając się.

Już otwierał usta, by podziękować Obeltowi, lecz nie miał okazji.

– Kurwa, esesman! – syknął Zmitkiewicz.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek zdążył oddać drugi strzał, nim rozpętało się piekło. Trafił brodacza, który jeszcze przed momentem prowadził ożywione negocjacje z Jorgosem. Zaraz potem rozległy się salwy z karabinów.

Arabowie nie byli wyszkolonymi żołnierzami. Strzelali na oślep, bez szans na trafienie przeciwnika, który zawczasu uskoczył z linii strzału. Zaniewski spuścił ich z muszki tylko na moment. Natychmiast po uniku oddał dwa kolejne strzały.

Jedna z kul sięgnęła celu, druga chybiła. Trafiony przeciwnik padł na podłogę bez życia, rozbryzgując wokół krew. Drugi natychmiast znalazł schronienie za framugą. Bronek gwałtownie przetoczył się w bok, tak by Arab nie mógł go dostrzec.

– Jorgos! – krzyknął. – W porządku?!

Karagiozopoulos się nie odzywał. Polak znalazł się obok niewielkiego stołu i natychmiast go przewrócił, używając jako lichej osłony.

– Jorgos!

Zaniewski wychylił się i wycelował w przejście do drugiego pomieszczenia. Zobaczył lufę karabinu wystającą zza progu.

– W porządku! – odkrzyknął kapitan „Aigokeros”. – Leżę sobie, kurwa, i odpoczywam!

Bronek pociągnął za spust. Pocisk przeszył powietrze i wbił się w drzwi. Wióry wpadły do drugiego pokoju, a lufa natychmiast się cofnęła.

– Świetny moment na trochę relaksu – zauważył Zaniewski.

– Jak żaden inny!

– Poleż jeszcze chwilę.

– Nie dorwałeś wszystkich?

– Jeszcze nie.

– To może...

– Jeden dał nogę do drugiego pokoju – uciął Polak. – I nie wiem, czy przypadkiem nie mają tam drugiego wyjścia.

Gdyby tak było, ocalały mógł już popędzić po posiłki. Element zaskoczenia, z którego skorzystał Bronek, pozwolił powalić trzech, ale w równym starciu nie będzie miał najmniejszych szans na powtórzenie tego wyniku.

Nagle Arab wychylił się zza drzwi i posłał salwę w kierunku stołu. Naboje rozryły blat i Zaniewski miał wrażenie, że drzazgi wbijają mu się w całe ciało. Przeciwnik strzelał na oślep i było to właściwie najlepsze, na co Bronek mógł liczyć.

Odczekał chwilę, nie wdając się w bezmyślną wymianę ognia. Zaraz po ostatnim wystrzale szybko wychylił się zza osłony i pociągnął za spust. Kula z hukiem opuściła lufę lebela i poszybowała prosto w kierunku szyi Araba.

Krew trysnęła z niej jak z fontanny, a ofiara zwała się na ziemię z głuchym jękiem. Zaniewski odczekał moment, po czym podniósł się. Podeszedł do drzwi i zajrzał do drugiego z pomieszczeń. Przekonał się, że znajdował się tam długi, spowity mrokiem korytarz. Gdzieś na jego końcu migotała słaba poświata.

Bronek przeszedł ostrożnie do zamkniętych drzwi po drugiej stronie. Zamek był solidny, zamknięty od zewnątrz. Opuszczając to miejsce, szofer musiał zadbać o to, by nikt nie zbiegł tylnym wyjściem.

Wróciwszy do głównego pomieszczenia, Zaniewski zobaczył Jorgosa na środku. Grek wodził wzrokiem po ciałach i krwawym zacieku na ścianie. Potrząsnął głową, a potem obrócił się do kompana.

– Co teraz? – spytał słabo.

– Nie wiem.

Bronek spojrział po swoich ofiarach. Cztery osoby, cztery życia. Być może cztery żony, które straciły mężów, albo czwórka dzieci pozbawiona ojców. Wzdrygnął się i odsunął od siebie tę myśl.

Na dobre jednak wstrząsnęło nim nie psychiczne, a fizyczne odczucie. Poczuł, że jeden z Arabów złapał go za kostkę. Natychmiast się cofnął i wycelował lebelem w dół.

– Ten żyje – odezwał się.

Przeciwnikowi krew obficie lała się z barku. Aby mieć jakiegokolwiek szanse na przeżycie, musiały natychmiast trafić do szpitala. Karagiozopoulos i Zaniewski wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami, a potem pochylili. Podnieśli Araba i posadzili go na krzesło.

– Jak się nazywasz? – zapytał Jorgos.

Jeniec nie odpowiadał, a Grek zdzielił go po twarzy.

– Jak się nazywasz? – powtórzył kapitan. – Mów, to może zatamujemy krwawienie.

Trupioblada twarz się uniosła.

– Saleem Zaman – wydukał mężczyzna. – Bar... barzyńcy...

Greki zaśmiał się pod nosem.

– Barbarzyńcami nazywam tych, którzy zdradziecko atakują porządną ludźmi – oznajmił.

Saleem lekko uniosł dłoń, starając się wskazać niewielką szafkę przy drzwiach.

– Pomóżcie... mi...

Bronek podeszedł do niej powoli, a potem wyciągnął kilka zwitków bandaży. Był zadowolony, zyskali właśnie walutę, którą mogli zapłacić za informacje. Podał opatrunek Jorgosowi, a ten zamachał nim przed twarzą Zamana.

– Chętnie ci pomożemy – zapewnił go, rozwijając bandaż. – Jak tylko powiesz, gdzie możemy znaleźć Syryjczyków okradających statki.

Arab przez moment milczał, jakby zbierał siły na dłuższą wypowiedź. Dopiero po chwili marynarze przekonali się, że źle ocenili jego intencje. Saleem nabrał tchu, a potem splunął w twarz Karagiozopoulosowi.

Jorgos odsunął się jak poparzony. Otarł twarz i pokręcił głową.

– Jak sobie chcesz – powiedział. – Gnij tutaj.

Dwaj towarzysze spojrzeli po sobie i w jednym momencie ruszyli do wyjścia.

– Zbliżasz się do wrót Dzannah – odezwał się Zaniewski. – Tylko pozazdrościć.

Jeniec kaszlnął, wypluwając jeszcze więcej krwi. Część zatrzymała się na dolnej wardze i zaczęła skapywać z brody.

– Tylko pozazdrościć – dodał Broniek. – Według waszych wierzeń czekają tam wiecznie młode i piękne dziewice, prawda?

Muzułmanin nie odpowiedział. Zaniewski złapał za klamkę i otworzył drzwi. Jorgos wyszedł na korytarz, ale w tej samej chwili Zaman znacząco odchrząknął.

– Avenue des Français... numer czterdzieści dwa – powiedział.

Marynarze odwrócili się.

– Za kwadratowym budynkiem jest wejście... – Saleem zrobił pauzę, by nabrać sił. – Traficie...

– I? – spytał Karagiozopoulos.

– Szukajcie tam... człowieka imieniem Imraf – dodał Zaman, patrząc błagalnie na bandaż.

Greki cofnęli się do środka.

– Założmy, że go znajdziemy. Co dalej?

– Będzie... będzie wiedział, że jesteście zaufani... skoro udało wam się go znaleźć...

Broniek i Jorgos wymienili się pytającymi spojrzeniami. Przez kilka chwil zastanawiali się nad tym, czy wyciągną z Araba coś więcej, ale obaj zgodnie uznali, że to wszystko, co mógł im powiedzieć. Zabandażowali mu ranę i opuścili mieszkanie, zamykając je na klucz.

Wyszli na ulicę i skierowali się ku nadbrzeżnej, wybudowanej na europejską modłę drodze.

– Za zaoszczędzone franki zaprosiłbym cię do „Lucullusa” – odezwał się Grek. – Ale obawiam się, że nie mamy czasu.

– Ja też.

– Łajza w końcu wyjdzie i powiadomi swoich pobratymców, co zrobiliśmy.

Zaniewski pomyślał, że najlepiej byłoby pozwolić, by Saleem się wykrwawił. Zaraz jednak odsunął od siebie tę konkluzję. Zaczynał myśleć niemal jak nazista – i mimo że na wojnie być może nie był jedynym, który tak robił, odczuł pewien dyskomfort.

– Co to za „Lucullus”? – zapytał.

– Knajpa. Podobno bardzo dobra, Graham chciał mnie tam zaciągnąć, ilekroć byłem w porcie, ale nigdy nie zapuściłem się tak daleko. Słyszałem o niej zresztą od kilku innych marynarzy.

– Postawisz mi tam porządne danie, jak skończymy zabawę z tymi Syryjczykami.

Broniek poprawił abaję, by przechodnie nie zauważyli niesionego pod nią lebela. Uzupełnił magazynek, choć obawiał się, że pocisków i tak nie wystarczy.

– Umowa stoi – powiedział Jorgos. – To gdzieś koło hotelu Bassoul. Podają tam rzekomo wyśmienite bouillabaisse, lepsze niż w Marsylii.

Zaniewski nie miał bladego pojęcia, co to za danie. Skupiał się zresztą na możliwych scenariuszach nadchodzącego spotkania, nie na francuskich przysmakach. Spodziewał się, że grupa Syryjczyków bazę wypadową miała w jakimś hangarze. Miał tylko nadzieję, że nie będzie tam zbyt dużo pustej przestrzeni.

Weszli na rue Minet El Hosn, niedawno odnowioną szeroką drogę, biegnącą wzdłuż wybrzeża. Francuzi wyłożyli na jej renowację małą fortunę, ale było warto. Robiła egzotyczne, ekskluzywne wrażenie.

– Nie masz pojęcia, co to bouillabaisse – bąknął Karagiozopoulos.

– Najmniejszego.

– Taki właśnie z ciebie Brzask Egejski.

– A co to ma do bule... bulebu...

– Bouillabaisse – wyręczył go Grek.

– Do Morza Egejskiego?

Karagiozopoulos spojrział na niego spode łba.

– Nie bądź taki drobiazgowy – odparł. – Po prostu chciałem zauważyć, że bardziej pasuje ci przydomek nieeuropejski. Na przykład Kat z Zatoki Świętego Jerzego.

– Mhm.

– A samo danie to najsmaczniejsza z zup. Przyrządza się ją z kilku gatunków ryb morskich, ewentualnie langust lub krabów, w połączeniu z dużą ilością oliwy, szafranu...

– Jorgos, zaczynasz mi przypominać mojego starego znajomego, który ma wyjątkową zdolność do nudzenia mnie na śmierć – przerwał mu Bronek, rozglądając się.

Dotarli do avenue des Français i Polak starał się zlokalizować numer czterdziesty. Wszystkie klatki schodowe wyglądały jednak tak samo i były pozbawione numeracji.

W końcu Zaniewski zauważył budynek w kształcie sześcianu. Wskazał go Jorgosowi i obaj pospiesznie ruszyli w tamtym kierunku.

– W każdym razie robi wrażenie – ciągnął wilk morski. – Nie powinienesz zabijać na pusty żołądek.

– Posłuchaj...

– W porządku, w porządku. Przecież przełożyliśmy degustację na później.

Po kwadransie udało im się odnaleźć właściwy budynek. Znajdował się w bocznej uliczce, odchodzącej od avenue des Français na południe. Była wąska i zupełnie wyludniona. Nie miała sztucznego oświetlenia, więc nocą z pewnością lepiej było omijać ją szerokim łukiem.

Podeszli do drzwi wejściowych, jednocześnie sięgając pod abaje. Bronek dostrzegł, że wejście jest otwarte. Delikatnie popchnął drzwi i ruszył ostrożnie do środka. W nozdrza uderzył go zapach palonej mirry i duszący dym nargili.

Wszedłszy do środka, zobaczył grupę Arabów siedzących z fajkami wodnymi. Bez jakiegokolwiek pietyzmu podnosili dozowniki do ust, pociągali, a potem wypuszczali dym w górę, prowadząc leniwe rozmowy. Zajmowali płócienne siedziska, rozsiadłszy się jak basze.

Zaniewski i Jorgos ściągnęli turbany.

Na widok europejskich rysów twarzy mężczyźni w jednej chwili wypuścili nargile i zamienili je na broń. Poderwali się jak jeden mąż.

– Szukamy Imrafa – powiedział czym prędzej Bronek.

Syryjczycy patrzyli na niego podejrzliwie... ale tylko przez moment. Potem schowali broń i wrócili do poprzedniego zajęcia. Marynarze popatrzyli na siebie z konsternacją. Najwyraźniej Saleem miał rację.

Przynajmniej w pewnym sensie, gdyż nic się nie działo. Jeśli istniał jakiś zwyczaj dyktujący, co należy zrobić po oznajmieniu, że przyszło się do Imrafa, to ranny Arab na Place de l'Etoile zapomniał ich o tym poinformować. Albo nie udzielił im dalszych instrukcji z premedytacją.

– Jorgos.

– Hm?

– Zagadnij któregoś po arabsku, podpytaj, czy...

Bronek urwał, gdy na końcu holu poruszyła się kolorowa, gruba kotara. Zza niej wyłoniła się kobieta w czarnej abai i nikabie. Widać było jedynie jej oczy oraz kawałek czoła. Zbliżyła się o kilka kroków do przybyszy, a potem lekkim ruchem ręki schowanej pod czarnym płaszczem wskazała im, by weszli do środka.

Minęli kotarę i przeszli do części pomieszczenia, w której urzędował tylko jeden człowiek,

niewątpliwie sam Imraf. Był korpulentny, zajmował wygodne siedzisko, a obok niego stał duży szklany dzban, starannie zdobiony kolorowymi wzorami.

– *As-salamu malaikum wa rah.matu'llahi wa barakatuh* – wyrecytował Jorgos. Bez życzenia pokoju, łaski i błogosławieństwa temu, z kim rozpoczynało się rozmowę, z pewnością naraziliby się na ryzyko, że zostaną natychmiast zawróceni.

– *Alaikum s-salam wa rah.matu'llahi wa barakatuh* – odparł grubas.

– Imraf? – zapytał Zaniewski.

– Tak, przyjacielu – potwierdził gospodarz po francusku, wydechając dym i obserwując, jak znika w powietrzu. – A ty?

– Bronisław Zaniewski.

– Broh... Byhro... – spróbował powtórzyć Arab, po czym machnął ręką.

Kiwnął na dwóch Syryjczyków stojących obok, a ci szybko zorganizowali miejsce do siedzenia dla gości, tuż przy Imrafie. Arab przyjrzał się gościom i zaczął wypytywać o to, skąd przybyli oraz co robią w Bejrucie. Nie minęło wiele czasu, a rozmowa zesła na sprawy natury rodzinnej i Jorgos pożałował, że nie udzielił Bronkowi instrukcji co do tego, jak wygląda załatwianie interesów z Arabami. Zbyt szybkie przejście do sedna uznają za obrazę, więc zanim zacznie się rozmowa na interesujący obie strony temat, należy dowiedzieć się o obecny stan każdego członka rodziny.

Kiedy Imraf zaczął pytać Bronka o zdrowie jego kuzynów, Zaniewski był już zupełnie skołowany i zaczynał sądzić, że rozmówca gra na czas bądź po prostu sobie z nich drwi. Znaczący, uspokajający wzrok Jorgosa sprawił jednak, że zaczął opowiadać o jednym ze swych kuzynów, a potem następnym... i kolejnym.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Postać w białym płaszczu, z szerokim kapeluszem w tym samym kolorze, zbliżała się powoli do zakrwawionego Christiana Leitnera. Esesman był półprzytomny, a gdy podniósł lekko głowę, zobaczył tylko, jak Maria i Gabriel znikają w domu. Zaraz za nimi rozeszła się reszta zebranych.

Christian poczuł ból w klatce piersiowej i karku. Próbował skupić wzrok na jakimś punkcie, ale wszystko było zamazane. Zamknął oczy i uległ przejmującemu poczuciu kompletnego osłabienia.

Nie był pewien, czy stracił przytomność, ale kiedy ponownie otworzył oczy, postać w białym płaszczu ciągnęła go za nogi. Leitner próbował protestować, ale nadaremno. Miał wrażenie, jakby język mu zdrętwiał.

Po kilku próbach udało mu się otworzyć usta i wymamrotać szereg niezrozumiałych słów. Osoba w kapeluszu się zatrzymała, puściła jego nogi, po czym usiadła obok, tyłem do niego.

Nie był to nikt ze służby. Nikt z rodziny. Nikt, kto zawdzięczał Christianowi dach nad głową.

Był to zwykły przechodzień, który musiał uznać, że może odnieść jakąś korzyść z sytuacji. Leitner nie rozumiał jaką. Nie ulegało jednak wątpliwości, że w tej chwili był zdany na łaskę tego człowieka.

– Zasłużyłeś sobie na to – rozległ się zniekształcony głos.

Christianowi wydawało się, że oscyluje na granicy metafizyki i rzeczywistości. Odniósł wrażenie, że korony drzew zasklepiają się nad nim, a chmury powoli opadają z nieboskłonu.

– Zasłużyłeś na to wszystkim, co do tej pory zrobiłeś.

Leitner starał się odezwać, ale wydał z siebie jedynie cichy jęk.

– Sprzedałeś duszę diabłu. I w jakim celu? – spytała postać w białym płaszczu, ściągając

kapelusz.

Christian dostrzegł bujne blond włosy.

– W jakim celu? – postać powtórzyła pytanie.

Esesman poruszył się nerwowo, dochodząc do wniosku, że jeśli to nie zwidy, znalazł się w poważnych tarapatkach. Kimkolwiek był ten człowiek, zamierzał wymierzyć mu sprawiedliwość.

– Nie bój się. Zastanów się nad odpowiedzią na moje pytanie.

Leitner poczuł spadające mu na twarz płatki śniegu. Przez moment wydawało mu się, jakby każdy z nich palił go w policzki. Zamknął oczy, starając się odzyskać kontrolę nad własnym umysłem.

– Jest coś, co cię usprawiedliwia? – dopytywała postać. – Jeśli tak sądzisz, jesteś prawdziwym tchórzem. Zmierz się ze swoimi winami.

Leitner z trudem rozumiał sens słów. Nie potrafił odnaleźć odpowiedzi na zadawane pytania.

– Cel nie uswięca środków, Christianie.

Osoba w bieli podniosła się. Esesman dostrzegł, że nie ma już blond włosów. Teraz widział znajomą, stanowczo zbyt znajomą postać. Od jakiegoś czasu do niego nie wracała, alkohol był barierą, przez którą Mateusz Katner nie potrafił się przebić.

Teraz jednak chłopak wrócił. Chłopak, którego Leitner zastrzelił w Rawitschu, by dać przykład pozostałym. By pokazać, że z Hauptmannem Wehrmachtu się nie zadziera.

Dziura w czole była wyraźnie widoczna, jak zawsze. Była otchłanią śmierci, wypełnioną bezbrzeżnym mrokiem. Ilekroć Christian ją widział, miał wrażenie, jakby zbliżał się do niej coraz bardziej.

Kolejnym etapem spotkania z Katnerem będzie śmierć. Bolesna, pełna cierpienia. Jego sny zawsze przebiegały w ten sposób. Tyle że tym razem to nie był sen. Leitner zachowywał pełną świadomość. Widział otaczający go świat i zdawał sobie sprawę, co jest prawdziwe, a co nie.

Katner nachylił się i położył Niemcowi palec na środku czoła.

– Moja rana jest niczym w porównaniu z tą, która zniszczyła ciebie.

Krótko potem Leitner zobaczył przejmującą biel. Zmrużył oczy i nawet nie odnotował momentu, w którym zupełnie odpłynął.

Kiedy powoli unióśł powieki, był już gdzie indziej. Znajdował się w domu, w swojej sypialni. Na łóżku siedziała Maria i zmieniała mu opatrunek na twarzy. Zamrugał, jakby mógł w ten sposób odrzucić rzeczywistość.

Polka zamarła. Przez moment trwała w bezruchu, a potem odwinęła do końca bandaż.

– Prawe oko zaszło ci ropą – powiedziała.

Spojrzał na nią z pozorowaną obojętnością. Wciąż wyglądała na umęczoną, jej cera była blada, jeśli nie liczyć czerwonych plam na policzkach.

– Przed kilkoma godzinami był tu lekarz – dodała. – Jest dobrej myśli, ale trzeba systematycznie zmieniać ci opatrunki.

Christian odchrząknął. Czuł, że zupełnie wytrzeźwiał. Z tej perspektywy bójka po pijaku z Gottfriedem jawiła się jak zachowanie kogoś innego. Próbował się poruszyć, ale natychmiast zrezygnował, czując ból w karku.

Maria założyła mu nowy opatrunek, a potem podniosła się. Opuściła sypialnię, nie czekając, aż Leitner cokolwiek powie.

Na korytarzu wzięła głęboki wdech. Milczenie Christiana właściwie należało uznać za

stosowną reakcję. Nie mieli o czym rozmawiać. Nie wiedzieli też jak to zrobić.

Wróciła do gabinetu Gabriela, gdzie mieli wspólnie zastanowić się nad tym, co dalej począć. W domu nadal znajdował się zabójca i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zagrażał reszcie domowników. Gdyby chodziło o morderstwo samej Algunde, Maria gotowa byłaby przyznać, że to rezultat jakichś ukrytych waśni. Ale Elisa?

Polka zamknęła za sobą drzwi. Gospodarz podniósł wzrok znad biurka.

– Co z okiem? – zapytał.

– Ropy jest nieco mniej – odparła, siadając po drugiej stronie.

Najstarszy z braci powolnym ruchem podsunął jej szklankę i napełnił ją wodą gazowaną. Maria spojrzała na niego nieco skonsternowana.

– Wierz mi – powiedział. – Alkohol to teraz najgorsza rzecz, jaką mógłbym ci zaproponować.

Skinęła głową.

– Szukałem wszędzie Sperlinga – dodał, dolewając również sobie. – Nigdzie go nie ma.

W przeciwieństwie do Gabriela, niespecjalnie ją to interesowało. Nie sądziła, by Heinrich Sperling miał cokolwiek wspólnego z wydarzeniami w domu. Musiałby wkraść się tu niepostrzeżenie, a potem czym prędzej uciec. Nie był do tego fizycznie zdolny, mimo chęci wymierzenia zemsty Leitnerom.

– Udało mi się dowiedzieć, że wyjechał zaraz po zejściu przed domem – ciągnął Gabriel. – Nikt nie wie gdzie ani z jakiego powodu, więc...

– To nie on.

Gospodarz pociągnął łyk wody.

– Więc kto?

Miała swój typ. Dotychczas trzymała go dla siebie, ale pora milczenia się skończyła.

– David – powiedziała.

– Wißmann? Dlaczego on?

– Nie wiem.

Najstarszy z braci poprawił się na krześle.

– Mam przeczucie – dodała. – Ten człowiek jest... osobliwy. Nie potrafię tego sprecyzować, ale coś jest z nim nie w porządku.

– To za mało – odparł Gabriel. – Owszem, ma dziwny styl bycia, może nawet nie budzi sympatii, ale gdyby to miało być kryterium decydującym, należałoby przede wszystkim podejrzewać Christiana i Gottfrieda.

Maria upiła trochę wody i nabrała tchu. Nie zmrużyła oka od dwóch dni i deficyt snu zaczynał robić swoje. Ilekroć jednak zamykała oczy, widziała scenę z piwnicy. Elisę i kawałek metalu makabrycznie wystający jej z głowy.

Odstawiła szklankę.

– Gdyby nie to, że Christiana tu nie było, byłby pierwszym człowiekiem, o którym bym pomyślała – odezwała się. – Twój najmłodszy brat natomiast bardziej pasuje mi na takiego, który zabijałby raczej przy fanfarach i odpowiedniej publiczności, a nie anonimowo, pod osłoną nocy.

– Tak... – zgodził się w zamyśleniu Gabriel. – W takim razie pozostaje nam Helena, służba i te dwie panie lekkich obyczajów, które pierwszej nocy sprowadzili David i Gottfried. Uszczuplimy tę grupę jeszcze o kogoś?

Maria odniosła wrażenie, że gospodarz dawno to zrobił. Cała ta rozmowa zapewne miała na celu odciągnięcie jej myśli od kuzynki. Zresztą w czym mogłaby mu pomóc? Ten człowiek był pragmatykiem, interesowały go dowody, nie jej przeczucia.

Mimo to postanowiła wyrazić swoje zdanie.

– Odrzuciłabym kobiety – zauważyła. – Potrzeba trochę siły, by...

Gabriel potwierdził ruchem głowy.

– Kto w takim układzie zostaje?

– Nikt.

Najstarszy z Leitnerów odgiął się na krześle i potarł skronie. Przyjęcie założenia, że żadnego z zabójstw nie mogła dokonać kobieta, wydawało się logiczne. Szczególnie drugi przypadek nie pozostawiał wątpliwości. By wbić pręt w czaszkę, należało dysponować odpowiednią siłą.

Zaraz jednak upomniał się w duchu, by nie wyciągać pochopnych wniosków. Istniało wiele sposobów, by kobieta również mogła dokonać morderstwa w taki sposób.

Spojrzał na Polkę. Cieszył się, że choć jedną osobę mógł wyjąć poza nawias.

– Jest jeszcze jedna możliwość – odezwała się Maria.

– Jaka?

– Christian.

– Chyba ustaliliśmy, że...

– Że go tutaj nie było? – wpadła mu w słowo. – Skąd wiesz?

Darzył dziewczynę sympatią, nie zamierzał tego przed sobą ukrywać. Nie było w tym jednak nic zdrożnego. Doceniał jej podejście do życia, zaradność i siłę charakteru. Teraz widział ją jeszcze wyraźniej – zamiast lamentować nad losem kuzynki, zakasała rękawy i zabrała się do roboty.

I, oczywiście, nie mógł mieć pewności, że brata tutaj nie było. Gabriel nie wiedział, kiedy Christian dotarł do Lüttendorfu ani czy wcześniej nie był w domu. Mimo łączącej ich braterskiej miłości musiał przyjąć, że jest jednym z podejrzanych.

Trudno mu było jednak sobie wyobrazić, że człowiek tak honorowy, opanowany i wyważony mógłby oddać się ślepej furii. Christian był dokładną kopią ojca, stanowił zupełne przeciwieństwo Gottfrieda.

Przynajmniej przed wojną.

– Od kiedy jest przykuty do łóżka, nic się nie stało – ciągnęła Maria.

Miała rację. Od dwóch dni zabójca nie wykonał żadnego ruchu.

– Będziemy go obserwować – zdecydował Gabriel.

Polka na moment zawiesiła nieobecny wzrok za oknem. Intuicja podpowiadała jej Davida Wißmanna, ale najwyraźniej gotowa była przyjąć, że równie prawdopodobna jest inna wersja.

– On pasuje – powiedziała w końcu. – Racjonalnie rzecz biorąc, to właśnie on ma największą...

Urwała, wzruszając ramionami.

– Najwięcej doświadczenia w zabijaniu? – podsunął Leitner.

– Tak.

Gospodarz westchnął.

– Nie spuścimy go z oka – zapewnił jeszcze raz. – Jeśli coś planuje, będziemy o tym wiedzieć.

Maria pokręciła głową.

– To za mało – powiedziała. – Musimy to przyspieszyć.

– Co masz na myśli?

– Kazałeś wszystkim członkom służby przebywać dwójkami.

– Owszem. W dodatku pod kluczem.

– Wycofaj to polecenie, a ja przez kilka nocy będę kręcić się po domu, stwarzając mordercy

sposobność do kolejnego posunięcia. Jeśli to Christian, nic mi się nie stanie... natomiast Wißmann na pewno nie przepuści okazji.

– Nie znamy motywów zabójcy – zaoponował akademickim tonem Gabriel. – Możesz być dla niego nieatrakcyjnym celem. Mógł zabić Algunde i Elisę z określoną motywacją, a ty zakładasz, że działa chaotycznie. W takiej sytuacji musielibyśmy odrzucić Christiana, który zawsze...

– „Christian, który zawsze” dawno odszedł, nie zauważyłeś?

Gabriel pokręcił głową, choć musiał przyznać, że pomysł z przynętą mu się spodobał. Nie zdążył niczego dodać, gdyż Maria zasypała go falą argumentów na poparcie swojej inicjatywy.

– Zrozum mnie, chcę tę sprawę zakończyć jak najszybciej – podsumowała. – Nie mam myśli samobójczych, nie jestem pogrążona w rozpacz, nie chcę dać się zabić mordercy. Cierpię z powodu Elisy, ale na żałobę przyjdzie pora. Teraz chcę znaleźć sprawcę.

Przekonała go właściwie już na samym początku, jednak uznał, że sama musi usłyszeć swoje słowa.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie – potwierdziła.

– W takim razie powiedz, czego ode mnie oczekujesz.

– Tylko tego, że będziesz miał na mnie oko.

Gabriel i tak nie miał zamiaru spuszczać go z Marii. Skinął głową, a służąca blado się uśmiechnęła.

– Czas zanęcić – powiedziała.

WIENER GRABEN, KAMIENIOŁOMY OBOZU MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Staszek czym prędzej złapał za łopatę i zaczął pracować jak gdyby nigdy nic. Należało dziękować Bogu, że trafili do grupy, która się nimi posługiwała. Większość więźniów nie korzystała z takiego luksusu, pracowała narzędziami, które przywozili na myśl znaleziska archeologiczne. Gdyby grupa Immela również je miała, znokautowanie kapo z pewnością nie przysłoby Obeltowi z taką łatwością.

– To Torba – szepnął Zmitkiewicz.

Esesman zbliżał się do nich niespiesznie, nie mając pojęcia o leżącym w rowie Jerkerze. Zaniewski spuścił wzrok i dostrzegł, że kamień, na który upadł kapo, oplotła czerwona maź.

Naraz zrozumiał, że Jerker nie żyje. Przełknął z trudem ślinę i zerknął w kierunku Thorbena. Fehrmann zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Kręcił się chyba w okolicy, szukając kogoś, nad kim mógłby się poznęcać.

Raz po raz patrzył na wysokie zbocze, z którego niebawem miała zostać strącona kolejna grupa spadochroniarzy. Scenariusz zawsze był ten sam. Esesmański but, uderzenie w plecy lub zwyczajne popchnięcie, a potem okropna śmierć na sterczących z ziemi kamieniach.

Nawet to jednak było błogosławieństwem w porównaniu z tym, co spotka osadzonych, jeśli Thorben zbliżył się jeszcze trochę i zobaczył trupa w rowie.

Staszek spojrział na towarzyszy. Zmitkiewicz pracował, jakby zależało od tego jego życie. Obelt był już z powrotem na swoim miejscu. Schwycił jeden z masywniejszych kamieni, a potem stęknął. Kiwnął na Zaniewskiego, by ten mu pomógł.

Staszek szybko zbliżył się do kapitana. Fehrmann znajdował się kilkanaście metrów dalej. Obrzucił ich przelotnym spojrzeniem, a potem kontynuował przeczesywanie wzrokiem okolicy.

– Dziękuję – szepnął Zaniewski.

– Bierz ten kamulec – odparł oficer, wskazując na przepołowiony głaz.

Zaczęli wciągać go na górę, sapiąc przy tym głośno.

– Nie wiem, jak się od...

– Daj spokój – rzucił Obelt, nie przerywając roboty. – To żadna przysługa, a czysta przyjemność. Niech skurwiel płonie w piekle.

Zaniewski nie miał zamiaru polemizować.

– Co zrobimy z ciałem? – spytał. – Zасыpujemy?

– Nie zdążymy.

– Więc co?

– Załaduj go na taczkę i wyrzuć gdzieś za tą ścianą. – Obelt wskazał granitowe zbocze na skraju kamieniołomu. – Tylko uważaj na Torbę, będzie tu się kręcił, aż znajdzie coś do roboty.

– W porządku.

Fehrmann dzielił swoją uwagę między obserwowanie spadochroniarzy a wypatrywanie nieszczęśnika, nad którym sam zacznie się pastwić.

Na wzniesieniu w równym rzędzie ustawiono kilkunastu młodych chłopaków, przygotowujących ich jak pionki w jakiejś makabrycznej grze. Żaden z nich nie wyglądał na przerażonego, byli gotowi.

Staszek wyszedł z rowu i powoli podszedł do taczki. Thorben zerknął na niego, a potem skupił całą uwagę na zboczu. Polak odetchnął i podjechał powoli do miejsca, gdzie upadł Jerker. Rąbnął głową w dół, umarł natychmiast. Szkoda.

Chwilę trwało, nim Zaniewskiemu udało się upchnąć truchło na taczkę. Miał już pewną wprawę, ale kapo okazał się większym problemem niż wychudzony więzień. W końcu jednak Staszek ruszył z nim w stronę bloku skalnego. Minął go, a potem przechylił taczkę.

Trup wypadł z niej i potoczył się kawałek. Zaniewski odwrócił się i ruszył z powrotem na swoje miejsce, udając, że wiezie ciężkie kamienie. Stanąwszy z powrotem w rowie, odetchnął.

Nie miał jednak czasu na odpoczynek. Musiał znaleźć miejsce, w którym mógłby wykopać odpowiednią dziurę. Problem w Mauthausen polegał na tym, że gdzie nie wbiło się łopaty, trafiało się na litą skałę lub pomniejsze kamienie. Trzeba było rozłupać je i wyrzucać gołymi rękami, co było tyleż żmudne, ile wycieńczające i czasochłonne.

O wyźłobieniu tunelu w takim terenie nie było mowy.

– Stachu – odezwał się Zmitkiewicz.

Zaniewski obejrzał się na niego.

– Jesteś pewien, że damy radę?

– Prawie pewien.

Czesław rozejrzał się. Nie dostrzegł, by ktokolwiek ich obserwował. Po zniknięciu Jerkera powstała luka, z której mogli skorzystać. Przynajmniej dopóty, dopóki ktoś nie zauważy braku jednego z kapo.

Zmitkiewicz zbliżył się nieco.

– Muszę przyznać, że nie jestem optymistą – odezwał się.

Staszek nie miał zamiaru przerabiać tego tematu po raz kolejny. On również miał wątpliwości, czy wyjdą z tego cało, ale nie było innej możliwości. W końcu uznał, że sięgnie po argumenty, od których zaczął przekonywanie swoich towarzyszy.

– Jogini przez dwa dni potrafią przeżyć zagrzebani – zauważył. – Mówiłem ci, chowają się w ziemi, jak tylko pojawi się oznaka choroby. Nie leczą się, tylko zasypują.

– Mówiłeś, mówiłeś... ale jakoś nie jestem przekonany, że słyszałeś o tym na studiach.

- Kończyłem medycynę, Zmitko.
- Wiem, tylko że...
- Jeśli nie ufasz lekarzowi, to komu chcesz?

Czesław cmoknął z dezaprobatą, rozglądając się.

Trudno było się dziwić jego rosnącemu sceptycyzmowi. Im dalej w realizacji planu się posuwali, tym więcej wątpliwości miał także Staszek. Nie było jednak innej możliwości niż pogrzebanie się żywcem, a następnie wyczekanie, aż straż przejdzie, i wyjście na powierzchnię.

Niestety potencjalne problemy miały układ piętrowy. Po pierwsze, kiedy któryś z więźniów próbował zostać na noc w kamieniołomach, esesmani robili obchód, póki delikwentów nie odnaleźli.

Po drugie, sprawdzali nieubita ziemię, wbijając w nią wszystko, co mieli pod ręką. I byli dość skrupulatni. Po odkryciu, że Jerker znikł, z pewnością będą jeszcze dokładniejsi.

Po czwarte, samo przeczekanie pod ziemią nie rozwiązywało wszystkich trudności. Żeby opuścić ogrodzony teren kamieniołomów, należało pokonać najgorszą z zapór – tę wzniesioną przez naturę. Wysokie kamienne ściany stanowiły barierę dla wielu nie do przejścia.

Zaniewski upomniał się w duchu, że należy iść do celu małymi krokami. Najpierw muszą się zakopać i przeżyć pod ziemią wystarczająco długo. Jeszcze do wczoraj Zmitkiewicz upierał się, że nie wystarczy im tlenu.

- Jak u ciebie? – odezwał się Czesław.

Staszek zrozumiał, że pyta o wykopany tunel, czy raczej jego namiastkę. Namiastkę, która powinna już być gotowa. Tymczasem Zaniewskiemu udało się wyźłobić jedynie niewielki kawałek.

- Nie za dobrze – odparł Staszek.

Zmitkiewicz spojrział nerwowo w dół.

- To jest twoja kryjówka? – zapytał.

- Przynajmniej jej zaczątek.

- Nie zmieścisz się w tym. Liliput by się nie zmieścił.

– Co ty powiesz? – odparł pod nosem Zaniewski, patrząc na wnękę w ziemi, w której zdołałby może upchnąć tobolek z ubraniem, nic ponadto. Tymczasem plan zakładał, że tunel będzie na tyle głęboki, by mogli się w nim schować aż po szyć.

Staszek złapał za łopatę i zaczął kopać. Wiedział, że czasu ma niewiele. Pierwsze grupy ładowały już na plecy dwudziestopięciokilogramowe ładunki, by wtaszczyć je wysokimi i nierównymi kamiennymi schodami, prowadzącymi do obozu.

- Kurwa mać – ocenił jego starania Czesław.

- Spokojnie.

– Nie ma czasu na spokój, Stachu – jęknął Zmitkiewicz, wskazując ręką urwisko. – Esmani spychają już ostatnich spadochroniarzy.

Zaniewski na moment podniósł wzrok. Rzeczywiście, sposób pozbywania się więźniów stał się bardziej urozmaicony, co znaczyło, że znudzeni Niemcy już kończą. Zazwyczaj zaczynali tradycyjnie – pierwszych nieszczęśników po prostu spychali. Potem okładali ofiary deskami po plecach i nogach, licząc na to, że przyjmą jak najbardziej karykaturalną pozę. Sposobem, który wzbudzał najwięcej emocji, było jednak współdziałanie dwóch oprawców – jeden stopniowo popychał osadzonego w kierunku urwiska, a drugi podkładał mu deskę pod nogi, gdy ten skupiał się na tym, by dać odpór Niemcowi.

- Idź – odezwał się Zaniewski. – Poradzę sobie.

– Jak?

– Nakryję się ziemią i będę liczyć na to, że nikt mnie nie zauważy.

Obaj zdawali sobie sprawę, że czas im się kończy. Zmitkiewicz wyduł usta, drapiąc się po karku. Ostatecznie musiał uznać, że niczego innego nie wymyśli.

– Wracaj na pozycję – ponaglił go Staszek. – Esesmani zaraz zaczną robić zbiórkę.

– W porządku – odparł bez przekonania Czesław. – Powodzenia.

– I do zobaczenia po drugiej stronie.

Zmitkiewicz poklepał towarzysza po plecach, a potem odszedł w kierunku swojej kryjówki. Zaniewski spojrzął w jej kierunku i kawałek dalej zobaczył Obelta. Kapitan skinął mu nieznacznie, a potem wsunął się nogami do zagłębienia w ziemi. Ostrożnie podniósł poszarpany worek, umieścił go nad głową, po czym przysypał go ziemią i znikł w tunelu. Nie wyglądało to najgorzej.

Staszek spojrzął na wyłobioną przez siebie wnękę. Nie było sensu kontynuować pracy, i tak nie zdąży. Rozejrzał się, a potem odrzucił łopatę i położył w miejscu, gdzie wcześniej upadł Jerker. Nasunął na głowę kawałek tektury i zaczął się przysypywać.

Jego próby były daremne. Obelt i Zmitkiewicz bez trudu umieszczą nieco ziemi na swoich osłonach, ale on w żaden sposób nie przykryje całego ciała. Zaklął w duchu. Powinien szybciej uwinąć się z truchłem Jerkera i mocniej pracować nad wykopaniem kryjówki.

Przerwał dramatyczne próby zakamuflowania się. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli odnajdą go esesmani, z pewnością sprawdzą okolicę. Zostając tutaj, narażał swoich towarzyszy na niebezpieczeństwo.

A właściwie nie istniała szansa, by zdążył ukryć się w porę.

Powoli usiadł, odrzucając resztki ziemi.

Problem polegał na tym, że alternatywą była śmierć. Jeśli opuści rów i przejdzie teraz w kierunku obozu, Niemcy ukarzą go za nieposłuszeństwo i niestawienie się na pierwszą zbiórkę. A kara była tylko jedna. Żadnego odwołania, żadnych szans do obrony. Zostanie zastrzelony na miejscu, nikomu nie będzie się chciało nawet prowadzić go na skarpę.

Staszek nabrał tchu. Nie miał wyboru. Albo to, albo umrą wszyscy trzej.

Zaczął powoli się podnosić, gdy usłyszał niepokojący okrzyk.

– *Häftling!*

Słowo „więzień” wypowiedane było przez esesmanów zawsze tak samo, zawsze z tą samą pogardą. Poza obozowymi murami stanowiło być może zupełnie zwyczajny termin, tutaj jednak, w ustach Niemców, było najgorszą obelgą.

– *Halt!* – dodał esesman.

Zaniewski rozpoznał głos Thorbena Fehrmanna. Zaraz potem usłyszał, jak Niemiec przywołuje do siebie jeńca. Staszek natychmiast przyłgnął do ziemi w mechanicznym odruchu.

Thorben był niedaleko. Nawet jeśli zainteresuje się na moment innym osadzonym, zaraz tutaj podejdzie. Omiecie wzrokiem rów i będzie po wszystkim. Zginie nie tylko Zaniewski, ale i jego towarzysze.

Staszek gorączkowo poszukiwał wyjścia z sytuacji. Podniósł się, a potem nieznacznie wychynął zza skraju rowu.

– *Häftling! Komm hier!* – krzyknął Fehrmann.

Polak ze zgrozą przekonał się, że adresatem tego rozkazu jest Czesław Zmitkiewicz. Przyjaciel trwał w bezruchu, tuż przed wykopaną dziurą. Był odwrócony do Thorbena tyłem i musiał panicznie zastanawiać się nad tym, co począć. Zaniewski usłyszał, jak towarzysz cedzi

przekleństwa.

Obrócił się powoli w stronę Niemca, nawet przelotnie nie patrząc w stronę Staszka i Obelta. W jego oczach było widać strach. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka.

Thorben zbliżył się z uśmiechem.

– Gdzie reszta? – zapytał, rozglądając się. – Gdzie Kat z Doliny Sanu?

– Tam – odparł Zmitkiewicz i wyprostował rękę.

Wskazał miejsce, w którym leżały zmasakrowane ciała więźniów stanowiących tego dnia przedmiot zabawy esesmanów. Fehrmann ściągnął brwi i obrócił się w stronę wysokiej kamiennej ściany.

Staszek naraz zrozumiał, co planuje porucznik.

Nie minęło okamgnienie, a Czesław rzucił się na plecy Thorbena. Założył mu jedną rękę na szyję, a drugą szybko stworzył klin. Kopnął przeciwnika tuż pod kolanem i przeniósł ciężar ciała do tyłu.

To wystarczyło, by zdezorientowany Thorben runął wraz z więźniem na ziemię. Coś gruchnęło Niemcowi w karku, choć trudno było stwierdzić, czy podzielił los Jerkera.

Zaległa cisza. Tuman kurzu powoli unosił się znad podłoża.

Zmitkiewicz odczekał jeszcze moment, a potem wypuścił zwiotczałego esesmana. Podniósł się, zaniepokojony chmurą pyłu. Rozejrzał się, oddychając nierówno.

– Stachu! – krzyknął. – Na glebę!

Do Zaniewskiego nie dotarły jeszcze wszystkie implikacje tego, co się stało. Krótki, żołnierski rozkaz podziałał jednak na niego dokładnie tak, jak powinien. Rzucił się na podłoże.

Czesław podbiegł do rowu i chwycił łopatę.

– Przykrywaj się! – polecił.

Zaniewski rzucił mu krótkie spojrzenie, a potem naciągnął karton na głowę. Zaraz potem poczuł, jak towarzysz go zakopuje. Nie przysypuje, zakopuje. Kolejne porcje ziemi spadały na niego z impetem i Staszekowi przemknęło przez myśl, że jest grzebany żywcem. Uniósł lekko karton, by zrobić więcej miejsca tlenowi.

Piach był ciężki, wygiął nieco karton. Zaniewski miał wątpliwości, czy zdoła się samodzielnie odkopać. W końcu jednak Zmitkiewicz przestał. Rozległ się dźwięk odrzucanej łopaty, a potem zaległa cisza. Przejmująca cisza.

Czesław spojrzął na swoje dzieło tylko pobieżnie. Nie miał pojęcia, czy nie zrzucił do dołu zbyt dużo ziemi, ale nie miał czasu się nad tym dwa razy zastanowić. Czym prędzej ruszył w stronę swojego zagłębienia. W oddali widział pochód więźniów po schodach w kierunku obozu.

– Hej... – usłyszał niewyraźny głos; był już o krok od rowu.

Bez trudu rozpoznał, do kogo należy. Thorben nie stracił przytomności.

Polak obrócił się gwałtownie i spojrzął prosto w lufę pistoletu. Fehrmann dyszał ciężko, ale miał wystarczająco dużo siły, by celnie wymierzyć. Nie znajdowali się zresztą na tyle daleko, by Zmitkiewicz mógł liczyć, że przeciwnik chybi.

Przełknął ślinę.

Potem rozległ się huk.

Początkowo Czesław nic nie poczuł i przez moment łudził się jeszcze, że nie oberwał. Potem jednak dziwne uczucie ciepła zaczęło rozchodzić się po nodze. Spojrzął w dół, ale zanim dostrzegł ranę w udzie, przechylił się na bok i upadł. Zdążył wyciągnąć dłonie i zamortyzował nieco upadek. Poczuł, jak drobne kamyki wbijają mu się w skórę.

Rozejrzał się, szukając czegokolwiek, czym mógłby się obronić. Niczego nie dostrzegłszy, przeklął w duchu Fehrmanna, a następnie zaczął czołgać się w stronę obozu. Byle dalej od Staszka i Obelta, byle nie ściągnąć uwagi Niemca na wykopane doły.

Nie wiedział, jak długi odcinek pokonał. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył innych esesmanów. Ściągnął ich dźwięk wystrzału z pistoletu.

Do Czesława dotarła świadomość tego, że jego życie właśnie się skończyło.

Teraz zależało od niego jedynie to, w jaki sposób odejdzie. Poddając się, narażał się na długie przesłuchania i męczarnie. Walcząc, być może umrze szybko.

Podniósł się na trzęsących się nogach, z przerażeniem dostrzegając, że krew z uda nie wypływa, ale tryska. Zmobilizował się, a potem ruszył w kierunku Thorbena. Miał nadzieję, że Niemcy szybko otworzą ogień.

Rozległ się pojedynczy strzał. Kula trafiła Zmitkiewicza w drugą nogę. Polak zakołysał się i znów upadł na piach.

Tym razem strzelającym był Psychol z Dachau. Zaciekawiony sytuacją, Rapportführer Schneuer natychmiast znalazł się w centrum wydarzeń. Teraz stał nad więźniem, przyglądając mu się.

Czesław oderwał od niego wzrok i popatrzył na stojącego obok Fehrmanna.

– Brakuje dwóch jego kumpli – powiedział Thorben.

– Uciekli?

– Na to wygląda.

Schneuer przyklęknął na jedno kolano przy Polaku. Patrzył na niego obojętnie, jakby nie starał się niczego stwierdzić, a jedynie zapamiętywał twarz. W końcu przyłożył mu lufę pistoletu do skroni.

– Szykowałeś ucieczkę? – zapytał.

Zmitkiewicz oddychał nierówno. Starał się opanować drżenie.

– Gdzie pozostali? – dodał Psychol z Dachau.

Rapportführer pokiwał głową, po czym obejrzał się na jednego z młodszych esesmanów.

– Poślij po Unterscharführera Strötzla – rozkazał. – Natychmiast.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek skończył opowiadać o historii rodziny Zaniewskich i wbił wzrok w Imrafa. Arab wydawał się zainteresowany. Pokiwał kilkakrotnie głową, jakby przyswajał wszystkie informacje, a potem podał Polakowi dozownik do nargila.

Bronek zaciągnął się głęboko – a przynajmniej tak mu się wydawało. Kiedy wypuścił powietrze, niemal nie dostrzegł dymu. Najwyraźniej europejskie standardy palenia papierosów nijak miały się do fajek wodnych.

Kilku muzułmanów zaśmiało się cicho. Zaniewski rozejrzał się i wzruszył ramionami, przypadkowo łowiąc spojrzenie kobiety stojącej kawałek dalej. Oczy dostrzegalne w wąskim pasku pod nikabem natychmiast się odwróciły. Spotkanie spojrzeń trwało tylko krótką chwilę, ale wystarczyło, by Bronek dostrzegł w oczach kobiety strach. Trudno było jednak stwierdzić, czy boi się przybyszów, czy swojego męża.

Przynajmniej przez moment.

Potem Imraf nagle poderwał się ze swojego miejsca. Stanął nad Zaniewskim i zgromił go wzrokiem.

– Patrzysz na moją kobietę? – zapytał.

Bronek machinalnie sięgnął do broni, jednak nie zdążył ująć pistoletu, gdyż Jorgos natychmiast położył mu dłoń na ramieniu.

– Ja nie... – zaczął Zaniewski.

– I jeszcze kłamiesz? W moim domu?

Polak potrząsnął głową. Sytuacja w ułamku sekundy stała się nieciekawa. Najwyraźniej w tym osobliwym świecie niewiele było trzeba, by urazić gospodarza.

– Bezczelny europejski kundel – odezwał się Imraf.

Zza kotary wyszło kilku Arabów. Ich przywódca oderwał wzrok od Polaka i przeniósł go na kapitana „Aigokerosa”.

– Przeprowadzasz do mojego domu człowieka z bronią – wycharczał po francusku z arabskim akcentem. – W dodatku ma czelność patrzeć na moją własność.

– Wybacz.

– Co więcej, panoszyście się w moim mieście, wywołujecie konflikty, nie pytając mnie o pozwolenie.

Grupa mężczyzn okrążyła ich.

– Lepiej dla was, byście przychodzili z propozycją dobrego interesu – zakończył Imraf.

Zaniewski znów przesunął dłoń w kierunku broni. Nie miał pojęcia, skąd gospodarz wie, że chowa pistolet pod abaję – był przekonany, że ukrył go odpowiednio. Tak czy inaczej nie miało to teraz wielkiego znaczenia. Jeszcze przed momentem spokojnie opowiadał o kuzynie, Ksawerym Zaniewskim, który do wybuchu wojny przebywał na jednej z kilku polskich plantacji kawy w Angoli. Był to zawsze temat wdzięczny i interesujący dla przeciętnego rozmówcy, bowiem mało kto orientował się, iż takowe plantacje w ogóle istnieją. W tej sytuacji jednak historia Ksawerego niewiele mogła pomóc.

Imraf spojrział na Bronka i Jorgosa ponaglająco. Pierwszy z nich zorientował się, że Arab powoli przesuwa dłoń w kierunku leżącej obok poduszki.

– Nie jesteśmy uzbrojeni – powiedział uspokajająco Karagiozopoulos. – Przychodzimy do ciebie...

– Zamilcz – uciął Imraf. – Niech więcej łgarstw nie wylewa się z twoich ust.

Zanim Jorgos zdążył zaoponować, Imraf skinął na kilku innych Arabów siedzących przy nargilach. Szybko zamienili dozowniki na pistolety i zbliżyli się do nich.

Imraf wbił spojrzenie w Zaniewskiego.

– Lebel – rzucił krótko.

– Co takiego? – wypalił Bronek, przenosząc wzrok z jednego przeciwnika na drugiego.

– Oddaj broń – powtórzył gospodarz. – Już!

Zaniewski pomyślał ze zgrozą, że to wszystko rezultat jednego przypadkowego spojrzenia. Popatrzył na Greka pytająco, a ten skinął głową.

Bronek sięgnął pod abaję i dobył rewolweru. Powoli go uniósł, po czym równie ostrożnie i spokojnie położył przed Arabem. Pozostali sprawiali wrażenie, jakby tylko czekali na niefortunny ruch Polaka.

– Widzę, że nie jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz – zauważył Imraf.

– A ja widzę, że ciebie jednak nie obchodzą interesy.

– Przeciwnie.

– W takim razie masz dziwny sposób ich prowadzenia.

Imraf sięgnął po rurkę od fajki wodnej. Pociągnął mocno i długo, w szklanym dzbanie zabulgotało. Potem gospodarz wypuścił dym w stronę gościa, a Zaniewski poczuł, że zapiekły go

spojówki.

– Każdy prowadzi negocjacje najlepiej, jak umie – odezwał się Arab. – Ja skorzystałem z okazji. A wy na moim miejscu postąpilibyście identycznie.

Bronek nie miał zamiaru z nim dyskutować. Być może było w tym zresztą trochę prawdy.

– Nie wątpię, że macie dla mnie poważną ofertę – dodał Imraf. – Inaczej nie zadalibyście sobie tyle trudu, by mnie odnaleźć.

– Owszem – odparł Jorgos.

Imraf westchnął i spojrzał na Zaniewskiego.

– Zastanawiasz się, skąd wiedziałem o broni?

– Szczerze mówiąc, głównie mnie to obchodzi.

Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji powinien okazać nieco więcej szacunku, ale emocje wzięły górę. Arab trwał przez moment w bezruchu, a potem znów się zaciągnął. Trudno było wyczytać cokolwiek z jego twarzy.

– Obserwuję was, od kiedy zawinęliście do Bejrutu – powiedział. – Moi ludzie widzieli was na Sehet el-shohada z Grahamem Driscollem.

Bronek popatrzył na bezpańskiego lebela. Lufa była skierowana w stronę gospodarza.

– Kilkakrotnie wwiozłem i wywiozłem dla niego z Bejrutu to i owo – ciągnął Imraf. – Moi towarzysze mieli was śledzić, jak każdego podejrzanego typów, którzy pojawiają się w moim mieście, ale niestety w pewnym momencie was zgubili.

Był to jedyny miły akcent tego dnia, uznał Zaniewski.

– Zlokalizowali was znowu, kiedy wróciliście do centrum samochodem Driscolla. Krótco potem doniesiono mi, że pojawiliście się u Saleema Zamana. W zasadzie nie obchodzi mnie, co zrobiliście z tym nieudacznikiem. – Imraf zrobił pauzę. – Jeśli skróciliście go o głowę, to może nawet wyświadczyliście mi przysługę.

– Żyje – powiedział cicho Karagiozopoulos.

– A przynajmniej żył, kiedy ostatnio go widzieliśmy – dodał Bronek.

– Mniejsza z nim. Zrobiliście ogromną burdę w jego mieszkaniu, zabijając kilku ludzi. I to wszystko, żeby mnie znaleźć. Pytam więc jak kulturalny człowiek kulturalnych ludzi: dlaczego?

Zaniewski popatrzył na Jorgosa, który był zbyt zdezorientowany wymierzonymi w nich pięcioma pistoletami, by się wysłowić. Otwierał nieznacznie usta, marszczył czoło, ale jego głos grzął gdzieś w gardle. Bronek uznał, że inicjatywa należy do niego. Poświęcił chwilę, by namyślić się nad tym, jak należy podejść Imrafa. Właściwie miał pewien pomysł. Karagiozopoulos być może nie będzie do końca zadowolony, ale w tej sytuacji było to jego najmniejsze zmartwienie.

Odchrząknął i poprawił się na siedzisku.

– Podobno potrafisz sprawić, że ładownie statków w porcie stają się uboższe.

– Doprawdy? – odparł Imraf i powiódł wzrokiem po swoich podwładnych. Żaden nawet nie drgnął.

– Poszukujemy czegoś, co wpłynęło do portu niedługo przed nami, na pokładzie...

– „Alepou” – wyręczył Bronka Imraf.

Oczywiście handlarz musiał doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że grupa Polaków przypląnęła do Bejrutu na pokładzie tej jednostki. Mimo to rozsądek wymagał, by docenić wiedzę gospodarza.

– Tak – przyznał z uznaniem Zaniewski. – Skąd o tym wiesz?

– Nic tu nie dzieje się bez mojej wiedzy. Doniesiono mi z kapitanatu, że z „Aigokerosa”

zeszło dwóch Europejczyków, którzy szukali „Alepu”. A doskonale wiem, jaki ładunek przewoził ten statek.

– Sądziłem, że to tajemnica – strzelił w ciemno Broniek.

– Nie dla mnie.

Broniek przez chwilę zastanawiał się, jak daleko sięgają macki tego człowieka oraz w jakim celu Polacy, którzy przybyli tutaj przed nim, mieliby ukrywać swoją obecność.

– Czego więc wam konkretnie potrzeba?

– W ładowni „Alepu” znajduje się stara drewniana skrzynia, opatrzona srebrnym zamknięciem. Ma orientalne inskrypcje i... – Nie dokończył, gdyż rozległ się śmiech Imrafa, a krótko po nim reszty Arabów.

– Skarb, co? – zapytał rozbawiony gospodarz.

Zaniewski trwał niewzruszony. Jorgos zachowywał się podobnie, choć wyraźnie nie wiedział, do czego zmierza towarzysz.

– Przy zapłacie, jaką chcemy ci zaoferować, niech cię gównem interesuje, co jest w skrzyni – odparł Broniek, chociaż czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg.

– Jest jeden problem – powiedział Arab.

– Jaki?

– Ten statek odbił jakiś czas temu. Jestem pewien, że gdyby zależało wam na jego towarach, dobrze byście o tym wiedzieli.

– Jak to odbił? Przecież... – Zaniewski potrząsnął głową. – To niemożliwe.

– A jednak.

– W takim razie ładunek musiał zostać przeniesiony.

Poczuł, że zabrnął w ślepią uliczkę.

– Skończ pierdolić, Polaku – rzucił Imraf, a następnie kiwnął na dwóch podwładnych, którzy znajdowali się za Bronkiem i Jorgosem.

Zaniewski nie zdążył nawet się odwrócić. Arabowie szybko obrócili w dłoniach pistolety i przywalili dwóm nieproszonym gościom w potylicę. Marynarze padli na podłogę, tracąc przytomność.

Ciosy nie pozostawiały nic do życzenia, Imraf był wyjątkowo zadowolony. Przeciągnął się, po czym rozkazał swoim ludziom, by zabrali Europejczyków sprzed jego oczu. Potem odwrócił się do jednej ze swoich żon.

– Spodobał ci się ten młody, Latisa?

– Nie patrzyłam na niego – odparła posłusznie kobieta.

– Nie kłam. Wiesz, że tego nie lubię.

Wbijiała wzrok w podłogę.

– Ostatnio robisz wszystko, bym musiał cię karać. Dlaczego?

– Wybacz. Ja nie...

Nie pozwolił jej dokończyć. Zamachnął się, a potem zdzielił ją po twarzy. Wiedział, że wymaga poskromienia. Być może zajdzie konieczność obrzezania – bo jaką miał mieć pewność, że sytuacja z patrzeniem na przypadkowego mężczyznę się nie powtórzy?

– Rozwiążemy to później – powiedział, podnosząc się.

Latisa pokornie się skłoniła, podczas gdy Imraf ruszył za swoimi ludźmi, ciągnącymi marynarzy za nogi w kierunku wyjścia.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Przez trzy noce Maria chodziła po korytarzach domu, zachodziła do piwnicy, zatrzymywała się w najciemniejszych miejscach i... czekała. Nie czuła się niekomfortowo, cały czas mając świadomość, że Gabriel jest niedaleko.

Robiła wszystko, by wyglądać na bezbronną i nieświadomą ewentualnego zagrożenia. Zadbala też o to, by za każdym razem mieć pretekst do przechadzek. Raz szła po butelkę wina do piwnicy – choć naokoło – innym razem miała dołożyć węgla do pieca czy przynieść głowie rodziny kilka świeczek.

Pięć dni upłynęło, od kiedy zabójca uderzył ostatni raz. Od kiedy zginęła Elisa. W domu panował spokój, po mordercy nie było śladu. Christian wprawdzie nie odezwał się do nikogo słowem, ale powoli wracał do formy, przynajmniej tej umysłowej. Lekarz przychodzący dwa razy dziennie na zmianę opatrunków upierał się, by Leitner nie opuszczał łóżka. Christian jednak nie miał zamiaru się dostosowywać.

Szczęśliwie nie wychodził nocami. Maria nie musiała obawiać się, że przypadkowo na niego trafi. Z drugiej strony cała ta sytuacja kazała podejrzewać, że to w istocie on mógł być tym, który zabijał.

Mogło to być także zamierzone działanie zabójcy, który chciał skierować na niego cień podejrzeń.

Maria potarła skronie, mając serdecznie dosyć tych rozmyślań. Zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do piwnicy i umieściła w nich klucz. Przekręciła go, a chwilę później schodziła stromymi, małymi schodami.

Miała ze sobą niewielką lampkę, ale wejście tutaj i tak nie należało do rzeczy łatwych. Cały czas towarzyszyła jej świadomość tego, że ktoś zakatował w tym miejscu Elisę. Co do tego nie mogło być wątpliwości – rany wyraźnie sugerowały, że kuzynka nie odeszła w spokoju. Ktoś się nad nią znęcał.

Maria dostrzegła, że drzwi do jednej z klitek są otwarte. Było to pomieszczenie, w którym trzymano niepokornych służących, by nauczyli się, że warto wykonywać polecenia członków rodziny.

Polka obejrzała się, ale w ciemności nie mogła dostrzec Gabriela. Powinien jej towarzyszyć, ale równie dobrze mógł czekać gdzieś na górze. Kluczowe było w końcu to, by pozostał niezauważony.

Najchętniej zapytałaby albo w inny sposób upewniła się, że jest niedaleko. Nie ustalili jednak żadnego sposobu wczesnego ostrzegania ani komunikacji. Maria przełknęła ślinę, myśląc o tym, że za moment opuści mroczną, zawilgoconą piwnicę i z powrotem znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Najpierw należało jednak sprawdzić klitkę. Podeszła do drzwiczek i popchnęła je. Zaskrzypiały przeraźliwie, a ona szybko uniosła lampkę. Zmrużyła oczy i szybko wyciągnęła rękę przed siebie, oświetlając pomieszczenie.

Dostrzegła sylwetkę człowieka siedzącego pod kamienną ścianą. Wzdrygnęła się i nieomal krzyknęła.

W porę powstrzymała emocje, uzmysławiając sobie, że patrzy na Christiana. Leitner osłonił ręką oczy, a potem powoli się podniósł. Na jego twarzy zobaczyła wyraz bólu. Spojrzał prosto na nią swoim firmowym, chłodnym wzrokiem.

Cisza zdawała się tak gęsta, że można było ciąć ją nożem. Maria potoczyła wzrokiem po nierównych kamieniach w ścianie, dostrzegając zieloną narośl. Postanowiła, że najwyższa pora,

by któreś z nich się odezwało.

– Co tu robisz? – zapytała.

Obawiała się, że zna odpowiedź na to pytanie. Czekał tu na nią. Tak samo, jak pięć dni temu czekał na Elisę. Cofnęła się w kierunku korytarza, ale Leitner się nie poruszył.

– Ja? – odparł. – Ja tutaj mieszkam, Gino. Tobie powinienem zadać to pytanie.

Wyciągnął papierośnicę i zapalił. Zaciągnął się, a potem poczęstował Marię. Polka sięgnęła po jednego z salem goldów.

– Zadaj – powiedziała. – Ale wiesz, jaka jest odpowiedź. Jestem tutaj przez ciebie.

Christian odpalił czarną wojskową zapalniczkę Neon i podsunął płomień pod papierosa, którego Maria trzymała w ustach. Spojrzała na Leitnera i zaciągnęła się.

Jeśli to on zabijał, teraz miał doskonałą okazję do ataku. Nie będzie miała najmniejszych szans, nawet jeśli jest osłabiony.

Christian potrząsnął zapalniczką, aż sama się zamknęła, a potem schował ją do kieszeni. Oparł się plecami o kamienną ścianę.

– Wiem, kto je zamordował – odezwał się.

– Nie wątpię – odparła Maria, zaciągając się papierosem.

Popatrzył na nią i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Sądzisz, że to ja?

– Przyjmuję taką możliwość.

Leitner przyglądał jej się wnikliwie. Mówiła prawdę, zakładała taką ewentualność.

Mimowolnie zawiesił wzrok na jej oczach. Była równie piękna jak wtedy, gdy widział ją w Rawitschu. Wprawdzie wychudła i widać było po niej trudy wojny, ale nic nie mogło umniejszyć jej urody.

Tęsknił za nią. Musiał to przed sobą przyznać.

Musiał także stawić czoła temu, że nie byli już tą samą dwójką ludzi, którzy niegdyś mogli swobodnie rozmawiać w jego gabinecie w ratuszu. On był zupełnie innym człowiekiem, a ona postrzegala go jako osobę jeszcze bardziej różniącą się od dawnego kapitana Wehrmachtu.

Jednocześnie to ona wszystko zapoczątkowała. To ona uderzyła go popielniczką w tył głowy, podejmując decyzję co do swojej przyszłości.

Leitner odsunął od siebie myśli o minionych czasach. Upomniał się, że powinien dochować wierności żonie – wierności sercem i umysłem. Nie mógł pozwolić sobie na takie myśli.

– Co miałbym osiągnąć, mordując Algunde i twoją kuzynkę? – zapytał.

– Nie wiem. I być może nie chcę wiedzieć.

– Typowo żydowskie podejście.

Trudno było mu uwierzyć, że rzeczywiście to powiedział. A jednak. Jego głos zabrzmiał, jakby był starannie napisanym przez Himmlera hymnem. Czyżby stał się już jednym z tych, którzy za źródło wszelkiego zła uznawali brudną krew? Niegdyś nigdy by tak nie powiedział. Niegdyś uważał, że czystość rasowa to tylko narzędzie, element polityki i pragmatyczne rozwiązanie pewnych trudnych spraw.

– Twoje zaś jest typowo niemieckie – odparła.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Nie usłyszał w jej głosie przytyku, raczej smutne stwierdzenie faktu. Zaciągnął się salemem.

Maria uznała w duchu, że Leitner lawiruje między dwoma światami. Dwoma wersjami

samego siebie. Raz rozpoznawała tembr jego głosu, innym razem czuła, jakby słuchała kogoś obcego. W tym drugim głosie było coś diabolicznego, napawającego grozą.

Nigdy nie miała wątpliwości, że istnieją dwie strony Christiana. Teraz przekonała się jednak, że różni się od siebie bardziej, niż sądziła.

Leitner przez moment milczał, po czym cisnął niedopałek papierosa w róg. Żar rozsypał się na podłodze i zaskrzył w wilgoci.

– Nie mam pretensji, że mnie podejrzewasz.

– Słucham?

– To logiczne założenie – przyznał. – Ale zapewniam cię, że gdybym miał zamiar kogokolwiek zabić, nie musiałbym się uciekać do chowania się po piwnicach.

Ruszył w kierunku drzwi, a Maria szybko wycofała się do korytarza. Zrobiła jednak raptem jeden krok i musiała się zatrzymać. Gabriel stał tuż za nią. Odetchnęła w duchu.

Bracia spojrzeli na siebie.

– To nie on jest tym, kogo szukamy – odezwał się Gabriel.

– Nie?

– Inaczej skorzystałby z okazji. Sama twierdziłaś, że to najlepszy test.

Maria popatrzyła na Christiana, ten zdawał się uśmiechnąć lekko. Nie ustami, lecz oczami.

– Wiedział, że jesteś niedaleko – powiedziała. – Uznał, że to doskonała okazja, żeby pokazać, że...

– Nie – zaoponował Gabriel. – Christian nie miał z tym nic wspólnego.

Młodszy z Leitnerów wyszedł na korytarz. Jedna z żarówek w oddali zamrugnęła żółtym światłem i wydała cichy, syczący dźwięk.

– Dziwi mnie, że potrzebowałeś tyle czasu, by do tego dojść – powiedział esesman.

Gabriel zbył to milczeniem.

– Mógłbyś nam pomóc – odezwał się po chwili.

– Pomagam – zapewnił Christian. – Tylko nie macie o tym pojęcia.

– Jak? – spytała Maria. – Upijając się w piwnicy? Bijąc się z Gottfriedem? Zgłębiając nazistowską propagandę?

– Wszystko, co robię, jest przemyślane – odparł Leitner, pochylając się. Podniósł z podłogi butelkę samogonu, a potem odkręcił ją i pociągnął łyk.

Maria spojrzała na niego z politowaniem.

– Wszystko, co robię, ma sens – powtórzył.

Ruszyła w kierunku schodów, nie mając zamiaru tego słuchać. Gabriel powiedział coś jeszcze i ruszył za nią. Weszli na górę, a potem bez słowa dotarli do gabinetu gospodarza.

Kiedy drzwi się zamknęły, Gabriel nabrał tchu.

– To nie on – powtórzył, siadając za biurkiem.

– Wiedział, że jesteś w pobliżu. Nie mógł działać.

Pokręcił głową.

– Wiesz, co sądzę? – spytał.

– Nie.

– Wydaje mi się, że pozwalasz emocjom wziąć górę nad zdrowym rozsądkiem. Wiem, że się zmienił i... być może nie jest tym samym człowiekiem, którego znaliśmy, ale ty wręcz go demonizujesz.

– Nie widziałeś tego, co ja. Z zimną krwią skazał Rodemeyera na śmierć, a mnie i Elisę zostawił wśród hitlerowców na pastwę losu.

– On też jest hitlerowcem – zauważył Gabriel. – Jak my wszyscy zresztą – dodał smętnie, po czym potrząsnął głową, jak gdyby nie chciał rozważać odpowiedzialności zbiorowej za czyny jednego człowieka.

Maria usiadła na krześle naprzeciw.

– Proponuję konsensus – odezwał się. – Nie wykreślimy go z listy podejrzanych, ale damy priorytet pozostałym.

– W porządku – odparła niechętnie. – Ale nadal niczego nie mamy, a nasze podchody nie przynoszą żadnych rezultatów.

Gabriel chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie, a do środka wpadł podmuch powietrza. W progu stanął Christian, wbijając chłodne spojrzenie w oczy brata.

Nie mógł mieć za złe, że zajmują jego gabinet. Sam więcej czasu spędzał w sypialni czy piwnicy.

Gabriel podniósł się ze skrzypiącego krzesła.

– Co... – zaczął.

– Pomagam wam – odezwał się Christian. – I zrobię więcej, skoro nie dajecie temu wiary.

Maria uniosła brwi, obróciwszy się w kierunku esesmana.

– Posłuchaj, bracie...

– Daj mi adres lekarza, który się mną zajmował – uciął młodszy z Leitnerów.

– Jeśli chcesz nam pomóc, są inne...

– Nie – uciął Christian. – Pomogę wam na swój sposób.

– To znaczy?

– Dam wam zabójcę.

Polka nie była przekonana. Przypuszczała, że to jakiś sprytny wybieg, który ma na celu zamglić ich i tak już niejasne przypuszczenia co do tożsamości mordercy. Gabriel jednak był innego zdania.

– Doktor Marcus Kernrot – powiedział, a następnie wyciągnął poźółkłą kartkę z szuflady biurka i zerknął na nią. – Bambergerstraße 35.

Christian skinął głową, notując adres w pamięci.

– Do czego ci potrzebny ten lekarz?

– On ma klucz do rozwikłania tej sprawy – odparł oficer SS, po czym opuścił gabinet.

WIENER GRABEN, KAMIENIOŁOMY OBOZU MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Zmitkiewiczowi do szczęścia brakowało jedynie Sznycla. Czując, jak któryś z esesmanów przypiera go do ziemi, spoglądał na zbliżającego się kierownika bloku. Wyraźnie mu się spieszyło. Być może nie chciał przegapić tego, co mieli zamiar zrobić podkomendni.

– C-co on tu robi... tak l-leżąc? Bierzcie go p-pod ścianę spadochroniarzy – rzucił w charakterystyczny dla siebie sposób Unterscharführer.

Kiedy Niemcy podnieśli więźnia, Strötzel przyglądał wąsik, który miał imitować zarost Führera. W połączeniu z sympatycznymi, wręcz niewinnymi rysami twarzy, powodował raczej rozbawienie niż grozę... przynajmniej poza murami Mauthausen. Tutaj jednak wielu osadzonych widok ten przepełniał strachem.

Schneuer i reszta esesmanów zaciągnęli Czesława we wskazane miejsce. Thorben został z tyłu, rozcierając czerwony ślad na szyi. Z dwojga złego Zmitkiewicz wolałby mieć do

czynienia z Fehrmannem niż z resztą.

Szczęśliwie, Strötzel po chwili przywołał go do siebie.

– Eee... – zaczął Moritz. – Ten t-tu próbował uciec? G-g-gdzie pozostałe psy z jego grupy?

– Niestety nie wiem, *Herr Unterscharführer* – odparł Thorben. – Przed momentem poleciłem sprawdzić, czy stawili się na wieczorny apel.

Strötzel patrzył na podwładnego wyczekująco.

– Przypuszczam jednak, że skoro ten dostał się tu niezauważenie, to inni też mogli – dodał Fehrmann.

Moritz cmoknął z dezaprobatą, rozglądając się.

– K-kurwa – ocenił. – Kto ich piln-nował, do ciężkiego k-k-kutasa?

– Tego też, Niestety, nie wiem...

Strötzel pokręcił głową i nerwowo przyglądał wąż. Podniósł wzrok na skarpe, z której esesmani wcześniej spychali więźniów.

– T-ty coś w ogóle, k-kurwa, wiesz, Thorben? – zapytał. – Nie, p-pewnie, że nie. I nie wiesz, jak to jest tłumaczyć się przed komendantem!

– *Herr Unterscharführer*... – odezwał się Schneuer.

Moritz przeniósł wzrok na Psychola z Dachau.

– No? – spytał.

– Czy mogę przejąć inicjatywę?

Zatrzymali się u podnóża skalnej ściany, tuż przed kamieniami, na których roztrzaskiwali się zrzucani więźniowie. Nikt nigdy nie podchodził tak blisko i Czesław w najgorszych koszmarach nie sądził, że to miejsce wygląda tak dramatycznie. Nikt tu nie sprzątał, zresztą nawet gdyby Niemcy zagonili do tej roboty więźniów, ci nie byłiby w stanie usunąć wszystkich kawałków ciał.

– Tak, tak, b-bierz się za niego – przyzwolił Strötzel, po czym odwrócił się do Thorbena. – A ty zap-p-pierdajaj do obozu i dowiedz się, kto miał ich pilnować. I czy r-reszta gdzieś tu jest.

Fehrmann pospiesznie zaszalutował i oddalił się. Sprawiał wrażenie, jakby był niepokieszony, że nie usłyszy, co Zmitkiewicz będzie miał do powiedzenia, gdy Psychol z Dachau zacznie zadawać swoje pytania.

Schneuer stanął nad Polakiem i popatrzył na niego z obojętnością.

– Gdzie reszta twojej grupy roboczej? – spytał.

Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, ściągnął grube, czarne rękawice, a potem cisnął je w bok. Z kieszeni płaszcza wyjął obcęgi. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, a następnie zbliżył do jednej ze starych, porzuconych taczek. Wyciągnął z niej długi, zardzewiały gwóźdź i wrócił do więźnia.

Czesław odetchnął z ulgą. Znajdował się kawał drogi od miejsca, gdzie ukrywali się towarzysze. Teraz w jego gestii pozostało, by esesmani jak najprędzej skończyli to, co zamierzali. Staszek i Obelt wraz z upływającym czasem bynajmniej nie będą mieć więcej tlenu.

Istniało też pewne niebezpieczeństwo, gdy chodziło o drugiego z towarzyszy. Kapitan, z którym Zmitkiewicz bardzo się żyzył, od kiedy wieźli ich transportem z Leska, był wprawdzie racjonalny, ale gdy chodziło o życie ludzi, za których czuł się odpowiedzialny, gotów był także popełnić największą głupotę.

– *Verpiss dich* – mruknął Czesław.

Schneuer wzruszył ramionami.

– Gratuluję znajomości niemieckich przekleństw.

– Myślisz, gnoju, że twoje obcęgi robią na mnie wrażenie?

– Zobaczymy – odpowiedział Rapportführer.

Strötzel ponaglił go ruchem ręki, wskazując leżącego na ziemi więźnia. Psychol z Dachau nie czekał długo, by wziąć się do roboty. Zaczął od wyrywania zębów, co w przypadku dłużej osadzonych więźniów nie nastroczało żadnych problemów. Niektórym nawet bez obcęgów mógłby usunąć te przednie.

Zmitkiewicz krzyknął, nie mogąc wytrzymać bólu. Zaklął w duchu. Im będzie głośniejszy, tym większe niebezpieczeństwo, że Obelt postanowi zareagować.

Padają następne pytania. Schneuer zaciskał obcęgi na kolejnych zębach.

Czesław nie zająknął się słowem na temat swoich towarzyszy.

– W porządku – powiedział Niemiec. – Teraz paznokcie.

Ból spowodowany wyrywaniem był obezwładniający, ale prawdziwe piekło zaczęło się, gdy Psychol z Dachau zaczął wbijać gwóźdź w osłonięte miejsca na palcach. Zebrani wokół esesmani byli pełni uznania, jednak Moritz Strötzel wydawał się raczej znużony.

Kiedy Czesław Zmitkiewicz tracił zęby, a esesman powoli zabierał się za jego palce, Staszek z trudem łapał powietrze pod ziemią. Wprawdzie kawałek kartonu skutecznie osłonił jego usta przed piachem, ale najwyraźniej był przysypany dość grubą warstwą. Miało to swoje plusy i minusy.

Zaniewski upomniał się w duchu, by myśleć pozytywnie. O ile w ogóle da się to robić, leżąc we własnoręcznie wykopanym grobie.

Uspokoił nieco oddech, przypominając sobie, co niedawno mówił Zmitkiewiczowi. Jogini rzeczywiście zakopywali się żywcem i w ten sposób leczyli. Staszek wyczytał kiedyś, że to zjawisko po raz pierwszy opisano już w połowie siedemnastego wieku, w księdze Dabestān-e Mazāheb. Zaniewski zaś znał je z przekazu szkockiego lekarza, Jamesa Braida. To on był ojcem współczesnej autohipnozy i twierdził, że wyznawcy buddyzmu potrafią nawet na bardzo długo wprowadzić się w stan zawieszenia funkcji życiowych.

Zaniewski pomyślał, że skoro oni to potrafią, jemu tym bardziej uda się przeżyć kilka chwil pod niewielką warstwą ziemi.

Cały czas słyszał, co dzieje się na powierzchni. Najpierw dlatego, że wydarzenia rozgrywały się niedaleko, a później z tego względu, że... Czesław dał się wniebogłosy. Zastanawiał się, co zrobi Obelt – i czy zrobi cokolwiek. Zamknął oczy i przeklął w duchu cały swój plan.

Zmitkiewicz wypluł krew i kaszlnął.

– Gnij w piekle – powiedział, patrząc na oprawcę.

Moritz Strötzel przechadzał się za nim i patrzył z dezaprobatą to na Polaka, to na Psychola z Dachau.

– To d-do niczego nie prowadzi – zawyrokował, gdy Schneuer ocierał twarz.

– Jeszcze chwila i...

– I c-co? Gówno nam powie, bo pewnie gówno wie. Jeśli reszta dała nogę, to najwyraźniej go tu zostawili.

Schneuer przykucnął obok więźnia, przyglądając się swojemu dziełu. Moritz spostrzegł, że zbliża się do nich Thorben. Ożywił się nieco, jakby spodziewał się, że Fehrmannowi rzeczywiście udało się uzyskać jakieś odpowiedzi.

– No? – zapytał Strötzel. – Co ustaliłeś?

Thorben podszedł i stanął na baczność.

– Za tę grupę był odpowiedzialny niejaki Jerker, kapo.

– Aha?

– Nigdzie go nie ma, a dwóch pozostałych więźniów również brakowało przy liczeniu.

– Kurwa ich m-mać – skwitował Moritz.

– Poza tym normalnie pracowała tam Arbeitskommando – powiedział Thorben, wskazując wykopane rowy.

Strötzel przez chwilę mamrotał coś pod nosem.

– Słucham? – zapytał Fehrmann.

– To była zorganizowana, k-k-kurwa, ucieczka.

– Tak, *Herr Unterscharführer*.

Moritz rozejrzał się nerwowo po okolicy, jakby mógł dojrzeć gdzieś więźniów. Na dobrą sprawę mogli być przy rzece Enns.

– Masz ich znaleźć T-thorben, rozumiesz? Nie będę się tłumaczył przed komendantem. N-nie będę.

– Tak jest.

– I znajdzie tego idiotę, kapo. Chyba że sp-p-pierdolił razem z nimi? – zapytał Strötzel, a następnie odwrócił się do Psychola z Dachau i posłał mu ponagląjące spojrzenie. – A ty masz z niego wyciągnąć cokolwiek, co będę mógł p-przedstawić komendantowi.

Zanim jednak Rapportführer Schneuer zdążył potwierdzić przyjęcie rozkazu i ponownie skupić się na więźniu, ten zerwał się na równe nogi, trzymając zardzewiały, pokryty własną krwią gwóźdź.

Czekał na ten moment długo. Wiedział, że nie będzie miał drugiej szansy.

Rzucił się na Schneuera i nim ten zdążył choćby mrugnąć, zatopił gwóźdź w jego szyi. Krew trysnęła wprost na twarz Polaka, a potem wystrzeliła w górę, gdy ciało opadło na ziemię.

Strötzel odskoczył w tył jak poparzony, zupełnie zapominając o broni przytroczonej do pasa.

– C-c-co d-do k-k-kurwy...

Kilku innych esesmanów zareagowało sprawniej. Natychmiast wyrwali pistolety z kabur i wymierzili je w więźnia. Nikt nie miał zamiaru ostrzegać go, by rzucił broń, bo zaraz strzelą.

Pociągnęli za spusty w jednym momencie. Rozległa się kanonada, która odbiła się echem w kamieniołomach. Liczne pociski przedziurawiły ciało Zmitkiewicza, choć już pierwszy z nich przyniósł mu śmierć.

Czesław upadł na ziemię na wznak, uderzając głową o jeden z kamieni.

Zaległa cisza. Czas zdawał się zatrzymać na moment.

Thorben potrząsnął głową i natychmiast doskoczył do dowódcy.

– Wszystko w porządku, *Herr Unterscharführer*? – spytał.

Moritz rozglądał się jak spłoszone zwierzę. W końcu wyciągnął rękę i wskazał Psychola z Dachau.

– T-tak – odparł. – Ale ten chyba zd-d-dechł.

Fehrmann nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Otwarte oczy Schneuera i kałuża krwi mówiły same za siebie. Podobnie było zresztą w przypadku Polaka, choć ten miał na twarzy uśmiech.

– Sukinsyn – ocenił Fehrmann. – Umarł zadowolony.

Strötzel nie był pod wrażeniem.

– C-co za, k-kurwa burd-del, Thorben. Posprzątaj to... a potem znajdź mi tych ludzi! –

krzyknął Moritz, a następnie rozkazał kilku esesmanom służyć mu pomocą i oddalił się szybkim krokiem do obozu.

Thorben przyklęknął przy Polaku. To on pierwszy oddał strzał i miał wrażenie, że trafienie było śmiertelne. Przyjrzał mu się, a potem zamknął mu oczy. Nie było powodu, by nie okazać mu odrobiny szacunku, skoro to właśnie Fehrmann odebrał mu życie.

Podniósł się i powiódł wzrokiem po kamieniołomach. Złożył sobie obietnicę, że odnajdzie pozostałych Polaków i Jerkera. Jakkolwiek ten ostatni zapewne będzie w takim samym stanie jak Schneuer.

Staszek zdawał sobie sprawę, o czym świadczyła seria strzałów. Czesław Zmitkiewicz oddał życie, by ich nie wydać. Może uznał, że tortury ostatecznie zmusiłyby go do mówienia, a może stwierdził, że śmierć i tak jest kwestią czasu – czasu, którego Zaniewski i Obelt nie mieli wiele.

Opierając się na gruzach nadziei, nasłuchiwał kolejnych krzyków, które mogłyby świadczyć o tym, że strzelano do kogoś innego, jednak głos Czesława Zmitkiewicza już nie rozbrzmiał na terenie obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Zamiast tego rozległo się kilka zdecydowanych komend wydanych przez Thorbena Fehrmanna. Jedna dotyczyła tego, by zamontować bagnety na karabinach.

Po półgodzinie Staszek usłyszał kroki nieopodal, a zaraz potem rozmowę po niemiecku, z której nie wszystko rozumiał.

– Andreas znalazł ciało tego kapo – powiedział esesman, którego do pomocy zostawił Thorbenowi przełożony. – Ktoś wyrzucił je za jednym z bloków skalnych u wyjścia z Wiener Graben.

– Żadna niespodzianka – odparł Fehrmann, wbijając w ziemię bagnet. Przeszedł już spory kawałek, skrupulatnie badając, czy pod ziemią nie ukrywa się żaden z więźniów.

– Thorben.

– No?

– Naprawdę sądzisz, że siedzieliby tak długo w ziemi?

– Lepiej sprawdzić wszystko dokładnie, niż potem pluć sobie w brodę – burknął Fehrmann, podpierając się na karabinie i wbijając bagnet w kolejne miejsce.

– A co, jeśli już dawno wyszli z kamieniołomów? Mogą być teraz po drugiej stronie Dunaju.

– Na mózg ci padło? – spytał Thorben, dziobiąc kolejne miejsca w nieubitej ziemi. – Dunaj ma tutaj ponad trzysta metrów szerokości. Wyobrażasz sobie, żeby dwa wychudzone szczury mogły przepłynąć na drugą stronę?

– Wiesz, o co mi chodzi. Mogli uciec daleko stąd, a my chodzimy i kłujemy ziemię pod obozem jak idioci. Dupy nam pourywają, jak ich nie znajdziemy.

– Urwanie dupy byłoby błogosławieństwem. Wyprują nam flaki i wywieszają je przed bramą.

Thorben trafił na mocniej ubitą ziemię. Powiódł wzrokiem przed siebie i uznał, że może ominąć kawałek. Zbliżył się do rowu, niedaleko którego dostrzegł wyraźne ślady taczki.

– O tym mówię – odezwał się towarzysz. – Lepiej szukać poza obozem.

– Nigdzie nie uciekli.

– Jesteś pewny?

– A jak mieliby to zrobić? Dwa chude, chodzące trupy w pasiakach? Pierwszy lepszy chłop by ich zabił. Zresztą gdyby ktoś ich zobaczył, dawno byśmy o tym wiedzieli.

Staszek miał wrażenie, że kończy mu się tlen. Thorben wyraźnie się do niego zbliżał, głos był coraz lepiej słyszalny. Zaniewskiemu zrobiło się gorąco, poczuł krople potu na ciele.

Esesmani przesuwali się powoli, co stanowiło nie lada problem. Zdecydowali się na skrupulatne poszukiwania, zapewne dźgając co kilka metrów ziemię jakimś szpikulcem.

Zaniewski zobaczył oczami wyobraźni, jak Fehrmann idzie wprost na niego. I przypuszczał, że nie była to wizja rozmijająca się z rzeczywistością.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek z trudem otworzył oczy. Odniósł wrażenie, że ma przed sobą widok dokładnie ten sam, jak wówczas, gdy stracił przytomność, choć znajdował się w zupełnie innym miejscu.

Kobieta z twarzą zakrytą czarną chustą natychmiast odwróciła wzrok, po czym oznajmiła mężowi, że jeden z krzyżowców się obudził. Imraf mruknął coś w odpowiedzi, stając nad Polakami. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Będziesz krótszy o głowę, jak tylko... – zaczął Zaniewski.

– Cii... – uspokoił go jeden z muzułmanów.

Przywódca Syryjczyków wymierzył palec w Bronka.

– Nie chcę słyszeć niczego, co nie jest odpowiedzią na moje pytania.

Jeniec milczał. Imraf szturchnął go nogą.

– Za każde wypowiedziane bez pytania słowo odetnę jakąś część ciała twojemu greckiemu przyjacielowi, jasne?

Bronek spojrzał na Karagiozopoulou. Obaj znajdowali się w identycznej sytuacji – siedzieli plecami do metalowego słupa, z rękoma założonymi do tyłu i mocno związanymi. Przestronna hala była jakiegoś rodzaju pomieszczeniem fabrycznym, choć trudno było spodziewać się, że jest nadal używana. Śmierdziało tu rybami i pleśnią, wszystko było zapuszczone, a od czasu do czasu rozbrzmiewał metaliczny brzdęk, jak gdyby ktoś uderzał jednym metalowym narzędziem o inne.

Bronek odwrócił głowę na tyle, na ile pozwalał mu na to wykrzywiony kręgosłup, i zobaczył, że Jorgos nadal nie odzyskał przytomności. Jego głowa bezwładnie opadła i nic nie wskazywało na to, by wiedział, jak beznadziejne było ich położenie.

– Jasne? – spytał jeszcze raz Imraf, po czym wyciągnął lebela. – Powinienem cię jeszcze uprzedzić o sprawie ważniejszej. Brak odpowiedzi na moje pytania sprawi, że nie skończę na jednej części ciała.

– Mhm.

– Pytałem, czy to jasne?

– Jasne.

– Świetnie – powiedział Imraf i schował broń, a następnie usiadł przed Bronkiem, krzyżując nogi.

Zaniewski poruszył lekko rękoma, starając się wyczuć, czy istnieje jakakolwiek szansa, by się wyswobodzić. Grube marynarskie sznury były jednak związane zbyt mocno. Zdrętwiałe ręce wykluczały jakąkolwiek nadzieję.

– Po co „Alepou” zawinął do Bejrutu? – spytał Imraf.

Bronek zmarszczył czoło. Nie spodziewał się, że Arab będzie tak bardzo zainteresowany statkiem, na pokładzie którego jakiś czas temu do Libanu przybyła grupa Polaków.

Po chwili przemknęło mu przez myśl, że gdyby nie zdecydował się pomóc Karagiozopoulou, dawno by do nich dołączył.

Imraf podniósł się gwałtownie.

– Poczekaj – powiedział Zaniewski. – Nie odpowiadam, bo nie wiem, co mogę powiedzieć.
– Prawdę.

Muzułmanin zbliżył się do Jorgosa, stanął za nim, a potem skinął na jednego ze swoich pomagierów. Ten podał mu okazały tasak do ryb.

– Wiem tylko tyle, że na pokładzie byli Polacy – powiedział Bronek. – Nie wiem, w jakim celu tu przyплыnęli.

Imraf milczał, a Polak spojrział na tasak. Mimowolnie pomyślał o tym, co zrobił Chwieduszcze na wschodnich rubieżach dawnej Polski. Wzdrygnął się na to wspomnienie.

Oddałby wiele, by być z powrotem w Europie. Nie miał pojęcia, co działo się na froncie ani czy armia jakoś się zorganizowała. Nie wiedział nawet, czy polskie miasta jeszcze stoją. Jeśli wziąć pod uwagę ostatnie pewne informacje, Hitler mógł zrównać wszystko z ziemią.

– Nie zrozumiałeś mnie – odezwał się Imraf, wyrzuwając go z zamyślenia. – Chcę konkretów.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale ja po prostu...

Zaniewski urwał, gdy Arab obrócił tasak w dłoni. Ostrze było brudne, ale nie sprawiało wrażenia stępionego. Jedno cięcie mogło odrąbać człowiekowi palec, a przy okazji doprowadzić do infekcji.

– Zrób mu cokolwiek, a nie uzyskasz już żadnej odpowiedzi – powiedział Bronek przez zęby. Obejrzał się, a potem postarał się o to, by wyprostować środkowy palec. Według Jorgosa był to wymowny gest, zwany *katapugon*. Wywodził się z greckich komedii i pokazanie go komuś było sugestią, że adresat lubuje się w nieprzyzwoitych fizycznych uciechach.

Arab z zaciekawieniem spojrział na wyciągnięty palec, a potem przyjrzał się Karagiozopoulosowi.

– Nie wiem, co to oznacza – powiedział Imraf. – Ale przyjmę to jako sugestię.

Jeden z muzulmanów podłożył kawałek deski pod dłoń Greka.

– Posłuchaj...

– W ogóle nie zrozumiałeś moich instrukcji – uciął z zawodem Imraf, a potem uniósł tasak. Opuścił go z impetem na dłoń kapitana „Aigokerosa”, a ten wydał z siebie przeraźliwy, zwierzęcy ryk.

Zaczął rzucać się jak ryba wyjęta z wody, rozglądając się przy tym panicznie. W końcu zrozumiał, co się dzieje. Krzyknął jeszcze głośniej.

Jeden z podwładnych Imrafa zdzielił go po głowie i wytłumaczył, że jeśli nie chce stracić więcej członków, ma natychmiast zamilknąć. Grek wprawdzie nie wykonał od razu polecenia, klnąc jeszcze, jak na marynarza przystało, ale chwilę później zaczął współpracować.

– Teraz widzisz, że nie żartuję – powiedział Imraf. – I zapytam jeszcze raz, dlaczego interesował cię „Alepu”?

Zaniewski zaciskał zęby tak mocno, że miał wrażenie, jakby tylne przesunęły się nieco.

– Na pokładzie była grupa Polaków, od których wcześniej odebraliśmy na morzu sygnał SOS – wycedził. – Przyплыnęliśmy za nimi tutaj, bo było to najlepsze, na co mogłem się zdecydować. Myślałem, że zbierają się tu polskie siły.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Nie miałem okazji z nimi porozmawiać.

Niezadowolony wzrok Araba przeniósł się na Jorgosa.

– Najprawdopodobniej zbierają się tu na wypadek agresji Niemiec w okolicy – dodał Polak. – Albo po prostu zbierają się, gdzie mogą.

Muzułmanin potarł brodę i zastanawiał się przez moment. Wodził wzrokiem po suficie, aż

w końcu nabrał tchu i skinął głową.

– Może i masz rację, Polaku – ocenił. – Widzisz, mamy ze sobą przynajmniej tyle wspólnego, że oba nasze kraje pozostają pod okupacją. Twój pod niemiecką, mój pod francuską.

– To nie to samo.

– Nie? Rzeczywiście, może nie. Prowadzeni przez sułtana al-Atrashę byliśmy w stanie wywalczyć sobie trochę swobody i obietnicę niepodległości, która pewnie zaginie gdzieś pod europejską obłudą i stekiem kłamstw.

Zaniewski lekko skinął głową, a muzułmanin kontynuował jeszcze przez kwadrans. Rozprowadził o tym, jak Francuzi ciemiężą syryjski naród, dzieląc, łącząc i zmieniając jego terytorium. Szczególną zadrą wydawało się oddanie części ziemi Turkom. Bronek robił wszystko, by okazać choć umiarkowane zainteresowanie.

W końcu Arab skończył i ustawił się za Jorgosem.

– To tyle na ten temat – powiedział. – A teraz należy się kara za to, że odezwałeś się bez pytania.

Zaniewski przez moment sądził, że to tylko makabryczny żart. Zaraz potem jednak ostrze tasaka po raz kolejny przecięło powietrze. Karagiozopoulos stracił kolejny palec lewej ręki. Krew trysnęła obficie, a kapitan krzyknął. Zaniewski nie musiał patrzeć w jego stronę, by wiedzieć, że jest półprzytomny.

Niewzruszony Imraf otarł ostrze i ponownie stanął przed Bronkiem.

– Dobrze. Ustaliliśmy, po co ty tutaj jesteś – powiedział Arab. – A on?

– Przypłynął tutaj, bo chciał wyświadczyć mi przysługę.

– Dlaczego?

– Uważał, że ma u mnie dług wdzięczności.

– A konkretnie?

– Uratowałem jego statek na morzu – odparł Bronek, po czym opisał całe zajście z cypryjskimi piratami i to, jak z pomocą utraconego springfielda zażegnał niebezpieczeństwo.

Początkowo Imraf wydawał się nieprzekonany, ale po chwili stwierdził, że Polak nie miałby żadnego celu w zmyślaniu tego typu historii – gdyby zamierzał łąć, zdołałby wymyślić coś, w co łatwiej uwierzyć.

– Jestem z ciebie zadowolony – powiedział muzułmanin. – Szybko uczysz się posłuszeństwa.

Polak w duchu przeklął rozmówcę i całą jego rodzinę.

– Żałuję tylko, że nie zdecydowałeś się, żeby powiedzieć mi o Spiridonie Polymerosie – dodał Arab i westchnął. – Chłopaku, którego własnoręcznie zabiłem na zlecenie kapitana portu, Ahmeda El-Ghazzawy'ego.

Zaniewski miał wrażenie, że krew w zwolnionym tempie odpływa mu z twarzy. Metaliczne dźwięki z oddali wydały mu się czymś zagłuszone i odniósł wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu spadła o kilka stopni.

– Ty skurwysynu! – krzyknął Jorgos.

Imraf odpowiedział głośnym śmiechem. Obrócił tasak w dłoni, podszedł do marynarza, a potem wziął znacznie większy zamach niż poprzednio. Ostrze błysnęło w słabych promieniach słońca, a potem opadło na nadgarstek Greka.

Sekundę później rozległo się głośne, przeraźliwe wycie. Karagiozopoulos zdążył jeszcze wyszarpać kikuta bez dłoni ze sznurów, a potem nagle siły go opuściły. Nieprzytomny, osunął się na podłogę.

Bronek starał się wyrwać z krępujących go więzów, ale te nie rozluźniły się ani o centymetr.

Kątem oka dostrzegł rozlewającą się po podłodze krew. Jorgos wykrwawiał się w zastraszającym tempie.

Imraf przeszedł wokół niego, zostawiając ślady butów na posoce.

– To powinno nauczyć cię jeszcze więcej pokory, prawda? – spytał.

Zaniewski poczuł, że robi mu się niedobrze. Skinął pokornie głową z obawą, że niewiele brakuje, a Arab będzie kontynuował tortury.

– Bardzo mnie to cieszy – oznajmił Imraf. – W takim razie mam dla ciebie propozycję. Wypuszczę cię teraz i... Hej, słuchasz mnie? – spytał, widząc, że Bronek patrzy z niepokojem w stronę Jorgosa.

– Tak.

– Dobrze. W takim razie słuchaj teraz uważnie, bo propozycja padnie tylko raz. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Wypuszczę cię, a ty odnajdziesz swoich Polaków.

Zaniewski czekał na ciąg dalszy, nie odzywając się. Nawet nie odдыchał.

– Masz czas do momentu, aż Grek się wykrwawi. Jeśli do tej pory wrócisz do mnie z informacjami, obaj pójdziecie wolno.

Polak milczał.

– Zastanawiasz się, jakie to informacje?

– Tak.

– Chcę wiedzieć, co tutaj robią. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– I jeśli usłyszę, że próbujesz mnie wymanewrować, zabiję Greka szybciej, niż zdążysz powiedzieć „przepraszam, Imrafie”.

Bronek miał nadzieję, że nie widać po nim, jak bardzo ten plan mu odpowiadał. Oczywiście, że skorzysta z okazji. Oczywiście, że wymanewruje sukinsyna. A jedynym, kto będzie przepraszał, będzie właśnie on.

Arab skinął na jednego z pomagierów. Ten podszedł do Zaniewskiego od tyłu i rozwiązał mu rękę.

– Zasady są proste, prawda?

– Tak.

– Nie muszę więc dodawać, że powinieneś się pospieszyć? – zapytał Imraf, wskazując na kałużę krwi.

Bronek podniósł się i roztarł poczerwieniałe nadgarstki. Miał obtartą skórę, ale ledwo to odnotował.

– Zatamaj krwawienie – powiedział. – Bo jeśli tutaj wrócę, a on nie będzie żył, szybko do niego dołączysz.

Imraf rozłożył bezradnie ręce, wyraźnie niezadowolony z braku posłuszeństwa.

– Groźby zachowaj dla swoich rodaków – odparł. – A ja zadbam o to, by Grek pożył jeszcze trochę.

Zaniewski nie miał zamiaru wdawać się w dalsze przepychanki słowne. I tak niepotrzebnie ryzykował, bo muzułmanin z pewnością gotów był oberznąć Karagiozopoulosowi także drugą dłoń.

Odwrócił się i bez słowa skierował się do wyjścia. Minął próg i wyszedł z hali. Osłaniając twarz przed ciepłymi promieniami południowego słońca, pomyślał, że nie ma pojęcia, co teraz począć.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Maria nie spodziewała się po Christianie niczego dobrego. Wprawdzie wychodząc na spotkanie z lekarzem, wyglądał, jakby autentycznie miał jakiś plan, ale należało uznać, że to tylko życzeniowe myślenie. Leitner doskonale zdawał sobie sprawę, że jest jednym z głównych podejrzanych i z pewnością chciał zrobić wszystko, by czym prędzej zacząć uchodzić za niewinnego.

Poza tym co Marcus Kernrot miałby mieć wspólnego z zagadką śmierci dwóch kobiet? Twierdzenie, że to on dzierży klucz do rozwiązania tajemnicy, było absurdalne.

A mimo to Christian wydawał się pewny.

I stał się trzecią osobą, która *de facto* robiła cokolwiek, by odnaleźć sprawcę. Helena snuła się po korytarzach jak widmo, jakby straciła całą energię do życia. Przestała nawet dokuczać służbie, nie wspominając już o rozmowach z Gabrielem – gospodarz twierdził, że żona nie odzywa się do niego prawie wcale. Inni domownicy także nie mieli z nią żadnego kontaktu.

Śmierć Algunde z pewnością musiała rzutować na jej zachowanie, ale nie aż w takim stopniu. Maria nie wiedziała, z czego wynika jej ośpienie.

Zupełnie inaczej do sprawy podchodzili David i Gottfried. Co noc urządzali pijackie ekscesy, jakby fakt, że w domu czai się morderca, był tylko dodatkowym urozmaiceniem popijawy.

Służba, na czele z Käthe Müller-Bard, która zajęła miejsce Algunde, była przerażona. Nikt jednak nie chciał rozmawiać na ten temat, przynajmniej nie z Marią. Polka przypuszczała, że to rezultat tego, iż wraz z Gabrielem prowadziła nieformalne śledztwo.

Wszystko to było abstrakcyjne, wręcz nierealne. Maria codziennie rano po przebudzeniu miała wrażenie, że za moment ktoś wyleje jej na głowę kubel zimnej wody i nagle otrząśnie się z tego dziwnego stanu.

Siedząc w gabinecie Gabriela, zastanawiała się, czy cokolwiek będzie kiedyś takie, jak było. Przeniosła wzrok na gospodarza i odsunęła od siebie smutną refleksję.

– Jak długo znasz tego doktora Kernrota? – spytała z nadzieją, że wspólnie uda im się dojść do tego, co planuje Christian.

– Kilka lat temu sprowadził się do nas z Salzburga. Od tamtej pory utrzymuję z nim poprawne relacje, często dyskutujemy o polityce i innych sprawach, nie wchodząc na grunt życia prywatnego.

– Innymi słowy nic o nim nie wiesz.

– Jeśli masz na myśli to, jakim jest człowiekiem, mam całkiem dobre pojęcie. Ale jeśli chodzi o jego przeszłość, owszem, nie wiem nic. Nie powiedział mi nawet, dlaczego sprowadził się do Lüttendorfu.

– Mhm.

– Tym bardziej nie mam pojęcia, czego może chcieć od niego Christian.

– Zastanówmy się więc nad powodem, dla którego lekarz tu przyjechał.

– W jakim celu?

– Może do czegoś dojdziemy – odparła z przekonaniem. – W końcu nie pojawił się w tej zapadłej wiosce przypadkiem.

Gabriel spojrzał na nią z lekkim wyrzutem, ale ostatecznie skinął głową. Pogrążyli się w spekulacjach, podsuwając sobie wzajemnie hipotezy bez poparcia w jakichkolwiek faktach. Żadna wersja nie była przekonująca.

Christian długo szukał właściwej ulicy. W końcu jednak trafił na Bambergerstraße i odnalazł numer trzydziesty piąty. Zapukał do drzwi, a gdy te się uchyliły, natychmiast wparował do środka.

– Cóż pan... – zdążył wymamrotać Kernrot.

– Milcz.

Leitner zatrzasnął za sobą drzwi, a potem spiorunował wzrokiem gospodarza. Ten, zupełnie zdezorientowany, cofnął się o krok.

– To niedopuszczalne...

– Kazałem ci milczeć – odparł Christian, rozglądając się po niewielkiej izbie. – Przynajmniej dopóty, dopóki nie zacznę cię pytać.

Początkowo Leitnerowi trudno było wydusić z Marcusa jakiegokolwiek informację. Nie pomagał fakt, że nadal doskwierał mu ból i co jakiś czas musiał zrobić pauzę w wywodzie. Ostatecznie jednak sięgnął po argument, którym potrafił przekonać każdego – walthera P38.

Służbowy pistolet otrzymany wraz z nowym stopniem w SS rozwiązywał problemy nawet wtedy, gdy nie pociągało się za spust. W tym przypadku sprawił, że Christian otrzymał wszystkie informacje, których oczekiwał.

– Mógł pan zapytać go bezpośrednio... – wymamrotał Kernrot.

– Kpisz sobie?

– Można było spróbować, zanim...

– Zanim co? – uciął Leitner. – Zanim przyszedłem do człowieka, który powinien sam się do mnie zgłosić zawczasu?

– Ja...

– Niedawno zmieniałeś mi bandażę, Marcus. Miałeś wprost idealną okazję, by podzielić się ze mną tym, co wiesz.

Lekarz milczał przez dłuższą chwilę. Patrzył na esesmana z obawą, zapewne spodziewając się, że to koniec przesłuchania. Tajemnicą poliszynela było, że SS nie patyczkowało się z osobami, od których oczekiwało informacji.

– Wie pan przecież, co za to grozi...

– Wiem – odparł Leitner.

– A pan jest przedstawicielem aparatu bezpieczeństwa. Nie mogłem tak po prostu...

– Mogłeś. I powinieneś.

Christian nie miał zamiaru spędzać u lekarza więcej czasu, niż było to konieczne. Dowiedziawszy się wszystkiego, podniósł się i bez słowa ruszył do wyjścia. Opuścił kamienicę i rozejrzał się. Nabrawszy tchu, musiał przed sobą przyznać, że ma nie lada problem.

Wrócił na Fährstraße, przy której stał rodzinny dom. Stał kawałek dalej, patrząc na niego z oddali. Pozwolił myślom nieco odpłynąć. Miał dwie misje do wykonania, obie równie ważne, choć zupełnie różne. Wiedział, że obydwie wykona, ale... co będzie dalej? Gdzie znajdzie sens życia? Wyciągnął papierosnicę, nie patrząc na inskrypcję. Zapalił salema i przez moment bezmyślnie wgapił się w czerwoną elewację budynku.

W końcu ruszył do domu. Przed gankiem dostrzegł Davida i Gottfrieda, którzy cierpieli jeszcze z powodu nocnej libacji. Minął ich i udał się do swojego gabinetu. Spodziewał się zastać tam dwie osoby, które uzurpowały sobie rolę śledczych.

Ani Gabriel, ani Maria nawet nie zbliżyli się do rozwiązania zagadki. I z pewnością nie zbliżyliby się, gdyby nie Christian.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Starszy brat podniósł wzrok znad papierów rozłożonych

na biurku.

– Dowiedziałeś się czegoś?

Oficer SS poprawił marynarkę mundurową i skinął głową.

– Wszystkiego, co było mi potrzebne.

Maria obróciła się do niego.

– Więc może podzielilibyś się tym z nami?

Leitner zbliżył się do szafy przy oknie. Otworzył ją, po czym wydobyl z jednej z półek paczkę nabojów. Zamknął drzwiczki i ruszył z powrotem w kierunku korytarza.

– Nie będzie mnie przez kilka dni – oświadczył. – Kontynuujcie swoje nocne przechadzki. Może coś odkryjecie.

– Poczekaj – powiedział Gabriel, podnosząc się. – Dokąd...

Christian był już jednak na korytarzu. Bez słowa minął pogrążoną w marazmie Helenę i wyszedł na dwór. Szybkim krokiem przeszedł przez ogród w kierunku ściany drzew, znajdującej się kilkaset metrów od Fährstraße i wyznaczających granicę Lüttendorfu. Niegdyś znajdowały się tu rozległe pola, po których biegał wraz z braćmi. Teraz jednak zastąpiły je liczne gospodarstwa i lasy. Pustka, która kiedyś wydawała się młodemu Leitnerowi bezbrzeżna, znikła bezpowrotnie. Christian wiódł wzrokiem wokół, myśląc o tym, że jego życie ułożyło się wprost odwrotnie – zmierzał w kierunku zupełnej próżni.

Minął ścianę lasu i zagłębił się między drzewa. Zatrzymał się przy jednym z nich, a potem odpiął kaburę z waltherem. Wyciągnął pistolet i zaczął czyścić lufę. Jego ruchy były spokojne, wystudiowane. W lesie panowała cisza, raz po raz mącona przez trele ptaków, dochodzące znad gęstych koron drzew.

Leitner przyjrzał się broni. Sprawdził magazynek, a potem wyciągnął walthera przed siebie, jakby mierzył do jakiejś niewidzialnej postaci. Przez moment nasłuchiwał.

Potem nagle się odwrócił. W okamgnieniu musnął język spustowy, walther wystrzelił. Rozległ się huk, a potem trzepot skrzydeł. Ptaki odleciały z szumiących koron drzew, lecz nie były to jedyne dźwięki, które usłyszał Christian.

Nie to zresztą interesowało go najbardziej.

Nasłuchiwał odgłosu upadającego ciała.

Chwilę po oddaniu strzału usłyszał to, na co czekał. Z wymierzonym przed siebie waltherem Leitner ruszył w stronę ofiary.

– Nie podnoś się – polecił. – Nie mam zamiaru cię zabijać.

Trafiony człowiek nie odpowiadał, ale Christian słyszał, jak syczy z bólu. Po chwili dobiegły go odgłosy szurania. Ofiara starała się doczołgać do najbliższego drzewa.

– Zatrzymaj się – powiedział oficer SS i przyspieszył kroku.

Minął chaszczę i stanął nad mężczyzną, który uciskał ranę na piersi. Miał na sobie cywilne ubrania, zwyczajny płaszcz i koszulę. Kiedy jednak poła opadła, można było dostrzec oznaczenia SS na marynarce.

– Do kurwy nędzy... – wycedził ranny. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Zaczęło działać mi na nerwy to, że ktoś nieustannie mnie śledzi.

Mężczyzna przycisnął ranę mocniej i wydał z siebie głęboki jęk.

Leitner pochylił się i odgarnął połę płaszcza jeszcze bardziej, sprawdzając, jaki stopień w hierarchii służbowej ma mężczyzna, który od pewnego czasu ciągnął się za nim jak cień.

– Jak... jak mnie wypatrzyłeś? – zapytał szpieg.

– Niespecjalnie kryłeś się w Bad Polzin. Już tam cię zauważyłem.

– Ach...

– Potem widziałem cię również w Klosterheide. Mam dobrą pamięć do twarzy. Zbyt dobrą, jeśli wziąć pod uwagę Mateusza Katnera, dodał w duchu Christian.

– Rozumiem – odparł przez zęby mężczyzna.

Nie ulegało wątpliwości, że zdekonspirowanie było dla niego znacznie boleśniejsze niż rana postrzałowa.

– Powinieneś się cieszyć, że pozwoliłem ci działać tak długo – dodał Leitner. – Już w Steinhöring miałem ochotę pozbawić cię życia za twoją nieudolność.

Rozmówca skrzywił się. Christian wyciągnął papierosy i przypalił sobie.

– Byłem tam jednak bardziej zajęty pewną Norweżką, Gørild, o ile pamięć mnie nie myli – dodał z salemem w ustach Leitner.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem, patrząc na unoszący się dym. Christian spuścił wzrok na esesmana i przez moment uważnie mu się przyglądał. Po raz pierwszy miał okazję zrobić to bardziej wnikliwie. Ściągnął brwi.

– Gdzieś już cię widziałem – powiedział.

– Jak sam mówiłeś...

– Jeszcze przed Bad Polzin.

Mężczyzna przez moment się zastanawiał, zapewne ważąc, ile opłaca mu się powiedzieć. Christian potrząsnął znacząco walterem.

– Tak, spotkaliśmy się już – odezwał się rozmówca.

– Jak się nazywasz?

– Untersturmführer Heinz Stubbe.

Christian Leitner zmrugał oczy, starając się przypomnieć sobie, skąd zna to nazwisko. Z pewnością gdzieś już je słyszał. I widział gdzieś tego człowieka.

– Spotkaliśmy się w pierwszych dniach wojny – powiedział Stubbe.

– W Rawitschu.

– Tak.

Christian przypomniał sobie tamten moment. Tuż po zajęciu miasta wypatrył w nocy czarne bmw, zaparkowane w jednej z bocznych uliczek. Wylegitymował Stubbego i jego towarzysza i szybko zrozumiał, że ich papiery sugerują, by zostawić ich w spokoju.

Długo nie wiedział, co ci ludzie robili na tyłach regularnej armii. Od pewnego czasu nie musiał się już jednak nad tym zastanawiać.

– Wykonujemy rozkazy tego samego człowieka – dodał Heinz, na moment unosząc dłoń i patrząc na krwawiącą ranę.

– Oczywiście.

– Wiedziałeś... o tym?

– Gdybym nie miał takiego przekonania, zaraz po pierwszym strzale oddałbym drugi. Stubbe przełknął ślinę.

– I nie jesteśmy na ty – dodał Leitner, prostując się.

– Tak jest, *Herr Hauptsturmführer*. Czy moglibyśmy zatem...

Christian uniósł dłoń, sygnalizując, by Heinz Stubbe zamilkł. Ten otworzył szeroko oczy i zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy Leitner przykucnął obok. Powoli podniósł waltera, a potem przyłożył jego chłodną lufę do skroni Stubbego.

– Zaraz...

– Kiedy będziesz składał raport Cerberowi, nie zapomnij napomknąć, że może mi ufać –

powiedział Christian.

- Ale...
- Rozumiesz?
- Tak... tak, rozumiem, *Herr Hauptsturmführer*.

**WIENER GRABEN, KAMIENIOŁOMY OBOZU MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA,
MARZEC 1940 ROKU**

Thorben Fehrmann otarł pot z czoła i uznał, że jeśli ma nadal prowadzić akcję poszukiwawczą, musi uzupełnić siły. Nadmiar emocji i starcie z Polakiem okazały się zbyt wymagające.

– Poblądłeś – zauważył jeden z esesmanów, którzy mieli pomagać mu w poszukiwaniach. Praktyka szybko dowiodła, że jeśli Fehrmann chciał, by teren został dobrze sprawdzony, mógł polegać tylko na sobie.

Banda chłopaków stanowczo zbyt młodych, by nosić mundury SS, skupiała się głównie na tym, by jak najprędzej skończyć sprawdzanie rowów i innych kryjówek na terenie kamieniołomu. Byli absolutnie pewni, że doszło do ucieczki i nerwowo wyczekiwali momentu, aż padnie rozkaz pościgu.

Thorben splunął na ziemię, a potem z impetem wbił w nią bagnet.

Staszek słyszał kroki i głos Fehrmanna tuż nad sobą. Zaraz potem odniósł wrażenie, że coś wbiło się w ziemię, dotykając skraju kartonu, który chronił jego głowę. Gruczoły na jego ciele natychmiast zwiększyły produkcję potu. Zaniewski poczuł, że trzęsą mu się usta.

Ziemia poruszyła się nad nim. Nie miał wątpliwości, że stopy Thorbena znajdują się tuż obok.

Przeszło mu przez myśl, że Fehrmann nie musi nawet trafić go bagnetem lub innym narzędziem, którym sprawdzał teren. Wystarczy, że ostrze utkwi się w kartonie, a będzie po wszystkim.

Na dobrą sprawę wystarczy także, by postawił stopę na rozkopanej ziemi. Zapadnie się i natychmiast zrozumie, dlaczego grunt się osunął. Staszek zamknął oczy. Wydawało mu się, że serce tłucze się tak głośno, iż zaraz go zdradzi.

Ziemia poruszyła się pod ciężarem Niemca. Zaniewski poczuł słony smak potu w ustach.

– Długo tak jeszcze będziemy? – spytał Hermann Habeck, młody esesman w randze Sturmmanna, który niedawno przybył do Mauthausen.

Był jednym z obozowych durniów, lecz w jakiś sposób udało mu się zyskać sympatię Fehrmanna. Thorben sam nie rozumiał jak. Spojrzał na chłopaka karcąco, a potem spuścił wzrok z powrotem na podłogę.

– Dopóki nie będę pewny, że nie zakopali się pod ziemią jak krety – odparł i wbił bagnet w ziemię.

Ostrze przemknęło tuż przy barku Zaniewskiego. Słyszał, jak wsunęło się w ziemię i poczuł, jak ta przesuwana się przy jego ciele. Gdyby Fehrmann skierował karabin nieco bardziej w lewo, wbiłby jego końcówkę prosto w więźnia.

Chęć poruszenia się była przejmująca. Staszek walczył z sobą, by nie poddać się naturalnemu instynktowi nakazującemu ucieczkę. Umysł wciąż go mamił, podsuwając mu wizję tego, jak wyskakuje z rowu, a potem pędzi w stronę wyjścia z kamieniołomów. Krzyczy do Obelta, obaj

unikają esesmanów i w końcu docierają na wolność.

Zrobił kilka wdechów i wydechów, płytkich, by karton się nie poruszał. Miał wrażenie, że powietrze staje się coraz bardziej gęste, a temperatura z każdą chwilą rośnie w zastraszającym tempie.

Balansował na granicy życia i śmierci, i zdawał sobie z tego sprawę.

– Dawno by im zabrakło powietrza – powiedział Hermann Habeck, po czym teatralnie ziewnął, przeciągając się.

– Wiesz to na pewno? – spytał ostro Thorben, unosząc karabin i przygotowując się do kolejnego pchnięcia.

– No... – odparł Habeck, drapiąc się po czole. – No tak.

Fehrmann pokręcił głową i opuścił z impetem karabin.

– Znasz jakąś naukową teorię, która mówi, ile człowiek może przeżyć pod ziemią?

Hermann rozgarnął butem świeży piach.

– Może i nie – przyznał. – Ale tak na ludzki rozum, dawno by już moim zdaniem zdechli jak... jak te glisty.

– Szczerście dla Rzeszy, że tacy jak ty nie podejmują decyzji – mruknął Thorben i wbił bagnet kawałek dalej.

Staszek poczuł, jak ostrze sięga jego ciała.

Pomyślał, że to koniec, ale natychmiast skupił się na tym, by nie wydać żadnego dźwięku ani się nie poruszyć. Bagnet się nie cofał. Niemcy rozmawiali o czymś tuż ponad nim.

Zaniewski zacisnął zęby, starając się zignorować zarówno to, jak i fakt, że ból był obezwładniający. Mimowolnie napiął wszystkie mięśnie, dziękując Bogu w duchu za wszystkie brutalne zachowania strażników w obozie. Dzięki nim mógł okiełznać ból. Był do niego przyzwyczajony, a chcąc nie chcąc wszyscy więźniowie po jakimś czasie stawali się fachurami w znoszeniu go, jakby nic się nie działo.

Nie wiedział, jak głęboko oberwał ani czy bagnet wbił się w ciało. Piekło co niemiara, ale ostrze mogło ledwo prześlizgnąć mu się po barku.

Sama rana nie stanowiła problemu, przynajmniej nie w tej chwili. Zaniewskiego martwił fakt, że dwa ostatnie pchnięcia jednoznacznie sugerowały, iż Thorben przesuwając się w stronę jego głowy i jest przy tym niezwykle skrupulatny.

Wciągnął nosem gęste, śmierdzące powietrze. Przygotował się na to, że za moment będzie musiał opuścić kryjówkę. Jeszcze przed chwilą wydawało się to najgorszym możliwym pomysłem, teraz jednak mogło okazać się jedynym wyjściem.

Podjął decyzję. Nawet jeśli przedłuży jego życie o kilka, kilkanaście minut, warto było podjąć ryzyko. Jeżeli w okolicy nie będzie wielu esesmanów, być może uda mu się wziąć Fehrmanna z zaskoczenia. Natychmiast zawoła Obelta, spróbują jakoś sobie poradzić. Może uda się wyszarpać któremuś broń, to zwiększy ich szanse.

Bagnet się cofnął. Thorben mógł już teraz zobaczyć na nim krew. Staszek wiedział, że musi działać szybko, zanim Niemiec wbije ostrze z powrotem w ziemię.

Przygotował się.

Nie mógł wiedzieć, że bagnet znajduje się prosto nad jego głową.

Esesman przymierzył i uniósł lekko karabin. Ziemia nie była tu ubita, ale podobnie było

w wielu innych miejscach. Więźniowie wydobywali kamienie, spychając hałdy tam, gdzie im nie przeszkadzały.

– Fehrmann! – rozległ się głos z oddali.

Thorben na moment zamarł. Potem powoli się odwrócił, dostrzegając zbliżającą się postać.

– Kto to? – spytał Habeck, nie mogąc dostrzec twarzy przybysza.

Starszy z Niemców zmrużył oczy i szybko przekonał się, kto zmierza w ich kierunku. Dwaj mężczyźni nosili szare mundury SS, jednak na lewych rękawach mieli charakterystyczne czarne romby SD.

– Nikt, kogo chcielibyśmy widzieć – odparł pod nosem Fehrmann i wściekle wbił bagnet w ziemię.

Kriminaldirektor Ulrich Kossendey zatrzymał się przed nim, głośno sapiąc. Był już stanowczo za stary na pracę w terenie, zresztą właśnie z tego względu przełożeni ustanowili go tymczasowym nadzorcą Gestapo w Mauthausen. Miał podszkolić kilku podoficerów i wyciągnąć konstruktywne wnioski z tego, jak funkcjonuje obóz. W założeniu miało to sprawić, że na kolejnym stanowisku będzie mógł służyć radą osobom odpowiedzialnym za rozwiązanie problemu Żydów.

Kiedy Kossendeyowi doniesiono o ucieczce dwóch Polaków, był wniebowzięty. Wprawdzie oznaczało to powrót do pracy w terenie, jednak stwarzało idealną okazję, by obnażyć niekompetencję SS.

Gestapo wkroczy do akcji, przejmie inicjatywę i pokaże, że tylko wyszkoleni funkcjonariusze są godni zaufania Hitlera.

– Należą wam się brawa – powiedział na powitanie, gdy uspokoił oddech. – Przy burdelu, jaki tu utrzymujecie, cudem jest, że dopiero teraz doszło do ucieczki.

Fehrmann wyprostował się jak struna.

– Tak jest, *Herr Hauptsturmführer* – odparł.

Kriminaldirektor powoli omiótł wzrokiem okolice, spoglądając przez dłuższą chwilę na wysoką ścianę skalną, z której esesmani strącali „spadochroniarzy”. Potem spojrział na Thorbena.

– Wypuściliście Kata z Doliny Sanu, co? – spytał z uśmiechem.

– Uciekł razem z innym więźniem, który...

– Tak, wiem doskonale, kogo brakuje – przerwał mu Kossendey. – Zresztą wie o tym już każdy w obozie. Mnie natomiast nurtuje, co ty tu jeszcze, do cholery, robisz, zamiast za nimi gonić?

– Według mnie nie opuścili terenu kamieniołomów.

– Nie?

– Jestem przekonany, że chowają się w jednej z dziur w ziemi.

Kriminaldirektor popatrzył na niego pobłaźliwie i westchnął.

– Byliby szaleńcami – ocenił. – I wyjątkowymi głupcami. A skoro potrafili zorganizować sobie ucieczkę, zapewne mają na tyle oleju w głowie, by jak najprędzej wiać najdalej jak się da.

– Moim zdaniem są gdzieś tutaj – powtórzył Thorben. – Nikt nie widział, żeby opuszczali teren.

– Twoim zdaniem, twoim zdaniem. Gównu mnie obchodzi twoje zdanie, Fehrmann. Dałeś im uciec, a teraz jeszcze pozwalasz im na to, by...

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

Ulrich wyprostował się i odchrząknął w sposób niepozostawiający wątpliwości, że nie lubi, jak niższy rangą esesman mu przerywa. Odgiął łopatkę i zgromił Thorbena wzrokiem.

– Jeszcze raz mi przerwiesz w połowie zdania, Fehrmann, a zajmiesz miejsce zbiegłych więźniów. Jasne?

– *Jawohl, Herr Hauptsturmführer!*

Fehrmann wiedział doskonale, że niczego już w tej sprawie nie ugra, przynajmniej w sposób formalny. Postanowił jak najszybciej zakończyć tę utarczkę słowną i kiedy Kossendey ze swoim przybocznym się oddał, kontynuować poszukiwania w ziemi. Był pewien, że Staszek i Obelt gdzieś tutaj są. Kossendey myślał zbyt stereotypowo, a dwaj Polacy uwzględnili to w swoich planach.

– No? – rzucił Kriminaldirektor. – Co tak stoisz?

– Nie otrzymałem żadnych rozkazów – odparł wymijająco Thorben.

– Więc teraz je dostaniesz, słuchaj uważnie. Masz zorganizować pięć grup po trzy osoby. Dwie pójdą na południe, wzdłuż rzeki. Jedna w stronę Pergu, a kolejna w kierunku Riedu. Ty i twój podopieczny pójdziecie ze mną do St. Georgen. Zorganizuj też jakieś mobilne transporty, niech krążą po okolicy. Pamiętaj jednak, że najważniejsze są piesze grupy. I psy. Zorganizuj psy.

Thorben zaklął w duchu.

– Nie pominąłem żadnej miejscowości wokół Mauthausen?

– Nie.

– Świetnie – odparł Kossendey. – I nawet, jeśli ich nie znajdziemy, istotne jest, by wielu naszych kręciło się po okolicy. Pierwszy lepszy napotkany przez Polaków człowiek z pewnością nas zaalarmuje.

Nie czekając na towarzyszy, Ulrich ruszył w kierunku wyjścia z kamieniołomów. Dopiero po chwili zorientował się, że Thorben nie ruszył się o krok. Obejrzał się na niego i posłał mu ponaglące spojrzenie.

Fehrmann powiódł wzrokiem po rowach, które miał jeszcze sprawdzić. Zaklął pod nosem, wyrwał karabin z ziemi, a potem przewiesił go przez ramię. Ruszył za przełożonym.

Zanim Staszek zdecydował się na nieznaczny ruch, odczekał dobre pół godziny. Czas się dłużył, myśli się kotłowały, a w głowie nadal rozbrzmiewały mu krzyki Zmitkiewicza. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Wraz z Obeltem nie zareagowali, nawet nie spróbowali pomóc towarzyszowi.

Kapitanem musiały targać podobne odczucia, choć bardziej intensywne. Czuł się odpowiedzialny za młodszego stopniem żołnierza.

– Zaniewski... – rozległ się szept dochodzący jakby z innego świata.

Staszek poruszył się. Usłyszał, jak towarzysz odgarnia ziemię tuż nad nim i sam spróbował lekko unieść karton.

– Wstawaj, pierdoło – powiedział Obelt.

– Staram się.

– No już. Zmitkiewicz oddał życie, byś mógł dać stąd nogę.

Zaniewski zmobilizował wszystkie siły i wygrzebał się spod ziemi. Księżyc już świecił, noc niestety była dość jasna. Na niebie widać było mrowie gwiazd.

Oficer podał mu rękę i Staszek wyszedł z rowu. Rozejrzał się za ciałem Czesława, ale nigdzie go nie dostrzegł.

– Musimy go pochować – powiedział.

– Już szukałem – odparł cicho Obelt i pokręcił głową.

Zaniewski przez chwilę milczał, wodząc wzrokiem wokół.

– Więc co teraz? – zapytał.

Kapitan wskazał las, który zaczynał się na zachód od kamieniołomów.

– Myślałem, że szkopska gadanina nigdy się nie skończy – powiedział Obelt i splunął na ziemię, gdy postawili pierwszy krok ku wolności.

V

Quae nocent, docent.
– *To co szkodzi, uczy.*
AUTOR NIEZNANY

GENERALNE GUBERNATORSTWO NA OKUPOWANYCH ZIEMIACH POLSKICH, REICHSHOF (DAW. RZESZÓW), MARZEC 1940 ROKU

Hauptsturmführer Johann Blankenburg przechadzał się niespiesznie ulicami Rzeszowa, kierując się do hotelu, w którym został zakwaterowany. Nosił czarny, nieprzepisowy mundur z trupimi czaszkami, stanowiący jego znak rozpoznawczy. Trzymając wysoko uniesioną głowę, nie zwracał uwagi na mijanych ludzi, którzy robili wszystko, by nie stanąć mu na drodze.

Dotarł do trzypiętrowego, niewyróżniającego się budynku. Na ciemnej elewacji znajdował się biały napis „Hotel Reichshof”. Niezbyt podobało mu się to miejsce. Mimo nowego, niemieckiego napisu, było na wskroś polskie. Tymczasem Blankenburg ostatnimi czasy przyzwyczał się do luksusu – przytył nawet trochę, co nie licowało ze standardami SD.

Wewnątrz hotelu było nieco lepiej. Wielkie portrety Adolfa Hitlera nadawały miejscu cywilizowaną atmosferę. Johann wdrapał się po schodach na górę i wszedł do swojego pokoju. Specjalnie na jego przyjazd udekorowano ściany niewielkimi kaflami przedstawiającymi żołnierzy, sportowców i inne znane osoby. By upewnić się, że to z jego powodu, Johann odchylił jeden z kaflów. Kolor ściany pod nią i obok był identyczny. Nic dziwnego. Blankenburg zasługiwał na specjalne traktowanie – był ważną osobą w Rzeszy i cenionym żołnierzem, a w Reichshofie przebywał z rozkazu samego Cerbera.

Rozległo się pukanie do drzwi. Oficer obrócił się w ich kierunku. Najpewniej była to obsługa hotelu, ale Johann nie był skory ryzykować. Każdy Polak, który ostał się w tym zawszonym mieście, mógł na niego dybać. Odpiął kaburę i położył dłoń na rękojeści pistoletu.

– Wejść!

Wysunął broń, ale gdy zobaczył pracownika hotelu, schował ją z powrotem. Chłopak popatrzył z niepokojem na odpiętą kaburę.

– *Herr Hauptsturmführer*, jest telefon do pana – oświadczył. – Do odebrania w recepcji. Telefonują z Berlina.

– Co takiego?

– Połączenie z...

– Słyszałem skąd – uciął Johann. – Bardziej interesuje mnie to, co powiedziałaś wcześniej. Że gdzie do odebrania?

– W recepcji – odparł niepewnie boy.

– W recepcji znajdą twoje zasrane zwłoki, jeśli nie sprawisz, żeby przekierowano to połączenie tutaj – powiedział Blankenburg, robiąc krok w jego kierunku.

W oczach chłopaka pojawił się strach. Mówił dobrze po niemiecku, ale nie na tyle dobrze, by można było sądzić, że należy do rasy aryjskiej. Był podczłowiekiem. Jednym z tych, których oszczędzono, by mogli służyć rasie panów.

– Ja...

– Załatw to. Natychmiast.

– Obawiam się, że mimo naszych... najlepszych chęci i wytężonych prób...

Johann uniósł dłoń i Polak urwał. Oficer odepchnął go i wyszedł na korytarz, po czym skierował się w stronę recepcji. Wprawdzie właściciel hotelu informował go o tym, że przejściowo telefony w pokojach nie są sprawne, ale Johann Blankenburg nie widział nic złego w tym, by zabawić się kosztem chłopaka z obsługi.

Zszedł na dół, przekonując się, że wszyscy pracownicy zostali usunięci z recepcji. Nie wiedział, czy to wyraz szacunku, czy strachu. Ostatecznie jednak nie miało to znaczenia – jedno i drugie cenił sobie tak samo.

Podniósł słuchawkę, zamienił kilka zdań z centralą, a potem przez moment czekał na połączenie z Berlinem.

– Cerber – rozległ się dobrze mu znany głos w słuchawce.

– *Christophskräuter* – odparł Blankenburg.

Przez chwilę trwał ze słuchawką przyciśniętą do ucha, oczekując rozkazów. Nie wypadało odzywać się bez pytania w rozmowie z Cerberem, ale ten milczał. W końcu Johann uznał, że nie będzie czekał cały dzień.

– Coś się stało? – spytał.

– Dwie poważne sprawy się stały – odparł ciężko rozmówca.

Na linii trochę szumiało, ale Blankenburg zdołał wyłapać dźwięk przewracanych kartek. Najwyraźniej Cerber nie poświęcał odpowiedniej uwagi rozmowie, zajmując się jednocześnie czymś innym. Być może przegląda swoje stare magazyny.

Johann zaklął w duchu. Przyjdzie czas, że to on znajdzie się wyżej w hierarchii.

– Leitner ciężko ranił oficera, który nad nim czuwał – wyjaśnił Cerber. – Obawiam się o to, czy będzie w stanie zrealizować plan Führera do końca.

– Miałem co do tego wątpliwości od samego początku – rzucił Blankenburg.

Od strony holu dobiegł jakiś dźwięk, Johann natychmiast się odwrócił. Zobaczył chłopaka z miotłą, który nagle znieruchomiał. Niemiec przesunął palcem po szyi, wybałuszając oczy, a chłopak szybko odebrał sygnał i się oddalił.

– Nie doceniasz Leitnera – rzucił od niechcenia Cerber.

– A mnie się wydaje...

– Nie interesuje mnie, co ci się wydaje.

Blankenburg miał ochotę splunąć na podłogę przed momentem wyczyszczonej. Powstrzymał się.

– To pierwszy incydent – dodał rozmówca. – Ale jeśli Leitner działa przeciwko Rzeszy, muszę o tym wiedzieć.

- Oczywiście.
- Rozumiesz, do czego zmierzam?
- Tak jest. Mam go pilnować.
- Zgadza się – potwierdził Cerber.

Johann Blankenburg zacisnął usta. Nie miał ochoty niańczyć nieobliczalnego żołnierza Wehrmachtu, którego Cerber przechrzczył na oficera SS, by ten mógł realizować jego plan.

- Jest jeszcze jeden problem – dodał przełożony.

Esesman zmarszczył czoło. Rzadko się zdarzało, by Cerber wspominał o kłopotach wprost. Zazwyczaj używał eufemizmów, nawet gdy sytuacja była poważna.

- Tak? – zapytał Johann.

– Z Konzentrationslager Mauthausen zbiegł Polak, który razem z twoim bratem opuścił Warszawę w pierwszych dniach wojny. Pamiętasz, prawda?

Johann pamiętał jednego z nich aż za dobrze.

- Tak – powiedział.

Torsten, którego Polacy znali pod nazwiskiem Holzer, stanowił najważniejszą sprawę, której nie dokończył. Zbiegł mu sprzed nosa gdzieś we Francji i od tamtej pory Blankenburgowi nie udało się go namierzyć.

Polak zaś niespecjalnie go obchodził. Przekazał go do transportu w Mauthausen, a potem otrzymał pochwałę za to, że ujął partyzanta, który zabił kilku niemieckich żołnierzy w Rawitschu. W rzeczywistości to Torsten był sprawcą, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. Nie sąd miał wymierzyć mu karę, a sam Blankenburg.

- Znajdź tego Polaka, Johann.

- Oczywiście.

- Zbiegł razem z innym, rzekomo dobrze wyszkolonym żołnierzem.

- Zrozumiałem.

– Był jeszcze trzeci, ale komendant Zieries uprzejmie doniósł mi, że jego ludzie zastrzelili go, zanim został przesłuchany.

- Typowe dla personelu obozowego.

- Owszem – przyznał Cerber.

Blankenburgowi cisnęło się na usta, że to typowe również dla całego SS. Niemądrze było jednak otwarcie krytykować najbardziej zaufaną formację Hitlera w rozmowie z Cerberem. Najchętniej zresztą skończyłby już tę gadaninę i zajął się poszukiwaniem jakiejś Polki na noc.

Tym bardziej, że jeśli miał ruszyć tropem dwóch zbiegów, rankiem zapewne opuści Reichshof. Niespecjalnie mu to odpowiadało. Od poszukiwania więźniów były odpowiednie służby, a angażowanie kogoś takiego jak on wydawało się przesadą. Mimo to Cerber musiał mieć powód.

– Najpierw zajmiesz się tą sprawą, potem Christianem Leitnerem. Daj mi trochę czasu, by doszedł do siebie w rodzinnej wsi.

- Rozumiem.

– Pojedziesz do Mauthausen, tam otrzymasz całą niezbędną dokumentację – ciągnął przełożony. – Polacy nazywają się... – Urwał i znów dało się słyszeć szelest przewracanych stron. – Stanisław Zaniewski. Drugi to kapitan Obelt, imię nieznane. Zapisalesz?

Blankenburg znieruchomiał, czując ciarki na plecach. Nie, to niemożliwe, uznał w duchu.

Jego myśli pomknęły w kierunku wymiany ognia na drodze we wschodniej Polsce. Potem przypomniał sobie piwnicę w Lesku, opór polskiego oficera i tortury. Johann ostatecznie wysłał

go do Murnau, a potem polecił dwóm zaufanym funkcjonariuszom SS, by go zabili.

Co się wydarzyło? Jak to możliwe, że ten człowiek żył? Mimo wszystkiego, co Blankenburg mu zafundował, miał czelność...

– Johann? – upomniał go Cerber. – Przyjąłeś?

– Tak, przyjąłem – odparł przez zęby esesman. – I może być pan pewien, że zrobię wszystko, by odnaleźć te polskie psy.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek stał na Place des Martyrs, przez miejscowych zwanym Sahet el-shouhada, i rozglądał się bezradnie. Było mu upalnie w ciemnej abai i żałował, że się jej nie pozbył. Nie było już powodu, dla którego miałby się ukrywać.

Właściwie było wręcz przeciwnie – powinien na każdym kroku afiszować się ze swoją obcością, bo może w ten sposób ściągnąłby na siebie uwagę innych Polaków lub choćby Europejczyków.

Opuścił plac, zszedł w dół jedną z uliczek, a potem z ulgą pozbył się arabskiego stroju. Trzydziestostopniowy żar w połączeniu z bezchmurnym niebem i bez tego dawały mu w kość.

Oparł się plecami o ścianę budynku, korzystając z cienia. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić ani jak sprawić, by Karagiozopoulos uszedł z życiem. Nawet jeśli Zaniewskiemu uda się coś wymyślić, a Imraf okaże się na tyle rozsądny, by zatamować krwawienie przyjaciela, i tak nie zdąży w porę.

Bronek zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Nagle jednak usłyszał zbliżające się kroki i natychmiast przygotował się do odparcia ataku.

Zobaczył chłopaka, który wyszczerzył się do niego, zatrzymując obok.

– Propozycja, by działać szybciej – powiedział łamanym francuskim.

– Że co?

Młody Arab wzruszył ramionami i oparł się o budynek tak, jak przed momentem Zaniewski. Bronek wbił w niego wzrok i poszukał w głowie odpowiedniej formułki po arabsku.

– *Utrukni* – powiedział.

Chłopak skinął głową z uznaniem.

– Z prędkością się uczy, Polak – przyznał. – A mnie wystosował tutaj Abdurachid.

– Kto?

– Imraf. Chce mieć pewność, że Polak nie wywinie żadnego numeru.

Zaniewski westchnął. Oczywiście, czego innego się spodziewał?

– Na razie próbuję wywinąć taki numer, by w ogóle znaleźć moich ludzi – mruknął. – To miasto wchłonęło ich bez śladu.

– Farouk – powiedział Arab.

– Że co znowu?

– Tak dźwięczy moje imię. Farouk Azim.

– Świetnie – skwitował Bronek i ruszył z powrotem na plac.

Jedynym wyjściem było zaczepianie przechodniów i pytanie ich po angielsku lub francusku, czy nie wiedzą o grupie Polaków, która jakiś czas temu przyplłynęła tutaj na „Alepu”. Zaniewski przypuszczał, że wciąż tutaj są, nawet jeśli grecki statek odpłynął.

Farouk ciągnął się za nim jak cień. Bronek ustawił się w centralnym miejscu placu, a potem zaczął podpytywać mieszkańców. Nikt nic nie wiedział. Nawet Europejczycy nie potrafili udzielić mu odpowiedzi.

W końcu Zaniewski uznał, że to bezcelowe. Odwrócił się i popatrzył na Azima.

– Imraf przysłał takiego wątłego chłopaka, żeby obezwładnił mnie, gdybym zaczął kupować broń, czy jak?

– Farouk nie ma zdolności bicia – oświadczył Arab. – Ale biegania z prędkością tak. Doniesienie informacji nie jest problemem.

Bronek westchnął i rozejrzawszy się, wrócił do rozpytywania przechodniów. Efekty były wciąż te same. Farouk z każdym upływającym kwadransem zdawał się jeszcze bardziej zrezygnowany niż Zaniewski.

– Ty popytać kapitana w porcie – zaproponował w końcu Azim.

– Ty zamknąć mordę – odparł Bronek.

Przez moment trwali w milczeniu. Po prawdzie, Zaniewski sam przed momentem rozważał ten pomysł. Ahmed, który powitał ich w porcie, nie był godzien zaufania – ale nie musiał być, by udzielić kilku nieistotnych z jego punktu widzenia informacji. Fakt, że to on zlecił zabójstwo Spiridona, nie miał teraz żadnego znaczenia.

– Chodź – mruknął Bronek, a potem ruszył w stronę portowej części Bejrutu.

Minęli budynek, który stanowił siedzibę władz publicznych i znany był jako Palais de Gouvernement, choć z pałacem nie miał wiele wspólnego. Po przejściu kilkuset metrów zboczyli w prawo, w jedną z ulic odchodzących od placu, a po chwili Farouk wskazał Bronkowi skręt w lewo i oznajmił, że to skrót do portu. Ze względu na to, że idąc tutaj z nadbrzeża, musieli przejść w pełnym słońcu około dwóch kilometrów, Zaniewski przystał na propozycję.

Weszli między budynki i z każdym kolejnym krokiem Bronek miał wrażenie, że miejsca jest coraz mniej. Zaglądał do mijanych klatek schodowych, ale każda wyglądała, jakby była opuszczona.

W pewnym momencie Polak usłyszał szelest za plecami. Przemknęło mu przez myśl, że bez abai stanowi łakomy kąsek dla Arabów, którzy lubili wzbogacać się kosztem samotnych Europejczyków.

– *Hmar!* – krzyknął Azim.

– *Hmar* twoja mać, Farouk.

Bronek odwrócił się, spodziewając się najgorszego. Przed sobą zobaczył śniadego mężczyznę z gęstą, czarną brodą. Trzymał niewielkie ostrze, ale nie sprawiał wrażenia, jakby wiedział, jak się nim posługiwać. Wzrok miał rozbiegany, może nawet nieco się trząśł.

Nieznajomy wyrzucił z siebie coś po arabsku. Zaniewski uniósł ręce, by go nie prowokować. Wyraźnie się obawiał i Bronek sądził, że jak tak dalej pójdzie, mężczyzna może zachować się nieracjonalnie.

Niewykluczone, że pierwszy raz dokonywał rozboju, może spodziewał się kogoś, kto przestraszy się na jego widok. Zaniewski nie miał zamiaru wnikać.

– Co on powiedział? – zapytał półgębkiem Polak.

– Głównie cię obrażać zdążył.

– Tyle sam wydedukowałem – odburknął Bronek. – Powiedz mu, że nie mam pieniędzy, bo ze wszystkiego ograbił mnie twój szef.

Agresor pogroził mu ostrzem i znów coś krzyknął. Nerwy brały w nim górę.

Zaniewski westchnął, uznając, że rozmowa do niczego dobrego nie doprowadzi. Trzeba było załatwić tę sprawę szybko, a potem udać się do portu. Jorgosowi nie przybywało krwi.

Bronek wyczekał, aż napastnik znów pogrozi mu nożem, a następnie rzucił się na niego, jednocześnie opuszczając ręce. Wyprowadził potężny cios w szczękę, wykorzystując siłę

rozpędu.

Tyle wystarczyło. Arab wypuścił broń i zakwilił, padając na ziemię. Wyrznął o brudne, kamienne podłoże, a Polak sięgnął spokojnie po ostrze.

Niedoszły złodziej znów zaczął wyrzucać z siebie niezrozumiałe dla Zaniewskiego słowa, ale tym razem żywo przy tym gestykulował.

- Mówi, żeby niezbyt go krzywdzić, bo posiada dzieci, jak i żonę.
- Niezbyt go krzywdzić, mówisz?
- Takie jego stanowisko.

Bronek westchnął, nie dowierzając, że trafili mu się Arabowie, którzy nie potrafią mówić po francusku. Ten kraj na mocy umowy Sykes–Picot z szesnastego roku formalnie był terytorium mandatowym Francji. Francuski był językiem urzędowym, nauczano go zresztą w szkołach.

Najwyraźniej pech nie chciał go opuścić.

- On tego dokonuje, by uzyskać jedzenie – dopowiedział Farouk.

Zaniewski machnął ręką i skinął na towarzysza, po czym ruszył w kierunku portu. Azim powiedział coś leżącemu na ulicy mężczyźnie i poszedł za Polakiem.

- Gratulacje są w powietrzu – powiedział z uznaniem.

Bronkowi nie chciało się go nawet poprawiać.

- Mhm – mruknął.

- Gdyby Farouk umiał tak łoić, sprawowałby władzę nad Bejrutem.

Na potwierdzenie swoich słów Arab zacisnął pięść, uniósł ją i potrząsnął, przyjmując groźny wyraz twarzy.

- Z pewnością.

Opuścili wąskie uliczki i wyszli na przestronną promenadę. Wzdłuż linii brzegowej rosły palmy, zaraz za nimi znajdował się kamienny mur. Kawalek dalej zaczynało się już morze.

Przeszli do portu i Bronek powiódł wzrokiem za greckim frachtowcem. Bez trudu wypatrzył „Aigokerosa”, który kołysał się lekko na spokojnych wodach.

Bosman Kaklamanis Paspasyrou krzątał się po pokładzie wraz z resztą załogi, która na pierwszy rzut oka prowadziła ożywione prace. Kiedy jednak Bronek przyjrzał im się lepiej, spostrzegł, że jedynie pozorują przeładunek towaru. W rzeczywistości grali na czas, starając się nie ściągać na siebie uwagi załogi portowej. „Aigokeros” niebawem powinien odpłynąć, by nie wzbudzać podejrzeń.

Z drugiej strony wieść o dochodzeniu w sprawie Spiridona zapewne dotarła już do Ahmeda El-Ghazzawy’ego, tyle że Kaklamanis o tym nie wiedział. A powinien. W takich miejscach nic nie dzieje się bez przyzwolenia kapitana portu. Przemyt ludzi, towarów, informacji... wszystko to musiało wcześniej zostać zaakceptowane przez Ahmeda.

To on był osobą, z którą Bronek powinien porozmawiać.

Zaniewski minął „Aigokerosa”, uważając, by nikt z załogi go nie dostrzegł. Pytaniom nie byłoby końca i marynarze w mig zrozumieliby, że ich kapitan jest w niebezpieczeństwie. Nie minęłaby chwila, a popędziliby do centrum Bejrutu, szukać Jorgosa.

– Oto jawi się Ahmed. – Farouk wskazał kapitana portu przechadzającego się wzdłuż linii brzegowej i doglądającego lin cumowniczych.

Zaniewski przyspieszył kroku i po chwili znalazł się przy Arabie, którego szukał. El-Ghazzawy wypatrzył go moment wcześniej. Wsparł się pod boki i pochylił lekko głowę. Przelotnie spojrzął na Farouka i zawiesił wzrok na Zaniewskim.

- Polak z „Aigokerosa” – powiedział.

– Zgadza się.

Ahmed ściągnął brwi, wysuwając lekko język.

– Brzask Śródziemnomorski. – Wyłowił w końcu z pamięci kapitan portu.

– Egejski.

El-Ghazzawy machnął ręką.

– Czego chcesz? – zapytał.

Najwyraźniej w porcie panowały inne zwyczaje niż w centrum Bejrutu. Broniek pomyślał, że natychmiastowe przejście do konkretów jest miłą odmianą.

– Poszukuję grupy moich rodaków – oznajmił Zaniewski. – Przy płynęli tutaj na „Alepu”.

Ahmed uśmiechnął się, obnażając zaniedbane zęby. Właściwie gdyby nie karnacja i rysy twarzy, trudno byłoby powiedzieć, że ten osobnik jest Arabem. Z tego, co zdążył zaobserwować Broniek, ci ludzie wyjątkowo dbali o higienę i kulturę. Co chwila myli ręce i twarz, a mimo upałów żaden z nich nie śmierdział... czego nie można było powiedzieć o greckich marynarzach.

Zanim El-Ghazzawy zdążył odpowiedzieć, odwrócił się do przechodzącego obok mężczyzny. Ten zwolnił nieco, spojrzał kontrolnie na Bronka, a potem pytająco na kapitana portu. Kiedy Ahmed skinął głową, przechodzień wręczył mu kilkanaście banknotów. Zaniewski skupił wzrok na jednym z nich. Przedstawiał panoramę Bejrutu i miał napis „Banque de Syrie et du Grand-Liban”. Kapitan portu zmiął go z resztą i upchnął do kieszeni. Drugi z mężczyzn oddalił się bez słowa.

– Interesom nie ma końca – rzucił mimochodem Ahmed.

Zaniewski przestąpił z nogi na nogę.

– Posłuchaj...

– Rue de Damas siedemnaście – przerwał mu Arab.

– Słucham?

– Tam znajdziesz Polaków, którzy przy płynęli na „Alepu”.

– Ale... – zaczął Broniek i urwał, dochodząc do wniosku, że rozmówca doskonale wiedział, iż Zaniewski się do niego zgłosił. Był na to przygotowany.

– To wszystko? – spytał El-Ghazzawy.

Najwyraźniej Broniek szedł po sznurku, który stopniowo rozwijał Imraf. Nie przeszkadzało mu to – kiedy odnajdzie rodaków, sytuacja diametralnie się zmieni. To on będzie miał przewagę.

Na razie jednak tańczył tak, jak zagrał mu Imraf.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał.

– O to, żebyś wykonywał polecenia.

– To właśnie robię – odparł pod nosem Zaniewski. – Ale może wytłumaczysz mi, czego Imraf chce od grupy Polaków?

– Niczego – odparł rozmówca i wzruszył ramionami. – Polacy gównem go obchodzą.

– Więc...

– Interesują nas za to niezmiennie Francuzi.

– A co oni mają z nami wspólnego?

– Wiele – powiedział nieco ciszej Ahmed. – Nie macie ani swojego kraju, ani żadnego interesu w przebywaniu tutaj. To oczywiste, że działacie w imieniu Francuzów, którzy w zamian obiecali wam ochronę przed Hitlerem.

Zasadniczo nie była to zupełnie absurdalna myśl. Francja i Polska znajdowały się po tej samej stronie barykady, a Liban stanowił francuskie terytorium. Wniosek Arabów mógł jednak być błędny, mogło chodzić o coś zgoła innego, pomyślał Zaniewski.

Przeniósł wzrok w stronę miasta. Uznał, że najwyższa pora zasięgnąć informacji u źródła.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Christian Leitner wszedł do jedyne go wyszynku w Lüttendorfie, który mógł pretendować do miana restauracji. „Der Keller” był prowadzony przez Hansa-Petera Weichmanna od dwudziestu lat, choć kiedy NSDAP doszło do władzy, ludzie spekulowali, że lokal zmieni właściciela. Weichmann był porządnym Niemcem, jakkolwiek do SS nie mógłby aplikować – nie spełniał wymogu nieposiadania żydowskich wstępnych do roku tysiąc osiemsetnego.

Jak sama nazwa wskazywała, „Der Keller” znajdował się w piwnicy, a raczej piwnicznym kompleksie wybudowanym pod szeregiem kamienic w samym sercu Lüttendorfu, przy Hans-Schemm-Straße siedemnaście. Ulica wzięła nazwę od Gauleitera Bayerische Ostmark, który objął urząd w trzydziestym piątym roku – i po katastrofie samolotu w tym samym roku zmarł wskutek odniesionych ran. W głównej sali „Der Keller” obok emblematów nazizmu i innych wczesnogermańskich symboli wisiały podobizny Schemma, a centralne miejsce zajmowało płótno z wymownym cytatem jego autorstwa: „Nie jesteśmy obiektywni – jesteśmy Niemcami!”. Nie była to jednak propaganda. Fraza doskonale oddawała dystans Hansa-Petera do otaczającego świata. Tym bardziej że żydowski właściciel doskonale zdawał sobie sprawę z innych wypowiedzi Schemma, jak choćby nawoływania, by na „każdej latarni wisiał Żyd”.

Leitner zajął miejsce przy oknie i rozłożył przed sobą gazetę. Hans-Peter szybko go wypatrzył. W mig zrzucił wysłużony fartuch, cisnął go na ladę i pospieszył do stolika.

– Karsten! – powiedział. – Miło cię widzieć.

Hans-Peter uparcie przeinaczał imię Leitnera, stosując formę, której używało się na północ od Erfurtu, skąd właściciel restauracji pochodził. Nie bez znaczenia był fakt, że niegdyś Christianowi działało to na nerwy. Teraz jednak przywodziło na myśl miłe wspomnienia, nawet pewną nostalgię związaną z przesiadywaniem w „Der Keller”, zazwyczaj w towarzystwie kilku dziewczyn.

Leitner podniósł się z krzesła i poprawił mundur.

– *Heil Hitler* – powiedział.

Weichmann uniósł niedbale dłoń.

– *Heil Hitler* – odparł, opuścił rękę, a potem postąpił krok naprzód.

Uściskał Christiana niczym dobry wujek, wpędzając oficera SS w konsternację.

– Ledwo cię poznałem – dodał.

– Mundur Schutzstaffel zmienia ludzi.

Hans-Peter wyjął usta i pokręcił głową.

– Lepiej ci było w uniformie Wehrmachtu – zauważył. – Ale nie w tym rzecz. Spojrzałem na ciebie i pomyślałem: Karsten? Sam w Piwnicy? Przecież to niemożliwe. Wiele już widziałem, ale takiego widoku raczej nie.

Leitner uśmiechnął się lekko i usiadł przy stoliku. Przypomniało mu się, że właściciel miał w zwyczaju zalewać klientów typowym dla siebie słowotokiem. Często zresztą dołączał do gości, popijając z nimi piwo i rozprawiając o wszystkim, co mu ślina na język przyniosła. Wyjątkową sympatią darzył braci Leitnerów, z wyjątkiem jednego. Zawsze powtarzał, że „gdzie Gottfried, tam kłopoty”. I zasadniczo nie mijał się z prawdą.

– Front wam zamknęli, czy co? – zapytał, siadając po drugiej stronie. – Czy Wódz chce, żebyście paradowali dumnie w mundurach wśród cywili i podnosili nasze morale? Dawno przyjechałeś? Do kiedy zostajesz?

– Właściwie...

– Helga! – krzyknął Hans-Peter, wyginając się na krześle. – Podaj nam dwa pszeniczne!

Trudno było powiedzieć, czy Helga usłyszała, ale właściciel wydawał się przekonany, że tak. Zaplątał ręce na blacie, uśmiechnął się i skinął ponagląco na Christiana.

– Nie mam już frontowych obowiązków – odparł Leitner. – Choć zapewniam cię, że wolałbym mieć. Służba w Wehrmachcie była znacznie mniej skomplikowana.

– No tak, tak, nic dziwnego. Lepiej działać na modłę: strzelaj, uciekaj, strzelaj, uciekaj, niż wpaść w tę polityczną machinę. SS, SD, Gestapo, policja... to wszystko jest chore, Karsten, mówię ci.

– Przekonuję się o tym na własnej skórze – odparł Christian Leitner.

– Czekaj no, zaraz porozmawiamy – powiedział Weichmann, patrząc nerwowo w stronę kuchni. – Stara krowa nie słyszała, że ją wołam. – Podniósł się. – Co ci podać? To co zawsze? Czekasz na kogoś?

Twarz Leitnera nagle stężała.

– Czekam – odparł, patrząc w stronę drzwi. – A to co zawsze będzie w sam raz.

Chwilę później pojawiła się Helga z kuflem zimnego Lüttendorfer Kellerbier. Oświadczyła, że Hans-Peter zaraz do niego dołączy, bo musi uporać się z czymś w kuchni. Christian podziękował i pociągnął łyk. Wlepił wzrok w pożółkłą kartkę zawieszoną na ścianie obok. Był to tekst ustawy z tysiąc pięćset szesnastego roku o Bawarskim Prawie Czystości. Jej przepisy wyznaczały standardy browarnictwa i sprawiały, że bawarskie piwo zasłynęło na całym świecie. Akt prawny obowiązywał do dziś.

„Jak latem i zimą piwo warzyć i szynkować należy”, głosił początek preambuły. Christian przemknął wzrokiem po reszcie, nie dostrzegając, że do „Der Keller” wszedł mężczyzna, na którego czekał.

Dopiero, gdy ten się zbliżył, Leitner go zauważył.

Zmierzyli się wzrokiem i przez chwilę trwali w milczeniu. Potem Alexander Klaas odsunął sobie krzesło i usiadł po drugiej stronie stołu. Leitner zmroził go wzrokiem.

Zanim którykolwiek z nich się odezwał, do stolika zbliżył się Weichmann.

– Podać coś? – zapytał.

Klaas rozpiął marynarkę oficerską i spojrzał na oszroniony kufel.

– To samo proszę.

– Oczywiście – odparł Hans-Peter, odczekał moment, a potem się oddalił.

Kiedy wrócił z piwem, mężczyźni nadal się nie odzywali. Postawił kufel przed chłopakiem o idealnie aryjskim wyglądzie i odchrząknął.

– Widzę, że rozmowa klei się jak nigdy – zauważył.

Esesmani milczeli.

– Chcesz coś jeszcze, Karsten? – zapytał Weichmann. – Na koszt firmy, skoro tak dawno cię nie było.

– Nie, dziękuję.

Właściciel „Der Keller” skinął głową i znów się oddalił. Leitner odprowadził go spojrzeniem i nabrał tchu. Uznał, że cisza trwała wystarczająco długo.

– Gdzie twój pan? – zapytał.

– Jeśli ma pan na myśli Hauptsturmführera Blankenburga, to zapewniam, że zjawi się we wsi prędzej czy później – odparł Klaas tonem urzędnika państwowego.

– A na razie przysyła swoje ogary?

– Jestem jego zastępcą – powiedział Alex, nie dając się sprowokować. – Mam mieć na pana oko, podczas gdy Hauptsturmführer będzie...

– Daj sobie spokój, Klaas – uciął Leitner, podnosząc kufel. Upił niewielki łyk i oblizał usta z piany. – I przejdź do rzeczy.

– Obawiam się, że nie mam wiele więcej do dodania – odparł chłopak. – Polecono mi dopilnować, by nie atakował pan kolejnych funkcjonariuszy SS. To wszystko.

Christian odstawił kufel i popatrzył na chłopaka spode łba.

– W porządku – odezwał się. – Ale zapewne przyniosłeś też jakieś rozkazy dla mnie.

– Owszem – odparł Klaas i pochylił się. – Cerber przypomina, że czekają jeszcze pana dwa zadania. W Werningerode i Hohehorst.

– Jestem tego świadom.

– Nie mam zamiaru pana ponaglać, niemniej...

– Odpocznę trochę i wykonam rozkazy.

Alexander skinął głową.

– Cerber wydał na to przyzwolenie – powiedział. – Ale chce też, by pan wiedział, że uda się pan potem do Norwegii.

Christian niechętnie okazywał przed innymi zdziwienie. Tym razem jednak nie mógł powściągnąć emocji. Uniósł brwi i potrząsnął lekko głową. Cerber wcześniej o tym nie wspominał.

Leitner poprawił się na krześle.

– To wszystko? – zapytał.

– *Ja, Herr Hauptsturmführer.*

– Więc co tu jeszcze robisz?

Alexander rozejrzał się, nieco skołowany.

– Chciałem zapytać, czy mogę liczyć na gościnę w pańskim domu.

– Słucham?

– Polecono mi, żebym...

– Nie – uciął Christian.

Zanim Klaas zdążył zaproponować, Leitner podniósł się i ruszył do wyjścia. Na odchodnym skinął jeszcze właścicielowi „Der Keller” i usłyszał, jak ten pyta Alexandra, czy podać mu rachunek.

Christianowi nie spieszyło się do domu. Przystawał tu i ówdzie, wspominając chwile, które w rodzinnej mieścinie spędzał z żoną i synem. Wizja opuszczenia kraju i wyjazdu do Norwegii nie była odległa. Znajdował się już krok od zakończenia misji powierzonej przez Cerbera.

Kawałek przed domem zatrzymał się i wyjął papierośnicę od Johanny. Tym razem spojrzął z rozrzewnieniem na grawer, a potem przypalił papierosa. Uznał, że nie czas teraz na reminiscencje. Nadeszła pora, by działać. Musiał doprowadzić kilka spraw do końca, skoro niebawem miał opuścić Niemcy.

Wszedł do budynku, przeszedł przez przestronny hol i skierował się schodami w górę. Zapukał dwukrotnie do gabinetu i poczekał, aż Gabriel się odezwie.

– Proszę – powiedział brat.

Leitner wszedł do środka. Zgodnie z jego przypuszczeniami Maria była na miejscu. Pod jego nieobecność dwójka samozwańczych śledczych postanowiła uporządkować całą posiadaną wiedzę. Na podłodze rozwinęli długi rulon papieru i nakreślili na nim imiona wszystkich podejrzanych. Połączyli je liniami, a pod nimi wypisali wszystkie argumenty przemawiające za

daną osobą. Po drugiej stronie zapisali możliwe alibi.

Christian przez moment przyglądał się tej osobliwej mapie. Nic z niej nie wynikało. Nie zbliżyli się nawet do rozwiązania zagadki.

Spojrzał na swoje imię. Brakowało przy nim potencjalnego alibi, za to argumentów przemawiających za jego „kandydaturą” było aż nadto. Poczynając od alkoholu, na ogólnym rozchwianiu emocjonalnym kończąc.

Leitner westchnął i odpiął kaburę z pistoletem.

Maria obróciła się do niego gwałtownie, Gabriel poderwał się z krzesła.

– Spokojnie, bracie – powiedział. – Nie ma powodów do niepokoju. To tylko...

Christian wyciągnął pistolet. Przekręcił klucz w zamku, a potem wymierzył walthera prosto w Marię. Wiedział, że nikt mu nie przeszkodzi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał starszy z Leitnerów, ruszając w jego stronę.

– Stój – powiedział esesman.

Brat natychmiast wykonał polecenie, unosząc lekko ręce. Ton głosu sprawiał, że Christian nie musiał formułować żadnej groźby.

Polka spojrzała prosto w lufę pistoletu.

– Mogłam spodziewać się, że w końcu do tego dojdzie – powiedziała.

– Mogłaś.

– Christian... – podjął Gabriel. – Czy ty do reszty postradałeś rozum?

– Przeciwnie. Jestem jedynym, który widzi, co tu się wydarzyło.

– Na Boga, bracie, opanuj się... – odparł błagalnie gospodarz. – Ona nie zabiła Algunde. Była tutaj zamknięta, nie miałyby sposobu, by...

– Milcz.

Gabriel nie miał zamiaru dyskutować. Młodszy z Leitnerów widział w jego oczach, że zrozumiał powagę sytuacji. To, co się działo, nie było wynikiem alkoholowego odurzenia. Nie stanowiło nieprzemyślanego posunięcia.

Christian dostrzegł, że brat poruszył się niespokojnie. Starł się niepostrzeżenie wysunąć szufladę biurka i sięgnąć po broń. Esesmana to nie dziwiło. Zżył się z Marią, był gotów jej bronić.

– Jeszcze raz się poruszysz, a możesz być pewien, że strzelę – powiedział Christian.

OKOLICE ST. GEORGEN AN DER GUSEN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Dwóch uciekinierów przeszło kilka kilometrów rozległymi polami uprawnymi, omijając zamieszkane tereny. Nie natrafili na żadną dobrą kryjówkę, w której mogliby odpocząć.

Do wsi się nie zbliżali, świadomi tego, że na widok obozowych pasiaków istniała tylko jedna dobra reakcja. Cywile natychmiast zaalarmowałyby najbliższy posterunek policji, a zbiegłych więźniów szybko odstawiono by z powrotem do Mauthausen.

Dla osadzonych tam ludzi było jasne, że mieszkańcy okolicy są poddawani nieustannej propagandzie. Wmawiano im, że za murami obozu znajduje się najgorszy element, wyjątkowi zwyrodnialcy, którzy zagrażają ładowi publicznemu. Odizolowanie ich przez władze miało zapewnić innym bezpieczeństwo.

Widać było to jak na dłoni, gdy do obozu docierały nowe transporty. Cywile niejednokrotnie ustawiali się wzdłuż peronów, wznosili nienawistne okrzyki czy obrzucali czymś jeńców.

Polacy przeszli jeszcze kilometr, po czym Obelt w końcu zarządził postój. Obaj opadali z sił.

Staszek położył się na ziemi, oddychając ciężko. Z trudem skupiał się na tym, co przed nimi,

nieustannie czując ciężar tego, co zostawili za sobą. Westchnął głośno.

– Najpewniej powiesili go na abendapelu – odezwał się kapitan.

Zaniewski spojrzął na niego i przez moment zastanawiał się, czy powinien cokolwiek odpowiedzieć. Może najlepiej było poradzić sobie z tym samodzielnie i wszelkie wyrzuty sumienia roztrząsać w duchu. Może.

– Było kilka strzałów – zauważył. – Nie sędzę, żeby je przeżył.

Obelt ledwo zauważalnie skinął głową. Obaj wiedzieli, że to zapewne nie przeszkodziło hitlerowcom w powieszeniu ciała tak, by każdy więzień mógł je zobaczyć podczas wieczornej zbiórki.

Kapitan potoczył wzrokiem w kierunku, z którego przyszli.

– Zapewniam cię, Zaniewski, że kiedyś tu wrócę.

– Uhm...

– Wrócę i wybiję ich co do jednego.

Staszek mimowolnie się uśmiechnął.

– Ale wszystko po kolei – dodał oficer. – Najpierw musimy się zorganizować. Dwoch wychudzonych pasiakowców ściągnie uwagę każdego, kto dojrzy nas choćby kątem oka. Ubrania i jedzenie, tego nam potrzeba.

– Mamy dwa szmaciane płaszcze – powiedział Staszek, wyciągając niewielki rulon z materiału. – Czy może raczej dwie szmaty przypominające okrycie...

Od pewnego czasu gromadzili zapasy, ale większość przepadła razem ze Zmitkiewiczem. To w wydrążonej przez niego dziurze znajdowało się najwięcej rzeczy.

– Dobre i to – oznajmił Obelt, choć jego wyraz twarzy mówił zupełnie co innego.

Narzucili na siebie namiastkę okrycia. Nie zasłaniały pasiaków, ale przynajmniej stanowiły pewną ochronę przez zimnem. Zaczęli przeglądać to, co udało im się ze sobą zabrać.

Mieli stępiony nóż Obelta, którego nieraz używał, by dzielić na trzech kawałki kości. Oprócz tego zostało im kilka papierosów i wyleniały, niewielki i twardy koc.

Relikty poprzedniego życia, pomyślał Zaniewski. Było w tym coś pocieszającego, jakkolwiek ograniczone zapasy sprawiały, że trudno było myśleć o przyszłości w jasnych barwach. Ucieczka z obozu to jedno – schody zaczynały się dopiero teraz.

Upomniał się w duchu. Najważniejsze było to, że opuścili Wiener Graben. Skończył się handel ciukami, mordercze formowanie równych rzędów na appellplatz, jedzenie ohydnej zupy przepełnionej awo, a przede wszystkim niezliczone uderzenia palicą i wszystkie inne nieludzkie zachowania strażników oraz kapo. Już nigdy więcej nie będą musieli tego znosić. Teraz jedynymi alternatywami były wolność i śmierć. Z powrotem do baraków nie trafią – jeśli zostaną złapani, esesmani rozstrzelają ich od razu na placu apelowym.

– Co teraz, kapitanie? – spytał Staszek.

– Teraz, Zaniewski, porządnie się wyśpię, a ty rób, czego dusza pragnie, byleby z dala ode mnie.

Staszek rozejrzał się niepewnie.

– Nie wiem, czy to dobre miejsce na sen.

– Oczywiście, że niedobre.

– Więc może poszukalibyśmy innego?

Obelt pokiwał głową z uznaniem.

– Świetny pomysł – przyznał. – Szczególnie, że za sobą mamy obóz, a przed sobą hitlerowców, którzy nas szukają. Wybierajmy kierunek i chodźmy.

Zaniewski milczał.

– Zawsze możemy znów się zakopać – dodał Obelt. – Czy może jest jeszcze jakaś możliwość, o której nie wiem?

– Ma pan rację, kapitanie – odparł Staszek. – To miejsce jest w sam raz.

Zaniewski zamknął oczy. Po raz pierwszy od długiego czasu nie czuł przy tym smrodu wydzielanego przez masę stłoczonych w pomieszczeniu mężczyzn. Brak higieny był dotkliwy, ale w barakach nie śmierdziało jedynie potem. Wszechogarniający był odór śmierci, a wielu więźniów cierpiało także na krwawe biegunki.

Staszek wciągnął głęboko powietrze nosem. Przypuszczał, że trudno będzie zasnąć ze świadomością, że gdzieś w okolicy kręcą się esesmani. Senność nadeszła jednak szybko. Po chwili zupełnie odpłynął.

Kiedy się obudził, miał wrażenie, że śni mu się koszmar.

Dopiero po chwili zrozumiał, że to nie sen, a jawa.

– *Mutti, ich habe in der Schule eine ungenügend bekommen...* – rozległo się.

Zaniewski zupełnie zeszywniał. Nawet gdyby podjął decyzję o ucieczce, nie potrafiłby się podnieść. Nie wierzył w to, co słyszy.

Teraz? Tak szybko? Wszystko miało się skończyć.

– *Warum, Christine? Hast du nicht gelernt?* – dobiegł go inny głos.

Każde słowo było jak mocny prawy prosty, wymierzony między oczy. Staszek czuł się znokautowany, nie potrafił zebrać myśli.

– *Ich habe keine Zeit fürs Lernen, Mutter.*

Obrócił się powoli w kierunku źródła głosu i spostrzegł, że Obelta przy nim nie ma. Właściwie po kapitanie nie było żadnego śladu. Okolica wyglądała, jakby Zaniewski był tutaj sam.

Nagle poczuł uścisk na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył towarzysza, który natychmiast położył palec na ustach. Zaniewski kiwnął głową.

Kapitan wskazał kępę drzew kawałek dalej. Staszek podniósł się i spojrzał w tamtym kierunku. Dostrzegł kobietę, która wraz z małą dziewczynką zbierała grzyby. Prowadziły ożywioną rozmowę, matka sprawiała wrażenie, jakby strofowała córkę.

Zaniewski odetchnął, ale zaraz uświadomił sobie, że to nie skończy się dobrze. Popatrzył na Obelta. Wyraz twarzy oficera nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, co zamierza zrobić.

– To kobieta i dziecko... – szepnął Staszek.

– Dzięki Bogu – odparł Obelt. – Najlepsze, na co mogliśmy trafić.

– Ale...

– Cicho – uciął kapitan. – Chcesz przeżyć?

Trudno było odpowiedzieć w jakikolwiek sposób na tak zadane pytanie. Mimo to Zaniewski skrzywił się i zaczął gorączkowo poszukiwać alternatywy. Nie miał zamiaru atakować Bogu ducha winnych rodzin.

– Czas na uprzejmości wobec Niemców skończył się pierwszego września – wycedził Obelt. – Wiesz, co ci ludzie robią z polskimi kobietami i dziećmi, Zaniewski?

– Nie byłem na froncie.

– Otóż to. Nie byłeś.

Kapitan ruszył powoli w stronę Niemek.

– Idziesz? – zapytał, obracając się przez ramię. – We dwóch zmniejszymy ryzyko, że podniosą

raban.

– Panie kapitanie...

– Bierz dziewczynkę – uciął Obelt. – I nie pozwól, by choćby pisnęła.

Staszek się nie poruszył.

– Zaniewski, kurwa mać! – syknął oficer. – Rób, co mówię!

Staszek zastanawiał się jeszcze tylko przez moment, potem ruszył za żołnierzem. Miał wrażenie, że z każdym kolejnym krokiem oddala się od własnego człowieczeństwa i zbliża do niebezpiecznej granicy. Z drugiej strony była to naturalna wypadkowa wszystkich decyzji, które podjął do tej pory. W końcu musiał stanąć przed podobnym wyborem.

Powoli zakradali się do kobiety i dziecka. Ciche poruszanie się przychodziło im z łatwością, wazyli może po czterdzieści pięć kilogramów. Bezszelestnie zbliżali się do ofiar, a wiejący wiatr tłumiał odgłosy ich kroków.

W końcu znaleźli się na tyle blisko, że Zaniewski poczuł znajomy zapach. Perfumy? Mydło? A może po prostu woń czystego ciała? Trudno było powiedzieć, wszystko zdawało się stanowić wspomnienie innego życia.

Staszek spojrzał na Obelta. Obaj wyglądali podobnie – byli skrajnie wychudzeni, skóra zwisała im z kości, a pod oczami mieli głębokie cienie. Widma.

Zajawszy odpowiednie pozycje tuż przy ofiarach, Obelt uniósł trzy palce, a potem zaczął odliczanie. Kiedy schował ostatni palec, rzucili się na kobietę i jej córkę.

Sprawnie zakleszczyli obie w mocnym uścisku, zasłaniając im usta.

– *Schweigen!* – syknął do ucha matki Obelt.

Jego wymowa pozostawiała wiele do życzenia, ale właściwie mógłby powiedzieć cokolwiek, a kobieta i tak wiedziałaby, że musi być cicho. Spojrzała z przerażeniem na córkę, a Zaniewski zacieśnił chwyt.

Ciało dziewczynki było dziwnie miękkie i ciepłe. Zapach jej ubrań otumaniał.

– Powiedz jej, że potrzebujemy ubrań i jedzenia – odezwał się Obelt.

– Jak?

– Nie wiem. Umiesz sklecić coś po szwabsku, przecież słyszałem.

Staszek zaczął mozolnie sklecać zdania. Raz po raz robił przerwę, a kapitan dodawał, co ma powiedzieć. Nie miał pojęcia, czy kobieta wszystko zrozumiała. Ich żądania nie były skomplikowane – ona miała pójść po rzeczy i jedzenie, podczas gdy oni zostaną z dziewczynką. Jeśli zobaczą coś podejrzanego, zabiją dziecko.

– I niech nam przyniesienie trochę reichsmarek – dodał żołnierz.

Zaniewski nie miał zamiaru brać od kobiety pieniędzy. Zamiast tego powiedział jej po niemiecku, by niczego nie próbowała, a córka będzie bezpieczna.

– *Ferstehe?* – wydukał.

Kobieta patrzyła na niego wybałuszonymi oczami. Pokiwała gorączkowo głową, a Obelt po chwili powoli rozluźnił chwyt. Zachowywała się spokojnie, zważywszy na okoliczności, jednak Zaniewski nie mógł tego samego powiedzieć o jej córce. Dziecko szarpało się i próbowało wyswobodzić za wszelką cenę.

Każdy ruch dziewczynki był jak cios, ale Staszek nie zluzował chwytu choćby o centymetr. Mała odpuściła dopiero, gdy matka się do niej zbliżyła i zaczęła głaskać ją po głowie, przemawiając spokojnym głosem.

Dopóki kobieta nie zniknęła im z pola widzenia, dziewczynka była spokojna. Potem znów zaczęła panikować. Sam odór zatechłego potu musiał sprawiać, że jej przerażenie przechodziło

dziecięce pojęcie strachu. Zaniewski zaklął w duchu i spojrzął na kapitana.

– Chyba nie jesteśmy od nich lepsi – powiedział.

– Co takiego?

– Mówiłem, że...

– Aż za dobrze słyszałem, co powiedziałeś, do kurwy nędzy.

Dziewczynka wylewała łzy, łkając cicho.

– Co zrobimy, jak matka kogoś zaalarmuje? – drążył Staszek. – Zabijemy ją?

Obelt syknął pod nosem.

– Przestań kłapać dziobem, Zaniewski.

– Mówię tylko, że nie ma dla nas żadnego usprawiedliwienia.

Kapitan spojrzął na małą i szybko tego pożałował, gdyż dziewczynka, widząc głęboką bliznę na policzku, jeszcze bardziej zaniósła się szlochem.

– Zmitkiewicz oddał za nas życie – odezwał się Obelt.

– Jestem tego świadomy.

– Więc bądź też świadomy tego, że dziewczynce nic się nie stanie, matce również nie. Przyniesie nam, co potrzebujemy, a potem się pożegnamy.

– I tyle?

– Tak.

– A w umyśle małej do końca życia będzie tkwiła zadra.

Oficer przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę użyć argumentów niewerbalnych. W końcu nabrał tchu i wyprostował się.

– Czego się spodziewałeś? – zapytał. – Że dwóch kacetowców przejdzie przez austriackie miasteczko, po drodze zbierając dobrowolne datki?

– Nie – zaproponował Zaniewski. – Ale nie stoimy pod ścianą.

– A mnie się wydaje, że stoimy.

– Zawsze jest inne wyjście.

– Nie w tej chwili – odparł Obelt. – Musimy nabrać sił, zdobyć cywilne ciuchy. Potem będziemy wybrzydzać w metodach.

– Więc po trupach do celu?

– Literalnie – potwierdził pod nosem kapitan. – Alternatywa jest tylko jedna. Robisz w tył zwrot i wracasz do obozu.

Obelt nie mógł wiedzieć, że gdyby w tej chwili zawrócili, trafiliby wprost na Johanna Blankenburga. Rankiem esesman wysiadł na dworcu w St. Georgen, a w momencie, gdy Polacy wzięli małą zakładniczkę, jechał na motocyklu w kierunku Mauthausen. Tam miał dowiedzieć się o wszystkich szczegółach ucieczki dwóch więźniów.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Pusty tramwaj numer czterdzieści osiem przemknął po rue de Damas. Moment wcześniej Broniek wysiadł z niego w towarzystwie Farouka, a teraz odprowadzał pojazd wzrokiem. Przez moment stukot był tak głośny, że nie sposób było dosłyszeć niczego innego.

Zaniewski przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się pod budynkiem należącym do Mission Laïque Française, organizacji zajmującej się szerzeniem kultury i języka francuskiego na świecie. Robiono to głównie, prowadząc szkoły średnie, lecz w Bejrucie Broniek nie wróżył Francuzom wielkich sukcesów – nastroje separatystyczne były coraz wyraźniejsze.

Zaniewski rozejrzył się, drapiąc się po karku.

– Gdzie numer siedemnaście? – spytał.

– Nie wiadomo – odparł wątlej budowy chłopak. – Stopa moja tu nie padła jeszcze.

Broniek ze świstem wypuścił powietrze, a potem obrał kierunek na chybił trafił. Nigdzie nie widział numerów klitek, więc każdy wybór był równie dobry. Przeszli kawałek w dół ulicy, potem zawrócili i ruszyli w górę.

– Być może, że ta ulica nie posiada takiego numeru – zauważył Farouk.

– Mhm.

– Ahmed potrafił nas oszukać może.

– Może – przyznał Zaniewski, choć nie sądził, by była to prawda. W najlepszym interesie kapitana portu było, by Broniek odnalazł rodaków i dowiedział się, co tutaj robią.

Przeszli jeszcze kawałek, ale stało się jasne, że bez pomocy kogoś obeznanego w okolicy będą błądzić jak dzieci we mgle.

– Dobra konwersacja? – zagaił po chwili Azim.

– Hę?

– Udana wymiana zdań?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Farouk mówi, Broniek poprawia. Tak rysuje się nauka. Farouk chętnie się uczyć.

– Na razie Farouk zamknął gębę – odparł pod nosem Zaniewski, rozglądając się. – A potem podejść do jednego z Arabów i podpytać, gdzie mieszkają Polacy.

– Pustkowie panuje. Nie ma ludzi.

Azim się mylił. Zaniewski dostrzegł nadchodzącego z oddali mężczyznę. Zbliżał się dostojnym krokiem, choć nie wyniosłym. Szedł wzdłuż wysokiego na kilka metrów muru, korzystając z jego cienia. Obok niego, również dumnie, kroczył niewielki pies rasy anatolian. Miał jasnobrązową sierść i białe plamy, sięgał mężczyźnie może do łydki.

Broniek nagle poblądł.

– Nie... niemożliwe... – wydukał.

– Co się wydarza? – zapytał zdezorientowany chłopak, rozglądając się.

Mężczyzna był jeszcze daleko, ale Zaniewski doskonale rozpoznawał twarz. Tego samego nie mógł powiedzieć o przechodniu – widać było, że wytężył wzrok, zaciekawiony dwoma mężczyznami na drodze, ale nie poznaje Bronka.

Polak przełknął ślinę i pokręcił głową. Potem poczuł, jak mimowolnie unosi kąciki ust.

Przybysz nagle zatrzymał się kawałek przed nimi.

– Jak... – zaczął, po czym potrząsnął głową i przyspieszył kroku. – Wielce szanowny panie sierżancie!

Cylinder spadł mu z głowy, ale mężczyzna nie pofatygował się, by go podnieść. Podbiegł do Bronka, a potem uściskał go tak serdecznie, że Zaniewskiemu odebrało dech. Pies skakał wokół, zapewne niewiele rozumiejąc. Po prawdzie, Broniek podzielał jego konsternację.

– Panie Kremmer, do jasnej cholery... – powiedział, klepiąc starego ziemianina po plecach.

Czuł się, jakby odnalazł dawno zaginionego członka rodziny. Być może po części tak było. Uściskom i poklepywaniu nie było końca.

– Starczy tych czułości – powiedział z uśmiechem Zaniewski. – Jakim cudem...

– O to samo chciałem zaindagować! – krzyknął mu do ucha Osmund.

Żołnierzowi w końcu udało się wyswobodzić z uścisku. Obaj sprawiali wrażenie, jakby wygrali los na loterii.

– Żywiłem nadzieję, że jeszcze pana ujrzę – powiedział ziemianin. – Ale żeby tutaj, teraz... doprawdy...

– Ja też żywiłem, panie Kremmer – odparł Bronek, rozglądając się za chłopakiem, który nagle zniknął. Dopiero po chwili Zaniewski dostrzegł, że Farouk poszedł po cylinder. Podniósł go, otrzepał z kurzu, a potem podał Osmundowi.

Ten ledwo to zarejestrował i Bronek nie mógł się dziwić. Sam czuł, jak wypełnia go ulga. Po raz pierwszy od ucieczki z Călimănești nie był sam. Ta myśl tak podniosła go na duchu, że na moment zapomniał o Jorgosie i całej reszcie.

– Doprawdy spodziewałem się tutaj spotkać każdego, ale nie pana! – powiedział Kremmer.

– Wzajemnie.

– Co szanowny pan sierżant robi na krańcu świata?

– Długa historia. Stanowczo za długa – odparł Bronek, spuszczać wzrok na skaczącego wokół psa. – Maniura jest z panem? – zapytał.

– Och, nie. Niestety nie, sierżant Maniura został we Francji.

– We Francji?

Najwyraźniej ziemianin miał do opowiedzenia równie długą historię, a może nawet dłuższą. Najważniejsze jednak było to, że obaj wyszli cało z ucieczki. Bronek spodziewał się najgorszego, gdy samochód nie wrócił, ale w głębi duszy wiedział, że towarzysze sobie poradzą.

– Zgadza się – powiedział Kremmer. – Dotarliśmy tam z Jugosławii, gdzie szybko zorganizowano nam... – Osmund urwał i plasnął ręką w czoło. – Nie będziemy takich rozmów prowadzić na ulicy – powiedział, a następnie wskazał budynek nieopodal. – Tam spokojnie porozmawiamy.

Zaniewski skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku. Farouk ruszył za nim, co wywołało w starym ziemianinie niemałe zdziwienie.

– Kimże jest ten młodzieniec? – zapytał podejrzliwie.

– Dobre pytanie.

– Farouk Azim ibn Abd al-Muhaymin – przedstawił się Arab.

Kremmer uchylił mu kapelusza.

– Mniemam, że ten jegomość jest zaufany?

– O tyle, o ile – odparł Bronek. – Robi mi za... pewnego rodzaju przyzwoitkę.

Osmund spojrział na rozmówcę pytająco, ale kiedy nie otrzymał odpowiedzi, otworzył drzwi na klatkę i zamasztywym ruchem ręki zaprosił obydwu przybyszów do środka. Zaniewskiemu przemknęło przez myśl, że brakowało mu Kremmera.

Osmund wprowadził ich do niewielkiego, skromnie urządzonego pokoju. Gdyby Imraf mógł zobaczyć tę klatkę, prawdopodobnie z miejsca uznałby, że Polacy niczego groźnego w Bejrucie nie kombinują. Miejsce przywodziło na myśl lokum najbiedniejszych mieszkańców miasta.

Na starych fotelach siedziało dwóch mężczyzn, którzy podnieśli się jak jeden mąż, gdy tylko zobaczyli niespodziewanych gości. W tym samym momencie sięgnęli pod poły marynarek i wyciągnęli broń.

Bronek bez trudu rozpoznał polskiego visa – najlepszy pistolet, jakim miał okazję strzelać. Widok podzielał na niego krzepiąco, mimo że broń była wycelowana w niego.

– Arcydzieło polskiej sztuki wojskowej – odezwał się na powitanie. – Kaliber dziewięć milimetrów, stworzony przez Wilniewczyca i Skrzypińskiego, skąd wzięło pierwotną nazwę. Potem „w” zamieniono na „v” i zyskano nową, chwytliwą, łacińską nazwę, oznaczającą „siłę”.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem przenieśli wzrok na Kremmera.

– Co to ma znaczyć? – zapytał jeden z nich.

– Spokojnie, panie poruczniku, to przyjaciel. Opowiadałem o nim nieraz.

Oficer przez moment się wahał, potem jednak zmrużył oczy, schował visa za pazuchę i podszedł do przybysza.

– Zaniewski, jak mniemam – powiedział.

Drugi opuścił broń, ale wciąż patrzył bacznie na Farouka.

– Tak jest – potwierdził Bronek.

– Pan Kremmer systematycznie zanudzał nas opowieściami o panu – odparł mężczyzna i podał mu rękę. – Porucznik Kazimierz Filarski. – Obejrzał się na towarzysza. – A to starszy sierżant Janek Stolot.

Zaniewski przyjął postawę zasadniczą i zasalutował, przykładając dwa wyprostowane palce do skroni.

– Jest za gorąco na saluty, sierżancie – stwierdził Filarski. – Zresztą okoliczności naszego spotkania też są raczej egzotyczne.

Osmund Kremmer dopiero po chwili uświadomił sobie, że to do niego adresowana była uwaga. Odchrząknął, a potem wskazał gościowi miejsce przy niewielkim stole. Wszyscy usiedli, a ziemianin zaczerpnął tchu.

– Otóż, jak panowie wiedzą, dziś o poranku zdecydowałem się...

– Tak, tak – uciął Kazimierz i spojrzał na Zaniewskiego. – Może niech pan opowie, sierżancie.

Bronek szybko nakreślił oficerowi, w jaki sposób trafił na Kremmera – oraz w jaki sposób sam dostał się do Libanu. Starał się nie rozwlekać, ale i tak chwilę zajęło mu opisanie drogi z Rumunii.

– Fascynujące – skwitował Filarski. – Choć chyba powinniśmy się tego spodziewać, biorąc pod uwagę, co mówił na pański temat pan Kremmer.

Bronek uniósł brwi.

– Strzelec wyborowy, góra niemieckich trupów w pierwszych dniach wojny... sądzić by można, że pan Kremmer nazmyślał.

– Gdyby go nie znać.

– Otóż to – potwierdził porucznik, a potem nagle spowaźniał. – I twierdzi pan, że ktoś nas szuka?

– Niestety. Grupa Syryjczyków sądzi, że działamy z Francuzami.

– Całkiem słusznie – odparł Kazimierz i wzruszył ramionami. – Ale nie widzę, dlaczego miałoby to stanowić wielki problem.

– Na razie nie stanowi – przyznał Zaniewski. – Przynajmniej nie dla nas. Natomiast kapitan statku, na którym tu przypląnąłem, potrzebuje naszej pomocy.

Filarski i Stolot spojrzeli na siebie. Nie musieli się odzywać, by Bronek domyślił się, co chodzi im po głowie. Zaległo milczenie, Kremmer oddychał ciężko. W końcu porucznik omiół wzrokiem stolik i rozgrzebał leżący na nim stos papierów oraz gazet.

Bronkowi rzuciło się w oczy dzisiejsze wydanie jednego z francuskojęzycznych dzienników, który na pierwszej stronie informował wielkimi literami o dwóch osobach, które zginęły tego dnia w pożarze mieszkania oraz dwóch innych, które zmarły na skutek obrażeń po wyskoczeniu z okna budynku.

Filarskiemu w końcu udało się odnaleźć paczkę papierosów bez filtra marki Gauloises.

Poczęstował Zaniewskiego, a potem przypalił sobie i podał zapalki Bronkowi.

- Sierzancie... – zaczął. – Nie jesteśmy tu po to, by wchodzić w konflikty z Syryjczykami.
- Rozumiem.
- Nasza misja jest jasna i nie muszę chyba dodawać, że istotna.
- Nie musi pan.

Kazimierz zaciągnął się głęboko, przymykając oczy.

- Syryjski tytoń – powiedział. – Ale paczka przywieziona z Francji.

– Takie czasy – odparł Broniek, choć nie bardzo wiedział, co to ma do rzeczy. – O jakiej misji mowa?

- Mamy zrobić rekonesans – powiedział Filarski. – I zebrać odpowiednie zaplecze personalne.
- W jakim celu?
- Żebyśmy byli gotowi, gdy nasi się tu zjawią.

Zaniewski poczuł, że jego serce ominęło jedno uderzenie.

- Sztab formuje tu oddziały? – zapytał. – W Libanie?

– Sikorski zabiega o to, od kiedy opuścił kraj. Ale ten sk... – Kazimierz na moment urwał. – Ale nasz przyjaciel Gamelin dotychczas cały czas go spławił.

Broniek doskonale znał nazwisko głównodowodzącego francuskiej armii. To ten człowiek przed wojną podpisywał układ z Polakami – układ, który gwarantował, że w razie agresji Niemiec Francja uderzy z powietrza i włączy się w obronę napadniętego kraju.

- Twierdzi, że nie mają dla nas koszar, uzbrojenia... i tak dalej – ciągnął Kazimierz.

– Mhm.

- Mam nadzieję udowodnić zabojadom, że tutaj możemy coś zdziałać.

– Tutaj?

– W grudniu formalnie przyszła zgoda na formowanie oddziałów. Musimy tylko znaleźć dogodny teren działania.

Zaniewski potoczył wzrokiem po zapyziałym pokoju. Jeśli w ten sposób rozpoczynało się powtórne montowanie polskiej armii, trudno było o optymizm. W dodatku Liban nie stanowił wymarzonego miejsca, by walczyć z hitlerowcami...

- Ale panie poruczniku, dlaczego tutaj?

Filarski przeciągnął papierosa.

- Z Rumunii naszym łatwiej przedostać się tutaj niż do jakiegokolwiek portu w Europie.

– Pan wybaczy, ale...

– To niewystarczający powód? – wpadł mu w słowo Kazimierz. – Oczywiście. Ale widzę, że wypadł pan nieco z obiegu.

Zaniewski potwierdził ruchem głowy.

- Hitler się tutaj zjawi, prędzej czy później – oznajmił Filarski.

– Raczej prędzej – dodał milczący dotąd Janek Stolot.

Broniek popatrzył na jednego i drugiego, jakby mieli za moment powiedzieć, że to wszystko to tylko ponury żart.

– Mimo wszystko bardziej przydalibyśmy się w Europie, panie poruczniku – odezwał się Zaniewski. – Walcząc o swój kraj, nie o państwo, którego większość Polaków nie potrafi nawet umiejscowić na mapie.

- Trzeba myśleć perspektywicznie – odparł Filarski.

Broniek spokojnie czekał na ciąg dalszy, ale po chwili zrozumiał, że to wszystko, co porucznik ma do przekazania. Zaniewski zdawał sobie sprawę, że niewiele od niego zależało – Filarski

otrzymał rozkazy i miał wykonać je najlepiej, jak potrafił.

– Szanowni panowie – odezwał się w końcu Kremmer. – Pomny wszystkiego, co powiedzieliście, poczuwam się do obowiązku, by powiedzieć, że spadnie na nas sromota, jeśli nie podamy pomocnej dłoni temu biednemu Grekowi.

Żołnierze patrzyli na niego, jakby mówił w innym języku. Osmund spojrzął na Bronka i porozumiewawczo skinął do niego głową.

– Jeśli pan porucznik Filarski ani sierżant Stolot nie mogą znaleźć w swych honorowych sercach wystarczająco dużo odwagi, ja pójdę z panem na ratunek kapitanowi.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

– Przepraszam – powiedział Christian Leitner, wciąż trzymając Marię na celowniku. – Przepraszam za wszystko.

Było to dramatyczne, szczególnie jak na niego. Poczł jednak, że słowa same opuściły jego usta. Był odpowiedzialny za wszystko, co ją spotkało. Wszystko, co ostatecznie doprowadziło do tego momentu.

Zauważył, że trzęsą jej się usta. Oddychała nierówno, przekonana, że to jej ostatnie chwile.

Gabriel wykonał nieznaczny ruch, odsuwając szufladę jeszcze trochę. Christian dostrzegł to bez trudu.

– Sprawdzasz mnie, bracie? – zapytał. – Nie radzę.

– A ja nie radzę ci brnąć – odparł Gabriel. – Powtarzam po raz ostatni, że dziewczyna jest niewinna. Była tutaj cały czas.

Leitner nabrał tchu.

– Nic nie zrobiła – ciągnął jego brat. – I nie pozwolę, by coś jej się stało.

– Wiem.

Ku zaskoczeniu reszty, Christian powoli opuścił broń. Nie całkiem, ale wystarczająco, by Maria odetchnęła. Gabriel zamarł, niepewny, co się dzieje.

Młodszy z Leitnerów obrócił się do brata i powoli uniósł walthera. Wycelował w głowę tymczasowego gospodarza. Ten cofnął się mimowolnie.

– Czyś ty oszalał? Co ty wyprawiasz?

– Przepraszam – powtórzył Christian, patrząc na Marię, nie na brata. – Musiałem być pewien, jak się zachowa.

– O czym ty mówisz? – zapytała.

– Idąc tutaj z „Der Keller”, sądziłem, że będę musiał do niego strzelić. Teraz wiem, że to nie będzie konieczne.

Gabriel zupełnie pobladł. Zrobił krok w stronę biurka, ale młodszy z braci szybko wysunął dłoń z pistoletem.

– Christian, do cholery... – zaczęła Maria. – Czy ty nie widzisz, że coś jest z tobą nie w porządku? Przeszedłeś załamanie, wyprali ci umysł... sama nie wiem. Jedno jest pewne: potrzebujesz pomocy.

Esesman zbliżył się do biurka.

– Zasuń szufladę – powiedział.

Teraz, gdy celował prosto w Gabriela, ten najwyraźniej był bardziej skory do współpracy. Wykonał polecenie bez słowa.

– Przykro mi, że musiałaś w tym uczestniczyć – powiedział młodszy z Leitnerów.

– Już przepraszałeś. Nie ma to żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma.

Maria potrząsnęła głową.

– Zastanów się nad tym, co chcesz zrobić – odezwała się spokojnym, wyważonym tonem. – Gabriel nie mógł zabić Algunde.

– Ponieważ ma alibi?

– Tak – odparła bez wahania Polka.

Przez moment panowała ciężka cisza. Christian spojrzał na Marię i spostrzegł, że ta ściągnęła brwi. Analizowała jego pytanie. Gdyby zadał je teraz, nie odpowiedziałaby tak szybko.

– Na Boga... – powiedział Gabriel. – Chyba mu nie wierzysz?

Nie odezwała się. Wreszcie zaczynała rozważać to, o czym powinna pomyśleć od samego początku.

– Kiedy zabito Algunde, spałem – zaproponował starszy z braci.

– Z Heleną, która to potwierdzi? – zapytał Christian.

– Nie – wyręczyła gospodarza Maria. – Sprawdzaliśmy jej alibi. Nie spali razem. Helena twierdziła, że ostatnimi czasy rzadko dzielą łóżce.

– Podała powód?

– Niejeden – odparła Polka. – Mówiła, że Gabriel dziwnie się zachowuje, śmierdzi końmi, nie myje zębów, lunatykuje, wierci się, chrapie... litanii nie było końca.

Gabriel poczuł przemożny niepokój. Jeszcze przed momentem sytuacja wydawała się dramatyczna, ale nie tragiczna. Jednak teraz, kiedy Maria zaczęła podzielać absurdalne podejrzenia Christiana, wszystko mogło skończyć się w najgorszy możliwy sposób.

Zastanawiał się, jak do tego wszystkiego doszło. Podejrzałyby Helenę o manipulację i próbę wrobienia go w zabójstwo, ale ona nie miała odpowiedniej siły przekonywania, by omamić Christiana.

Naraz Gabriel zrozumiał, co się stało.

– Posłuchaj mnie, bracie – zaczął. – Ona tobą steruje.

Christian nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar w ogóle dopuścić taką możliwość.

– Wykorzystuje to, co was łączy – dodał Gabriel. – I robi to, żeby się udało.

Leitner popatrzył na Marię i stwierdził w duchu, że to nie do końca irracjonalny scenariusz. Być może dopuściłby go, gdyby nie to, że sprawdził wszystkie możliwości, a ostateczne potwierdzenie otrzymał, gdy wycelował do Marii z walthera.

Teraz ona również na niego popatrzyła. Zobaczył w jej oczach, że udało mu się do niej dotrzeć. Zrozumiała, że dotychczas traktowała Gabriela jako jedyne porządnego człowieka w całej rodzinie. I że nigdy nie sprawdziła, co robił tamtej nocy, gdy zginęła Algunde.

– Nikt mną nie steruje, Gabriel – powiedział spokojnie esesman. – Już nie.

Gabriel otworzył usta, ale się nie odezwał. Musiał sądzić, że ma do czynienia z szaleńcem – i właściwie Christian nie mógł się dziwić.

– Siadaj – polecił. – I słuchaj.

Brat zawahał się, a potem ostrożnie zajął miejsce za biurkiem.

– Rozmawiałem z Kernrotem – oznajmił esesman. – Rozmawiałem też z Heleną – dodał, chowając broń do kabury.

Nie było już potrzeby, by grozić bratu. Zresztą nikt w pomieszczeniu nie dążył do konfrontacji. Jedynym orężem, jakiego mieli zamiar użyć uczestnicy tej rozmowy, były

argumenty. A Leitner miał ich sporo.

Gabriel odetchnął z ulgą. Najwyraźniej z Christianem nie było tak źle, jak przypuszczał. Może jeśli przez moment się zastanowi, dojdzie do wniosku, że jego starszy brat nigdy nie podniósłby ręki ani na Algunde, ani na żadną ze służących.

Kilka lat temu Gabriel był zmuszony uśpić starego, poczciwego psa. Długo walczył ze sobą, aż w końcu zlecił to jednemu z sąsiadów. Co dopiero mówić o wbiciu komuś w głowę metalowego przedmiotu.

Spojrzał na brata z nadzieją, że to rozumie. Jego wyraz twarzy był jednak nieprzenikniony. Gabriela naszyły czarne myśli. Zaczął obawiać się, że to nie skończy się dobrze.

Christian zapiął kaburę i położył na niej dłoń.

– Helena już jakiś czas temu wspominała mi o twoich problemach – odezwał się. – I oczywiście pomyślałem o nich, gdy tylko usłyszałem, że Algunde nie żyje. Zaraz jednak odsunąłem to od siebie i dopóki nie rozmówiłem się z Kernrotem, nie byłem gotów przyjąć, że jesteś winny.

– Ale...

– Lekarz potwierdził, że twój stan znacznie się pogorszył.

Gabriel pobladł.

– Nie wiedziałem jedynie, ile w tym twojego świadomego działania – ciągnął oficer SS i wskazał na Marię. – Dopiero twoje zachowanie kazało mi sądzić, że sam jesteś nieświadomy tego, co zrobiłeś.

Polka pokręciła głową, jakby starała się zaprzeczyć wszystkiemu, co się działo.

– Jak miałaś nie wiedzieć, że zabija? – zapytała.

– Cierpi na somnambulizm, przynajmniej według wstępnej diagnozy Kernrota. Jest niepełna, bo mój brat nie dał mu się dokładnie przebadać.

Maria uniosła brwi.

– Helena kilkakrotnie widziała, jak wychodził z łóżka, zupełnie nieświadomy.

– Owszem, jestem lunatykiem – przyznał Gabriel. – Ale to nie znaczy, że wyrządziłem komukolwiek krzywdę.

Christian wyciągnął papierośnicę i poczęstował resztę. Przez moment palili w milczeniu.

– Helena już od pewnego czasu się ciebie boi – odezwał się w końcu młodszy z Leitnerów. – Dlatego nie chce dzielić z tobą łoża, bracie. I wydaje mi się, że całkiem zasadnie. – Zaciągnął się. – Według Kernrota, który, swoją drogą, niechętnie wyjawiał twój sekret...

– To nie żaden sekret.

Christian zbył jego słowa zdawkowym skinieniem.

– Według Kernrota już w siedemnastym wieku miał miejsce pierwszy udokumentowany przypadek zabójstwa dokonanego przez lunatyka. Pewien człowiek w Paryżu przez sen przepłynął Sekwanę z mieczem przy pasie, zamordował swoją ofiarę, po czym wrócił do łóżka i spał dalej. Bez przebudzenia.

– To jakiś absurd – powiedział Gabriel, zaciągając się papierosem tak mocno, że nie mógł strzepać spalonego tytoniu do szerokiej, ceramicznej popielniczki.

Christian wyciągnął z kieszeni marynarki złożoną na cztery kartkę i ją rozprostował.

– 1846 rok, Albert Tiller, Boston. Przez sen zamordował prostytutkę za pomocą zyletki, rozcinając jej gardło tak głęboko, że głowa została niemal odseparowana od reszty ciała. 1853

rok, służąca Sarah Minchin morduje we śnie jedno z dzieci właściciela domu. 10 kwietnia 1878 roku, inne dobrze udokumentowane morderstwo dokonane przez śpiącego lunatyka, tym razem w Szkocji. Simon Fraser zabija swojego syna, tłukąc jego głową o ścianę. Rok 1879, Kentucky, człowiek nazwiskiem Fain zasypia w holu hotelu Veranda, po czym we śnie atakuje jednego z portierów i pozbawia go życia. Rok 1910, również Kentucky, człowiek nazwiskiem Tibbs bije, a potem zadaje śmiertelne ciosy nożem swojej ofierze przez sen. Rok 1925, Texas, Isom Bradley budzi się z pistoletem w ręku, stojąc obok ciała dziewczyny, która stała się jego ofiarą.

Christian złożył kartkę. Zapadło milczenie.

– Ja... ja nie...

– Helena przez lata trzymała twoją przypadłość w tajemnicy, nawet przed tobą – dodał esesman. – Poprosiła Kernrota o pomoc dopiero, gdy symptomy się nasiliły.

Gabriel zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie – powiedział. – To niemożliwe.

– Niemożliwe jest to, że teraz Kernrot chce opublikować twój przypadek – odparł Christian. – A raczej chciał, zanim nie wytłumaczyłem mu, że byłoby to niemądre.

Starszy z Leitnerów przez chwilę trwał w bezruchu. Potem nagle schował twarz w dłoniach i oparł łokcie o blat biurka. Christian spodziewał się, że brat nie będzie się zapierał. Był rozsądnym człowiekiem, pragmatykiem – statystyki i fakty przemawiały do niego znacznie bardziej niż cokolwiek innego.

Nie był pierwszy. I z pewnością nie był ostatni. Tyle udokumentowanych przypadków kazało sądzić, że nie jest to nic, co nagle pojawiło się we współczesnym świecie. Musiało drzemać w ludzkiej duszy od zawsze.

Christian obszedł biurko i stanął przy oknie. Nie odwracając się, wyciągnął rękę i położył dłoń na plecach Gabriela.

– To nie twoja wina, bracie – powiedział.

– Jeśli... jeśli ja to zrobiłem... – zaczął starszy z Leitnerów, ale głos uwiązł mu w gardle.

– Nie zrobiłeś tego świadomie – przypomniał spokojnie Christian. – W świetle prawa nie ponosisz odpowiedzialności. Żadna z wymienionych przeze mnie osób nie została nigdy skazana, wszystkich uniewinniono.

– Prawo to nie moralność – odparł słabo Gabriel, podnosząc głowę. Popatrzył na Marię, a ta odpowiedziała spojrzeniem, którego znaczenie trudno było odczytać.

Christian skupił się na widoku za oknem. Kawałek za domem widział drzewo, a raczej wystający z ziemi patyk, który miał być jego załączkiem. Zasadził je wraz z Maximilianem podczas ostatnich wakacji.

Esesman odwrócił się od okna.

– Poddasz się leczeniu – powiedział. – Znalazłem już...

– Nie – zaoponował Gabriel. – Nie. Muszę stawić temu czoło, muszę... trzeba, by postawiono mi zarzuty, musi odbyć się rozprawa.

Młodszy z Leitnerów przesunął ręką po ogolonej brodzie. Niełatwo przychodziło mu obserwowanie, jak na jego oczach niszczy ostatni fundament, ostoja rodu. Gabriel zawsze był spoiwem, teraz jednak okazał się najsłabszym elementem.

– Znalazłem już miejsce – powtórzył. – I lekarza, który się tobą zajmie. To zaufany człowiek, nie byle łapiduch jak Kernrot. Nie będzie policji, sądu ani...

– Nie.

– To nie podlega dyskusji.

Oficer SS spojrział na brata z góry i przez moment świdrował go wzrokiem w milczeniu. Wiedział, po jaki argument musi sięgnąć, by Gabriel zaczął robić to, co mu każe.

– Tej rodziny nie stać na taki cios, rozumiesz? – podjął. – Zarzuty i proces sprawią, że wraz z tobą ucierpią wszyscy inni. Chcesz tego?

Pokręcił głową, lecz był to zupełnie nieświadomy odruch. Gabriel w końcu zacznie myśleć racjonalnie, Christian nie miał co do tego wątpliwości. Tymczasem jednak musiał uporać się z jedną rzeczą, bez której nie będzie mógł ruszyć dalej.

Obaj Leitnerowie spojrzeli na zupełnie skołowaną Marię.

– Wybacz... – zaczął Gabriel. – Wybacz mi.

OKOLICE ST. GEORGEN AN DER GUSEN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Staszek nie miał bladego pojęcia, jak uspić dziecko. Emocje wprawdzie opadły i do głosu doszło zmęczenie, ale dziewczynka miała oczy jak dwa księżycy w pełni. Zaniewski i Obelt milczeli przez pewien czas z nadzieją, że to sprawi, iż mała przyśnie. Potem Staszek zaczął ją lekko kołysać. Z niewypowiedzianym zdziwieniem zobaczył, że jej powieki powoli opadają.

W końcu zasnęła.

– Być dzieckiem to błogosławieństwo – szepnął Zaniewski. – Mało co może wytrącić cię z naturalnego rytmu.

Obelt przeczesywał wzrokiem teren, starając się wypatrzeć matkę dziecka. Potem przeniósł spojrzenie na dziewczynkę.

– Chyba nie do końca – odparł, wskazując rękę, która nagle drgnęła.

Staszek zakołysał jeszcze raz.

– Zryw miokloniczny – powiedział.

– Żerdź sprężyny powrotnej.

– Słucham?

– To ja słucham – odparł Obelt. – O czym mowa?

– O zrywie następującym przed snem, kiedy mózg wysyła impulsy do mięśni, by sprawdzić, czy są rozluźnione i organizm może spokojnie pogrążyć się we śnie.

Oficer sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar podnieść się i odejść jak najdalej. Nagle jednak wycężył wzrok i zrobił się czujny.

– Wraca – powiedział na tyle głośno, że dziewczynka się rozbudziła.

Zaniewski obejrzał się w kierunku, z którego nadchodziła kobieta. Jej córka drgnęła i nieomal wyrwała się Staszekowi na widok matki. Ten zacieśnił chwyt, mając nadzieję, że to już ostatni raz, gdy musi ją powstrzymać.

Obelt podniósł się i przyglądał kobiecie. Szła spokojnie, nie sprawiała wrażenia, jakby coś kombinowała.

– I co pan sądzi? – zapytał Zaniewski.

– Że jeśli ktoś we wsi choćby spojrział na jej twarz, zobaczył, że coś jest kurewsko nie w porządku.

Niosła duży wiklinowy kosz. Dość ciężki, jeśli to, że przechylał się na bok, mogło o czymkolwiek świadczyć. Obelt oderwał od niego wzrok i rozejrzał się po polach uprawnych. Nie widział wielu miejsc, w których można by się schować. Jeśli ktoś zamierzał ich atakować, zapewne obszedł las, który mieli kawałek za plecami.

Kobieta w końcu do nich podeszła. Postawiła kosz przed uciekinierami i otarłszy łzę, spojrzała niepewnie na dziecko.

– Bitte... – wydukała.

Staszek spojrzał na kapitana.

– Puszcząć małą? – zapytał.

– Nie, jeszcze nie – odparł oficer i pochylił się nad zdobyczą.

Wyciągnął z kosza dwie marynarki i parę spodni. O bieliźnie kobieta nie pomyślała, a szkoda, bowiem nie pamiętał już, jak to jest nosić jeszcze jedną warstwę pod spodniami. W wiklinowym pojemniku znajdowało się też kilka pęt kiełbasy i trzy bochenki chleba.

Widząc tyle jedzenia, Obelt niemal zakrztusił się śliną.

– I? – ponaglił go Zaniewski.

– Nie ma tego wiele, ale zawsze coś. Reichsmarek brak.

– Miałem na myśli to, co teraz z nimi zrobimy.

Oficer podniósł się powoli i obrócił w stronę lasu.

– Pójdą z nami kilka kilometrów na zachód.

– To aby dobry pomysł?

– Najlepszy z możliwych – odparł Obelt. – Poszedłbyś do wojska, dorobiłbyś się stopnia kapitana, też byś tak uznał.

Staszek nie wyglądał na przekonanego.

– Rusz głową, Zaniewski. Te dwie będą stanowiły idealny element maskujący. Jaki Niemiec zwróci uwagę na czwórkę ludzi wyglądających jak rodzina na spacerze?

Staszek potoczył wzrokiem po wszystkich zebranych. Właściwie trudno było podważyć tezę kapitana. Przez jakiś czas starali się wytłumaczyć kobiecie, czego od niej wymagają, aczkolwiek szybko uznali, że nawet jednocząc siły w walce z językiem niemieckim, są na przegranej pozycji. W końcu z pomocą sugestywnej gestykulacji udało im się wyłuszczyć sedno sprawy.

Kobieta była śmiertelnie przerażona, z pewnością głównie za sprawą nazistowskiej propagandy. W dwóch wychudzonych mężczyznach upatrywała zwyrodnialców, o których nieustannie mówiono i pisano. Według gazet byli zdolni do najgorszych czynów.

– Zjedzmy – zaproponował Obelt, przysuwając koszyk.

Robili wszystko, by okiełznać dziki apetyt, ale nadaremno. Niemka z odrazą patrzyła, jak odrywają kawałki kiełbasy i dopychają je w ustach chlebem. Szybko się umorusali, odbijało im się, a podczas przeżuwania wydawali odgłosy, jakby doświadczali erotycznego uniesienia.

– Zaniewski... – wymamrotał z pełnymi ustami Obelt.

– Hm?

– Nigdy nie sądziłem, że niemiecka kiełbasa będzie mi tak, kurwa, smakowała.

Staszek zaśmiał się pod nosem, nie przestając przeżuwać. Miał jeszcze w ustach niemały kęs, ale już władował kolejny, zagryzając kawałkiem chleba. On także nigdy nie przypuszczał, że jakiegokolwiek jedzenie będzie mu tak smakowało.

Nagle jednak zamarł, dostrzegając wzrok dziewczynki. Spojrzała na niego z tak wielkim strachem, że przęłyk mu się zwęził. Natychmiast się odwróciła, a potem ukryła w ramionach matki.

Dopiero teraz pomyślał o tym, jak muszą wyglądać w oczach kobiety i jej córki... czy na dobrą sprawę, jak muszą wyglądać w oczach zewnętrznego świata. Nikt nie wiedział, co działo się za murami Mauthausen. A nawet jeśli, nikt nie potrafiłby zrozumieć.

Piekło stanowiło wielkie niedomówienie. Każn była tylko częściowo właściwym określeniem.

Zaniewski oderwał kawałek chleba i wyciągnął go w kierunku Niemek. Kobieta się wzdrygnęła, odsuwając nieco. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że bochenek jest cały

ubrudzony ziemią.

Przez chwilę Staszek trwał w bezruchu. Potem zwyciężyła natura – zajął się na powrót jedzeniem i po raz kolejny nie potrafił nad sobą zapanować.

Rezultat mógł być tylko jeden, i Zaniewski był tego świadomy. Po posiłku wraz z Obeltem odwrócili się, a potem wyrzucili z siebie zdecydowaną większość tego, co zjedli. Smród rzygowin uniósł się znad resztek jedzenia, ale żaden ze zbiegów nawet tego nie odnotował.

Na więzienne pasiaki narzucili marynarki, a potem spojrzeli na siebie. Zaniewski musiał przyznać, że dobrze było w końcu zasłonić czerwony, odwrócony trójkąt z wpisaną w niego literą „P”. Oznaczenie polskiej narodowości towarzyszyło mu od pierwszego dnia w Mauthausen, podobnie jak numer obozowy po zmarłym więźniu, 7392.

Obelt dał rozkaz do wymarszu. Kobieta niechętnie się podniosła, a potem wzięła Polaka pod rękę. Kapitan szybko zacieśnił chwyt, by nie czuła się zbyt swobodnie. Staszek ujął dłoń dziewczynki, a potem wszyscy ruszyli przed siebie.

Matka i jej córka były zbyt przerażone, by myśleć racjonalnie. Nie sprawiały wrażenia, jakby planowały ucieczkę, choć nietrudno byłoby wyrwać się dwóm wychudzonym mężczyznom.

– Myśli pan, że jak wyglądamy? – zagaił Staszek, poprawiając poję marynarki.

Czuł się dziwnie. Jakby miał utopić się w nadmiarze ubrań.

– W porządku – odparł Obelt pod nosem i zerknął na towarzysza. – Choć twarz masz jak zaskroniec, Zaniewski.

Weszli do lasu i zwolnili nieco kroku, szukając wydeptanej ścieżki.

– Póki będziemy mijać przechodniów z daleka, nie powinno być problemów – dodał oficer. – Kości policzkowych z oddali nie widać, prawda?

– Prawda – przyznał młody lekarz. – Za to szcudlaste nogi...

– Do cholery – uciął kapitan. – Nie bądź fatalistą.

– Nie mówię przecież, że nas złapią.

– Nie. Raptem tylko to sugerujesz.

Zaniewski wzruszył ramionami. Dodatkową komplikacją był fakt, że licha przykrywka czteroosobowej rodziny nijak nie broniła się w starciu z rozpuszczoną po całej okolicy wieścią o dwóch uciekinierach z obozu. A Staszek nie miał wątpliwości, że mówi się o tym już we wszystkich wsiach wokół.

Naraz poczuł, jak dziewczynka ciągnie go za rękę. Spojrzał na nią i przekonał się, że patrzy na niego swoimi dużymi, brązowymi oczami.

– Christine – powiedziała cicho, wciąż potrząsając ręką.

Uśmiechnął się blado, zupełnie skołowany. Pod wpływem jakiegoś impulsu przedstawił się jako Gottwin. Być może jego umysł uznał, że alter ego stworzone na potrzeby ucieczki z Marią będzie bardziej przystępne dla małej. Niemiecka propaganda dbała o to, by polskie brzmiały odpowiednio odrażająco.

– Przechrzciłeś się? – zapytał Obelt.

– Nieświadomie – odparł Staszek, po czym ściągnął brwi i podrapał się po głowie. – Przy okazji właśnie sobie coś uświadomiłem.

– Co takiego?

– Że nie wiem, jak ma pan na imię.

Oficer zaśmiał się cicho. Zaniewski nie przypominał sobie, żeby wcześniej słyszał ten osobliwy dźwięk. Ani tym bardziej widział uniesione kąciki ust u kompana.

– Jak to nie? – odparł z satysfakcją żołnierz. – Kapitan Obelt.

- Bardzo zabawne – odburknął Staszek. – A mnie tymczasem naprawdę to ciekawi.
- Nie masz lepszych rzeczy, nad którymi mógłbyś się pogłować?
- Po prostu chcę wiedzieć.

– Nie ty jeden, Zaniewski, nie ty jeden – odparł z uśmiechem Obelt i nagle uniósł dłoń.

Cała grupa natychmiast się zatrzymała. Staszek jeszcze przez moment łudził się, że w ten sposób kapitan chce uciąć temat. Gdy jednak zobaczył, jak krew odpływa towarzyszowi z twarzy, zrozumiał, że sytuacja jest poważna.

Spojrzał przed siebie i cały zdrętwiał.

W oddali dostrzegł dwóch mężczyzn w mundurach SS. Szli po wydeptanej drodze, w stronę której zmierzali uciekinierzy.

- Sztafety – szepnął oficer.
- Co robimy?

Nie było czasu się wycofać, nim zostaną zauważeni. Zostało im kilkanaście sekund.

– Siadać – syknął Obelt. – *Klappen, klappen.*

Natychmiast wykonali polecenie, a Staszek czym prędzej położył przed nimi wiklinowy kosz. Znajdowali się jeszcze na tyle daleko od leśnego duktu, by mieć nadzieję, że esesmani nie dostrzegą ich rysów.

Największy problem stanowiły jednak kobieta i jej dziecko.

– Powiedz im, żeby się uśmiechały, jakby od tego zależało ich życie – polecił Obelt.

Zaniewski starał się przełożyć jego słowa na niemiecki, ale nie wiedział, jaki był rezultat. Dwóch funkcjonariuszy znalazło się nieopodal. Zauważyli już czwórkę ludzi siedzącą na ziemi. Staszek miał nadzieję, że wyglądają na beztroską rodzinę.

Niemcom wyraźnie się spieszyło. Nie zawieszali na nich podejrzliwego wzroku, szukali dwóch więźniów, nie rodzin z dziećmi.

– *Alles gut?* – zapytał jeden z nich, przechodząc obok.

Kapitan szturchnął Niemkę. Ta wykrzywiła twarz w grymasie, który jedynie przy odrobinie dobrej woli można było wziąć za uśmiech. Zaniewski poczuł, jak oblewa go pot. Wystarczyło, by ci dwaj byli średnio rozgarnięci, a może przemknąć im przez głowę zbłąkana myśl, która szybko okaże się tragiczna w skutkach dla dwóch Polaków.

Obelt spiorunował wzrokiem kobietę, która nadal nie odpowiedziała na pytanie esesmana.

– *Natürlich!* – odparła wesoło.

Niemcy dodali coś jeszcze, ale Zaniewski nic nie rozumiał. Zapewne rzucili krótkie ostrzeżenie o tym, że gdzieś w okolicy mogą kręcić się Polacy. Matka Christine podziękowała im i uniosła dłoń.

Niemcy się oddalili, prowadząc między sobą ożywioną rozmowę. Staszek nabrał tchu i zamknął oczy. Odczekał chwilę, zanim się podniósł. Ze zdziwieniem przekonał się, że kobieta na niego patrzy.

– W St. Georgen roi się od SS – odezwała się.

Uniósł brwi i popatrzył pytająco na Obelta. Kapitan był równie zaskoczony tym, że Niemka zdecydowała się nawiązać rozmowę. Wykonał ponaglący ruch ręką, a Zaniewski szybko przełożył jej słowa. Mówiła wolno i wyraźnie, co znacznie ułatwiało mu zrozumienie.

– Ilu? – zapytał Staszek.

– Cała zgraja. Musicie być ważni.

Zaniewski z trudem przełknął ślinę.

– Ci dwaj mówili, że SS i Gestapo obstawiły całe miasto. W Mauthausen sytuacja wygląda

podobnie.

Właściwie w jej najlepszym interesie było, by skłamać, a więźniowie mieli wszelkie powody, by nie ufać jej słowom. Mimo to Staszek miał wrażenie, że kobieta nie oszukuje. Wciąż była przerażona, ale zrozumiała już chyba, że w istocie nic nie grozi jej ani Christine.

– *Warum... du...* – zaczął Zaniewski i rozłożył ręce.

– Dlaczego wam pomagam?

Pokiwał głową, a ona spojrzała na córkę. Pewne rzeczy można było przekazać bez słów.

Ruszyli dalej, a po chwili wyszli spomiędzy drzew na polną drogę. Po jednej stronie ciągnęły się uprawy, po drugiej dywan dzikich traw. Wiatr zawodził cicho, roślinność szumiała. Zaniewski upajał się dźwiękami, które przez długi czas zastępowały odgłosy kamieniołomu.

– Miarkujesz, że mówi prawdę? – odezwał się Obelt.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo boi się o córkę i o siebie. Wie, że jak esmani rozpoznają nas z oddali, od razu będą strzelać. Jedna zabłąkana kula może sprawić, że dziecko zostanie sierotą... Albo gorzej.

Kapitan mruknął coś pod nosem. Mimo informacji przekazanych przez Niemkę wciąż zmierzali w poprzednio obranym kierunku. Żaden z nich nawet się nad tym nie zastanowił. Po prostu nie mieli innego wyboru.

W końcu jednak oficer zaklął cicho i się zatrzymał.

– To nie ma sensu – powiedział. – Musimy znaleźć inne miejsce.

– Jakie? Wszystko wokół jest obstawione.

Nie mieli nawet mapy, by rozważyć, gdzie mogliby się ukryć. Całą wiedzę na temat okolicy zebrali jeszcze w obozie – i była raczej szczątkowa. Obelt spojrzał znacząco na kobietę.

Obaj starali się skłecić odpowiednie pytanie. Nie wychodziło im to najlepiej, ale kobieta szybko domyśliła się, w czym rzecz. Sytuacja zresztą sama niejako to sugerowała. Niemka rozejrzała się.

– Jest niewielka wioska kawałek dalej – powiedziała.

– Prowadź – odparł Obelt.

Szli polną ścieżką jakiś kilometr, po czym dotarli do niewielkiego rozwidlenia. Staszek nie przypuszczał, by jakiegokolwiek wozy tędy jeździły. Trasa była uczęszczana raczej przez pieszych, może pojedyncze konie.

Oraz, oczywiście, esesmanów.

Dwóch zbliżało się od strony St. Georgen.

– Chodźmy – ponaglił oficer.

Skręcili w drogę odchodzącą od głównego duktu, ale nie uszli nawet dwóch kroków.

– *Halt!* – rozległo się wołanie.

Cała grupa zatrzymała się jak rażona piorunem.

– *Warten Sie!* – krzyknął esesman, po czym obaj przyspieszyli kroku.

Staszek poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Spojrzał na Obelta, ale ten nie sprawiał wrażenia, jakby wiedział, gdzie szukać ratunku.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Farouk Azim przysłuchiwał się wymianie zdań, ale nic nie rozumiał. Polski język brzmiał dla niego jak kakofonia przypadkowych chrzęszczących, rżących odgłosów. Sądząc jednak po emocjach, jakie towarzyszyły rozmowie, Azim przypuszczał, że Polacy układają plan odbicia

Greka.

Był to problem nie tylko dla Imrafa, lecz także dla samego chłopaka. Zrozumiał, że może zostać wzięty na jeńca, a potem przehandlowany. Tyle że dla Imrafa nie był odpowiednio znaczący, by ten zapewnił mu ochronę.

- Nie polecam działać źle – powiedział konspiracyjnie do Bronka po francusku.
- Ja co do zasady też nikomu tego nie polecam.
- To niewiele mądre.
- Zgadzam się.

Farouk nie mógł nie zauważyć, że Polakowi cała sytuacja najwyraźniej sprawia satysfakcję. Poruszył się nerwowo, a potem potoczył wzrokiem po reszcie. Wszyscy patrzyli na niego, jakby to on był źródłem wszelkiego zła.

- Nie mam tytułu cennego jeńca – zastrzegł.
- Nie, z pewnością nie.
- Imraf nie kiwnie nogą, żeby mnie opłacić.

Bronek machnął ręką na młodego Araba, mając nadzieję, że da mu spokój. Wystarczyło, że musiał wdać się w dyskusję ze Stolotem i Filarskim. Przed momentem porucznik oświadczył, że mają ważniejsze sprawy niż ratowanie wszystkich, którzy wpadną w ręce Syryjczyków.

- Gdyby chodziło o kogoś z naszych, mówiłby pan inaczej – odparował Zaniewski.
- Owszem.

Zaległo milczenie. Najwyraźniej żaden kontrargument nie miał paść.

– Nie bronię udziału panu Kremmerowi – dodał Kazimierz. – Jakoś obejdziemy się bez niego. Osmund uniósł brwi, jakby rzeczywiście go to zdziwiło.

– Przypuszczam, że misja i tak jest fiaskiem – rzucił Bronek, ponieważ orientując się, że niepotrzebnie zaognia sytuację.

– Słucham?

– Wszystkie wasze starania spełzną na niczym.

– Doprawdy? – syknął Janek Stolot. – Skąd ta pewność? Z własnego doświadczenia?

– Nawet jeśli uda się uformować oddziały na Bliskim Wschodzie, to nie tutaj, a w Syrii – powiedział Zaniewski. Orientował się w arabskim świecie na tyle, by wiedzieć, które kraje mają strategiczne znaczenie.

Filarski uniósł rękę, ucinając dalsze dyskusje.

– Wystarczy – powiedział. – Jeśli chcecie iść, droga wolna.

Kiedy polski żołnierz wskazał wzrokiem drzwi, Farouk odetchnął. Zaniewski podniósł się i stanął prosto jak struna.

– Jest jeden problem – powiedział.

– Tylko jeden?

– Pan Kremmer nie ma broni.

– Oj... – odezwał się ziemianin. – Jak pan wie, ja i broń...

Filarski również wstał z miejsca. Zmierzył sierżanta wzrokiem, a potem nabrał tchu.

– Ciesz się, chłopcze, że w ogóle daję ci pozwolenie na tę nieracjonalną akcję – powiedział. – W tych okolicznościach mógłbym wydać zupełnie odmienny rozkaz.

– Rozumiem.

– Broni mamy jak na lekarstwo – ciągnął Kazimierz. – Z pewnością nie tyle, by się nią dzielić. Zaniewski skinął głową. Zgiął rękę w łokciu, przyłożył dwa palce do skroni i trwał tak przez

chwilę.

– Odmaszerować – rozkazał Filarski.

Bronek odwrócił się w stronę drzwi i żołnierskim krokiem ruszył w kierunku korytarza. Azim natychmiast zrobił to samo, Kremmer natomiast nieco się ociągał.

– Za przyzwoleniem, zabiorę swoje rzeczy – powiedział, patrząc na porucznika. – I mojego wiernego towarzysza.

– Naturalnie – odparł Kazimierz. – Wątpię, by Blind Lemon został tutaj bez pana.

Osmund szybko spakował się do niewielkiej walizki. Nie musiał nawet kiwnąć na psa, by ten poszedł za nim. Bronek patrzył na to z niejakim zdziwieniem, ostatecznie dochodząc do wniosku, że Kremmer i zwierzę stanowią dobrany duet.

– Spodziewam się pana z powrotem – powiedział porucznik, gdy Osmund przekroczył próg.

– Oczywiście.

– Dwa dni góra – dodał Filarski, wbijając wzrok w Zaniewskiego.

– Tak jest – odparł Bronek.

Kazimierz zbliżył się do nich i wyciągnął rękę do ziemianina.

– Niech pan nie pozwoli, żeby ten chłopak pana zabił – powiedział.

– Ten chłopak, jak pan mówi, uratował życie nie tylko mi, ale także wielu moim przyjaciołom. Nie wspominając już o mieszkańcach Beniowej czy też...

– Tak, tak – przerwał mu Filarski i machnął ręką. – Już to wszystko słyszeliśmy. Ale tym razem bez wygłupów, sierżancie.

Zaniewski potwierdził ruchem głowy.

– Powodzenia – dodał jeszcze porucznik, zanim wyszli na korytarz

Chwilę później stanęli na rue de Damas. Kremmer poprawił czarny cylinder, który z dumą nosił, od kiedy pojawił się w Bejrucie, chcąc wyglądać bardziej europejsko, niż było to wskazane.

– Blind Lemon? – odezwał się Zaniewski.

– Zaiste.

– Co to za imię?

– Szacowne, panie sierżancie.

– Jakoś mało pasuje, wie pan... do psa – odparł Bronek.

– Ależ jemu bardzo odpowiada. A ponadto budzi w moim sercu bardzo dobre skojarzenia.

Kremmer oczekiwał, że Zaniewski dopyta o owe skojarzenia, ale sierżant zbył temat milczeniem. Ruszyli w kierunku portu, schodząc z rue de Damas.

– Skąd pan w ogóle tego psa wytrzasnął? – zapytał po chwili.

Osmund Kremmer odchrząknął, jakby przygotowywał się do wygłoszenia długiego wykładu opisującego cały żywot zwierzęcia. Zaniewski dawno nauczył się rozpoznac sygnały świadczące o tym, że ziemianin będzie terkotał jak niemiecki sztukas w przestworzach. Przygotował się psychicznie na długi wywód.

– Otóż gdy przybyłem do tej urokliwej azjatyckiej metropolii, ujrzałem w jednej z mniejszych uliczek odchodzących od Place de l'Etoile wychudzonego, pozornie bezpańskiego psa...

– Wziął go pan, zostaliście przyjaciółmi, teraz jesteśmy tutaj i razem z psem i Arabem idziemy do przywódcy syryjskiej grupy kryminalistów, by odbić mojego przyjaciela – uzupełnił Bronek.

Osmund spojrzał na niego z wyrzutem.

– Tak, z grubsza tak to wygląda, ale...

– Tylko tyle mnie interesuje.

– Więc w jakim celu pan pytał?

– Dobrze pytanie.

– I nie dowiedział się pan nawet, że pies w istocie nie był bezdomny.

– Naprawdę? To fascynujące.

– Należał do pewnego młodego dżentelmena, któremu nie w smak było, że jakiś Europejczyk przywłaszczył sobie jego zwierzę.

– Wszystko to bardzo ciekawe, panie Kremmer, ale wolałbym, żebyśmy omówili plan działania.

– Oczywiście, ale przedtem musi pan wiedzieć, że jedynie z pomocą francuskiego sprzymierzeńca i waluty z jego kraju udało mi się...

– Panie Kremmer – upomniał go Zaniewski. – Mój przyjaciel potrzebuje naszej pomocy, a pan prawi o psie.

Stary ziemianin cmoknął i rozejrzył się.

– To istotny temat.

– Bez wątpienia – przyznał Bronek. – Ale w tej chwili Jorgos znajduje się w dramatycznej sytuacji. I liczy na mnie.

– Ma się rozumieć.

– Będzie jeszcze czas na rozmowy – dodał sierżant. – Jeśli tylko ujdziemy z życiem.

Kremmer nie wyglądał na zadowolonego. Przez jakiś czas milczeli, zbliżając się do portowych zabudowań. Potem Osmund znów się ożywił, pytając o to, co przydarzyło się Zaniewskiemu na morzu.

Bronek odpowiadał zdawkowo, zastanawiając się nad tym, jak Imraf zareaguje na informacje, które udało mu się pozyskać. Właściwie nie było w nich nic, co mogłoby go zaskoczyć. Wszystkiego mógł domyślić się sam. Trudno było powiedzieć, czy będą wystarczające, aby przehandlować je za życie Karagiozopoulosa.

Sam Filarski nie znał miejsca, w którym Polacy mogliby stacjonować, nie miał pojęcia o potencjalnej liczebności sił czy w końcu o hipotetycznym polu działania. Po prawdzie nie był nawet pewien, czy Gamelin wyda ostateczny rozkaz.

– Panie sierżancie... – szepnął w pewnym momencie Osmund.

– Mhm?

– Mam coś, co pana ucieszy.

– Co takiego?

– Mały arsenał – odparł konspiracyjnie Kremmer, zerkając na idącego obok młodego Araba. Mijali właśnie niewielkie stragany, a Farouk zawiesił tęskny wzrok na lokalnych przysmakach.

– O czym pan mówi? – spytał Zaniewski.

– Proszę się pozbyć muzułmanina, a pokażę.

Bronek szturchnął młodego, a potem polecił mu, by kupił coś do jedzenia. Chłopak wahał się przez chwilę, ale potem odłączył się od Polaków. Kremmer uniósł walizkę i otworzywszy ją, podsunął Zaniewskiemu.

– Oto francuski pistolet star 14 – powiedział, wskazując na broń leżącą między ubraniami.

Bronek spojrział na starszą i uśmiechnął się szeroko. Mina mu jednak zrzędła, kiedy przekonał się, co jeszcze Osmund wyniósł z dziupli Polaków przy rue de Damas.

– Na Boga, panie Kremmer!

Granat F1 łatwo było rozpoznać. Miał charakterystyczne głębokie nacięcia na żeliwnej skorupie, był częścią standardowego wyposażenia francuskiej armii, ale nie tylko jej. Zaniewski

z ulgą zauważył, że zawleczka jest nienaruszona.

– Imponujące, prawda? – zapytał rozentuzjasmowany Kremmer.

Bronek zauważył, że starzec ma wypieki na twarzy. Pokręcił głową, nie dowierzając.

– Rzeczywiście – przyznał z uśmiechem. – Ale niech pan z tym nie szarzuje.

– Sądzi pan, że nie będziemy mieli okazji, by go użyć?

– Sądzę, że powinniśmy to zrobić w ostateczności. Tylko niech pan nie wyjmuje go za zawleczkę.

– Zrozumiałem.

Czekając, aż Farouk wróci z jedzeniem, Bronek przykucnął i potarł psa po grzbiecie. Blind Lemon rozglądał się gorączkowo, a uszy latały na obie strony, jakby zaczęły żyć własnym życiem. W końcu utkwiał wzrok w nadchodzącym Arabie. Azim niósł trzy gorące, pachnące placki.

Bronek wiedział, że to lokalny przysmak, choć nie pamiętał, jak się nazywa. W środku placka znajdowały się smażone w głębokim oleju kulki z obficie przyprawionej ciecierzycy. Zaniewski i Azim szybko uporali się z jedzeniem, podczas gdy Kremmer był dopiero w połowie, starając się gryźć placek tak, by nic z niego nie wypadło.

– Idziemy – powiedział Bronek.

– Ależ...

– Niech pan to zostawi. Czas nagli.

Ruszyli w stronę miejsca, gdzie Imraf przetrzymywał Jorgosa. Po drodze Zaniewski zaczął przedstawiać Osmundowi plan, który ułożył. Miał wystarczająco dużo czasu, by rozważyć wszystkie możliwości, także te, które zakładały, że Imraf nie będzie zadowolony z otrzymanych informacji.

Dotarli w końcu do magazynu na obrzeżach portu. Azim ustawił się za nimi.

– Tylko spokój da rezultat – powiedział. – Inaczej popadają wszyscy. Farouk też.

Bronek zapukał w blaszane drzwi.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Gabriel Leitner słuchał, jak zegar w salonie na dole odmierza kolejną godzinę bez snu. Był w sypialni na piętrze, ale w domu panowała cisza jak makiem zasiał. Mógł usłyszeć każdy krok służby, co dopiero mówić o metalicznym gongu. Pół nocy minęło mu na rozmyślaniach. Kilkakrotnie ogarniała go senność, ale gdy tylko przymykał powieki, natychmiast wypełniało go przerażenie.

Christian z Marią znajdowali się w pokoju po drugiej stronie korytarza. Zostawili drzwi otwarte, by w razie czego interweniować. Gabriel zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zmruży oko.

Nie miał powodu, by nie wierzyć bratu. Mimo to ściągnęli doktora Kernrota, by potwierdził jego słowa. Lekarz nie miał żadnych wątpliwości – Gabriel cierpiał na najgorszy przypadek somnambulizmu. Medyk słowem jednak nie zająknął się o tym, że chciałby jego przypadłość opisać. Najwyraźniej Christian użył odpowiednich argumentów.

Gabriel usiadł na łóżku i podsunął się do wezglowia. Westchnął głęboko, a potem odchylił głowę do tyłu. Starał się nie myśleć o niczym.

W pokoju naprzeciwko Christian i Maria również nie spali. Wybiła już czwarta nad ranem, ale żadne nie czuło senności. Za namową Leitnera Polka zajęła niewielkie łóżko pod ścianą, a on

przyniósł sobie koc, który rozłożył na podłodze po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Nie rozmawiali. Marii nie interesowało to, co działo się z nim w ostatnim czasie. W Berlinie pokazał, jakim naprawdę jest człowiekiem. Przekreśliło go to w jej oczach i nic, co by zrobił lub powiedział, nie mogło tego zmienić.

Przypuszczała, że jest tego świadom. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie odzywa się, bo jest przekonany, że w żaden sposób nie może się wytłumaczyć.

Atmosfera nie była jednak napięta. Wprawdzie nie czuli się komfortowo w swoim towarzystwie, ale jednocześnie żadne z nich nie czuło się nie na miejscu.

W końcu jednak Maria się podniosła.

– Wracam do siebie – oznajmiła. – Jeśli wyjdzie, sam dasz sobie radę.

– Słusznie.

– Muszę choć trochę się przespać.

Skinął głową.

Maria opuściła pomieszczenie i już miała skręcić w bok, gdy usłyszała dźwięk kroków z pokoju naprzeciwko. Poczekała, aż Gabriel otworzy drzwi, a potem posłała mu błady uśmiech. Chciała zmusić się do czegoś więcej, ale w głowie wciąż słyszała głos mówiący, że oto patrzy na człowieka, który zabił jej kuzynkę.

– Idź spać, Gabriel – odezwała się. – Jeszcze wcześniej.

Starszy z braci minął ją i bez słowa skierował się w stronę schodów.

– Gabriel?

Christian wyszedł z sypialni i powiódł wzrokiem za bratem.

– Niewiarygodne – powiedział. – On w ogóle nie reaguje na bodźce.

Przeszli za nim aż do piwnicy. Gabriel otworzył jedną z klitek, gdzie trzymali wina, a potem zaczął je segregować. Potem zabrał z półki obok suchą szmatkę i zaczął zbierać zgromadzony na nich kurz.

– W ogóle nie wie, że tu jesteśmy – odezwał się Leitner.

Po chwili Gabriel przerwał, odłożył kawałek materiału, po czym zamknął drzwi. Ruszył z powrotem w stronę schodów. Było w tym wszystkim coś głęboko niepokojącego, mimo że wszystkie jego ruchy były spokojne i powolne.

– Spróbujemy go obudzić? – zapytała Maria.

– Tak.

Według Kernrota miało to wywołać szok, ale nie stanowiło niebezpieczeństwa. Przeciwnie, znacznie bardziej ryzykowne było pozwolenie, by lunatyk nadal trwał w tym stanie.

Christian dogonił brata, złapał go za ramiona, a potem mocno potrząsnął. Gabriel natychmiast się ocknął.

– Co... co się dzieje? – zapytał.

Panicznie się rozejrzył, nie rozumiejąc, gdzie jest ani co się dzieje. Trudno było powiedzieć, że oddycha – raczej na zmianę łapał krótkie hausty powietrza i je wypuszczał. Natychmiast pobladł i przez moment młodszy z Leitnerów miał wrażenie, że brat zemdleje.

– Wszystko w porządku – powiedziała Maria. – Nic się nie dzieje, Gabriel.

Chwilę trwało, nim Christian wytłumaczył mu, że lunatykował. Zapewnił go, że nic złego się nie stało, a oni nie odstępowali go na krok.

– Dobrze się czujesz? – zapytał esesman.

– Tak... tak, nic mi nie jest.

Hauptsturmführer puścił brata i nabrał tchu. Poszło lepiej, niż się spodziewał. Szczęście

w nieszczęściu, że padło na Gabriela – gdyby chodziło o niego lub Gottfrieda, zapewne nie znieśliby tego tak dobrze. Najstarszy z nich był jednak oazą spokoju i pragmatykiem. A teraz miał wszystko, czego potrzebował, by podjąć świadomą, opartą na faktach decyzję.

– Jeśli chciałeś ostatecznego dowodu, to właśnie go otrzymałeś.

Gabriel spuścił wzrok. Wyglądał na pokonanego, choć nie toczył żadnego boju.

– Załatwisz wszystkie formalności? – zapytał.

– Tak – odparł Christian. – Rankiem wyjedziesz do Berlina.

– Rozumiem.

– Tam otrzymasz odpowiednią opiekę i... prywatność.

Gabriel przecesał włosy i zamrugał kilkakrotnie.

– Powiniennem ponieść odpowiedzialność – powiedział. – Nie możemy tego trzymać w sekrecie...

– Wręcz przeciwnie – odparł esesman. – Chyba że masz na myśli odpowiedzialność zbiorową całej rodziny.

– Bracie...

– Nie – uciął Christian. – Nie ma tu pola do dyskusji. Jeśli powiesz o tym komukolwiek w Berlinie, pograżysz nas wszystkich. I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Kiedy Gabriel podniósł wzrok, jego brat utwierdził się w przekonaniu, że w istocie tak jest.

O świcie pod dom podjechał samochód prowadzony przez niskiego rangą funkcjonariusza SS. Nie było wylewnych pożegnań, płaczu i zapewnień, że ktoś niebawem go odwiedzi. Tylko Christian odprowadzał brata do auta. Umieścił jego torbę w bagażniku, a potem ucisnął mu rękę.

Gabriel bez słowa wsiadł do środka. Kiedy odjeżdżał, obejrzał się na moment przez ramię. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Alexander Klaas nie mógł powiedzieć, by się wyspał. Zakwaterowano go w hotelu Kronpinz, który mimo szlachetnej nazwy nie oferował zbyt wielu wygód. Prawdę powiedziawszy, przywodził na myśl podobne przybytki w okupowanej Polsce. Z drugiej strony Klaas nie spodziewał się wiele po Lüttendorfie. Jeśli ktoś tutaj przyjeżdżał, to raczej nie do hotelu, a do rodziny.

Pożałował, że nie zapytał Heinza Stubbego, gdzie się zatrzymać, zanim ten odjechał do Schweinfurtu. Miał tam odpocząć i pozwolić, by obejrzał go lekarz z prawdziwego zdarzenia, a nie lokalny konował.

Klaas zostawił klucz w recepcji i z ulgą opuścił hotel. Wyszedł na Kronenstraße i zatrzymał się, by wyciągnąć paczkę papierosów. Tuż przed nim przejechał niespiesznie samochód i Alex mógłby przysiąc, że widział w środku najstarszego z braci Leitnerów.

Przypalił sobie, po czym ruszył w stronę ratusza. Dotarcie na miejsce nie zajęło mu wiele czasu, właściwie całe to miasteczko można było przejść w ciągu kilkunastu minut. W urzędzie miasta powitano go przepisowym hitlergruß, po czym poprowadzono do pokoju, gdzie mógł spokojnie skorzystać z telefonu.

Klaas wyjął z kieszonki marynarki niewielką kartkę i wykręcił zapisany na niej numer. Miał nadzieję, że po krótkiej rozmowie uda mu się uzyskać zgodę, by opuścić miasteczek, gdzie diabeł mówił dobranoc. Przez moment czekał, słysząc przerywany dźwięk. W końcu połączenie zostało nawiązane.

– Kriminaldirektor Kossendey – powiedział znudzonym głosem rozmówca.

– Scharführer Alexander Klaas. Miałem zadzwonić pod ten numer, by...

– Tak, tak, tak. Chciałbyś rozmawiać z Blankenburgiem – przerwał mu Ulrich Kossendey, a następnie teatralnie westchnął. – Poczekaj chwilę.

Chwila najwyraźniej była niedomówieniem. Alexander miał wrażenie, że czeka w nieskończoność. Zanim przełożony się odezwał, do pomieszczenia weszła kobieta z kubkiem parującej kawy i uśmiechem na ustach. Postawiła napój obok, a potem wskazała mu cukiernicę.

– Dziękuję, nie słodzę, pani...

– Edith Sperling.

– Miło mi.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż usłyszał chrzęst po drugiej stronie linii. Wyprostował się mimo woli, a urzędniczka natychmiast opuściła pomieszczenie i zamknęła za sobą drzwi.

– Alex? – zapytał Blankenburg.

– *Heil Hitler, Herr Hauptsturmführer.*

– Nie uwierzysz, jaki tu mają burdel – powiedział Johann z zadowoleniem. – W głowie mi się to nie mieści. Postawili na nogi dwa okoliczne miasta, żeby znaleźć te polskie kundle.

– Można się było tego spodziewać po założeniu obozu koncentracyjnego – wypalił bez namysłu Klaas.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że Blankenburg spędził trochę czasu w Dachau, zanim wysłano go do Polski. Zaraz potem jednak zreflektował się, że sam przełożony nieraz wypowiadał się o pracujących tam esesmanach niezbyt przychylnie.

– Taa... – odparł Johann. – Przynajmniej jeśli chodzi o Schutzstaffel.

– Oczywiście. Ich właśnie miałem na myśli.

– W każdym razie jest tu rozległy teren do przeczesań, bo od ucieczki minęło już sporo czasu... ale mniejsza z tym. Mów, co z Leitnerem?

– Doprowadził się do porządku.

– To znaczy? Skrewi?

– Nie, moim zdaniem wypełni misję powierzoną przez Cerbera.

– Pojedzie do Norwegii?

– Z całą pewnością. Wyglądał na nieco zaskoczony, ale nie sądzę, by sprzeciwił się bezpośredniemu rozkazowi.

Opinia była nieco na wyrost, Alexander nie miał czasu przeanalizować dokładnie stanu, w jakim znajdował się Leitner. Jeśli jednak co do kogokolwiek można było mieć pewność, iż wykona polecenie bez wahania, to właśnie wobec Christiana.

– Świetnie – ocenił Blankenburg. – Przeglądałem dziś rano jego akta. Nie wiedziałem o kilku sprawach.

– Ach tak?

– Muszę przyznać, że rozumiem, dlaczego Cerber go wytypował. Być może osądziłem go zbyt pochopnie.

Klaas miał wrażenie, jakby ktoś inny przemawiał głosem przełożonego. Nie było to do niego podobne i Alexandra zastanawiało, co wywołało tę zmianę. Może sam pobyt w obozie? Z pewnością czuł się tam jak w domu.

Klaas przez moment szukał dobrej odpowiedzi.

– Pańska ocena będzie w tym względzie najlepsza – powiedział w końcu.

– Dyplomatyczny jak zawsze, Alex – odparł Johann.

– Dziękuję, *Herr...*

– Daruj sobie. Zabieraj Leitnera i widzę cię tu najszybciej, jak to możliwe.

– W Mauthausen? – spytał zdziwiony Alexander.

Nie był to wymarzony kierunek. W rezultacie zamieni jedną dziurę na drugą, przy czym zapewne będzie musiał przebywać w towarzystwie więźniów. Z tego, co słyszał, byli to wyjątkowi zwyrodnialcy.

– Coś jest niejasne?

– Nie, oczywiście, że nie. Po prostu sądziłem, że mieliśmy dać Leitnerowi nieco...

– Źle sądziłeś – zachnął się Blankenburg. – Dostałeś rozkaz, więc zbieraj dupę w troki, bierz Christiana i w drogę.

– Tak jest, *Herr Hauptsturmführer*.

Johann przez moment milczał. Słysząc było szumy na linii i jakieś nawoływania z oddali.

– Potrzeba mi tu ludzi – dodał oficer SD. – Terenu do sprawdzenia, jak mówiłem, jest sporo. Poza tym Cerber chce, bym sam ocenił stan Leitnera.

– Rozumiem.

– Upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Bardzo roztropnie – skomentował Klaas.

Jakiś czas spędził sam i już zapomniał o tym, że dowódca nie ceni sobie takiego pustostłowa. Właściwie w ogóle gardzi komplementami, przynajmniej w takim znaczeniu, jakie przypisuje im cała reszta ludzi.

– Skończ pierdolić, Alex.

– Tak jest.

– I zamelduj się tu jak najszybciej.

Klaas nie zdążył odpowiedzieć, gdyż przełożony się rozłączył. Alexander siedział przez moment w milczeniu, popijając kawę podaną przez Edith Sperling. Nie miał zamiaru się spieszyć, tym bardziej, że nie czekała go łatwa rozmowa.

W końcu dopił kawę i opuścił ratusz. Skierował się w stronę domu z czerwonej cegły na Fährstraße.

OKOLICE ST. GEORGEN AN DER GUSEN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Staszek spojrzał pytająco na Obelta, Niemka zrobiła to samo. Echo rozkazu wydanego przez esesmana nadal rozbrzmiewało im w głowach. I oboje zdawali sobie sprawę z tego, że spotkali ich najgorszy możliwy scenariusz.

Dwóch funkcjonariuszy zatrzymało się kawałek dalej, po czym jeden z nich przywołał grupę ludzi.

– Co robimy? – spytał Zaniewski.

– Podejdziemy do nich.

– Ale...

– Trzeba się ruszyć, już – odparł Obelt. – Im dłużej będziemy stać jak kołki, tym większe prawdopodobieństwo, że nam się przyjrzą.

Staszek nie sądził, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Wprawdzie obozowe spodnie z oddali nie przyciągały uwagi, ale nie trzeba było wiele, by stwierdzić, że patrzy się na dwóch uciekinierów z Mauthausen.

Mimo to czteroosobowa grupa ruszyła w stronę esesmanów.

– Popełniamy błąd – odezwał się Zaniewski.

– Masz inny pomysł?

– Uciekać.

– Powodzenia. Będziesz skakał przy akompaniamencie wystrzałów. Przynajmniej przez chwilę, zanim nie padniesz bez życia na ziemię.

Mimo wszystko wydawało się to lepszą alternatywą. Gdyby los się do nich uśmiechnął, może jakimś cudem udałoby się...

Nagle Staszek urwał rozmyślenia.

– Torba – powiedział cicho, opuszczając głowę.

– Kurwa mać – wycedził Obelt.

Zaniewski mimowolnie zwolnił kroku, ale kapitan natychmiast na niego syknął. Thorben Fehrmann pogrążył się w rozmowie ze swoim towarzyszem i nie miał pojęcia, kto zmierza w jego kierunku. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

– Co robimy? – zapytał Staszek.

– Nie wiem.

– Słucham? – wypalił Zaniewski. – Jak to pan nie wie?

– A co mam ci powiedzieć? Zastrzelą nas, jak tylko rozpoznają twarz.

Młody lekarz podniósł na moment wzrok. Obelt pociągnął matkę Christine do przodu, by nieco ich zasłoniła.

– *Schneller!* – krzyknął drugi z esesmanów.

– Habeck – szepnął kapitan. – Hermann Habeck.

– Co to zmienia?

– Nic. Po prostu chcę wiedzieć, kto pośle nas do piachu.

Staszek z niepokojem popatrzył na kobietę. Wiedziała, że na tym etapie grozi jej takie samo niebezpieczeństwo, jak im. Z drugiej strony mogła zaryzykować i krzyknąć do esesmanów, uprzedzając ich zawczasu.

Niemcy wyciągnęli papierosy. Nad nimi zawisła chmura dymu. Thorben odwrócił się plecami do nadchodzącej grupy, niespecjalnie nią zainteresowany. Przeczesał wzrokiem pola, szukając ludzi, których miał pod nosem.

– Jesteśmy już za blisko, panie kapitanie...

– Wiem.

– Więc? Co robimy?

– Mam pewien plan.

Nie brzmiało to uspokajająco, ale było lepsze niż nic. Staszek skinął głową.

– Kiedy padnę, natychmiast nade mną stań – polecił Obelt. – Ustaw się plecami do szkopów i nie puszczaj dziewczynki, jasne?

– Jasne.

– A teraz powiedz kobiecie, że za moment skręcę kostkę.

Zaniewski szybko przetłumaczył, nie mając pojęcia, czy wspomniał o złamaniu, skręceniu czy zwichnięciu. Noga *kaput* mogło znaczyć wszystko.

– Ona podejździe do esmanów i wyjaśni sytuację – ciągnął Obelt. – Niech powie, że jestem stary, zniedołężniały, i niech poprosi ich o pomoc.

Hermann Habeck spojrział w ich kierunku, jednak skupił wzrok na kobiecie.

– Że co? – zapytał Zaniewski.

– Dzięki temu nie będą niczego podejrzewać – odparł Obelt. – A raczej mam taką nadzieję.

Staszek nie był przekonany. Kobieta również nie, jeśli jej nierówny oddech mógł o czymkolwiek świadczyć.

– Torba nie będzie tracił czasu, żeby pomóc jakiemuś wieśniakowi doczłapać się do domu. A teraz już, tłumacz!

Zaniewski zrobił wszystko, co mógł, żeby przełożyć plan na niemiecki. Kiedy skończył, matka Christine wybałuszyła oczy, więc należało uznać, że wszystko zrozumiała. Kiwnęła głową, a zaraz potem Obelt syknął z bólu i upadł.

Trzymając małą za rękę, Staszek szybko go obszedł i zasłonił przed wzrokiem esesmanów.

– Christine zginie, jeśli coś pójdzie *schlecht* – dodał Zaniewski.

Kobieta nie musiała go rozumieć, by wiedzieć, co ma na myśli. Polacy spojrzeli zresztą na dziewczynkę na tyle sugestywnie, by matka wszystkiego domyśliła się sama.

Bez słowa ruszyła w stronę Thorbena.

– Panowie! – krzyknęła, gdy znalazła się kilka metrów od nich.

Fehrmann gwałtownie odwrócił się w jej stronę. Popatrzył na dwóch mężczyzn i dziecko, i zmarszczył czoło.

– Mój mąż skreślił kostkę! – zawołała.

Thorben rzucił papierosa na ziemię i zdeptał go. Potem przyjrzał się kobiecie.

– Potrzebuje pomocy – dodała, zatrzymując się przed nimi.

Czuła, jak przepelnia ją strach. Niewiele było trzeba, by sytuacja skończyła się tragicznie. Niemka najbardziej obawiała się tego, że któryś z uciekinierów użyje Christine jako żywej tarczy.

A teraz dodatkowo klamka zapadła. Jeśli esesmani przejrzą fortel, ona także zostanie ukarana za pomoc zbiegom.

– Nie dojdzie sam do domu – powiedziała, zanim którykolwiek z nich się odezwał. – A to tylko dwie wioski stąd, w kierunku Mauthausen.

Spojrzeli po sobie. Niemka robiła wszystko, by nie wytrzeć zwilgotniałych dłoni o sukienkę.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby zajmować się pijanymi dziadami – odparł młodszy z mężczyzn w randze Sturmmana.

– Zdaję sobie sprawę, że szukają panowie...

– Dwóch zbiegłych kryminalistów – dokończył Fehrmann, po czym wyciągnął w jej stronę paczkę armijnych papierosów.

Kobieta skorzystała, starając się sprawiać wrażenie pewnej siebie.

– Dziękuję – powiedziała.

– Jak się pani nazywa?

– Agnes Becker.

– Zatem, frau Becker, wie pani, co nas interesuje – rzekł Thorben. – Widziała lub słyszała pani cokolwiek, co mogłoby nas nakierować na ich trop?

Esesman nie wykazywał większego zainteresowania ani nią, ani dwoma mężczyznami na drodze. Na razie nie szło jej najgorzej, uznała. Zaciągnęła się papierosem i trochę się rozluźniła. Przez moment rozglądała się, pozorując głęboki namysł.

– Niestety – powiedziała. – Słyszałam same plotki.

– Jakie?

– Że są niebezpieczni, uzbrojeni, że to Polacy i...

– Dobrze, dobrze. Żadnych konkretów?

– Jedna z moich znajomych twierdziła, że mordują dzieci we śnie.

– Mhm.

Agnes zastanawiała się nad tym, czy nie wymyślić także innych doniesień, ostatecznie jednak

uznała, że tyle wystarczy, by esesman zdał sobie sprawę, że rozmowa z nią jest stratą czasu.

Staszek pochylał się nad Obeltem, nerwowo wyczekując jakiegokolwiek informacji.

– I jak? – spytał w końcu.

Kapitan wychylił się lekko – tylko na tyle, by jednym okiem zerknąć na to, co dzieje się kawałek dalej. Zaniewski słyszał, że troje ludzi prowadzi rozmowę, ale nie sposób było stwierdzić, co mówią.

– Wygląda nie najgorzej – ocenił Obelt.

– Przemawia przez pana optymizm?

– Ostatnie pokłady optymizmu straciłem w Lesku, Zaniewski.

– Gdzie?

– Nieistotne – mruknął oficer. – Jestem realistą, więc możesz wierzyć mojej ocenie.

– Sam pan nie brzmi, jakby pan wierzył.

Kapitan nie odpowiedział. Wrócił do poprzedniej pozycji, a potem spojrzął na dziewczynkę. Była cudownie nieświadoma tego, co się dzieje. Zaniepokoił ją upadek, ale to wszystko, co wykraczało ponad normę.

Przez moment trwali w ciszy.

– Co teraz robią? – zapytał w końcu Staszek.

Obelt znów się wychylił.

– Baba kłapie dziobem, Torba kiwa głową.

– Aha.

Fehrmann zadał Agnes kilka rutynowych pytań. Niespecjalnie miał ochotę to robić, ale chciał pokazać Hermannowi, jak powinna wyglądać akcja poszukiwawcza. Każdego napotkanego człowieka należało przepytać, nawet jeśli sam był święcie przekonany, że nie miał żadnych cennych informacji.

Thorben popatrzył na dwóch mężczyzn. Właściwie z nimi również powinien zamienić kilka słów.

– Wie pani, co robić, gdyby zauważyła coś podejrzanego?

– Oczywiście. Należy powiadomić najbliższy posterunek policji lub jednego z esesmanów.

– Mhm – przytaknął pod nosem Fehrmann. – Proszę się nie wahać, dobrze?

– Nie będę.

– Nawet jeśli będzie to coś błahaego, lepiej nas poinformować.

– Rozumiem – zapewniła Agnes.

Fehrmann skupił wzrok na mężczyznach, starając się dostrzec, co robią. Ściągnął brwi.

– To pani mąż i syn?

– Zgadza się.

Esesman potarł brodę i skrzywił się, rozważając coś w głowie. Oderwał wzrok od mężczyzn i spojrzął z powrotem na Becker. Ta uśmiechnęła się lekko.

– Mogę już wracać? – zapytała. – Nie wiem, czy syn dobrze usztywnił nogę.

– Tak, tak, oczywiście – odprawił ją Thorben.

Agnes głęboko nabrała tchu i pożegnawszy funkcjonariuszy, odwróciła się. Zaczęła oddalać się od nich z duszą na ramieniu. Miała wrażenie, że w jakiś sposób zdradza ją każdy krok. Potem uświadomiła sobie, że idzie nieco zbyt szybko.

Przerażona, odwróciła się. Thorben posłał jej jednak kolejny uśmiech. Odpowiedziała tym

samym.

- Wraca – oznajmił Obelt.
- Sama czy ze szkopami?
- Gdyby szła z nimi, prowadzilibyśmy teraz zupełnie inną rozmowę, Zaniewski.

Staszek odetchnął i puścił kostkę oficera. Rozprostował plecy, które zaczynały mu już dokuczać. Emocje powoli zaczynały opadać, a na ich miejsce zaczynała dobijać się szaleńcza satysfakcja. Jeśli Thorben i Habeck kiedykolwiek zorientują się, kto przeszedł im koło nosa, będą pluli sobie w brodę do końca życia.

- Fehrmann zawiesił wzrok w oddali.
- Kossendey powinien już tu być – powiedział.
- Hermann popatrzył w stronę wioski.
- Nie wychodzi – odparł. – Może coś znalazł?
 - Wątpię. Słyszelibyśmy już strzały.

Mijali go dobrą godzinę temu, kiedy zmierzał służbowym bmw 327 w kierunku zabudowań. Zatrzymał się i oznajmił, że musi sprawdzić pewien trop. Kazał im czekać na siebie we wsi, chyba że sam wcześniej ją opuści. Na razie jednak nie było po nim śladu.

- Idziemy? – zapytał Habeck.

Nie uzyskał odpowiedzi, więc obrócił się do przełożonego. Ten trwał w bezruchu, patrząc na rodzinę w oddali. Teraz przyjrzał im się lepiej, choć z tej odległości trudno było cokolwiek stwierdzić.

- Coś nie tak? – zapytał Hermann.
- Wyższy stopniem esesman nadal nie odpowiadał.
- Zauważyłeś, Habeck?
 - Co takiego?
 - Oni cały czas tkwią w tej samej pozie.
- Hermann podrapał się z tyłu głowy.
- Może i tak – przyznał. – Ale co z tego?
 - Nic – odparł Fehrmann. – Choć dziwi mnie, że kobieta chciała naszej pomocy.
 - Jej mąż skręcił kostkę.
 - A jej syn może spokojnie doprowadzić go do wioski.

Przez chwilę milczeli. Thorben musiał sam przed sobą przyznać, że był już zmęczony. Wniosek na temat syna kołatał się w jego umyśle już wcześniej, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że zachowanie Agnes było podejrzanym.

- I nie mogę dostrzec tego męża – dodał. – Młody cały czas mi go zasłania.
- Habeck rozłożył ręce.
- Chce pan to sprawdzić?
 - Tak – odparł Thorben.

Ruszyli w kierunku rodziny, a Fehrmann po drodze odpiął kaburę. Nie miał zamiaru dać się zaskoczyć tak, jak w Wiener Graben.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Drzwi do magazynu otworzyły się ze skrzypieniem i Farouk natychmiast cofnął się, chowając za Polakami. Nie rozumiał wprawdzie, co mówili, ale przypuszczał, że ułożyli jakiś plan odbicia

jeńca. Obawiał się, że zanim padną pierwsze słowa, mogą rozleć się strzały.

Trzej przybysze szybko dostrzegli Greka. Siedział na krześle pośrodku hali, miał zwieszoną głowę i sprawiał wrażenie, jakby stracił przytomność. Krew skapywała mu z ubrania na podłogę.

Polacy weszli do środka, a Azim zamknął za nimi drzwi. Imraf ustawił się za Karagiozopoulosem i posłał Zaniewskiemu zdawkowy, sztuczny uśmiech.

– Wróciłeś! – powitał go. – I widzę, że nie sam.

Bronek skupił wzrok na Jorgosie. Zbliżyli się do niego i zatrzymali przed krzesłem.

– Żyje? – zapytał.

– Trudno powiedzieć.

Kremmer zrobił krok w jego kierunku, podnosząc rękę, ale Zaniewski szybko zasugerował mu samym wzrokiem, że nie jest to czas na wymianę uprzejmości.

Imraf potrząsnął greckim kapitanem.

– Wygląda na to, że jeszcze dycha – ocenił.

Bronek zacisnął dłonie w pięści, patrząc na obrażenia przyjaciela. Kikut miał obandażowany, choć cały opatrunek przesiąknął już krwią. Krople spadały na podłogę, ale w gruncie rzeczy wyglądało na to, że najgorszy krwotok został skutecznie zatamowany.

– Jorgos, słyszysz mnie?

Zaniewski pochylił się nad nim i przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej. Po chwili odetchnął, wyczuwając słaby puls.

– Panie sierżancie... – zaczął Kremmer.

Żołnierz wyprostował się i przekonał, że zostali otoczeni przez grupę Arabów. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby tylko czekali na sygnał do ataku. Imraf tymczasem pogwizdywał pod nosem jakąś melodię.

Kordon lekko się zacieśnił i Bronek poczuł rosnący niepokój. Niewiele było trzeba, by potraktowali jego i Kremmera dokładnie w ten sam sposób, jak Karagiozopoulosa. Do przekazywania informacji żadnemu z nich nie była niezbędna jedna czy druga dłoń.

Wzdrygnął się na tę myśl.

Imraf w końcu przestał gwizdać. Zbliżył się do Zaniewskiego i zatrzymał tuż przed nim. Spojrzał Polakowi głęboko w oczy, a kilku mężczyzn drgnęło.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał.

Bronek nie miał zamiaru stawiać oporu. Wiedział, że na szali jest znacznie więcej niż tylko życie kapitana greckiego frachtowca.

– Polskie wojsko chce się tutaj zorganizować – oświadczył.

– W jakim celu?

– Dobrze wiesz w jakim. Mój kraj jest pod okupacją, tak jak wasz.

– Tak, tak... ale dlaczego tutaj? – spytał Imraf i spoważniał. – Możecie to robić u siebie, w Europie.

– Owszem – przyznał Zaniewski. – Ale o to musiałbyś zapytać naczelne dowództwo. Ja wiem tylko tyle, że ma to jakiś związek z Turcją.

Arab spochmurniał. Obszedł krzesło, a potem znów ustawił się za Jorgosem.

– Z Turcją? – zapytał.

– Tak twierdzi mój rozmówca, choć sam nie ma więcej informacji.

– To oznacza, że Francuzi rozważają scenariusz, w którym Hitler uderzy na ten region – odparł w zamyśleniu Imraf. – Coś jeszcze?

– Tak. Ta grupa Polaków jest tutaj w zasadzie z własnej inicjatywy.

– Doprawdy?

Bronek potwierdził ruchem głowy.

– Wojsko prawdopodobnie będzie organizować się w Homs.

Imraf zacisnął usta, aż zbielały.

– A więc spodziewają się tu Hitlera – powiedział.

– Z waszego punktu widzenia to chyba...

– Kolejna tragedia – dopowiedział Arab. – Francja nie będzie bronić tych terenów, przelewając krew swoich obywateli. Zamienimy jednego okupanta na drugiego.

Trudno było z tym polemizować. Imraf spojrział na Kremmera, a potem na Bronka. Zaniewski odniósł wrażenie, jakby muzułmanin szukał osób, na których może wyładować frustrację.

– Dotrzymałeś słowa – oznajmił Imraf. – Nie spodziewałem się tego.

Nie wyglądał na kogoś, kto byłby pod wrażeniem. Przeciwnie, Bronek widział, że podjął już decyzję. Kluczem do jego sukcesu był terror – i nie ulegało wątpliwości, że aby utrzymać renomę prawdziwie niebezpiecznego człowieka, musi zabić co najmniej dwóch z trzech przybyszy. Tego ostatniego zaś pozostawić przy życiu tylko po to, by mógł rozgłaszać w Bejrucie, jak groźnym człowiekiem jest ten Arab.

Zaniewski wiedział, że musi działać, póki nie jest jeszcze za późno. Strzepnął niewidzialny pyłek z ramienia, dając tym samym wcześniej umówiony znak Kremmerowi.

– Co teraz? – zapytał.

Policzył muzułmanów już wcześniej. Nie licząc Farouka, było ich dziesięciu. Sześciu stało blisko siebie, pozostałych czterech w większych odstępach.

Zgodnie z planem, Osmund wsunął rękę do kieszeni. Nikt nie pomyślał o tym, by przeszukiwać starego ziemianina. Gdyby któryś z Arabów to zrobił, zdziwiłby się niepomniernie, odnajdując francuski granat.

Na umówiony znak Kremmer powinien wyciągnąć zawleczkę i Zaniewski miał nadzieję, że towarzysz już to zrobił. Kolejny sygnał był kluczowy. Bronek miał rzucić się na ziemię, a Osmund cisnąć granatem w miejsce, gdzie znajdowało się najwięcej przeciwników.

Zaniewski nabrał tchu.

– Teraz? – zapytał Imraf i zaśmiał się. – Teraz będziecie musieli...

Syryjczyk urwał, gdy Bronek padł na podłogę. Miał wrażenie, że dokładnie w tym samym momencie rozległ się przeraźliwy huk, a hala zatrzęsała się w posadach. Trotyl znajdujący się pod żeliwną skorupą granatu F1 eksplodował, dźwięk rozchodzący się w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający. Bronek poczuł, że coś opadło na jego ciało niczym deszcz.

Natychmiast zerwał się na równe nogi. Wiedział, że przez moment będzie miał przewagę. On był przygotowany na wybuch, przeciwnicy nie. Wyszarpał francuskiego stara zza paska spodni, wymierzył w pierwszego z Arabów i pociągnął za spust. Trafił w klatkę piersiową. Krew trysnęła na podłogę, a ofiara padła bez życia na ziemię.

Polak wymierzył w Imrafa, ten jednak leżał na wznak, zupełnie otumaniony. Bronek czym prędzej się odwrócił. Zobaczył kolejnego przeciwnika, powoli podnoszącego się z podłogi. Posłał w jego stronę kulę, która rozłupała mu czaszkę.

Dym po wybuchu trotylu utrudniał mu dostrzeżenie pozostałych muzułmanów. Jeden z pewnością jeszcze żył i trudno było stwierdzić, ilu z grupy sześciu przetrwało wybuch. Zaniewski zaklął pod nosem.

Dopał do Imrafa, postawił go na nogi, a potem przyłożył mu rozgrzaną lufę do skroni. Arab jęknął z bólu.

– Macie, kurwa, wyobraźnię! – krzyknął.

Bronek dostrzegł, że odłamek musiał go trafić. Włosy miał sklejone krwią.

– Panie Kremmer! – zawołał Zaniewski. – Wszystko w porządku?

W pomieszczeniu nic nie wydawało żadnego dźwięku, ale ogłuszający szum w uszach sprawiał, że wszyscy krzyczeli. Wszyscy prócz Kremmera.

– Żyję... żyję, szanowny panie sierżancie – powiedział cicho ziemianin.

Opierając się o ścianę, powoli wstał i obejrzał się na młodego Araba, który wyróżnął głową o posadzkę. Osmund wskazał mu drzwi, a ten nie zastanawiał się dwa razy. Otworzył je, ale zanim zdążył wybiec, rozległ się strzał.

Pocisk trafił chłopaka w plecy, a siła uderzenia rzuciła nim wprzód. Wypadł na zewnątrz, a dym z trotylu natychmiast zaczął ulatywać przez otwarte drzwi.

Bronek obrócił się w kierunku, z którego padł strzał.

– Każ mu rzucić broń – powiedział do Imrafa.

Powoli zaczęło robić się widno. Kilka metrów przed sobą Zaniewski zobaczył Araba, który strzelił. Wszyscy inni leżeli na podłodze.

– Słyszałeś? – zapytał Bronek.

Polak szybko zrozumiał, że Imraf nie będzie współpracował. Nigdy nie był w roli, którą teraz narzucił mu los, i nigdy nie miał zamiaru się w niej znaleźć. Był łowcą, a nie zwierzyną.

Szarpnął w bok, krzycząc coś do swojego towarzysza. Zaniewski zdążył wycelować przed siebie i strzelić, zanim tamten zareagował. Położył Araba trupem, a jego pistolet upadł niedaleko Imrafa.

Syryjczyk natychmiast sięgnął po broń.

– Nie ruszaj się! – ryknął Bronek.

Imraf nie miał jednak zamiaru słuchać ani tego, ani żadnego innego polecenia. Rzucił się w kierunku pistoletu, a wtedy Polak oddał dwa strzały. Pierwszy tylko ranił przeciwnika, drugi odebrał mu życie.

Zaniewski nie miał czasu, by zastanowić się nad tym, ilu ludzi zginęło tego dnia w magazynie. Dopadł do Karagiozopoulosa i pochylił się nad nim. Nie dostrzegł, by wybuch granatu go ranił.

Kremmer stał za Grekiem, rozwiązując krępujące go sznury. Bronek musiał przyznać, że stary ziemianin się wyrobił. Nie, było to niedopowiedzenie. Zahartował się lepiej niż stal.

– Cóż za inferno, panie sierżancie! – ocenił Osmund.

Bronek podniósł głowę Jorgosa.

– Niestety nasz arabski towarzysz, chłopak... trup nieboszczyk – dodał ziemianin, wskazując w stronę drzwi.

– Tak, widziałem – odparł Zaniewski i zdzielił kapitana „Aigokerosa” po twarzy. – Gdzie pański pies, panie Kremmer?

Greka nie sposób było ocucić.

– Poleciłem Blind Lemonowi, by pozostał na zewnątrz – odparł z powagą Osmund. – Nie mogłem pozwolić, by angażował się w tak niebezpieczne zadania.

– Rozumiem – powiedział Bronek, kiedy wspólnymi siłami podnieśli Karagiozopoulosa. Zarzucili sobie jego ręce na ramiona i ruszyli w stronę drzwi. Gdzieś w oddali rozbrzmiały krzyki po arabsku. Mogły nadciągać posiłki, ale mogli to też być przypadkowi marynarze, zaniepokojeni wybuchem czy strzałami. Zaniewski nie miał zamiaru tego sprawdzać.

Polacy wyszli na zewnątrz i rozejrzeli się. Pies zaszczekał i potrzęsął łbem.

– Dokąd, panie sierżancie? – zapytał Kremmer.

Krzyki z oddali były zbyt agresywne, by sądzić, że portowa straż pędzi sprawdzić, czy nikomu nie grozi.

– Na „Aigokerosa” – zdecydował Broniek. – Tylko tam będziemy mieć szansę. I przewagę liczebną.

– Nie znajdzie pan u mnie aprobaty dla tego pomysłu.

– Nie mamy wyjścia, panie Kremmer.

– Ale może to nie...

Ziemianin urwał, gdy usłyszeli pierwszy wystrzał. Obaj panicznie się obejrżeli i przekonali, że biegnie ku nim grupa Syryjczyków. Popędzili do najbliższego budynku i schowali się za rogami. Jorgosa posadzili pod ścianą.

– Pan go cuci, ja strzelam – oznajmił Zaniewski, uzupełniając magazynek lebelka.

– Zrozumiałem.

Sierżant zdawał sobie sprawę, że będzie to jedynie marnowanie amunicji. W tej sytuacji nie miał jednak żadnej alternatywy. Jedyne, co mógł zrobić, to spowolnić grupę Arabów. Nie dysponował odpowiednią liczbą naboju, by trafić choć połowę z nich.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Christian spojrzął na chmury leniwie przesuwane się po niebie. Wiatr cicho zawodził w oddali, nic innego nie było słyhać. Siedział na schodach przed wejściem do domu, a miejsce tuż obok zajęła Maria.

Długo się nie odzywali.

Leitner wyjął papierośnicę i wyciągnął dwa papierosy. Podał jednego Polce, a potem przypalił. Swojego obracał przez moment między palcami.

– Skąd ty bierzesz te salemy? – zapytała.

– Zawsze mam zapas, nie palę niczego innego.

– Wiem. Ale skąd?

– SS dba o swoich ludzi – odparł w zamyśleniu.

Cały ostatni dzień i wieczór spędził, zastanawiając się nad tym, ile może powiedzieć Marii. Czuł potrzebę, by podzielić się z nią wszystkim, co działo się, od kiedy opuścił szpital Notre Dame de Bon Secours. Z tego co pamiętał, to tam odbyli ostatnią w pełni szczerą rozmowę.

Zanim zasnął, skłaniał się do tego, by tak zrobić. Rankiem jednak wydawało mu się to nieroztropne. Ostatecznie usiadł na schodach i bezmyślnie wodził wzrokiem za chmurami. Kiedy się do niego dosiadła bez słowa, nie był bliżej podjęcia ostatecznej decyzji.

Wiedział, że w końcu musi z kimś porozmawiać. Z jakiejś przyczyny w Marii upatrywał osoby, której może zaufać. Racjonalność podpowiada coś odwrotnego – Polka oszukała go, a ostatecznie związanego i upokorzonego zostawiła w ratuszu w Rawitschu.

W relacjach damsko-męskich racjonalność nie grała jednak większej roli. Leitner wiedział, że może jej zaufać. Była to miła odmiana, bo od kiedy zaczął wykonywać polecenia Cerbera – lub tylko utrzymywał pozory – odnosił wrażenie, że ma przeciwko sobie cały świat. Zamknął się w szczelnej skorupie, która miała odgradzać go od wszystkiego i wszystkich.

Plan legł w gruzach, gdy tylko wydarzenia zaczęły iść nie po jego myśli. Leitner poniósł fiasko, a Cerber był górą. Christian załamał się i porzucił nadzieję, że kiedykolwiek odnajdzie Johannę oraz Maximiliana. Wiedział, że na uratowanie ich było już za późno.

Kiedy przyjechał do Lüttendorfu, był już zupełnie zubożniały. Wcześniej wykonał kilka zadań powierzonych przez Cerbera, nie przykładając już do tego większej wagi. Szybko

zagłębiał się w mroku leżącym na samym dnie ludzkiej duszy.

Z powodu Gabriela wstąpiła jednak w niego nowa energia. Poczuł, że jest za coś... za kogoś odpowiedzialny. Odrodziła się w nim nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone. Że może istnieje jeszcze szansa, by wyrwać rodzinę ze szponów Cerbera.

Wypalił papierosa w milczeniu, a potem obrócił się do Marii.

– Mam ci wiele do powiedzenia – odezwał się.

Nie czuł się komfortowo w tej sytuacji. Rzadko przed kimkolwiek się otwierał i czuł, jakby zupełnie się odsłonił. Polka nie odpowiedziała, tylko skierowała na niego spojrzenie.

Nie sprawiała wrażenia zdziwionej. Być może spodziewała się, że prędzej czy później Christian poczuje potrzebę, by wytłumaczyć, co się stało. Dlaczego zostawił ją i Elisę w Berlinie, dlaczego porzucił Marvina Rodemeyera na śmierć w piwnicy Kancelarii Rzeszy i dlaczego zrobił szereg innych rzeczy.

Maria odwróciła wzrok i strzepnęła popiół na schody.

– Nie interesuje cię to? – zapytał.

– Nie.

Skinął głową. Przez chwilę panowała cisza.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – dodała.

– Rozumiem.

– Naprawdę, Christian? Rozumiesz? – zapytała, obracając się do niego.

– Tak – odparł spokojnie i wyprężył klatkę piersiową, jakby stawał do raportu przed samym Führerem. – Nie chcesz słuchać usprawiedliwień, bo nic, co powiem, nie mogłoby zamazać moich win.

Przewróciła oczami.

– Mniej więcej – odpowiedziała cicho.

– Mimo wszystko muszę kilka rzeczy wyjaśnić.

Maria ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru protestować, co Leitner przyjął jako zachętę, by mówić dalej.

– Miałem wiele czasu, by zastanowić się nad tym, od czego zacząć.

– Bez wątpienia.

– I ostatecznie nadal nie wiem.

Uśmiechnęła się blado i odwróciła głowę, by tego nie zauważył.

– Może od rzeczy najważniejszej – powiedziała.

– W porządku. Zatem musisz wiedzieć, że Marvin żyje i ma się dobrze.

Gwałtownie zwróciła na niego wzrok.

– Przypuszczam, że siedzi teraz w jednym z londyńskich pubów, w towarzystwie swojego przełożonego z MI6, Raphaela Albertsa. Który, jak wiesz, złożył mi wizytę w szpitalu w Metz.

Maria ściągnęła brwi, przyglądając mu się tak wnikliwie, że miał wrażenie, jakby wzrokiem sięgnęła jego duszy. Poczuł się nieswojo. Odkryty, obnażony. Polka w mig zrozumiała, do czego zmierza, widział to w jej oczach.

Wyjął kolejnego papierosa, ale nie zapalił go.

– Ty... – zaczęła, marszcząc czoło jeszcze bardziej. – Cały czas pracowałeś dla Brytyjczyków?

– Nie – odparł Leitner bez namysłu, a potem zrobił pauzę. – Nie dla nich, a z nimi. Zawarłem z Albertsem umowę i przez pewien czas działałem jako jego człowiek.

– Ale...

– Pozwól mi wytłumaczyć, a zapewniam cię, że wszystko stanie się jasne.

Maria pokiwała głową, nie odrywając spojrzenia od jego oczu. Czuł, jakby wywierało na nim fizyczny nacisk. Obrócił papierosa w dłoni, a potem kolejny raz zapalił.

– Alberts złożył mi pewną propozycję w szpitalu.

– Którą odrzuciłeś.

– Niezupełnie – odparł z lekkim uśmiechem. – Zarówno Brytyjczyk, jak i Rodemeyer i ja zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak daleko sięgają macki Cerbera. Musieliśmy stworzyć wiarygodną historię.

Przypalił Marii, która sama obsłużyła się papierośnicą.

– To, że wydałem was w Berlinie, było elementem naszego planu. Cerber musiał być przekonany, że może mi zaufać, chciał bowiem powierzyć mi istotną z jego punktu widzenia misję.

Polka zaciągnęła się płytko i od razu wypuściła dym.

– Uzналиśmy, że osiągnę to wyłącznie, jeśli wydam najbliższego przyjaciela – dodał. – Cerber zna mój życiorys, wie, jaka zażyłość łączyła mnie i Rodemeyera.

– A ja i Elisa... dostałyśmy rykoszetem?

– Nie. To także miało uwiarygodnić moje oddanie Rzeszy.

Zamilkli. Niedopowiedzenia czasem były wymowniejsze od słów.

– Nikomu nie miała stać się krzywda – dodał Christian.

– Tyle tylko, że zostawiłeś Marvina w towarzystwie całej kompanii esesmanów.

– Zadbaliśmy o to, by szybko nastąpiło przeniesienie więźnia – wyjaśnił Leitner. – W trakcie transportu miał miejsce wypadek. Rodemeyera wyswobodzili brytyjscy agenci, a potem przetrzucili go do Londynu. Niestety musiał znieść trochę upokorzeń, nie obyło się bez szwów, ale koniec końców jego poświęcenie przyniosło rezultat.

Maria zawiesiła wzrok w oddali.

– Wam włos z głowy miał nie spaść – kontynuował oficer SS. – Byłem przekonany, że jeśli umieszczę was tutaj, będziecie bezpieczne. Nie miałem pojęcia, że...

– Rozumiem.

Ta krótka odpowiedź sprawiła, że poczuł, jakby Maria zdjęła z jego barków ciężar, który nosił od dłuższego czasu. Nabrał tchu, zastanawiając się nad tym, o czym w następnej kolejności powinien powiedzieć.

Maria go wyręczyła.

– Trudno mi uwierzyć w inną rzecz – odezwała się. – Znam cię, Christian. Nigdy nie zdecydowałbyś się na współpracę z obcym mocarstwem. Nigdy nie działałbyś na szkodę Rzeszy.

– I nigdy tego nie robiłem.

– Więc musisz mi to wyjaśnić.

– Wszystko, na co się zdecydowałem, miało zapewnić bezpieczeństwo mojej rodzinie – zaczął. – Ale jednocześnie nie było wymierzone przeciwko państwu. Każde moje posunięcie było dla dobra kraju.

– W jakim sensie?

– Rzesza to wielki, dotychczas historycznie niespotykany organizm państwowy. Trawi go jednak choroba. Choroba, która obecna jest w umysłach polityków, urzędników i wojskowych, którzy dawno powinni odejść, ustępując miejsca nowemu pokoleniu. Niestety ci ludzie znajdują się w najbliższym otoczeniu Wodza.

Maria nie była pewna, do czego dąży Leitner.

- I uznałeś, że współpracując z Brytyjczykami, zmienisz to? – zapytała z powątpiewaniem.
- Poniekąd.
- Jak?
- Wraz z Albertsem byliśmy przekonani, że Cerber stanowi najbardziej chorobotwórczy element tej politycznej układanki. Bez niego wiele rzeczy mogłoby wyglądać inaczej.
Tym razem Polka zaciągnęła się głęboko.
- Nie wiedzieliśmy, za co dokładnie odpowiada, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że jest bardzo blisko Führera. Świadczył o tym sam fakt, że jego działalność w dużej mierze była utajniona.
Christian obejrzał się przez ramię, jakby w obawie, że ktoś przysłuchuje się rozmowie. Grube odrzwia były jednak zamknięte.
- I czego się dowiedzieliście?
- Leitner nabrał tchu. Poczul, że nadszedł moment, w którym mógł pozbyć się kolejnego ciężaru z barków. Uniósł wzrok na z wolna przesuwające się chmury.
- Kilku specjalistów z MI6 wysunęło tezę, że Cerber odpowiada za strategiczne cele wojskowe. Dowództwo wywiadu nie przykładalo do tego wielkiej wagi, jakkolwiek uznano, że należy to sprawdzić. Alberts nie otrzymał szerokiego zaplecza, ale miał wystarczająco dużo narzędzi, by zweryfikować tę tezę. – Christian zrobił pauzę. – Wszystko zmieniło się jednak, gdy udało mu się ustalić, za co w istocie odpowiada Cerber.
- Co konkretnie się zmieniło?
- Dowództwo wycofało zgodę na kontynuowanie operacji.
Maria uniosła brwi.
- Agent o kryptonimie „Rhodes”, którego dobrze znasz, został przetransportowany do Wielkiej Brytanii, a drugi, znany jako „Aegean”, z którym teraz rozmawiasz, został uspijony. W praktyce miał zostać usunięty.
- Dlaczego?
- Nie mogli pozwolić na to, żeby SS coś ze mnie wyciągnęło. Wiedziałem zbyt wiele, by Brytyjczycy mogli odpuścić.
- Chcesz powiedzieć, że polują na ciebie?
- Z pewnością polowali. Przypuszczam, że do tej pory Marvinowi udało się odwołać rozkaz. Maria pokręciła głową, jakby nie mogła ułożyć tego wszystkiego w logiczną całość.
- Więc czym w końcu zajmuje się ten Cerber?
- Tworzeniem nordyckiej rasy nadludzi.
- Co takiego? – spytała Maria, odpalając kolejnego papierosa zupełnie nieświadomie.
- Realizuje program Himmlera o nazwie Lebensborn.
Słowo zawisło w powietrzu jak ciemne, burzowe chmury.
- To projekt inżynierii genetycznej – dodał Leitner. – W jego ramach porywane są dzieci o jasnych włosach i niebieskich oczach, kojarzone są pary o takich samych cechach i...
- Urwał, przypominając sobie kobiety, które spotykał w ośrodkach Lebensbornu. Wszystkie wydawały mu się zupełnymi fanaticzkami, które zapłodnienie przez nieznanego oficera SS uznawały za akt wagi państwowej i okazanie wierności Adolfowi Hitlerowi. Wszystkie, oprócz jednej. Norweżka o imieniu Gørild, którą spotkał w Steinhöring, wydawała się inna. Wprawdzie nic nie wskazywało na to, by wykonywała zadanie wbrew swojej woli, ale nie było w tym dumy, która charakteryzowała kobiety w Bad Polzin czy Klosterheide.
- Porywają niemieckie dzieci? – zapytała Maria.
- Nie, to byłoby niecelowe.

– Więc...

– Porywają dzieci innych nacji, które odpowiadają cechami fizycznymi modelowi – odparł głosem bez wyrazu Leitner. – W tym polskie. Najbardziej jednak zależy im na zapładnianiu Skandynawek.

– Przecież...

– Nie obchodzi ich własna ideologia. Ci, których nazywają podludźmi, posłużą jako wzorzec dla kolejnych pokoleń nadludzi, jeśli tylko mają niebieskie oczy i blond włosy.

Maria nerwowo poprawiła fryzurę.

– Przecież to absurd, Christian.

– Wiem.

Najwyraźniej teraz zrozumiała nieco więcej.

– Brzydzi cię to – zauważyła. – Jesteś rozgoryczony tym, co robią Himmler i reszta. W twoich oczach sprzeniewierzyli się Rzeszy i Hitlerowi... to dlatego zdecydowałeś się na współpracę z Albertsem.

– Nie tylko dlatego.

– Więc?

– Chodziło także o moją rodzinę. MI6 miało mi pomóc w odzyskaniu Johanny i Maximiliana.

– Istniały inne metody.

– Jakie? Wierz mi, że będąc w Berlinie, nie marzyłem o niczym innym, jak wzięciu Cerbera na tortury. Nawet jednak gdyby mi się udało, ten człowiek niczego by nie zdradził.

Polka potarła skronie. Wszystko stawało się dla niej jasne.

– Blankenburg dla niego pracuje? – spytała.

Nie mógł nie usłyszeć odrazy w jej głosie, gdy wymieniła nazwisko człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie rodziny Boissów.

– Nie tylko on – potwierdził Leitner. – Cerber ma pod sobą wielu ludzi.

– Mogłeś znaleźć któregoś z nich, wypytać go...

– Nie – zaoponował. – Przypuszczam, że tylko Cerber i Blankenburg wiedzą, gdzie znajduje się moja rodzina. – Na moment urwał i oderwał wzrok od nieba. – Zapewniam cię, że kiedyś obaj zapłacą za wszystko, co zrobili.

Przez kilka minut milczeli. Christian miał jej jeszcze kilka rzeczy do powiedzenia, ale pozwolił, by ułożyła sobie wszystko w głowie.

– Dlaczego wybrał akurat ciebie? – zapytała w końcu.

Wiedział, że to pytanie padnie. Sam zresztą też nieraz je sobie zadawał.

– Nadawałem się pod względem wizerunkowym – odparł. – Oprócz tego to wszystko jest dość usystematyzowane. Opracowano algorytm, na podstawie którego wybiera się najlepszych kandydatów do dostarczenia materiału genetycznego dla... nowej generacji nadludzi. Nie wiem, na czym te wzory polegają, nie znam się na tym. To zabawa w Boga, lecz odbywająca się według ściśle określonych, naukowych wytycznych. Lekarze pracowali nad tym już od lat, zresztą państwo również nie próżnowało. W trzydziestym trzecim wprowadziliśmy pierwszą ustawę eugeniczną, a...

Nagle Leitner urwał. Zerwał się na równe nogi i wbił wzrok przed siebie.

– Co się stało? – zapytała Maria, patrząc na wprost.

– Nic dobrego.

OKOLICE ST. GEORGEN AN DER GUSEN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Staszek starał się sklecić odpowiednie gratulacje dla Agnes Becker. Musiał przyznać, że wykonała swoje zadanie wzorowo, ratując ich przed okrutną śmiercią. Zanim jednak skończył, zobaczył, że Obelt poblądł.

– Panie kapitanie? – zapytał niepewnie.

Oficer zaklął siarczyście pod nosem i dopiero teraz Zaniewski uświadomił sobie, że Obelt wychylił się nieco zza swojej osłony i zerkał w stronę Niemców. Młody lekarz stłumił potrzebę, by się odwrócić.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Miło było cię poznać, Zaniewski.

– Słucham?

– To koniec. Jesteśmy martwi.

Przez moment Staszek łudził się jeszcze, że kapitan robi sobie żarty. Jego wyraz twarzy przeczył jednak lekkiemu tonowi. Sprawa była poważna i najwyraźniej Obelt nie przesadzał.

– Jak daleko są? – zapytał Zaniewski.

– Niedaleko.

Agnes dostrzegła ich i wstrzymała oddech. Szybko jednak opanowała nerwy, podniosła się, a potem zrobiła krok w stronę nadchodzących Niemców.

– Czegoś panowie potrzebują? – krzyknęła.

– Porozmawiać z pani mężem – odparł Fehrmann.

Agnes bez namysłu ruszyła w ich kierunku. Starła się zasłaniać przy tym więźniów, ale esesmani szybko się rozdzielili i obaj bez trudu mogli spojrzeć w ich kierunku.

Nie było sensu dłużej się oszukiwać. W tej sytuacji rezultat mógł być tylko jeden. Agnes zaczęła zastanawiać się nad tym, do czego mogą okazać się zdolni zbiegowie w sytuacji zagrożenia. Z pewnością w obozie pozbyli się ostatnich resztek człowieczeństwa, a Christine za moment znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Serce matki zabiło nierówno.

– Mogę jeszcze jakoś pomóc? – spytała, przybierając lekki uśmiech.

Thorben uniósł dłoń, nakazując jej się zatrzymać. Kiedy stanęli naprzeciw siebie, miała wrażenie, że jej nerwy przyjęły fizyczną postać i Fehrmann może dostrzec to bez trudu.

Staszek nie musiał pytać Obelta o rozwój sytuacji. Wszystko potrafił wyczytać z twarzy towarzysza. Ani na moment nie pojawiła się na niej oznaka, że istnieje jeszcze szansa na ratunek.

– Co robimy? – zapytał Zaniewski. – Uciekamy?

– Torba strzeli nam w plecy, nim ujdziemy kilka metrów – odparł kapitan, w zamyśleniu przeciągając palcem po bliźnie na policzku.

– Więc...

– Więc lepiej zaryzykować, niż skończyć z kulą w zadzie od Fehrmanna.

– Zaryzykować?

Obelt uniósł kącik ust.

– Nie chcesz odplacić im za to wszystko, czego doświadczyłeś w obozie? – zapytał.

Zaniewski uniósł brwi, przez moment trwał w bezruchu, a potem skinął głową. Kapitan zerknął jeszcze na Niemców, a potem zaczął udzielać kompanowi krótkich instrukcji. Robił to szeptem, bowiem esesmani byli już o kilka kroków od nich. Kiedy skończył, złapał się za kostkę i spuścił głowę, by zbyt szybko go nie rozpoznali.

– Połóż mi dłoń na ramieniu – polecił Obelt. – Udawaj, że mnie pocieszasz.

Staszek wykonał polecenie. Słyszał już kroki Niemców i rozmowy prowadzone za plecami.

- Co z nimi jest? – zapytał Thorben.
- Mówiłam panu, że mąż skręcił kostkę.
- Wygląda raczej, jakby był poważnie ranny.
- Jest na siebie zły za tę nieuwagę. To bardzo dumny człowiek. Wie pan, jak to jest...
- Nie, nie wiem – odparł Fehrmann i zatrzymał się za plecami Staszka.

Zmierzył go wzrokiem i uznał, że dwóch wieśniaków musi być pijanych. To tłumaczyłoby, dlaczego unikają spotkania z SS i zachowują się co najmniej dziwnie. Oczywiście było również inne wytłumaczenie. I dotarło do Thorbena o chwilę za późno.

Obelt podniósł głowę, dając umówiony znak.

Staszek zerwał się na równe nogi i rzucił w tył. Nie miał pojęcia, czy uda mu się wycelować głową w podbródek przeciwnika, ale szybko przekonał się, że uderzenie nie wyszło najgorzej. Poczuł, że przywalił dość mocno, a na potwierdzenie tego rozległ się dźwięk zębów uderzających o zęby.

Zaniewski miał nadzieję, że wybił ich kilka Fehrmannowi. Niemiec runął na ziemię, zupełnie skołowany, a Staszek natychmiast się odwrócił. Błyskawicznie sięgnął do kabury esesmana i wyszarpał broń. Kątem oka zobaczył zalane krwią usta Thorbena.

W momencie, gdy Fehrmann wypluwał kawałki zębów, Obelt był już przy drugim z Niemców. Zza pleców wyjął niewielki stępiony nóż, którego używał w obozie. Zanim Hermann Habeck zorientował się w sytuacji, Polak wraził ostrze prosto w brzuch funkcjonariusza.

Hermann padł na ziemię, przeraźliwie krzycząc. Krew pojawiła się na koszuli, ale była to jedynie niewielka plama. Kapitan natychmiast doskoczył do ofiary i poprawił cios. Wbił nóż jeszcze dwa razy, zanim w oczach Habecka nie pojawiła się pustka.

Obelt obejrzał się na Agnes i jej córkę. Kobieta obejmowała dziecko, przyciskając je mocno do siebie. Sama się trzęsła, z przerażeniem patrząc na zakrwawione narzędzie trzymane przez Polaka.

Oficer machnął ręką w kierunku wioski.

– *Raus!* – krzyknął.

Nie trzeba było dwa razy jej tego powtarzać. Popędziła drogą, a Obelt szybko rozpiął futerał Habecka i wziął jego służbowy pistolet. Otarł ostrze o koszulę ofiary i schował nóż.

Dopiero po chwili zorientował się, że Zaniewski wciąż okłada Thorbena. Niemiec leżał na ziemi bez ruchu, a Staszek zapamiętale walił go pięścią po twarzy.

– Starczy – odezwał się Obelt.

Zaniewski zamarł, dysząc ciężko. Jemu również niczego nie trzeba było powtarzać dwa razy. Otrzepał ubranie, a potem przechylił głowę Fehrmanna na bok, by ten nie zadławił się krwią.

Polacy popatrzyli w kierunku wioski. Trudno było powiedzieć, czy ktokolwiek słyszał jęk, który wydał Thorben, kiedy oberwał pierwszy raz. Nikogo nie było widać, choć oczami wyobraźni Staszek mógł już zobaczyć tabun esesmanów pędzący w równym szeregu między budynkami.

– Jest dobrze – odezwał się Obelt.

Natychmiast pożałował tak szybkiej oceny sytuacji. W oddali usłyszeli dźwięk silnika i zaraz przekonali się, że staje się coraz głośniejszy. Po chwili dostrzegli czarny samochód, wzniesający za sobą tuman kurzu.

– Czas się stąd zabierać – powiedział oficer.

– Nie mam nic przeciwko.

Obrali kierunek ku niewysokim zabudowaniom na skraju wioski. Mieli nadzieję, że dopadną do nich, nim zostaną dostrzeżeni, choć rozległe pola nie ułatwiały im zadania. Pędzili ile sił, obaj zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo zmalały ich szanse na przeżycie.

Czarny samochód zatrzymał się raptownie przy dwóch powalonych mężczyznach. Ulrich Kossendey wyjrzał przez szybę i przekonał się, że to w istocie Fehrmann i jego podwładny. Nie wysiadł. Nie interesowało go to, czy jeszcze żyją. Teraz priorytetem było coś zgoła innego.

Rozejrzał się i wypatrzył w oddali dwóch biegnących ludzi. Nie zastanawiał się długo – zakręcił kierownicą, a potem dodał gazu. Zbyt wysokie obroty spowodowały, że koła zabuksowały na ziemistym podłożu, potem jednak samochód ruszył przed siebie.

Niedaleko widział także kobietę z dzieckiem, ale uznał, że nie warto tracić na nie czasu. Był już o krok od ujęcia zbiegów i otrzymania pochwały od najwyższych rangą oficerów Gestapo. Przełożeni z pewnością docenią, że dokonał tego, czego nie udało się osiągnąć SS.

Samochód podskakiwał na polu, zawieszenie trzeszczało, jakby miało złamać się wpół. Kriminaldirektor nie miał zamiaru się tym przejmować. Gotów był poświęcić znacznie więcej niż auto, byleby dorwać tych dwóch.

Wbiegli do wioski, co ucieszyło Kossendeya. Wyjechał na lepszą drogę i dodał gazu. Uśmiechnął się, wiedząc, że nie zdołają mu już uciec.

– *Halt!* – krzyknął jeden z mieszkańców, widząc pędzących uciekinierów.

Nie rzucił się na nich, co Staszek uznał za mały cud. Przypuszczał, że przechodnie będą bardziej zdecydowani, chcąc pomóc SS w ujęciu dwóch niebezpiecznych kryminalistów. Żaden z nich jednak nie zatarasował im drogi ucieczki. Być może zdawali sobie sprawę, że nie było takiej konieczności.

Zaniewskiemu brakowało już tchu. Przejście przez pole byłoby wymagające dla wycieńczonego organizmu, co dopiero mówić o szaleńczym biegu. Popatrzył na Obelta, który był w jeszcze gorszym stanie. Kapitan niemal potykał się o własne nogi.

Usłyszał za sobą dźwięk silnika.

Za najbliższego budynku wyłonił się mężczyzna, który jako jedyny sprawiał wrażenie gotowego do ujęcia zbiegów. W niezrozumiały dla Staszka sposób Obelt odnalazł w sobie ostatki sił, by w pełnym biegu przywalić miejscowemu. Ten zatoczył się w tył, a Polacy szybko go minęli.

– Gdzie... – zaczął Obelt. – Gdzie jesteśmy...

– Gusen – wysapał Zaniewski.

Przynajmniej wydawało mu się, że taką tabliczkę mijali. Nie żeby miało to wielkie znaczenie. Staszek przypuszczał, że oficer chce wiedzieć, gdzie zakończy się ich życie. Nazwę znał, bo od jakiegoś czasu mówiono o tej miejscowości w obozie. Twierdzono, że część więźniów zostanie tutaj przeniesiona.

Czy mogło im to w jakiś sposób pomóc? Zaniewski gorączkowo poszukiwał ostatniej deski ratunku, ale umysł odmawiał posłuszeństwa. Czuł, że zaczyna kręcić mu się w głowie. Wizja nieco mu się rozmyła. Zrozumiał, że jego siły są na wyczerpaniu.

Ulrich Kossendey wjechał do Gusen i zatrzymał samochód, nie odrywając wzroku od uciekających więźniów. Wyszedł z auta i ruszył za nimi, specjalnie się przy tym nie męcząc.

Mijał mieszkańców, którzy wskazywali mu drogę, choć nie było to konieczne. Ofiary nie mogły teraz mu uciec, choć przypuszczał, że będą próbowały. Nie pomylił się. Po chwili dwaj

Polacy odbili w jedną z uliczek, zataczając się przy tym, jakby byli pijani.

Obelt złapał Zaniewskiego za fraki i wciągnął do uliczki. Nikogo w niej nie było.

Staszek otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie dobył głosu. Obaj oparli się plecami o ścianę budynku. Nie mieli siły dalej uciekać.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Pocisk rozrył róg budynku, za którym schronił się Bronek. Polak mimowolnie zasłonił się ręką, czując na sobie kawałki tynku. Przyklęknął na jedno kolano, po czym wysunął lufę zza osłony. Szybko upewnił się co do sił nieprzyjaciela. Dziesięciu Syryjczyków pędziło w ich kierunku.

Zaklął pod nosem, podczas gdy stojący za nim Kremmer uspokajał psa.

– Panie sierżancie – odezwał się ziemianin. – Sugeruję się oddalić.

– Słusznie.

– Możliwie jak najszybciej.

– Tak? – zapytał pod nosem Zaniewski, a następnie pociągnął za spust. Kula minęła jednego z Syryjczyków o kilka centymetrów, ale grupa zwolniła nieco, szukając sobie osłony.

Bronek się podniósł i znów wyjrzał zza rogu. Nad ulicą uniół się tuman kurzu i coraz trudniej było dostrzec wroga. Oddał kolejny strzał, licząc na to, że łut szczęścia sprawi, iż kogoś trafi.

Nie było sensu oszczędzać amunicji. Syryjczycy zdawali sobie sprawę, że w końcu dorwą ludzi, których ścigali. Jedyna nadzieja w tym, że zwolnią nieco, obawiając się zabłąkanej kuli.

– Co... – rozległ się głos Jorgosa. – Co się dzieje...

Zaniewski nie zwracał na niego uwagi, więc to Kremmer opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło. Kapitan „Aigokerosa” przez moment był zbyt skołowany, by zrozumieć cokolwiek.

– Kim... kim ty, kurwa, jesteś?

Karagiozopoulos uniół rękę i z przerażeniem spojrział na obandażowany kikut. Krzyknął.

– To pan Kremmer – odezwał się Bronek, wyteżając wzrok i starając się wypatrzeć, czy żaden z Syryjczyków nie wysforował się przed resztę.

– Moje uszanowanie – powiedział ziemianin.

Jorgos machał ręką, jakby starał się opędzić od wyjątkowo natrętnej muchy. Zaniewski strzelił po raz kolejny.

– Co to ma być?! – ryknął Jorgos.

– Dzieło Imrafa.

– Kurwa jego mać!

Kremmer skrzywił się, słysząc przekleństwo.

– Może podniesie pana na duchu świadomość, że Arab od nas odszedł.

– Że co?!

– Winowajca pańskiego okaleczenia nie jest już dłużej...

Greki znów krzyknął, a Bronek zaklął w duchu. Wycofał się, złapał kapitana za ramiona i potrząsnął nim najmocniej, jak potrafił. Karagiozopoulos przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar się na niego rzucić. Potem jednak w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

– Ścigają nas Syryjczycy, Jorgos – odezwał się Polak. – Albo się uspokoisz, albo wszyscy tu zginiemy.

– Jezus Maria...

– Możesz iść? A jeszcze lepiej, biec?

Kapitan „Aigokerosa” pokiwał głową, choć nadal wyglądał, jakby znajdował się w innym świecie. Podniósł się, wspierając sprawną ręką o ścianę. Zaniewski szybko znalazł się przy rogu i pociągnął za spust, nawet nie spojrzawszy na Syryjczyków.

– Zobaczymy – jęknął Grek.

– W takim razie pędźcie do portu, już!

– Ależ co z szanownym panem sier...

– Będę tuż za wami, panie Kremmer. Spotkamy się na „Aigokerosie”.

Bronek wskazał im kierunek i ponaglił ich spojrzeniem.

– Ruchy! – dodał. – Nie mam już wiele nabojów!

Bez dyskusji ruszyli we wskazanym kierunku. Zaniewski odetchnął z ulgą, uznawszy, że chociaż tyle udało mu się osiągnąć. Odczekał chwilę, odprowadzając ich wzrokiem, a potem znów przykucnął i się wychylił. Tuman kurzu powoli nikł, mógł dostrzec zbliżających się Syryjczyków.

Szli ostrożnie, chowając się za skrzyniami i budynkami. Bronek poczekał, aż zbliżą się jeszcze trochę, po czym opróżnił magazynek. Odrzucił broń, obrócił się i popędził w kierunku portu.

Teraz nie było już czasu na chłodne kalkulacje i snucie planów. Wszystko sprowadzało się do jednej, prostej rzeczy – by biec ile sił w nogach.

Miał nadzieję, że żaden z Syryjczyków nie próbował ich okrążyć i nie wychynie z którejś z uliczek. Pędził przed siebie, ale nie miał nawet czasu, by się rozejrzeć. Gdyby nieco zwolnił, być może nie wpadłby na człowieka, który nagle wyłonił się z jednej z mniejszych uliczek.

W pełnym pędzie powalił Araba na ziemię, samemu też upadając. Nie miał czasu sprawdzić, czy to przypadkowy przechodzień, czy przeciwnik. Przywalił mu z byka i zerwał się na równe nogi. W ostatniej chwili dostrzegł leżący na ziemi karabin. A więc jednak próbowali ich okrążyć. Bronek podniósł broń i natychmiast ruszył przed siebie. Miał świadomość, że teraz liczy się każda sekunda.

Z oddali usłyszał głos Kremmera, lecz nie mógł rozszyfrować, co mówi. Biorąc zakręt za jednym z budynków, poślizgnął się na piachu i wyciągnął jak długi. Coś przeskoczyło mu w biodrze, ale nie zwracając na to uwagi, od razu się podniósł i pobiegł dalej.

Gdy mijał kolejne skrzyżowanie z niewielką uliczką, wziął pod uwagę, że może czaić się tam kolejny Syryjczyk. Wymierzył broń, przebiegając obok niej, ale nikogo nie dostrzegł. Zwrócił się przed siebie i dopiero tam zobaczył Araba.

Mężczyzna również rozglądał się w pełnym biegu. Kiedy utkwiał wzrok w Polaku, ten pociągnął za spust. Karabin zadudnił, kule przecięły powietrze, a potem ciało przeciwnika. Mężczyzna padł na plecy z podziurawioną klatką piersiową, wzniecając chmurę pyłu.

Zaniewski pędził w kierunku portu.

Gdy minął ostatnie zabudowania i wybiegł na otwartą przestrzeń, z ulgą dostrzegł Kremmera i Jorgosa, a za nimi kadłub „Aigokerosa”. Na pokładzie panowała powszechna mobilizacja.

– Zaczęłam się niepokoić o pański los! – krzyknął rozemocjonowany Kremmer.

Jorgos uwiesił się na nim, pobladły i spocony. Bronek zbył to stwierdzenie skinieniem głowy, a potem obrócił się i przykucnął, przyjmując pozycję do strzału.

W oddali zauważył trzech mężczyzn, którzy niewątpliwie widzieli ciała swoich towarzyszy. Pędzili w stronę greckiego frachtowca, wiatr rozwiewał poły ich abai, a promienie słońca odbijały się od broni.

Bronek przystawił kolbę karabinu do barku, a łokciem podparł się o kolano. Przymknął oko i po wykonaniu trzech głębokich oddechów miał pierwszą ze swoich ofiar na celowniku. Oddał

strzał; trafił Syryjczyka w sam środek klatki piersiowej. Mężczyzna runął na ziemię, ale pozostałych dwóch jakby tego nie zauważyło.

– Z prawej! – rozległ się znajomy głos.

Z pokładu „Aigokerosa” zeskoczył bosman Kaklamanis Papaspyrou i szybko doskoczył do rannego kapitana.

Zaniewski zwrócił wzrok we wskazanym kierunku. Dostrzegł grupę Arabów, którzy wybiegli zza linii budynków. Najpewniej była to reszta tych, którzy starali się ich okrążyć. Bronek zaklął pod nosem. Liczył na to, że ma jeszcze trochę czasu.

– Bierzcie Jorgosa na pokład i odbijajcie! – krzyknął.

Kaklamanis szybko wykonał polecenie. Załoga nie próżnowała i marynarze zdążyli już zdjąć liny cumownicze. „Aigokeros” był gotowy, by odbić od portu w Bejrucie. Kiedy kapitan znalazł się na pokładzie, bosman wyciągnął rękę do Kremmera. Ten jednak zamiast za nią złapać, spojrzął na psa.

– Najpierw on – oznajmił Osmund. – Wabi się Blind Lemon.

Kaklamanis otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Panie Kremmer, do kurwy nędzy! – ryknął Zaniewski. – Na statek!

Jeden z dwóch nadbiegających Syryjczyków oddał strzał w stronę Polaka. Kula świsnęła niedaleko, sięgając kadłuba zacumowanej obok jednostki.

– Zostaję tu z panem – oznajmił Osmund. – Nie powinienem pana w ogóle zostawiać, ale pan Kagazoriopulos wymagał...

– Karagiozopoulos – poprawił go machinalnie Bronek, po czym przymierzył i pociągnął za spust. Nie miał pojęcia, ile nabojów zostało w magazynku, ale nawet gdyby był pełny, a on ani razu by nie chybił, nie wystarczyłoby na wszystkich Syryjczyków.

– Chyba pan nie trafił – zauważył ziemianin.

– Chyba nie.

Kremmer obejrzał się przez ramię.

– Statek odpływa, panie sierżancie – zameldował.

– W takim razie niech pan wsiada, do cholery.

– Za późno. Grecka jednostka zmierza już wzdłuż kei.

Zaniewski obejrzał się. „Aigokeros” rzeczywiście odchodził, znajdował się już kilkaset metrów od nich. Jeszcze przez moment mieli czas, by na niego wsiąść, ale w tej chwili musieliby ruszyć po jednym z pirsów biegiem.

Rozległy się kolejne strzały. Zaniewski mimowolnie się skulił, czując, że tym razem Syryjczycy byli znacznie bliżej tego, by ich trafić.

– Jeśli mamy zamiar jeszcze zdążyć... – zaczął Kremmer.

– Wiem, wiem – odparł Zaniewski i szarpnął za język spustowy w sposób, którego nigdy nie pochwaliby Gavril. Opróżnił na ślepo cały magazynek, a następnie obaj obrócili się i puścili pędem w kierunku pirsu.

Na pokładzie „Aigokerosa” panowało poruszenie. Kule świsnęły w powietrzu, a część trafiła w poszycie. Gdyby tylko kapitan mógł spojrzeć na rozmiar zniszczeń, zapewne zaczęłyby obawiać się o szczelność kadłuba.

Jorgos wspierał się o burtę, patrząc na biegnących Polaków.

– Zwolnić! – krzyknął. – Nie zdążą...

Bosman wydał szybki rozkaz nawigatorowi. Ten zmniejszył nieco obroty, ale i to nie dawało

wielkich nadziei na to, że Polacy zdołają się uratować. Syryjczycy byli tuż za nimi.

– Musimy im pomóc – odezwał się Karagiozopoulos.

– Nie mamy jak – odparł Kaklamanis, rozglądając się. – Na pokładzie nie ma żadnej broni.

– Więc weź cokolwiek i rzucaj!

Papaspyrou z przerażeniem patrzył na biegnących zygzakiem towarzyszy. Kazał trzymać trap w gotowości, by mogli wbiec bezpośrednio na pokład, ale teraz stało się jasne, że aby dostać się na „Aigokerosa”, będą musieli skoczyć. O ile w ogóle zdążą.

Nie licząc jednego z pirsów, życie w porcie zdawało się zatrzymać. Kaklamanis trwał w bezruchu, jak jeden z elementów tej zastygłej sceny.

– Słyszysz mnie? – zapytał kapitan.

Bosman potrząsnął głową. Kolejna kula trafiła w poszycie.

– Nie wiem, co możemy zrobić... – odparł Papaspyrou i rozłożył ręce.

Jorgos wymamrotał stek przekleństw, jakich nie powstydziliby się najbardziej zaprawiony wilk morski.

Bronek pędził na złamanie karku, zupełnie nie myśląc o tym, że stary Kremmer nie utrzyma długo tego tempa. Zreflektował się dopiero, gdy ziemianin krzyknął coś do niego. Przez kakofonię wołań i wystrzałów nie usłyszał słów, ale zatrzymał się i natychmiast odwrócił.

Zrobił to akurat w porę, by zobaczyć, jak Osmund upada. Przejęła go zgroza. Przemknęła mu przez głowę jasna jak błyskawica myśl, że Kremmer już się nie podniesie i to wszystko przez niego.

– Panie sierżancie! – zawołał Osmund.

Zaniewski otrząsnął się i szybko dopadł do towarzysza, kuląc się przy tym jak najniżej. Na tym etapie uniki nie miały już większego znaczenia. O przeżyciu zadecyduje łut szczęścia.

– Dostałem! – powiedział Kremmer.

Bronek dopiero teraz zobaczył, że ziemianin wpatruje się z przerażeniem w swoją nogę. Wokół było trochę krwi, ale nie na tyle, by Zaniewski musiał martwić się o życie Osmunda. Rana na łydce zdawała się powierzchowna.

– To tylko draśnięcie – powiedział, pochylając głowę. – Musimy iść, panie Kremmer!

Nie czekając, aż kompan zaprotestuje, Bronek podniósł go i zaczął prowadzić w kierunku statku. „Aigokeros” kołysał się już na wodzie, nabierając prędkości. Blind Lemon biegał wokół Polaków, szczerząc się głośno.

Zaniewski zaklął w duchu. Utykanie Kremmera znacznie ich spowalniało, a frachtowiec najwyraźniej nie mógł dłużej czekać. Syryjczycy nie byli w ciemną bici. Doskonale wiedzieli, w stronę której jednostki uciekają Polacy – i dopuszczali możliwość, że zdążą w porę, by znaleźć się na pokładzie. Część Arabów spuściła z muszki Bronka i Kremmera, celując w kadłub statku.

– Kurwa mać! – krzyknął Zaniewski.

Osmund nagle odrzucił jego rękę i wyszarpał się z uścisku.

– Niech pan biegnie – powiedział.

– Nie ma mowy.

– Musi mnie pan zostawić, już! – uniósł się, patrząc jeszcze błagalnie na psa. – I niech go pan weźmie ze sobą!

Bronek nie miał zamiaru skazywać na śmierć przyjaciela. Zanim jednak zdążył z powrotem zarzucić sobie na ramiona jego rękę, usłyszał huk, a potem poczuł ciepło rozchodzące się po torsie.

Nie od razu zrozumiał, że oberwał.

Dopiero gdy padł na ziemię, dotarło do niego, że jeden z Syryjczyków w końcu oddał celny strzał.

– Panie sierżancie! – usłyszał krzyk Kremmera.

Potrząsnął głową. Nagle poczuł się podobnie jak wtedy, gdy upadł po długiej podróży z obozu jenieckiego w Rumunii. Znajdował się wtedy na granicy, ale szczęście się do niego uśmiechnęło.

Najwyraźniej wyczerpał przysługujący mu zapas. Zamknął oczy.

Kremmer potrząsnął nim i Broniek poczuł przeraźliwy ból rozchodzący się po barku. Otworzył oczy i spojrzał na ramię. Kolejne pociski świsnęły w powietrzu.

– Żyje pan?

Zaniewski pomyślał o bracie, Maniurze, Chwieduszcze i całej reszcie ludzi, których los rzucił Bóg jeden wie gdzie. Kiedy nadeszły myśli o Anieli, szybko je od siebie odsunął. Przez moment trwał w marazmie, ale Osmund nie dawał za wygraną, cały czas nim potrząsając.

– Żyję, panie Kremmer – odparł. – Tak łatwo mnie nie ubiją.

– Więc chodźmy!

Ziemianin złapał go pod rękę i podniósł. Broniek przyłożył dłoń do rany i zaczął mocno ją uciskać. Była znacznie głębsza niż draśnięcie towarzysza. Spomiędzy palców wyciekała mu krew.

Zrobili kilka kroków, świadomi, że muszą sprawiać żałosne wrażenie.

Zaniewski podniósł wzrok i spojrzał na „Aigokerosa”. Nie było żadnej szansy, by zdążyli w porę. Marynarze wprawdzie stali przy burcie z gotowym do opuszczenia trapem, ale oni również wiedzieli, że Polacy nie dotrą do nich w porę.

Mimo to, utykając, Broniek i Kremmer wciąż zmierzali w stronę statku.

– To koniec – odezwał się Zaniewski.

– Niechże pan tak nie...

Rozległ się kolejny wystrzał i pocisk przeciął powietrze tuż obok nich. Pies zaskomlał z przerażeniem.

– Stać! – krzyknął po francusku jakiś Arab. – Mam was na celowniku!

Dźwięk był wyraźny, dochodził z niedaleka. Polacy zdali sobie sprawę, że ich ucieczka jest nią już tylko z nazwy. Powolne człapanie w stronę „Aigokerosa” nie miało dłużej sensu.

Zatrzymali się.

– Przykro mi, panie Kremmer.

Odwrócili się w kierunku Araba, który mierzył do nich z karabinu. W tym samym momencie powietrze rozdarł huk. Był tak ogłuszający, że paraliżował zmysły, a towarzyszył mu przemożny podmuch, który ściął z nóg Zaniewskiego i Kremmera.

Runęli na ziemię, w porę chroniąc głowy. Blind Lemon przetoczył się kilka metrów, skomląc przy tym, jakby był żywcem przypalany rozgrzanym żelazem.

Bronkowi huczało w uszach. Nic nie rozumiał.

Skąd ten grzmot? Skąd fala uderzeniowa?

Dzwonienie w głowie mógł porównać tylko z jedną sytuacją. Doskonale ją pamiętał. Wraz z Obeltem, Chwieduszką, Kiljanem i Maniurą byli jedynymi, którzy przeżyli bombardowanie Luftwaffe na słowackiej granicy.

Resztkami sił zmobilizował się, by się odwrócić. Spojrzał w kierunku „Aigokerosa”, ale nigdzie go nie dostrzegł. Grecka jednostka przestała istnieć.

LÜTTENDORF, BAYERISCHE OSTMARK, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Klaas zatrzymał samochód pod domem z czerwonej cegły przy Fährstraße. Zobaczył Leitnera w towarzystwie jakiejś kobiety na schodach. Jedno ani drugie nawet nie drgnęło na jego widok. Westchnął i wysiadł z samochodu.

Podszedł do Christiana, wykonał ćwiczone od lat, wzorowe hitlerowskie pozdrowienie i rozpoznał Marię. Skłonił jej się lekko, myśląc o tym, że przełożonego zalałaby krew, gdyby zobaczył, że Alex wykonał taki gest względem Żydówki.

Christian Leitner odpowiedział na hitlergruß niedbałym machnięciem. Nie był to wyraz antypatii wobec przepisów, raczej lekceważący gest wobec niższego stopniem funkcjonariusza.

Wbił wzrok w młodego Klaasa i pomyślał, że właśnie takich ludzi chce Rzesza. Nie miało znaczenia, jakie mieli umiejętności czy cechy charakterologiczne, liczyło się tylko to, jak wyglądali. Resztę dało się uformować wedle własnej woli.

Jakby na potwierdzenie tych słów Alexander poprawił blond grzywkę i spojrzał uważnie niebieskimi oczami na wyższego stopniem oficera.

– Czego chcesz? – zapytał Christian. – Jeszcze nie pora, by ruszać.

– Otrzymaliśmy nowe rozkazy, *Herr Hauptsturmführer*.

Leitner uniósł brwi i ponaglił go ruchem ręki.

– Mamy dołączyć do Hauptsturmführera Blankenburga w Mauthausen. Doszło do ucieczki z tamtejszego obozu.

Christian znał jednostkę w Mauthausen ze słyszenia. Świadom był, jakie informacje krążą w obiegu publicznym, a jakie nie opuszczają obozowych murów. Początkowo w miejscu wzniesionym przy kamieniołomach miano „wyeliminować” element homoseksualny ze społeczeństwa i rozprawiać się ze wszystkimi, którzy zaburzali funkcjonowanie państwa. Im dalej jednak Rzesza parła na wschód, tym więcej ludzi zaczęło trafiać do Mauthausen z różnych przyczyn.

– W jakim celu mamy się tam stawić? – zapytał Christian, podnosząc się.

Właściwie nie musiał czekać na odpowiedź. Zdawał sobie sprawę, że Cerber albo zaczyna coś podejrzewać, albo uznał, że należy zakończyć jego misję. Takich jak on było na pęczki, nietrudno było znaleźć zastępstwo do zapłodnienia dwóch kolejnych kobiet rasy aryjskiej.

– Brakuje im ludzi – oświadczył Klaas. – A oprócz tego sprawa jest... osobista.

– Osobista?

– Owszem. Dobrze zna pan jednego ze zbiegłych więźniów, podobnie jak Hauptsturmführer Blankenburg.

– Doprawdy? Kto to taki?

– Przestępca znany panu jako Gottwin Stöxen.

Maria niemal osunęła się na ziemię, słysząc przybrane imię i nazwisko narzeczonego. Zakładała wiele scenariuszy tego, co działo się ze Staszkiem, ale nawet te najgorsze nie zakładały, że trafił do obozu koncentracyjnego.

Poczuła, że robi jej się słabo i niedobrze. Dopiero po chwili przekonała się, że Leitner jest gotowy, by ją podtrzymać. Popatrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu i pokręciła głową.

Zrobiła krok do tyłu i usiadła na schodach.

Zamknęła oczy i zwiesiła głowę. W przeciwieństwie do – jak jej się wydawało – całego świata, wiele słyszała na temat obozów, w których umieszczano Żydów. W większości były to plotki, ale mroziły krew w żyłach. Ze względu na opisywane okrucieństwa, część ludzi nie

pokładała w tych doniesieniach żadnej wiary. I właściwie trudno było się im dziwić. Maria nieraz miała wrażenie, jakby słuchała opowieści grozy wymyślonych tylko po to, by wystraszyć wrogów Rzeszy. A mimo to ludzie trafiali do obozów i wszelki słuch po nich zaginął.

Leitner usiadł obok niej i poczęstował ją papierosem. Nie miała pojęcia, który to już, od kiedy usiedli przed domem. Mimo to skorzystała. Przypalił jej, a potem spojrzął na nią tak, jakby widzieli się po raz pierwszy. Jakby była kimś obcym.

Natychmiast zrozumiała, o czym pomyślał.

Jego obowiązkiem było ujęcie zbiega, a to było równoznaczne z...

Odrzuciła tę myśl. Starła się nie myśleć o tym, kto przewodził poszukiwaniom. Johann Blankenburg nieraz już udowodnił, do czego jest zdolny.

– Czas nagli – odezwał się Klaas.

Leitner podniósł się i zmierzył go wzrokiem.

– Kiedy Johann spodziewa się nas w obozie?

– Jak najszybciej.

Niezgaszony silnik samochodu zdawał się to potwierdzać. Christian popatrzył na auto, a potem znacząco skinął niższemu stopniem funkcjonariuszowi. Ten przechylił się przez okno i wyłączył silnik.

– Proponuję się pospieszyć – dodał.

– Spakuję tylko kilka rzeczy – odparł Leitner i spojrzął na Marię.

Polka podniosła się, a potem oboje weszli do środka. Leitner słyszał jeszcze, jak Klaas zaklął pod nosem. Christian zamknął drzwi i ujął Marię za rękę.

– Jedziesz ze mną – powiedział.

Uśmiechnęła się blado. Była jeszcze zbyt zaskoczona, by myśleć o wszystkich implikacjach tego, co się działo.

Udali się do swoich pokojów, a potem szybko spakowali. Oboje mieli po jednej niewielkiej skórzanej torbie. Zeszli z nimi na dół i zastali czekającego na nich Gottfrieda. Odprowadził ich na ganek.

Nie było miejsca na wylewne pożegnania. Bracia uścisnęli sobie ręce, Leitner polecił mu doglądać gospodarstwa, dopóki nie wróci on lub Gabriel. Najmłodszy z rodzeństwa skwitował to śmiechem i zapewnieniem, że nie ma zamiaru zostawać tak długo na wsi.

– Dzięki za sparing, bracie – rzucił, gdy Maria i Christian się oddalali.

– Wzajemnie.

Weszli do samochodu i Leitner pomyślał o tym, że naprawdę był winien bratu podziękowania. To właśnie od momentu porażki rozpoczął się jego powrót do życia. Bez tego zimnego prysznicza być może tkwiłby w poprzednim stanie znacznie dłużej.

Helena stanęła w drzwiach i posłała Christianowi długie spojrzenie. Uniósł dłoń, a ona zbliżyła się do samochodu.

– Musimy jechać – oznajmił Klaas.

Leitner zignorował go i otworzył drzwiczki. Wymienił kilka słów z żoną brata, a ona zapewniła go, że odezwie się, jak tylko przyjdą jakieś wiadomości z Berlina. Christian zastanawiał się przez moment, po czym wysiadł z wozu. Uściskał Helenę, a potem z zaskoczeniem zobaczył, że samochód opuściła także Maria.

Żona Gabriela wręczyła jej niewielki pakunek.

– Prowiant – powiedziała.

– Dziękuję.

Helena skinęła głową, uśmiechnęła się lekko i wróciła do domu. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Leitner chciał wrócić do auta, ale poczuł, że Polka złapała go za rękę.

Miał wrażenie, jakby dziwny impuls przeszedł przez całe jego ciało. Spojrzeli na siebie.

– Póki Klaas nas nie słyszy, muszę...

– Nie – przerwał jej. – Nie prosź mnie o rzeczy, których nie mogę zrobić.

– Nie mam takiego zamiaru.

Wiedział, że mówi prawdę. I doceniał to, że rozumie, iż Christian może zdradzić swoich przełożonych, ale nie swój kraj i jego prawo. Dostrzegał w jej oczach głęboki smutek, nie było jednak niczego, co mógłby powiedzieć, by poczuła się lepiej.

– Powiedz mi, co wiesz o tym obozie? – spytała.

Zmarszczył czoło. Zastanawiał się, ile wyjawić. Nie miała wieści od narzeczonego, od kiedy opuścili Francję. Liczyła na optymistyczny scenariusz, ale z pewnością była gotowa na najgorsze.

Mimo to Christian postanowił nie mówić wiele. Nie było powodu, dla którego miałyby dodatkowo ją martwić.

– Więźniowie pracują tam przy wydobyciu granitu z pobliskich kamieniołomów – powiedział.

Była to prawda, lecz nie cała. Kilku wysoko postawionych urzędników wpadło na prosty pomysł, by zrealizować tam wyniszczenie przez pracę. W ten sposób pozbywano się sprawnie więźniów, a ci przed śmiercią mieli jeszcze szansę przysłużyć się Rzeszy. Gdy osadzeni nie mieli siły na dalszą pracę, wzywano ich do ambulatorium i robiono zastrzyk z fenolu lub benzyny.

– I? – dopytała Maria.

– Niestety nic więcej nie wiem. Może oprócz tego, że obóz mieści się nieopodal Linzu.

Miał wrażenie, że nie udało mu się zabrzmieć wiarygodnie. Jej wzrok zdawał się to potwierdzać. Mimo to skinęła głową z wdzięcznością.

Weszli z powrotem do samochodu. Maria położyła tobolek od Heleny obok siebie na tylnym siedzeniu. Christian zajął miejsce z przodu.

– Czy już możemy? – zapytał Klaas.

– Ruszaj.

– Chciałbym tylko przypomnieć, że rozkaz dotyczył pana, *Herr Hauptsturmführer*.

– Jestem tego świadom.

– Wyłącznie pana.

– Ruszaj, Klaas – powtórzył Leitner i westchnął.

Obawiał się, że młody esesman będzie manifestował swoje niezadowolenie, ale ten nie wracał już do tematu. Musiał uznać, że przełożony sam rozprawi się z Christianem, gdy dotrą na miejsce. Z pewnością nie puści płazem tego, że oficer zabrał ze sobą Żydówkę.

Leitner nie widział jednak innego wyjścia. Nie mógł zaoferować jej wiele, oprócz tego, że będzie mogła jeszcze raz zobaczyć narzeczonego. A potem go pochować.

Odgiał się na fotelu i na moment zamknął oczy.

Początkowo jechali wzdłuż rzeki Regnitz, w kierunku Wiednia. Krajobraz był monotony, a Klaas nie robił przystanków. Zatrzymali się dopiero w Bawarii, w miejscowości Plattling. Spożyli tam skromny posiłek, nie odzywając się słowem.

Alexander zabrał głos dopiero, gdy Maria odeszła, by skorzystać z wychodka.

– Dlaczego pan ją zabrał? – zapytał.

Leitner nie odpowiedział.

- Hauptsturmführer Blankenburg nie będzie zadowolony.
- Sam odpowiedział na swoje pytanie, Klaas.

Christian zamówił kawę, a potem zapalił papierosa, zupełnie ignorując młodego chłopaka. Zastanawiał się, jak zareaguje Blankenburg, i musiał przed sobą przyznać, że prawdopodobnie naraził Marię na niebezpieczeństwo. Johann znajdował się wśród swoich i z pewnością będzie miał większe możliwości działania niż Leitner.

Kiedy zaszło słońce, minęli Linz i zjechali z drogi numer trzydzieści jeden w kierunku St. Georgen an der Gusen.

W tamtej chwili Staszka i Marię dzieliło nie więcej niż siedemset metrów, choć żadne z nich nie mogło o tym wiedzieć.

Polka przypuszczała, że narzeczony wraz z towarzyszem ukrywa się wiele kilometrów stąd. Zapewne zorganizowali już sobie transport, zdobyli zapasy, a Staszek układał plan, który miał go do niej doprowadzić.

Mimo to musiała tu być. Musiała upewnić się, że Niemcy nie trafią na jego trop.

Spojrzała na Christiana i z żalem pomyślała, że gdyby był lepszym człowiekiem, mógłby im pomóc. Wprawdzie Klaas i reszta stanowili problem, ale niewielu było ludzi równie zaradnych jak Leitner. W tych okolicznościach nie miało to jednak znaczenia.

Oficer SS musiał odegrać swoją rolę.

Maria wodziła wzrokiem wokół. Co jakiś czas mijali kilkusobowe patrole i Polka uśmiechnęła się w duchu na myśl o tym, ilu esesmanów zostało zmobilizowanych, by prowadzić gorączkowe poszukiwania zbiegów. Miny mieli nieciekawe, co potwierdzało, że nie zbliżyli się do jakiegokolwiek tropu.

Barani łeb dał im popalić, pomyślała. Kto by przypuszczał?

Minęli St. Georgen i chwilę później znaleźli się pod główną bramą obozu Mauthausen. Czekali, aż strażnik im otworzy.

VI

Natura horret vacuum.
– *Natura nie znosi próżni.*
BARUCH DE SPINOZA

OKOLICE ST. GEORGEN AN DER GUSEN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Staszek i Obelt siedzieli pod ścianą, czekając na śmierć. Słyszeli, jak Niemcy wołają do jakiegoś gestapowca, by ten przyspieszył kroku, bo więźniowie zatrzymali się tuż za rogiem.

Spojrzeli po sobie. Potem Zaniewski przeniósł wzrok na zdobyczego walthera, którego mocno ścisnął oficer.

– Jeden celny strzał i jesteście wolni – powiedział Staszek.

Obelt przeciągnął ręką po twarzy pokrytej krwią Habecka. Popatrzył na pistolet i poczuł się lepiej. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał na podorędziu prawdziwą broń.

– Słyszysz pan? – zapytał Staszek.

– Słyszę, słyszę. Zastanawiałem się nad czymś.

– Nad czym?

– Kiedy ostatni raz miałem w ręce pistolet – odparł żołnierz. – I doszedłem do wniosku, że było to, gdy siedziałem w lesie z innym Zaniewskim. Dasz wiarę?

– Nie wątpię, że to było dobre towarzystwo – odparł Staszek i zaśmiał się pod nosem.

– Nie najgorsze.

Wspomnienie zasadzki na Einsatzgruppen, którą urządzili nieopodal Beniowej, dodało mu nieco otuchy. To były dobre czasy, uznał w duchu Obelt. Później jeden moment wyrócił jego życie do góry nogami. Musiał wyjść z lasu, trzymany na muszce przez Blankenburga, przez co trafił do Leska, stamtąd do oflagu i Mauthausen... a ostatecznie tutaj.

– Zaczęło się z Zaniewskim pod ręką i skończy się z Zaniewskim pod ręką – powiedział.

– Historia zatoczyła krąg.

– Tylko tamten umiał strzelać – burknął kapitan.

– Ten za to pokłada w panu pełną ufność – odparł Staszek, wychylając się zza rogu budynku.

– To jak będzie z tym celnym strzałem?

– A naprawdę idzie do nas tylko jeden?

– Tak – potwierdził Zaniewski. – Ulrich Kossendey, Kriminaldirektor w Gestapo.
– Gruba ryba.
– Raczej wędkarz, który chce samotnie taką złowić – poprawił go Staszek. – I nie wątpię, że zaraz pojawi się cała zgraja.
Obelt podniósł się i otrzepał spodnie. Na niewiele się to zdało, całe były zabrudzone.
– W takim razie załatwmy skurwiela – powiedział.
Stanęli na końcu uliczki i popatrzyli po sobie kontrolnie, jakby obaj musieli jeszcze upewnić się, że na pewno chcą zrobić to, co zamierzali.
– Strzelałeś kiedyś? – zapytał oficer.
– O kilka razy za dużo.
Obelt skinął głową z uznaniem.
– Taka odpowiedź mnie satysfakcjonuje – oznajmił, po czym wychylił się za róg budynku. – Niemiecka gnida tymczasem się nie spieszy.
– Może czeka na posiłki?
– Całkiem możliwe. Wygląda mi na jednego z tych, co całe życie spędzili za biurkiem – ocenił kapitan. – Choć Gestapo to Gestapo. Pozwolisz im na jeden ruch, a nie żyjesz.
Zaniewski odwrócił się i spojrzął w przeciwnym kierunku. Gdyby mieli nieco więcej sił, mogliby próbować dalszej ucieczki. Prawda była jednak taka, że obaj ledwo stali na nogach. W dodatku z okien wyglądali mieszkańcy, którzy śledzili każdy ich ruch. Ochocho wskazałoby Kossendeyowi lub innym Niemcom, gdzie się kierować.
To musiało skończyć się tu i teraz.
– To on cię przesłuchiwał? – odezwał się Obelt.
– Tak.
– I jak oceniasz sukinsyna?
– Tak, jak każdego innego gestapowca.
Właściwie oceniał go nieco lepiej, choćby dlatego, że sprawiał wrażenie inteligentnego człowieka. Znał poglądy Roberta von Mohla, był doświadczonym oficerem i trudno było się dziwić, jeśli zdecydował się poczekać na posiłki. Kossendey nie był w ciemni bity.
A przynajmniej jeszcze przez chwilę tak wydawało się Zaniewskiemu.
– Idzie – oznajmił Obelt. – Przygotuj się.
W zasięgu wzroku nie było nikogo, kto mógłby zdradzić ich pozycję. Mieszkańcy czekali na rozwój wydarzeń w swoich mieszkaniach, za zamkniętymi oknami. Z głównej ulicy nikt ich nie widział.
Kriminaldirektor szedł jednak uważnie. Rozglądał się, spodziewając się być może tego, że zbiegli więźniowie postanowili okrążyć jeden z budynków i zająć go od tyłu. Wciąż jednak najwięcej uwagi poświęcał uliczce, w której znikli.
Musiał wiedzieć, że nie będą dłużej pędzić przed siebie. Nie trzeba było dokonywać osobistych inspekcji na blokach, by wiedzieć, że osadzeni są jedynie cieniami normalnych ludzi.
Kossendey zatrzymał się dwa metry od rogu budynku i nasłuchiwał. Najwyraźniej spodziewał się, że będą szukali ratunku w którejś z kamienic, a nie że będą czekać na niego z wyciągniętą bronią.
Nagle rozległ się dźwięk otwieranego okna kawałek dalej.
– Pan uważa! – krzyknął ktoś.
Zaniewski popatrzył na Obelta. Ten nie miał zamiaru czekać. Wychylił się zza winkła i pociągnął za spust.

Nie przymierzył zbyt dobrze i kula nie sięgnęła celu. Wbiła się w budynek nieopodal, odłupując kawałek ściany. Ulrich Kossendey zmarł, sparaliżowany strachem. Rzeczywiście zbyt wiele czasu spędził za biurkiem.

Padł na ziemię akurat w porę, by uniknąć drugiego pocisku, który Obelt posłał w jego kierunku.

Polacy natychmiast zrozumieli, że pojawiła się przed nimi okazja. Staszek wetknął swój pistolet niedbale za pasek, a potem rzucili się w kierunku Niemca. Zanim ten zdążył unieść broń, unieruchomili go.

Kriminaldirektor krzyknął coś w swoim języku, gdy stawiali go na nogi.

Zaniewski rozejrzył się z obawą, że mieszkańcy Gusen postanowią dokonać samosądu, zanim zjawi się SS lub Gestapo. Na ulicy jednak nikogo nie było. Zadziało najbardziej pierwotne ludzkie uczucie – strach.

– Co teraz? – zapytał nerwowo Staszek.

– Teraz jest unieruchomiony.

– I? Co zamierzamy?

– To, co zamierzaliśmy jeszcze przed momentem.

Obelt przyłożył lufę walthera do głowy Kossendeya. Zaniewski widział, że oficer nie ma zamiaru brać jeńca. Zamierzał dokonać egzekucji, odpłacić temu człowiekowi za to, co stało się ze Zmitkiewiczem i całą rzeszą innych, anonimowych więźniów.

– Panie kapitanie...

– To nie czas na twoje *primum non nocere* czy inne brednie, Zaniewski!

Kriminaldirektor drgnął. Dobrze wiedział, co oznacza nerwowy komentarz mężczyzny trzymającego broń. Pobladł zupełnie, jeśli nie liczyć cieni pod oczami, które uwydatniły się jeszcze bardziej. Jabłko Adama drgnęło, ale nie przepchnęło śliny przez gardło. Staszek odsunął się o krok.

Kapitan obrócił Niemca przodem do siebie. Spojrzał mu prosto w oczy.

– Hauptmann Obelt – przedstawił się, unosząc kącik ust.

Ulrich Kossendey musiał być przekonany, że usłyszał nazwisko tylko dlatego, by wiedzieć, jak nazywa się jego zabójca. Otworzył spierzchnięte usta, ale nie dobył głosu. Przeniósł wzrok na Zaniewskiego, jakby nie rozumiał, dlaczego zamierzają go zabić, kiedy mogą wziąć zakładnika.

Powód był prosty i Staszek się nad nim nie zastanawiał. Nie mogli uciec, nie mogli wyjść cało z tej sytuacji, nawet jeśli trzymaliby na muszce gestapowca. Pierwszy lepszy esesman strzeliłby bez namysłu.

Nagle Obelt obrócił jednak jeńca. Popchnął go do przodu.

– Idziemy – powiedział.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek, gdzie będziemy mieli z niego jakikolwiek pożytek.

Weszli do jednej z klatek schodowych i zamknęli za sobą drzwi. Obelt ruchem ręki polecił Kossendeyowi, by ten zrzucił marynarkę mundurową i spodnie. Niemiec wykonał polecenie bez słowa.

– Zanotuj ten widok w pamięci, Zaniewski – odezwał się kapitan. – Kriminaldirektor z Gestapo w samych gaciach.

– Wolałbym inne widoki przed śmiercią.

Obelt zgodził się z nim ruchem głowy. Sięgnął po marynarkę, spojrzał na czarny romb SD,

świadczący o przynależności do służb bezpieczeństwa Rzeszy, a potem narzucił ją na siebie. Po chwili naciągnął też spodnie. Jedno i drugie sprawiało wrażenie, jakby znajdowało się na wieszaku.

– I jak? – zapytał oficer.

– Nikt się nie pozna, że to nie Kossendey.

– Nie gadaj bzdur, Zaniewski. Chodzi tylko o to, by z daleka nie widzieli, że to ja.

– I w czym to pomoże?

– To się okaże.

– Jeśli cała armia tak działała we wrześniu, rozumiem, dlaczego...

– Uważaj – uciął Obelt, grożąc mu waltherem. – Jedno słowo więcej, a zostaniesz tu z Niemcem, podczas gdy ja oddalę się w kamuflażu.

Staszek nie mógł powstrzymać uśmiechu. Mimo opłakanej sytuacji obaj odnaleźli w sobie jeszcze pokłady optymizmu.

Obelt popatrzył na Kossendeya, a potem obrócił pistolet w dłoń. Zamachnął się i przywalił gestapowcowi w skroń. Gdy ten jęknął i wygiął się w bok, polski oficer poprawił. Ulrich opadł na schody, a wówczas Obelt zadał ostatni cios. Ofiara straciła przytomność.

– To tyle z mojej strony – powiedział, wskazując na wyjście prowadzące na podwórze.

Nie zwlekali z opuszczeniem budynku. Wyszli po drugiej stronie, a potem szybkim krokiem skierowali się w stronę pól uprawnych rozpościerających się za Gusen. Nie mieli wątpliwości, że odprowadzają ich spojrzenia mieszkańców.

Po SS jednak nie było śladu.

– Mogliśmy skorzystać z samochodu – zauważył Zaniewski.

– Z pewnością nikt by nas nie zauważył.

– Mimo wszystko...

– Zresztą mieszkańcy nie pozwoliliby nam go zabrać.

– Ci, którzy tak się bali dwóch Polaków z bronią?

– Z pewnością nie baliby się wyciągnąć kluczyków, które zostały w wozie – odparł pod nosem Obelt. – Sprawdziłem marynarkę.

Przyspieszyli nieco kroku, zdążając w stronę kilku wolno stojących domów w oddali. Pola uprawne być może stanowiłyby nie najgorszą kryjówkę, gdyby nie to, że mieszkańcy widzieli, w którą stronę odeszło dwóch mężczyzn.

– Rozumiem, że szukamy sobie ostatniego bastionu – odezwał się Staszek.

– Otóż to.

– I co...

– Padnij! – ryknął nagle Obelt.

Obaj w jednym momencie przywarli do ziemi. Zaniewski nie miał pojęcia, co się dzieje, ale gdy uniósł wzrok, dostrzegł nadjeżdżający samochód z oznaczeniami SS. Kierowca nie pędził na złamanie karku, należało uznać, że nie jadą po nich. Auto kierowało się w stronę Mauthausen.

Minęli ich i Staszek odniósł dziwne wrażenie, że widział znajomą twarz. Zaraz jednak skarcił się w duchu. Nie, to niemożliwe, powtórzył sobie w myśli. Spojrzał na Obelta.

– Nie widzieli nas? – zapytał.

Kapitan podniósł się lekko, Zaniewski zrobił to samo. Kiedy Polacy wyteżyli wzrok, by przekonać się, ile osób jedzie samochodem, zupełnie zdębieli. Spodziewali się wszystkiego, tylko nie tego.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Gdy tylko dudnienie w uszach przestało go paraliżować, Broniek złapał się za krwawiące ramię. Chwiejnie się podniósł, zrobił kilka kroków w stronę morza, a potem zatoczył się w bok.

Stanął na skraju pirsu. Zobaczył kawałki poszycia, szczątki ciała i kałuże benzyny w wodzie. Przez moment nie rozumiał, co się wydarzyło. Popatrzył pod nogi i przekonał się, że niektóre elementy statku wystrzeliły na nadbrzeże.

Obrócił się w kierunku Syryjczyków. Wybuch nie mógł ich unieszkodliwić, a części nawet nie dosięgnęła fala uderzeniowa. Leżeli wprawdzie na ziemi, ale tylko dlatego, że zadziałał instynkt. Teraz podnosili się, zdezorientowani.

– P... pan... pannie... K... – zaczął mamrotać.

Postawił krok w stronę Osmunda, ale nagle zakreśliło mu się w głowie, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Nie potrafił utrzymać równowagi i postawiwszy jeszcze jeden krok, runął obok Kremmera.

Ziemianin się nie ruszał i Zaniewskiego naszły czarne myśli. Znajdowali się na tyle blisko wybuchu, że obaj mogli oberwać kawałkami kadłuba. Broniek nachylił się nad Osmundem, ale nie zdołał długo wytrwać w tej pozycji. Zanim mógł ocenić stan Kremmera, padł na bok.

Zawroty głowy były obezwładniające. Przetoczył się na plecy, walcząc z ciężarem powiek. Na moment zamknął oczy, a kiedy je otworzył, zobaczył nad sobą lufy karabinów.

Arabowie charczeli coś w swoim języku. Broniek odgiął głowę, jakby w ten sposób mógł oddalić się od ich broni.

Zmusił się, by nabrać głęboko tchu.

– Panie Kremmer... – udało mu się w końcu powiedzieć.

Ziemianin się nie odzywał. Syryjczycy za to nie szczędzili słów, choć Zaniewski nie rozumiał ani jednego.

– Panie sierżancie, co się stało? – usłyszał w końcu głos przyjaciela.

Nawet gdyby miał siły i nie celowałiby w niego Arabowie, byłoby trudno odpowiedzieć na to pytanie. Nie rozumiał, dlaczego „Aigokeros” wybuchł. Nie docierało do niego jeszcze, że Jorgos, Kaklamanis i reszta odeszli wraz z okrętem.

Stojący nad nim Syryjczyk wciąż się rozglądał, jakby na kogoś czekał.

– Statek... – zaczął Broniek.

– Ekspłodował. Tak, widziałem.

Głos Kremmera był pewny, donośny. Najwyraźniej z ziemianinem było lepiej niż z nim.

– Ale w jaki sposób do tego doszło? – wyszeptał Osmund, głośno sapiąc.

– Nie... nie wiem.

Arabowi nie spodobała się wymiana zdań prowadzona przez Polaków. Zamachnął się i wyciął Bronkowi kopniaka pod zebra. Potem położył nogę w miejscu postrzału i przeniósł na nią ciężar ciała. Zaniewski jęknął, myśląc o brudnej podeszwie buta, która weszła w kontakt z otwartą raną. To nie mogło się dobrze skończyć.

Wbił w napastnika pełne złości spojrzenie. Ten potrząsnął karabinem i zaczął wykrzykiwać coś w swoim języku.

– *Utrukni* – mruknął Zaniewski, używając jedyne go znanego mu przekleństwa... i właściwie jednego z niewielu słów w ogóle, które znał po arabsku.

Syryjczyk ryknął jeszcze głośniej, plując przy tym jak wściekłe zwierzę. Nie pociągnął jednak za spust. Najwyraźniej mieli wziąć ich żywcem, jeśli nadarzyłaby się taka okazja.

Zaniewski szybko przeanalizował swoje możliwości i poczekał, aż przeciwnik nieco się

uspokoi. Przynajmniej na tyle, by usłyszał cokolwiek poza swoimi nawoływaniem.

- Czego chcesz? – zapytał po francusku Broniek.
- Ubić cię jak psa.
- W takim razie rozmowa raczej nie będzie nam się kleić.

Arab spojrział na niego jak na idiotę, a potem przycisnął jeszcze mocniej ranę. Zaniewski zacisnął usta i powieki, starając się okiełznać ból.

- Nie wiem, czy konwersowanie z tymi ludźmi jest sensowne – odezwał się Kremmer.
- Chciałem tylko dowiedzieć się, dlaczego jeszcze nas nie zabili.
- Ach...
- Pana to nie ciekawi?
- Przypuszczam, że czekają na osobę decyzyjną w tej materii.

Broniek kaszlnął i szybko tego pożałował. Nawet najmniejszy ruch sprawiał, że całe miriady igieł zdawały się wbijać w ranę postrzałową i mknąć w głąb ciała, prosto do mięśni i zakończeń nerwów.

Zaniewski zamknął oczy i wciągnął powietrze nosem. Czuł smród materiałów wybuchowych i benzyny. Pomyślał, że wszystko, co się zdarzyło, to rezultat jego działań. Jeśli można było winić kogoś za śmierć marynarzy na „Aigokerosie”, to wyłącznie jego.

Owszem, Jorgos zorganizował tutaj osobistą wendettę, ale nigdy nie znalazłby się w Bejrucie, gdyby nie Broniek.

Po kilku minutach do Syryjczyków dołączył w końcu Ahmed Fahim El-Ghazzawy, kapitan portu i zleceniodawca zabójstwa Spiridona. Kiedy tylko wzrok Zaniewskiego padł na Araba, natychmiast zrozumiał, kogo powinna osiągnąć sprawiedliwość za zniszczenie greckiego frachtowca.

– Ech, Polaku... – zaczął Ahmed Fahim, przykucając obok. – Narobiłeś sporo zamieszania w moim mieście.

- Staralem się – odparł Broniek przez zaciśnięte zęby.
- I zasadniczo powinieneś być już martwy.

Polski sierżant się nie odezwał.

- Szczególnie, że zamordowałeś Imrafa. Dobrze mi służył.
- Nie pozostawił mi wielkiego wyboru.

Ahmed podniósł się i westchnął, patrząc z góry na Zaniewskiego.

- No tak – przyznał. – Może i masz rację.

Muzułmanin przeszedł kawałek wzdłuż pirsu, a potem zatrzymał się na moment. Pochylił się i wyjął z wody kawałek kadłuba. Uniósł go i pokazał Bronkowi. Ten natychmiast rozpoznał kawałek napisu „ΑΙΓΟΚΕΡΟΣ”, który widniał na burcie greckiego statku.

El-Ghazzawy odrzucił fragment z powrotem do wody. Czekał, aż Polak zapyta go o wybuch, ale Zaniewski nie miał zamiaru dawać mu tej satysfakcji. Jeszcze nie teraz. Czuł, że najpierw jest winny coś Jorgosowi.

- Dlaczego zabiłeś Spiridona? – zapytał.
- Ja? Nie podniosłem ręki na biednego chłopaka.
- Imraf twierdził co innego.

Ahmed powoli skinął głową.

- To on odebrał mu życie – powiedział kapitan portu. – Na mój rozkaz, rzecz jasna.

Zaniewski uznał, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Arab czerpał z niej wyraźną satysfakcję i zapewne nie miał zamiaru dzielić się z ofiarą żadnymi szczegółami. Zaniewski rozejrzał się.

Trzech przeciwników stało obok, taka sama liczba znajdowała się kawałek dalej. Przerzucili karabiny przez ramiona, zdając sobie sprawę, że zagrożenie minęło.

Niestety mieli rację.

Ahmed Fahim znów przykucnął przy Polaku.

– Zleciłem zabójstwo, bo miałem taki kaprys – dodał.

Bronek nie podejmował tematu.

– Poza tym przeszkadzał mi w pewnym przedsięwzięciu. Podobnie jak ty.

El-Ghazzawy przez moment czekał na jakąkolwiek replikę, a gdy ta nie nadeszła, machnął ręką i podniósł się. Przywołał Syryjczyka, który przed momentem wedle wszelkiego prawdopodobieństwa doprowadził do infekcji rany Zaniewskiego.

– Majsarah – powiedział Ahmed. – Wyślij chrześcijanina, gdzie jego miejsce.

Drugi z Arabów ochoczo przytaknął, zrzucając karabin z ramienia.

Bronek nie rozumiał wydanego polecenia, ale nie musiał, by wiedzieć, że wyrok śmierci właśnie zapadł. Chwila ta musiała nadejść prędzej czy później, trudno było liczyć na jakikolwiek cud.

Jeśli w Bejrucie funkcjonowały jakieś siły bezpieczeństwa, z całą pewnością trzymały się daleko od Syryjczyków. I jeżeli pojawią się w ogóle w porcie, to na długo po tym, jak opadnie kurz.

Muzułmanin wymierzył karabin w głowę Zaniewskiego. Ten uznał, że przynajmniej czeka go szybka, bezbolesna śmierć.

– Choć... – zaczął niepewnie Ahmed Fahim. – Czy ja wiem...

Majsarah spojrzał na niego pytająco.

– Może zastrzel najpierw starego – postanowił kapitan portu i wskazał na Kremmera niedbałym ruchem ręki, jakby wybierał owoce na straganie.

Drugiemu z Arabów kolejność była bez różnicy. Z równie dużym zapalem przeniósł lufę karabinu w bok.

Bronek dostrzegł okazję. Obaj przeciwnicy byli teraz odwrócenii bokiem, on nie był skrępowany, mógł działać. Sił nie miał wiele, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Wymierzył pod kolano Syryjczyka, a potem gwałtownie wyprostował nogę. Majsarah zgiął się w pół i wyrznął o ziemię. Zaniewski natychmiast powiódł wzrokiem za karabinem. Ten jednak tkwił pewnie w rękach Araba.

Zanim Bronek zdążył zastanowić się, co dalej, Majsarah zerwał się na równe nogi. Wymierzył w Zaniewskiego, cedząc coś pod nosem. Przyłożył mu lufę do skroni, wściekły i upokorzony. Obejrzał się na kapitana portu, a ten skinął głową.

Bronek zrozumiał, że to koniec. Czuł zimny dotyk metalu na skórze i wiedział, że nic już go nie uratuje. W głowie miał płataninę myśli, tak obezwładniającą, że nie potrafił niczego z niej wyłowić.

Życie nie przeleciało mu przed oczami. Nie pojawił się żal związany ze wszystkim, co mógł zrobić, a czego nie zrobił. Nie było na to czasu. Był tylko zimny dotyk lufy na skroni.

Potem rozległ się strzał.

Na jego dźwięk Kremmer machinalnie poderwał się w górę, ale stojący obok Arab od razu sprowadził go z powrotem na ziemię. Stary ziemianin natychmiast zrozumiał, co się stało.

Ogarnął go paraliż, jakiego nie czuł od dawna. W pierwszych dniach wojny podobne reakcje towarzyszyły mu nieustannie. Znakiem czasu było, że nie odczuwał ich już od wielu, wielu dni.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nigdy jeszcze nie znalazł się tak blisko śmierci, w przedśionku innego świata. Zamknął oczy i gorączkowo starał się przypomnieć sobie twarze bliskich.

Nie mógł przywołać oblicza żony. Zbyt długo jej nie widział, nawet na fotografiach, które zostały w dworku w Beniowej. Doskonale pamiętał za to wszystkich swoich towarzyszy broni.

Najlepiej czterech żołnierzy, którzy zjawili się u niego pewnego dnia i ocalili go przed okrutnym losem, jaki czekał bogatego Żyda. Wówczas rozpoczął wędrówkę, która dziś dobiegała końca.

Przeżył więcej niż przeciętny człowiek. Może nawet więcej niż kilkoro przeciętnych ludzi. Myśl ta nie stanowiła wielkiego pocieszenia, choć Kremmer robił wszystko, by tak było.

Poczuł coś mokrego na policzku. Naraz zorientował się, że to Blind Lemon skądś pojawił się obok. Otworzył oczy i spojrzał na psa. Widok zwierzęcia go ucieszył, jakkolwiek stanowił też przypomnienie, że nie pozostał mu już nikt bliski.

– Uciekaj – powiedział cicho Osmund.

Pies nie ruszył się ani o krok.

Kremmer miał nadzieję, że Arabowie go oszczędzą. Nie chciał na nich patrzeć, nie chciał widzieć ludzi, którzy odebrali życie towarzyszowi, a teraz zabiją także jego. Natura ludzka okazała się jednak silniejsza.

Osmund obrócił się w stronę Zaniewskiego, ale nigdzie nie dostrzegł Syryjczyka, który dokonał egzekucji. Dopiero po chwili ziemianin zreflektował się, że Arab leży na Bronku.

Nic nie rozumiał. Co się stało?

Nagle Zaniewski zrzucił z siebie Syryjczyka i podniósł jego karabin. Obrócił go sprawnie w rękach, wymierzył gdzieś, a potem rozległ się strzał.

Kremmer usłyszał, jak ciało innego Araba pada na ziemię.

– Niech pan nie wstaje! – ryknął Broniek.

Osmund nie miał takiego zamiaru. Obserwował, jak Zaniewski przykłęknął na jedno kolano i ignorując krew ciekącą z ramienia, posłał serię gdzieś przed siebie. Kremmer zrozumiał, że Arabowie uciekają. Nie wiedział jednak dlaczego.

Broniek rozglądał się, przesuując karabin z jednego punktu na drugi. Oddawał pojedyncze, chłodno skalkulowane strzały. Ziemianin przyciągnął do siebie psa i przyłgął do ziemi.

– Nic nam nie będzie – powiedział.

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, OBERDONAU, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Maria z trudem dochodziła do siebie po tym, jak wraz z Leitnerem i Klaasem zostali wprowadzeni do obozu. Obraz cierpienia i rozpacz, jaki ujrzała, był przejmujący. Mozaika zniszczonych ludzkich istnień napawała ją grozą, a wyrachowanie esesmanów kazało wątpić w to, że na świecie istnieje dobro. Nie chciała myśleć o tym, co musiał przeżyć tutaj Staszek.

Człowiek nazwiskiem Moritz Strötzel wyjaśnił, że Polak spędził tu ponad miesiąc. W normalnym świecie był to krótki okres, tutaj musiał jednak stanowić całe życie. Może nawet więcej.

Kiedy esesman skończył składać Leitnerowi raport, ten rozejrzał się po pustym placu apelowym.

– Gdzie Blankenburg? – zapytał.

– Jest w t-terenie, szuka Polaków – odparł Strötzel. – Kazał zak-kwaterować państwa w baraku SS.

- Kiedy ma wrócić?
- N-niestety nie w-w-wiem...

Christian wciągnął powietrze nosem. Śmierdziało, jakby tuż za którymś budynkiem mieściła się kuchnia, w której przypalono obiad dla całego obozu.

- Nieistotne – odparł Leitner. – Mów, co dokładnie się stało?

– Z tego co u-ustaliliśmy do tej pory, trzech P-p-polaków zamierzało zakopać się w Wiener Graben. Jednemu się nie udało, p-pozostałych dwóch poczekało, a-a-a-ż zaczniemy ich szukać, odkopało się i u-uciekło.

Christian Leitner pokręcił głową z dezaprobatą. Unterscharführer działał mu na nerwy, w dodatku sprawiał wrażenie jednego z tych ludzi, którzy byli jeszcze gorsi od Blankenburga. Johann nie krył się ze swoimi ciągotami do sadyzmu – tacy jak Moritz skrzętnie to ukrywali.

– Widzę, że w tym obozie więźniowie są intelektualnie o niebo przed wami – powiedział Christian.

Strötzel głośno przełknął ślinę. Wyglądało na to, że przez moment zastanawiał się, czy bronić honoru. Ostatecznie jednak zrezygnował.

- T-t-tak jest, *Herr Hauptsturm-m-m-mführer*.

Leitner wyciągnął papierośnicę i zapalił salema.

- Któraś z grup poszukiwawczych trafiła na jakikolwiek ślad? – spytał.

– O... Otóż...

- Nie trafiła. Rozumiem.

Christian machnął ręką na Moritza i Klaasa, sugerując tym samym, by się oddalili. Żaden z nich nie miał zamiaru protestować. Ruszyli w kierunku baraków SS, zostawiając oficera samego z Marią. Ten odczekał moment, a potem poczęstował ją papierosem.

Zaciągnęła się, jakby dym mógł przynieść ukojenie jej nerwom. Leitner patrzył na nią, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Milczenie nie wydawało się właściwe, ale pocieszenie jej również nie wchodziło w grę. Wiedziała, że zaraz ruszy w pościg za jej narzeczonym.

W końcu spojrzała na niego. Przez moment oboje nie odrywali od siebie wzroku.

- Wiem, że zrobisz, co uznasz za honorowe – odezwała się w końcu.

Lekko skinął głową. Nie wiedział, ile w tym honoru, ale miał zamiar doprowadzić zbiega z powrotem do miejsca, z którego uciekł. W przeciwnym wypadku polowałoby na niego nie tylko MI6, ale także SS.

Wprawdzie ostatecznie musiało do tego dojść i Christian był na to przygotowany, ale nie na tym etapie. Gdyby teraz stał się *persona non grata* w Rzeszy, na zawsze straciłby szansę na odnalezienie Johanny i Maximiliana.

Maria w końcu odwróciła spojrzenie.

- To nieludzkie – powiedziała cicho.

Leitner się rozejrzał. Grupa wychudzonych więźniów pracowała kawałek dalej, przekopując ziemię. Christian nie rozumiał, skąd biorą siłę, by kopać w takim tempie.

- To logiczny rezultat prowadzonej przez Rzeszę polityki – powiedział.

– Słucham?

– Mówię tylko, że jeśli prawo traktuje ich jak podludzi, nic nie zmusza władz, by zapewniać im ludzkie warunki bytowania.

Maria pokręciła głową.

- To barbarzyństwo, jakiego świat w swojej historii jeszcze nie doświadczył – szepnęła. –

Widziałeś, jacy są zagłodzeni?

Oczywiście, widział. Śmierć była wszechogarniająca, ale ci ludzie jakimś cudem umykali jej sprzed nosa, przynajmniej na moment.

– Twój kraj stworzył piekło na ziemi, Christian.

Nie miał zamiaru z nią polemizować. Z czysto pragmatycznego punktu widzenia ustanowienie obozów koncentracyjnych było niemądrym posunięciem, które prędzej czy później doprowadzi do konfliktu z każdym cywilizowanym państwem na mapie świata.

Leitner powiódł wzrokiem za widmem człowieka, które przesuwało się powoli w stronę hałdy piasku, popychając przed sobą taczkę. Więzień nawet nie spojrzął na dwójkę ludzi stojącą na środku placu.

– Oby historia nigdy wam tego nie wybaczyła – dodała Maria.

– Historia to tylko uzgodniony zestaw kłamstw.

Polka obróciła się do niego.

– Napoleon – wyjaśnił Christian.

Milczała, odprowadzając wzrokiem więźnia. Po chwili skierowali się do baraków SS i rozpakowali torby. Niewielkie kwatery nie oferowały wielu wygód, raptem wspólny prysznic i prycze, ale w porównaniu z warunkami w blokach był to raj na ziemi.

Zanim zdążyli zastanowić się nad planem działania, do baraku wpadł zasapany Moritz Strötzel. Unterscharführer omiótł wzrokiem wnętrze i dostrzegłszy Leitnera, wykonał przepisowe pozdrowienie.

– Są w-wieści – powiedział.

Moritz zamknął oczy i złapał się za klatkę piersiową, jakby szaleńczy pęd doprowadził go na skraj wytrzymałości.

– Mówże – ponaglił go Christian.

Posłaniec pokiwał głową i wyprostował się. Zaczerpnął nerwowo tchu.

– P-polskie gnidy zabiły jednego z n-n-naszyc – oznajmił, krzywiąc się. – Drug-gi jest ranny. Krimi-minaldirektor Kossendey ruszył w pościg. S-s-są we wsi obok.

Leitner i Maria wymienili spojrzenia. Oboje zdali sobie sprawę z tego, że to wszystko może zakończyć się szybciej, niż myśleli. Ledwo Christian zwrócił wzrok w stronę drzwi, Polka już ruszyła na zewnątrz. Nie przyjmowała możliwości, by zostać w obozie.

Wyszli z baraku i skierowali się w stronę samochodu, którym dotarli do Mauthausen.

– *Herr Hauptsturmführer!* – zawołał ktoś z oddali.

Christian zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Zobaczył nadchodzącego Alexandra Klaasa, bez marynarki i krawata, w dodatku z rozpiętą koszulą. Kiedy zorientował się, że dwójka ludzi zmierza w stronę auta, zaczął truchtać w ich stronę.

– Jadę z panem – oznajmił, zrównując się z nimi.

Leitner otworzył drzwi od strony kierowcy i wszedł do środka. Maria zajęła miejsce obok. Żadne z nich nie zaoponowało, nie było sensu sprzeczać się z podopiecznym Blankenburga.

Christian zapuścił silnik.

ST. GEORGEN AN DER GUSEN, III RZESZA, MARZEC 1940 ROKU

Obelt musiał zastanowić się dwa razy, zanim uznał, że naprawdę zobaczył w samochodzie Johanna Blankenburga. Kiedy dotarło do niego, że to rzeczywiście diabelskie oblicze kata, zerwał się na równe nogi, cedząc pod nosem przekleństwa.

– Stop! – krzyknął zdezorientowany Staszek, ale było już za późno.

Kapitan pędził w kierunku samochodu. Nie zastanawiając się długo, Zaniewski natychmiast ruszył za nim. Obelt sprawiał wrażenie, jakby odnalazł ukryte pokłady sił, Staszek ledwo za nim nadązał.

Gonitwa myśli w jego głowie była jeszcze szybsza. Zrozumiał, że siedzący w samochodzie SS mężczyźni od razu zorientowali się, że ktoś za nimi biegnie. Auto zwolniło, po czym zatrzymało się kilkaset metrów dalej. W jednym momencie otworzyły się drzwi od strony pasażera i kierowcy.

Z tyłu pojazdu wyszło troje ludzi. Ostatni z nich przeciągnął się leniwie, patrząc w kierunku Obelta.

Zaniewski wyciągnął niemiecki pistolet i ścisnął z całej siły rękojeść, jakby miał to być jakiegoś rodzaju amulet. Widział, jak Blankenburg okrąży samochód, a potem zatrzymuje się przy bagażniku. Esesman skrzyżował ręce na piersi i oparł się o auto.

Był beczelnie pewny siebie. I miał powody.

Obrócił się do swoich towarzyszy, a potem wskazał na biegnącego ku nim Polaka i rzucił jakiś komentarz. Wszyscy się zaśmiali. Zaniewski uświadomił sobie, że spod rozwianych pół marynarki mundurowej Gestapo widać więzienny pasiak i wystające żebra więźnia. Niemcy musieli uznać to za wyjątkowo żalosny, a zarazem niezwykle zabawny widok.

– *Herr Kriminaldirektor!* – krzyknął rozbawiony Johann.

Staszek przyspieszył, choć brakowało mu już sił. Obelt tymczasem wymierzył przed siebie.

– Kapitanie! – ryknął Zaniewski.

Polski oficer pociągnął za spust w pełnym biegu. Blankenburg natychmiast się schylił, ale strzał nie był wymierzony w niego. Pocisk trafił jednego z esesmanów, którzy stali za nim.

Obelt trafił go w klatkę piersiową. Mężczyzna padł w tył prosto na otwarte drzwi samochodu i niemal wyrwał je z zawiasów. Krew trysnęła na niewielką szybę.

Drugi z esesmanów schronił się za pojazdem. Blankenburg wyprostował się i wyjął belgijskiego HP browninga, a potem niespiesznie dołączył do towarzysza. Ta teatralność mogła kosztować go życie, ale kolejny strzał oddany przez Obelta trafił w karoserię.

Zaniewskiemu udało się skrócić nieco dystans. Znalazł się niedaleko kapitana, ale wciąż nie mógł go dogonić. Czuł, jakby płuca miały mu eksplodować, ale mimo to nabrał głęboko tchu, by ostatni raz spróbować powstrzymać towarzysza.

– Obelt! – krzyknął.

I tym razem na nic się to nie zdało. Tymczasem Niemcy zrozumieli już, że nic nie przemawia za tym, by się chowali. Wyszli z samochodu po przeciwnych stronach i wycelowali przed siebie.

Zobaczyli jednak już tylko Staszka.

Obelt znalazł się przy aucie. Rozległ się kolejny wystrzał i tym razem polski oficer nie mógł chybić. Z niewielkiej odległości wywalił dziurę w barku drugiego z esesmanów. Rozległ się krótki krzyk, a potem zaległa martwa cisza.

Blankenburg natychmiast rzucił się w bok i przetoczył kawałek. Nie tracąc czasu, zerwał się na równe nogi i zbiegł za samochód. Tym razem nie miał już ochoty na lekceważące gesty.

– Oszałał pan, kapitanie! – zawołał Zaniewski.

Obelt stał kilka metrów od pojazdu z wyciągniętym pistoletem. Nie zwracał uwagi na Staszka.

– Wychodź, skurwielu – powiedział, po raz pierwszy w życiu żałując, że nigdy nie nauczył się niemieckiego. Jeśli kiedykolwiek przydałaby mu się znajomość tego języka, to właśnie w tej chwili.

Cieężko sapiąc, Staszek w końcu dopadł do oficera.

– To szaleństwo... – powiedział.

– Czas na komplementy będzie później, Zaniewski.

Młody lekarz poczuł, że łapie go kolka. Skulił się machinalnie i syknął pod nosem.

Obelt wbijał czujny wzrok przed siebie, czekając, aż Blankenburg wyłoni się zza samochodu. Staszek stał obok, również mierząc w stronę esesmana. Naraz zdał sobie sprawę, że Johann po raz pierwszy został przyparty do muru.

Z jednym z nich być może by sobie poradził, z dwoma nie miał szans. Teraz, gdy mieli broń, nie miało znaczenia, czy są zagłodzeni, wychudzeni, czy ślaniają się na nogach. Zaniewski uśmiechnął się w duchu.

Po chwili zobaczył dwie uniesione ręce. Blankenburg powoli wyszedł zza pojazdu, trzymając browninga lufą w górę. Niemiec powinien wyglądać przynajmniej na zaniepokojonego, jednak uśmiechał się szeroko.

Obelt przymknął oko.

– Na ziemię – rozkazał.

Johann postawił krok w ich kierunku, nie mając zamiaru wykonać polecenia.

– Z czego on się tak cieszy? – zapytał Staszek.

– Z tego, że zaraz zobaczy swojego ojca, Lucyfera.

Obaj Polacy walczyli z przemożną potrzebą, by pociągnąć za spust. Zaniewskiemu przemknęło przez myśl, że właściwie wystarczyłoby lekko go musnąć. Johann w końcu znikłby z tego świata.

– Na glebę – powtórzył Obelt i wykonał sugestywny ruch bronią.

Zaniewski poniewczasie zrozumiał, że uśmiech Blankenburga nie jest oznaką braku racjonalności. Przeciwnie, Niemiec odczuwał satysfakcję.

Strzał, który przeszył powietrze, wszystko wyjaśnił. Staszek miał wrażenie, jakby huk pochodził z lufy czołgu, nie pistoletu drugiego z esesmanów. Kiedy jednak zwrócił na niego wzrok, zobaczył, że ten wprawdzie wciąż leży na ulicy, ale unosi broń.

Przez moment Zaniewski nie wiedział, czy oberwał. Jego własne ciało zdawało się nie należeć do niego. Zaległa ciężka cisza, a każde mgnienie oka trwało wieczność. Potem Staszek powoli obrócił się w stronę Obelta.

Zobaczył kapitana leżącego obok. Na wysokości serca pasiak nasiąkł krwią, a Obelt wypuścił broń z ręki. Wszystko, co działo się później, stanowiło dla Staszka niezrozumiałą ciąg przyczynowo-skutkowy. Wiedział, że przesuwa broń w stronę powalonego esesmana, ale nie miał pojęcia, że pociąga za spust. Reakcja była mechaniczna.

Kula trafiła Niemca prosto w głowę. Tę odrzuciło do tyłu, a potem oficer na zawsze zamarł z otwartymi, uniesionymi ku niebu oczami. Staszek trwał w bezruchu tylko przez ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło Blankenburgowi.

Zaniewski widział, że Johann w niego wycelował.

– Rzuć broń – polecił gestapowiec z satysfakcją.

Staszek wiedział, że nie ma innego wyjścia. Wiele można było mówić o Blankenburgu, ale trudno było odmówić mu celności. Nie istniała najmniejsza szansa na to, by Zaniewski zdążył się obrócić, nim tamten pociągnie za spust.

– Rzuć broń! – powtórzył Johann.

Zaniewski wypuścił pistolet z ręki i broń upadła w piach. Spojrzał na Blankenburga, a potem spuścił wzrok na swojego kompana. Zrobił pół kroku w jego kierunku. Kiedy przekonał się, że

Johann nie ma zamiaru strzelać – przynajmniej jeszcze nie teraz – przykucnął przy rannym Obelcie.

– Żyje pan?

– Niestety – odparł oficer, uciskając ranę w klatce piersiowej. – Ale nie potrwa to już długo...

Zaniewski pochylił się i odsunął dłonie kapitana, samemu starając się wywrzeć większy nacisk. Krew przelewała mu się przez palce, a twarz Obelta stopniowo bladła.

– Sukinsyn – wycharczał oficer. – Ja padłem, ciebie ma na muszce... a sam się nawet nie spocił.

Staszek nie odpowiedział. Z trudem przełknął ślinę i obrócił się w stronę Niemca. Ten celował mu w głowę, mrużąc przy tym oczy i sprawiając wrażenie, jakby dokonywał jakichś skomplikowanych równań. Zaniewski zrozumiał, że Johann mierzy tak, by przypadkiem nie trafić Obelta. Miał co do niego inne plany.

Staszek czym prędzej rozerwał kawałek swojego pasiaka. Założył towarzyszowi prowizoryczny opatrunek, a Obelt uniósł kącik ust.

– To daremne, Zaniewski...

– Nie szkodzi.

Johann cmoknął z dezaprobatą, jakby zachowanie Polaków go rozczarowało. Być może liczył na to, że polski oficer – jedyny jeńiec, który dał mu odpór podczas tortur – zapewni mu więcej rozrywki. Tymczasem dogorywał na jego oczach, bez walki.

Zaniewski spojrzał na leżący obok pistolet.

– Nie sięgaj... – wymamrotał Obelt. – Strzeli, zanim zdążysz cokolwiek...

Urwał, krzywiąc się z bólu, gdy Staszek mocniej ścisnął opatrunek.

– Niech pan się nie odzywa – powiedział Zaniewski, choć wydawało mu się, że to nie jego głos.

– Niemiec...

– Wiem, co robi Niemiec, panie kapitanie.

Obelt sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar odepchnąć Zaniewskiego i rzucić się na Blankenburga. Był to jednak równie prawdopodobny scenariusz, jak to, że z oddali nagle nadjedzie brytyjski lub francuski czołg i zapewni im bezpieczeństwo.

Staszek upewnił się, że gałgan nie spadnie, a potem zamknął oczy. Czuł, że się trzęsie, i słyszał swój przyspieszony oddech. Serce załomotało mu nierówno w klatce piersiowej, gdy uświadomił sobie, że to już koniec. Znalazł się w samym środku mroku, otoczony przez jego osobliwą głębię.

Chciał coś powiedzieć, pożegnać się z oficerem, ale nie mógł dobyć głosu. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Johann nie pociągnął za spust.

Zaniewski szybko zrozumiał dlaczego. Zwyrodnialec nie chciał strzelać mu w tył głowy. Czekał, aż ofiara się obróci i spojrzy mu prosto w oczy. Chciał napawać się zadawaną śmiercią.

Staszek uniósł lekko powieki. Wiedział, że lepiej to skończyć. Im dłużej będzie czekał, tym więcej będzie cierpienia. Powoli odwrócił się do Blankenburga.

Johann nie patrzył jednak na niego. Wbijał wzrok przed siebie, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Nagle rozległ się klakson. Zdawał się głośny jak alarm bombowy w Warszawie, ale Zaniewski pomyślał, że ten dźwięk nie jest zwiastunem końca. Natychmiast się odwrócił i spojrzał w kierunku, w którym patrzył Blankenburg.

Zobaczył czarny samochód mknący ku nim.

– Co... się... – wydusił Obelt i zrezygnował z dalszych prób.

– Niech pan się nie odzywa – odparł bezwiednie Staszek.

Podniósł się, zupełnie zapominając o uzbrojonym Niemcu za plecami. Pojazd był na tyle blisko, by mógł dostrzec znajomą postać za kierownicą. Jasne włosy, mrozący krew w żyłach wzrok, rysy twarzy jak wyciosane w kamieniu i nienaganny mundur. Christiana Leitnera nie dało się pomylić z nikim innym.

Oficer SS zatrzymał auto tuż przed nimi. Obelt obrócił głowę, by rozeznąć się w sytuacji, i jęknął z bólu.

Kiedy otworzyły się tylne drzwi auta, Zaniewski miał wrażenie, że egzystuje w zupełnie innym, osobliwym świecie. Oczy widziały Marię, umysł jednak upierał się, że to niemożliwe.

– Jak...

Zrobiła krok w jego kierunku i dopiero wtedy uświadomił sobie, że to nie żadna złuda. Narzeczona była tuż obok, kilka kroków od niego.

– Staszek... – powiedziała, patrząc na niego jakby pytająco. Jakby musiała się upewnić, że to naprawdę on.

Maria ledwo go poznała. Wbijiała wzrok w narzeczonego i nie mogła pojąć, jak to możliwe, że zmienił się tak bardzo. Jego twarz niemal zapadła się do środka, był ogolony na łyso, a ręce i nogi miał chude jak liche gałęzie. Spuchnięte i przymknięte oczy sprawiały wrażenie, jakby były niezdolne do płaczu, a mimo to szklily się wyraźnie.

Przeciągnęła dłonią po policzku.

Zrobiła krok w jego kierunku, a potem coś kazało jej się zatrzymać. Obecność Niemców? Blankenburg trzymający pistolet? Nie wiedziała.

Staszek rozejrzał się, jakby dopiero teraz zauważył pozostałych. Potem zobaczyła w jego oczach znajomy błysk. Ruszył w jej kierunku, nie zważając na nic. Uśmiech powoli pojawiał się na jego twarzy, ale w jakiś sposób zupełnie do niego nie pasował.

Uszedł może dwa kroki.

Potem Blankenburg złapał go za ramię, pociągnął do siebie i sprowadził do parteru.

– Siad! – krzyknął.

Przytrzymywany przez gestapowca, Staszek podniósł wzrok. Johann ryknął coś do niego, ale Maria była zbyt oszołomiona, by to usłyszeć. Jej narzeczony z pewnością też.

Zebrała się w sobie.

– Nie daj mu się zabić, barani łbie – powiedziała.

– Nie dam.

Widziała, że mówił to z pełnym przekonaniem i знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że w tej chwili Klaas, Blankenburg czy Leitner przestali dla niego istnieć. Nie myślał już racjonalnie. Wbijał spojrzenie w jej oczy i był gotów zrobić wszystko, by wziąć ją w ramiona.

Maria spojrzała na Johanna. Uznała, że ktoś musi zacząć działać, jeśli mają mieć choćby lichą szansę, by przeżyć.

Zanim jednak zdążyła pomyśleć o jakimkolwiek scenariuszu ratunku, Blankenburg również spojrzał jej prosto w oczy. Poczula obrzydzenie, zupełnie jakby stanął przed nią i splunął jej prosto w twarz. Wykrzywił usta w uśmiechu, a potem przeniósł wzrok na Klaasa. Kiwnął mu zdawkowo i na dłużej zawiesił spojrzenie na Leitnerze.

Jego uśmiech się poszerzył.

– Brakowało ci mnie, Christian? – odezwał się.

Leitner nie odpowiadał. Trwał w bezruchu i Maria miała nadzieję, że dokonuje ponownej oceny sytuacji.

Nie, było to tylko pobożne myślenie, skarciła się w duchu. O ile mógł przeciwstawić się Johannowi, o tyle nigdy nie postąpiłby wbrew Rzeszy. W jego umyśle finał był tylko jeden – należało doprowadzić zbiegów z powrotem do obozu. Zadbać o dobre imię kraju i jego służb. Wykonać swój obowiązek.

Johann jeszcze przez moment czekał na odpowiedź. Potem wzruszył ramionami i zwrócił wzrok na Klaasa.

– Dawaj ją tu, Alex.

– Tak jest, *Herr Hauptsturmführer* – odparł chłopak i ruszył w kierunku Marii.

Obróciła się i zobaczyła, że sięga po broń. Alexander zdążył jednak ujść może metr, zanim drogę zastąpił mu Christian Leitner. Nie patrzył na niego. Skupiał się na Blankenburgu.

– Polka jest ze mną – odezwał się.

Johann zagwizdał cicho.

– Proszę, proszę. W takim razie...

– A ty, skurwysyński pomociu, nie podniesiesz na nią ręki – dodał Leitner.

Maria nie pamiętała, kiedy ostatnio wyrwała mu się taka obelga. Blankenburg uniósł brwi, ale Christian przeniósł już całą swoją uwagę na chłopaka. Zanim Klaas zorientował się, że to spotkanie nie skończy się dla niego dobrze, Leitner wyciągał już służbowego walthera.

– *Herr...*

Christian pociągnął za spust. Z głowy Klaasa trysnęła krew, ciało wygięło się nienaturalnie w bok i padło na ziemię. Maria potrząsnęła głową, z niedowierzaniem patrząc na Alexa.

Usłyszała śmiech Blankenburga. Zaczęło jej się kręcić w głowie.

– Brawo, Christian! – powinszował mu gestapowiec. – Choć nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Spodziewałem się tego.

Johann spojrzał przelotnie na Staszka, zamachnął się i kopnął go na tyle mocno, że Polak upadł niedaleko Obelta. Wciąż się szczerząc, oficer minął zbiegów i stanął przed Christianem.

– Mało mnie interesuje, czego się spodziewałeś, a czego nie – syknął Leitner.

Johann uniósł ręce w teatralnym geście bezradności. Potem jego twarz nagle stężała, a cała radość z ust przeniosła się do oczu. Powoli i spokojnie opuszczał broń, aż w końcu zatrzymał ją, mierząc do esesmana.

– I co teraz? – zapytał.

– A jak sądzisz?

– Myślę, że porozmawiamy o twojej żonie.

Christian nawet nie mrugnął.

– Obaj poznaliśmy ją dość... dogłębnie. Możemy wymienić się wieloma...

– Milcz.

Maria była gotowa przysiąc, że Leitner pociągnie za spust. Nie zrobił tego jednak. Stali naprzeciw siebie, z bronią wycelowaną na wysokości głów.

Dopiero po chwili Maria dostrzegła, że Staszek przesuwa się powoli w jej kierunku. Żaden z Niemców nie był tego świadomy, byli zbyt zajęci sobą nawzajem. Może to była ich szansa? Jeśli tak, to musieliby zostawić rannego oficera.

Minąwszy Johanna, Zaniewski podniósł się powoli. Podszedł do Marii, jakby tuż obok nie było nikogo więcej. Pokręciła głową, chcąc dać mu do zrozumienia, że ucieczka nie ma sensu.

Szybko przekonała się jednak, że narzeczony nie ma zamiaru uciekać. Wziął ją w ramiona

i objął mocno. Milczeli przez krótką chwilę, która równie dobrze mogła być wiecznością.

Maria znów otarła mokry policzek. Niejasno pomyślała, kiedy ostatnim razem uroniła choćby jedną łzę. Z tego, co pamiętała, był to marcowy wieczór nad Wisłą. Drzewa i krzewy budziły się powoli do życia, a wspomnienie siarczystych mrozów było coraz bardziej odległe. Było to niemal rok temu, gdy Staszek się jej oświadczył.

Teraz odsunął ją na odległość ręki i spojrzał jej w oczy. Widziała, że chciał coś powiedzieć, ona również szukała odpowiednich słów. Tylko co po takim czasie byłoby właściwe? Wszystko w jej umyśle brzmiało żałośnie, banalnie. On pewnie odnosił takie samo wrażenie.

– Nie pozwolę, żeby kiedykolwiek nas rozdzielono – powiedział w końcu.

– Oby, barani łbie...

Poprowadził ją w kierunku samochodu i na moment przykucnęli w bezpiecznym miejscu. Żaden z Niemców nie zaprotestował. Jeszcze przez chwilę mogli mieć pewność, że żaden z pistoletów nie zostanie skierowany w ich stronę.

– Ale najpierw muszę coś załatwić – dodał Zaniewski z bladym uśmiechem. – Nie jestem sam, jak widzisz.

– To Obelt?

Skinął głową, najwyraźniej nie rozumiejąc, skąd narzeczona zna nazwisko kapitana. Potem nagle przyciągnął ją do siebie i pocałował. Miał twarde, spierzchnięte usta. Przez moment trwali w krótkim, niepewnym uniesieniu, a potem Staszek szybko się odsunął i obrócił. Schylony popędził do rannego oficera.

Leitner zastanawiał się, który z nich strzeli pierwszy. Właściwie nie miało to znaczenia, obaj trzymali palce na językach spustowych. Gdy tylko rozlegnie się pierwszy strzał, natychmiast rozbrzmi także drugi.

Blankenburg przeciągle i ostentacyjnie ziewnął, po czym gwałtownie zamknął usta.

– Więc co teraz, Christian? – odezwał się. – Wystrzelamy się nawzajem?

– Albo to, albo obaj odejdziemy w swoją stronę.

– Ot tak odpuścisz?

– A mam wybór?

– Nie – odpowiedział Johann z dziwną satysfakcją. – Nie masz.

– Ty natomiast brzmisz, jakbyś miał.

Wzruszył ramionami.

– Zmieniłbyś zdanie, Johann, gdybyś tylko bardziej uważnie czuwał nad tym, co dzieje się wokół ciebie.

Blankenburg natychmiast zwrócił wzrok w miejsce, gdzie powinien leżeć Obelt. Dostrzegł więźnia kawałek dalej. Polski oficer przeczołgał się metr, może dwa w kierunku pistoletu, który wcześniej rzucił Staszek.

Teraz trzymał za rękęjść. Trząś się, był cały blady, ale w oczach tętniło życie. Być może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Blankenburg drgnął. Więcej nie zdążył zrobić.

Rozległ się strzał, a Johann zgiął się wpół, łapiąc za brzuch. Wypuścił belgijskiego browninga i upadł na ziemię, kuląc się. Wyrzucił coś przez zęby, po czym nagle się odwrócił. Puścił ranę i sięgnął po broń. Z brzucha natychmiast wypłynęła mu krew, zalewając koszulę i spodnie.

Kiedy jego dłoń spoczęła na browningu, Leitner już nad nim stał.

– Zostaw to, Johann – powiedział i odsunął nogą pistolet.

Blankenburg popatrzył za nim niemal błagalnie. Potem kaszlnął krwią i podniósł wzrok. Oczy miał zbyt rozbiegane, by utkwić go na twarzy Christiana. Coś zabulgotało w jego gardle, a potem znów wypłuł krew.

Leitner podniósł browninga i wetknął go za pas. Spojrzał na gestapowca, zastanawiał się przez krótką chwilę, a potem przeniósł wzrok na Obelta. Podeszedł do niego i pomógł mu wstać.

Przemknęło mu przez głowę, że pierwszego września mieli ten sam stopień wojskowy. I stali po przeciwnych stronach barykady. Teraz jednak skinęli do siebie głowami, a potem Christian poprowadził kapitana do powalonego Blankenburga.

Ten sprawiał wrażenie, jakby wymiotował krwią. Dogorywał na ich oczach.

Leitner przykucnął przy nim.

– Gdzie moja żona i syn, gnido? – zapytał.

– W... pie... piekle...

Zanim Christian zdążył powtórzyć pytanie, Obelt przyłożył ofierze pistolet do głowy i pociągnął za spust. Pocisk przeszył czaszkę, kark wygiął się w bok, a głowa bezwładnie uderzyła o podłoże. Mózgowie rozbryznięło się na ziemi jak rozlana farba.

Ciałem Johanna wstrząsnął jeszcze pośmiertny skurcz. Potem zwiotczało.

Polski oficer spojrzał na Christiana. W jego oczach pojawiła się niepewność, Leitner jednak powoli skinął głową. Nie miał mu za złe tego, co zrobił. Nikt nie mógłby mieć.

– *Danke* – odezwał się Obelt.

Leitner podniósł się i otrzepał marynarkę, jakby fakt, że pokryła się pyłem, był jego największym zmartwieniem. Podeszli do niego Maria ze Staszkiem. Christian zmierzył wzrokiem Polaka, a potem uścisnął mu rękę. Była przeraźliwie chuda i miał wrażenie, że jego kości się połamią, jeśli przyłoży do tego trochę siły.

– Proponuję, byście znikli stąd jak najszybciej – powiedział.

Maria przytaknęła, a potem razem z narzeczonym podniosła Obelta.

– Dziękuję, Christian – odezwała się.

Hauptsturmführer SS wiedział, że to ostatni raz, gdy słyszy jej głos. Spojrzał na Marię, a potem przeniósł wzrok na Blankenburga. Nie miał pojęcia, jak wiele krzywd wyrządził ten człowiek, ale jedno było pewne – to, co go spotkało, stanowiło niewystarczającą karę.

Trójka Polaków zaczęła się oddalać. Po kilku krokach polski oficer obejrzał się i popatrzył jeszcze na ciało Johanna. Maria nawet nie drgnęła.

Christian Leitner obserwował, jak odchodzą na północ.

Podeszedł do samochodu, przysiadł na masce, a potem wyciągnął papierośnicę. Obracał ją przez moment w dłoni, przyglądał się grawerowi, a w końcu wyjął salema. Przypalił i zaciągnął się głęboko.

BEJRUT, LIBAN, ZACHODNIA AZJA, MARZEC 1940 ROKU

Bronek położył karabin na mokrej ziemi i powiodł wzrokiem za ostatnim z Syryjczyków. Uszedł z życiem, czego nie można było powiedzieć o jego towarzyszach. Dwóch ostatnich ściągnął strzelec stojący nieopodal miejsca, gdzie zaczynała się promenada wybudowana przez Francuzów na miejscu rue Minet El Hosn.

– Szanowny panie sierżancie! – odezwał się Kremmer. – Przetrwaliśmy.

Zaniewski opadł ciężko na pirs. Obrócił się i spojrzał w miejsce, gdzie niedawno na falach kołysał się „Aigokeros”. Potem przeniósł spojrzenie na dwóch nadchodzących żołnierzy.

Filarski i Stolot omiatali wzrokiem okolicę, szukając niedobitków. Wszyscy Arabowie byli

jednak martwi.

– Żyjemy – powtórzył Osmund nieobecny głosem.

– Mhm – mruknął Bronek. – Pańscy znajomi jednak nie okazali się tak beznadziejnymi przypadkami, jak sądziliśmy.

– Zaiste, zaiste...

Filarski zbliżył się do nich, podczas gdy drugi z żołnierzy zajął pozycję kawałek dalej. Rozglądał się czujnie, w pełnym skupieniu. Nie było już powodu do niepokoju, choć Zaniewski musiał przyznać, że taki widok dodaje komfortu.

– Dziękujemy, panie poruczniku – odezwał się Kremmer.

Kazimierz skinął głową i podał mu rękę. Osmund podniósł się, a potem wskazał na ranę postrzałową swojego towarzysza.

– Zajmiemy się tym – zapewnił Filarski, a potem zawołał podkomendnego.

Stolot wyciągnął opatrunek polowy i sprawnie zajął się Zaniewskim. Wraz z Kremmerem pomogli mu wstać, a Bronek spojrzał na skraj kei. Mętne wody portowe napawały grozą, nawet jeśli nie miało się świadomości, że przed momentem wchłonęły całą załogę statku.

Zaniewski przeżegnał się. Więcej nie mógł zrobić.

– Żałuję, że nie udało nam się dotrzeć szybciej – odezwał się Filarski.

– Ja tym bardziej – odparł Bronek.

– Przybiegliśmy, jak tylko rozległ się huk. Słysząc go było w całym kwartale i...

– Z całym szacunkiem, panie poruczniku, ale nie chcę tego słuchać – wpadł mu w słowo Zaniewski. – Rozumiem, że nie chcieliście uczestniczyć w prywatnej wojnie Greków i Syryjczyków, ale...

– Nie ma żadnych ale, sierżancie.

Zaniewski skinął głową. Nie miał zamiaru się spierać, nie kiedy przypomniano mu o hierarchii wojskowej. Filarski zresztą musiał doskonale zdawać sobie sprawę z tego, ile osób mógł ocalić.

Przez moment obaj patrzyli w toń.

Bronek odsunął od siebie myśli o Jorgosie. Będzie jeszcze czas, by go wspomnieć. W odpowiednim miejscu, w odpowiedniej formie. Wprawdzie trumna będzie pusta, ale Zaniewski postanowił, że zadba o właściwe pożegnanie marynarzy – gdzieś na morzu, na ich sposób.

Spojrzał na porucznika.

– Dlaczego w ogóle przyszliście z pomocą? – zapytał.

– Po huku zapanował chaos w mieście. Wiedzieliśmy, że powód może być jeden.

– Więc jednak solidarność rodaków?

– Rodaków i towarzyszy broni, sierżancie.

Zaniewski skinął głową. Była to sensowna pobudka, szkoda tylko, że wzięła górę nad politycznymi kalkulacjami tak późno.

– Chodźmy – polecił Kazimierz. – Musimy opatrzyć tę ranę w odpowiednich warunkach.

Przeszli na rue de Damas, ulice były niemal wyludnione. Im więcej czasu upłynęło od strzelaniny, tym częściej zza rogów wychodzili pojedynczy Arabowie i Hindusi. Kiedy dwie godziny po strzelaninie Bronek wyjrzał przez okno mieszkania, życie w Bejrucie zdawało się już wrócić do normy.

Zaniewski odwrócił się do towarzyszy. Kremmer siedział za stołem, otaczając dłońmi filiżankę z herbatą. Blind Lemon siedział w jego nogach. Bronek utkwiał w nim wzrok i stwierdził, że z nich wszystkich to pies najlepiej zniósł wymianę ognia z wrogiem.

Podszedł do Kremmera i usiadł naprzeciwko. Właściwie byli już gotowi do drogi.

– Na pewno nie chce pan zostać? – odezwał się Filarski.

Zaniewski spojrział na stojącego w progu porucznika.

– Na pewno.

– W najbliższym czasie będziemy formować w Syrii samodzielną jednostkę Wojska Polskiego.

Duma w głosie rozmówcy była jak policzek.

– Życzę powodzenia – odparł Bronek.

– Nie palicie się do walki na froncie, co, sierzancie?

– Przeciwnie – odbąknął Zaniewski. – I właśnie dlatego wracam do Europy, zamiast siedzieć beczynnie na drugim końcu świata i czekać, aż hitlerowcy sami do mnie przyjdą.

Filarski westchnął.

– Walkę musimy prowadzić na wszystkich frontach – zauważył. – Wysiłek wojenny polskiego żołnierza jest równie istotny tam, co tutaj.

– Temu nie przeczę – odparł Bronek. – Jednak chcę walczyć teraz, panie poruczniku. Mam dość czekania.

Kazimierz Filarski skinął głową. Wszyscy w ciszy czekali, aż Kremmer opróżni filiżankę, a potem wymienili się uściskami dłoni.

– Rozbijcie Niemców tutaj, a potem wracajcie do Europy – powiedział na odchodnym Zaniewski.

– O ile zostawicie nam jakichś do bicia, tak zrobimy.

Bronek zasalutował, po czym wraz z Osmundem i Blind Lemonem opuścił mieszkanie. Mimo różnic z Filarskim – czy na dobrą sprawę jakimkolwiek innym rodakiem – ostatecznie wszystko sprowadzało się do jednej rzeczy, która ich łączyła. Wspólny wróg rozmyślał wszelkie różnice charakterów, poglądów i interesów. Póki był.

Dwaj Polacy udali się na lotnisko Bir Hassan, leżące na południowy wschód od Bejrutu. Na samolot odlatujący do Marsylii mieli czekać jeszcze tylko kilkadziesiąt minut.

Miejsca zapewnił im Filarski. To on wraz ze Stolotem miał znajdować się na pokładzie, jednak otrzymał nowe rozkazy. Musiał skierować się bezpośrednio do Homs, a raport dla dowództwa przekazać przez Kremmera.

Liban nikogo już nie interesował – zapadła decyzja, by sformować polską jednostkę piechoty w Syrii. Mimo to Osmund solennie zobowiązał się do złożenia wyczerpującego raportu przed stosownym oficerem. Zapewnił, że nie pozwoli, by ważne dane trafiły w niepowołane ręce.

Bronek chciał zauważyć, że tego typu meldunków nikt by mu nie powierzał, ale ostatecznie zrezygnował. Kremmerowi należało się trochę uznania, nawet jeśli sam je sobie wydumał.

Kiedy podchodzili do samolotu, rozległ się ogłuszający dźwięk silników pracujących na niskich obrotach. Osmund obejrzał się i powiedział coś, ale Zaniewski nie mógł go usłyszeć. Zapewne chodziło o jakąś nostalgiczną uwagę, więc nie dopytywał. Po chwili zajęli miejsca i czekali, by opuścić Bliski Wschód.

Jakiś czas później samolot wreszcie oderwał się od płyty lotniska. Wzniósł się na niski pułap i przechylił się nad Bejrutem, by obrać właściwy kurs. Bronek skorzystał z okazji i wyjrzał przez niewielkie okienko. Bejrut wyglądał jak drobiazgowo wykonana mozaika.

– Żegna pan miasto uśmiechem? – zapytał Kremmer.

Zaniewski uświadomił sobie, że rzeczywiście uniósł kącik ust.

– Po prostu przeszło mi przez myśl, że kiedyś ostatnią rzeczą, jakiej bym się spodziewał,

byłaby podróż do Libanu morzem, a powrót do Francji samolotem.

Była to oczywista bzdura. Tak naprawdę wbił wzrok w wody Zatoki Świętego Jerzego i pomyślał o Jorgosie Karagiozopoulosie, jego załodze, „Aigokerosie”, i wszystkich chwilach spędzonych na greckiej łajbie.

Nie miał zamiaru dzielić się tym z Kremmerem. Stary ziemianin jednak sam wyczuł, że pod uśmiechem nie kryje się nic radosnego.

- A jednak jakieś nieznośne brzemie tamuje panu oddech w piersi – zauważył.
- Panie Kremmer...
- Parafrazuję tylko Sienkiewicza, panie sierzancie.
- Wiem. Proszę tego nie robić.
- Oczywiście – odparł skonfundowany Osmund.

Bronek spodziewał się, że towarzysz będzie drążył, ale ten już nie dopytywał. Zaniewski popatrzył na niego i pomyślał, że przeszli razem naprawdę sporo. A teraz wracali do kraju, by dalej walczyć. Choć w przypadku Kremmera nie można było mówić o wzięciu karabinu w rękę, walka wciąż była odpowiednim słowem. Osmund znajdzie sposób, by uprzykrzyć Niemcom życie i dołożyć swoją cegiełkę do odbudowy niepodległej Polski.

Bronek uśmiechnął się.

- Wie pan... – zaczął. – Nie miałem pojęcia, że Bejrut ma połączenie lotnicze z Francją.
- Jakże to?

Zaniewski wzruszył ramionami.

– Ależ takowe funkcjonuje między Marsylią a stolicą Libanu od dwudziestego ósmego roku?

– Naprawdę?

– Naturalnie, panie sierzancie! Początkowo miało charakter jedynie handlowy, nie pasażerski. Co jednak bardziej intrygujące, lądowano wówczas w bejruckim porcie, który poznaliśmy nader dobrze. Sadzano maszyny na wodzie, zazwyczaj zmagając się ze słabą widocznością. Kres tym praktykom położył okropny wypadek w trzydziestym drugim.

– Ach, tak? – Zaniewskiemu udało się stłumić ziewnięcie.

– W istocie – potwierdził rozentuzjzmowany Kremmer. – Pechowy samolot zboczył z kursu i uderzył w nabrzeże. Straszliwy wypadek! W efekcie cztery lata temu zdecydowano, iż właściwym posunięciem będzie wybudowanie lotniska, z którego mieliśmy przyjemność startować. Do wybuchu wojny rejsy wykonywały tutaj dobrze nam znane samoloty LOT-u.

Bronek osunął się na fotelu. Przyjąwszy wygodną pozycję, słuchał Kremmera. Stopniowo wyłapywał coraz mniej, a w końcu odpłynął.

Ze snu wyrwało go szarpnięcie, które przywodziło na myśl wybuch miny przeciwpiechotnej. Zaniewski natychmiast zerwał się na równe nogi, rozglądając. Ziemianin uspokoił go ruchem ręki, zawstydzony, że inni pasażerowie widzieli paniczną reakcję towarzysza.

- Turbulencje, szacowny panie sierzancie, niech się pan nie trapi.
- Nie przywykłem do latania – odparł Bronek. – Zresztą nikt chyba nie przywyka. To mało naturalne. Człowiek został stworzony przez naturę, by chodzić po lądzie.
- W takim razie nie powinien też pływać.
- Słuszna uwaga. I zgadzam się z nią.

Zaniewski nie zmrużył już oka podczas lotu. Wylądowali w Marsylii tuż po południu czasu lokalnego, a załoga oziębła ich pożegnała. Patrzyli wilkiem na Blind Lemona, ale nikt nie odezwał się słowem.

Pies wyskoczył na płytę lotniska zupełnie zdezorientowany. Za nim z samolotu Air France

wyszedł Broniek i z niejakim niedowierzaniem spojrzął na europejski ląd. Odczekał moment, nim postawił na nim pierwszy krok.

Na Polaków czekał jednoosobowy komitet powitalny. Nietrudno było dostrzec mężczyznę przed wejściem do hali – był szczupły, wysoki i jako jedyny nosił mundur. Zaniewski podszedł do niego i zaszalutował po polsku, unosząc dwa palce do skroni. Francuz spojrzął na niego ze zdziwieniem.

– *Bonsoir* – powiedział, a potem nabrał tchu, przygotowując się do wygłoszenia długiego monologu.

Wyjaśnił, że w Marsylii nie zabawią długo. Jeszcze tego samego dnia mieli udać się do miejscowości Ploërmel w Bretanii, gdzie stacjonowały polskie oddziały. Tam mieli odebrać dalsze rozkazy.

Choć mężczyzna mówił z wyższością, był zdystansowany i traktował swoją obecność na lotnisku jako przykrą konieczność, Zaniewski nie mógł przestać się uśmiechać. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł, że jest bezpieczny. W okolicy nie było nazistów, cypryjskich piratów ani Stryjczyków.

– Francuska wyniosłość, jak widzę, zrobiła na panu sierżancie pozytywne wrażenie – zauważył Kremmer, gdy ruszyli w stronę wyjścia.

– Bynajmniej.

– Więc co pana tak uradowało?

– To, że jesteśmy na terytorium sojusznika.

Kremmer pokiwał głową w zadumie. Weszli w grupę ludzi kłębiących się przed lotniskiem. Nikt nie zwracał na nich uwagi, gdy zaczęli szukać transportu do Ploërmel.

EPILOG

Nunc est bibendum.

– Teraz pijmy.

HORACY

PLOËRMEL, BRETANIA, FRANCJA, KWIECIEŃ 1940 ROKU

W jednostce Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich panował zupełny chaos. Broniek i Kremmer weszli na jej teren, niosąc tobołki i rozglądając się, jakby po raz pierwszy doświadczyli takiego widoku. Prawda była jednak taka, że już się z nim spotkali. Raban i ogólny rozgardiasz panowały takie, jak na ulicach Bejrutu w godzinach szczytu.

Tyle tylko, że tutaj wszyscy mówili po polsku.

Dwóch przybyszów z psem szybko dowiedziało się, że poruszenie jest rezultatem decyzji o rychłym opuszczeniu Francji. Broniek zaczął kilku przechodzących żołnierzy – nawet nie po to, by dowiedzieć się, gdzie zostaną rzuceni, ale by zamienić z kimś jeszcze kilka słów po polsku. Dźwięk ojczystego języka sprawił, że poczuł się jak w domu.

Brak munduru i oznaczenia wskazującego na rangę sprawiały jednak, że nawet młodzicy szybko go spławiali, twierdząc, że się spieszą.

Mimo że wraz z Kremmerem byli w epicentrum całego zamieszania, obaj czuli się, jakby znajdowali się na zewnątrz i przyglądali wydarzeniom z dystansu.

Niebawem miało się to zmienić. Zaniewski miał wejść w skład jednego z oddziałów, przywdziać mundur i walczyć z wrogiem. Wreszcie.

Jeden z przechodzących żołnierzy zwolnił, zatrzymując na dłużej wzrok na Zaniewskim. Ściągnął brwi, omiatając spojrzeniem jego ubranie. Broniek uświadomił sobie, że łachmany, które na sobie mieli, bardziej pasowały do bejruckich ulic niż europejskiej rzeczywistości.

– A ty coś za jeden? – odezwał się mężczyzna.

Broniek mimowolnie spojrzał na oznaczenia na mundurze. Plutonowy. Zaniewski otworzył usta, by się odezwać, ale został wyręczony.

– To Kat z Doliny Sanu – rozległ się znajomy głos. – Sierżant Bronisław Zaniewski.

Broniek raptownie się odwrócił i znieruchomiał. Przez moment nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Gdyby moment wcześniej nie rozpoznał głosu brata, nie potrafiłby stwierdzić, że patrzy na

Staszka. Miał zapadnięte policzki, a koszula na nim wisiała, mimo że wyglądała na najmniejszy rozmiar.

– Młody! – krzyknął Bronek.

Bracia padli sobie w ramiona, poklepując się mocno po plecach. Starszy z nich czuł wystające żebra i barki Staszka. Nie miał jednak zamiaru o nic pytać. Właściwie w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Ostatnim razem widzieli się w Warszawie, na długo przed wybuchem wojny.

– Na Boga... – wydusił Bronek. – Co ty tu robisz? I co to za Kat z Doliny Sanu?

– Długa historia.

Wymierzili sobie jeszcze po ciosie w ramię. Spojrzeli na siebie, jakby obaj przybyli tutaj z zupełnie innych światów. Może w pewnym sensie tak było.

– Wszystko ci opowiem – zapewnił Staszek. – Będziemy mieć sporo czasu.

Naraz starszy z braci zrozumiał, że był oczekiwany.

– Wiedziałeś, że...

– Pewnie – uciał Staszek. – Jak tylko Obelt dostał listę nazwisk nowej jednostki, natychmiast mi powiedział.

– Kapitan Obelt tutaj jest?

Bronek i Kremmer rozejrzeli się, jakby mieli go dostrzec gdzieś w okolicy.

– Jest – potwierdził z uśmiechem Staszek. – Chodź, zaprowadzę cię.

Po drodze wymieniali krótkie pytania i odpowiedzi, jak salwy z karabinów maszynowych. Właściwie jeden ani drugi nie mógł liczyć na to, że dowie się czegokolwiek. Mimo to zarzucali się informacjami.

Obelt czekał na nich w jednym z namiotów, prowadząc ożywioną dysputę z jednym z oficerów. Usłyszawszy kroki, odwrócił się i zamarł z otwartymi ustami. Potem uderzył pięścią w stół, na którym rozłożono kilka map.

– Niech cię cholera, Zaniewski! – powiedział. – Wiedziałem, że przeżyjesz.

Podszedł do Bronka i Kremmera, a potem mocno uścisnął im ręce. Wyglądał podobnie do Staszka, choć przez bliznę na twarzy robił wrażenie mocniej doświadczonego. Starszy Zaniewski pomyślał, że obaj przeszli piekło.

Nie oni jedni. To samo mógł powiedzieć każdy, kto zetknął się z nazizmem.

Bronek powiódł wzrokiem wokół.

– Szukacie Maniury, sierzancie? – zapytał Obelt.

– Tak jest.

– Daleko nie trzeba – powiedział kapitan. – Jest w namiocie obok.

Zanim starszy z braci zdążył cokolwiek odpowiedzieć, poły przy wejściu odsłoniła Maria. Weszła do środka i uściskała przyszłego szwagra. Zaraz po niej pojawił się Maniura i powitania trwały w nieskończoność. Oficer, który wcześniej rozprawiał z Obeltem, został odprawiony, choć i bez rozkazu zapewne szybko by się oddalił, uznając, że jego obecność jest nie na miejscu. Wydawało się, że w namiocie znalazła się cała rodzina.

Bronek ze zgrozą słuchał opowieści Staszka i Marii o tym, jak przedostali się z Rzeszy do Francji. Austriackie dokumenty, Holzer, pociągi i spanie pod gołym niebem, Rawitsch, niejaki Christian Leitner... wszystko to wydawało mu się zupełnie abstrakcyjne.

O tym, co było później, nie mówili wiele. Ostatecznie zakończyli swoją opowieść, opisując drogę do Ploërmel, w którym znaleźli się kilka tygodni temu. Rozważali, czy nie skorzystają z obecności kapelana wojskowego, ale ostatecznie uznali, że pobiorą się już w nowym miejscu.

– Nowym miejscu? – zapytał starszy z braci, marszcząc czoło.

Obelt zdawał się zadowolony, że pytanie padło. Zapewne miał już serdecznie dosyć wszystkich tych ckliwości.

– Zgadza się, Zaniewski – odparł z werwą. – W nocy z piętnastego na szesnastego ruszamy do Brestu. A stamtąd płyniemy prosto do Norwegii.

– Do Norwegii?

– Zgadza się. Piszecie się na to, sierżancie?

– Oczywiście – odparł bez chwili wahania Bronek. – Ostatnio brakuje mi emocji.

– Mnie również – dorzucił Kremmer. – Ale skąd ten kierunek? Cóż takiego jest w Skandynawii?

– Hitler – odparł wprost Obelt i jego twarz stężała. – Sukinsyn nie próżnował pod waszą nieobecność. Rzesza zaatakowała Danię i Norwęgę – dodał i spojrzał na Bronka. – Wojna w Europie dopiero się rozpoczyna, Zaniewski. I nie wypada, żebyśmy ją przegapili.

Chwilę później cała grupa opuściła namiot. Kapitan Obelt zadbał o to, by zaopatrzone ich w odpowiednią liczbę butelek francuskiego wina, a potem wszyscy usiedli na niewielkim wzniesieniu.

Dzień zmierzał ku końcowi, krwistoczerwone słońce zachodziło na horyzoncie. Butelka chodziła z rąk do rąk. Grupa ludzi wymieniała się wspomnieniami, nie wybiegając myślami w przyszłość.

Obelt w pewnym momencie oznajmił, że najwyższa pora, by sprawdzić stan logistyczny oddziału. Podniósł się, zachwiał, ale ostatecznie ruszył w dół zbocza.

– Panie kapitanie! – krzyknął za nim Kremmer. – Mamy pewną zagwozdkę!

Oficer zatrzymał się, westchnął i obejrzał przez ramię.

– Nurtuje nas, jak szanowny pan kapitan raczy mieć na imię – dodał pijany Osmund i zachichotał.

– Adolf – odparł beznamiętnie Obelt, a potem się oddalił.

Reszta przez moment trwała w bezruchu, potem rozległ się cichy śmiech i dźwięk wina przelewane z butelki do ust. Było im beztrosko i każde z nich zdawało sobie sprawę, że muszą korzystać, póki pora.

Obelt najwyraźniej był takiego samego zdania, gdyż na powrót dołączył do nich kwadrans później, niosąc kolejne wino i zdobyczną paczkę niemieckich papierosów.

– Podobno któryś ustrzelił szkopa, który był oficerem.

Kapitan uniósł paczkę papierosów marki Salem Gold, przyjrzał się jej, a potem poczęstował wszystkich. Maria długo obracała papierosa między palcami, zanim zapaliła.

Wypuściła dym i wbiła wzrok w zachodzące słońce.

POSŁOWIE

To była dla mnie niesamowita przygoda. I mam nadzieję, że dla Ciebie także.

Mimo że debiutowałem *Wieżą milczenia*, pierwszą książką, jaką napisałem, było właśnie *Parabellum*. Nie wspominam odrębnie o *Prędkości ucieczki*, *Horyzoncie zdarzeń* czy *Głębi osobliwości*, bo całość tworzyłem jednym tchem, od początku do końca. Dlaczego? Ponieważ zżyłem się z bohaterami, nie chciałem ich zostawić, a historia, którą mi opowiadali, do reszty mnie porwała.

Nie stanowiło to jednak głównego powodu, dla którego nie mogłem oderwać się od pisania. Było nim to, że dzięki *Parabellum* odkryłem, co chcę robić w życiu. I przy okazji dowiedziałem się także, że nie zamierzam robić niczego innego.

Pierwsze strony ze Staszkiem i Marią w Warszawie, Bronkiem na granicy i Leitnerem wchodzącym do Polski były dla mnie drzwiami do innego świata. Nie uchyliły się w trakcie pisania tamtych scen – otworzyły się na oścież, wpuszczając do mojego życia prawdziwy huragan. W tym sensie *Parabellum* to najważniejsza książka, jaką napisałem. Jest nieco przykurzona, powstała w warsztatowej próżni i musiałem przepisać ją właściwie na nowo, ale gdyby nie ona, nigdy nie powstałaby żadna inna.

PODZIĘKOWANIA

Czasem wydawać by się mogło, że autor siedzi zamknięty w swoim gabinecie, stuka w klawiaturę i może liczyć tylko na siebie. Podczas pracy nad *Parabellum* pomagało mi jednak mnóstwo ludzi, przy czym większość nie miała o tym pojęcia.

Szczególnie chciałbym podziękować wszystkim tym, którzy stworzyli internetowe kompendia wiedzy, w niczym nieustępujące książkowym monografiom – redaktorom serwisu sww.w.szu.pl, pracownikom Archiwum Map Wojskowego Instytutu Geograficznego, forumowiczom i moderatorom dws.org.pl oraz historycy.org, i wszystkim tym, którzy nieodpłatnie poświęcają swój czas na to, by edukować każdego, kto pragnie poszerzyć swoją wiedzę. O monografiach, artykułach i opracowaniach pisałem już w posłowniu pierwszego tomu, więc zainteresowanych odsyłam do *Prędkości ucieczki*.

Ogromne podziękowania należą się całej rzeszy osób, bez których *Parabellum* nigdy nie stałoby się czymś więcej niż tylko komputerowym wydrukiem. Wybaczcie, że wszystkich Was nie wymienię z imienia i nazwiska, ale żeby stworzyć wyczerpującą listę, ta i tak obszerna książka musiałaby mieć dodatkowe sto stron.

W pierwszej kolejności chciałbym podziękować całej książkowej blogosferze. Jesteście niesamowitą grupą osób, tak różnych od siebie, ale połączonych zamiłowaniem do najlepszej czynności, jaką ludzkość wymyśliła – czytania.

Dziękuję Anicie z Book Reviews, której dedykowana jest książka – bez jej *paplenda* nigdy nie trafiłaby do rąk wielu Czytelników. To samo dotyczy Kingi z kanału Esa Czyta, Wiolety z bloga Subiektywnie o książkach, Karoliny z bloga Tanayah Czyta (która niestrudzenie walczyła o rychłe wydanie tego tomu), Olgi z Wielkiego Buka, Ani z Myśli i słowa wiatrem niesione, Ewy, czyli Książkówki... i całego korowodu osób, które historia Leitnera, Bronka, Staszka i Marii zaciekała tak, jak mnie. Wszyscy jesteście wymienieni na mojej stronie w zakładce „Parabellum” (i najlepsze jest to, że wciąż dołączają do nas nowe osoby!).

Dziękuję Arturowi Szrejterowi, który dał podwaliny pod mój warsztat, i wszystkim osobom pracującym przy dwóch pierwszych tomach tej serii.

Dziękuję Piotrowi Milanowiczowi, który mimo natłoku korporacyjnej pracy w Niemczech, zawsze znajduje czas, by pomóc mi w sprawach związanych z tym coraz bardziej obcym dla mnie językiem.

Dziękuję Monice Długiej, Robertowi Falewiczowi, Karolinie Borowiec, Piotrowi Sternalowi, Ani Wasik i wszystkim z Czwartej Strony za to, że zdecydowali się wsiąść do pociągu zwanego

Parabellum, mimo że ten znajdował się już na ostatniej stacji.

Dziękuję, jak zawsze, Dagmarze i moim Rodzicom – to oni byli pierwszymi czytelnikami tej książki. Ale nie tylko czytelnikami. Wniknęli razem ze mną w świat *Parabellum*, swoimi opiniami i uwagami pomagając go tworzyć. Są immanentną częścią tej opowieści – tak jak wszyscy Ci, których wyżej wymieniłem, i Ci, o których z braku miejsca nie mogłem wspomnieć. Mam nadzieję, że Wy już dobrze wiecie, o kogo chodzi.

Co będzie dalej? Nie wiem.

To ostatni tom, ale historia będzie dalej. W moim i Twoim umyśle.

SPIS TREŚCI

I

II

III

IV

V

VI

EPILOG

POSŁOWIE

PODZIĘKOWANIA

Table of Contents

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[EPILOG](#)

[POSŁOWIE](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)